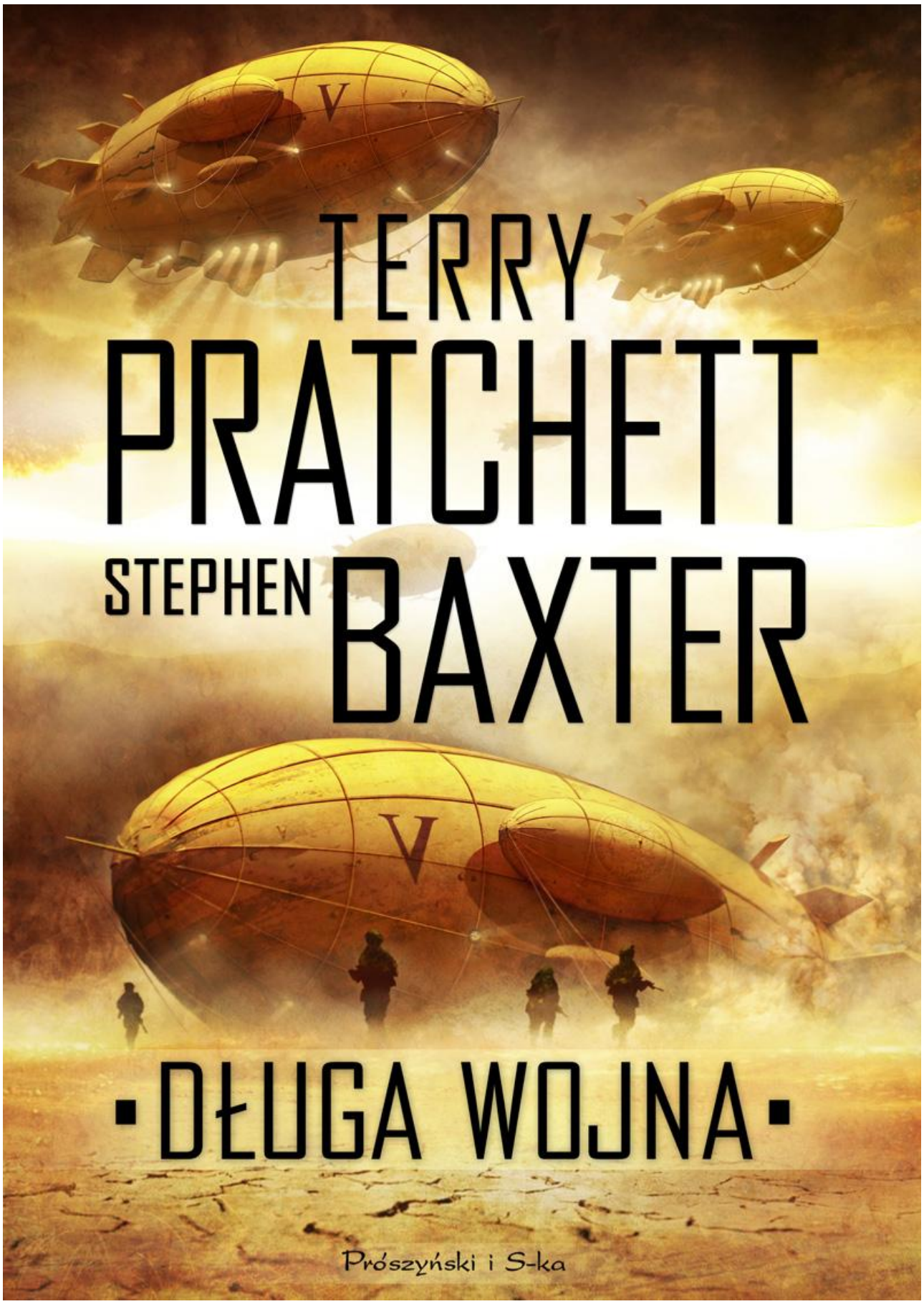
TERRY
PRATCHETT
STEPHEN
BAXTER
DŁUGA WOJNA
Prószyński i S-ka

TERRY PRATCHETT
STEPHEN BAXTER

DŁUGA WOJNA

Przełożył
Piotr W. Cholewa

Prószyński i S-ka

Lyn i Rhiannie, jak zawsze

T.P.

Sandrze

S.B.

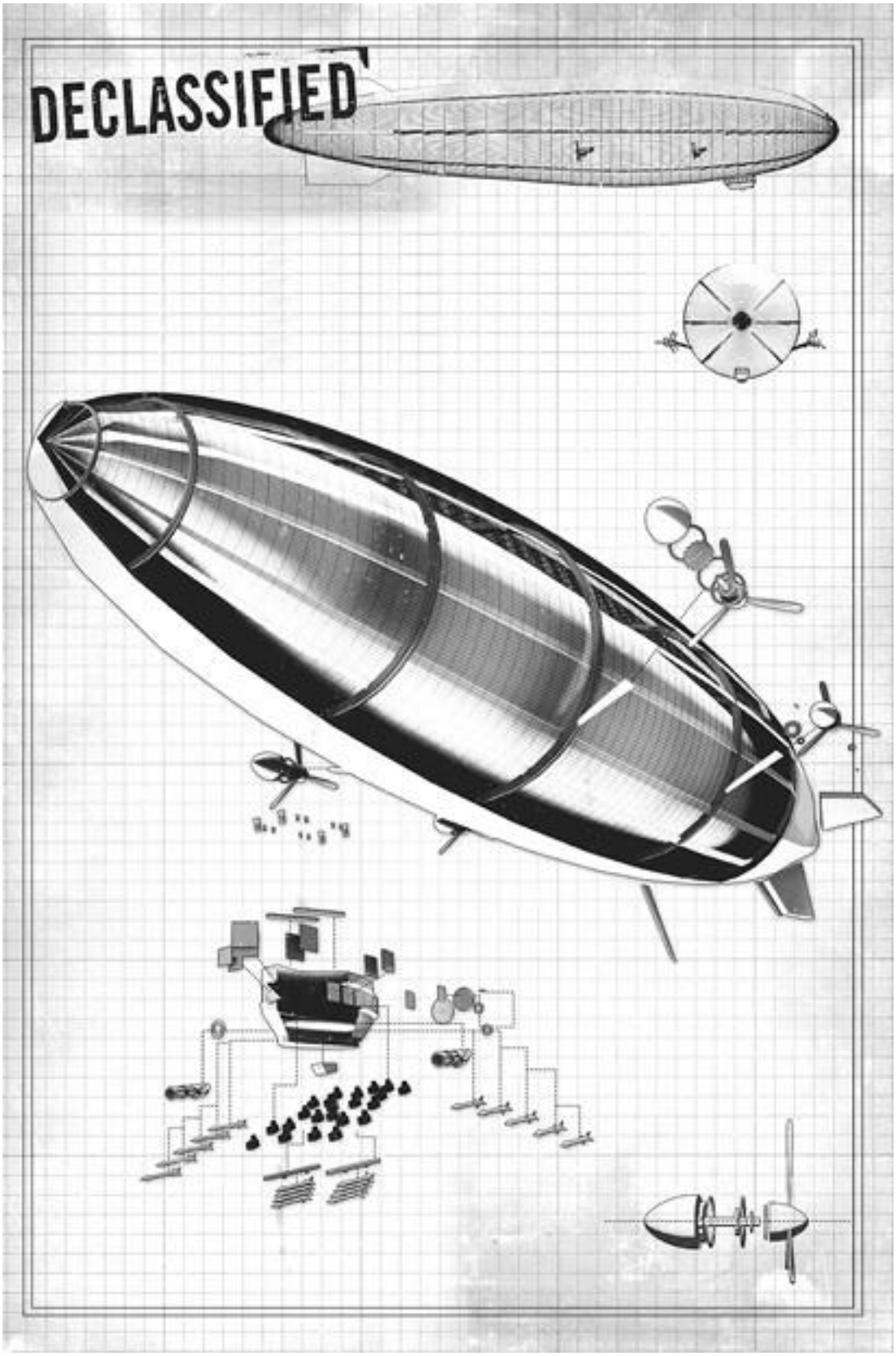

Wstępne rysunki koncepcyjne prototypu sterowca wojskowego, na których oparta była konstrukcja USS „Benjamin Franklin”. Reprodukcja za zgodą United Technologies, General Electric, Kompanii Handlowej Długiej Ziemi i DPT (Dział Projektowania Twainów) Korporacji Blacka.

ROZDZIAŁ 1

W alternatywnym świecie, dwa miliony kroków od Ziemi:

Opiekunowie nazywali samicę trolla Mary, jak przeczytała Monica Jansson w pasku tekstu pod filmikiem. Nikt nie wiedział, jak tablica sama siebie określała. Dwaj treserzy, obaj mężczyźni, z czego jeden ubrany w coś w rodzaju próżniowego skafandra, stali przed nią, kulącą się w kącie czegoś, co wyglądało na nowoczesne laboratorium naukowe – o ile bestia zbudowana jak porośnięty sierścią ceglany mur może się kulić. Do potężnej piersi tuliła młode. Mały troll był ubrany w srebrzysty skafander, a z umocowanych do jego płaskiej czaszki czujników zwisały przewody.

– Oddaj go, Mary – dał się słyszeć głos jednego z mężczyzn. – Nie utrudniaj. Planujemy tę próbę od dawna. Ten tutaj George wyciągnie go w Szczelinę, ale mały jest w skafandrze, więc polata sobie tam przez godzinę i wróci tutaj cały i zdrowy. Nawet się przy tym pobawi.

Drugi mężczyzna zachowywał gniewne milczenie.

Pierwszy zbliżył się do Mary powoli, krok za krokiem.

– Jeśli się nie uspokoisz, nie będzie lodów.

Wielkie, bardzo ludzkie dłonie Mary wykonały serię gestów – błyskawicznych znaków. Bardzo szybkich, trudnych do odczytania, ale stanowczych.

Kiedy po wielekroć odtwarzano nagranie z całego incydentu, wiele osób się zastanawiało, czemu Mary w tym momencie nie przekroczyła. Prawdopodobnie dlatego, że znajdowała się pod ziemią; nie można przekroczyć do piwnicy ani z piwnicy, trafiając prosto w litą skałę. Zresztą Jansson, emerytowana porucznik madisońskiej policji, wiedziała, że kiedy już złapie się trolla, istnieje wiele sposobów, by powstrzymać go od przekraczania.

Szeroko omawiano też kwestie, co próbowali zrobić dwaj treserzy. Znajdowali się w świecie sąsiadującym ze Szczeliną – o krok od próżni, od kosmosu, od dziury w miejscu, gdzie powinna być Ziemia. Realizowali tam program kosmiczny i pewnie chcieli sprawdzić, czy praca fizyczna trolli, tak użyteczna na całej Długiej Ziemi, może też być wykorzystywana w Szczelinie. Trudno się dziwić, że dorosłe trolle niechętnie przekraczały w tę pustkę, więc badacze starali się przyzwyczaić młode. Jak tego szczeniaka.

– Nie mamy czasu – odezwał się drugi treser. W ręku miał paralizator. Podszedł, mierząc nim w pierś Mary. – Pora, żeby mamuśka na trochę się pożegnała z…

Dorosły troll chwycił paralizator, przełamał na dwie części i ostry, poszarpany koniec metalowego pręta wbił treserowi w oko.

Przy każdym kolejnym oglądaniu był to wstrząsający widok.

Treser z wrzaskiem zatoczył się do tyłu, chlapiąc krwią – bardzo jasną i czerwoną. Ten drugi odciągnął go poza kadr.

Mary, ściskając swojego szczeniaka, z futrem pochlapanym ludzką krwią, raz po raz powtarzała te same gesty.

Potem wszystko działo się szybko. Kosmiczni kowboje od razu próbowali unieszkodliwić trolla matkę. Wyciągnęli nawet pistolety, ale powstrzymał ich jakiś starszy mężczyzna, bardziej dostojny – zdaniem Jansson wyglądał na byłego astronautę. A teraz, ponieważ sprawa ściągnęła powszechną uwagę, odwet został zawieszony.

Zapis z laboratorium wyciekł, stał się outernetową sensacją i zapoczątkował lawinę podobnych klipów. Okrucieństwo wobec zwierząt, a zwłaszcza trolli, było najwyraźniej normą na całej Długiej Ziemi. W internecie i outernecie rozgorzały flejmy. Jedni wierzyli, że ludzkość ma święte prawo postępować z mieszkańcami Długiej Ziemi, jak zechce, włącznie z likwidacją, jeśli zajdzie potrzeba – niektórzy powoływali się nawet na biblijne panowanie, jakie obiecano człowiekowi nad rybami, nad ptactwem, nad bydłem i nad płazem pełzającym. Drudzy chcieliby, żeby ludzkość nie zabierała na inne światy wszystkich swoich wad. Incydent w sąsiedztwie Szczeliny – właśnie dlatego, że zdarzył się w sercu tworzonego programu kosmicznego, wyrazu

najwspanialszych marzeń ludzkości – chociaż zdaniem Jansson zdradzał raczej pewną nieczułość niż realne okrucieństwo, stał się przypadkiem sztandarowym. Hałaśliwa mniejszość wzywała rząd federalny na Ziemi Podstawowej, by coś w tej sprawie zrobił.

Inni zastanawiali się, co o tym myślą trolle – bo trolle też potrafią się porozumiewać.

Monica Jansson, oglądając nagranie w swoim mieszkaniu w Madison Zachodnim 5, próbowała odczytać znaki Mary. Wiedziała, że w takich eksperymentalnych placówkach uczono trolli metod komunikacji opartych na ludzkim języku migowym w wersji amerykańskiej. Jansson trochę go poznała w czasie służby policyjnej; nie była ekspertem, ale rozumiała, co chce powiedzieć troll – wyobrażała sobie, że tak samo rozumieją miliony widzów na Długiej Ziemi, wszędzie tam, gdzie dostępne było to nagranie:

Nie dam.

Nie dam.

Nie dam.

To nie było tępe zwierzę. To była matka broniąca dziecka.

Nie mieszaj się do tego, mówiła sobie Jansson. Jesteś na emeryturze, jesteś chora. Czas krucjat dla ciebie już minął.

Oczywiście, nie miała wyboru. Wyłączyła monitor, połknęła tabletkę i zaczęła dzwonić.

I na świecie niemal tak odległym jak Szczelina:

Stworzenie będące nie całkiem człowiekiem stało naprzeciw stworzenia będącego nie całkiem psem. Ludzie nazywali te humanoidalne istoty koboldami, mniej czy bardziej błędnie. Koboldy to podziemne duchy z mitologii germańskiej. Ten konkretny kobold, dziwnie uzależniony od ludzkiej muzyki – zwłaszcza rockowej z lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku – nigdy nawet nie przebywał w pobliżu kopalni. Podobne do psów istoty ludzie nazywali beagle'ami, również nietrafnie. Nie były beagle'ami i nie przypominały niczego, co widział Darwin z pokładu najsłynniejszego „Beagle'a". Ani kobold, ani beagle nie przejmowały się, jak ich nazywają ludzie. Przejmowały się za to ludźmi. A raczej gardziły nimi. Mimo to kobold był beznadziejnie zafascynowany ludzkością i jej kulturą.

– Trollen niezadowolon-nne wszędzie – zasyczał.

– Dobrze – warknęła beagle. Była suką. Na rzemyku na szyi nosiła wysadzany szafirami złoty pierścień. – Dobrze. Sm-hrr-ód zb-hrr-odni cuch-kroczy zat-hrr-uwa świat.

Mowa kobolda niemal przypominała ludzką. W wydaniu beagle'a było to raczej warczenie, gesty, pozy, drapanie ziemi. A jednak rozumieli się, używając niby-ludzkiego języka jako wspólnego narzecza.

Łączyła ich także wspólna sprawa.

– Zepchnąć cuch-krocza do ich gniazda.

Beagle uniosła wilczą głowę i zawyła. Po chwili we mgle zabrzmiały odpowiedzi.

Kobold cieszył się możliwością zysku jako rezultatem całej tej sprawy – zdobyciem przedmiotów, które sam cenił, oraz innych, które mógłby przehandlować. Starał się przy tym ukryć swój strach przed księżniczką beagle'i, jego tak nietypowym klientem i sprzymierzeńcem.

I w bazie wojskowej na Hawajach Podstawowych:

Komandor porucznik Maggie Kauffman patrzyła w zachwycie na USS „Benjamin Franklin", sterowiec wielkości „Hindenburga", nowiutki okręt powietrzny, którym miała dowodzić…

I w sennej angielskiej wiosce:

Wielebny Nelson Azikiwe rozmyślał nad swą małą parafią w kontekście Długiej Ziemi, nad tym strzępkiem antyku wśród nieodwzorowanego na mapach ogromu, i zastanawiał się nad swoją przyszłością…

I w gwarnym mieście, ponad milion kroków od Podstawowej:

Niegdyś wykroczny pionier, niejaki Jack Green, starannie układał zdania apelu o wolność i godność na Długiej Ziemi…

I w parku Yellowstone, na Ziemi Podstawowej:

Strażnik Herb Lewis pracował dopiero drugi dzień. Nie miał pojęcia, jak sobie poradzić

z gniewną skargą państwa Virgilostwa Daviesów z Los Angeles na to, że ich dziewięcioletnia Virgilia jest bardzo rozczarowana, a jej tatuś wyszedł na kłamcę, i to w jej urodziny! Przecież to nie wina Herba, że Old Faithful nie wybuchł. Dodatkową przykrością był fakt, że pod wieczór, kiedy niewłaściwe zachowanie gejzeru trafiło na pierwsze strony gazet, wszędzie publikowano też zdjęcia poszkodowanej rodziny…

I w zespole medycznym należącym do Korporacji Blacka, na Niskiej Ziemi:

– Siostro Agnes? Muszę znowu siostrę na chwilę obudzić, w celu kalibracji…

Agnes zdawało się, że słyszy muzykę.

– Chyba nie śpię…

– Witamy z powrotem.

– Z powrotem skąd? Kim jesteś? I co to za śpiewy?

– Setki tybetańskich mnichów. Przez czterdzieści dziewięć dni byłaś…

– A ta ponura muzyka?

– Och… O to miej pretensje do Johna Lennona. Tekst to cytaty z Księgi Umarłych.

– Co za harmider…

– Agnes, twoja orientacja fizyczna wymaga dłuższego czasu. Ale myślę, że będziesz mogła zobaczyć się w lustrze. To nie potrwa długo…

Nie potrafiłaby określić, jak długo, ale w końcu pojawiło się światło, bardzo słabe… coraz jaśniejsze…

– Odczujesz może lekki nacisk, kiedy ustawimy cię w pozycji pionowej. Nie powinien być nieprzyjemny. Nie możemy się zająć twoimi zdolnościami ruchowymi, dopóki nie będziesz silniejsza. Ale myślę, że w nowe ciało wtopisz się przy minimalnym bólu. Możesz mi wierzyć, wiele razy przez to przechodziłem. Będziesz mogła się zobaczyć mniej więcej… teraz.

Siostra Agnes spojrzała na siebie. Na swoje ciało: różowe, nagie, delikatne i bardzo kobiece. Nie czując, że porusza wargami – prawdę mówiąc, w ogóle nie czując warg – zapytała groźnie:

– A kto zamawiał te…?

ROZDZIAŁ 2

Sally Linsay przybyła do Diabli Wiedzą Gdzie szybka i wściekła. Ale niby kiedy było to zaskakujące?

Joshua Valienté usłyszał jej głos z wnętrza domu, kiedy wracał po popołudniowej pracy w kuźni. Na tym świecie, jak na wszystkich światach Długiej Ziemi, trwał późny marzec i zapadał już zmierzch. Odkąd stara przyjaciółka zjawiła się w dniu jego ślubu, dziewięć lat temu, jej wizyty zdarzały się rzadko i zwykle oznaczały, że dzieje się coś niedobrego – bardzo niedobrego. Helen, jego żona, także to wiedziała.

Czując, że lęk ściska mu żołądek, Joshua przyspieszył kroku.

Sally zastał przy kuchennym stole; trzymała miejscowy kubek z kawą. Siedziała tyłem do niego; nie zauważyła go jeszcze, więc zatrzymał się w drzwiach. Przyglądał się jej, obserwował całą scenę i próbował się zorientować w sytuacji.

Helen była w suchym składzie i Joshua wiedział, że wygrzebuje sól, pieprz i zapałki. Sally rzuciła na stół tyle mięsa, że wystarczy go na parę tygodni. Tak nakazywał protokół pionierów. Valienté'owie nie potrzebowali tego mięsa, oczywiście, ale to bez znaczenia. Układ był taki, że wędrowiec przynosi mięso, a gospodarz odwdzięcza się za dar nie tylko posiłkiem – dostarczoną zdobyczą odpowiednio oprawioną i przyprawioną – ale też tymi drobnymi luksusami, jakie trudno znaleźć w dziczy: sól, pieprz, noc w wygodnym łóżku.

Joshua uśmiechnął się lekko. Sally szczyciła się tym, że jest bardziej samowystarczalna niż Daniel Boone i kapitan Nemo razem wzięci, ale nawet Daniel Boone musiał tęsknić za pieprzem – tak jak Sally. Miała teraz czterdzieści trzy lata, o kilka więcej od Joshuy i o szesnaście więcej od Helen, co nie ułatwiało ich wzajemnych stosunków. Siwiejące włosy spinała na karku, a nosiła swój zwykły strój – grube dżinsy i kamizelkę z mnóstwem kieszeni. I tak jak zawsze, wydawała się szczupła, żylasta, niesamowicie spokojna i czujna.

W tej chwili przyglądała się złotemu, wysadzanemu szafirami pierścieniowi wiszącemu na ścianie na grubym gwoździu z miejscowej kuźni. Pierścień był jednym z niewielu trofeów, jakie Joshua zachował z długiej wyprawy odkrywczej, w której uczestniczyli oni oboje i Lobsang. Albo Wyprawy, jak nazywał ją świat dziesięć lat później. Pierścień był trochę krzykliwy i za duży na ludzki palec, ale też nie ludzie go zrobili, o czym Sally z pewnością pamiętała. Tuż pod pierścieniem wisiała jeszcze jedna sztuka biżuterii – małpia bransoletka z plastiku i modeliny, odpustowa i śmieszna, w sam raz dla dziecka. Joshua był pewien, że Sally pamięta również, jakie znaczenie ta zabawka ma dla niego.

Ruszył naprzód, specjalnie popychając drzwi, żeby skrzypnęły. Odwróciła się i spojrzała na niego krytycznie, bez uśmiechu.

– Słyszałem, że się zjawiłaś – powiedział.

– Przytyłeś.

– Też się cieszę, że cię widzę, Sally. Zapewne miałaś powód, żeby mnie odwiedzić. Zawsze masz jakiś powód.

– O tak.

Ciekawe, czy Calamity Jane była do niej podobna, zastanowił się Joshua, z wahaniem siadając przy stole. Jak beczka prochu, wybuchająca okresowo w samym środku czyjegoś życia… Możliwe, choć Sally miała minimalnie lepszy dostęp do artykułów toaletowych.

Helen wróciła do kuchni, a Joshua wyczuł zapach smażącego się mięsa. Spojrzał na żonę, ale skinieniem odrzuciła jego niemą ofertę pomocy. Joshua potrafił docenić jej takt – chciała pozostawić im nieco wolnej przestrzeni. Co prawda trochę się bał, że to początek jednego z okresów lodowatego milczenia Helen… W końcu Sally była kobietą, którą łączył długi, skomplikowany, a przede wszystkim słynny związek z jej mężem, zanim jeszcze poznał Helen. Prawdę mówiąc, Sally była u jego boku, kiedy pierwszy raz spotkali się z Helen, wtedy siedemnastoletnią osadniczką z całkiem nowego miasteczka kolonistów na Długiej Ziemi.

W efekcie młoda żona raczej nie skakała z radości, kiedy Sally pojawiała się znowu.

Sally czekała na jego odpowiedź, nieświadoma takich subtelności. Lub nieczuła na nie.

Westchnął.

– No więc mów. Co cię sprowadza tym razem?

– Następny sukinsyn zabił następnego trolla.

Skrzywił się. Ostatnio w outernecie można było znaleźć mnóstwo takich incydentów – incydentów zdarzających się wzdłuż całej Długiej Ziemi, od Podstawowej do Walhalli i dalej, najwyraźniej aż do samej Szczeliny, sądząc po ostatnim głośnym przypadku ze szczeniakiem w skafandrze kosmicznym z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku.

– Ściślej mówiąc, zarżnął go – mówiła dalej Sally. – Dosłownie. Meldunek dotarł do administracji Egidy w Pionie, na samej granicy Meggerów…

– Wiem, gdzie to jest.

– Tym razem chodziło o młodego osobnika. Części ciała zostały pobrane do jakiegoś zabiegu medycyny ludowej. Przynajmniej raz gościa za to aresztowali pod zarzutem okrucieństwa, ale jego rodzina podniosła krzyk, bo o co tu chodzi, do diabła, przecież to tylko zwierzę, nie?

Joshua potrząsnął głową.

– Wszyscy żyjemy pod Egidą USA. No więc o co im chodzi? Zakazu okrucieństwa dla zwierząt się nie stosuje czy jak?

– Straszny w tym bałagan. Są inne rozstrzygnięcia na poziomie federalnym i stanowym, plus dyskusje, czy te zasady w ogóle obejmują Długą Ziemię. Nie wspominając nawet o braku sił, by te prawa egzekwować.

– Niezbyt pilnie śledzę politykę Podstawowej. Wiesz, u nas chronimy trolle poprzez rozszerzenie naszych praw obywatelskich.

– Naprawdę?

Uśmiechnął się.

– Mówisz, jakby cię to zdziwiło. Nie tylko ty masz sumienie. Poza tym trolle są zbyt użyteczne, żeby je zniechęcać albo przeganiać.

– No cóż, nie wszyscy są tak cywilizowani. To jasne. Musisz pamiętać, Joshuo, że Egidzie przewodniczą politycy z Podstawowej. Inaczej mówiąc, dupki. I oni naprawdę niczego nie łapią! Nie są z takich, co to ubłocą sobie błyszczące lakierki gdzieś dalej niż w parku na Ziemi Zachodniej 3. Nie mają pojęcia, jakie to ważne, żeby ludzkość zachowała przyjazne stosunki z trollami. Długie wołanie jest pełne opisów…

To znaczy, że każdy troll, wszędzie, wkrótce się o tym dowie.

– Wiesz – mówiła dalej Sally – problem polega na tym, że przed Dniem Przekroczenia prawie wszystko, co trolle wiedziały o człowieczeństwie, pochodziło z ich doświadczeń z takich miejsc jak Szczęśliwy Port, gdzie żyły obok ludzi. Pokojowo, konstruktywnie…

– Choć trochę przerażająco.

– No, trochę tak. Natomiast teraz trolle spotykają się ze zwykłymi ludźmi. To znaczy z idiotami.

– Sally, dlaczego tu przyszłaś? – Czuł narastający lęk. – Co twoim zdaniem powinienem zrobić?

– Wykonać swój obowiązek, Joshuo.

Joshua wiedział, co ma na myśli: że powinien razem z nią wyruszyć na Długą Ziemię. Znowu ratować świat.

Do diabła z tym, pomyślał. Czasy się zmieniły. Ja się zmieniłem. Tutaj mam obowiązki: wobec rodziny, domu, wobec współmieszkańców, którzy dość niefrasobliwie wybrali mnie na burmistrza…

Zachwycił się tym miejscem, zanim jeszcze je zobaczył. Uznał, że pierwsi osadnicy, którzy nadali swemu nowemu domowi nazwę Diabli Wiedzą Gdzie, są prawdopodobnie porządnymi ludźmi z poczuciem humoru. I rzeczywiście, okazali się właśnie tacy. Helen, która wyruszyła z rodziną, by założyć całkiem nową kolonię, wśród takich ludzi dorastała. Osada, do której trafili

na oddalonym o milion kroków cieniu doliny Missisipi, miała czyste powietrze, rzekę pełną ryb, okolicę obfitującą w zwierzynę i bogatą w surowce, takie jak pokłady żelaza i ołowiu. Dzięki badaniom spektrometrii masowej pobliskich formacji geologicznych, jakie na prośbę Joshuy przeprowadził któryś twain, mieli nawet zaczątki kopalni miedzi. Dodatkowo, klimat tutaj okazał się minimalnie chłodniejszy niż na Podstawowej, więc zimą miejscowa kopia Missisipi regularnie zamarzała – wspaniały spektakl, nawet jeśli co roku kilku lekkomyślnym zagrażał utratą życia.

Kiedy tu przybyli, Joshua był początkującym osadnikiem, nawet w porównaniu z młodziutką żoną i mimo swych wędrówek po Długiej Ziemi. Teraz jednak dał się poznać jako sprawny myśliwy, rzeźnik, mechanik – a ostatnio praktycznie również wytapiacz i kowal. Nie wspominając już o funkcji burmistrza, przynajmniej do następnych wyborów. Helen tymczasem była już doświadczoną akuszerką i znakomitą zielarką. Oczywiście, ciężko pracowali. Rodzina pionierów żyje bez dostępu do galerii handlowych, chleb zawsze wymaga upieczenia, szynki wędzenia, trzeba wytopić świece i uwarzyć piwo. Prawdę mówiąc, człowiek pracował tutaj bez przerwy. Ale ta praca dawała satysfakcję. I wypełniała teraz życie Joshuy.

Czasami tęsknił za samotnością. Za swoimi wakacjami, jak je nazywał. Za poczuciem otaczającej go pustki, kiedy był zupełnie sam na całym świecie. Za brakiem ucisku innych umysłów, ucisku, który dokuczał mu nawet tutaj, choć był zaledwie śladem tego, co czuł na Podstawowej. Oraz za tym niesamowitym wrażeniem… inności, którą nazywał Ciszą – sugestii ogromnych umysłów czy zbiorowisk umysłów, gdzieś daleko. Spotkał zresztą jeden z tych potężnych umysłów w postaci Pierwszej Osoby Pojedynczej. Ale wiedział, że jest ich więcej – słyszał je niczym gongi rozbrzmiewające w dalekich górach… Tak, to wszystko było już za nim. Tutaj znalazł coś o wiele cenniejszego: żonę, syna, może kiedyś drugie dziecko.

Dzisiaj starał się ignorować to, co dzieje się poza granicami miasteczka. W końcu niczego nie był Długiej Ziemi winien. Ratował ludzkie życie na wykrocznych światach w samym Dniu Przekroczenia, potem razem z Lobsangiem otworzyli połowę tych światów dla kolonizacji. Wykonał już swój obowiązek w tej nowej erze. Prawda?

Ale oto siedziała przed nim Sally, uosobienie przeszłości. I czekała na odpowiedź. Joshua na pewno nie udzieli jej w pośpiechu. Ogólnie biorąc, nie był szybkim mówcą. Często szukał ucieczki w powiedzeniu, że ten najwolniejszy bywa w końcu najszybszym.

Patrzyli na siebie.

Z ulgą przyjął powrót Helen, która postawiła na stole domowe piwo, burgery z mięsa hodowanych tu krów i chleb z domowego wypieku. Usiadła z nimi i zaczęła dość swobodną rozmowę, wypytując Sally o odwiedzane ostatnio światy. Kiedy skończyli jeść, zakrzątnęła się znowu, sprzątając talerze; po raz drugi odrzuciła ofertę pomocy.

I przez cały czas pod powierzchnią toczył się inny dialog – ponieważ każde małżeństwo ma swój prywatny język. Helen dobrze wiedziała, po co przybyła Sally, a po dziewięciu latach małżeństwa Joshua słyszał jej przeczucie nadchodzącego rozstania, jakby nadawała je przez radio.

Jeśli słyszała to też Sally, nie zwracała uwagi. Kiedy tylko Helen znów zostawiła ich samych, wróciła do tematu.

– Jak się domyślasz, to nie jest odosobniony przypadek.

– Co nie jest?

– Ta rzeź w Pionie.

– Koniec z pogawędkami, Sally, tak?

– Nie jest nawet najbardziej znany. Chcesz obejrzeć listę?

– Nie.

– Sam widzisz, co się tu dzieje, Joshuo. Na Długiej Ziemi ludzkość dostała drugą szansę. Nowy początek, ucieczkę z Podstawowej, ze świata, który całkiem spapraliśmy…

– Wiem, co chcesz powiedzieć. – Ponieważ mówiła to już miliony razy przy nim. – Że spaprzemy też naszą drugą szansę na Eden, zanim jeszcze wyschnie farba.

Ze stanowczym stuknięciem Helen postawiła na stole dużą salaterkę lodów. Sally patrzyła na nie jak pies, który stanął przed kością brontozaura.

– Robicie lody? Tutaj?

Helen usiadła.

– W zeszłym roku Joshua ostro popracował przy chłodni. To nie był bardzo trudny projekt, kiedy już się do tego zabrał. Trolle lubią lody. A zdarzają się tu gorące dni. Dobrze jest mieć coś takiego na wymianę z sąsiadami.

Joshua usłyszał podtekst, nawet jeśli Sally go nie wyczuła. Nie chodzi o lody. Chodzi o nasze życie. O to, co tutaj budujemy i w czym ty, Sally, nie masz żadnego udziału.

– Proszę, częstuj się. Robi się późno… Oczywiście będzie nam miło, jeśli zostaniesz na noc. Masz ochotę obejrzeć szkolne przedstawienie Dana?

Joshua dostrzegł na twarzy Sally wyraz czystej grozy.

– Nie bój się, nie będzie takie złe, jak sądzisz. Mamy bystre dzieciaki i rozsądnych, pomocnych rodziców. I dobrych nauczycieli… wiem dobrze, bo też takim jestem. Helen również.

– Edukacja lokalna?

– Tak. Koncentrujemy się na umiejętnościach praktycznych: metalurgii, ziołach leczniczych, całym zakresie użytecznych umiejętności, od obróbki krzemienia po produkcję szkła… – odparła Helen. – Ale to nie tylko sprawy pionierskie. Mamy bardzo wysokie standardy edukacyjne. Dzieci uczą się nawet greki.

– Pan Johansen, wędrowny nauczyciel, dwa razy w miesiącu przybywa tu z Walhalli – wyjaśnił Joshua. Z uśmiechem wskazał lody. – Jedz, póki zimne.

Sally nabrała sobie dużą porcję i pochłonęła ją błyskawicznie.

– Coś takiego… Pionierzy z lodami!

Joshua uznał, że powinien bronić swego domu.

– Przecież to nie musi wyglądać jak w karawanie Donnera…

– Jesteście też pionierami z telefonami komórkowymi, prawda?

Rzeczywiście, żyło im się łatwiej niż innym koloniom na Długiej Ziemi. Na tej Ziemi, Zachodniej 1 397 426, mieli nawet nawigację satelitarną – i tylko Joshua, Helen i jeszcze kilka osób wiedziało, dlaczego Korporacja Blacka ten konkretny świat wybrała do testowania prototypowej technologii, z małej przenośnej wyrzutni wystrzeliwując dwadzieścia cztery nanosatelity. Powiedzmy, że była to przysługa starego przyjaciela…

Wśród tych kilkorga innych osób była też Sally, oczywiście. Joshua spojrzał na nią.

– Daj spokój, Sally. Satelity i cała reszta są tutaj z mojego powodu. Wiem o tym. Moi przyjaciele też wiedzą.

Helen uśmiechnęła się szerzej.

– Jeden z inżynierów, który zjawił się tutaj, żeby coś tam naprawić, powiedział Joshui, że Korporacja Blacka uważa go za „cenną długoterminową inwestycję". O którą warto zadbać, jak przypuszczam. Warto zachować dobre stosunki poprzez drobne prezenty.

– To znaczy, że tak widzi cię Lobsang – prychnęła Sally. – Poniżające.

Joshua zignorował jej słowa, tak jak zwykle ignorował wszelkie wspomnienie tego konkretnego imienia.

– Poza tym wiem, że niektórzy ludzie ściągają tutaj ze względu na mnie.

– Sławnego Joshuę Valienté.

– Czemu nie? To dobrze, że nie musimy się reklamować, by zachęcić dobrych ludzi. A jeśli nie pasują, i tak w końcu odejdą.

Sally otworzyła usta, gotowa na kolejne ironiczne uwagi. Ale Helen wyraźnie miała już dosyć. Wstała.

– Sally, jeśli chcesz się odświeżyć, to pokój gościnny jest na końcu tego korytarza. Kurtyna idzie w górę za godzinę. Dan… to nasz syn, może go pamiętasz… jest już w sali ratusza i pomaga, inaczej mówiąc, rządzi się wśród innych dzieciaków. Jeśli chcesz, weź sobie trochę lodów na drogę. To tylko krótki spacer.

Joshua uśmiechnął się z przymusem.

– Tutaj wszędzie jest tylko krótki spacer.

Helen wyjrzała przez okno z szybą z zanieczyszczonego szkła.

– Zapowiada się piękny wieczór…

ROZDZIAŁ 3

Był to cudowny wiosenny wieczór.

Oczywiście, ten świat nie jest już dziewiczy, myślał Joshua, kiedy we troje szli w stronę ratusza, by obejrzeć szkolne przedstawienie. Widać było wycinki wgryzające się w puszczę przy brzegach rzeki, dymy z kuźni i warsztatów, przecinające las trakty, równe i proste. Mimo to jednak człowiek dostrzegał przede wszystkim główne elementy krajobrazu: zakole wykrocznej kopii Missisipi, mosty i leśne przestrzenie poza brzegami. Diabli Wiedzą Gdzie wyglądało jak jego macierzyste miasto – Hannibal w stanie Missouri – w dziewiętnastym wieku, może za czasów Marka Twaina. Za tę cenę była to perfekcja.

W tej chwili jednak perfekcyjne niebo psuła sylwetka wiszącego w powietrzu twaina.

Ładunki ze sterowca opuszczano na linach, skrzynia po skrzyni, bela po beli. W zapadającym zmierzchu powłoka lśniła niczym brąz i sterowiec wyglądał jak przybysz z innego świata, którym w pewnym sensie był. I chociaż lada chwila miało się zacząć przedstawienie, przed ratuszem wciąż kilkoro uczniów wpatrywało się w niebo – w większości chłopcy z zachwyconymi minami; chłopcy, którzy oddaliby wszystko, żeby kiedyś sterować twainem.

Twain jest symbolem wielu spraw, myślał Joshua. A zwłaszcza realności Długiej Ziemi.

Długa Ziemia… Całkiem nagle, dwadzieścia pięć lat temu, w Dniu Przekroczenia, ludzkość odkryła możliwość wejścia w nieskończony korytarz planet Ziemi, jedna za drugą, i dalej. A każda z nich była jak oryginał, mniej więcej, jeśli nie liczyć zaskakującego braku ludzkości i wszystkich jej dzieł. Każdy, kto chciał świata dla siebie, mógł go sobie znaleźć – pośród niezliczonych miliardów światów, o ile obowiązujące teorie były prawdą.

Niektórzy ludzie wobec takiej wizji kryli się w domach i ryglowali drzwi. Byli tacy, którzy robili to samo we własnych głowach. Ale inni rozkwitali. I dla tych ludzi, w osadach rozrzuconych po nowych światach, twainy pełniły coraz bardziej istotne funkcje.

Dawno temu Joshua i Lobsang wyruszyli w pionierską wyprawę badawczą na pokładzie „Marka Twaina" – prototypowego sterowca, pierwszego zdolnego do przekraczania statku, przenoszącego pasażerów i ładunki. Dziesięć lat później Douglas Black – z Korporacji Blacka, która zbudowała „Twaina", a także większościowy właściciel spółki zależnej wspierającej Lobsanga i rozmaite jego działania – ogłosił, że technologia będzie jego darem dla świata. Był to typowy gest Blacka, co wywołało liczne cyniczne komentarze na temat jego motywów, ale też zostało przez wszystkich powitane z wielką radością. Teraz, po dziesięciu latach, twainy stały się dla kolonistów na Długiej Ziemi tym, czym wozy typu Conestoga i Pony Express dla Dzikiego Zachodu. Twainy latały i latały, splatając ze sobą rozkwitające wykroczne światy… Same z siebie stymulowały rozwój nowych gałęzi przemysłu. Na przykład hel dla komór nośnych, rzadki na Ziemi Podstawowej, wydobywano teraz w wykrocznych kopiach Teksasu, Kansas i Oklahomy.

Obecnie nawet wiadomości rozchodziły się po Długiej Ziemi za pomocą flotylli sterowców. Rozwijał się rodzaj wieloświatowego internetu, zwanego outernetem. Na każdym mijanym świecie sterowce zrzucały do lokalnych węzłów pakiety aktualizacyjne, by potem popłynęły dalej na całą tę Ziemię, i ściągały czekającą pocztę i wiadomości. A kiedy spotykały się z dala od wielkiego szkieletowego szlaku Podstawowa-Walhalla, wykonywały „gam" – słowo odrodzone z dawnych czasów flot wielorybniczych – podczas którego wymieniały wieści i korespondencję. Wszystko to było mocno nieformalne, zresztą podobnie jak przed-Przekroczeniowy internet na Ziemi Podstawowej. A choć nieformalny, był jednak całkiem niezawodny – jeśli tylko wiadomość miała właściwy adres, znajdowała drogę do celu.

Oczywiście, w takich miejscach jak Diabli Wiedzą Gdzie niektórych ludzi oburzali ci intruzi; w ten czy inny sposób twainy były ramieniem rządu Podstawowej, ramieniem nie zawsze entuzjastycznie witanym w koloniach. Polityka administracji rządowej przez lata przesunęła się

z jednego końca skali na drugi, od wrogości czy nawet wykluczenia, aż do współpracy i objęcia legislacją. Obecne normy mówiły, że kiedy kolonia przekracza liczbę stu mieszkańców, powinna zgłosić swe istnienie rządowi federalnemu na Ziemi Podstawowej jako „oficjalna". Wkrótce potem trafiała na mapy i przybywały twainy, spływając z nieba, by dostarczać ludzi i inwentarz, surowce i opiekę medyczną – a zabierać wszystko to, co kolonia chciała eksportować i co lokalnymi połączeniami trafiało do wielkich wykrocznych węzłów transportowych, takich jak Walhalla.

Twainy przelatywały między dawnymi Stanami Zjednoczonymi i światami ich Egidy aż do Walhalli, prawie półtora miliona kroków od Podstawowej. Łączyły ze sobą Ameryki, uspokajająco sugerując, że wszyscy maszerują w tym samym rytmie. I to mimo faktu, że wielu mieszkańców wykrocznych światów nie wiedziało nawet, o jakim rytmie mowa i jaki dobosz go wybija, gdyż ich priorytetem byli oni sami i ich sąsiedzi. Podstawowa i jej reguły, polityka i podatki wydawały się coraz bardziej mglistą abstrakcją, niezależnie od twainów.

I w tej chwili dwoje ludzi przyglądało się podejrzliwie najnowszemu twainowi.

– Myślisz, że on tam jest? – spytała Sally.

– Przynajmniej jego iteracja – odparł Joshua. – Twainy nie mogą przekraczać, jeśli na pokładzie nie ma jakiejś sztucznej inteligencji. Znasz go przecież: jest wszystkimi iteracjami. Lubi być w miejscu akcji, a w tej chwili wszędzie jest miejsce akcji.

Mówili o Lobsangu, oczywiście. Nawet Joshua miałby kłopoty, tłumacząc, kim właściwie jest Lobsang. Albo czym. Wyobraźcie sobie boga w komputerze, w telefonie, w komputerach wszystkich ludzi. Wyobraźcie sobie kogoś, kto niemal sam jest Korporacją Blacka, z całą jej władzą, bogactwem i możliwościami. I kto – mimo tego wszystkiego – jest właściwie całkiem normalny i życzliwy ludziom. Aha, i kto czasami przeklina po tybetańsku…

– Nawiasem mówiąc – dodał Joshua – słyszałem, że ma też iterację, która w jakiejś sondzie kosmicznej całkiem opuszcza Układ Słoneczny. Znasz go, zawsze patrzy w dalszą przyszłość. I jego zdaniem nie istnieje coś takiego jak nadmiarowy backup.

– Czyli teraz może przetrwać nawet wybuch Słońca – stwierdziła kwaśno Sally. – Dobrze wiedzieć. Miałeś z nim ostatnio jakiś kontakt?

– Nie. Teraz nie. Od dziesięciu lat. Odkąd on sam, czy też ta jego wersja, która przebywa na Podstawowej, pozwolił odpalić w Madison plecakowy ładunek jądrowy. To było moje rodzinne miasto, Sally. Po co nam takie jaźnie jak Lobsang, jeśli nie potrafił tego powstrzymać? A jeśli potrafił, czemu tego nie zrobił?

Sally wzruszyła ramionami. Wtedy sama przekroczyła u jego boku w ruiny Madison. Najwyraźniej nie miała na to odpowiedzi.

Zauważył, że Helen idzie przed nimi i rozmawia z grupką sąsiadów, mając na twarzy coś, co Joshua – weteran dziewięciu lat małżeństwa – nazywał jej „uprzejmym" wyrazem. Odpowiednio zaniepokojony, przyspieszył kroku, by ją dogonić.

Miał wrażenie, że wszyscy poczuli ulgę, kiedy dotarli do ratusza. Sally przeczytała tytuł przedstawienia, wypisany ręcznie na przypiętym do ściany afiszu.

– *Zemsta Moby Dicka*? Chyba żartujecie.

Joshua nie zdołał ukryć uśmiechu.

– To całkiem dobra sztuka. Zaczekaj na ten kawałek, gdzie nielegalna japońska flota wielorybnicza dostaje, co się jej należy. Dzieciaki nauczyły się trochę po japońsku, tylko dla tej sceny. Chodźmy, mamy miejsca z przodu…

Przedstawienie rzeczywiście było udane, poczynając od sceny otwierającej, kiedy narrator w ceratowej kurtce z plamami soli stanął z przodu sceny i powiedział:

– Imię moje Izmael…

– Cześć, Izmaelu!

– Dobry wieczór, chłopcy i dziewczęta.

A zanim śpiewająca kałamarnica zakończyła trzeci bis numeru końcowego – *Harpuna miłości* – nawet Sally śmiała się głośno.

W popremierowym spotkaniu rodzice i dzieci krążyli po głównym holu. Sally została

z nimi, ściskając drinka. Jednak, jak zauważył Joshua, gdy spoglądała na rozmawiających dorosłych, jej twarz z wolna traciła pogodny wyraz.

Zaryzykował pytanie.

– O czym teraz myślisz?

– Wszystko jest takie… miłe…

– Nigdy nie ufałaś temu co miłe – zauważyła Helen. – Prawda, Sally?

– Nie mogę się pozbyć uczucia, że jesteście całkiem otwarci.

– Otwarci na co?

– Gdybym była cyniczna, zastanawiałabym się, czy prędzej czy później jakiś charyzmatyczny fiutek zdepcze to wasze marzenie o *Małym domku na prerii*. – Zerknęła na Helen. – Przepraszam, że przy twoich dzieciach powiedziałam „fiutek".

Ku zaskoczeniu Joshuy, i najwyraźniej także Sally, Helen wybuchnęła śmiechem.

– Nic się nie zmieniasz, Sally. Ale wiesz, żadne deptanie się nie zdarzy. Zdążyliśmy całkiem dobrze tu okrzepnąć. I fizycznie, i intelektualnie. Przede wszystkim nie uznajemy tu Boga. Większość rodziców w Diabli Wiedzą Gdzie to ateistyczni niewierzący, co najwyżej agnostycy; ludzie, którzy radzą sobie z własnym życiem, nie oczekując pomocy z góry. Nasze dzieci uczymy złotej zasady…

– Traktuj innych tak, jak chcesz być traktowany…

– To jedna z wersji. I podobnych życiowych prawd. Zgadzamy się ze sobą. Pracujemy razem. I uważam, że bardzo dobrze wychowujemy dzieci. Uczą się, bo staramy się, by to było zabawne. Widzisz młodego Michaela, tego chłopaka na wózku, o tam? To on napisał scenariusz tego przedstawienia, a piosenka Ahaba to w całości jego dzieło.

– Która? *Zamienię drugą nogę na twoje serce*?

– Właśnie ta. Ma dopiero siedemnaście lat i jeśli nie uzyska szansy, by rozwijać swoje talenty muzyczne, to nie ma sprawiedliwości.

Sally wyglądała na nietypowo zamyśloną.

– No cóż, z takimi ludźmi jak wy pewnie dostanie tę szansę.

Oczy Helen błysnęły.

– Kpisz sobie z nas?

Joshua w napięciu czekał na fajerwerki.

Ale Sally powiedziała tylko:

– Nie powtarzajcie nikomu, że to mówiłam. Ale zazdroszczę ci, Helen Valienté, z domu Green. W każdym razie trochę. Chociaż nie Joshuy. Nawiasem mówiąc, świetny drink. Co w nim jest?

– Rośnie tu takie drzewo, podobne do klonu… Jeśli chcesz, to ci pokażę. – Helen uniosła szklankę do toastu. – Twoje zdrowie, Sally.

– A czemu?

– Za to, że utrzymałaś Joshuę przy życiu dość długo, by zdążył mnie spotkać.

– Tak, to prawda.

– I jesteś naszym gościem, jak długo zechcesz. Ale… powiedz prawdę. Przybyłaś, żeby znowu go zabrać, tak?

Sally zajrzała do szklanki.

– Tak – przyznała spokojnie. – Przykro mi.

– Chodzi o trolle, tak? – upewnił się Joshua. – Sally, a co właściwie chcesz, żebym w tej sprawie zrobił?

– Włącz się w dyskusję o prawach zwierząt. Naświetl ostatnie przypadki, w Pionie, koło Szczeliny i inne. Postaraj się, żeby wdrożyli tam i wyegzekwowali jakąś formę ochrony trolli…

– Czyli mam wrócić na Podstawową.

Uśmiechnęła się.

– Zagraj jak Davy Crockett, Joshuo. Wyjdź z puszczy i idź do Kongresu. Jesteś jednym z nielicznych pionierów z Długiej Ziemi, którzy są jakoś znani na Podstawowej. Ty i jeszcze paru psychopatycznych zabójców.

– Dzięki.

– Pójdziesz?

Joshua zerknął na Helen.

– Zastanowię się.

Helen odwróciła wzrok.

– Chodź, musimy znaleźć Dana. Dość ma przeżyć na jeden wieczór. Trudno go będzie zagonić do spania.

Nocą Helen dwa razy musiała wstawać, nim Dan wreszcie zasnął spokojnie. Kiedy wróciła za drugim razem, szturchnęła Joshuę.

– Nie śpisz?

– Teraz już nie.

– Zastanawiałam się. Jeśli pójdziesz, Dan i ja zabierzemy się z tobą. Przynajmniej do Walhalli. Zresztą powinien chociaż raz w życiu zobaczyć Podstawową.

– Będzie zachwycony – wymruczał sennie Joshua.

– Nie kiedy się dowie, że planujemy posłać go do szkoły w Walhalli… – Chociaż przed Sally wychwalała lokalną edukację, jednak Helen chciałaby, żeby Dan przez jakiś czas pomieszkał w mieście. Mógłby poszerzyć krąg kontaktów i zyskać dość doświadczenia, by w przyszłości dokonywać świadomych wyborów. – Sally właściwie nie jest taka zła, kiedy nie udaje Annie Oakley.

– Na ogół chce dobrze – mruknął Joshua. – A jeśli nie chce, to cel jej gniewu zwykle na niego zasłużył.

– Wydajesz się… zamyślony.

Odwrócił się twarzą do niej.

– Sprawdziłem aktualizacje internetowe z twaina, Helen. Sally nie przesadzała z tymi przypadkami trolli.

Po omacku Helen znalazła i uścisnęła mu rękę.

– Wszystko było ustawione. Nie tylko Sally się tu zjawiła. Mam wrażenie, że twój szofer czeka na niebie.

– To przecież przypadek, że twain zjawił się właśnie teraz, prawda?

– Nie możesz zostawić całej tej sprawy Lobsangowi?

– To nie działa w ten sposób, skarbie. Lobsang tak nie działa. – Joshua ziewnął, pochylił się, pocałował ją i odwrócił się plecami. – Świetne przedstawienie, prawda?

Helen leżała nieruchomo. Sen nie nadchodził.

– Musisz pójść? – spytała po chwili.

Ale Joshua już chrapał.

ROZDZIAŁ 4

Joshua nie był zdziwiony, kiedy Sally nie zjawiła się na śniadaniu.

Ani wtedy, kiedy odkrył, że całkiem zniknęła. Taka już była. Pomyślał, że teraz jest już pewnie daleko stąd, gdzieś na rubieżach Długiej Ziemi. Rozejrzał się po domu, szukając śladów jej obecności. Podróżowała prawie bez bagażu i bardzo uważała, żeby nie zostawiać po sobie bałaganu. Przyszła, odeszła i wywróciła jego życie do góry nogami. Znowu.

Zostawiła karteczkę z jednym słowem: „Dziękuję".

Po śniadaniu poszedł do swojego biura w ratuszu, żeby przez kilka godzin popracować jako burmistrz. Ale cień tego twaina na niebie padał na jedyne okno gabinetu – stale odwracał uwagę i uniemożliwiał skupienie się na codziennych zajęciach.

Odkrył, że wpatruje się w duży plakat na ścianie – tak zwaną Deklarację Samarytanina, spisaną w gniewie przez jakiegoś pioniera przypartego do muru. Deklaracja jak wiral rozprzestrzeniła się przez outernet i została przyjęta przez tysiące powstających kolonii.

Drogi Żółtodziobie!

DOBRY SAMARYTANIN z definicji jest łagodny i wyrozumiały. Jednakże, w kontekście gorączki działek na Długiej Ziemi, DOBRY SAMARYTANIN żąda od ciebie:

1. Zanim opuścisz dom, dowiedz się czegoś o środowisku, do jakiego się kierujesz.

2. Kiedy będziesz na miejscu, słuchaj, co mają do powiedzenia goście, którzy już tam są.

3. Nie daj się oszukać mapom. Nawet Niskie Ziemie nie zostały dokładnie zbadane. Nie wiemy, co nas tam czeka. A jeśli my nie wiemy, ty na pewno też nie wiesz.

4. Używaj głowy. Podróżuj z przynajmniej jednym kumplem. Zabieraj radio, jeśli ma to sens. Uprzedź kogoś, dokąd wyruszasz. Takie rzeczy.

5. Nie zaniedbuj żadnego środka ostrożności, jeśli już nie dla własnego dobra, to pamiętając o tych biedakach, którzy to, co zostanie z twojej smętnej dupy, muszą zapakować do worka i ściągnąć do domu.

MOCNE słowa, ale konieczne. Długa Ziemia jest szczodra, ale nie pobłaża.

DZIĘKUJĘ za lekturę.

DOBRY SAMARYTANIN

Joshua lubił tę deklarację. Uważał, że jest odzwierciedleniem szczerego i pogodnego zdrowego rozsądku, typowego dla powstających na rubieżach Długiej Ziemi nowych społeczeństw. Nowe społeczeństwa, tak jest…

Ratusz był dumnie brzmiącą nazwą dla solidnego drewnianego budynku, mieszczącego wszystko co niezbędne dla zaspokojenia administracyjnych potrzeb osady. Dzisiaj, po wczorajszym szkolnym przedstawieniu, panował tu pewien bałagan. Ale ratusz spełniał swoje funkcje, więc marmury mogły poczekać.

Oczywiście, w przeciwieństwie do podobnych budowli w Ameryce Podstawowej, nie stał przed nim żaden pomnik – żadna zabytkowa armata z wojny secesyjnej, żadne mosiężne tablice z nazwiskami poległych. Kiedy rozrastające się kolonie rejestrowały się w administracji federalnej, by uzyskać połączenia twainowe, rząd federalny proponował coś w rodzaju zestawu pomnikowego, by scementować przyszłą społeczność z historią Ameryki. Mieszkańcy Diabli Wiedzą Gdzie zrezygnowali z tego – z wielu powodów, często sięgających aż do przeżyć ich dziadków w Woodstock albo na uniwersytecie Penn State. Nikt jeszcze nie przelewał krwi za tę ziemię, tłumaczyli – poza Hamishem, kiedy spadł z zegara na ratuszu, i oczywiście ofiarami ataków komarów. Więc po co pomniki?

Joshuę początkowo zaskoczyła zaciekłość kolonistów w tej kwestii, ale zdążył rozważyć ją

ze zwykłą dla siebie cierpliwością. Doszedł do wniosku, że wszystko to wiąże się z tożsamością. Wystarczy spojrzeć na historię. Ojcowie założyciele Stanów Zjednoczonych byli w większości Anglikami, aż do chwili, kiedy sobie uświadomili, że nie muszą nimi być. Ludzie z Diabli Wiedzą Gdzie normalnie ciągle myśleli o sobie jako o Amerykanach. Ale zaczynali już odczuwać, że więcej niż z Podstawową łączy ich z sąsiadami z tego świata – garstką kolonii w wykrocznych kopiach Europy i Afryki, a nawet Chin; porozumiewali się z nimi przez krótkofalówki. Joshua z zaciekawieniem obserwował, jak przesuwa się poczucie tożsamości.

A tymczasem relacje z Ameryką Podstawową stawały się coraz bardziej napięte. Przepychanki trwały już od lat. W sensie prawnym, parę lat temu prezydent Cowley i jego administracja uświadomili sobie – kiedy już Cowleyowi udało się pozbawić kolonistów wszystkich praw i pomocy – że w praktyce traci znaczące kwoty z podatków od handlu, który kwitnie między rozmaitymi społecznościami z Długiej Ziemi, a także między odległymi światami a Niskimi Ziemiami i Podstawową. Cowley zadeklarował więc, że kto znajduje się pod Egidą USA – to znaczy żyje w cieniu, jaki obszar Stanów Zjednoczonych rzuca na wszystkie wykroczne światy, aż do nieskończoności, na wschodzie i zachodzie – jest de facto obywatelem tego państwa, zobowiązanym do płacenia amerykańskich podatków.

To wywołało oburzenie. Podatki? Podatki od czego? I w jaki sposób płacone? Duża część lokalnej wymiany odbywała się metodą barterową, niekiedy z użyciem lokalnej waluty, a nawet dotyczyła rzeczy niemierzalnych: przysługa za przysługę. Dolary i centy wchodziły do gry dopiero w wymianie z Niskimi Ziemiami. Wielu płatników miało problemy z uzbieraniem dostatecznej ilości waluty, by wypełnić obowiązki podatkowe. A nawet wtedy, co właściwie te podatki dawały? Kolonistom nie brakowało pożywienia, świeżej wody, czystego powietrza i wolnych terenów – mieli mnóstwo ziemi. Co do produktów technicznie zaawansowanych, jeszcze dziesięć lat temu człowiek musiał wracać do domu, żeby wszystko kupować u Wuja Sama; wtedy potrzebował dolarów, żeby za to płacić. Ale teraz? Teraz w samym Diabli Wiedzą Gdzie mieli już piękną nową klinikę, a w Krzywym Szczycie, kawałek dalej w dole rzeki mieszkał weterynarz, który miał szybkiego konia, partnera i ucznia. A gdyby ktoś tęsknił za wielkim miastem, to Walhalla wyrastała w Wysokich Meggerach na prawdziwą metropolię, ze wszystkimi osiągnięciami kulturalnymi i technicznymi, o jakich człowiek mógł zamarzyć.

Kolonistom coraz trudniej przychodziło zrozumienie, po co im w ogóle rząd z Podstawowej – a zatem co właściwie kupują za swoje podatki, regularnie ścinane z dochodów za dostawy surowców przewożonych na Ziemię Podstawową w niekończących się karawanach twainów. Nawet tutaj, w czystym i cywilizowanym miasteczku, z daleka od think tanków Walhalli – gdzie działali ludzie podobni do Jacka Greena, ojca Helen – też zdarzali się chętni do odcięcia wszelkich więzów łączących ich z dawnymi Stanami Zjednoczonymi.

A tymczasem Joshua wyczuwał, że również z drugiej strony kończy się okres relatywnego spokoju. W stosunku rządu Podstawowej do nowych kolonii coraz częściej pojawiały się nieprzyjemne nuty. W Podstawowych Stanach Zjednoczonych dało się słyszeć opinie, że koloniści są w jakimś sensie pasożytami, choć ich pozostawione w domu aktywa już dawno zostały zlikwidowane. Wszystko to wiązało się zapewne z walką prezydenta o drugą kadencję. Kiedy Cowley pierwszy raz starał się o Biały Dom, musiał przejść w stronę centrum – co było koniecznością po wydarzeniach w Madison, gdy duża część populacji uratowała się przed atakiem atomowym, przekraczając z punktu zero do sąsiednich światów. Teraz komentatorzy sugerowali, że znowu powraca do swej oryginalnej bazy wyborczej – do zjadliwie antywykrocznego ruchu Najpierw Ludzkość. Stany Zjednoczone od dawna były przyzwyczajone do podejrzliwości wobec każdego innego państwa na planecie, a teraz zaczynały podejrzewać same siebie.

Joshua westchnął, spoglądając w słoneczne niebo za oknem. Jak daleko ta sprawa może się posunąć? Wiadomo było, że Cowley organizuje jakieś oparte na twainach siły zbrojne, zdolne do działań na Długiej Ziemi. Przez outernet przesączały się też groźniejsze pogłoski, a może dezinformacje, o planowanych ostrzejszych działaniach. Czy może dojść do wojny? W przeszłości wszystkie wojny toczyły się o ziemie i bogactwa, w takim czy innym sensie. Wobec dosłownie nieskończonych bogactw Długiej Ziemi przestały istnieć powody do wojen. To

chyba oczywiste… ale czy naprawdę? Znane są precedensy, kiedy to represyjna polityka podatkowa i inne działania rządu centralnego prowadziły do starań kolonii o niepodległość…

Długa Wojna?

Zerknął za okno. Twain wciąż tajemniczo wisiał nad miastem. Czekał, by go stąd zabrać, by go znowu włączyć w bieg spraw szerokiego świata.

Joshua wyszedł z gabinetu, żeby poszukać Billa Chambersa, sekretarza rady, księgowego, znakomitego myśliwego, świetnego kucharza i niezwykle sprawnego kłamcę. Ta ostatnia umiejętność powodowała niejakie wątpliwości w kwestii jego twierdzenia, że jest dalekim potomkiem dziedziców zamku Blarney w Irlandii.

Bill był mniej więcej w wieku Joshuy i był jego kumplem w Domu, o ile taki odludek jak Joshua w ogóle mógł mieć jakichś kumpli. Parę lat temu, kiedy zjawił się w Diabli Wiedzą Gdzie, Joshua powitał go z otwartymi ramionami, bo po powrocie z Wyprawy odkrył, że stał się sławny – Lobsang i Sally wycofali się, pozostawiając go samego w świetle reflektorów. Od tego czasu coraz częściej szukał towarzystwa ludzi, którzy znali go, zanim został „gwiazdą” – zachowywali większą rezerwę i zwykle niczego od niego nie żądali.

W pewnym sensie Bill prawie się nie zmienił. Miał irlandzkie pochodzenie, co lubił rozgrywać, kiedy zdarzyła się okazja. Do tego pił o wiele więcej niż jako nastolatek. A raczej: jeszcze więcej.

W tej chwili Bill zmierzał w stronę tartaku. Zauważył Joshuę.

– Czółko, burmistrzu.

– Cześć, Bill. Posłuchaj… – Joshua opowiedział mu o konieczności odlotu na Ziemię Podstawową. – Helen upiera się, że poleci ze mną i zabierze Dana. Ale przydałoby mi się jakieś wsparcie.

– Podstawowa, tak? Pełna oprychów, bandziorów i innych ciemnych typów? Jasne, zawsze do usług.

– Czy Morningtide cię puści?

– W tej chwili jest zajęta, robi łój na świece. Później zapytam. – Chrząknął, co było u niego najlepszym przybliżeniem delikatności. – Wiesz, jest jeszcze kwestia kosztów…

Joshua uniósł wzrok ku czekającemu twainowi.

– Mam przeczucie, że żaden z nas nie musi płacić za ten przelot.

Bill gwizdnął z uznaniem.

– No to ładnie. W takim razie zarezerwuję dla nas najlepsze kabiny, jakie znajdę. A czy tobie Helen podpisała już zgodę na wylot?

Joshua westchnął. Kolejna burzliwa scena czekająca go w najbliższym czasie.

– Załatwię to, Bill. Załatwię.

Przeszli kawałek razem.

– Przy okazji, jak wyszło to przedstawienie twojego chłopaka?

– Przeskoczył rekina.

– Aż tak źle?

– Nie, kapitan Ahab naprawdę przeskoczył rekina. Wielka scena w drugim akcie. Niezły wyczyn na jednej narcie wodnej…

ROZDZIAŁ 5

Helen Valienté, z domu Green, dobrze pamiętała moment, kiedy relacje między Podstawową i jej daleko żyjącymi dziećmi popsuły się po raz pierwszy.

Była wtedy nastolatką i mieszkała w Restarcie, na Ziemi Zachodniej 101 754. W tych latach prowadziła dziennik, opisując w nim dzieciństwo w Madison Podstawowym, pobyt w Madison Zachodnim 5, a potem wędrówkę całej rodziny przez sto tysięcy światów, by na pustej Ziemi stworzyć nową kolonię. Sami ją zbudowali, mając na początku tylko własne ręce, umysły i serca. W nagrodę za to Ameryka Podstawowa – a wciąż myśleli o sobie jako o Amerykanach – ich odepchnęła. Kiedy teraz wspominała ten czas, to właśnie był kluczowy moment – bardziej nawet niż choroba mamy – kiedy ojciec Helen, łagodny i delikatny Jack Green, zakończył swą wewnętrzną podróż od wykształconego na Podstawowej programisty, poprzez twardego kolonistę, do rewolucyjnego, radykalnego myśliciela.

Dwanaście lat temu. Miała wtedy piętnaście…

Kryzys. Wciąż młode miasteczko Restart rozpadło się na skłócone grupy. Niektórzy odeszli, by zacząć jeszcze raz, na własną rękę. Inni wrócili do osady na Sto K, by zaczekać, aż uformuje się kompania do podróży z powrotem na Ziemię Podstawową. Co najgorsze dla Helen, tato przestał rozmawiać z mamą, chociaż była chora.

Wszystko to była wina rządu. Wszyscy dostali list, każde gospodarstwo; dostarczył je zawstydzony listonosz Bill Lovell. Sam Bill został już wyrzucony z pracy przez Pocztę USA, ale powiedział, że będzie roznosił przesyłki, dopóki buty wytrzymają. Ludzie obiecali w zamian go żywić.

List był od rządu federalnego. Informował, że pozostawione na Ziemi Podstawowej aktywa obywateli, zamieszkujących na stałe poza Ziemią 20, Wschodnią czy Zachodnią, będą zamrożone, a w efekcie skonfiskowane.

Mama leżała chora, więc tato musiał wytłumaczyć Helen wszystkie trudne słowa, jak „aktywa" czy „skonfiskowane". Najkrócej mówiąc, oznaczało to, że wszystkie pieniądze, jakie zarobili mama i tato, zanim spakowali się i wyruszyli na Długą Ziemię, wszystko, co zostawili w bankach i różnych funduszach na Ziemi, by płacić na przykład za leki na raka dla mamy, utrzymanie zostawionego w domu brata Roda i za studia dla Helen i jej siostry Katie, gdyby kiedyś chciały studiować – wszystko to ukradł im rząd. Ukradł. Takiego słowa użył tato i Helen nie wydawało się wcale za ostre.

Tato mówił, że gospodarka na Ziemi silnie ucierpiała wskutek przekraczania. To było widoczne, zanim jeszcze Greenowie wyruszyli. Mnóstwo ludzi zniknęło gdzieś na Długiej Ziemi, więc mocno zmniejszyły się zasoby siły roboczej, a tylko niewielki strumyczek surowców popłynął w drugą stronę. Ci, którzy pozostali, wściekali się, że muszą pomagać tym unikającym pracy włóczęgom, za jakich uważali pionierów. Byli też tacy, którzy w ogóle nie mogli przekraczać i zaczęli okazywać niechęć tym, którzy mogli. Tacy ludzie jak Rod, oczywiście, jej „sam w domu" nieprzekraczający brat. Często się zastanawiała, co on czuje.

– Domyślam się – stwierdził tato – że dokonując tej kradzieży, rząd stara się przypodobać antykrokowemu lobby. I uważam, że odpowiada za to ten krzykacz Cowley.

– Co możemy zrobić?

– Zwołamy zebranie w miejskim holu. Tyle możemy zrobić.

Wtedy jeszcze nie mieli miejskiego holu. Mieli tylko pole komunalne, oczyszczone z drzew, pni i kamieni – i nazywali je holem. Tam właśnie się zebrali. Dobrze, że nie pada, uznała Helen.

Reese Henry, niegdyś sprzedawca używanych samochodów, obecnie pełniący funkcję zbliżoną do burmistrza, przewodniczył w swym zwykłym, dyktatorskim stylu. Podniósł w górę list.

– Co mamy zamiar zrobić?

Na pewno nie mieli zamiaru się z tym godzić. Dużo się mówiło o stworzeniu masowej karawany i marszu na Waszyngton Podstawowy. Ale kto by wtedy karmił kury?

Postanowili spisać wszystkie produkty, jakie wciąż importowali z Ziemi Podstawowej. Przede wszystkim leki. Książki, papier, długopisy, gadżety elektroniczne, a także luksusowe drobiazgi jak perfumy. Dzieląc się nimi, wymieniając i naprawiając, uda im się pewnie przetrwać, dopóki sytuacja się nie uspokoi. Pojawił się pomysł wspólnej akcji z sąsiadami – rozciągniętą na kilkanaście światów grupę pobliskich osad już określali „hrabstwem Nowe Scarsdale". Mogliby sobie pomagać w przypadku niedoborów czy nagłych zagrożeń.

Niektórzy mówili o powrocie: matka z diabetycznym dzieckiem, ludzie, którzy odkryli, że podeszły wiek nie współgra z ciężką pracą na farmie. I kilka osób, które czuły się wystraszone bez wsparcia rządu, jakkolwiek byłby daleki. Inni jednak, tacy jak ojciec Helen, namawiali, by nikt nie odchodził. Wszyscy tutaj wspierali się nawzajem. Posiadali cały zakres umiejętności, które łącznie pozwalały im przetrwać, jeśli tylko będą pracować wspólnie. Nie mogą pozwolić, by zbudowana z trudem społeczność teraz się rozpadła. I tak dalej.

Reese Henry przeczekał – nastroje wzburzyły się i potem uspokoiły. Ludzie rozeszli się, nie podejmując żadnych decyzji.

Następnego ranka słońce wzeszło zgodnie z rozkładem, trzeba było nakarmić kury, przynieść wody ze studni i życie jakoś toczyło się dalej.

Trzy miesiące później:

Katie, siostra Helen, przyspieszyła swój ślub. Ona i Harry Bergreen chcieli zaczekać do przyszłego roku, licząc na tradycyjną wspólną budowę domu. Wszyscy wiedzieli, że pobierają się teraz, żeby mama zdążyła to zobaczyć.

Helen była jeszcze nastolatką i marzyła o ślubie księżniczki z bajki. Tego dnia jednak zobaczyła ślub pionierów – trochę inny, ale radosny. Goście zaczęli przybywać wcześnie, ale Katie, Harry i ich rodziny witały ich serdecznie. Państwo młodzi nosili nieformalne ubrania – żadnych białych sukni ani fraków, choć Katie miała niewielki śliczny welon, który Helen zrobiła z podszewki starego kombinezonu.

Czas upływał i zaczęli się zjawiać ludzie spoza Restartu, przyjaciele i znajomi z takich kolonii jak Nowe Scarsdale i jeszcze dalszych. Goście przynosili prezenty – kwiaty i jedzenie na uroczystość oraz rzeczy praktyczne: sztućce, garnki, talerze, czajniki, kociołki, patelnie, zestaw narzędzi do kominka, skrobaczkę do butów… Niektóre, jak garnki z kół garncarskich Restartu czy wyroby żelazne wykute w restartowych kuźniach, były wytworzone na miejscu. Zebrane przed wielkim paleniskiem u Greenów nie wyglądały imponująco, ale Helen szybko zrozumiała, że to praktycznie wszystko, co młodej parze trzeba do wyposażenia pierwszego własnego domu.

Koło południa przybył Reese Henry. Miał na sobie rozsądnie elegancką marynarkę, czyste dżinsy i buty oraz spięty klamrą rzemyk zamiast krawata. Porządnie się na tę okazję wyszorował. Helen wiedziała, że nikt w Restarcie nie traktuje „burmistrza Henry'ego" tak poważnie, jak on sam siebie traktuje. Mimo to jednak w każdej społeczności potrzebny jest ktoś mający władzę, by sformalizować małżeństwo – władzę nadaną mu przez jakiś daleki rząd albo nie – a Henry dobrze grał tę rolę. No i miał wspaniałe włosy.

A kiedy chwilę po południu Harry Bergreen pocałował żonę i wszyscy zaczęli klaskać, a matka panny młodej trzymała się ramienia męża, żeby ustać podczas zdjęć, nawet listonosz Bill miał łzy w oczach.

To był dobry dzień, jak zapisała Helen w dzienniku.

I trzy miesiące później:

„2 dzc. Betty Doak Hansen. Zdr norm 3200. Mat. osłab. konczne szwy i krew…".

Helen była zmęczona. Zbyt zmęczona, by robić notatki tym przeklętym kodem, choć naprawdę musieli teraz oszczędzać papier. Ostatni poród nie był taki trudny, bywało gorzej. Belle

Doak i jej niewielki zespół akuszerek i pomocnic, w tym Helen, były całkiem kompetentne. Chociaż rankiem niewiele już brakowało. Helen musiała biegać po mieście i szukać dawców krwi. Wszyscy tu byli chodzącymi bankami krwi, działającymi dla dobra sąsiadów. Ale nie zawsze udawało się zdobyć tę krew dostatecznie szybko… Trzeba zapamiętać, pomyślała: warto ułożyć jakąś sensowną listę grup krwi i chętnych dawców.

Tato wyszedł wczesnym rankiem, zaraz po jej powrocie. Pewnie poszedł na grób mamy, pod kamień przy rzece. Mama zawsze lubiła to miejsce. Minął już miesiąc od jej śmierci. Tatę dręczyły z tego powodu wyrzuty sumienia, jakby to wszystko stało się z jego winy, przez to, że ją tu sprowadził. Oczywisty nonsens – Helen pamiętała, że to mama zawsze namawiała do opuszczenia Ziemi Podstawowej.

Ponad pół roku temu rząd federalny odciął się od nich wszystkich. Niech to, pomyślała Helen; wciąż tu jesteśmy, kto by się spodziewał?

Musieli szybko się uczyć. Nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo są uzależnieni od rozmaitych elementów ze starego kraju. Teraz sami robili wszystko! Dziergali, warzyli piwo, lali świece, produkowali mydło. Całkiem dobry ocet dało się uzyskać z łupin dyni, pastę do zębów – z mielonego węgla drzewnego. Bardzo pomogło, kiedy zjawił się Bill Lovell mający na sprzedaż swój najnowszy produkt – zminiaturyzowany zestaw encyklopedii i egzemplarze „Scientific American" sprzed lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku, pełne wielkich przekrojów maszyn parowych i praktycznych porad w całej masie tematów. Musieli nawet przemyśleć, co uprawiać na polach i w ogrodach, bo wyczerpały się zapasy witamin w tabletkach i zdarzyło się nawet kilka przypadków szkorbutu. Szkorbutu!

Pomagali sobie nawzajem: naniosę ci wody, kiedy twoje maluchy chorują, a ty nakarmisz u mnie drób, kiedy ja będę w polu. Każda czynność miała coś w rodzaju niepisanej ceny, zapisywanej jako „przysługi" – luźno określonej waluty opartej na wymianie, pracy i promesach. Mama pewnie byłaby zachwycona teorią takiej samoorganizującej się ekonomii lokalnej.

Mimo groźnie czasem brzmiących ostrzeżeń przed tym, co nastąpi, kiedy zniknie teoretyczna ochrona rządu z Podstawowej, nie zalały ich armie bandytów. Owszem, zdarzały się problemy, na przykład fale „nowych" kolonistów, którzy przybywali z Podstawowej albo Niskich Ziemi i chcieli się osiedlić na terenach Restartu. Prawnie sytuacja wyglądała dość niejasno, ponieważ wszelkie akta własności i nadania zarejestrowane były w agendach rządu federalnego z Podstawowej, a ten rząd przestał się nimi interesować. Na szczęście burmistrz w Nowym Scarsdale potrafił jakoś przekupić nowo przybyłych, podpisując rozmaite papiery, przyznające im ziemie o pięćdziesiąt czy sto światów na zachód – układ posmarowany jeszcze garścią voucherów na drinki w gospodzie. Zawsze było dość miejsca, tyle miejsca, że prawie każdy problem dawał się jakoś rozwiązać.

Oczywiście, stale zdarzały się kradzieże żywności z pól, a nawet – w erze przekraczania – z domów. Zwykle człowiek przymykał oko. Sytuacja stała się poważniejsza, gdy pewnego chłopaka, niejakiego Douga Collinsona, przyłapano na gorącym uczynku podbierania beta-blokerów z apteczki Melissy Harris; przyjmowała je w związku z lekką wadą serca. Doug nie potrzebował leków dla siebie, zamierzał je sprzedać w jakiejś innej osadzie. W każdym razie Melissa złapała go i miała dość przytomności umysłu, żeby machnąć laską i rozbić jego kroker, więc nie uciekł, zanim przybiegli sąsiedzi. W tej chwili Doug siedział w areszcie, to znaczy w czyjejś piwnicy, a dorośli naradzali się, co z tym zrobić.

Powoli, z konieczności reagowania na takie wypadki, kształtowały się zasadnicze ramy systemu prawa i porządku, w ostatecznym efekcie prowadzące do czegoś w rodzaju sądu, wspólnego ze społecznościami sąsiadujących światów, takimi jak Nowe Scarsdale.

Helen powoli tworzyła też zasadnicze ramy dla własnego życia. Tato ciągle jej przypominał, że ma już szesnaście lat i powinna znaleźć sobie własną ścieżkę. Bardzo dobrze. Była niezłą akuszerką, myślała też o specjalizowaniu się w lecznictwie, ziołach i tak dalej. Na Ziemi Zachodniej 101 754 rosło wiele roślin i grzybów nieznanych z Podstawowej. Helen mogła zostać wędrowną zielarką, może nauczycielką czy guru, sprzedającą swą wiedzę i towary na licznych światach. Albo nie.

Uważała, że w końcu znajdzie dla siebie drogę.

Nie żyli w raju. Długa Ziemia była wielkim obszarem, gdzie człowiek mógł się poczuć zagubiony, ale też mógł się naprawdę zagubić. Może cała ta przestrzeń była ostatecznym darem dla ludzkości; miejscem, gdzie każdy może żyć tak, jak mu się podoba. Helen uznała, że odpowiada jej ten spokojny kompromis, do jakiego z wolna dochodzili w Restarcie.

A niedługo potem zjawił się Joshua Valienté powracający z dalekiego wykrocznego zachodu. Ciągnął za sobą uszkodzony sterowiec i aurę romantyzmu Wysokich Meggerów. I tak, miał u boku Sally Linsay. Dla Helen, wtedy siedemnastoletniej, świat nagle stanął na głowie. Wkrótce potem odeszła z Joshuą, wyszła za niego i teraz wspólnie budowali nową i młodą społeczność.

Tymczasem rząd z Podstawowej znowu wyciągnął rękę do rozrzuconych kolonii i objął je swoją Egidą. Nagle wszyscy musieli płacić podatki. Jack Green, rozwścieczony już listem i wcześniejszym odcięciem, rozzłościł się jeszcze bardziej… Zdaniem Helen, po śmierci mamy pustkę w swym życiu starał się wypełnić polityką.

A potem nagle Sally zjawiła się znowu i znowu Joshua był gdzieś potrzebny.

W noc przed ich planowanym odlotem twainem do Walhalli, kiedy spakowali już wszystko, Helen nie mogła zasnąć. Wyszła na werandę, w noc całkiem ciepłą jak na marzec na tej chłodnej Ziemi. Patrzyła na twaina, wciąż zakotwiczonego nad miastem, ze światłami pozycyjnymi jarzącymi się niczym model galaktyki.

– Weseli byliśmy i mądrzy, i bardzo jeszcze młodzi… – wymruczała.

Tam znalazł ją Joshua. Objął ją i musnął wargami jej szyję.

– Co to było, skarbie?

– Stary wiersz. Autorstwa wiktoriańskiej poetki, Mary Elizabeth Coleridge. Przedwczoraj pomagałam Bobowi Johansenowi uczyć go ósmoklasistów. *Weseli byliśmy i mądrzy, i bardzo jeszcze młodzi./Nasza uczta czekała za drzwiami,/Gdy nas kobieta minęła ze wzrokiem tkwiącym w zachodzie/I mężczyzna, co miał wschód za plecami*. Przejmujący, prawda?

– Nie zgubisz mnie ani na wschodzie, ani na zachodzie. Obiecuję.

Odkryła, że nie potrafi mu odpowiedzieć.

ROZDZIAŁ 6

Nelson Azikiwe – czy też wielebny Nelson, jak nazywali go wierni w kościele, albo po prostu pastor, jak zwracali się do niego w pubie – patrzył, jak pasterz Ken przerzuca sobie przez ramię kotną owcę. Dla Nelsona była to demonstracja niezwykłej siły; owce Kena nie należały do lekkich. Pasterz zrobił kilka kroków w stronę żywopłotu… i jeszcze jeden… i zniknął.

Pojawił się po kilku sekundach i wytarł ręce w niezbyt czysty ręcznik.

– Na razie wystarczy – stwierdził. – Ciągle jest tam parę wilków, które jeszcze nie załapały, o co chodzi. Poproszę Teda, żeby pociągnął mi jeszcze z tysiąc metrów elektrycznego ogrodzenia. Może pan zajrzy, pastorze. Zdziwi się pan, ile już zrobiliśmy. To tylko krok stąd.

Nelson się zawahał. Nie znosił mdłości, które przychodziły po przekroczeniu. Podobno z czasem człowiek nie zwracał na nie uwagi – może i tak, niektórzy, ale dla Nelsona każde przekroczenie stanowiło pokutę. Jednak warto było dbać o stosunki dobrosąsiedzkie. Zresztą minęło już sporo czasu od śniadania, więc może zniesie jakoś parę skurczów żołądka.

Znalazł palcami przełącznik krokera w kieszeni, drugą ręką przycisnął do ust chusteczkę…

Kiedy doszedł do siebie – w tej Anglii o krok od domu – pierwszą rzeczą, jaką zauważył, nie była skrupulatnie oczyszczona i porośnięta trawą łąka pod stopami, ale drzewa puszczy za kamiennym murkiem Kena. Wielkie drzewa, stare drzewa, olbrzymy. Niektóre padły, a ich pnie pokryły kolorowe mchy i grzyby. Dla kapłana te powalone kłody mogłyby posłużyć za metaforę dla jakiegoś motywującego kazania o próżności wielkich ambicji. Ale Nelson, dobiegający już pięćdziesiątki, nie planował długo pozostać kapłanem.

Światło wydawało się nieco bardziej złociste niż przed przekroczeniem, a słońce było w miejscu odpowiednim dla tego marcowego dnia… mniej więcej. Czas na rozmaitych Ziemiach płynął chyba w tym samym tempie, wydarzenia definiujące kalendarz – wschody i zachody słońca, pory roku – wydawały się zsynchronizowane pomiędzy poszczególnymi światami. Jednak według zeszłotygodniowej „Nature" niektóre z nowych Ziemi nie pojawiały się dokładnie w tym samym momencie, niekiedy o ułamek sekundy wyprzedzając albo pozostając w tyle za sąsiadami, co dało się wykazać metodą bardzo precyzyjnych obserwacji astronomicznych takich zjawisk jak okultacja gwiazd przez Księżyc. Odchylenia były minimalne, ale były. Nelson nie potrafił wymyślić rozsądnego wyjaśnienia tego faktu. Nikt nie wiedział, w jaki sposób i czemu zdarza się ten fenomen, a jednak jak dotąd nikt go naprawdę nie badał. Była to jedna z całej masy łamigłówek, jakich dostarczały nowe światy. Światy niezwykłe i szokujące…

Rzeczywiście, przestał myśleć jak kapłan, a powrócił – być może wstydliwie – do swego stanu podstawowego: naukowca. Ale przecież ludzie na całym świecie – w tym niektórzy z jego własnej trzódki – od ćwierć wieku porzucali swe domy, pakowali dzieciaki i wynosili się do tego łańcucha światów, który nazywali Długą Ziemią. I mimo to nikt nie wiedział, jak ona działa nawet na najbardziej podstawowym poziomie przepływu czasu. Ani tego, skąd się te wszystkie światy wzięły… A tym bardziej po co istniały. Jak kapłan powinien na to wszystko reagować?

I to stało się – przynajmniej pośrednio – przyczyną myślowego wzburzenia Nelsona.

Na szczęście dla kóz, kotnych owiec oraz Joy, młodej suki owczarka, którą Ken tresował, one nie przewracały się w bezsenne noce, myśląc o takich sprawach. Owce spokojnie zaczęły szczypać trawę, a kozy pochłaniać prawie wszystko inne. Pasterz Ken opowiadał mu, że dla takich jak on cały ten układ z Długą Ziemią sprawdzał się idealnie. W Anglii Zachodniej i Wschodniej 1 i 2 farmerzy karczowali lasy na skalę niewidzianą od epoki kamiennej. I musieli się tego nauczyć. Przede wszystkim należało ściąć dużo drzew, pamiętając, by dobrze wykorzystać drewno, a potem wypuścić zwierzęta – hodowane tutaj albo przenoszone kolejno z Ziemi Podstawowej. Każdy świeży pęd musiał paść pod atakami owiec i kóz, a to nie pozwalało na powrót lasu. Z czasem pojawiała się trawa. Chytra jest taka trawa, mawiał Ken: rośnie dzięki temu, że jest

wyjadana do samego gruntu.

Nelson nie docenił Kena, kiedy pierwszy raz zobaczył tego opalonego, szorstkiego, dość małomównego mężczyznę, którego przodkowie żyli na tych wzgórzach od czasów, kiedy pojawiło się coś takiego jak przodkowie. Tylko przypadkiem odkrył, że Ken wykładał na Uniwersytecie w Bath, a po Dniu Przekroczenia jak wielu innych przewartościował swoje życie i swoją przyszłość – w jego przypadku okazały się one farmą o jeden krok od Podstawowej.

W pewnym sensie Ken był typowym przykładem Brytyjczyka. Początkowe spotkania z Długą Ziemią okazały się dla ich kraju bolesne – jak wczesny exodus z zatłoczonych wysp, zwłaszcza zanieczyszczonych miast przemysłowych Walii i Szkocji – regionów izolowanych od spokojnego i zadowolonego z siebie miasta-państwa, jakim stał się Londyn. Gwałtowny spadek liczby mieszkańców doprowadził do kryzysu gospodarczego, a nawet, na krótko, załamania waluty. Nazywali to Wielkim Wypadem.

Ale potem te wykroczne Brytanie zaczęły same rozwijać się gospodarczo. Nastąpiła druga fala emigracji, ostrożniejsza, bardziej uparta i pracowita. Na Niskich Ziemiach trwała nowa rewolucja przemysłowo-techniczna, a Brytyjczycy najwyraźniej mieli w genach budowanie maszyn parowych i torów. Część z trudem zdobytego bogactwa zaczynała już przepływać z powrotem na Podstawową.

Na dłuższą metę w swej eksploracji i kolonizacji Długiej Ziemi Brytyjczycy okazali się metodyczni, cierpliwi, staranni – i w ostatecznym rachunku odnosili sukcesy. Jak Ken.

Teraz jednak Nelson musiał wyruszyć własną drogą.

Przez jakiś czas omawiali zdrowie i wigor zwierząt Kena. Potem Nelson odchrząknął.

– Wiesz, Ken, spędziłem w tej parafii piękne chwile. Znalazłem tu pewnego rodzaju spokój. Ukojenie. Poczucie, że choć powierzchownie rzeczy mogą się zmieniać, ich dusza pozostaje ta sama. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Umm… – odparł Ken.

– Kiedy pierwszy raz tu przyjechałem, przeszedłem się po wzgórzach. Są tam ślady ludzi, którzy żyli tu od zawsze, zanim jeszcze Anglia stała się Anglią. Na cmentarzu i na pomniku ofiar wojny znalazłem nazwiska powtarzające się od setek lat. Czasami jakiś człowiek wyruszał walczyć za króla, którego nie znał, w jakimś miejscu, o jakim nigdy nie słyszał. Czasami w ogóle nie wracał. A jednak ta ziemia przetrwała. Tak jak i ta okolica, daleka od ośrodków miejskich, przetrwała mniej więcej w całości wielkie konwulsje po Dniu Przekroczenia. Ludziom pewnie bardzo trudno było opuszczać takie miejsce. Jak i mnie będzie trudno.

– Panu, pastorze?

– Ty pierwszy się dowiadujesz. Pogadałem z biskupem i zgodził się, żebym wyjechał, kiedy tylko dotrze tu mój następca. – Nelson spojrzał na stado. – Popatrz na te zwierzaki. Gryzą trawę, jakby miały ją gryźć przez całą wieczność. I są z tego zadowolone.

– Ale pan nie jest owcą, pastorze.

– Słusznie. Faktem jest, że przez sporą część życia byłem naukowcem i mam zobowiązania wobec innego przymierza niż to, przed którym klękam obecnie. Choć muszę przyznać, że w mojej głowie jedno i drugie tak jakby zlały się razem. Krótko mówiąc, muszę znaleźć nowy cel, bardziej odpowiadający moim zdolnościom i wykształceniu. Jeśli wybaczysz mój brak skromności.

– Wybaczał mi pan gorsze rzeczy, pastorze.

– Może tak, może nie. Jeśli skończyłeś tutaj, pozwól, że w pubie postawię ci kufelek. Potem muszę załatwić parę telefonów.

– To miło – stwierdził Ken. – Znaczy, z tym pubem. – Gwizdnął. – Joy! Wskakuj, maleńka!

Suka podbiegła, merdając ogonem. Wskoczyła na ręce Kena, jak została nauczona, by mógł ją przenieść na Podstawową. Jej miska z karmą znajdowała się obecnie w całkiem innym zakątku multiwersum, ale tym się nie przejmowała, dopóki pan na nią gwizdał.

ROZDZIAŁ 7

Przekazanie tej wiadomości Kenowi było równie skuteczne jak wynajęcie samolotu, który wypisze ją smugami na niebie. Nelson wiedział o tym, ale co się stało, to się stało.

Po powrocie na plebanię zadzwonił jeszcze do kilku osób, wyjaśniając, przepraszając i przyjmując gratulacje. Potem z ulgą polecił komputerowi się włączyć, oparł się wygodnie na fotelu i patrzył, jak rozjaśniają się ekrany.

– Warunki wyszukiwania – powiedział. – Jeden: powrót sterowca „Mark Twain". Dwa: Projekt Lobsang. Dodatkowe: główne wątki soc-mediów z ostatnich dwudziestu czterech godzin, z odchyleniem na problemy aktualne, brzytwa Ockhama do poziomu trzy…

Wydajność łącza była tu zwykle fatalna, ale nie dla Nelsona. Człowiek z jego przeszłością – pracował kiedyś dla samej Korporacji Blacka, chociaż pośrednio – ma wiele kontaktów w wielu użytecznych miejscach: przysługi rodzą przysługi. W zeszłym roku czarny helikopter wylądował przy cmentarzu i grupa techników, która z niego wysiadła, zostawiła mu dostęp do tylu satelitarnych strumieni danych, ile tylko zapragnął – w tym kilku kanałów znanych bardzo niewielu osobom. A także środki, by te kanały rozszyfrować.

Gdy zakończył sieciowe pogawędki, przeszedł z gabinetu do kuchni. Wyszukiwanie, jakie zainicjował, nigdy nie trwało krótko; kiedy więc programy przeszukiwały sieć, podgrzał w mikrofalówce porcję curry.

Zamyślił się, jak często mu się zdarzało, nad wcześniejszymi mieszkańcami plebanii. Telefon, laptop, tablety w gabinecie były mniej więcej szczytem techniki, ale też ich obsługa nie sprawiłaby kłopotu użytkownikowi sprzed dziesięciu czy dwudziestu lat. Tego argumentu chętnie używali krytycy migracji do Długiej Ziemi. Potrzeby wywierały niezbędny nacisk na ludzkość: człowiek musi być głodny, by być innowacyjny, musi mieć konkurencję, by dążyć do sukcesu. A na Długiej Ziemi zbyt łatwo napełniały się żołądki i nie brakowało przestrzeni, więc rozwój wyhamował. Mimo to jednak żaden z poprzedników Nelsona, nawet wśród tych niedawnych, nie miał dostępu do techniki nawet zbliżonej do tej, jaką on dysponował, choćby i trochę retro. A także żaden, nie wyłączając Nelsona, nie potrafił sprawić, by antyczna toaleta działała, jak należy.

Lubił tę myśl. Pomagała zachować rozsądek.

Wrócił do gabinetu – wyszukiwanie Lobsanga nadal trwało – i jedząc, zalogował się do Quizmastersów. Był to mało znany chat room, z dostępem tylko za zaproszeniem – a zaproszenie składało się z cyklu testów. Nelsona zaintrygował kiedyś przesłany mu bez żadnego wyjaśnienia quiz. Rozwiązał go parę tygodni temu po wieczornym nabożeństwie – zajęło mu to dwadzieścia siedem minut. W nagrodę otrzymał kolejny quiz, równie potwornie złożony. Przez następne dni nieregularnie pojawiały się kolejne. Pytania zrobiły na nim spore wrażenie: wymagały nie tylko wiedzy z bardzo wielu dziedzin, ale też umiejętności wykorzystywania jej w szybkim czasie, sięgania do bardzo licznych dyscyplin i nie tylko… Nelson wiedział, że w sieciowej „nerdosferze", w pogoni za rzeczami niezwykłymi i nieuchwytnymi, nawet najpotężniejszy intelekt na nic się nie przyda bez skłonności do szybkiej akumulacji informacji, uznania dla przypadkowych znalezisk i nieskończonej ciekawości dla rzeczy niespójnych i nie na swoim miejscu. Wydawało się, że testy Quizmastersów sprawdzały te właśnie cechy.

Chat room otworzył się dla niego siódmego dnia. Wtedy Nelson się dowiedział, jak grupa sama siebie określa. Początkowo Quizmastersi wydawali się kolejnym miejscem umożliwiającym rozmowy w czasie rzeczywistym, tyle że wszyscy uczestnicy czuli się w jakiś sposób wybrani, co dodawało całej procedurze dreszczyku satysfakcji. Samozwańcza elita nerdosfery – bardzo użyteczna, jak się przekonał, jeśli udało się ją skierować na konkretne zadanie. Jednak często rozmowy toczone na portalu dotyczyły monopolu znanego jako Korporacja Blacka. Członkowie kręgu na ogół jej nie znosili, co oczywiście samo w sobie stanowiło zagadkę.

Kiedy Nelson wszedł w sieć, a raczej w sieci, poznawał w cyberprzestrzeni wielu ludzi

wyróżniających się silną niechęcią do czarnych helikopterów, rządów, mycia się częściej niż raz na tydzień, a przede wszystkim tajemnic – oraz, jako ukoronowania tego wszystkiego, do Korporacji Blacka. Co było trochę dziwne, jeśli się człowiek zastanowił, ponieważ cała infrastruktura nerdosfery była w mniejszym czy większym stopniu oparta na produktach Blacka. Oczywiście, sieć zawsze była pełna spekulacji, plotek i ewidentnych kłamstw na temat tego, co się dzieje w najbardziej ultratajnych laboratoriach firmy.

Owszem, wszyscy znali historię Blacka, której elementy stały się tak popularne jak – Nelson miał takie wrażenie – niepokalane poczęcie. Była to bowiem klasyczna amerykańska legenda. Wszystko się zaczęło, kiedy Douglas Black ze współpracownikami założył „kolejną firmę komputerową", wykorzystując pieniądze, które zmarły dziadek zarobił na ropie naftowej. Były to wczesne lata dziewięćdziesiąte dwudziestego wieku, Black miał wówczas trochę powyżej dwudziestki. Od samego początku zajął się opracowaniem tak wyczekiwanych przez klientów produktów jak komputery o długim czasie działania na bateriach i z bezbłędnym oprogramowaniem – maszyny będące partnerami użytkownika, a nie gadżetami służącymi wyciąganiu jego pieniędzy czy reklamami własnych doskonalszych i przyszłych wersji. Maszyny, które wydawały się dojrzałe. I od samego początku Black wpłacał wielkie sumy na rozmaite fundusze dobroczynne na całym świecie – w tym program stypendialny w Afryce Południowej, z którego skorzystał też sam Nelson.

Z czasem produkty Blacka stawały się coraz mocniejsze i coraz bardziej nowatorskie. W opinii Nelsona ogromne zyski należały się Blackowi jako nagroda za intelektualną odwagę. Był w końcu założycielem „laboratorium trafu". Rozumował, że skoro tak wiele nowych i ważnych odkryć naukowych zdarza się przypadkiem, proces ten da się przyspieszyć poprzez stworzenie sytuacji, w której zdarza się bardzo wielka liczba wypadków, i przez staranną obserwację rezultatów. Według legendy świadomie zatrudniał ludzi, którzy nie całkiem wiedzieli, co właściwie robią, którzy mieli słabą pamięć albo byli od urodzenia pechowi i niedbali. Oczywiście, był to szaleńczy pomysł. Black zadbał o pewne środki ostrożności – na przykład zbudował swoje laboratorium według takich samych norm bezpieczeństwa, jakie stosują producenci materiałów wybuchowych…

Innowacje Blacka zyskały mu ogromną sprzedaż, publiczny podziw i gwałtowne ataki natychmiast pozyskanych wrogów. Istniejące na rynku firmy, którym nadeptywał na odciski i którym odbierał dochody, oskarżały go o wszystko, co możliwe, poczynając od praktyk monopolistycznych, a kończąc na braku patriotyzmu. Publiczność nie kupowała tych oszczerstw, kupowała natomiast produkty Blacka. Co więcej, kupiła samą legendę Blacka – stał się bohaterem, niesfornym łobuziakiem, który gra na nosie starszym i ociężałym firmom, a przy tym inwestuje w takie rozrywki dla bogaczy, jak podwodne domy czy skoki na orbitę. Równocześnie jednak rozdaje oszałamiające kwoty rozmaitym fundacjom i przedsięwzięciom dobroczynnym.

I wtedy bogowie uśmiechnęli się do Blacka łaskawie: eksperymentalny materiał, mający być nowym typem chirurgicznego gipsu, za długo leżał na słońcu i zmienił się w „żel", jak go nazwano. Był to niezwykły, quasi-organiczny materiał, z wbudowaną samoprogramującą i samonaprawiającą się strukturą bioneuronową, dostatecznie sprytną, by przemorfować fizycznie i dopasować do sytuacji, w jakiej się znalazł. Gazety nazwały materiał „inteligentnym bandażem", od pierwszych jego zastosowań, ale był czymś więcej niż bandażem – i okazał się o wiele bardziej inteligentny. Jako korygujący błędy i fizycznie plastyczny magazyn danych stał się podstawą całej produkcji Korporacji Blacka. Rynek zalała fala nowych produktów, a nawet nowych typów produktów. Tym razem wielu konkurentów Blacka splajtowało.

Nadeszła kolej na okres podejrzliwości rządu. Black był po prostu zbyt bogaty i zbyt potężny, w dodatku zbyt hojny i zbyt popularny. Administracja amerykańska podjęła próby przejęcia kontroli nad działaniami Blacka, a przynajmniej rozbicia jego imperium, wykorzystując do tego tradycyjnie listek figowy rozmaitych interesów państwa. Rząd powoływał się na prawo do wywłaszczenia; próbował też zmilitaryzować fabryki i laboratoria Korporacji.

Black pospiesznie rozwinął wtedy aplikacje w oczywisty sposób niemilitarne i bez związku z bezpieczeństwem – takie jak medycyna. Korporacja skierowała swe działania

ku niepełnosprawnym, by pozwolić niemym mówić, a kalekom chodzić. Obecnie ludzie widzieli, słyszeli, chodzili, biegali, pływali, a nawet żonglowali dzięki protezom, implantom i innym produktom opracowanym przez Korporację Blacka i jej firmy zależne. Mając takie wyniki, Black mógł argumentować, że żadne interesy państwa nie motywują działań rządu, które są w swej istocie antykapitalistyczne czy wręcz – ale to już szeptem – socjalistyczne…

Od tego czasu Black wykonał jeszcze jeden wspaniały gest, kiedy to dziesięć lat temu – poprzez międzynarodowe konsorcjum producentów – w większym czy mniejszym stopniu podarował technologię twainów Organizacji Narodów Zjednoczonych, rządom na całym świecie i ludom z Długiej Ziemi. Obecnie krążące po Egidzie USA twainy – poza flotyllami handlowymi także kilka maszyn policyjnych i wojskowych – wszystkie były produktami Korporacji Blacka, sprzedawanymi po kosztach. Nie tylko to; koncern przeznaczył jeszcze większe fundusze na finansowanie słusznych spraw, a samego Blacka uznano za jeszcze większego bohatera.

A jednak, mimo to, w licznych chat roomach nazwisko Douglasa Blacka było uznawane za przekleństwo.

Nelson na próżno poszukiwał sensownego wytłumaczenia tego faktu. Nie chodziło o to, że ci, którzy wylewali na Blacka żółć, mieli do niego jakieś osobiste pretensje – żaden na przykład nie był pracownikiem którejś z dogorywających firm zrujnowanych przez sukcesy Korporacji. Wydawało się, że najgorsze, co można powiedzieć o Douglasie Blacku jako człowieku, to że jest pracoholikiem: pracuje bardzo ciężko i wymaga, żeby inni ciężko pracowali dla niego. Być może kosztowało go to pieniądze, może nawet spore pieniądze; w sieci krążyła legenda, że laboratorium trafu Blacka stało za konstrukcją krokerów, które otworzyły ludziom Długą Ziemię. Jednak Black jakoś wkurzył wynalazcę i w efekcie plany krokera trafiły do domeny publicznej, elektryzując całą ludzkość, lecz dla nikogo nie zarabiając ani centa.

Ale to wszystko działo się za kulisami. A niektórzy wciąż nienawidzili Blacka.

Ludzie kryjący się za rozmaitymi pseudonimami, na jakie patrzył Nelson w chat roomie Quizmastersów, nie byli głupi. Nie mogli być, wobec tak wysoko ustawionej już na wejściu poprzeczki. Czasami miał wrażenie, że członkostwo Mensy dawałoby kwalifikacje, by parzyć metaforyczną kawę podczas ich spotkań. Nie, na pewno nie głupi. Ale… Na wielu ścieżkach życia Nelson spotykał różne charaktery i uważał, że przynajmniej niektóre z nich może zrozumieć. Ci mężczyźni i kobiety byli inteligentni i błyskotliwi, bardzo inteligentni. Ale u niektórych – nawet w tak bezosobowym medium jak chat – wyczuwał coś mrocznego i skrywanego, zdradzanego niekiedy przez jakiś komentarz czy nietypową frazę. Zazdrość, na początek. Paranoiczną podejrzliwość, to dwa. I jak gdyby żyłę wrogości, zdolność do zimnej nienawiści – cechę poszukującą ujścia, dowolnego ujścia. Taki człowiek jak Douglas Black, który działał w blasku reflektorów, który mógł się stać albo obiektem zazdrości, albo kimś zbyt dobrym, by być prawdziwym, a zatem zasługującym na podejrzliwość – był idealnym celem. Nie okazywali tego często, na pewno nie, lecz było to widoczne dla każdego, kto naprawdę obserwuje innych. A zwłaszcza dla kogoś, kto dorastał jako czarny dzieciak w Afryce Południowej i nie zapomniał swoich doświadczeń.

W każdym razie, niezależnie od opinii o Douglasie Blacku, Nelson lubił jego korporację we wszystkich jej cudownych i licznych przejawach. W szczególności lubił tajemnice, nad którymi jej działania pozwalały mu się zastanawiać.

Na przykład kiedy dryfował właściwie bez celu po peryferiach otaczającej Blacka chmury informacyjnej, zaczął dostrzegać, jak często wspominany jest Projekt Lobsanga. Ale każde wyszukiwanie prowadziło w ślepy zaułek, każde łącze w pustkę. Lobsang… to słowo oczywiście znaczyło po tybetańsku „wielki mózg”, co dowodziło, że ktoś w Korporacji Blacka ma nie tylko poczucie humoru, ale też pewne zdolności językowe. Lobsang był również imieniem własnym i Nelson powoli zaczął go sobie wyobrażać jako osobę. Człowieka, którego można wytropić – razem z jego „projektem”.

I teraz Nelson, całkiem sam w dość chłodnym pomieszczeniu na plebanii, z ośmioma ekranami jak oknami na świat, uśmiechnął się nagle. Gdyż jego poszukiwania wreszcie przyniosły skutek.

Na jednym z ekranów pojawił się obraz sterowca „Mark Twain", mocno poharatanego po słynnej Wyprawie, przyholowanego do tego, co pozostało z Madison w Wisconsin po ataku jądrowym dziesięć lat temu. Przyciągnął go Joshua Valienté i młoda kobieta, której – o ile Nelsonowi było wiadomo – nikomu potem nie udało się zidentyfikować.

Nelson był prawie pewien, że widział wszystko, co Joshua Valienté przywiózł z tej niezwykłej wyprawy „Marka Twaina". Korporacja Blacka – w typowym dla swego założyciela geście – zrzuciła godzillabajty danych z podróży do archiwum każdego uniwersytetu, który o nie poprosił, pozwalając na publiczny dostęp i analizę. (Godzillabajty: Nelson żywił irracjonalną niechęć do „petabajtów", uznanego terminu oznaczającego konkretną i niezwykle wielką ilość danych; coś, co brzmiało jak ciche kocie prychnięcie, nie miało szans, by przekazać wymaganą treść. Natomiast „godzillabajty" wręcz krzyczały do świata, że ma do czynienia z czymś bardzo, ale to bardzo wielkim… i być może niebezpiecznym).

Nelson już wiele razy oglądał ten konkretny klip – albo jego warianty z innych ujęć i kątów. Zastanowił się, czemu systemy wyszukujące wyświetliły go teraz. Przyjrzał się i odkrył, że to niewyraźne i amatorskie nagranie, na którym wydaje się, że Valienté – w obozie dla napromieniowanych na Zachodniej 1 – trzyma pod pachą kota. Jakiś człowiek poza ekranem roześmiał się głośno.

– Co to jest, kot pokładowy? – zapytał.

A ktoś inny, prawie na pewno nieznana towarzyszka Valienté, odpowiedziała:

– Zgadza się, mądralo. I umie mówić po tybetańsku.

Trzeba było uważnie się wsłuchać, żeby zrozumieć ten bezsensowny dialog. Ale wyszukiwarka musiała wychwycić ostatnie słowo: „tybetańsku", dodatkowe rozszerzenie klucza od „Lobsanga". I to ściągnęło na ekran, w pole jego uwagi, fragment skomplikowanej sagi „Marka Twaina".

O co chodziło tej kobiecie? Po co użyłaby słowa „tybetański", jeśli nie było w jakimś sensie istotne? W każdym razie znalazł się w końcu związek między jednym z najgłośniejszych projektów Blacka, „Twaina" i jego lotu, i jednym z jego najbardziej tajemniczych, Lobsangiem – związek zawarty w jednym słowie. Oczywiście, brak jakichkolwiek innych powiązań był sam w sobie podejrzany.

Na razie wyszukiwania nie prowadziły dalej – pokazywały to, co już wiedział. Nelson ziewnął, zamrugał i wyłączył ekrany. Był pewien, że wpadł na trop tajemnicy, i czuł dreszcz emocji. Dlatego zdecydował się porzucić swe parafialne obowiązki – potrzebował czasu, póki wciąż jeszcze ma możliwości i siły, by iść za tropem.

Ale oczywiście tajemnicą, która intrygowała go chyba najbardziej, była zagadka samego przekraczania, niespodziewanego odkrycia Długiej Ziemi, w którą zawędrowali Joshua Valienté, jego sterowiec, jego gadatliwa towarzyszka i najwyraźniej mówiący po tybetańsku kot – zagadka całkowitego przeformowania kosmosu, jakie nastąpiło za życia Nelsona. Jak można nie być zaintrygowanym? Co to wszystko może oznaczać dla ludzkości, przyszłości… więcej, dla Boga? Jak można nie szukać odpowiedzi na te pytania?

Najlepsza strategia to zmierzyć się najpierw z mniejszymi zagadkami. I zgodnie z tą decyzją, zanim przygotował się do snu, włożył fartuch, chwycił skrzynkę z narzędziami i ruszył do wyłożonej kafelkami toalety. Tutejszy tron był masywną konstrukcją, posiadającą nawet poręcze. Byłby wspaniałym przybytkiem, gdyby przez te lata ktoś potrafił go skłonić do poprawnego działania, na razie bowiem funkcjonował na różnych stopniach niepoprawności. Nelson przyrzekł sobie, że naprawi to wszystko, zanim skończy się jego kadencja, a w szczególności odkryje, czemu toaleta psuje się zawsze przy wschodnim wietrze.

Ogólnie biorąc, pomyślał, klęcząc przed pękniętą porcelanową rzeźbą jak przed pogańskim bożkiem, to zadziwiające, z czym skłonni są się godzić Anglicy.

ROZDZIAŁ 8

I tak rodzina Valienté dotarła do miasta Walhalla w Wysokich Meggerach, by tam złapać długodystansowego twaina na Ziemię Podstawową. Lot twainem przez niecałe trzy tysiące światów trwał ledwie kilka godzin.

W Walhalli czekał na nich Thomas Kyangu, kolejny stary znajomy Joshuy; trzymał kartkę z ręcznie wypisanym słowem VALIENTÉ. Miał około pięćdziesięciu lat, długie czarne włosy spięte w kucyk i szeroki uśmiech na smagłej, dość przystojnej twarzy. Miał też wyraźny australijski akcent.

– Czołem, klanie Valienté! Witamy na Ziemi Zachodniej Milion Czterysta Tysięcy. Prawdę mówiąc, oficjalnie to jeden koma cztery miliona plus trzynaście, bo nasi ojcowie założyciele byli ostro nawaleni, kiedy tu dotarli, i zgubili rachunek, ale zaokrąglamy numer dla reklam telewizyjnych… Miło cię znowu widzieć, Joshuo.

Joshua uśmiechnął się i uścisnął mu dłoń. Thomas schylił się, żeby im pomóc z bagażami.

Rozglądając się niepewnie, niektórzy wciąż trochę senni po lekach hamujących mdłości, stali na betonowej płycie pod wzdętym brzuchem sterowca: Joshua, Helen, Dan i Bill Chambers, z bagażami piętrzącymi się wokół ich stóp. Wszyscy wysiadający pasażerowie wyglądali na trochę zagubionych na rozległej płycie.

Poza nią rozciągało się samo miasto – grupy ciężkich budynków pod błękitnym niebem, lekko przyciemnionym przez smog, z turkotem ulic, brzękiem i hukiem maszyn budowlanych. Było ciepło, cieplej niż w Diabli Wiedzą Gdzie. Mimo zapachu smoły i oleju w tym nowiutkim mieście Joshua wyczuwał sól niedalekiego wewnętrznego Morza Amerykańskiego, tak jak zapamiętał po swojej pierwszej wizycie, dziesięć lat temu.

Wielki cień przesunął im się nad głowami, z szumem silników i podmuchem odsuwanego powietrza. Twain, i to wielki – frachtowiec kierujący się na szlaki tranzytowe do Niskich Ziemi i do Podstawowej. Walhalla pełniła funkcję węzła transportowego, terminalu wielkiej rzeki sterowców płynących bez końca przez ponad milion światów, do Ziemi Podstawowej i z powrotem, przenoszących ładunki i pasażerów. Nie przypadkiem Walhalla wyrosła w miejscu, które w większości wykrocznych Ameryk znajdowało się w pobliżu tego, co na Podstawowej było Missisipi: twainy zapewniały transport przez światy, rzeka mogła przenosić towary przez świat.

Daniel Rodney Valienté, lat osiem, nigdy jeszcze nie widział statków tak ogromnych. Podskakiwał teraz i piszczał:

– Pojedziemy takim wielkim, tato?

– Za jakiś czas, synu.

– A oto nadchodzi Sally Linsay – mruknęła Helen. – Niespodzianka.

– Nie czepiaj się jej – poprosił Joshua. – To ja się z nią tutaj umówiłem.

Sally miała na sobie zwykłą pionierską odzież, charakterystyczną wędkarską kamizelkę z tysiącem kieszeni i lekki skórzany plecak na ramionach.

– Ależ tu zgiełk – stwierdziła i teatralnie zasłoniła sobie dłońmi uszy. – Hałas, wszędzie hałas. Powinniśmy się nazywać Homo clamorans, człowiek hałasujący.

Helen przyglądała jej się bez uśmiechu.

– Lecisz z nami? Wielka wędrowniczka wybiera podróż komercyjnym twainem?

– Wszyscy lecimy w tę samą stronę. Czemu nie mielibyśmy lepiej się poznać? Możemy wymienić się przepisami na lody.

Joshua chwycił żonę za rękę, na wypadek gdyby naszła ją ochota na wyprowadzenie ciosu. Nie byłby to pierwszy raz.

Uśmiech Thomasa, obserwującego tę wymianę, nieco stężał.

– No tak… Wyczuwam tu pewne napięcie.

– To skomplikowane – mruknął Bill. – Nie pytaj.

– Co to za jeden? – warknęła Sally.

– Nazywa się Thomas Kyangu – odparł Joshua. – Mój stary przyjaciel.

– Nie zna mnie pani, panno Linsay, ale ja wiele słyszałem o pani od Joshuy.

– Boże, kolejny fan… – żachnęła się Sally.

Helen zrobiła krok naprzód.

– Nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni, panie Kyangu. Nazywam się Helen Valienté, z domu Green…

– Żona. Oczywiście. – Thomas uścisnął jej rękę.

– „Żona"? – Sally się zaśmiała.

– Macie już wszystkie bagaże? Mój wózek czeka. Joshua uprzedził mnie wcześniej i zarezerwowałem wam miejsca w hotelu w Centrum 4… – I kiedy szli już po płycie, wśród rozchodzących się na boki pasażerów, Thomas dodał: – Nie może pani winić Walhallanina za to, że śledzi wyczyny Joshuy, panno Linsay.

– Jest człowiekiem żonatym – wtrąciła surowo Helen. – Nie będzie już żadnych wyczynów, jeśli tylko będę miała coś do powiedzenia.

– Owszem, ale przecież podczas Wyprawy odkrył Pas Walhallański, ciąg Ameryk Północnych z hojnymi wewnętrznymi oceanami. Światy dojrzałe do kolonizacji.

– Odkrył? – parsknęła Sally. – Ja już tam byłam, o ile dobrze pamiętam.

Dotarli do wózka Thomasa, niskiego, otwartego pojazdu z elektrycznym silnikiem i ośmioma plastikowymi siedzeniami.

– Wskakujcie, proszę…

Po chwili wózek ruszył na południe.

– Thomas i ja jesteśmy starymi kumplami – rzekł Joshua do Sally w celu wyjaśnienia albo uspokojenia nastrojów.

– Chcesz powiedzieć, że jest wieloletnim stalkerem.

– Spotkaliśmy się lata temu w Wysokich Meggerach. Obaj byliśmy na wakacjach, choć on nazywał je wycieczką. Jesteśmy pokrewnymi duchami, tak jakby. Wiedziałem, że jest tutaj, w Walhalli, więc poprosiłem, żeby nam pomógł.

– Bardzo panu dziękujemy – powiedziała Helen. – Czym się pan zajmuje przez resztę czasu?

– Spójrz na niego – rzuciła Sally. – Popatrz, jak się ubiera. Jest czesaczem. Zawodowym dryferem.

– Mniej więcej – odezwał się Thomas znad kierownicy. – Dorastałem w Australii i zawsze fascynowali mnie czesacze. Wielu moich krewnych odeszło i zostało czesaczami, rozumiecie, na wykrocznych wersjach Oz. Intrygują mnie też naturalnie przekraczający, tacy jak ty, Joshuo. Cały ten fenomen. Chociaż sam do nich nie należę. Interesuje mnie też, jak Długa Ziemia wpłynie na rozwój ludzkiej cywilizacji. Co prawda tylko jedno pokolenie minęło od Dnia Przekroczenia, więc jesteśmy na samym początku drogi. Pomagałem trochę przy koncepcji projektu Walhalli, samego miasta.

– Koncepcja projektu… – parsknęła Sally.

Thomas nie był urażony.

– Najczystszym stylem życia na Długiej Ziemi jest styl czesacza: samotny osobnik albo rodzina, niewielka i zwarta grupa, która po prostu wędruje, zrywając najniżej wiszące owoce… Długa Ziemia jest tak szczodra, że nie trzeba robić nic więcej. Ale sens Walhalli tkwi w tym, że jest miastem, prawdziwym miastem ze wszystkimi kluczowymi atrybutami miast z Podstawowej, lecz utrzymywanym przez czesaczy…

Joshua spostrzegł, że dotarli do gęściej zabudowanych obszarów. Zauważył tablicę CENTRUM 4. Budynki z cegły, betonu i drewna były niskie, szerokie, raczej masywnej konstrukcji, stały na rozległych i pustych parcelach – typowa urbanistyka świata kolonialnego. Jeśli to miało być centrum, było wyraźnie centrum z Wysokich Meggerów, z masą wolnej przestrzeni, podobne raczej do dzielnic handlowych z przedmieść na Podstawowej. Na szerokich ulicach widzieli nieliczne wózki, na ogół ciągnięte przez konie. Byli też

przechodnie, a większość nosiła krokery. Nie było to miejsce, gdzie człowiek zatrzymywał się na długo.

Ale w mieście wyraźnie panowała polityczna gorączka. Niektóre z szerokich i ślepych ścian ozdabiały plakaty i graffiti:

WSPIERAJ KONGRES CIENIA

NIE DLA PODATKÓW PODSTAWOWEJ!

i

PRECZ Z LUDOBÓJCĄ COWLEYEM!

Thomas wciąż opowiadał o czesaczach i miastach.

– Napisałem książkę na ten temat – mówił. – *Czesacze i nowa teoria cywilizacji*.

Helen zmarszczyła czoło.

– Książkę? Nikt teraz nie czyta książek. A przynajmniej nowych książek.

Thomas, kierując jedną ręką, popukał się palcem w czoło.

– Wszystko jest tutaj. Wędruję po światach i daję odczyty.

– Prawdziwy Johnny Shakespeare – mruknęła Sally lekceważąco.

Wózek zahamował przed trzypiętrowym budynkiem z efektownym frontonem na poziomie ulicy.

– To tutaj – oznajmił Thomas. – Uzdrowiony Bęben, najlepszy hotel w Walhalli. Macie miejsca na trzy tygodnie, jeśli będziecie potrzebowali.

Sally zmarszczyła czoło.

– Tak długo? Po co? Jesteśmy tu tylko, żeby złapać twaina na Podstawową.

– Sally – odparł spokojnie Joshua. – Helen i ja przylecieliśmy, żeby znaleźć szkołę dla Dana.

Dan wykrzywił buzię.

– Chcecie mnie tu wysłać? Do szkoły?

Helen rzuciła mężowi gniewne spojrzenie.

– Świetny sposób, żeby przekazać wiadomości.

– Przepraszam.

Poklepała Dana po ramieniu.

– Szkoły w Walhalli mają reputację najlepszych w Wysokich Meggerach. Będzie ci tu dobrze i nauczysz się wielu nowych rzeczy. Takich, których nie poznałbyś w Diabli Wiedzą Gdzie. Ale jeśli nie chcesz opuszczać domu…

– Nie jestem małym dzieckiem, mamo – oświadczył z powagą chłopiec. – A mogę się tutaj nauczyć, jak być sternikiem twainów?

Joshua zaśmiał się i rozwichrzył mu włosy.

– Możesz zostać, kim tylko zechcesz, synu. O to właśnie chodzi.

– Chcę też zobaczyć się z ojcem – dodała Helen, zwracając się do Sally.

Thomas pokiwał głową.

– Jack Green! Szybko staje się nowym bohaterem. Jest założycielem ruchu Dzieci Wolności, a teraz organizatorem Kongresu Cieni, który przyciągnął delegatów z tysiąca Ameryk…

– Szybko staje się poważnym kłopotem i tyle – odparła surowo Helen.

– Nie umawialiśmy się, żeby tak długo tu siedzieć – stwierdziła Sally. – Czemu mi nie powiedziałeś?

Joshua wzruszył ramionami.

– No wiesz, nie zaczekałaś, żeby się dogadać. A poza tym jak byś zareagowała? Tak jak teraz, prawda?

Sally chwyciła plecak.

– Wynoszę się stąd.

I zniknęła z puknięciem przemieszczającego się powietrza.

Thomas westchnął.

– Co za kobieta… Mam nadzieję, że będę jeszcze miał okazję zdobyć jej autograf. Chodźcie, musicie się zameldować.

ROZDZIAŁ 9

Rankiem Bill poszedł sobie, żeby „po staremu połazić trochę samemu”, jak to określił. Joshua dopilnował tylko, żeby miał przy sobie telefon komórkowy, by mógł zadzwonić po pomoc, gdyby był „nie w formie”.

Nie było go już, kiedy zjawił się Thomas. Miał podwieźć Joshuę, Helen i Dana do potencjalnej szkoły chłopca. Mieściła się w innym ośrodku urbanistycznym, zwanym Centrum 7, po drugiej stronie zawiłego układu ulic miasta. Wszyscy więc wsiedli do wozu Thomasa i ruszyli.

Miasto rozrosło się bardzo od ostatniego razu, kiedy Joshua je oglądał. Walhalla, zaczynająca z czystą kartą, zawsze zamierzała być czymś więcej niż po prostu kolejnym miastem. Wydawała się atrakcyjnie odmienna nawet w podstawowych założeniach – budowana na sześciokątnych działkach, rozprzestrzeniających się od południowego wybrzeża Morza Amerykańskiego i wcinających w dziewiczą puszczę. Wiele budynków lśniło farbą solarną, ale na dachach równie wielu rosła trawa i inne rośliny – naturalna strzecha.

I kiedy tylko zabudowania odsłaniały teren na północy, Joshua widział morze – płaskie, srebrzyste, sięgające po horyzont. Brzeg leżał prawie na tej samej szerokości geograficznej co Chicago Podstawowe. Nad brzegiem miasto wydawało się starsze, jak echo antycznej Ameryki i jej morskiej przeszłości. Zbudowano tam już całkiem przyzwoity port; głównie drewniane budynki, składy i stocznie, a nawet coś, co wyglądało na kaplicę rybaków – przypuszczał, że stoją przy niej pamiątkowe płyty po tych, którzy zginęli na tej wersji Morza Amerykańskiego: kamienie bez grobów, kamienie bez kości pod nimi. Dalej widział nabrzeża, pomosty i mola. Na wodzie stały statki, szare cienie – część z napędem mechanicznym, w większości pewnie parowce, ale też wiele żaglowców, podobnych do rekonstrukcji albo eksponatów muzealnych.

Na tym nowym morzu polowali i łowili marynarze. Chwytali ogromne morskie gady, trochę podobne do plezjozaurów, i ozdabiali swe statki ich wielkimi szczękami i kręgosłupami. Niczym wielorybnicy z osiemnastego i dziewiętnastego wieku, ludzie morza studiowali swe światy ze skrupulatnością przewyższającą badania naukowe. Ustanawiali połączenia między rozrzuconymi, lecz coraz liczniejszymi koloniami wokół brzegów tych wykrocznych amerykańskich oceanów. Nie byli wielorybnikami, gdyż nie było tu wielorybów, ale Joshua postanowił, że spróbuje znaleźć trochę czasu i pokazać to wszystko Danowi. A wtedy mogą porozmawiać o *Moby Dicku*.

Natomiast kiedy mogli zobaczyć lądową granicę miasta, widzieli coś o wiele dziwniejszego, choć zarazem zwyczajnego. Zewnętrzne przedmieścia, pełne warsztatów i kuźni, urywały się po prostu, kończyły w wykarczowanym lesie albo na częściowo osuszonych bagnach czy mokradłach. Nie było żadnych pól, żadnego bydła na pastwiskach, ani jednego uprawianego źdźbła poza granicą zabudowań. To było miasto bez rolniczego zaplecza.

Joshua znał teorię stojącą za Walhallą. Była elementem reakcji jego pokolenia na wyzwanie nieskończonych przestrzeni Długiej Ziemi. W Dniu Przekroczenia ludzkość – prawie cała: wszyscy ci, którzy w przeciwieństwie do Sally i jej rodziny nie wiedzieli o istnieniu innych światów – zaczęła rozlewać się na tę rozszerzoną Ziemię o średnicy dwunastu tysięcy kilometrów i powierzchni, wobec której sfera Dysona wyglądałaby jak piłeczka pingpongowa. Jak tam żyli, zależało od upodobań, wykształcenia i instynktu. Niektórzy przeskakiwali między Podstawową a Niskimi Ziemiami, szukając tylko trochę większej przestrzeni, sposobu zarobienia trochę większych pieniędzy. Niektórzy, jak Greenowie, rodzina Helen, wyruszali daleko w wykroczne pustkowia, by budować tam nowe społeczności; odtwarzali historię kolonizacyjnego okresu Ameryki na nieskończonym pograniczu. A czesacze zwyczajnie odchodzili, by korzystać z niewyczerpanych bogactw Długiej Ziemi.

Wszystko szło świetnie, dopóki pewnego dnia człowiek nie potrzebował leczenia kanałowego. Albo nie zepsuł mu się czytnik e-booków. Albo zaczynał się martwić, czy jego dzieci

nauczą się czegoś poza tym, jak zaorać pole i zastawić pułapkę na królika. Albo miał dość komarów. Albo, do diabła, chciał zwyczajnie pójść na zakupy. Niektórzy dryfowali z powrotem ku Podstawowej albo ku zatłoczonym Niskim Ziemiom. Walhalla stanowiła inne rozwiązanie: całkiem nowe miasto wyrastające w Wysokich Meggerach i wykorzystujące specyfikę dalekiej Długiej Ziemi, utrzymywane nie przez farmerów, lecz przez czesaczy. Miało swoich prekursorów w historii, na całej Ziemi Podstawowej. Dysponując czasem i zasobnym środowiskiem, grupy łowiecko-zbierackie zdolne były do wielkich osiągnięć i do tworzenia złożonych społeczności. W Watson Brake, w Luizjanie, pięć tysięcy lat temu nomadyczni rdzenni mieszkańcy Ameryki wznieśli wielkie kompleksy budowli ziemnych. Walhalla przeniosła ten styl życia na nowy, nowoczesny, świadomie planowany poziom.

Tak się złożyło, że teoria miasta była pierwszym tematem, jaki poruszył Jacques Montecute, dyrektor szkoły, kiedy zaprosił Dana i jego rodziców do gabinetu.

– Centralną zasadą Walhalli jest równowaga – powiedział.

Miał około trzydziestki, był szczupły, nieco surowy, mówił z akcentem, który Joshua określiłby jako francuski, jednak z irytująco znajomymi naleciałościami. Nazwisko też powinno się z czymś kojarzyć. Montecute…

W gabinecie poza Danem było jeszcze jedno dziecko – ciemnowłosa, poważna dziewczynka, Roberta Holding.

– Większa część dorosłych mieszkańców samodzielnie zdecydowała się porzucić Stary Świat, pozostawić za sobą dawne życie. Chcą pewnych rzeczy, które może im zapewnić miasto. Ale nie po to wyruszyli na Długą Ziemię, żeby teraz giąć karki na roli albo mieszkać w slumsach, by zaspokajać potrzeby tego miasta. I udało nam się bez tego wszystkiego podtrzymać życie miasta. – Uśmiechnął się zachęcająco do Dana. – Czy umiesz wyjaśnić, jak tu żyjemy, nie mając farmerów wytwarzających dla nas żywność?

Dan wzruszył chudymi ramionami.

– Może wszyscy jesteście złodziejami…

Helen westchnęła.

Roberta Holding odezwała się po raz pierwszy, odkąd Montecute ją przedstawił.

– Walhalla to miasto utrzymywane przez czesaczy, czyli myśliwych i zbieraczy. Logika tego jest elementarna. Intensywna uprawa może utrzymać o rząd wielkości więcej mieszkańców z jednostki powierzchni niż myślistwo i zbieractwo. Na pojedynczym świecie, nawet obfitującym w bogactwa naturalne, grupa czesaczy z konieczności będzie rozproszona. Koncentracja populacji, niezbędna do podtrzymania egzystencji miasta, byłaby niemożliwa. Tutaj wystarczy, by czesacze rozprzestrzeniali się nie geograficznie, ale na wiele Ziemi wykrocznych: na ponad setkę równoległych Walhalli, pozostawionych w stanie dzikim, by umożliwić polowania. – Złożyła dłonie i ścisnęła je. – Miasto jest produktem warstwy światów, z których każdy jest tylko minimalnie wykorzystywany, a nie produktem jednego, intensywnie uprawianego. Można to nazwać intensywnym zbieractwem, wyjątkowym postkrokowym rozwiązaniem cywilizacyjnym.

Joshua pomyślał, że dziewczyna mówi, jakby czytała z podręcznika.

– Uczyłaś się – powiedziała Helen, jak gdyby zarzucała jej, że oszukuje.

– Bardzo dobrze, Roberto – pochwalił małą Montecute. – Oczywiście, pomaga też, że zamieszkujemy tak sprzyjającą geograficznie okolicę, nad brzegiem obfitującego w ryby morza…

Joshua pstryknął palcami.

– Szczęśliwy Port! To jest to! Jesteście ze Szczęśliwego Portu, zgadza się? Oboje. Pan, panie Montecute… poznałem pański akcent. Chyba mogłem kiedyś spotkać pańską babkę.

Montecute wydawał się trochę zakłopotany, ale uśmiechnął się.

– Kitty? To moja prababka. Zawsze wspomina spotkanie z panem, panie Valienté, choć tyle lat już minęło. Tak, pochodzę ze Szczęśliwego Portu, jak teraz jest nazywany. Roberta także.

– Szczęśliwy Port – mruknęła Helen. – Tak go nazwała Sally Linsay, tak? Wyraźnie nazwa się przyjęła. Szczęśliwy Port, gdzie wszystkie dzieci są superinteligentne… Tak mówią. – Zerknęła niespokojnie na Dana, który usiłował zawiązać sobie nogi na supeł.

– Dobrze, że miałeś okazję poznać swoją szkolną koleżankę, Dan – powiedział Joshua.

– Nie zostanę tu długo – odparła Roberta, uprzejmie, choć obojętnie. – Zaproszono mnie do udziału w ekspedycji Wschód Dwadzieścia Milionów.

Joshua wytrzeszczył oczy.

– Z Chińczykami?

– I ze mną – przyznał z uśmiechem Montecute. – Chociaż ja będę uczestniczył raczej jako czynnik kontrolny. Roberta uzyskała coś w rodzaju stypendium; to gest dobrej woli między rządem Podstawowych USA i nowym reżimem w Chinach. Ale to na marginesie. A teraz… – Wstał. – Chodź, pokażę ci szkołę, Dan. A mama i tato wypiją przez ten czas kawę. Bufet jest w głębi korytarza. – Dan ruszył za nim całkiem ochoczo. – Co najbardziej lubisz w szkole? – pytał Montecute. – Logikę, matematykę, dyskusje, rysunki techniczne?

– Softball – oświadczył Dan.

– Softball? Coś jeszcze?

– Rąbanie drewna.

– Naprawdę?

– Dostałem odznakę.

Joshua i Helen spojrzeli po sobie, a potem na milczącą, poważną Robertę.

– Kawa – powiedzieli chórem i za Montecute'em i Danem wyszli z pokoju.

ROZDZIAŁ 10

Żeby zobaczyć ojca, Helen musiała się umówić na wizytę, co doprowadziło ją do wściekłości.

Jack Green, już sześćdziesięcioletni, miał biuro w skromnym budynku służącym Walhalli za ratusz, siedzibę sądu, komendę policji i mieszkanie burmistrza. Pracował, kiedy Helen wprowadzono do gabinetu; siedział za biurkiem, na którym leżał laptop, kilka telefonów komórkowych i plik kartek z szorstkiego na oko papieru. Na ścianie wisiał wielki ekran telewizyjny. Green ledwie zerknął na córkę, której nie widział… od jak dawna? Od przedostatnich świąt? Teraz uniósł w górę palec i stał nieruchomo, czekając.

W końcu stanowczym gestem wcisnął klawisz i usiadł.

– Gotowe. Wysłane. Przepraszam za to, skarbie. – Wstał, pocałował ją w policzek i usiadł znowu. – To końcowe poprawki przemówienia, które piszemy dla Bena.

Ben to Ben Keyes, jak wiedziała, burmistrz Walhalli, dla którego ojciec pracował.

– Aha, to mi przypomina…

Sięgnął po pilota i wcisnął coś; na wielkim ekranie telewizyjnym pojawił się obraz mównicy, dwóch sekretarzy w garniturach, na ścianie flaga amerykańska i obok niebieska flaga Walhalli.

– Ben zaraz wygłosi tę mowę; wszystko na ostatnią chwilę, jak widzisz. Ale kiedy tylko skończy, jego słowa będą słyszane na całym tym świecie, oczywiście, i dotrą aż do Podstawowej tak szybko, jak tylko outernet zdoła je przenieść. Robi wrażenie, co?

Helen najwyraźniej wybrała na wizytę nieodpowiedni moment.

– Mogę usiąść, tato?

– Oczywiście, oczywiście.

Wstał znowu, trochę sztywno, i przesunął jej krzesło. Jak wielu z jego pokolenia, którzy od zera budowali na Długiej Ziemi takie miasteczka jak Restart, pod koniec wieku średniego dręczył go artretyzm.

– Jak tam Dan?

– Pomyliłeś jego wiek w ostatniej kartce urodzinowej, tato.

– Hm… Przykro mi. Mam nadzieję, że się nie obraził.

Wzruszyła ramionami.

– Jest przyzwyczajony.

Uśmiechnął się, ale ciągle zerkał na ekran.

Helen z trudem opanowała irytację.

– Wpadłam tylko na chwilę, tato. Wiesz, że lecimy na Podstawową. Jesteśmy tu, żeby pokazać Danowi Wolną Szkołę. Mamy nadzieję, że dostanie tam miejsce, jeśli mu się spodoba.

– Dobry pomysł – oświadczył Jack. – To jedna z zalet takich miast jak Walhalla. Można tu znaleźć dobre szkoły, kształcące wolne, otwarte i wyedukowane umysły. Kluczowe dla dowolnej demokracji.

– Tato! Daj spokój z tymi wykładami.

– Przepraszam, naprawdę. Taki już jestem, skarbie. I przepraszam, że nie mogę się skupić na rozmowie, ale sytuacja jest poważna. Nie chodzi tylko o coraz bardziej represyjny system podatkowy. Jest w tym również taki dość obrzydliwy podtekst, który sączy się od tych dupków z Najpierw Ludzkość, płacących za kampanię wyborczą Cowleya. Choć on sam oczywiście udaje, że chce łączyć ludzi. To coś gorszego od rasizmu. W ich języku my, przekraczający, jesteśmy niższym gatunkiem, złośliwymi mutantami bez moralności… Musimy się sprzeciwić. I właśnie to robimy. Niektórzy z komentatorów już teraz mówią, że dzisiejsze przemówienie Keyesa będzie wydarzeniem na miarę Deklaracji Niepodległości, i to jeszcze zanim usłyszeli tekst.

– I ty oczywiście musiałeś się w to włączyć, prawda?

– A co innego powinienem robić?

– Taki sam byłeś w Restarcie. Odrywałeś się od własnego życia, kierując innymi. Zgadza się?

– O co ci chodzi? Zamieniasz się w siostrę?

Katie, o kilka lat starsza od Helen, wyszła za mąż i została w Restarcie; ogólnie nie pochwalała tego, że reszta rodziny się wyprowadziła.

– Nie, tato. Słuchaj, przecież wiem, że nie jesteś stary.

– Nie zostanę przecież rewolucjonistą, skarbie.

– Wiem, wiem… Po prostu myślę, że powinieneś przestać uciekać.

– Przed czym?

– To nie twoja wina, że mama zachorowała.

– Mów dalej – powiedział. – Co jeszcze nie jest moją winą?

– To również nie twoja wina, że Rod zrobił to, co zrobił.

– Na miłość boską, twój brat umieścił ładunek jądrowy pod Madison Podstawowym!

– Nie, wcale nie. Był uczestnikiem durnego spisku urażonych samych w domu, który… Przepraszam cię, tato. Po prostu mam wrażenie, że pracujesz nad tym wszystkim, żeby… żeby…

– Żeby odkupić jakąś freudowską winę? Moja córka psychologiem… Posłuchaj, tu nie chodzi o winę i wyrzuty sumienia. Ludzie robią, co robią. Ale to nie znaczy, że niezależnie od skrywanych osobistych motywacji nie możesz się postarać, by osiągnąć coś dobrego.

Wskazała ekran.

– Jak w tej chwili ten twój burmistrz Keyes?

Obejrzał się.

Ben Keyes wszedł na mównicę, trzymając w dłoniach plik kartek z szorstkiego, lokalnie produkowanego papieru. Miał około czterdziestu lat i przystojną twarz gwiazdy mediów, ale włosy zapuścił długie, w stylu pionierów, a zamiast garnituru miał na sobie praktyczny roboczy kombinezon w kolorze oliwkowym. Kiedy zaczął mówić, Helen ledwie rozróżniała słowa wśród oklasków i krzyków publiczności spoza ekranu.

– Mieszkańcy Walhalli! To historyczny dzień tej Ziemi i wszystkich światów Długiej Ziemi. Dzisiaj jest w naszej mocy, by rozpocząć świat od nowa…

– Cytat z Toma Paine'a! – Ojciec Helen się uśmiechnął. – To mój akapit.

– …pewnymi nienaruszalnymi prawami. W skład tych praw wchodzi życie, wolność i swoboda ubiegania się o szczęście… Jeżeli kiedykolwiek jakakolwiek forma rządu uniemożliwiałaby osiągnięcie tych celów, naród ma prawo taki rząd zmienić lub obalić…

– Ha! – Jack Green klasnął w dłonie. – A to cytat z Deklaracji Niepodległości! Trudny moment dla amerykańskiego rządu, kiedy ktoś rzuca im w twarz ich własne podstawowe zasady…

Ekran pokazał teraz tłum przed Keyesem. Ludzie wykonywali te same gesty języka migowego co trollica w świecie obok Szczeliny i krzyczeli chórem:

– Nie dam! Nie dam!

Ojciec przestał zwracać uwagę na Helen, pochłonięty ekranem, przemową, komentarzami, które nastąpią… Wstała cicho i wyszła z gabinetu.

Nie obejrzał się.

Helen nic nie wiedziała o rewolucjach. Nie miała pojęcia, jakie skutki może mieć ta chwila. Zastanawiała się jednak, jak w tym wszystkim mieszczą się prawa trolli i innych stworzeń, które muszą dzielić Długą Ziemię z ludzkością…

Thomas Kyangu czekał na nią w lobby. Po jego współczującym wzroku odgadła, że wie dość na temat jej skomplikowanej sytuacji rodzinnej, by rozumieć, jak się teraz czuje.

– Chodźmy – powiedział. – Postawię ci walhallańską kawę.

I w małej kawiarence kilka przecznic dalej opowiedział jej część własnej historii.

ROZDZIAŁ 11

Thomas Kyangu dokładnie pamiętał dzień, w którym jego życie się zmieniło. Dzień, w którym porzucił konwencjonalny świat i został profesjonalnym czesaczem – jeśli nie jest to pojęcie wewnętrznie sprzeczne. Działo się to dwadzieścia lat temu, zaledwie pięć lat po Dniu Przekroczenia, kiedy sam fenomen był jeszcze czymś niezwykłym i nowym. Thomas miał wtedy trzydzieści lat.

Pożyczył samochód ojca, wyjechał z Jigalong, dotarł do zbielałego drewnianego znaku, wysiadł z krokerem u boku i stanął w żarze południa. Poza drogą gruntową do Jigalong i ogrodzonym skrawkiem czerwonego gruntu, wyznaczającego portal do wykrocznych farm kangurów, nie było tu nic, nawet na Podstawowej. Nic prócz bezmiaru Pustyni Zachodniej, ogromnej i przytłaczającej; jej płaszczyznę naruszało tylko samotne, zwietrzałe skalne urwisko. W każdym razie nic dla oczu pierwszych Europejczyków, którzy się tutaj pojawili i którzy ledwie potrafili zauważyć żyjących już w tym miejscu ludzi. Dla nich była to *terra nullius*, pusta ziemia, co stało się prawniczą regułą usprawiedliwiającą zagarnięcia kolejnych terenów.

Thomas był półkrwi Martu. I lud jego matki zawsze chętnie go witał, choć jej małżeństwo z miłości do białego człowieka złamało ścisłe reguły plemienia. Dla oczu Thomasa, wykształconego na sposób przodków, przynajmniej na poziomie teoretycznym, ta ziemia była bogata. Złożona. Starożytna: czuło się tutaj ciężar głębin czasu. Wiedział, jak ten ląd, jałowy na pierwszy rzut oka, unosi swój ładunek życia. Wiedział nawet, jak tutaj przetrwać, czym się żywić, gdyby musiał.

Znał też pewien sekret.

Schylił się, by zajrzeć do groty wyrytej w ścianie urwiska przez tysiąclecia wiatrów. Właściwie trudno to nawet nazwać grotą, zwykłe zagłębienie, do połowy zasypane piaskiem. Tę kryjówkę odkrył jako chłopiec, kiedy z dziadkami odwiedził Jigalong i poszedł zwiedzać okolicę – już jako dzieciak był samotnikiem. I w tej grocie, tak głęboko, że musiał przykucnąć, by go zobaczyć, był Łowca – tak Thomas nazywał prostą, wyrysowaną kreskami figurę z czymś w rodzaju włóczni, ścigającą wielkiego i niewyraźnie namalowanego stwora; wokół unosiły się spirale i gwiaździste rozbłyski. Rysunek miał tysiące lat, o czym świadczyła pokrywająca go patyna.

Nikt przed Thomasem go nie odkrył. Nikt także nie znalazł go później. Thomas dochował tajemnicy.

Zawsze uważał Łowcę za – w pewnym sensie – przyjaciela. Niewidzialnego towarzysza. Stabilny punkt w życiu pełnym szaleńczych zmian.

Thomas był mądrym dzieckiem. Został dostrzeżony w miejscowej szkole i wybrany do lepszej przyszłości, skończył college w Perth i nawet spędził trochę czasu w Ameryce. Wrócił potem do Melbourne i został projektantem gier. Był dostatecznie czarny, by służyć za symbol liberałom, ale dostatecznie biały, by wszyscy wokół traktowali go jak swojego.

Potem przeżył kryzys sumienia i zaczął szukać informacji o sytuacji ludu, który porzucił; o rodzinie matki. W jaki sposób ludzie, którzy zbudowali trwającą oszałamiające sześćdziesiąt tysięcy lat kulturę, ludzie jeszcze trzysta lat temu wolni i samowystarczalni, stali się najbardziej uzależnieni na planecie: usunięci ze swojej ziemi, dręczeni bezrobociem, narkotykami, przesiedleniami i „białą" edukacją. Jak za życia jego babki klan musiał się wynieść ze swoich terenów, by uniknąć brytyjskich pocisków Blue Streak, testowo odpalanych z Woomery.

Owszem, zaczęło go to dręczyć dopiero wtedy, kiedy w Sydney sam padł ofiarą jakiejś bandy chuliganów, którzy nie życzyli sobie w swoim mieście takich jak on, choćby nosił garnitur i krawat. Ale i tak otworzyły mu się oczy.

Potem się ożenił. Hannah była prawniczką na stażu, błyskotliwą młodą dziewczyną, białą, z dobrze ustawionej rodziny z Nowej Południowej Walii. Mieli nadzieję na dziecko.

Ale pokonał ją rak. Miała ledwie dwadzieścia trzy lata.

Helen szczerze mu współczuła w tej części opowieści, bo pamiętała, jak nagle straciła matkę.

Od tego dnia Thomasowi praca wydawała się pozbawiona sensu. Wrócił do Perth i zaczął pracować dla stowarzyszenia broniącego praw Aborygenów. Skorzystał z szansy, by studiować kulturę ludu matki. Stał się nawet „tubylczym przewodnikiem" dla grup zainteresowanych białych turystów. Rodzina matki pokpiwała z niego, ale wiele się nauczył.

Potem przyszedł kroker i otworzył Długą Ziemię. Był to kolejny wstrząs osobistego uniwersum Thomasa, zresztą tak samo jak wszystkich ludzi. Wielu Aborygenów, zwłaszcza młodych, natychmiast dostrzegło potencjał nowej technologii i przekroczyło, szukając świata lepszego niż Podstawowy z jego krwawą historią.

Sam Thomas w tych początkowych dniach przekraczał rzadko, jeśli nie liczyć paru eksperymentów. Po co? Po zwrotach i zakrętach życia nie był już pewien, kim właściwie jest. Stanowił sprzeczność: ani czarny, ani biały; żonaty, ale samotny. Co właściwie mógłby w sobie odkryć na tych innych światach, czego nie znajdzie tutaj? Zamiast ruszyć naprzód, cofał się i wracał zawsze do tego samego miejsca: Łowcy w grocie, jedynego stabilnego punktu w jego życiu, niczym gwóźdź wbity w psychikę.

Tym razem jednak wrócił tu z krokerem. Miał zamiar przeprowadzić eksperyment.

Losowo wybrał kierunek i nacisnął przełącznik.

Australia Zachodnia 1.

Hodowali tu kangury, podobnie jak na Wschodniej 1. Zobaczył stosy tusz, uwiązane konie, strzelby – głównie ze spiżu – oparte o siebie tak, że tworzyły jakby stożek. Na kłodzie siedziało kilku ranczerów; na widok Thomasa unieśli w jego stronę plastikowe butelki piwa. Pomachał im.

Hodowla kangurów stawała się coraz bardziej popularna, także na Podstawowej. Zwierzęta były bardzo wydajne. Na jednostkę wagi kangur potrzebował trzy razy mniej karmy roślinnej niż owca, szóstą część wody i prawie nie wytwarzał metanu: kangurze pierdnięcia były bardzo skąpe.

Thomas nie miał żadnych racjonalnych powodów, by to krytykować. Po prostu jakoś nie wydawało się to właściwe. Ale w końcu ten nowy świat był tylko aneksem starego i Thomas nie miał tu nic do roboty.

Przekroczył dalej, do Zachodniej 2. I 3. I 4. Każde przekroczenie powodowało skurcz żołądka i potrzebował czasu, by wrócić do siebie. Po dwóch godzinach dotarł do Zachodniej 10, gdzie się zatrzymał. Usiadł na zwietrzałej krawędzi formacji skalnej, która praktycznie nie różniła się od „oryginału" na Podstawowej. Tym razem rozejrzał się z uwagą po nowym świecie.

W oddali dostrzegł jakiś ruch; stado wielkich, powolnych i dość niezgrabnych stworzeń rysowało się jako ciemne sylwetki na tle bladobłękitnego nieba. Czworonożne, na jego niewprawne oko wydawały się podobne do nosorożców. Może były ich odpowiednikiem wśród torbaczy, może polowały na nie miejscowe wersje lwów. Widział tu również kangury, skubały liście z niskich gałęzi jakiegoś drzewa, ale były to wielkie zwierzęta, większe niż na Podstawowej, potężne i mocno umięśnione. A tam biegnie daleko stwór podobny do dinozaura, do raptora – zapewne ptak nielot. Było niezwykle cicho, tylko z daleka dochodziły porykiwania ogromnych roślinożerców.

Napił się wody z plastikowej butelki. Do bliskich światów czasem zaglądali myśliwi, niezdolni się oprzeć pokusie zapolowania na miejscową megafaunę. Tu jednak, dziesięć kroków od domu, nie było żadnego śladu ludzkiej obecności, nawet odcisku stopy.

Sam świat bez ludzi był inny. Można by naiwnie sądzić, że każda kopia Pustyni Zachodniej podobna jest do innych. Ale nie – choć ten region zawsze będzie wysuszony, Thomas na pierwszy rzut oka zauważył więcej zieleni, plamy jakiejś wytrzymałej trawy, niskie drzewa… Na Podstawowej lud jego matki przez sześćdziesiąt tysięcy lat formował ziemię ogniem; ten ląd nie znał Europejczyków, ale nie znał też Martu i ich przodków.

Cóż, Thomas nie przybył tu, by podziwiać florę i faunę. Kiedy tylko poczuł się lepiej i mógł stanąć na nogach, obszedł wzniesienie i znalazł grotę – była tutaj, tak samo jak na Podstawowej. Uklęknął; kroker u pasa trochę przeszkadzał. Musiał osłonić oczy przed

światłem chylącego się ku zachodowi słońca, by zajrzeć do środka.

I był tam, w tej grocie. Jakoś wiedział, że go tu znajdzie. Nie jego Łowca, oczywiście – inna ludzka postać ścigająca inne prymitywnie narysowane zwierzę. A dookoła inny zestaw spiral, gwiazd, kresek i zygzaków. I kiedy Thomas ostrożnie dotknął rysunku, wyczuł pokrywającą go patynę – był równie stary jak ten na Podstawowej. Umieszczony tu przez jakiegoś chudego typa, który tysiące lat temu całkiem samodzielnie odkrył, jak przekraczać.

Thomas usiadł przy skale. Roześmiałby się, ale chciał uszanować ciszę, no i wolał nie zwracać na siebie uwagi żadnych drapieżnych torbaczy. Oczywiście, że musieli istnieć aborygeńscy przekraczający. Gdzie taka umiejętność byłaby bardziej przydatna niż w wyschniętym sercu Australii? Gdyby jego przodkowie potrafili wykorzystać pas sąsiednich światów, choćby tylko w sytuacjach zagrożenia, dostępne im rezerwy powiększyłyby się wielokrotnie. A przecież mieli sześćdziesiąt tysięcy lat, by odkryć, jak się to robi.

Ale jeśli nawet, to przecież nie przekraczali tak licznie jak dzisiaj. Może zaczął się nowy czas śnienia, pomyślał Thomas, powtórka epoki, kiedy Przodkowie wędrowali przez pustkę i czyniąc to, powołali ląd do istnienia. Przyszła kolej jego pokolenia, by stało się nowymi Przodkami, by rozpoczęli nowy czas śnienia, który może objąć całą Długą Ziemię. Ale tym razem stworzą krajobraz, jakiego nie przywłaszczy sobie żaden biały kolonista.

I oto Thomas, z telefonem komórkowym w kieszeni, siedział pod skałą, sam na całym świecie.

Mógł wrócić i gdzieś zameldować o swoim archeologicznym znalezisku. Ale może przyszedł czas, by wyruszył w trasę. Mógłby rozebrać się do bokserek, rzucić wszystko i odejść…

Żyjąc na tych nieskończenie szczodrych ziemiach, stał się czesaczem – zanim jeszcze samo słowo, pochodzące od ludzi przeczesujących plaże, weszło do powszechnego użytku. Po pewnym czasie zaczął słyszeć krążące po całej Długiej Ziemi legendy o Joshui Valienté i innych superprzekraczających. Zaczął też z bardziej akademickim zainteresowaniem obserwować tych, którzy dzielili z nim nowy styl życia… A potem w ciszy bardzo dalekiej Ameryki spotkał samego Joshuę.

– Ale to wszystko leżało jeszcze w przyszłości – opowiadał Helen. – Pamiętam tylko, że poklepałem Łowcę, to znaczy Łowcę Zachodniego 10, sięgnąłem do krokera i odszedłem na dobre.

Uśmiechnęła się.

– Wydaje się, że Długa Ziemia dała nam wszystkie możliwe opowieści.

– Racja. A jaka jest twoja? Opowiedz mi o tym Restarcie. Jeszcze kawy?

ROZDZIAŁ 12

Spędzili w Walhalli jeszcze trzy tygodnie, próbując przyzwyczaić Dana do miasta i do myśli, że będzie tu chodził do szkoły – chociaż dyrektor Jacques Montecute i małomówna Roberta odjechali tymczasem na Podstawową, by dołączyć do chińskiej ekspedycji. Helen miała dość czasu, by skosztować miejscowej kuchni, a także kolejnych porcji kawy – i już wiedziała, że kawą to mieszkańcy Walhalli nie mogą się chwalić.

Pociechę znalazła, kiedy tylko weszli na pokład „Złotego Piasku". Większą część pierwszych dwudziestu czterech godzin spędziła w salonie, sącząc najlepszą kawę, jaką piła od… no, od ostatniego razu, kiedy tato zabrał ją do niedużej rodzinnej cukierni w Madison Podstawowym, zanim opuścili je na dobre; miała wtedy dwanaście lat.

Taki właśnie był „Złoty Piasek", myślała; jak najlepszy hotel wszystkich światów, oderwany od gruntu i dryfujący po niebie. Pod długą na dwieście pięćdziesiąt metrów powłoką niczym jakiś ogromny mebel wisiała gondola z polerowanego drewna z Wysokich Meggerów. Helen czuła się zakłopotana samym wejściem; nawet trap był wyłożony dywanem, a w holu recepcji można by postawić cały dom z Diabli Wiedzą Gdzie.

Oczywiście, byli honorowymi gośćmi: Joshua, Dan, Helen, nawet Bill Chambers – i Sally Linsay (Helen zauważyła, że Sally wcale nie była tak dumna, by odmówić podróży tym latającym pałacem). Honorowymi z powodu Joshuy, oczywiście, bohaterskiego badacza Długiej Ziemi. Gdyby chciał, wielki Joshua Valienté mógłby spokojnie utrzymywać się ze swojej legendy, jednak rzadko ją wykorzystywał. Mąż Helen był człowiekiem pełnym sprzeczności. Ale kiedy dostawał takie propozycje, jak podróż „Złotym Piaskiem", nauczył się ich nie odrzucać – tak Helen go wyszkoliła.

Dan oczywiście był w swoim żywiole. Odkąd nauczył się chodzić, chciał być pilotem twaina, i biegał nawet za brudnymi małymi statkami lokalnymi, przepływającymi często nad Diabli Wiedzą Gdzie. Kiedy weszli na pokład „Złotego Piasku", Helen myślała już, że oczy mu z orbit wyskoczą.

Z początku jednak trochę się niepokoiła. Dla Dana był to pierwszy rejs długodystansowy. Joshua był wręcz modelowym naturalnym przekraczającym, znanym na wszystkich światach, natomiast Helen nie. Dan, który nawet kolorystykę odziedziczył mieszaną – ciemne włosy po ojcu, ale bladą cerę matki – zdolności przekraczania także miał pośrednie, między ojcowskimi i matczynymi. Należy też pamiętać, że miał fobicznego wuja Roda, brata Helen, który w ogóle nie był zdolny do przekraczania. Środki medyczne hamujące symptomy krokowych mdłości były obecnie bardzo zaawansowane, więc prawie każdy mógł wytrzymać nawet szybkie przeloty twainami. Prawie każdy – jednak nie wszyscy. Gdyby u Dana pojawiły się jakiekolwiek niepokojące objawy, byłby to koniec podróży dla niego i Helen – bez wątpienia Joshua poleciałby z Sally dalej. No i koniec marzeń dla Dana. Dlatego Joshua i Helen oboje odetchnęli z ulgą, kiedy lekarz pokładowy, krążący wokół pasażerów w chwili startu, dyskretnie pokazał im wystawiony w górę kciuk.

Potem załoga zaczęła Dana rozpieszczać. Na życzenie Helen przez cały czas miał mu towarzyszyć ktoś z rodziców albo wyznaczony przez kapitana młodszy marynarz. Marynarz przedstawił się Danowi jako bosman Higgs (wymawiał „boson Higgs"), ale Helen nie uwierzyła mu nawet przez sekundę. W jego towarzystwie Dan mógł obejrzeć cały statek, od drabin i pomostów wewnątrz powłoki, z jej ogromnymi zbiornikami helu, poprzez ładownię i maszynownię w gondoli, kabiny i restaurację, służącą też jako sala balowa – a nawet mostek, wielki przezroczysty bąbel na dziobie, skąd widział wielkie statki wzbijające się ze świata do świata i dołączające do flotylli sunącej wciąż na wschód, do Ziemi Podstawowej.

Nawet dla Helen widoki Morza Amerykańskiego z porośniętym frędzlą lasu wybrzeżem, za każdym uderzeniem serca w innym świecie, były przeżyciem niezwykłym i budzącym dreszcz, mimo jej ogólnej niechęci do podróży.

Drugiego wieczoru rejsu dorośli zostali uhonorowani zaproszeniem do kapitańskiego stołu. Czegóż innego można by oczekiwać dla rodziny Valienté? Restauracja znajdowała się na dziobie, pod samym mostkiem. Helen nie mogła uwierzyć, jak bogato zdobione jest to pomieszczenie: filigranowe rzeźbienia w białym drewnie, okute kły mamuta i zawieszone w rogach ogromne żołędzie, wyglądające na oryginały olejne obrazy przedstawiające sceny z różnych światów Długiej Ziemi, fotele i dywany miękkie jak sierść szczeniąt… a nawet wiszący nad stołem kandelabr. Wszystko to przyjemnie odwracało uwagę od innych jedzących – byli to na ogół obrzydliwie bogaci kupcy z Długiej Ziemi, przepuszczający swoje dochody, albo turyści z Ziemi Podstawowej, którzy wyruszyli w „rejs życia". Niejeden raz już brali Helen i Joshuę za członków załogi.

Główną atrakcją był widok na zewnątrz. Od kapitańskiego stołu, ustawionego przy dziobowych oknach, widać było migające w dole światy i lśniące, podobne do chińskich lampionów kadłuby towarzyszących im statków, których kilkanaście wisiało już pod zmiennym niebem. Pokonali długą drogę – z maksymalną szybkością jednego kroku na sekundę twain mógł przebyć prawie dziewięćdziesiąt tysięcy światów na dobę, choć średnie tempo miało być znacznie niższe i do Podstawowej planowali dotrzeć za kilka tygodni. Zapadał zmierzch, zmieniające się światy były ciemne, zwykle niezamieszkane. Tylko jeden skrzył się światłami miasta. Kapitan wyjaśnił, że to Amerika, nowe państwo holenderskie – jeden pełny cień Stanów Zjednoczonych, przez rząd federalny przekazany Holandii. Początkowo bowiem Długa Ziemia nie na wiele się Holendrom przydała – na wszystkich wykrocznych światach tereny, które przez stulecia pilnie chronili przed morzem, wciąż były zalane…

Główna atrakcja pokazu – a kapitan tak wyliczył czas kolacji, żeby ten szczególny moment mogli podziwiać, akurat kiedy do stołu podjechał wózek z deserami, a zachodzące słońce dotknęło horyzontu – pojawiła się, gdy zniknęło wielkie śródlądowe Morze Amerykańskie, którego cień towarzyszył im bezustannie od startu z Walhalli. Akwen rozpadł się najpierw na rozproszone jeziora, a potem zniknął pod pokrywą lasu ciągnącego się jak okiem sięgnąć. Helen poczuła ukłucie w sercu, kiedy znikło ich morze – a raczej cień ich morza. Parę minut później jego miejsce przed dziobem zajęła przecinająca kontynent szeroka, spokojna, lśniąca rzeka. To była Missisipi albo daleka kuzynka wielkiej rzeki z Podstawowej, stały element w większości Ameryk – nawet Diabli Wiedzą Gdzie leżało nad brzegiem jednej z jej wykrocznych kopii. Przez pozostałą część trasy rzeka miała być ich nieodłącznym towarzyszem.

Wieczorem namęczyli się mocno, żeby położyć Dana spać. Helen uznała, że to wina deseru – za dużo czekolady. Joshua zaś wyruszył na poszukiwanie Billa, który hucznie świętował ten wieczór z załogą.

ROZDZIAŁ 13

Dobrzy ludzie z Miasta Czterech Wód, głęboko w wykrocznym Idaho, wyraźnie się ucieszyli, kiedy na niebie nad nimi pojawił się USS „Benjamin Franklin". Natychmiast urządzili masowe przyjęcie dla całej pięćdziesięcioosobowej załogi; mięso było tak smakowicie pachnące i delikatne, że duch wołu zapewne z aprobatą spoglądał na nie z góry, jak uznała Maggie. Potem jednak rozmowa stała się trudniejsza.

Kapitan Maggie Kauffman szła wolno po głównej, a właściwie jedynej ulicy w Mieście Czterech Wód. Położone gdzieś w okolicach stu pięćdziesięciu tysięcy kroków od Podstawowej, na typowym rolniczym świecie Pasa Uprawnego, miasteczko było schludne i gwarne. Na pierwszy rzut oka przypominało Dodge City, tyle że bez rewolwerowców. Miało za to nieodłączną wieżę telefonii komórkowej – zasługa Korporacji Blacka. Przewodniczka Maggie, burmistrz Jacqueline Robinson z dumą pokazywała również inne cywilizacyjne osiągnięcia, w tym całkiem przyzwoity szpital obsługujący także kilka miasteczek w sąsiednich wykrocznych światach.

Jednak burmistrz – twarda kobieta koło pięćdziesiątki – wydawała się dziwnie zdenerwowana. Maggie zastanawiała się, czy to z powodu niewielkich zagonów cannabis, jakie zauważyła w tym czy innym ogródku, obok innych egzotycznych roślin; rosły na widoku, tuż przy ulicy. Kiedy burmistrz Robinson zauważyła w końcu, czemu Maggie się przygląda, powiedziała szybko:

– Prawdę mówiąc, to w większości zwykłe konopie. Niewinne. Nadają się na mocną tkaninę na odzież roboczą. Moja rodzina ze strony matki pochodziła z Czech. Dziadek opowiadał kiedyś, jak gliny zarekwirowały kiedyś to, co miało się stać jego koszulą…

Maggie nie zareagowała natychmiast. Wiedziała, kiedy pozwolić, by milczenie skłaniało do mówienia. Dopiero po chwili spytała:

– W większości?

– Co do innych zastosowań… młodzi nie są zainteresowani. A w opinii zgromadzenia mieszkańców tego miasta, dla ludzi dorosłych to w porządku, byle dzieciaki trzymały się z daleka. Zresztą muszę pani powiedzieć, że rośnie tu w lasach na zachodzie taki ciekawy kwiatek, chyba naturalnie występujący w tym świecie. On rzeczywiście może namieszać w głowie. Wystarczy spacer po lesie… Rany… – Mówiła za szybko. W końcu zamilkła i po chwili wzruszyła ramionami. – Bez urazy, pani kapitan, bo przecież przynajmniej w teorii reprezentuje pani rząd. Przestrzegamy tutaj własnych wartości. To znaczy owszem, wszyscy uważamy się za Amerykanów i wiąże nas konstytucja. Ale nie uważamy, żeby jakaś daleka władza mogła nam mówić, co powinniśmy robić. Albo myśleć, skoro już o tym mowa.

– Jestem oficerem marynarki wojennej – odparła Maggie. – Nie służę w policji. Co więcej, marynarka ma tradycyjnie ścisłe dyrektywy zakazujące wypełniania funkcji policyjnych. Pani burmistrz, nie przybyłam tutaj, żeby osądzać ani krytykować. My, we flocie sterowcowej, możemy zaoferować pomoc. Jako kapitan mam dużą swobodę w interpretacji rozkazów. – Nie była pewna, czy zabrzmiało to przekonująco. Burmistrz wciąż zdradzała tę dziwną nerwowość. – Proszę posłuchać… Czy jest jeszcze coś, o czym chciałaby mi pani powiedzieć?

Robinson wyglądała, jakby ktoś ją przyłapał na czymś bardzo niedobrym.

– A co by pani zrobiła… gdyby pojawiło się coś poważnego?

– Nie jestem z policji – powtórzyła z naciskiem Maggie. – Może potrafilibyśmy pomóc.

Robinson nadal nie była pewna. Ale po chwili jakby się przełamała.

– No więc… zdarzyło się przestępstwo. Właściwie dwa przestępstwa. Nie jesteśmy pewni, jak tę sytuację rozwiązać.

– Tak?

– Ucierpiało dziecko. Narkotyki. Tak, to były narkotyki. I morderstwo.

Maggie pomyślała, że ta nieskładna obrona lokalnych zwyczajów narkotykowych słusznie wydawała się trochę wymuszona.

– Wie pani… – rzekła Robinson. – Nie chcę rozmawiać tutaj. Lepiej chodźmy do mojego gabinetu.

ROZDZIAŁ 14

Sterowiec USS „Benjamin Franklin” nie wypełniał konkretnej misji wojskowej, mimo że należał do marynarki wojennej.

Wyprawa „Franklina” – długi lot przez Długą Ziemię – była tak naprawdę próbą podtrzymania spójności Egidy Stanów Zjednoczonych, koncepcję wciąż forsowaną w Podstawowym Waszyngtonie. Och, mieli także cele naukowe. Każdy wykroczny świat powinni zarejestrować, każdego jokera opisać. Załoga miała pobrać próbki nowych form życia, zbadać formacje geologiczne i warunki klimatyczne – wydano im też specjalne polecenie, by poszukiwali inteligencji wszędzie, gdzie tylko trafią. Dlatego też, odpowiednio do tej misji, „Benjamin Franklin” nie był transportową krypą, ale najnowocześniejszym statkiem powietrznym najeżonym czujnikami – i bronią.

Ale prawdziwy cel podróży „Benjamina Franklina” polegał na przeleceniu przez wykroczne Ziemie w granicach cienia Stanów Zjednoczonych, by pokazać amerykańską flagę tylu nowym koloniom, ile zdoła zlokalizować lub wręcz odkryć, jako że wiele z nich nie zarejestrowało swego istnienia u żadnych przedstawicieli władz Podstawowej. Zadaniem „Franklina” było odszukanie i policzenie wszystkich Amerykanów, a także przypomnienie im, że są Amerykanami.

Operacja rozpoczęła się oficjalnie trzy tygodnie wcześniej, pewnego kwietniowego dnia w Richmond, stan Wirginia, Ziemia Podstawowa. Maggie Kauffman stała przed pustym podwyższeniem w miejskim parku razem z oficerami i załogą, mając u boku swego zastępcę Nathana Bossa i okrętowego lekarza Joego Mackenzie. Wielkie amerykańskie flagi zwisały miękko po obu stronach sceny, a w górze wisiał wielki transparent z napisem W JEDNOŚCI SIŁA. Sam park leżał niedaleko północnego brzegu James, gdzie wysokie budynki wystawały ponad warstwą smogu. Były opuszczone, ich zabite okna przypominały wydłubane oczy.

Za barierkami tłoczyła się publiczność, którą dzisiejsza uroczystość zwabiła z całej okolicy, a nawet z sąsiednich światów. A było co oglądać, nawet jeśli na kimś nie robiły wrażenia równe szeregi ustawionych na baczność marynarzy. Każdy musiałby przyznać, że same twainy stanowią oszałamiający widok – sześć nowoczesnych wojskowych sterowców, z dumą stworzonych przez konsorcjum United Technologies, General Electric, Kompanii Handlowej Długiej Ziemi i Korporacji Blacka: „Shenandoah”, „Los Angeles”, „Akron”, „Macon”, „Abraham Lincoln” i „Benjamin Franklin”, którym miała dowodzić trzydziestoośmioletnia Maggie. Dumne tradycyjne nazwy na dumnych nowych okrętach, najpotężniejszych we flocie, z wyjątkiem jedynie eksperymentalnego USS „Neila Armstronga”, wysłanego już z misją badawczą na bardzo daleki wykroczny zachód.

W końcu wokół podwyższenia powstało lekkie zamieszanie i pojawił się prezydent Cowley, potężnie zbudowany mężczyzna w ciemnym garniturze, wyraźnie spocony, z lśniącymi włosami spryskanymi lakierem tak mocno, że wyglądały jak ułożony na głowie plastikowy odlew. Towarzyszyła mu ochrona w regulaminowych czarnych garniturach i ciemnych okularach.

Na podwyższeniu powitał go admirał Hiram Davidson z marynarki wojennej USA. Davidson dowodził nowo utworzonym sztabem formacji Długiej Ziemi, USLONGCOM, stacjonującym w Camp Smith na Hawajach. Krok w krok za admirałem podążał jego adiutant, kapitan Edward Cutler, zdaniem Maggie sztywny biurokrata, świetny za powierzonym sobie biurkiem. Sławny – czy też niesławny – Douglas Black także zjawił się osobiście, stał wśród polityków i innych dygnitarzy czekających już, by uścisnąć Cowleyowi rękę. Black był zaskakująco niski, uznała Maggie, przyglądając mu się z zaciekawieniem. Powyżej siedemdziesiątki, łysy i pomarszczony, przypominał trochę Golluma w ciemnych okularach. Oczywiście, to Black ofiarował kluczowe elementy technologii, dzięki którym powstały te wojskowe okręty, podobnie jak wszystkie przekraczające twainy, więc jeśli ktokolwiek miał prawo się tutaj znaleźć, to on z całą pewnością. Nieważne, czy rzeczywiście przekazywał fundusze

na kampanię wyborczą Cowleya (Maggie podejrzewała, że finansuje obie strony, a na dodatek jeszcze sporo kandydatów niezależnych), jego obecność sprawiała, że wydarzenie było dla mediów jeszcze ciekawsze niż z powodu prezydenta. A kiedy na podwyższeniu ściskano sobie dłonie i poklepywano się po ramionach, w górze pojawił się helikopter – Little Bird, znak ochrony i groźby. Sama misja i ceremonia startu były planowane od dłuższego czasu, ale w reakcji na Deklarację Walhallańską podkręcono wojskową symbolikę.

Kiedy Cowley zbliżył się do mównicy, mimo jawnie propagandowej scenerii Maggie Kauffman poczuła dreszcz podniecenia. Oto stała twarzą w twarz z samym prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Cowley zaczął mówić – głos rozlegał się z megafonów, a jego twarz pojawiła się na wielkim ekranie z tyłu sceny. Po kilku wstępnych swobodnych uwagach przeszedł do rzeczy.

– W Dniu Przekroczenia jakby ogromna brama otworzyła się w murach świata, odsłaniając nowe, kuszące krajobrazy. I jak ludzie to wykorzystali? Niektórzy chcieli po prostu odejść; wierzyli, że czeka ich tam życie lepsze niż na tym pięknym zielonym świecie, jaki Bóg nam podarował, świecie, który teraz musimy nazywać Podstawowym. I odeszli. Każda rodzina, która czuła się skrzywdzona, każda grupa czy sekta, czy frakcja, która uznała, że lepiej sobie poradzi gdzie indziej… Niespokojne duchy, elementy aspołeczne, ludzie zwyczajnie ciekawi… Wszyscy wyruszyli, przekraczając po nowych szlakach wędrówek ku dalekiemu błękitowi. Nie mogę zaprzeczyć, że te wrota, których nie można zamknąć już nigdy, były kuszące. Historia pokaże, że w ciągu pierwszych kilku lat po Dniu Przekroczenia utraciliśmy piątą część ludzi z Ziemi Podstawowej. I wszyscy wiemy, jakie to miało konsekwencje.

Wskazał ręką opuszczone wieżowce na skraju parku, a w tłumie widzów tu i tam dały się słyszeć pomruki aprobaty.

– My, którzy pozostaliśmy w domach, by troszczyć się o rodziny i wykonywać swoje obowiązki, staliśmy się biedniejsi. My, których zostawili za sobą, staliśmy się biedniejsi. Co więcej, nasz bezpieczny świat nagle otworzył się na zagrożenia, nowy rodzaj zagrożeń, wszechwymiarowe zagrożenia, jakich nie znaliśmy do tej pory.

Na ekranie za jego plecami pojawiły się obrazy: kalejdoskop grozy, od niebezpiecznych potencjalnych zamachowców, terrorystów, gwałcicieli, porywaczy i morderców, którzy szybko się nauczyli wykorzystywać destrukcyjny potencjał przekraczania, poprzez zgraje brudnych bandytów z Wysokich Meggerów, którzy wyglądali, jakby zeszli z planu spaghetti westernu, aż po istoty dziwaczne, jakie nadeszły traktem prowadzącym z niezwykłych nowych światów: zniekształcone humanoidy ubrane w urągowisko ludzkiej odzieży… i Mary, troll o łagodnych oczach, a jednak morderczy. Ten obraz wywołał w tłumie niechętne okrzyki.

– Dlatego właśnie ja, jako wasz przywódca, stworzyłem nową formację wykorzystującą wszystkie rodzaje naszych wspaniałych sił zbrojnych, by mogła stawić czoło nowym sytuacjom. Nazywa się USLONGCOM, przez analogię z innymi dowództwami geograficznymi naszej armii. Wielu jej członków zebrało się tu dzisiaj, w historycznym sercu Richmond. Wiele tysięcy szkoli się w obozach na całym świecie, a nawet w bliskim wykrocznym sąsiedztwie. Okażmy im swój podziw.

Pierwszy zaczął klaskać i fala braw przetoczyła się przez audytorium.

– Dzisiaj – huczały dalej głośniki – ogłaszam rozpoczęcie ich pierwszej misji: Operacji Syn Marnotrawny.

Znowu oklaski tu i tam, ale też zdziwienie.

– Jestem przekonany, że wybrany kryptonim sam się tłumaczy. W tej misji nie chodzi o walkę z żadnym wrogiem, ale o sięgnięcie do naszych zagubionych dzieci. Nie chcemy demonstrować siły militarnej, ale stanowczość surowego rodzica. W tych sześciu pięknych powietrznych okrętach oddziały naszych młodych wojowników ruszą poprzez światy ku zachodowi, by pokazać swą siłę „koloniom”… – Zaakcentował cudzysłowy zgiętymi palcami.

Znowu zabrzmiały oklaski i okrzyki:

– Skopać im tyłki!

– Przerobić Walhallę na parking twainów!

Cowley uniósł ręce.

– Pozwólcie, że jeszcze raz to podkreślę: nie chodzi nam o ekspedycję karną. Moja administracja pragnie jedynie wspierać tych przedsiębiorczych obywateli, którzy pracowicie rozwijają gospodarki tak zwanych Niskich Ziemi, przyczyniając się do wspólnego narodowego dobra. Nie z nimi toczymy spór. Spór toczymy z tymi, którzy odeszli dalej. Którzy często wiodą życie całkiem bezproduktywne i bezcelowe. Którzy skłonni są przyjąć ochronę Egidy Amerykańskiej, a mimo to nie oferują nic, by ją utrzymać.

Znowu oklaski i okrzyki. Cowley pokazał kartkę papieru.

– Mam tutaj tę ich tak zwaną Deklarację Niepodległości. To nic innego jak drwina z najwspanialszej chwili w historii naszego narodu. – Teatralnym gestem przedarł papier, wzbudzając kolejne okrzyki entuzjazmu. – Nasza akcja osiągnie cel, kiedy jej głównodowodzący, ten oto admirał Davidson, stanie na stopniach ratusza w zbuntowanej enklawie Walhalli i przyjmie marnotrawnych z powrotem na łono naszej narodowej rodziny. Ameryka rozproszyła się po wielu światach. Nadszedł czas, by te zagubione stada znowu zgromadzić w jedno. Czas zebrać odłamki, byśmy znów mogli rosnąć silni w jedności.

Wskazał hasło na transparencie nad głową. Po chwili zwrócił się do stojących w szyku żołnierzy.

– A o wykonanie tej świętej misji proszę tych dzielnych młodych ludzi. Izajasz sześć, wers ósmy: „I usłyszałem głos Pana mówiącego: Kogo mam posłać? Kto by Nam poszedł? Odpowiedziałem: Oto ja, poślij mnie!”. Kogo mam posłać na operację Syn Marnotrawny? Kto by nam poszedł?

Ćwiczyli tę odpowiedź.

– Oto ja! Poślij mnie! Poślij mnie!

Dyscyplina w szeregach rozluźniła się nieco, gdy marynarze i piechota morska wiwatowali i krzyczeli.

Stojący obok Maggie Joe Mackenzie burknął z niechętnym podziwem:

– Cowley to może i sukinsyn, ale jednak prezydent.

– I jest elastyczny, doktorze – przyznała cicho Maggie. – Tutaj podlizuje się wyborcom, bo sprawia wrażenie, jakby chciał dać lekcję kolonistom, a równocześnie ugłaskuje kolonistów, prezentując naszą misję jako przyjęcie na łono rodziny.

Mac zerknął na ciężko uzbrojone twainy.

– Niezła rodzinka. To w górze to nie są sanie Świętego Mikołaja. Będziemy mieli szczęście, jeśli nie sprowokujemy jakiejś wymiany ognia.

– Nie dojdzie do tego.

– Tak czy inaczej, to wielkie wyróżnienie, że dostała pani misję do wypełnienia.

– Szczera prawda – zgodziła się Maggie.

Oczywiście, kiedy znaleźli się już daleko na Długiej Ziemi, spotkali się z nieufnością co do tej misji.

Wielu pionierów z Długiej Ziemi, zwłaszcza tych w pierwszym pokoleniu, opuściło Podstawową właśnie dlatego, że byli głęboko nieufni wobec rządu centralnego – pochodzili z kraju, gdzie takie emocje zawsze były wyraźne. A co dzisiaj mógł zaoferować dalekiej wykrocznej kolonii rząd z Podstawowej? Mógł grozić podatkami, ale gwarantował bardzo niewiele – w dodatku przez lata wycofał się praktycznie ze wszystkiego. Ochrona? Kluczowym problemem był fakt, że nie istniał żaden wykrywalny przeciwnik, żadni źli ludzie, których można by szpiegować czy śledzić, żadne strachy pozwalające wskazać wrogów. Chiny wciąż jeszcze się nie podniosły ze swojej postkrokowej rewolucji. Równoległe Europy zaludniali spokojni farmerzy. Nowe pokolenia Afrykan odzyskiwały zniszczony kontynent i jego wykroczne kopie. I tak dalej. Nie istniało żadne zagrożenie, które trzeba byłoby zwalczać.

Maggie wiedziała, że jej zadaniem jest dyplomatycznie przypomnieć zagubionym kolonialnym owieczkom, iż są częścią większej trzody – ponieważ w domu, w Waszyngtonie, panowało głębokie przekonanie, że pod Amerykańską Egidą ten nowo poszerzony kraj zaczyna się rozpadać, i wszyscy instynktownie czuli, że nie można do tego dopuścić. Była to prawda, jeszcze

zanim z Walhalli dotarła ta prowokacyjna Deklaracja Niepodległości.

Ale wszystko to stanowiło zadanie na przyszłość. W tej chwili, ledwie parę tygodni od pożegnalnej ceremonii Cowleya, dla Maggie trudna okazała się teraźniejszość: przerażający węzeł etyczny i prawny, który musiała rozsupłać ze swoją wciąż jeszcze zieloną załogą, na wciąż nie do końca sprawdzonym okręcie.

ROZDZIAŁ 15

Biuro burmistrz Miasta Czterech Wód mieściło się w budynku o przewidywalnie pionierskiej architekturze, choć – jak stwierdziła w duchu Maggie – była to prawdziwa rezydencja w porównaniu ze wszystkim, co mógł znać Daniel Boone. Jednak z pewnością rozpoznałby i przyjął z aprobatą suszące się futra, słoje marynat w kącie, rozmaite łopaty, szpadle i inne narzędzia ogrodnicze – wszystkie świadectwa przeżywanego intensywnie pionierskiego życia. Była też piwnica, świadcząca o tym, że burmistrz i jej rodzina są ludźmi przewidującymi, a może lekko paranoicznymi (czy też rozsądnie ostrożnymi): żaden intruz nie mógł przekroczyć do podziemnego pomieszczenia…

– Przejdźmy do rzeczy, pani kapitan – powiedziała Robinson.

– Bardzo proszę. – Maggie usiadła.

– Dziecko. Nazywa się Angela Hartmann. To się stało przed tygodniem. Kiedy znalazła ją rodzina, mała była zaprawiona w trupa… Przepraszam. Zapadła jakby w śpiączkę, wyszła z niej dopiero po paru dniach. Wiemy, kto to zrobił, kto jej podał narkotyki i miał odlot razem z nią. I wiemy, kto popełnił morderstwo.

Jakie morderstwo?

– Gdzie są teraz ci ludzie?

Pani burmistrz wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie przyszło nam do głowy, żeby zbudować więzienie. Budowaliśmy kamienną lodową chatę na zimę. Skorzystaliśmy z niej. Jest porządna i nie sądzę, żeby ktoś mógł się stamtąd wydostać. Naprawdę solidna i duża.

– I tam wsadziliście tego typa, który dał dziecku narkotyki?

Robinson zerknęła na nią niepewnie.

– Przepraszam. Źle pani zrozumiała. Nie wyrażałam się jasno. Kiedy jestem zdenerwowana, zaczynam trochę paplać. Tamten drań nie siedzi w lodowej chacie. Tamten drań leży w kostnicy. W lodowej chacie siedzi ojciec Angeli.

– Aha. Czyli ojciec znalazł dilera…

– I go zabił.

– Jasne. – Maggie zaczynała rozumieć. – Dwa przestępstwa, narkotyki i morderstwo.

– Nikt niczemu nie zaprzecza. Ale w rezultacie tego wszystkiego jesteśmy… rozdarci. Jak załatwić tę sprawę? Co zrobić z ojcem…?

Dlaczego ja? – pomyślała Maggie. Miała przecież tylko pomachać flagą i okazać dobrą wolę. W tej chwili Nathan Boss, jej zastępca, kupował świeże warzywa, nie miał większych problemów. W przeciwieństwie do mnie.

Ale właściwie dlaczego nie ja? Po to tutaj przylecieliśmy…

– Jak rozumiem, nie próbowaliście się kontaktować z władzami Podstawowej?

Robinson zarumieniła się lekko.

– Prawdę mówiąc, byliśmy wystraszeni. Nigdy nawet nie informowaliśmy Podstawowej, że tu jesteśmy. Uznaliśmy, że to nie ich sprawa.

– I nie działa żaden lokalny system wymiaru sprawiedliwości w wykrocznym sąsiedztwie?

Pani burmistrz pokręciła głową.

Maggie milczała przez coraz dłuższą chwilę.

– No dobrze – rzekła w końcu. – Przede wszystkim zbierzecie swoje papiery i powiadomicie rząd Podstawowej, że tu jesteście. Pomożemy wam przy tym, tak samo jak przy dodatkowych szczegółach, typu ratyfikacja aktów własności gruntu i tak dalej. To najważniejsze. A potem… macie tu człowieka w areszcie, bez wyroku ani żadnego procesu, więc musimy to jakoś rozwiązać. Powtórzę: nie przybyłam tutaj z mandatem do działań policyjnych. Ale możemy pomóc. Jednak zanim to nastąpi, pozwoli pani, że mój lekarz okrętowy zbada tę dziewczynkę.

Kilka godzin później Joe Mackenzie wyszedł z domu Hartmannów. Był mężczyzną po pięćdziesiątce, siwiejącym, zmęczonym długimi latami pracy w zespołach ratowniczych i szpitalach wojskowych, właściwie za starym do służby na okręcie, ale Maggie pomogła mu trochę nagiąć przepisy, bo chciała w tej misji mieć go przy sobie. Tego słonecznego popołudnia twarz doktora wydawała się mroczna jak noc.

– Wiesz, Maggie, czasami brakuje słów… Chętnie spędziłbym trochę czasu w zamkniętym pomieszczeniu razem z zamieszanym w sprawę dżentelmenem i z kijem bejsbolowym, wiedząc z chirurgiczną precyzją, w jakie miejsca najlepiej uderzać…

W takich chwilach Maggie była zadowolona, że pilnowała swojej kariery, nigdy nie wyszła za mąż, nie miała dzieci; całkowicie wystarczała jej rola ciotki.

– W porządku, Mac.

– Nie, nie jest w porządku, nie dla tej dziewczynki. Chciałbym ją odesłać do szpitala na Podstawowej na pełne badania. A przynajmniej weźmy ją na pokład, żeby obserwować przez jakiś czas.

Maggie kiwnęła głową.

– Dobrze. Chodźmy pogadać z przywódcami tej osady.

Spotkali się w biurze pani burmistrz. Maggie towarzyszyli Mac i Nathan Boss. Naprzeciw usiedli sama Robinson i kilku wybranych obywateli, których burmistrz uznała za zrównoważonych i rozsądnych, przynajmniej według norm tej społeczności. Mieli rozważyć wyrok.

Kiedy usiedli, wszyscy patrzyli na kapitan – patrzyli jak na wybawcę, uświadomiła sobie. Odchrząknęła. Pora się wziąć do pracy, pomyślała.

– Chcę zaznaczyć… a spotkanie jest rejestrowane… że ta sesja ma jedynie charakter dochodzeniowy, nic więcej. Procesy sądowe mogą nastąpić później, zależnie od potrzeb. Nie mamy tutaj uprawnień policyjnych. Na prośbę burmistrz tego miasta wzięłam na siebie zadanie ustalenia wszelkich dotyczących tej sprawy faktów. Podsumuję zatem to, czego się dowiedziałam; jak rozumiem, nikt tym faktom nie zaprzecza.

Odetchnęła.

– Tydzień temu Roderick Bacon nakarmił narkotykami Angelę Hartmann, dziewięcioletnią córkę Daphne i Raymonda Hartmannów. Słysząc krzyk dziewczynki, Ray Hartmann wbiegł do jej pokoju i zobaczył przy niej Bacona. Dziewczynka wymiotowała i miała drgawki. Hartmann odciągnął mężczyznę, oddał córkę pod opiekę matki, następnie pobił Bacona, wywlókł go przed dom i nadal bił, powodując zgon po paru minutach. Zaalarmowani krzykami sąsiedzi zeznali, że Bacon błagał o życie, tłumacząc, że „blady anioł" kazał mu to zrobić, wzbudził w nim pragnienie, by temu „czystemu dziecku" przekazać dar swego „wewnętrznego światła". Z braku prawnika poprosiłam mojego pierwszego oficera, komandora Nathana Bossa, by odebrał od Hartmanna zeznanie na temat wydarzeń owej nocy, a także zeznanie żony Bacona. Według żony Bacon przed popełnieniem przestępstwa przebywał poza domem, zbierał psychoaktywne kwiaty, endemiczne dla okolicznych lasów. Prowadził dyskretny interes o wątpliwej legalności, sprzedając ten towar sąsiednim wykrocznym światom…

W tym miejscu Maggie przerwała. Żałowała, że nie została lepiej przygotowana do takich sytuacji. Rozejrzała się po pokoju.

– Chcę zaznaczyć, że Angela spędzi noc na pokładzie „Benjamina Franklina" pod opieką doktora Mackenziego. Zaproszę też jej matkę, by została przy córce na noc. Posłałam już kogoś z załogi, żeby odprowadził ją na pokład. A tymczasem, no cóż… Bacon nie żyje, a Ray Hartmann jest aresztowany.

Odczekała chwilę, nim podjęła:

– Wydaje mi się, że rozumiem uczucia wszystkich zamieszanych w tę historię. Nie jestem prawnikiem. Nie jestem sędzią, ale mogę przedstawić moją osobistą ocenę. Trzeba uznać, że Bacon był winien. Świadomie wystawił się na działanie narkotyków, to znaczy tych leśnych kwiatów; uważam zatem, że był odpowiedzialny za swoje późniejsze zachowanie. Jednak morderstwo jest morderstwem. Lecz bardzo niechętnie potępiłabym czyny wzburzonego męża i ojca.

Zastanowiła się.

– Co dalej? Prześlemy meldunek i w końcu gliny z Podstawowej zjawią się tutaj, przeprowadzą pełne śledztwo i przekażą systemowi sądowniczemu… ale to może potrwać lata. Egida to wielki obszar i trudny dla policjantów. Tymczasem macie Raya Hartmanna w lodowej chacie. Co z nim zrobić? Szczerze mówiąc, to wy… wy wszyscy musicie być sędziami i przysięgłymi, oskarżycielami i obrońcami. Możemy zostawić wam rady co do właściwego postępowania. Ale zachęcam, żebyście sami doszli do tego, jak rozwiązać tę sprawę w ramach amerykańskiego prawa, tak jak je rozumiecie.

Przyjrzała im się po kolei.

– Domyślam się, że takiej właśnie autonomii szukaliście, przybywając tutaj. A na dłuższą metę… dogadajcie się z wykrocznymi sąsiadami. Jestem pewna, że wspólnie moglibyście utrzymać odpowiednik sądu rejonowego. Słyszałam, że takie rozwiązania są popularne wśród kolonizowanych światów. Wynajmijcie jednego prawnika lub kilku, zadbajcie o wizyty sędziego objazdowego.

Czuła się, jakby uszła z niej para. Wstała.

– Z mojej strony to wszystko. Reszta należy do was jako społeczności. Aha, spalcie te kwiaty! Tylko pamiętajcie, żeby to robić, kiedy wiatr nie wieje w stronę miasta. Nathan, dopilnuj, żeby dział naukowy najpierw pobrał próbki. I to tyle, moi drodzy, przynajmniej na dzisiaj. Protokół tej sesji przygotujemy dla wszystkich na jutro.

Tego wieczoru Maggie spotkała Joego Mackenzie, jak wychodził z niewielkiej pokładowej izby chorych.

– Co z nią? – spytała.

– Dzięki Bogu, że spędziłem semestr w szpitalu dziecięcym, zanim się zaciągnąłem.

– Kawa pomoże?

W kajucie Maggie Mackenzie z wdzięcznością wziął kubek i wypił dwa duże łyki.

– Wiesz – powiedział – prywatnie uważam, że drań dostał, co mu się należało. Ale jesteśmy oficerami marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Nawet Wyatt Earp musiał udawać, że przestrzega prawa.

– Mam nadzieję, że sami do tego dojdą. Wielu innym koloniom się udało.

– Ale inne kolonie nie miały tych przeklętych kwiatków. A moim zdaniem ta osada sprawia wrażenie hippisowskiej. Wiesz, o czym mówię? To wrażenie, że ludzie nie przejmują się pracą. Scenariusz kontrkultury, która poszła w złą stronę. Zbyt wielu naćpanych na maksa.

– Skąd się to wszystko wzięło, Mac?

– Dziadek zostawił mi pełny zestaw „Katalogu Pełnej Ziemi". Są tam kontrkulturowe towary z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych… Wiesz, zainteresowało mnie to. Niektóre ich wartości naprawdę były wzniosłe i godne pochwały, ale jeśli chodzi o sprawy przyziemne… Widzisz, sekret budowy społeczności nie polega na ideałach i teoriach albo byciu na haju. Polega na ciężkiej pracy, poczuciu humoru, dobrej woli sąsiadów i myśleniu o przyszłości. Ale to, co widzieliśmy, moim zdaniem ma w sobie ziarno tragedii. Margarita Jha z działu biologii i ja przeanalizowaliśmy te śliczne kwiatki rosnące wszędzie w ich lasach. Uzależniające i halucynogenne jak diabli. A rosną jak chwasty.

– Wielkie nieba! Mamy wysyłać Agencję Narkotykową do każdej nowej osady? Muszą jakoś sami sobie z tym poradzić.

– Tak to w końcu rozwiązali na Podstawowej. Po Dniu Przekroczenia handel narkotykami gwałtownie rozkwitł. Policja nie mogła kontrolować przekraczających dilerów. W centrach miast policjanci wycofali się więc i… Cóż, powiedzmy, że pozwolili działać doborowi naturalnemu.

Mówił obojętnym tonem. W trakcie swej kariery najwyraźniej widział rzeczy, przed którymi nawet ona, w wojsku, była chroniona.

– W każdym razie ten konkretny problem mamy chyba za sobą. Myślę, że Hartmanna wypuszczą. Ale przydał im się taki wstrząs; nauczą się lepiej kierować swoimi sprawami.

– Pewnie. Nieźle to załatwiłaś – przyznał kwaśno Mac. – Ale przerażające jest to, że

dopiero zaczęliśmy naszą misję. Co nas czeka na sąsiednim świecie?

ROZDZIAŁ 16

Sześć dni od startu z Walhalli, gdzieś w okolicach milionowej Ziemi „Złoty Piasek" zatrzymał się nad polaną wyciętą w kolejnej dzikiej puszczy wielkości kontynentu. Rodzina Valienté zobaczyła z góry niewielki równy prostokąt wśród zieleni – dziwnie wzruszający znak człowieczeństwa zagubiony w tym globalnym lesie.

Kiedy jednak ktoś przyjrzał się uważniej, mógł zauważyć, że nie ludzie stworzyli tę przecinkę, ale ekipa trolli pod kierunkiem człowieka.

Boson Higgs okazał się bystrym młodzieńcem, zadziwiająco dobrze zaznajomionym z Długą Ziemią i znaczeniem pracy trolli. Wielkie humanoidy były wszechobecne, choć na ogół niezbyt liczne. Kształtowały krainy, przez które się przemieszczały, choćby z powodu tego, co zjadały, przenosiły czy odsuwały na boki. W ekologii pełniły chyba rolę zbliżoną do wielkich ssaków afrykańskich, takich jak słonie czy bawoły. W rezultacie, jak dowiedziała się Helen, wykroczne światy nie były tak całkiem podobne do Ziemi Podstawowej, zanim pojawili się na niej ludzie.

Widziane ze „Złotego Piasku" trolle wydawały się całkiem zadowolone z życia. Ale ich nadzorca nosił bat. Joshua wysunął teorię, że bat służy tylko do trzaskania, by dźwiękami zwrócić uwagę trolli.

– Tak, akurat – mruknęła Sally.

Helen wiedziała, jak trudno ocenić, czy troll jest zadowolony. Słyszało się o bulwersujących incydentach, jak przypadek tak zwanej Mary znad Szczeliny, o którym ostatnio mówili wszyscy, nawet snobistyczne towarzystwo ze „Złotego Piasku". Ale gdziekolwiek żyli ludzie, widziało się trolle pracujące jak tutaj. Wydawało się, że nie mają nic przeciw temu. Oczywiście, gdyby ktoś za bardzo je wykorzystywał, mogły zwyczajnie przekroczyć, więc nie ma się co przejmować. A może były zbyt użyteczne, by ludzie odczuwali wyrzuty sumienia… Niepokojąca myśl. Poza tym, jak Sally powiedziała Joshui, ciekawe, co sobie myślą o ludziach.

Sterowiec zostawił zapasy dla grupy prowadzącej wyrąb, a zabrał próbki egzotycznych mchów zapakowane w plastikowe torebki – mchów z bardzo starych drzew. Stare drzewa rzadko występowały na Ziemi Podstawowej, a coraz rzadziej również na Niskich Ziemiach, gdzie prowadzono ekstensywną gospodarkę drzewną. Zresztą taki był charakter wymiany handlowej wzdłuż Długiej Missisipi, jak piloci nazywali tę wykroczną trasę. Drewno, żywność, minerały płynęły ku Ziemi Podstawowej głównie z Pasa Uprawnego. Tylko towary bardzo rzadkie i cenne warte były transportu spoza granicy pół miliona kroków – takie jak rzadkie mchy albo egzotyczna flora i fauna. Joshua sugerował, że społeczność Diabli Wiedzą Gdzie powinna rozważyć eksport syropu klonowego.

W zamian Podstawowa wysyłała produkty o niewielkich rozmiarach, ale zaawansowane technicznie, od leków i sprzętu medycznego, przez generatory prądu po zwoje światłowodów, by koloniści mogli zbudować w swoich światach funkcjonalne sieci komunikacyjne. Taka wymiana była tradycją podczas zasiedlania nowych terytoriów, na przykład między Wielką Brytanią i jej amerykańskimi koloniami przed rewolucją – z metropolii płynęła produkcja przemysłowa, a z powrotem surowce. Ojciec Helen i ludzie z Kongresu Cieni prawdopodobnie uważali to za wyzysk, ale zdaniem Helen wszystko działało całkiem sensownie.

Niezależnie od tego, kto kogo wykorzystywał, to przecież dobrze, że wielkie karawany sterowców łączyły razem wszystkie ludzkie światy. Tak w każdym razie uważała Helen.

Dwanaście dni od wyruszenia z Walhalli przekroczyli nieostrą granicę Pasa Uprawnego, ciągu światów rolniczych długości ponad trzystu tysięcy kroków, ciągnącego się w stronę Ziemi Podstawowej mniej więcej od dystansu czterystu sześćdziesięciu tysięcy kroków. Niebo stawało się bardziej zatłoczone – sterowce wędrowały do Podstawowej, mijając te zmierzające w przeciwnym kierunku, „w górę rzeki", można powiedzieć.

„Złoty Piasek" szybko osiągnął tę granicę, ale teraz miał się zatrzymywać o wiele częściej.

Przystanki zaplanowano wzdłuż całej Długiej Missisipi, a na wielu światach również w sensie geograficznym dalej nad rzeką. Helen dowiedziała się, że te stacje przeładunkowe leżą gęściej – twainy zatrzymywały się, by zabierać ładunki przybywające tam z okolicznych światów. Worki ziarna były podstawowym towarem eksportowym tych Ziemi, a załogi i liczne ekipy trolli ustawiały się w łańcuchy, by zapełnić przestronne ładownie. Na stacjach czekały gospody i podobne przybytki, oferujące wypoczynek i rozrywkę. Nie były to lokale ugrzecznione, jak zauważyła Helen. Wiele stacji miało też niewielkie areszty czy więzienia.

Raz się zatrzymali na świecie przypadkiem nieco cieplejszym od pozostałych. Właściciele wykorzystali to, by założyć rozległe plantacje trzciny cukrowej, a także gaje pomarańczowe i palmowe, rzadkie tak daleko na północy w innych Amerykach.

Cukrownia, gdzie przerabiali trzcinę, była wielkim, hałaśliwym zakładem przetwórczym. Dom właścicieli przypominał kolonialną rezydencję, wzniesioną z miejscowego drewna, z werandami i rzeźbionymi kolumnami, otoczoną drzewkami magnolii. Kapitana, rodzinę Valienté i kilkoro innych pasażerów zaproszono tam na kieliszek likieru pomarańczowego. Na polach widzieli zgięte grzbiety pracujących trolli, a ich pieśń niosła się z wiatrem.

Jednak prawdziwym spektaklem dla turystów był transport drewna. Tratwy drewnianych bali spływały z północy tą czy inną Missisipi. Na stacjach przeładunkowych twain lub dwa unosiły tratwy z wody, a potem trolle i ludzcy robotnicy wiązali je razem. W rezultacie powstawała ogromna platforma zbudowana z długich i prostych okorowanych pni, utrzymywana w powietrzu przez sterowce. Potem twainy ruszały, przekraczając światy z tym ogromnym wiszącym ładunkiem. Ekipy trolli i ludzcy nadzorcy podróżowali w chatach i namiotach na platformach. Naprawdę oszałamiający widok.

Na twainach lecących w przeciwną stronę też działo się ciekawie. Jednym z podstawowych towarów eksportowanych z Niskich Ziemi do światów zewnętrznych były konie. Pasażerowie „Złotego Piasku” widzieli, jak twain zawisa nisko nad gruntem, z ładowni opuszczane są rampy, a po nich zbiegają stada młodych koni eskortowane przez kowbojów.

Niekiedy mijali pozostałości pionierskich szlaków, takich jak ten, którym rodzina Helen podążała w drodze do Restartu na Ziemi Zachodniej 101 754; widzieli flagi kierunkowe, znaki ostrzegawcze, porzucone schroniska. Dzięki twainom dni pionierskich wypraw przez sto tysięcy światów przeszły już do historii. Ta faza kolonizacji trwała tylko kilka lat, ale już stawała się legendą. Helen zastanawiała się, co robią teraz tacy ludzie jak kapitan Batson, który prowadził ich grupę. Jednak szlaki wciąż były używane przez ekipy ludzi prowadzących w jedną czy drugą stronę stada trolli. Helen nie zdołała stwierdzić, czy trolle śpiewają – znikały po sekundzie czy dwóch, kiedy przeskakiwali dalej.

ROZDZIAŁ 17

Dziesięć lat po epickiej wyprawie Joshuy Valienté i Lobsanga twainy, których technologię udostępniła ludzkości Korporacja Blacka, stały się standardową metodą transportu grup ludzi i dużych ładunków po Długiej Ziemi. Jednakże Jacques Montecute, szykując się do wyprawy w dalekie wykroczne Chiny, zauważył z satysfakcją, że niektóre loty twainów są jednak bardziej spektakularne od innych.

Startował z Robertą Golding z Chin Podstawowych. Po zakończeniu dość długiego okresu przygotowań bliźniacze statki „Zheng He" i „Liu Yang" uniosły się w kopułę smogu nad Xiangcheng w prowincji Henan. Stojąc na głównym pokładzie obserwacyjnym w gondoli „Zheng He", Jacques widział przez okno wielki srebrzysty kadłub statku; powłoka wyginała się niczym skóra jakiegoś potężnie umięśnionego zwierzęcia, kiedy twain popłynął przez powietrze. Ta ruchoma powłoka byłaby niezwykłym widokiem, nawet gdyby nie została ozdobiona rysunkiem splecionych dłoni – symbolem ośmioletniej Federacyjnej Republiki Chińskiej.

Po chwili pozostawili za sobą lądowisko i teraz dryfowali nad fabrykami, placami i stosami odpadków brudnej strefy przemysłowej miasta. Roberta Golding, asystentka Jacques'a, stała przed wielkimi, sięgającymi od podłogi po sufit oknami, i z obojętną miną obserwowała krajobraz przesuwający się w dole.

Kilkanaście trolli na pokładzie obserwacyjnym zaśpiewało *Slow Boat to China* – pieśń rozciągniętą w rondo i przeplataną harmonicznymi wstawkami niczym miód rozsmarowany na grzance, jak zwykle u trolli.

Wokół Jacques'a stało kilku członków załogi oraz grupka mniej formalnie ubranych osobników wyglądających na naukowców. Patrzyli w okna i śmiali się z żartów, których nie rozumiał. On i Roberta, pochodzący ze Szczęśliwego Portu, byli przyzwyczajeni do towarzystwa trolli, a ludzie z załogi przyglądali się tym humanoidom, jakby widzieli je pierwszy raz w życiu. Jacques zauważył, że jeden z marynarzy nosi na biodrze jakąś groźnie wyglądającą broń.

Młoda Chinka w mundurze, najwyraźniej także należąca do załogi, zaproponowała Jacques'owi i Robercie soki owocowe albo wodę. Jacques wziął wodę i wypił trochę.

– Dziękuję.

– Bardzo proszę.

– Dobrze wybrana pieśń.

– Uznaliśmy, że zabawnie będzie nią powitać – odparła wesoło. – My, to znaczy załoga. Bo to oczywiście szybki statek i do tego z Chin, rozumie pan.

Wyciągnęła rękę, którą uścisnął mocno. Dziewczyna była ciemnowłosa, z wyglądu raczej bystra niż atrakcyjna, mogła mieć jakieś dwadzieścia pięć lat.

– Jestem porucznik Wu Yue-Sai – przedstawiła się. – Oficer Armii Federacji, ale przydzielona do chińskiej Narodowej Agencji Kosmicznej.

– Aha. Prowadzi pani Projekt Wschód Dwadzieścia Milionów.

– Właśnie. Widzi pan logikę rozwiązania. Nasi specjaliści kosmiczni są wyszkoleni w kierowaniu zaawansowaną techniką w obcym i wrogim środowisku. Kto byłby lepszy do rozwiązywania tajemnic dalekich wschodnich światów? Ja jednak szkoliłam się na pilota. Mam ambicję pewnego dnia zostać astronautą. Na razie przydzielono mi nieoficjalną rolę towarzyszki pańskiej podopiecznej, panny Roberty Golding. Jeśli to panu odpowiada, no i pannie Golding, oczywiście. Będzie mnie pan nazywał Yue-Sai, mam nadzieję.

– A ona na pewno zechce, by zwracała się pani do niej: Roberto.

– Może używa jakichś zdrobniałych imion? Robbie, Bobbie…

Jacques zerknął na Robertę, która z poważną miną sączyła sok pomarańczowy.

– Roberta – zapewnił z przekonaniem. – Ale o co pani chodzi? Jakiego rodzaju towarzyszka?

– Jestem zbliżona do niej wiekiem. No i tej samej płci. Odebrałam wykształcenie

w szerokim zakresie, studiowałam filozofię i nauki humanistyczne obok nauk ścisłych i technicznych, tak jak panna… jak Roberta.

– Właściwie to Roberta jest głównie samoukiem…

– Moim podstawowym zadaniem jest zapewnienie jej bezpieczeństwa za każdym razem, kiedy opuścimy statek. Bez wątpienia przeżyjemy wiele groźnych wypadków.

– To bardzo uprzejmy gest.

– To dla mnie zaszczyt. Uczyłam się angielskiego specjalnie. Podobnie jak wielu w załodze, łącznie z kapitanem.

– Tak. Bardzo dziękuję. Stworzymy dobry zespół.

Zbliżył się kapitan Chen Zhong, maszerując energicznie po krytej dywanem podłodze. Kiedy przechodził, marynarze prostowali się lekko i poważnieli. Chen przywitał się z Jacques'em i Robertą. W lewej ręce trzymał coś w rodzaju panelu sterowania.

– Za chwilę ruszamy. Oczywiście, jesteśmy już w powietrzu, ale wkrótce popłyniemy też wykrocznie.

Niektóre zdania wypowiadał niemal po brytyjsku. Miał około pięćdziesięciu lat, był niski i trochę tęgi jak na wojskowego, lecz wymuskany i niezwykle pewny siebie. Jacques mógłby się założyć, że to jeden z tych, co przetrwali upadek dawnego reżimu komunistycznego.

– Tak się cieszę, że mogliście lecieć z nami, że udało się pokonać wszelkie problemy formalne. To bywa trudne w naszym nowym państwie. Oczywiście bezpieczeństwo panny Golding to sprawa o najwyższym priorytecie. – Stanął przed Robertą. – Mam nadzieję, że będzie dość czasu, by mogła pani cieszyć się nowymi doświadczeniami. Cóż za piękna dziewczyna… Proszę wybaczyć, że to mówię. A jednak jest pani taka poważna…

Roberta, wyższa od niego, milczała zdziwiona. Chen mrugnął do Jacques'a.

– Małomówna, prawda? Ale spostrzegawcza. Nie wątpię, że spija pani szczegóły konstrukcji naszych sterowców, i to od chwili startu. Na przykład niezwykły system napędu.

Ku uldze Jacques'a, Roberta zniżyła się do odpowiedzi.

– Chodzi panu o giętki kadłub? Zapewne powłoka opina jakiś system sztucznych mięśni, które kurczą się pod wpływem impulsów elektrycznych?

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze. A elektryczności dostarczają panele słoneczne. Domyśla się pani, czemu taki system jest właściwy? Kiedy obserwujemy światy, które badamy, czemu nie czynić tego z hałasem? Mamy nadzieję dotrzeć do Ziemi Wschodniej 20 000 000, naszego nominalnego celu… to prawie dziesięć razy dalej, niż do tej pory dotarł w głąb Długiej Ziemi jakikolwiek człowiek… i to w ciągu zaledwie kilku tygodni. Oceniamy, że w tym czasie będziemy musieli utrzymywać szybkość lateralną powyżej stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Z pewnością domyśla się pani dlaczego.

Roberta wzruszyła ramionami.

– To trywialne.

Jacques zerknął na Yue-Sai. Roberta zachowała się bardzo irytująco. Konieczność zachowania bocznego ruchu, może dla niej oczywista, wcale taka nie była dla Jacques'a ani – jak się zdawało – dla Chinki. Niestety, kwestia pozostała niewyjaśniona.

– Czyli mechanikę ma pani opanowaną – przyznał Chen. – A co z edukacją humanistyczną? Czy jest pani świadoma pochodzenia nazw naszych pionierskich statków?

– Liu Yang była pierwszą chińską kobietą w kosmosie. A Zheng He, eunuch i admirał…

– Tak, tak. Widzę, że niewiele mogę panią nauczyć. – Uśmiechnął się. – A zatem eksplorujmy razem.

Podniósł trzymane w lewej ręce urządzenie. Jacques pomyślał, że jest całkiem podobne do pilota telewizora, nosiło też znajome logo: symbol Korporacji Blacka.

– Mam nadzieję, że wszyscy poddali się cyklowi szczepień przeciwko nudnościom? A zatem… gotowi? Każda podróż musi się zacząć od pierwszego kroku…

Wcisnął klawisz.

Jacques poczuł znajome szarpnięcie żołądka, ale słabe, ledwie cień zwykłego doznania. Zatłoczony pejzaż Henan Podstawowej zniknął nagle.

Krople deszczu uderzyły nagle o szyby i zaczęły się odbijać od powłoki w górze. Trolle, pozornie niewzruszone, śpiewały dalej. Chen poprowadził wszystkich do wielkich, skierowanych w dół okien na dziobie gondoli, skąd mogli lepiej widzieć. Na pierwszy rzut oka Jacques nie dostrzegł wielkich różnic w krajobrazie Henan Wschodniej 1 w porównaniu z Henan Podstawową: sporo fabryk, choć bardziej prymitywnych, plujące dymem elektrownie węglowe, drogi jak błotniste potoki, powietrze zanieczyszczone smogiem. A jednak w dali widział zielone lasy… i to było całkiem niepodobne do oryginału.

– Henan… – westchnął Chen. – Dawno temu kolebka cywilizacji Han, jak wiecie. Ale w niedawnych czasach przypominała raczej jakąś piekielną krainę, wyjałowioną i nadmiernie uprzemysłowioną. Sto milionów ludzi upchniętych na obszarze wielkości stanu Massachusetts.

– To porównanie z Ziemi Podstawowej dla Jacques'a niewiele znaczyło, ale zrozumiał sens.

– Henan Podstawowa była kiedyś głównym źródłem siły roboczej, ludzi migrujących do takich miast jak Szanghaj. Tam stawali się sprzątaczami, urzędnikami, barmanami i prostytutkami. W Dniu Przekroczenia wielu skwapliwie przeniosło się do nowych światów. Władze potrzebowały dłuższego czasu, by przywrócić porządek. Nie można nie docenić skutków, jakie w tych pierwszych dniach wywarło przekraczanie na obywateli Chin. I to nie tylko ekonomiczne ani praktyczne. Chodzi mi raczej o psychologiczne, jak się przekonacie. Wiecie, oczywiście, że niepokoje po Dniu Przekroczenia doprowadziły w końcu do… wycofania się ostatniego reżimu komunistycznego.

Obserwował Robertę, najwyraźniej ciekaw jej reakcji.

– Tak więc zaczynamy nasze badania, panno Golding. Jesteśmy na Ziemi Wschodniej 1, pierwszej z dwudziestu milionów. Jakie pani zdaniem są cele naszej ekspedycji?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Zobaczyć, co tam jest.

Wydawało się, że Chen jest zadowolony z prostoty odpowiedzi.

– Tak! Policzymy te światy, skatalogujemy je i ponumerujemy. Określimy długość Długiej Ziemi Wschodniej, można powiedzieć. Znam pani dokonania naukowe. Niewątpliwie dysponuje pani wybitnym intelektem. Nie sądzi pani, że zwykła wyprawa badawcza jest trywialna? Jesteśmy jak kolekcjonerzy motyli, nieprawdaż…

Wzruszyła ramionami.

– Jeśli ktoś chce zrozumieć motyle, musi najpierw kolekcjonować motyle. Albo zięby.

Zdawało się, że Chen zastanawia się nad tym słowem.

– Ach… Jak Darwin na Galapagos! Ładne nawiązanie. No cóż, zięb nie mogę pani obiecać, ale motyle… – Zamilkł z tajemniczą miną.

– Dlaczego zabraliście trolle?

Spojrzał na nią ostro.

– Dobre pytanie. Powinienem przewidzieć, że je pani zada. Na etapie planowania większość uważała nasze trolle za… jak to określić? Kabaret? Zwierzyniec? Ale nie pani. W pewnym sensie trolle są samą Długą Ziemią, prawda? Ich długie wołanie splata ją razem… i wydaje się, że przemawia do muzycznej wrażliwości wszystkich Chińczyków. Ale teraz możemy dotrzeć dalej niż nawet trolle. Niech pani to sobie wyobrazi! Chcemy, żeby wszystko, co odkryjemy w tych odległych cieniach Chin, stało się elementem pieśni trolli.

– Wie pan, oczywiście – wtrącił Jacques – że trolle stanowią integralną część społeczności, z której pochodzimy?

– O tak. Tak słyszałem. Choć jej położenie utrzymujecie w tajemnicy, prawda?

– Cenimy naszą prywatność.

– Naturalnie. – Chen wcisnął klawisz i przekroczyli znowu. Jacques zauważył licznik na ścianie: świecące cyfry mające odliczać mijane światy.

Niebo nad Wschodnią 2 było czyste, słońce stało wysoko, a ziemię pokrywała zieleń i porastał las. Kontrast z Podstawową, a nawet ze Wschodnią 1 – ten nagły strumień kolorów, światło rozjaśniające pokład obserwacyjny – zapierał dech w piersiach.

– Widzicie teraz, dlaczego nagły dostęp do tego wszystkiego oszołomił naszych

obywateli. Nasze państwo jest starsze od waszego, starsze niż Europa. Chiny były od pięciu tysięcy lat uprawiane, zabudowywane, walczono o nie i wydobywano surowce. Szokiem dla nas było przejście do tej pierwotnej zieleni. Natychmiast pojawiły się reakcje kulturowe. Gwałtowny wzrost poparcia dla ochrony środowiska. Pieśni, wiersze, obrazy… większość zła. Ha… Nic już nie mogliśmy poradzić na Wschodniej 1 i Zachodniej 1. Szybko zostały zniszczone przez pierwszą falę migracji, pierwszych bezradnych i nieszczęśliwych wędrowców. Każdy cień stawał się jednym wielkim miastem nędzy, slumsem. Ale rząd szybko się zorganizował i teraz zachowujemy Wschodnią 2 jako rodzaj parku narodowego, memoriał Dnia Przekroczenia, otwartego wtedy dostępu do przeszłości naszego państwa… przynajmniej w takim zakresie, w jakim jest to możliwe. Nawet tutaj docierają zanieczyszczenia będące skutkiem industrializacji tej Niskiej Ziemi w takich miejscach jak cień Stanów Zjednoczonych. W ONZ wciąż trwają negocjacje w tej sprawie. W każdym razie tutaj przechowujemy także niektóre nasze skarby, dziedzictwo naszej starożytnej kultury. Niektóre budynki, świątynie zdemontowano i postawiono tutaj na nowo. Gdyby jakaś katastrofa spotkała nasz świat ojczysty, Długa Ziemia pozwoli ocalić ludzkość od wyginięcia. Tak samo chroniona jest tutaj nasza kulturowa przeszłość.

Roberta przycisnęła czoło do szyby i wpatrywała się w zachwycie w teren na dole. Przez chwilę wyglądała jak zaciekawiona nastolatka.

– Widzę zwierzęta idące przez ten las. Słonie? Kierują się do rzeki, tam na północy.

Chen się uśmiechnął.

– Słonie. W niektórych światach docierają daleko na północ, na szerokość geograficzną Pekinu. Są tu także wielbłądy, niedźwiedzie, lwy, tygrysy, czarne łabędzie, nawet rzeczne delfiny. Tapiry! Jelenie! Pangoliny! W Dniu Przekroczenia nasze dzieci, wystraszone blaskiem słońca, krztusiły się powietrzem wolnym od smogu i wytrzeszczały oczy na dziko żyjące zwierzęta.

Znowu wcisnął klawisz.

Na Wschodniej 3 las został wycięty, a rzeka przegrodzona tamą, by zalać ląd. Na powstałych w efekcie polach ryżowych pracowali ludzie – pochyleni, nie patrzyli w górę, kiedy przepływały cienie sterowców. Tak samo wyglądały Ziemie Wschodnia 4, 5 i 6, choć metody uprawy się różniły. Na niektórych światach nastąpiło uprzemysłowienie, z dalekich elektrowni i odlewni unosił się dym, a po rozległych polach toczyły się prymitywne maszyny; na innych byli tylko ludzie i ich zwierzęta.

– Bardzo zorganizowane światy – przyznał Jacques.

– O tak – zgodziła się z satysfakcją Yue-Sai. – My, Chińczycy, potrafiliśmy wyruszyć w te wykroczne światy w sposób zdyscyplinowany i zaplanowany, w czym nie dorównał nam nikt inny. Pod komunistami byliśmy państwem jednopartyjnym wyposażonym w narzędzia rozwiniętego kapitalizmu, a więc zdolnym do przedsięwzięć w wielkiej skali. W ostatnich dziesięcioleciach zrealizowaliśmy na Podstawowej ogromne projekty infrastrukturalne, takie jak tamy, mosty i linie kolejowe, ale też program kosmiczny. A teraz Długa Ziemia oferowała nam czystą tablicę. Mimo zmiany reżimu i rewizji ideologii nie utraciliśmy tych umiejętności. Takie są Chiny.

– Możemy się tu zatrzymać? – poprosiła nagle Roberta.

– Oczywiście. – Chen wcisnął klawisz.

Jacques spojrzał w dół. Sterowiec zawisł nad zalanym wodą polem, gdzie jakiś chłop stał cierpliwie, trzymając sznurek obwiązany wokół szyi zwierzęcia wyglądającego jak bawół.

– Ta scena mogłaby pochodzić sprzed dwóch tysięcy lat – zauważył.

– Kapitanie Chen – odezwała się Roberta. – W niektórych z tych rolniczych światów działają fabryki. Produkują nawozy sztuczne?

– Także genetycznie modyfikowane ziarno. Nowoczesne maszyny rolnicze…

– A jednak tutaj najwyraźniej nawozicie glebę w sposób naturalny. Wydaje się, że to sprzeczność.

– Wykorzystujemy obie metody – odparła Yue-Sai. – To wyraz historycznych napięć w chińskiej filozofii.

– Dao przeciwko konfucjanizmowi – domyśliła się Roberta.

Chen był wyraźnie pod wrażeniem.

Yue-Sai kiwnęła głową.

– Zasadniczo to prawda. Dao to droga. Podążać drogą oznacza harmonizację z naturą. Konfucjanie przeciwnie, twierdzili, że człowiek musi zapanować nad naturą, dla ulepszenia natury i dla pożytku ludzkości. Toczyły się wojny o te idee. Konfucjanie zwyciężyli w drugim wieku przed naszą erą. Ale teraz mamy miejsce, by się rozprzestrzenić, by wypróbować inne drogi.

– *Dao zai shiniao* – stwierdziła Roberta.

Chen roześmiał się głośno.

– Droga prowadzi w sikach i gównie! Bardzo dobrze, bardzo dobrze!

Roberta nie wydawała się ani zadowolona, ani urażona jego pochwałą.

Sterowiec ruszył dalej. Około Wschodniej 20 zaczął się pas bardziej uprzemysłowionych światów. Jacques przyglądał się fabrykom, wieżom kopalni, wyciętym wśród zieleni parkom przemysłowym. Kolumny robotników przesuwały się między halami fabrycznymi, nędznymi barakami noclegowymi, stołówkami i barakami pryszniców. Transportowe sterowce wisiały nad ziemią, niekiedy zacumowane do masztów. Na wielu takich światach powietrze pełne było dymu, sadzy i smogu.

Chen obserwował ich reakcje.

– Niewielu mieszkańców Zachodu to widziało. Oczywiście poza tymi, którzy zainwestowali pieniądze w przedsięwzięcia Trzeciego Frontu. Na przykład Douglas Black.

– Dlaczego Trzeci Front? – zdziwił się Jacques.

– Och, to odniesienie do Mao – wyjaśnił Chen i znowu mrugnął. – W reakcji na agresję radziecką z lat sześćdziesiątych Mao rozrzucił zakłady produkcyjne po całych Chinach. Rozumiecie, w ten sposób trudniej byłoby nas zniszczyć bombami atomowymi. Zachęcał robotników, żeby się tam przenosili. „Im dalej od matki i ojca, tym bliżej serca przewodniczącego Mao", brzmiał powszechnie głoszony slogan. Jak wtedy, tak i teraz. Można potępiać zbrodnie Mao, ale trzeba podziwiać jego ambicję.

Jacques zastanowił się, czy możliwe jest jedno bez drugiego.

– Nie sugeruje pan chyba poważnie, że istnieje jakiekolwiek ryzyko starcia militarnego z Zachodem?

– Są inne zagrożenia. Samo przekraczanie zdestabilizowało państwa, w tym Chiny, oczywiście. A załamanie klimatu na Podstawowej ze wszystkim, co z tego wynika, może stanowić kolejną poważną kwestię.

Dotarli do świata Wschodniego 38 według licznika na ścianie. Szalała burza. Dwa sterowce dryfowały po niebie pełnym wielkich, gęstych i pędzących szybko szarych chmur; deszcz chłostał las w dole. Jacques zauważył coś, co wyglądało jak blizny po uderzeniach błyskawic: poczerniałe kratery w płaszczu lasu.

Chen przyglądał się im wyczekująco.

– Nie rozumiem – przyznał Jacques. – Co to takiego?

– Możliwe, że właściwie można to ocenić jedynie z orbity – odparł Chen. – Tutaj bronią jądrową wyrąbujemy drogi i tunele przez Himalaje. Chcemy usunąć ten geologiczny incydent, który zakłócił przepływ powietrza i wilgoci poprzez Eurazję. W tym świecie interior Azji się zazieleni.

Jacques był oszołomiony.

– Chcecie przekształcić cały łańcuch górski?

– Dlaczego nie? W innym sąsiadującym świecie zmieniamy bieg wszystkich rzek wybiegających spod Himalajów, z wyjątkiem samej Jangcy. Celem też jest doprowadzenie wody do serca kontynentu.

– Kolejne marzenia maoistów – rzuciła Roberta.

– Tak! Zna pani historię. Plany, które były zbyt kosztowne albo zbyt ryzykowne, kiedy posiadaliśmy jedynie Ziemię Podstawową. Teraz możemy prowadzić eksperymenty i nikomu nic nie grozi. Jakież mamy marzenia, jakież ambicje! Czy my, Chińczycy, nie jesteśmy wspaniali?

Możliwe. Jacques nie był jednak pewien, co doświadczenia tych nowych światów, tych

zróżnicowanych środowisk, czynią dla ducha tutejszych kolonistów. W światach Zachodu różne Ameryki ewoluowały, podzielając wprawdzie wartości kraju ojczystego, ale powoli się oddalając. Tutaj także musiało się to zdarzać: rozwijały się nowe odmiany Chin, wciąż zakorzenione w tej samej głębi historii – ale każda z nich zyskiwała nowy charakter. Zastanawiał się, ile trzeba czasu, by te nowe Chiny ogarnął bunt, by zaczęły uwalniać się od swego potężnego rodzica, tak jak Ameryki Pasa Walhallańskiego.

Błyskawica rozorała niebo; trolle zaczynały się niepokoić, a ich pieśń się rwała.

Chen z wyraźnym żalem uniósł pilota.

– Chciałbym wam pokazać nasze nowe góry, ale nie możemy zwlekać zbyt długo. Nie jest tu bezpiecznie.

– Czemu? – spytał Jacques. – Przez te błyskawice?

– Nie, nie. To opad radioaktywny po atomowym górnictwie. Lecimy dalej… Teraz przyspieszymy. Rozumiecie, te statki są eksperymentalne. Zbudowane przez nasze firmy wspólnie z Korporacją Blacka. Jednym z celów tej wyprawy jest wypróbowanie nowych technologii.

Przekraczanie światów przyspieszyło, aż Jacques po własnym pulsie mógł poznać, że rzeczywistości przepływają w tempie mniej więcej jednego kroku na sekundę, błysk, błysk, błysk, potem jeszcze szybciej. Większość tych światów była całkiem nieciekawa – dywan zieleni pod słońcem albo chmurami. Ale niektóre pokrywał lodowiec i słońce odbijało się jasno od powłoki lodu, bezpiecznie oddalonej od gondoli twainów.

Zaprowadzono ich do czegoś w rodzaju eleganckiej poczekalni. Steward krążył wśród gości, roznosząc przekąski, drinki i chińską herbatę. Siedzieli, gawędząc, a pod nimi migotały światy, na które nikt nie zwracał uwagi. Jacques podejrzewał, że Roberta wolałaby raczej zostać sama, studiować, czytać i robić własne obserwacje. Siedziała jednak uprzejmie, choć głównie milczała.

Po mniej więcej godzinie sterowiec się zatrzymał; światło za oknem wydawało się subtelnie odmienne. Gdy Jacques podniósł głowę, zobaczył motyle – gigantyczny rój motyli wokół statku, uderzających bezgłośnie o okna na pokładzie obserwacyjnym. Większość była niewielka i całkiem zwyczajna, ale widział też inne, bardzo kolorowe; niektóre miały skrzydła wielkości talerzy. Słońce świeciło jasno przez tę ich chmurę.

Chen roześmiał się, widząc ich reakcje.

– Świat motyli. Taki, jakie ludzie z zachodu nazywają jokerami. Oczywiście ekologia potrzebuje czegoś więcej niż tylko motyli, ale w tej części Chin tylko motyle przylatują nam na spotkanie. Nie mamy pojęcia, jak do tego doszło ani czym ten świat się różni. Roberto Golding, mówiłem, że będziemy liczyli motyle! Co pani na to?

Po dłuższej chwili odezwała się porucznik Wu Yue-Sai:

– Z pewnością trudno by było wykazać tutaj teorię chaosu.

Zamilkli, zastanawiając się, o co chodzi. Po chwili Jacques roześmiał się pierwszy.

Roberta jednak wyglądała na zwyczajnie zdziwioną.

ROZDZIAŁ 18

Załoga „Benjamina Franklina” poważnie traktowała swoją misję reprezentowania autorytetu rządu USA Podstawowych na całej Długiej Ziemi. Jak powiedziała im Maggie, w tej wyprawie nie chodziło wyłącznie o ratowanie kotków, które wdrapały się na drzewo i nie umiały zejść.

Z tego właśnie powodu twain bez uprzedzenia zatrzymał się niedaleko miasteczka zwanego Restart, na Ziemi Zachodniej 101 754, w wykrocznym stanie Nowy Jork. Niewielka grupa pod dowództwem zastępcy dowódcy oficera Nathana Bossa – rzadka dla niego okazja, by oderwać się od biurka – wylądowała na niewielkiej wyciętej w lesie polanie pokrytej zdeptanym błotem, obok krętego szlaku biegnącego do wybrzeża lokalnej kopii Atlantyku. Nathan dobrze sobie obejrzał całą okolicę z powietrza, z pokładu „Franklina”. Samo miasteczko – niewielkie pola i domy, nad którymi unosił się dym, a wszystko połączone gruntowymi drogami – leżało poza polem widzenia, ale w odległości krótkiego marszu.

Było to pierwsze z zadań, które kapitan Kauffman określała jako „serca i umysły”. Mieli zjawiać się niezapowiedziani w kolonii na jakimś świecie podobnym do tego, aby dać się poznać i poinformować o swojej misji, a także, no cóż, delikatnie przypomnieć tym kolonialnym Amerykanom, że nadal są Amerykanami. Na samym początku wyprawy wciąż jeszcze szukali właściwych dróg.

Nathan Boss pierwszy raz dowodził oddziałem naziemnym. W tym przypadku logistyka okazała się zaskakująco skomplikowana. Miasteczko i jego wykroczni sąsiedzi połączyli się w rodzaj rozszerzonego wieloświatowego „hrabstwa”. W efekcie „Franklin” przeskakiwał między nimi, odwiedzał jedną społeczność po drugiej, a przy każdej zrzucał sprzęt i opuszczał na ziemię grupy marynarzy i marines. Istniało wiele możliwości, by taka akcja się nie powiodła, Nathan aż za dobrze zdawał sobie z tego sprawę.

A w dodatku te światy same w sobie oszałamiały nieco załogę, pochodzącą głównie z Ziemi Podstawowej. Kiedy marynarze czekali w dole na marines, odruchowo rozstawili się, by utworzyć perymetr, choć na Ziemi Zachodniej 101 754 nie istniały żadne znane zagrożenia.

Rozglądali się, najwyraźniej zdumieni. Większość pochodziła z ośrodków miejskich – ale tutaj nie było żadnych miast. Nie było niczego, jedynie błoto na polanie. Nie było nikogo, tylko jeleń… w każdym razie Nathan przypuszczał, że to jeleń patrzy na nich z leśnej gęstwiny. Nic do czytania prócz tablicy – domowej roboty, z ręcznie wypisanymi literami:

WITAJCIE W RESTARCIE

ROK ZAŁ. 2026

MIESZK. 1465

Chorąży Toby Fox z działu mechanicznego, typowy komputerowiec, miał sporządzać spis ludności w koloniach Długiej Ziemi. Teraz starannie zanotował liczbę mieszkańców.

Przez chmury nie przeświecało słońce, ale było ciepło jak na początek maja. Nathan natychmiast zaczął się pocić w mundurze polowym i z plecakiem na ramionach.

Dopiero kiedy porucznik Sam Allen jako ostatni zszedł z twaina na ziemię, a „Benjamin Franklin” przekroczył z cichym odgłosem implozji powietrza, zaczęły się prawdziwe kłopoty. Ludzie Allena stali dookoła, najwyraźniej czując się trochę zagubieni w tym nowym świecie, tak samo jak marynarze. Allen przyczepił się do specjalistki Jennifer Wang.

– Gdzie jest nasz sprzęt?

Wang zdjęła już plecak i regulowała radio oraz namiernik.

– Poruczniku, sprzęt miał wylądować kilometr stąd, nie przy nas.

– To wiem. W którą stronę?

Nathan wiedział, że zrzucony sprzęt – parę skrzyń w linowych sieciach – miał zamontowane lokalizatory, lecz Wang była wyraźnie zagubiona. Stukała w ekrany dotykowe, a nawet kręciła tarczami na bardzo staromodnym z wyglądu odbiorniku radiowym. Słyszeli jednak tylko skrzekliwą muzykę i brzęk gitar.

Kadet Jason Santorini uśmiechnął się nagle.

– Chuck Berry. Ulubieniec mojego ojca. Niezła muza, chociaż ma już ponad sto lat.

– To jakaś durna lokalna stacja – warknął Allen. – Jakiś dzieciak nadaje ze stodoły… Wyłączcie to.

Wang wykonała polecenie.

Chorąży Toby Fox był niskim chłopakiem, bardziej nerwowym od reszty. I teraz, zanim Nathan zdążył jakoś ocenić sytuację, to właśnie Fox wykazał się brakiem rozsądku.

– Więc gdzie jest nasz sprzęt, poruczniku? – zapytał Allena.

Allen odwrócił się do niego.

– W pieprzonym niewłaściwym miejscu! To chyba oczywiste.

– Prawdę mówiąc, poruczniku, raczej w niewłaściwym, ehm… pieprzonym świecie – wtrąciła Wang. – Inaczej już bym złapała namiar.

Sprawdzając rozkłady zrzutów, szybko znaleźli wyjaśnienie. Sprzęt wylądował w pobliżu innego miasteczka, Nowego Scarsdale, stolicy „hrabstwa".

– To jest ten błąd, sir – powiedziała Wang. – Scarsdale leży na 101 752.

– A to zadupie? – spytał Allen.

Fox sprawdził swój polowy licznik Ziemi.

– W tej chwili jesteśmy na 101 754, sir. Tam gdzie powinniśmy być.

Ktoś źle przeliczył wykroczne światy. Tak się zdarza. Nathan podejrzewał błąd komunikacji między dwiema hierarchiami: ekipą marynarki i ludźmi z piechoty morskiej. Jedni i drudzy szkolili się na Ziemi Podstawowej; nie mieli doświadczenia w planowaniu operacji na różnych wykrocznych światach równocześnie.

– No to jesteśmy w dupie! – wściekał się Allen. – A ci durnie z marynarki przekroczyli, nie sprawdzając nawet, czy dobrze wyznaczyli miejsca zrzutu…

Wszyscy stali dookoła, zbyt zdenerwowani, by ryzykować odpowiedź. Gdzieś coś zaryczało, może wielki niedźwiedź.

Skupili się ciaśniej.

– Dobra, dobra – rzekł Allen. – Musimy wysłać gońca. Niech ściągnie okręt z powrotem, żeby przerzucił nas do sprzętu albo sprzęt do nas. – Wskazał palcem pierwszego żołnierza z brzegu. – Ty, McKibben. Wyciągaj kroker i ruszaj…

– Przepraszam, poruczniku, ale to niemożliwe – odparł McKibben. – Zostawiłem kroker na kwaterze.

– Co zrobiłeś?! No dobra, niech to szlag trafi, kto jeszcze zszedł tutaj, na Ziemię Sto Tysięcy z Gównianym Dodatkiem, bez najbardziej podstawowego i oczywistego wyposażenia ze wszystkich, to znaczy krokera, żeby mógł wrócić do domu?

Spojrzeli po sobie.

Było to dość oczywiste przeoczenie, uznał Nathan. Mieli tu wykonać demonstrację siły; zeszli na ziemię lekko uzbrojeni, ale wszyscy nosili kamizelki przeciwodłamkowe, mieli uprzęże na sprzęt, pakiety z typowym wyposażeniem, amunicję i cały przydatny sprzęt specjalistyczny. Od hełmu na głowie po wojskowe buty na nogach dawało to solidny ciężar, więc człowiek zostawiał wszystko, czego nie potrzebował w misji. Mieli zostać na dole, w tym małym miasteczku na spokojnym świecie, najwyżej kilka godzin. Po co dźwigać jeszcze kroker? Który, zbudowany zgodnie z wojskową specyfikacją, był aparatem ciężkim i solidnym.

Okazało się, że nikt nie miał krokera przy sobie. Ani Nathan, ani nawet porucznik, choć nikt nie ośmielił się nawet uśmiechnąć z tego powodu. Nathan wolał raczej nie patrzeć mu w oczy.

A potem któryś z chłopców poprosił kumpla, by podzielił się wodą, bo w tym upale chce się pić, ale ten drugi nie miał wody. Okazało się, że nikt jej nie ma, ponieważ zapas powinien się znaleźć w zrzucie. Nawet Nathan nie miał, nawet porucznik. Niedaleko płynął strumień, słyszeli pluskanie. Ale to byli ludzie urodzeni i wychowani na Podstawowej i od dzieciństwa wbijano im w głowę, że nie wolno pić miejscowej wody, nie wrzuciwszy do niej przynajmniej tabletki jodyny, a nikt nie zabrał nawet tego.

Nawet Nathan. Nawet porucznik.

Allen krążył dookoła z zaciśniętymi pięściami, jakby szukał kogoś, komu mógłby przyłożyć.

– No więc dobrze. Dobrze. Pójdziemy sobie do tego śmierdzącego Restartu i stamtąd zaczniemy. Zgoda, komendancie Boss?

Nathan przytaknął.

– Którędy, Wang?

Ale w tym świecie nie było GPS-a ani zawieszonego na niebie sterowca, który wskazałby im kierunek, a nawet papierowe mapy były – zgodnie z przewidywaniami – w zrzucie. Otoczeni drzewami wysokimi jak wieże katedr, nie widzieli dymów z kominów; przy pochmurnym niebie nie mogli nawet ustalić kierunku według słońca. Pieprzona sytuacja z każdą sekundą stawała się spieprzona bardziej.

A potem na polankę wyszedł jakiś człowiek. Pogwizdywał, w ręku niósł wędki, a na ramieniu zawieszoną na sznurku jakąś dużą rybę. Mógł mieć koło pięćdziesiątki, uznał Nathan; miał ogorzałą twarz i energiczny, swobodny krok. Kiedy stanął przed kilkunastoma żołnierzami, którzy wpatrywali się w niego bez słowa, zamarł na moment, ale natychmiast rozciągnął wargi w szerokim uśmiechu.

– Hej, żołnierze – powiedział. – Czyżbym złamał jakieś przepisy? Obiecuję, że wrzucę ją z powrotem…

Porucznik Allen przyjrzał się groźnie cywilowi. Potem zwrócił się do Wang.

– Spytajcie go, czy zna drogę do tego Restartu.

– Czy zna pan drogę do Restartu?

– Nazywam się Bill Lovell – przedstawił się mężczyzna. Popatrzył na nich z uwagą. Nathan poczuł się mocno zakłopotany i trochę nieodpowiednio ubrany. – Nie mówcie tylko, że się zgubiliście.

Allen nie odpowiedział.

Nathan spróbował wytłumaczyć.

Lovell słuchał, kręcąc głową.

– Jak, u diabła, wasi piloci zdołali dokonać zrzutu w niewłaściwym świecie?

– Tak jakby uczymy się dopiero tutejszych zasad – odparł smętnie Nathan.

Lovell wciąż się uśmiechał.

– To widzę. Zwyczajnie jeszcze się nie nauczyliście myśleć po długoziemsku. A teraz tkwicie tutaj, zagubieni jak dzieci. I naprawdę chcecie trafić do Walhalli?

– Wie pan o naszej misji? – zdziwiła się Wang.

– Och, wieści rozchodzą się szybko. Może was to zaskakuje, ale mnie nie. Kiedyś byłem listonoszem. To znaczy przedstawicielem Służby Pocztowej USA, zanim odcięli usługi dla dalekich światów wykrocznych. Tak, słyszeliśmy o was.

Allen wyglądał, jakby chciał trzasnąć tego człowieka kolbą.

– Zaprowadzi nas pan do Restartu czy nie?

Lovell skłonił się drwiąco.

– Proszę za mną.

Nathan nie był pewien, czego właściwie się spodziewał po Restarcie. Dodge City z planu filmowego? Jakiejś zagraconej steampunkowej nirwany? Kilku wyrąbanych w dziczy prymitywnych farm? Ludzi grających na banjo? Tymczasem, jak się przekonał, nadchodząc głównym traktem od rzeki, było to prawdziwe miasto. Amerykańskie miasto, sądząc po wielkiej fladze nad szkołą.

Bill Lovell wskazywał poszczególne miejsca.

– To dom starych Wellsów. Jedna z oryginalnych działek.

Za bielonym płotem pracowała w ogrodzie kobieta. Uniosła głowę.

– Nie tak to wyglądało, kiedy pierwsi osadnicy dotarli tutaj w dwudziestym szóstym…

– Tak niedawno? – zdziwił się Toby Fox. – Ledwie czternaście lat temu?

– Tam jest sklep Arthursona. W tej chwili jedyny w mieście, chociaż jest parę farm, gdzie sprzedadzą wam piwo lub coś mocniejszego, zrobią coś do jedzenia albo wynajmą pokój.

– Przyjmą dolary? – zainteresował się Santorini.

Lovell tylko się roześmiał.

Widzieli konie, a nawet wielbłądy przywiązane do balustrady przed sklepem. Z wnętrza dobiegały śmiechy.

Grupa dzieci wysypała się z jednego z budynków i pobiegła ulicą. Dla mieszczucha Nathana były małymi Indianami – ubrane w ręcznie szyte skórzane spodnie i kurtki, w swego rodzaju mokasynach na nogach.

– Koniec lekcji w szkole – stwierdził Bill. Przyłożył dłoń do dużego ucha. – A to słyszycie?

Kiedy dzieci się rozeszły i ich głosy ucichły, Nathan usłyszał dalekie szur-szur-szur…

– Nasz nowy tartak. A właściwie stary tartak z nową maszyną parową. Wszystko wykonane na miejscu, w każdym razie wszystkie części żelazne. Obiecują sobie, że niedługo będą mieli energię z turbiny wodnej. Próbują nawet systemu telegrafu, żeby mieć kontakt z oddalonymi farmami. Niektóre leżą naprawdę daleko, w sensie geograficznym znaczy.

Mówił takim tonem, jakby był dumny z mieszkańców Restartu. Po ojcowsku dumny, pomyślał Nathan.

– Dużo dzieci – zauważyła Wang.

– No cóż, na wielu zasiedlonych Ziemiach mamy wyże demograficzne. Za kilka stuleci mogą istnieć setki światów o miliardowych populacjach. Pomyślcie o tych podatnikach…

Wang szeroko otworzyła oczy. Niemal widać, jak otwiera się jej umysł, pomyślał Nathan.

– Ale pewnie nikt ich nawet nie policzy – powiedziała.

– Prawdę mówiąc, to właśnie moje zadanie – oświadczył Toby Fox z odcieniem dumy w głosie.

– O, tam jest! – zawołał Lovell. – Katie! Katie Bergreen!

Kobieta – blondynka koło trzydziestki – energicznym krokiem przechodziła przez ulicę. Ze zdziwieniem obejrzała się na Billa Lovella i z wyraźną czujnością popatrzyła na jego najeżonych bojowym sprzętem towarzyszy.

– Co to znaczy? Inwazja?

Lovell wzruszył ramionami.

– Wydaje mi się, że chcą nas policzyć. Albo coś takiego. Ale w tej chwili zgubili drogę. Myślisz, że twój ojciec da marynarce wojennej USA trochę wody?

Uśmiechnęła się niemal wyzywająco.

– Na pewno mogą poprosić. Tędy – powiedziała do Nathana. – Ale broń musicie zostawić przy drzwiach.

ROZDZIAŁ 19

Jack Green, lat około sześćdziesięciu, w opinii Nathana Bossa wyglądał trochę na mola książkowego, a trochę na politycznego podżegacza. Spojrzał z góry na stojącego w progu porucznika Allena – naprawdę popatrzył z góry na wielkiego i uzbrojonego marine – zanim wpuścił do domu jego i jego ludzi. Ale i tak rzeczywiście musieli zostawić broń przy drzwiach i na werandzie zdjąć buty.

W samych skarpetkach weszli do przestronnego salonu – z wygasłym kominkiem, kilkoma trofeami myśliwskimi na ścianach i stosami książek i papierów. Panował tu idealny porządek, zauważył Nathan; niemal wojskowy. Wiedział już, że ten człowiek ma córkę Kate. Wobec tego Nathan odgadł, że znaleźli się w domu wdowca, który ma za wiele wolnego czasu.

Jack Green przyglądał się im niechętnie, jakby byli niegrzecznymi dziećmi.

– No dobrze, wpuściłem was do środka, żebyście się schronili przed upałem. Tego wymaga zwykłe człowieczeństwo. Dam wam wodę. Na podwórzu jest pompa.

Skinieniem głowy Allen posłał kilku ludzi, żeby przynieśli wody w dzbanach. Zrzucili ekwipunek przy drzwiach i wyszli. Po chwili wszyscy już pili z glinianych kubków.

– Żłopią szybciej niż bostończycy w dzień świętego Patryka – zauważyła Wang.

Jack stanął przed porucznikiem Allenem.

– Mogę wam wypożyczyć kroker. Poślesz wtedy któreś z tych wojowniczych dzieciaków, żeby dogoniło sterowiec. Da chyba radę. – Roześmiał się. – Zabawna wpadka.

– Dziękuję panu.

– Nie dziękuj, bo nie dla ciebie to robię. – Machnął ręką. – Możecie usiąść. Tylko żebyście niczego nie potłukli, niczym się nie bawili i nie przekładali moich papierów.

Marines zaczęli odpinać kolejne elementy wyposażenia, zdejmować kamizelki i uprzęże. Usiedli i rozmawiali cicho, a po chwili Nathan zauważył, że któryś wyjął kieszonkowe scrabble i z kolegami przystąpili do trzyosobowej partii.

Allen przyjrzał im się z niesmakiem.

– Krokera nie zabrałeś, McKibben, nie zabrałeś wody, ale scrabble oczywiście masz przy sobie!

– Trzeba mieć właściwie ustawione priorytety, poruczniku.

Jack usiadł przy zarzuconym papierami biurku. Wszystkie meble wyglądały na ręczną robotę – proste i solidne.

– No cóż, nie jestem zaskoczony waszą wizytą – powiedział. – Wieści o tryumfalnym rejsie przez światy znacznie was wyprzedziły. Ale do diabła, Bill, dlaczego ściągnąłeś tych ludzi do mnie?

Były listonosz uśmiechnął się jak psotny chłopak.

– A kto w naszej małej społeczności lepiej się nadaje do powitania naszych, ehm… wyzwolicieli?

Ta krótka wymiana zdań wzbudziła czujność Allena. Bez zaproszenia usiadł naprzeciw Jacka i z kieszeni na piersi wyjął wydrukowaną listę nazwisk.

– John Rodney Green, zwany Jackiem. To pan, zgadza się?

– Co tam masz? Ludzi, którym wysyłasz kartki świąteczne?

– Listę sygnatariuszy tak zwanej Walhallańskiej Deklaracji Niepodległości oraz ich doradców.

Jack tylko się uśmiechnął.

– I co zamierzacie zrobić? Zastrzelicie mnie? Aresztujecie i zawleczecie na sterowiec?

– Jesteśmy tu, by pana chronić, sir. A nie żeby sprawiać kłopoty.

– Dzięki.

– Co więcej, jesteśmy bardzo wdzięczni za pańską dotychczasową współpracę, panie Green – oznajmił Allen. – I mógłby pan pomóc nam bardziej. Otóż ten oto chorąży Fox…

– Pstryknął palcami, by przywołać Foxa. – Chorąży Fox pracuje nad spisem ludności.

– Naprawdę? Brawo, synku.

– Niestety, musimy pozostać w tym miejscu przez pewien czas, ponieważ macie ten wasz bałagan zwany „hrabstwem" rozciągnięty na kilka światów i tak dalej. Więc gdyby miał pan wolny pokój, w którym Fox mógłby założyć kwaterę…

– Nie będę gościł pod swoim dachem żołnierzy z Podstawowej.

– Jesteśmy gotowi to panu zrekompensować.

Te słowa rozbawiły Jacka.

– A jak?

– No… Finansowo, oczywiście. Jestem uprawniony do podpisywania czeków, do pewnej granicy, oczywiście. Mamy też gotówkę.

– Jaką gotówkę? Dolary, tak?

– To legalny środek płatniczy w tej społeczności – odparł surowo Allen. – Jako że żyje ona pod Egidą USA.

Jack westchnął.

– Ale co mógłbym zrobić z dolarami? Wyobrażacie sobie, że dolarami zapłacę za jego rybę? I co on z nimi pocznie, u diabła? W ostatecznym rezultacie to tylko kawałki papieru krążące jak muchy nad krowim plackiem.

Allen już chciał odpowiedzieć gniewnie, ale Fox spytał zaciekawiony:

– Więc w jakiej formie chciałby pan zapłatę, sir? Jak tutaj funkcjonuje wymiana?

– Nazywamy to przysługami – odparł Jack.

– Przysługami?

– Dam ci pokój na parę dni. To przysługa. I teraz będziesz mi winien przysługę. Dogadujemy się w tej sprawie, zanim się wprowadzisz, jasne? Gdyby chodziło o Billa, pewnie chciałbym ileś tam ryb. A gdybym akurat ryb nie potrzebował, Bill mógłby pójść kawałek stąd do starego Mike'a Doaka, który podkuwa konie, jakby się do tego urodził, i oddać mu te ryby. Ta przysługa, którą był mi winien, zostaje przeniesiona na Mike'a, więc gdyby mój koń zgubił podkowę…

– Rozumiem. – Allen podniósł ręce.

– No dobrze, nie używacie papierowej waluty – stwierdził Fox. – Ale przecież zjawiają się u was pracownicy zewnętrzni. Lekarze, dentyści…

– Płacimy im przysługami, w taki czy inny sposób.

– …specjaliści, jak inżynierowie, którzy budują tamę. Coś w tym rodzaju. Muszą się zdarzać sytuacje, że dla kogoś takiego nic nie możecie zrobić. W końcu da się zjeść tylko jeden posiłek naraz, nosić jedną parę spodni…

Jack mrugnął do Foxa.

– Dobre pytanie. Rzeczywiście, mamy pewne rezerwy. Złoto, srebro, biżuteria. Nawet trochę papierowych pieniędzy, jeśli już musisz wiedzieć. Przyjmujemy to wszystko, jeśli ktoś w żaden inny sposób nie może zapłacić, a jest dostatecznie zdesperowany. Nie żyjemy tu jak w klasztorze, w niewoli zapisów jakiejś księgi. Trochę oszukujemy. Wszystko jest dobre, co działa. Ale zasadniczo jesteśmy samowystarczalni. Prawie cała wymiana rozliczana jest w przysługach.

Allen spojrzał na niego ponuro.

– Czyli przyjmujecie dolary. Ale nie chce pan ich wziąć od nas, przedstawicieli sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych.

Jack roześmiał mu się w twarz.

– Posłuchaj, ty i ci w Waszyngtonie, którzy ci płacą, wyrzekli się wszelkiego prawa żądania pomocy ode mnie i mojego świata, kiedy parenaście lat temu odcięliście nas od wszystkiego. Kiedy zlikwidowaliście Fundusz Pomocy Pionierom i zagarnęliście oszczędności mojego życia. Wywaliliście nawet z pracy biednego Billa.

– Nie mieszaj mnie do tego – rzekł Lovell z uśmiechem. – Świetnie sobie radzę.

– I żadna gadanina prezydenta Cowleya o prawach i obowiązkach Egidy do mnie nie

przemawia – zakończył Jack. – Owszem, poruczniku, dam wam wodę, żeby ulżyć tym zmęczonym dzieciakom, które pan prowadzi na manowce. Poza tym… Owszem, mógłbym przyjąć pańskie dolary, ale nie przyjmę, bo nie lubię ani pana, ani pańskiego rządu na Podstawowej, który pan reprezentuje, i chciałbym, żebyście się stąd wynieśli.

Nathan widział, że porucznikowi Allenowi rośnie ciśnienie jak w wulkanie przed erupcją.

– To wszystko bzdury!

– Z całym szacunkiem, sir, wcale nie – zaprotestował Fox. – Taki rodzaj wymiany poglądów jest właśnie zasadniczym celem…

– Zamknijcie się, marynarzu!

– Tak jest, sir. – Fox cofnął się natychmiast.

Z wewnętrznej kieszeni Allen wyjął plik studolarowych banknotów. Położył je na biurku Jacka.

– Żądam, żeby przyjął pan te pieniądze, sir. Albo wziął na siebie konsekwencje.

Absolutnie spokojny Jack patrzył na niego obojętnie.

– Co powiedziała ta nieszczęsna trollica, kiedy podobni do ciebie próbowali jej odebrać szczeniaka?

– Nie miało to nic wspólnego z siłami zbrojnymi USA…

– „Nie dam" – Powtórzył tę frazę gestem języka migowego trolli. – Nie ustąpię, poruczniku.

Allen się wściekł.

– Chorąży Fox, skujcie tego człowieka.

Jack tylko się zaśmiał. Fox znieruchomiał niezdecydowany.

W kącie, gdzie marines grali w scrabble, wybuchła dyskusja.

– McKibben, ty ćwoku, nie ma takiej możliwości, żeby TAŚMASCOTCH była jednym słowem…

– Nie wydaje mi się, żeby skuwanie było właściwą reakcją, poruczniku Allen – odezwał się chłodno Nathan.

Allen wyszedł wściekły.

Nathan zastanawiał się, jak, u diabła, wyjaśni to wszystko kapitan Kauffman.

Kiedy spróbował, jej pierwszą reakcją było usunięcie z pokładu porucznika Allena, przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Po drugie, poprosiła o spotkanie z tym Jackiem Greenem, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tym systemie przysług.

ROZDZIAŁ 20

W Pasie Górniczym Helen i Dan byli świadkami katastrofy.

Flotylla sterowców zatrzymała się kilka razy nad jałowymi światami tego pasa, by wziąć na pokład rozmaite rudy – nie tylko ładunki masowe, jak boksyty, czy nawet oczywiste metale szlachetne, jak złoto i srebro, ale też wiele minerałów, które obecnie na Podstawowej występowały rzadko, a w każdym razie były bardzo wartościowe: german, kobalt, gal.

Jednak wypadek nie zdarzył się nad światem skolonizowanym. Helen i Dan składali akurat wizytę w sterowni „Złotego Piasku", więc wszystko widzieli. Twain zwolnił, gdyż zbliżali się do znanego jokera, jakieś osiemdziesiąt tysięcy kroków od Podstawowej, i pilot wiedział, że musi być ostrożny. Poruszali się w tempie najwyżej kilku kroków na minutę. Kiedy wreszcie przekroczyli do jokera, pejzaż sąsiedniego świata – rzadka zieleń, tu i tam kępy drzew i preria – zniknął, odsłaniając nagą, czerwoną jak cegła i zasypaną pyłem skałę. Nawet miejscowa Missisipi była zredukowana do brudnej strugi. Z nieznanych przyczyn na tym jokerze nastąpiło globalne upustynnienie. Widoki przypominały marsjańskie. I leżał tu uszkodzony sterowiec.

Nazywał się „Pensylwania" i trafił na burzę piaskową. Jeden ze zbiorników helu, być może mający ukrytą skazę, rozdarł się od nagłego rozszerzenia gazu, wywołanego gorącym i suchym powietrzem jokera. Wyciek był szybki, ale uderzenie o ziemię powolne i niepowstrzymane; doświadczenie musiało być przerażające.

„Złoty Piasek" był pierwszym z flotylli, który natrafił na wrak. I największym. Dan i Helen wycofali się i starali nie przeszkadzać, gdy w kajucie kapitańskiej odbyła się pospiesznie zwołana narada, na którą wezwano dowódców pozostałych statków, kolejno zjawiających się na tym świecie. Szybko opracowano strategię, załoga zaczęła działać. Rzucili kotwicę i wkrótce uruchomili coś w rodzaju windy, na otwartej platformie przenoszącej załogę na ziemię i z powrotem. Helen zobaczyła kolegę Dana, bosona Higgsa, jak zjeżdża na dół i dołącza do grup roboczych sformowanych z załóg wszystkich sterowców.

Potem kapitan przez pokładowy interkom wezwał ochotników spośród pasażerów, którzy chcieliby zejść na dół i pomóc. „Ochotników spośród pasażerów"… W Helen zamarło serce, gdy usłyszała te słowa.

Oczywiście, nie mogła go powstrzymać.

Wszystko szło całkiem dobrze przez trzy, może cztery godziny, gdy słońce opadało powoli, a burza piaskowa wreszcie całkiem ucichła. Ze swego punktu obserwacyjnego – boskiego, bo leżącego wysoko na niebie – Helen obserwowała coś, co przypominało bardzo dobrze zorganizowane mrówki pracujące nad trupem powalonego statku. Ludzie wycinali we wraku tunele, wyprowadzali chodzących, wynosili ciężej rannych i zabitych. Polowe stanowisko medyczne założono pod namiotem, a już wkrótce pierwszy z najciężej poszkodowanych wjeżdżał windą na „Złoty Piasek". Z całej flotylli „Złoty Piasek" był najlepiej przygotowany, by przyjmować ofiary – miał dobrze wyposażoną izbę chorych, którą szybko można było zamienić w prawdziwy szpital.

Inne grupy starały się ratować ładunek „Pensylwanii", głównie ziarno z Pasa Rolniczego. Jeszcze inne wykonywały smutny obowiązek kopania grobów wokół miejsca katastrofy.

W pewnej chwili na mostku „Złotego Piasku" podniósł się alarm. Ktoś z jego ekipy wpadł w pułapkę i został uwięziony we wraku – jakieś fragmenty konstrukcji zawaliły się, gdy próbował bohatersko dotrzeć do ostatniej grupy uwięzionych pasażerów. Tkwił teraz w połamanym szkielecie, za wysoko nad ziemią, by bezpiecznie przekroczyć.

Natychmiast zorganizowano grupę ratowniczą.

– Ale numer – powiedział Dan, słuchający trzeszczących komunikatów radiowych. – Jak myślisz, mamo, kto to jest?

Nie twój ojciec, błagała w milczeniu Helen. Nie Joshua. Przynajmniej jeden raz niech to nie będzie on…

Z nosa „Złotego Piasku” opuszczono dodatkową linę z trzymającymi się jej dwoma osobami: bosonem Higgsem i Sally Linsay. Nadzieje Helen gasły szybciej, niż jechała w dół platforma.

Po chwili Sally i Higgs z wielką ostrożnością wsunęli się w rozdarcie sflaczałej powłoki twaina i zniknęli w ciemnościach. Helen słyszała ciche przekazy przez radio, widziała iskrę palnika w głębi wraku… A potem nastała cisza.

– Bierzcie w górę! – zawołała wreszcie Sally.

Powoli i ostrożnie zakręcił się bloczek. Najpierw pojawiła się platforma z Sally i marynarzem, ciągnąc pod sobą długą linę. Lina się naprężyła i Sally dała znak ręką, by zatrzymać windę.

– Nic mu nie jest – usłyszała Helen. – Nie wygląda dostojnie, ale jest cały. Ciągnijcie.

Powoli sunęli w górę, aż wreszcie w świetle zachodzącego słońca pojawił się Joshua: wisiał głową w dół na linie, uwiązany za kostkę u nogi.

Dan przewrócił oczami.

– Och, tato…

Helen uznała, że doskonale wszystko podsumował.

W końcu, ku niechęci Helen, cały incydent znalazł się w outernecie i na kanałach informacyjnych. Niekiedy trudno jest grać rolę Lois Lane.

Dodatkowo – czego Helen dowiedziała się później – gdy tylko Joshua wynurzył się z wraku, Sally przesłała uśmiech załodze „Złotego Piasku” i zniknęła.

ROZDZIAŁ 21

Tak się złożyło, że kilka dni później w Pasie Górniczym zjawił się także „Benjamin Franklin". Komunikat outernetowy przyniósł rozkaz, by zawrócić z Restartu do świata położonego około siedemdziesięciu tysięcy kroków od domu, gdzie jakiś idiota zastrzelił kilka trolli.

Sunęli przez światy, a Maggie Kauffman zastanawiała się – nie pierwszy raz od rozpoczęcia tej misji – czy cała Długa Ziemia nie jest testem, z którym ludzkość konsekwentnie sobie nie radzi. Z jednej strony na Podstawowej wciąż zdarzali się ludzie prowadzący swe życie bez żadnego związku z przestrzenią za murami ogrodu, a z drugiej nawet teraz, dwadzieścia pięć lat od Dnia Przekroczenia, zdarzali się ludzie przekraczający na wschód i zachód, nawet do Wysokich Meggerów i dalej, którzy nawet nie sprawdzili, czy rosnące w okolicy grzyby są jadalne. Jednym z nieprzewidzianych zadań jej misji, jak się okazało, było przewożenie do bezpiecznych miejsc rannych, a nawet ciężko zakłopotanych, którzy zrezygnowali po pierwszej zimie bez prądu albo po niespodziewanej wizycie niedźwiedzia czy stada wilków – czy nawet jakiegoś potomka dinozaurów, jeśli dotarli wystarczająco daleko. Ludzie inteligentni, choć z początku praktycznie wszystkiego musieli się uczyć, szybko znajdowali skuteczne metody radzenia sobie z trudnościami. Jednak takich ludzi Maggie widywała rzadko. Głupi ludzie przez cały czas zachowywali się głupio – na przykład zabijali trolle mimo atmosfery, jaka zrodziła się po incydencie koło Szczeliny. Maggie przekonywała się, że do skutków tej głupoty „Franklin" wzywany jest raz za razem.

I tak sterowiec dryfował nad jałowymi wersjami Teksasu w poszukiwaniu grupy, której położenie – zarówno wykroczne, jak geograficzne – znane było tylko w przybliżeniu. Załogę intrygowały szczegóły katastrofy, która zniszczyła „Pensylwanię"; Maggie sprawdziła, że po bezpośredniej akcji jej pomoc nie jest już potrzebna.

Wreszcie, niedaleko cienia Houston, sterowiec przeleciał nad prymitywnym obozowiskiem, skąd przyglądała im się mała, samotna postać. Nathan Boss wskazał zagajnik w pobliżu, wykazujący wyraźne zaburzenia równej powłoki zieleni, być może w rezultacie walki.

Mac delikatnie zwrócił jej uwagę na termiczny obraz skulonych, stygnących kształtów w głębi zagajnika. Najwyraźniej porzucono tam ciała.

Na ziemię zeszli Maggie, Nathan i Joe Mackenzie. Samotna postać w obozowisku, kobieta czekająca obok dymiącego ogniska, wyglądała na twardą czterdziestoparolatkę – a więc kilka lat starszą od Maggie; wyraźnie typ pioniera. Przedstawiła się jedynie jako Sally. Wśród sprzętu, jaki nosiła na plecach, miała strzelbę z kompozytów ceramicznych, a wyraz twarzy sugerował wiele niezałatwionych spraw.

Maggie znała swoich oficerów i wiedziała, że będą się zachowywać ostrożnie. Sądziła też, że wie – z odpraw jeszcze przed startem – kim jest ta kobieta.

Sally zaproponowała im kawę i zrolowane śpiwory do siedzenia. Potem przeszła do rzeczy.

– Nie chciałam was tutaj. Wierzę, że takie sprawy należy załatwiać samodzielnie. Nie ja was tu wezwałam.

– No to kto? – zapytał Nathan.

– Jego już nie ma. Wyniósł się stąd. No ale wy jesteście, więc oto skrót sytuacji. Zabezpieczyłam niedaleko stąd kilku tak zwanych naukowców, którzy zabili co najmniej trzy trolle.

– Naukowców? – zdziwił się Nathan.

– Biologów. Przybyli tutaj, żeby badać trolle, przynajmniej tak mówią. To jeden z nich wezwał pomoc. Pozwoliłam mu odejść. Reszta…

– Są „zabezpieczeni"? – wtrąciła ostro Maggie. – Co to właściwie znaczy?

Sally uśmiechnęła się złośliwie.

– Trolle zostały tu schwytane w celu przeprowadzenia jakiegoś „eksperymentu"

krzyżowania z innymi humanoidami. Trudno się dziwić, że stawiły opór i przekroczyły, kierując się na zachód. Wyruszył pościg i w efekcie zastrzelono samca i dwie samice. Może więcej, nie widziałam całej akcji. Zostawili osieroconego szczeniaka. Jestem pewna, że zdajecie sobie sprawę, jaką furorę robi obecnie traktowanie przez nas trolli…

– To nie sankcjonuje żadnych akcji odwetowych z pani strony, kimkolwiek pani jest – oświadczył chrapliwie Mac.

Sally uśmiechnęła się znowu.

– Och, nikt nie zginął. Nie jest im zbyt wygodnie, ale żyją. W przeciwieństwie do trolli. A przy okazji, jeśli wasza załoga spróbuje mnie aresztować, przekroczę stąd szybciej, niż zdążycie powiedzieć „prześlijcie nas".

Była absolutnie pewna siebie, choć najmniejsza sugestia zagrożenia z jej strony ściągnęłaby z „Franklina" błyskawicę. Maggie musiała się lepiej zorientować w sytuacji, a wydawało jej się, że poznaje tę kobietę.

– No dobrze – powiedziała. – Nie mam najmniejszego zamiaru próbować aresztowania pani, ehm… Sally. Nie pełnimy tutaj funkcji policyjnych. Te typy zasłużyły na to, jak ich pani potraktowała. Sugeruję jednak, by odłożyła pani broń, którą nosi pani na plecach. Żeby załagodzić napięcie. Proponuję też, żebyśmy we dwie przespacerowały się do tamtego zagajnika, gdzie leżą ciała, i porozmawiały chwilę. Omówiły sytuację.

Sally zawahała się, ale skinęła głową i odłożyła broń. Razem ruszyły do lasku, zostawiając Maca i Nathana, by napili się jeszcze mocnej kawy.

– Wiem, kim pani jest – oświadczyła Maggie, by trochę wyprowadzić Sally z równowagi.

– Wie pani?

– Oczywiście. Tą kobietą, która wysiadła z „Marka Twaina" razem z Joshuą Valienté. Wieści się rozchodzą. – Ściślej mówiąc, podczas odpraw nazwisko Linsay pojawiało się regularnie jako osoby nieprzewidywalnej i groźnej, a także prawdopodobnie samozwańczej mścicielki.

– Sally Linsay, prawda? To w każdym razie jedno z nazwisk, pod jakimi jest pani znana.

Sally wzruszyła ramionami.

– Ja też znam panią. Kapitan Margaret Dianne Kauffman. Och, nietrudno było poznać szczegóły pani wojskowej kariery. Każdy, kto interesuje się polityką Długiej Ziemi, wie wszystko o „Franklinie", jego oficerach, o całej reszcie eskadry i tej dziecinnej misji w stylu Gwiezdnej Floty. Jestem zadowolona, że to właśnie pani się zjawiła. Podobno należy pani do tych mniej głupich z kapitanów Kirków, jacy fruwają po okolicy.

– Dzięki.

Sally chytrze spojrzała na Maggie.

– Proszę posłuchać, skoro już pani tu jest… I skoro wyraźnie nie jest pani jakimś militarnym wariatem…

– Dzięki za komplement.

– Wierzę w nagłe inspiracje. W korzystanie z okazji. Chodził mi po głowie taki pomysł na siły egzekwujące prawo…

– Hm, nie jest naszą rolą… – Maggie nagle znowu znalazła się w defensywie.

– O czym pani mówi?

– Może jest pani mniej głupia od kolegów, ale przecież misja, którą pani wykonuje, jest naprawdę idiotyczna. Rzeczywiście całkiem jak w tym nieszczęsnym *Star Treku*: garść statków patrolujących nieskończoną liczbę światów. Jeśli chcecie jakoś opanować Długą Ziemię, musicie podejść do tego holistycznie.

– Nie mam pojęcia, co pani sugeruje.

– Sugeruję, że potrzebujecie sprzymierzeńca, który sięga tak szeroko jak sama Długa Ziemia. – Sally spojrzała Maggie w oczy. – Mówię o trollach.

Maggie była zaskoczona.

– Co takiego?!

– Użyjcie trolli. Może nawet zabierzcie kilka na pokład. Już są wykorzystywane na całej Długiej Ziemi, gdziekolwiek ludziom potrzebna jest przyjazna pomoc. Wojsku też się przydadzą.

Mają rozległy system komunikacji plus ogromną pamięć zbiorową…

– Długie wołanie…

– Właśnie. Nie wspominając już o tym, że fizycznie budzą niejaki lęk.

Tego było już dla Maggie za wiele. Pomyślała, że misja mocno się zmieniła od szorstkich uczuć przyjaźni, o jakich mówił prezydent Cowley, do tego… Lecz powinna jakoś zareagować na te historie z trollami.

– Muszę się zastanowić. Czemu pani na tym zależy?

Sally wzruszyła ramionami.

– Stoję po stronie trolli. A jak lepiej można je chronić, niż skłaniając, by pracowały z żołnierzami? Może przy okazji uda się je przekonać, by znowu nam zaufały…

Dotarły do zagajnika. Maggie poszła za Sally do cienia, gdzie leżały dwa martwe trolle – trzeci, o którym wspomniała Sally, zostawił pewnie swe zwłoki w jakimś wykrocznym świecie – i żywe młode, które wciąż usiłowało się przytulić do jednego z ciał.

– Mówiła pani, że gdzieś w pobliżu trzyma pani tych naukowców.

– Znajdziecie ich. Oby wam się udało, zanim dotrą tutaj inne trolle.

– Jakie inne trolle?

Sally przyjrzała jej się z wyższością.

– O zmierzchu ten osierocony szczeniak, choć młody, spróbuje się włączyć do długiego wołania. W ten sposób wezwie inne trolle. A kiedy się zjawią… Trolle są relatywnie litościwe. Bardziej, niż byliby ludzcy rodzice. Ale bronią swoich młodych.

– Rozumiem.

Ruszyły z powrotem do ogniska.

– Wie pani… – odezwała się Sally, wyraźnie pod wpływem nagłego impulsu. – Jest coś jeszcze. Ponieważ wierzę, że ma pani w sobie to, co trzeba, pani kapitan Maggie, proszę rzucić okiem na to. – Sięgnęła pod klapę kieszeni i wyjęła lśniący kawałek zaawansowanej techniki.

Była to rurka pokryta klawiszami, podobna do jakiegoś instrumentu muzycznego. Tak pewnie wyglądałaby okaryna przerobiona przez Einsteina, pomyślała Maggie.

– To trollowy gwizdek – powiedziała Sally.

– Słucham?

– Powiedzmy, że dwukierunkowy aparat translacyjny do rozmów z trollami. Radzę sobie już całkiem dobrze, umiem wezwać pomoc albo ostrzec o niebezpieczeństwie. Oczywiście, ich język w ogóle nie jest podobny do naszego; ta zabawka to prototyp i można przekazać tylko podstawowe pojęcia. Ale na razie to najlepsze, na co nas stać. Mając na pokładzie kilka trolli i coś takiego…

– Gdzie mogę to zdobyć?

– Mój nie jest na sprzedaż – oświadczyła Sally. – Ale postaram się zorganizować dla pani jedną sztukę od producenta.

– A kim jest ten producent? – spytała Maggie.

Sally uśmiechnęła się tylko.

Maggie zdecydowała się na skok w ciemność.

– Dobrze. Proszę mi taki zdobyć. W ten sposób zachowam możliwość działania. Zastanowię się na tym, co mi pani mówiła.

– Dobrze.

– Jak panią znajdę…? Och. To pani mnie znajdzie, prawda?

– Zaczyna pani rozumieć.

Kiedy załoga sterowca schodziła na ziemię, była rutynowo monitorowana i podłączona do czujników. Oficerowie Maggie słyszeli każde słowo rozmowy.

Nathan Boss uważał, że powinni przynajmniej spróbować zatrzymać Sally Linsay.

A Joe Mackenzie sądził, że jest szalona, w ogóle rozważając wzięcie trolli na pokład.

– Sama nie wiem, Mac. Musimy szukać nowych sposobów działania na Długiej Ziemi. Tyle zdążyłam się nauczyć przez ostatni miesiąc. Bo wiesz, ona ma rację – kiedy już oddalisz się dalej niż o dziesięć kroków od Podstawowej, to jakbyś trafiał w przestrzeń międzygwiezdną. Nie

można kontrolować Długiej Ziemi, jakby to było okupowane miasto w strefie wojny. Albo nawet Nowy Jork Podstawowy. Wolność powoduje bałagan, prawda? Słuchaj, Mac, zrób coś dla mnie. Znajdź mi jakichś ekspertów od trolli…

ROZDZIAŁ 22

„Złoty Piasek” i towarzysząca mu flotylla pełzła przez Niskie Ziemie ostatnie kilkadziesiąt kroków przed Podstawową. Nieba nad nimi były już mocno zatłoczone, a światy stosunkowo rozwinięte. Realnym zagrożeniem stały się kolizje przy przekraczaniu. W ostatnich kilku światach wysyłali zwiadowcę, który przekraczał naprzód, sprawdzał trasę, a potem wracał, kiedy droga była wolna.

Lecz nawet zamęt Zachodniej 3, 2 i 1 były niczym w porównaniu z tym, co ich czekało, kiedy w końcu przekroczyli na Podstawową. Spoglądali na krajobrazy Zachodniej 1 i nagle, po ostatnim kroku, odnieśli wrażenie, że ktoś zrzucił bombę Daisy Cutter, która na całe kilometry dookoła wycięła odłamkami wszelką zieleń, zastępując ją betonem, asfaltem i stalą, barwiąc mętną szarością błyszczącą wstęgę rzeki, grodząc ją wzmocnionymi nabrzeżami i mostami, a wszystko to pod brudnym i szarym niebem. Joshua pomyślał, że trudno o bardziej przekonujący dowód tego, co ludzkość może zrobić ze światem, gdy ma do dyspozycji kilka stuleci i dużo ropy do spalania.

„Złoty Piasek” wydawał się mniejszy, kiedy opadał delikatnie do rękawa. Po zejściu z pokładu pierwszym, co zobaczył Joshua, był ogromny portret prezydenta Cowleya na ścianie starego budynku z cegły. Cowley patrzył groźnie i wyciągał rękę z uniesioną dłonią, jakby mówił: „Wstęp wzbroniony”.

Idąca za Joshuą Sally rozglądała się pogardliwie. Znowu do nich wróciła po ostatnim wyskoku, pewnie na krótko. Choć Joshua znał ją od dawna, wciąż niewiele wiedział o rozmaitych kanałach, poprzez które utrzymywała kontakt ze wszystkim, co się działo na Długiej Ziemi. A w jakimś sensie czuła się chyba odpowiedzialna za porządek w tej ogromnej dziedzinie.

– Witaj w domu – mruknęła ponuro.

Pasażerowie trafili do wielkiej hali imigracyjnej, gdzie załatwiano sprawy przybywających. Wypełniały ją kręte kolejki ludzi, stanowiska celne i kontrolne. Twardziele z Bezpieczeństwa Wewnętrznego nosili hełmy z przyłbicami, żeby nie pokazywać twarzy; na ścianach wisiały groźne afisze i zagadkowe transparenty:

RODZ 3,19

Podobnie jak na zapamiętanych przez Joshuę lotniskach samolotowych, na stacji twainów też zauważył jasno podświetlone znaki wskazujące połączenia z innymi systemami transportu: samolotami, pociągami, autobusami i taksówkami. Transport był na Ziemi Podstawowej jedną z nielicznych dziedzin gospodarki, które po Dniu Przekroczenia szybko się rozwijały. Aby pokonać dłuższy dystans na którejś z Niskich Ziemi, najłatwiej było przekroczyć na Podstawową, złapać autobus albo samolot, a u celu przekroczyć z powrotem. Jednak by uzyskać dostęp do tej usługi, trzeba było przejść przez służby imigracyjne.

Kiedy czekali, Joshua przyglądał się swojej niewielkiej grupie. Dan, który nigdy w życiu nie widział jeszcze kolejki, wydawał się zagubiony. Helen stała spokojnie, cierpliwa jak zawsze. Bill wciąż ciężko skacowany po pożegnaniu z załogą „Złotego Piasku”. Sally tylko przewracała oczami i wzdychała nad ludzką głupotą.

Po chwili zbliżył się do nich poważny mężczyzna ubrany w czarną sutannę, koloratkę i biret. Kiedy podszedł bliżej, Dan się cofnął. Obcy niósł Biblię, a w drugiej ręce na łańcuchu niedużą mosiężną kulę, z której unosił się zapach kadzidła. Najwyraźniej nawracał tłum na lądowisku.

Stanął obok nich i wcisnął Sally ulotkę.

– W imię Boże, skoro wróciliście już do domu, zostańcie tutaj, na Ziemi Podstawowej,

jedynej prawdziwej Ziemi!

Sally przyjrzała mu się niechętnie.

– Ale czemu właściwie? I kim pan jest?

Odpowiedział ze szczerym przekonaniem:

– Nie ma nawet strzępka dowodu, naukowego ani teologicznego, że bezcielesna dusza może wędrować między światami. Jeśli wasze dzieci umrą tam, w tej dziczy, ich dusze nigdy nie znajdą drogi na łono Pana Naszego. – Przeżegnał się. – A jak wiecie, Dzień Sądu się zbliża. Nawet teraz, na wszystkich tych tak zwanych światach wykrocznych, w sercu bezbożnych kopii prawdziwej Ameryki, siarka i ogień rozsnuwają gryzące dymy nad Yellowstone…

Sally zaśmiała się i ze swoim surowym akcentem zasugerowała mu, żeby sobie poszedł, bardziej stanowczo, niż Joshua by się ośmielił. Mężczyzna poczłapał dalej, szukając łatwiejszych ofiar.

– No, był trochę zwariowany – stwierdził Bill.

W końcu dotarli na czoło kolejki. Otworzono i skrupulatnie przeszukano ich bagaże, a każdy musiał przejść przez pełny skan ciała. Joshua i Sally byli pierwsi. Po drugiej stronie oboje dostali bransoletki w jaskrawych kolorach, niewątpliwie naszpikowane techniką śledzącą. Mieli je nosić przez cały czas, aż do opuszczenia Podstawowej.

– Nie rozumiem – mruknął Joshua, gdy czekali na pozostałych. – Cała ta kontrola, te dokumenty… Nie było tego, kiedy wróciłem tu poprzednim razem. Ale jaki jest sens? Wiem, że na wykrocznych światach istnieją groźne dla Podstawowej choroby zakaźne czy jakieś agresywne gatunki. Ale te bariery? Przecież Długa Ziemia to otwarta granica. Grzecznie dolecieliśmy tu twainem i wysiedliśmy w węźle komunikacyjnym, lecz przecież moglibyśmy przekroczyć w dowolnym miejscu Podstawowej z plecakiem pełnym koziorogich chrząszczy. Nie widać tu logiki…

Sally przewróciła oczami.

– Chodzi o symbolikę, Joshuo. Nigdy nie mogłeś pojąć takich kwestii, co? W ten sposób prezydent Cowley mówi swoim wyborcom: Patrzcie, jak dbam o wasze bezpieczeństwo. Patrzcie, jacy straszni są ci podróżnicy, jakie stanowią zagrożenie. – Zmierzyła wzrokiem rzędy rozmaitych skanerów i innego sprzętu. – Poza tym firmy produkujące taką aparaturę mogą zarobić dużo państwowych pieniędzy. Strach generuje wielkie zyski.

– Jesteś cyniczna.

– Cynizm to jedyna rozsądna reakcja na szaleństwa człowieczeństwa. Zwłaszcza na Podstawowej.

W końcu pojawili się Dan, Helen i Bill. Oszołomiony Dan szeroko otwierał oczy, ale raczej nie był przestraszony, co Joshua stwierdził z ulgą. Wzięli swoje bagaże i ruszyli przez zatłoczoną halę, rozglądając się za postojem taksówek. Joshua zauważył jeszcze jedną nowość, która pojawiła się od jego poprzedniej wizyty: niewielkie kwadraty na chodnikach, zaznaczone żółtymi liniami i wyłączone z ruchu pieszych – zarezerwowane do przekraczania, a poza tym puste, by nie blokować ruchu. Tylko na Podstawowej takie środki były niezbędne i na samą myśl o tym Joshuę ogarniało nieprzyjemne uczucie klaustrofobii.

Zbliżył się do nich inny mężczyzna, tym razem w eleganckim garniturze, z plastikową reklamówką w ręku. Najwyraźniej nawet przez chwilę nie mogli zostać sami… Człowiek ten, mniej więcej trzydziestoletni, miał przerzedzone włosy, okulary i zniewalający uśmiech. Stał dokładnie na ich drodze, więc musieli się zatrzymać. Joshua uznał, że to pewnie następny religijny szaleniec.

Wtedy mężczyzna odezwał się, spokojnie i wyraźnie:

– Witajcie na Ziemi, mutanty.

I sięgnął do reklamówki.

Joshua skoczył do przodu, własnym ciałem zasłaniając rodzinę. Kątem oka dostrzegł, jak Sally chwyta Dana i natychmiast przekracza z puknięciem powietrznej implozji. Mężczyzna wyjął nóż: krótki, ciężki i groźny. I jednym płynnym ruchem go rzucił.

Joshua, trafiony w prawy bark, zatoczył się do tyłu. Widział, jak Helen biegnie i uderza

mężczyznę pięścią w twarz. Była akuszerką, miała silne ramiona i napastnik runął na ziemię. Nadbiegali policjanci i ochrona.

Dla Joshuy cały świat poszarzał i zniknął.

ROZDZIAŁ 23

–Twój niedoszły zabójca nazywa się Philip Mott – oznajmiła Monica Jansson, nalewając Joshui kawę. – Prawnik, asystent radcy prawnego jednego z wielkich koncernów kolejowych. Żadnych wcześniejszych konfliktów z prawem, żadnych istotnych kontaktów z policją. Nie jest fobikiem, o ile nam wiadomo, nie jest sam w domu, to znaczy nie został porzucony przez przekraczającą rodzinę, co często prowadzi do takich zachowań.

Joshua znał ten syndrom. Sama Helen była siostrą Roda Greena, samego w domu, który przystał do zamachowców.

– Jednakże Mott nie ma krokera – mówiła dalej Jansson. – I rzadko kiedy w ogóle przekraczał, przynajmniej tak twierdzą wszyscy świadkowie. Przez lata pracował z formacją Najpierw Ludzkość prezydenta Cowleya, zwłaszcza z niektórymi bardziej zaciekłymi grupami, których nawet Cowley się oficjalnie wypiera.

Joshua poprawił się na sofie, trochę zbyt miękkiej jak dla niego. Kilka dni po ataku ramię goiło się powoli, ale wciąż nosił rękę na temblaku, a rana wysyłała niekiedy ostre impulsy bólu, jeśli poruszył się zbyt gwałtownie. Sally, ściskając oburącz kubek z kawą, siedziała obok, na samym brzegu sofy. Jak zawsze wyglądała, jakby zaraz miała się poderwać i zniknąć za drzwiami albo w ogóle z tej rzeczywistości. Dan był na zewnątrz i grał z Billem w koszykówkę, rzucając piłką do zardzewiałej obręczy umocowanej na ścianie domu. Joshua słyszał, jak biegają w słońcu, a Dan cały czas mówi, udając sprawozdawcę sportowego.

Helen, choć to niewiarygodne, siedziała w areszcie z zarzutem napadu. Zatrzymali się u dawnej znajomej Joshuy, byłej porucznik policji, Moniki Jansson. Jej dom na przedmieściach Madison Zachodniego 5 – gdzie po wybuchu atomowym przesiedlono mieszkańców Madison Podstawowego – był typowym reprezentantem architektury Niskich Ziemi, masywną budowlą z drewna takiej jakości, że na Ziemi Podstawowej byłoby niegdyś morderczo kosztowne. Przeszłość Jansson dało się dostrzec w obecnych w całym domu elementach zaawansowanej technologii: telewizor z szerokim ekranem, telefony komórkowe, laptop…

Jansson miała teraz około pięćdziesiątki, ale według niefachowej oceny Joshuy wyglądała na więcej. Wydawała się szczuplejsza, niż ją zapamiętał, siwiejące włosy ścinała krótko. Zauważył też ustawiony nad kominkiem szereg białych plastikowych buteleczek z lekami. Na ścianie powyżej wisiał na rzemyku szafirowy pierścień Joshuy, zawieszony dumnie na haczyku po jakimś obrazku. Zachęcony przez żonę, zabrał go ze sobą, by to jedno z nielicznych imponujących trofeów swej wyprawy pokazać kilku dyskretnym przyjaciołom.

Na ekranie telewizora jacyś geolodzy pełzali w jeziorku bulgoczącego błota w kopii Yellowstone na tej czy innej Niskiej Ziemi. Najwyraźniej podobne zakłócenia miały miejsce zarówno w Yellowstone Podstawowym, jak w jego najbliższych cieniach. Dowcipny komentator opowiadał o zatkanych gejzerach, uciekających zwierzętach i podobnych zjawiskach, oraz że to wręcz dobrze dla Parku Narodowego, bo ludzie przyjeżdżają, by gapić się na podziemne zamieszanie także w kopiach wykrocznych. Może ten religijny wariat na lądowisku twainów nie mylił się co do ognia i siarki, nawet jeśli nieprawidłowo je interpretował.

– Czyli ten Mott nigdy wcześniej nie zrobił takiego numeru? – spytała Sally.

– Nie mamy w aktach nic takiego. Ale strategie tych Najpierwszych wyewoluowały. Wielu z nich ostatnio działa podobnie. Nasiąkają propagandą, ale siedzą cicho, poniżej radaru. Noszą kołki…

– Kołki? – zdziwił się Joshua.

– Tak w swoim żargonie określają takie noże, jakim cię zaatakował. Rozumiesz, to jakby przebić kołkiem wampira. Żelazny kołek dla przekraczającego. Bardzo trudno ich wykryć. A potem nagle znajdują się w sytuacji, kiedy mogą zaatakować przypadkową ofiarę. Na przykład w pobliżu terminala twainów, ale poza barierami ochrony, więc nikt nie wie, co kto trzyma w torbie. Tam właśnie Mott spotkał ciebie, Joshuo.

– I rozpoznał twoją twarz – dodała oschle Sally.

– I trach!… Pewnie celował w serce. Nawet gdyby chybił, miałbyś poważne kłopoty, przekraczając z kawałkiem żelastwa w piersi.

Sally prychnęła.

– Słyszałam, że w niektórych krajach na Podstawowej rządy robią to świadomie. Chirurgicznie umieszczają żelazne klamry w sercu albo na aorcie.

– Tak – przyznała Jansson. – Nazywają to zszywaniem. Ale nie martwcie się tak. Mott jest w areszcie i stanie przed sądem. Wymiar sprawiedliwości na Podstawowej nie jest już taki jak za moich czasów, lecz nie odpuszcza zamachów.

– Mojej żonie też nie odpuszcza – stwierdził Joshua z goryczą. – Nie mogę uwierzyć, że oskarżyli Helen o napad.

– No wiesz, rzeczywiście go znokautowała. Piękny sierpowy. Wyjdzie z pouczeniem, to przecież obrona konieczna…

– Wciąż siedzi w celi! Odebrali jej kroker, nie chcą nawet wyznaczyć kaucji! Ile mogę czekać, zanim ją wypuszczą?

– Obawiam się, że taka teraz obowiązuje polityka wobec osób, które nie mieszkają na stałe na Niskich Ziemiach ani Podstawowej.

Sally pokręciła głową.

– Podstawowa stała się światem pełnym paranoików, którymi rządzą paranoicy. Nic dziwnego, że nigdy tu nie wracamy.

– Ale tym razem wróciliście z ważnej przyczyny – przypomniała Jansson. Zwróciła się do Joshuy. – Masz się spotkać z senatorem Starlingiem, tak?

– Tak. Żeby porozmawiać o sprawie trolli. – Wzruszył ramionami i rana zabolała na nowo. – I dzięki, Jansson. Wiem, że otworzyłaś sporo drzwi, żeby zaaranżować to spotkanie. Tyle że zaczynam wątpić, czy to w ogóle mądry pomysł.

– Musisz spróbować – warknęła Sally. – Rozmawialiśmy już o tym w Diabli Wiedzą Gdzie.

– Oczywiście – przyznał. – Ale kiedy już tu dotarliśmy, stało się raczej oczywiste, że kwestia traktowania trolli nie znajdzie się na szczycie listy ważnych spraw politycznych Ziemi Podstawowej.

– Możesz mieć rację – zgodziła się Jansson. – Lecz przypadek Mary znad Szczeliny był głośny nawet tutaj. To tak wyjątkowy incydent, takie okrucieństwo i niesprawiedliwość, w dodatku, na miłość boską, w ramach programu kosmicznego! Trudno sobie wyobrazić głośniejszą sprawę, a zatem pojawia się szansa na zmianę. Dlatego zrobiłam, co mogłam, żeby pomóc ci umówić się ze Starlingiem.

– No właśnie – rzekła Sally. – Jaki jest pożytek ze znanej twarzy, jeśli nie wykorzystuje się jej w dobrej sprawie?

– Ta moja znana twarz doprowadziła na razie do tego, że jakiś typ rzucił we mnie nożem, żona siedzi w pudle, a dziecko jest śmiertelnie wystraszone.

Jansson wyjrzała na Dana przez okno.

– Wydaje mi się, że ten mały pionier jest jednak twardszy.

Joshua się skrzywił.

– Prezydent Cowley powiedziałby, że jest małym mutantem.

– A także grzesznikiem. – Jansson uśmiechnęła się smętnie.

– Księga Rodzaju 3,19. – Sally kiwnęła głową. – Widzieliśmy plakaty.

Joshua przymknął oczy, przypominając sobie czytania z Biblii w Domu.

– Bóg powiedział Adamowi i Ewie, kiedy wypędził ich z raju: „W pocie więc oblicza twego będziesz musiał zdobywać pożywienie, póki nie wrócisz do ziemi, z której zostałeś wzięty; bo prochem jesteś i w proch się obrócisz!”.

– To jest to. Bóg umieścił nas na tym świecie, czy światach, żebyśmy ciężko pracowali. Wy, typy czesaczy, którzy tylko się włóczą, a przynajmniej tak się was tutaj przedstawia, jesteście bandą leni. A bez pracy ludzkość nie dokona postępu… i tak dalej.

Joshua westchnął.

– I popychani takim obłędem zsuwamy się ku wojnie czy czemuś podobnemu.

Jansson sączyła kawę. Joshua zauważył, że drży, choć dzień nie był chłodny.

– A co u ciebie, Monico? – zapytał delikatnie.

Uniosła głowę.

– Lepiej będzie, jeśli pozostaniemy przy porucznik Jansson.

– Osiedliłaś się tutaj, na Zachodniej 5?

– Nikomu nie wolno dłużej pozostawać w Madison Podstawowym, nawet teraz. Chociaż na krótko mogą cię tam wpuścić, gdybyś chciał je obejrzeć. Mogę pociągnąć za parę sznurków. To niesamowite miejsce. Oczywiście, natura rozkwita. W wypalonych ruinach rosną preriowe kwiaty. Nazywają to miejsce amerykańskim Czarnobylem. Ale powoli zdrowieje, jak sądzę.

– A co u ciebie?

Spojrzała na niego ze znużeniem.

– Czy to nie oczywiste?

– Przepraszam.

– Nie musisz. To leukemia. Mój własny idiotyczny błąd. Po wybuchu za często przekraczałam na Podstawową i z powrotem. Ale leki kontrolują chorobę, zresztą mówi się już o terapii genowej.

– Zawsze starałaś się wszystko naprawiać – stwierdził nagle Joshua. – Zawsze to u ciebie widziałem.

– Taka robota policjanta. – Wzruszyła ramionami.

– Ty przejmowałaś się bardziej niż większość policjantów. To do mnie przemawiało. – Wyciągnął rękę, krzywiąc się z bólu, i dotknął jej dłoni. – Nie poddawaj się jeszcze…

Sally wstała zniecierpliwiona.

– Jeśli zaczniecie się teraz roztkliwiać, to ja znikam.

Joshua spojrzał na nią.

– A nie odchodzisz jeszcze?

Mrugnęła porozumiewawczo.

– Zawsze mam jakieś obowiązki, Joshuo. Znasz mnie. Ale wrócę. Do zobaczenia, pani porucznik.

I zniknęła z cichym puknięciem.

Jansson uniosła brew.

– Zrobię jeszcze kawy.

ROZDZIAŁ 24

Marlon Jackson, sekretarz senatora Starlinga, postanowił mężnie – jak to mówią – wziąć na klatę spotkanie z tym dziwacznym pionierem Valienté.

Według jego doświadczenia Jim Starling na ogół dawał się opanować. Na nieszczęście senator miał dobrą, choć nieco kapryśną pamięć, co sprawiało, że diabelnie trudno było nim sterować tak, jak powinien to robić dobry sekretarz. Ale przynajmniej jego napady aktywności bywały zwykle krótkie i jałowe, w czym przypominał Lyndona B. Johnsona w opowieściach pradziadka Jacksona: „Piekielne tornado, dopóki się wreszcie nie uspokoił, a wtedy można było wszystko załatwić". Przodkowie Jacksona od pokoleń ciężko pracowali dla demokracji, unikając świateł reflektorów.

Tyle że pradziadek nigdy nie miał do czynienia z nowoczesną techniką. Na przykład z programem terminarza, w którym znalazło się spotkanie z Joshuą Valienté, choć wszyscy dysponujący dostępem zarzekali się, że go tam nie wpisali. I nawet kiedy Jackson usunął wpis, ten znowu się pojawił. Najwyraźniej Valienté miał jakieś wsparcie. Jackson, doświadczony weteran w Waszyngtonie, potrafił rozpoznać sygnały.

I oczywiście to musiał być ktoś taki jak Valienté; kiedy Jackson ostatni raz widział go osobiście, ten człowiek stał przed senacką komisją śledczą i twardo unikał odpowiedzi na temat swojej spektakularnej, ale tajemniczej wyprawy przez Długą Ziemię w najwyraźniej bezpilotowym statku powietrznym. Napędzanym najwyraźniej tajną techniką, której elementy Korporacja Blacka przekazała potem w darze dla narodu, ku milczącej wściekłości klasy politycznej tegoż narodu. Valienté, chodzący i mówiący symbol Długiej Ziemi, wspierany przez jakieś ukryte, ale wpływowe siły… Ten Valienté przebił się jakoś aż tutaj, by spotkać się z senatorem, którego główna baza wyborcza gardziła nowymi koloniami i wszystkim, co się z nimi wiązało… Starcie poglądów w chwili, gdy sytuacja i stosunki z koloniami komplikowały się tragicznie, z całą tą Walhallańską Deklaracją Niepodległości na dodatek do wszystkich bzdur o trollach…

W świecie Jacksona był to tylko drobny incydent, ale poza kontrolą i niosący potencjalne niebezpieczeństwo. Jak granat toczący się po podłodze. Ale jeśli tylko będzie miał szansę, by wygładzić co bardziej idiotyczne fałdy mózgu senatora i skłonić go do czegoś przypominającego konstruktywny dialog, wszystko dobrze się skończy. W tej robocie zawsze trzeba mieć nadzieję.

Łyknął tabletkę na wrzody żołądka.

Kiedy ochrona wreszcie wprowadziła do gabinetu Joshuę Valienté i jego kumpla, obu ubranych w piaskowego koloru pionierską odzież w stylu *Bonanzy*, byli już o kilka minut spóźnieni. Dla Jacksona wyglądali jak przybysze z na wpół mitycznej przeszłości Ameryki, rzuceni w zamęt nowoczesnego biura z połowy dwudziestego pierwszego wieku.

Po krótkiej prezentacji Valienté od razu przystąpił do ataku.

– Siedem minut spóźnienia z powodu waszych procedur bezpieczeństwa. Tylko mnie się boicie? Czy wszystkich wyborców?

I zanim Jackson zdążył odpowiedzieć, Valienté ocenił wzrokiem myśliwskie trofea na ścianach gabinetu.

– Cóż za wystrój… Wygląda na to, że wszystkie pochodzą albo z gatunków niejadalnych, albo chronionych, albo jedno i drugie. Ładna symbolika.

Jackson nie wymówił jeszcze nawet słowa. Starał się opanować; miał uczucie, że walczy z jakąś pierwotną siłą.

– Może pan usiądzie, panie Valienté i panie… – Zajrzał w papiery. – …Chambers.

Przynajmniej w tym ustąpili.

Kim był ten Valienté? Dokumenty Jacksona sugerowały jakiegoś prymitywa mającego jedynie naturalny dar przekraczania… Ale ewidentnie był kimś więcej. Nawet głos miał niezwykły, myślał Jackson, próbując ocenić przybysza – głos, który wykładał słowa, jak pokerzysta wykłada karty na stół, stanowczo i nieodwołalnie. Wydawał się raczej powolny niż bystry, ale

niepowstrzymany, kiedy już ruszył z miejsca, niczym nadjeżdżający czołg.

Co do trofeów na ścianach, Jackson wiedział, że łeb tygrysa dziadek Starlinga kupił od sprzedawcy chińskich afrodyzjaków, lecz większa część pozostałych to skutek osobistych dokonań senatora. Miały sygnalizować – Valienté nie mylił się, dostrzegając ich symbolikę – że senator dysponuje bogatym i dobrze naoliwionym arsenałem i nie waha się z niego korzystać. Ale z drugiej strony praktycznie każdy, kto na niego głosował, był entuzjastą broni palnej. Jim Starling był z tych, co słuchają współczesnych ekodupków, którzy moczą się w spodnie, bo na jakiejś zakazanej wykrocznej Ziemi ktoś tam morduje Bambi. Oczywiście takie było tło dla tego nieszczęsnego spotkania.

Ale to już nie problem Jacksona; musiał tylko przetrwać następną godzinę czy ile tam jeszcze, dopóki nie odprowadzi tych dwóch do drzwi.

– Napiją się panowie kawy?

– A znajdzie się może herbata? – spytał Chambers.

Jackson zadzwonił; napoje wniesiono kilka minut później.

Po chwili, ku swej uldze, Jackson usłyszał spłukiwaną w toalecie wodę. Drzwi się otworzyły i wszedł senator; na szczęście przynajmniej raz miał wszystko bezpiecznie pochowane.

Starling, zwalisty pięćdziesięciolatek w samej koszuli, najwyraźniej w trakcie dnia pracy, wydawał się rozbrajająco serdeczny. Obaj koloniści wstali, wyraźnie mniej… no, najeżeni, kiedy senator uścisnął im dłonie. W tym Starling naprawdę się sprawdzał: pracował nad ludźmi od pierwszej sekundy, kiedy znalazł się w pokoju. I Jackson widział, jak poruszyło to Valienté, kiedy Starling poprosił go o autograf.

– Nie dla mnie – wyjaśnił. – Dla mojej siostrzenicy. Jest pańską fanką.

Podpisując się na kartce, Valienté chyba uznał, że powinien się usprawiedliwić.

– Nie głosowałem na pana. Formularze głosowania pocztowego nie docierają do Diabli Wiedzą Gdzie.

Starling wzruszył ramionami.

– Nadal jest pan jednak wyborcą, zgodnie z definicją Egidy i rejestrami wyborczymi. – Oficjalny adres Joshuy wciąż wskazywał Dom w Madison Zachodnim 5. – Rozumiem, że teraz sam pan wszedł w politykę? – Zajrzał do papierów na biurku. – Burmistrz w jakiejś pionierskiej społeczności… Godne podziwu. – Senator rozsiadł się wygodniej w fotelu. – No cóż, panowie, przylecieliście tu ze swojej dalekiej Ziemi, przejechaliście aż do Waszyngtonu, chcieliście pilnie się ze mną spotkać. Przejdźmy zatem do rzeczy. O ile mi wiadomo, chodzi o ochronę zwierzyny na Ziemiach zależnych, tak?

– Tak, proszę pana – potwierdził Irlandczyk, Bill Chambers.

– Nie – zaprotestował Valienté, znowu przystępując do ataku. – Trolle nie są zwierzyną. I nie ma czegoś takiego jak Ziemie zależne; każda z nich jest Ziemią, jest całym światem. To bardzo podstawocentryczny punkt widzenia, panie senatorze.

Jackson nabrał już tchu, by interweniować, ale senator przyjął te słowa z pogodą ducha.

– Uznaję pomyłkę. Ale Ziemie, które mnie interesują, to Ziemie, na których żyją obywatele USA, pod Egidą naszego państwa. I moją troską jest, by ci obywatele cieszyli się swobodami, jakie gwarantuje im konstytucja. – Przerzucił kilka kartek i raz jeszcze coś przeczytał. – Wydaje mi się, że rozumiem, czemu pan mnie odwiedził. Ale czy mógłby pan to wyjaśnić własnymi słowami?

Valienté nie był dobrym mówcą, mimo że miał jakieś doświadczenie w lokalnej polityce – Jackson widział to dobrze. Zacinając się, trochę niepewnie, starał się jak najlepiej przedstawić niepokoje rodzące się na Długiej Ziemi w związku z traktowaniem trolli.

– Widzi pan… Kiedy usłyszałem o tej słynnej historii Mary i jej szczeniaka przy Szczelinie, byłem wstrząśnięty. Ale jeśli chodzi o trolle, to tylko wierzchołek góry lodowej. Wie pan, w Diabli Wiedzą Gdzie chronimy nasze trolle poprzez rozciągnięcie na nich niektórych praw obywatelskich.

– Co? Mówi pan poważnie? I jak daleko to działa? Nie, proszę nie odpowiadać. Widzi pan, te prawa, jakie sobie uchwalacie w Kto Wie Co…

– Diabli Wiedzą Gdzie…

– …są tutaj guzik warte, jak moglibyście powiedzieć. Do rzeczy. Te trolle są humanoidami, tak? Humanoidami, przedludźmi, jeśli pan woli, ale nie są ludźmi, nieważne, jakie przepisy wprowadzicie w tym swoim prymitywnym miasteczku z *Płonących siodeł*. Są zwierzętami, i według moich najlepszych informacji, niebezpiecznymi zwierzętami. Mamy zatem te stworzenia, potężne i agresywne stworzenia, których pańskim zdaniem nie należy zabijać czy też w inny sposób sprawiać im przykrości, tak? Przeczytałem dokumentację, choć mój asystent uważa, że nie. – Mrugnął do Jacksona. – Potężne agresywne zwierzęta, a teraz również zabójcy.

– Potężne tak – zgodził się Valienté. – Nawet samica trolla waży tyle co zapaśnik sumo, a cios ma jak bokser wagi ciężkiej. Agresywne? Tylko wtedy, kiedy są przyparte do muru. Zwykle jednak są pomocne.

– Pomocne?

– Panie senatorze, ludzie i trolle pracują razem. To się dzieje na całej Długiej Ziemi, nawet na Niskich Ziemiach. Do licha, przecież musi pan być świadomy ekonomicznej wartości siły roboczej trolli…

W kolonizowanych światach trolle stały się wszechobecne. Pionierzy nie mieli ciężkiego sprzętu, a trolle okazały się chętnymi i bystrymi pracownikami; mogły oczyścić pole, przerzucić bele siana, postawić dom. Obecnie w co bardziej rozwiniętych społecznościach na Niskich Ziemiach i dalej trolle pracowały na ogromnych owczych farmach pokrywających równoległe Australie, nawet przy strzyżeniu i przędzeniu wełny, oraz w gigantycznych plantacjach kauczuku na wykrocznych Malezjach. Pracowały nawet przy taśmach montażowych fabryk w Amerykach Niskich Ziemi.

– To możliwe. – Starling przerzucił papiery. – Ale mam tu cały stos raportów o atakach tych pańskich trolli na ludzi. W jednym przypadku zaatakowany mężczyzna został sparaliżowany, w innym małe dziecko doznało traumy po śmierci matki. I tak dalej. Co pan na to?

– Panie senatorze, trolle są niebezpiecznie mniej więcej tak jak niedźwiedzie w parkach narodowych. To znaczy, od czasu do czasu jakiś durny turysta chce mieć zdjęcie swojego malucha siedzącego obok słodkiego małego misia… Taka ignorancja jest dostatecznie szkodliwa w oryginalnych Stanach Zjednoczonych, ale na wykrocznych Ziemiach niesie skutki tragiczne. Tam wszystko jest mniej czy bardziej dzikie. Cały czas to ludziom powtarzamy. Na większości wykrocznych światów głupota stanowi preludium do śmierci. I ta sytuacja zmierza ku gorszemu, panie senatorze. Trolle mają coś, co nazywamy długim wołaniem, a to oznacza, że w końcu wszystkie dowiedzą się tego, co wiedzą wszystkie inne. Przenikanie informacji wymaga czasu, ale wcześniej czy później, jeśli ludzie nadal będą je traktować jak niebezpieczne zwierzęta, nasze relacje z nimi wszędzie ulegną fundamentalnej zmianie…

Starling zaśmiał się głośno.

– A to, drogi panie, brzmi jak różne bzdury jakiegoś wu-wu albo miłośników drzew. Długie wołanie? Jeszcze trochę, a zacznie mnie pan ostrzegać przed gniewem Eywy. Podsumowując, panie Valienté: nasi obywatele muszą być chronieni, nawet przed własną głupotą, która przecież nie jest przestępstwem. Wielkie nieba, gdyby była, więzienia nigdy by się nie opróżniały. Zwłaszcza tutaj, w Waszyngtonie. Ha!

Valienté nie ustępował.

– Proszę tylko, panie senatorze, o jakąś deklarację, że Stany Zjednoczone przyznają trollom pod swoją Egidą status gatunku chronionego.

– To wszystko, tak? – Starling rozłożył ręce. – Musi pan wiedzieć, że ochrona zwierząt jest w tym kraju rzeczą bardzo skomplikowaną. Już w tej chwili. Mamy prawa federalne, ale spora część legislacji dzieje się na poziomie stanowym. Od kogo konkretnie wymaga pan wprowadzenia takiego prawa, nie mówiąc już o jego egzekucji? A poza tym, jak przy wielu kwestiach dotyczących tak zwanych światów kolonizowanych, trwa niekończąca się dyskusja o tym, czy nasze prawa Podstawowej obowiązują i tam. – Raz jeszcze zajrzał do dokumentów. – Jak widzę, rzucił pan pomysł, że te pańskie trolle można uznać za gatunek egzotyczny. Jeśli tak, sprawa należałaby do Departamentu Rolnictwa oraz Służby Inspekcji Zdrowia Zwierząt i Roślin.

Jednak jest również argument przeciwny, że trolle wcale nie są egzotyczne, lecz endemiczne… przecież występują na wszystkich innych Ziemiach, prawda? A więc dawne kategorie niekoniecznie dadzą się tu zastosować, zarówno prawnie, jak moralnie. Jeśli zaś chodzi o konkretny incydent przy Szczelinie, to gdyby zdarzył się pod Egidą, potrzebowaliby zezwolenia Departamentu Rolnictwa, by wykorzystać trolle do badań. Powinni przejść całą procedurę uzyskiwania takiego zezwolenia i być może tą drogą dałoby się wywrzeć na nich pewien nacisk. Tylko że widzi pan, panie Valienté, choć w prace był zaangażowany obywatel USA, to sama baza przy Szczelinie, jak rozumiem, nie znajduje się nawet w cieniu USA. Leży gdzieś w Anglii, prawda? Może powinien pan przedstawić swoje propozycje w Londynie, nie tutaj. – Wzruszył ramionami i odsunął papiery. – Jak więc widzicie, sytuacja prawna jest dość mglista, a całej sprawie brakuje moim zdaniem moralnej czystości. Wysłuchałem was, panowie, ale nie przekonaliście mnie do swojego stanowiska. W najlepszym razie zresztą mógłbym co najwyżej przedstawić wasze troski w senacie. Ale raczej nie mam na to ochoty. Poza tym tracicie z oczu ogólną sytuację.

– Jaką ogólną sytuację?

– Czy się to panu podoba, czy nie, panie Valienté, chodzi tu o bezpieczeństwo państwa. To nie jest sprawa zwierząt, wielkie nieba. Mówię o zagrożeniu. To właśnie niepokoi moich wyborców tutaj, na Podstawowej. Groźba nieznanego. Nie było jeszcze tak źle, kiedy musieliśmy myśleć tylko o obcych atakujących nas z innej planety, jak na filmach. Do diabła, wtedy przynajmniej bylibyśmy uprzedzeni! Przynajmniej mielibyśmy szansę, żeby zestrzelić ich z nieba! A teraz mamy otwarte granice, moim zdaniem. Teraz obcy mogą zwyczajnie przekroczyć!

Irlandczyk – Jackson znowu musiał sprawdzić nazwisko: Bill Chambers – odezwał się po raz pierwszy.

– Senatorze, mówi pan o tych zwariowanych wojskowych twainach, które posyłacie na wszystkie strony, tak?

Starling pochylił się do przodu w fotelu.

Jackson napiął się, gotów do działania. Potrafił rozpoznać znaki, że jego pan i władca zaczyna się wkurzać.

– Tak, drogi panie – odparł senator Starling. – To jedna z reakcji. Ktoś musi się przygotowywać na najgorszą ewentualność. Tego się wymaga od odpowiedzialnego rządu.

Ku zgrozie Jacksona Chambers prychnął lekceważąco.

– Niech pan da spokój, senatorze. Żartuje pan? To tylko kolejny bzdurny wymysł, wyścig po forsę, jak nierównowaga balistyczna po Sputniku, jak 9/11, jak Madison… Im bardziej mgliste jest zagrożenie, tym więcej forsy trzeba w nie wepchnąć, zgadza się? Niech pan posłucha, żyję tam i coś panu powiem. Mianowicie to, że nie można mieć jednego rządu dla miliona Ameryk. To się nie może udać, zrobi się tylko jakaś potworna biurokracja. Właściwie to już się zrobiła. Do diabła, po tylu stuleciach ta walnięta Anglia nigdy nie zdołała nawet porządnie rządzić Irlandią, a wy macie zamiar rządzić tym wszystkim? Jak?

Valienté się roześmiał.

– Lepiej tego nie powtarzaj, kiedy sterowce marynarki pojawią się nad naszym ratuszem, Bill.

– Tak. Może powinieneś to sobie zapamiętać, pionierze…

Ale Chambers jeszcze nie skończył.

– Wie pan, przed Dniem Przekroczenia jeden świat wystarczał takim jak pan. Bo nawet nie wiedzieliście, że inne istnieją, zgadza się? A teraz wyruszyliśmy tam i coś tam osiągnęliśmy, a wy zostaliście w domu i teraz chcecie kawałka tortu dla siebie. Nagle jeden świat to dla was za mało. Nie możecie zwyczajnie zostawić nas w spokoju?

Starling zastygł w bezruchu. A potem wyprostował się i spojrzał na Valienté. Jackson odetchnął z ulgą; wyglądało na to, że tym razem obejdzie się bez fizycznej przemocy.

– Panie Valienté – rzekł senator. – Nie mam nic do powiedzenia pańskiemu towarzyszowi. Jednak pan mnie trochę rozczarował. Jak rozumiem, znana jest pańska szczerość, pańska ostrożność. Widziałem zeznania chwalące pana odwagę w czasach, kiedy był pan młodszy.

W Dniu Przekroczenia spora liczba młodych ludzi zawdzięczała panu życie. Potem nastąpił epizod, kiedy to wyruszył pan na Długą Ziemię… dotarł pan tam, gdzie nie dotarł jeszcze człowiek, zgadza się? Wszystko to godne podziwu. A teraz pojawia się pan z tymi śmiesznymi żądaniami, tymi nonsensami o zwierzętach… Sądziłem, że umie pan spojrzeć szerzej. Ale co tam…

I nagle się uśmiechnął. Jackson wiedział, że Starling często się tak zachowuje – kiedy już zmiażdży przeciwnika, staje się dobrotliwy i sympatyczny.

– Proszę posłuchać. Nie chcę, żebyśmy się rozstali w gniewie. Według mnie jest pan dzielny, lecz naiwny. Podobnie jak pan zapewne uważa mnie za zwykłe narzędzie kompleksu militarno-przemysłowego. A jednak przedstawił pan swoje argumenty i zrobił to dobrze; dyskusja z panem sprawiła mi przyjemność. Podejrzewam, że siostra Agnes byłaby z pana dumna, jeśli wolno mi to zasugerować.

To zaskoczyło Valienté, jak z pewnością Starling zaplanował. Jackson był zdumiony, że senator tak daleko doczytał przygotowaną dokumentację.

– Och, wiem o Domu stojącym niegdyś przy Allied Drive, panie Valienté. Stał się częścią pańskiej legendy, na dobre i na złe. I spotkałem nawet kiedyś siostrę Agnes, kiedy przyszła do tego biura i przekonywała mnie do innej sprawy. Było mi przykro, gdy dowiedziałem się o jej śmierci. Wiem, że wiele znaczyła dla pana i innych byłych podopiecznych.

Valienté naprawdę się uśmiechnął, co było najlepszą miarą charyzmy Starlinga.

– Cóż… Dziękuję. Umarła w spokoju. Na jej pogrzebie zjawił się nawet przedstawiciel Watykanu.

– Gest szacunku wobec godnego przeciwnika, jak sądzę na podstawie tego, co wiem o jej karierze.

– Tak. Chociaż mawiali kiedyś, że była najgorszą katoliczką od czasów Torquemady. Tak przynajmniej twierdziła. Wie pan, panie Starling, właściwie za nią nie tęsknię. Czasami mam wrażenie, że wcale nie umarła…

ROZDZIAŁ 25

Helen już na niego czekała, kiedy wrócił do domu Jansson w Madison Zachodnim 5. Oboje przywitali się z ulgą. Helen została zwolniona, ale miała przebywać w areszcie domowym tutaj, u Jansson. Wysłuchała jego sprawozdania z rozczarowującego spotkania ze Starlingiem.

Żeby jakoś poprawić nastroje, pokazała mu korespondencję, jaką otrzymali od Korporacji Blacka, dotyczącą ostatniej iteracji pakietu „kolonia w pakiecie". Była to technologia, której prototypy testowali w Diabli Wiedzą Gdzie, najwyraźniej licząc na to, że uda im się wykorzystać Joshuę jako twarz kampanii. Cała koncepcja rozwinęła się w zgrabny zestaw: pojedynczy zrzut w miejscu nowej kolonii, wykonany przez jeden z większych twainów i zawierający prawdziwą techniczną mannę z nieba. Był tam system nawigacji, oparty na co najmniej trzech satelitach wprowadzonych na orbity synchroniczne przez kompaktową wyrzutnię, dość sprzętu, by stworzyć dobrej klasy szpital, zestaw podstawowego uniwersytetu on-line, kompletnego, z opcją wyboru wirtualnych profesorów, oraz sprzęt komunikacyjny, od staroświeckiej telefonii przewodowej po zestawy krótkofalowe i anteny łączności satelitarnej. Wśród bardziej egzotycznych elementów było kilka rowerów – do szybkiego transportu, póki nie pojawią się konie – oraz porady na temat szukania w internecie partnerów do małżeństwa. Najbardziej skomplikowanym elementem zestawu była drukarka 3D mogąca przetworzyć materiały podstawowe w skomplikowane części. Ale podobne zabawki, jak Joshua dobrze wiedział, są podatne na awarie, a wobec ogólnego spowolnienia postępów techniki po Dniu Przekroczenia, takie dziedziny jak nanotechnologia nie rozwinęły się specjalnie. Dla przeciętnego kolonisty, uznał, bardziej przydatny będzie zminiaturyzowany komplet podręczników, encyklopedii, a nawet farmakopea. Podstawową zaletą takich zestawów było to, że zachęcały do nawiązania łączności – początkowo krótkofalowej – z innymi koloniami dzielącymi z nią ten sam świat. Pojedyncza osada nie utrzyma porządnej uczelni, ale jeśli swoje rezerwy połączy się z innymi, rozrzuconymi po wspólnym świecie, może się to udać.

– Taki miałem pomysł na samym początku – oświadczył Joshua. – Połączenia w poziomie. Podoba mi się myśl o ludziach, którzy od samego startu uważają się za obywateli całej planety, o świecie rosnącym na boki, a nie tylko wykrocznie. Nowy świat od samego początku bez granic.

– Jesteś normalnym spóźnionym hipisem.

– Tożsamości są zmienne. Rozpływa się dawna koncepcja narodowości… Może dzięki takim inicjatywom doczekamy końca wojen. I nowego otwarcia dla nas wszystkich.

– A teraz z kolei mówisz jak tato. „Jak błogo było żyć wtedy, o tym świcie" – rzekła Helen trochę tylko sarkastycznie. – Shakespeare, jak sądzę.

– Chyba jednak Wordsworth. Siostra Agnes często cytowała ten wers.

Żona obserwowała jego twarz.

– Ciągle za nią tęsknisz, prawda? Mówiłeś o niej już kilka razy od naszego lądowania.

Joshua wzruszył ramionami.

– Wiesz, jesteśmy znów w Madison. A kiedy senator Starling o niej wspomniał, poruszyło mnie to. Tak sobie to zaplanował, podejrzewam. Agnes była najlepszym człowiekiem, jakiego spotkałem w dzieciństwie. Nie tylko ja – my wszyscy. Chcą, żebym tam czasem wracał, wiesz? Do Domu.

– Pojedziesz?

– Może. Ale nie chcę być wielkim Joshuą Valienté, wychowankiem, który wyszedł na ludzi, obecnie ikoną Długiej Ziemi i burmistrzem, bla bla bla. Gdyby pozwolili mi opowiadać dzieciakom o takich rzeczach jak… bo ja wiem… korzystanie z noża, medycyna polowa dla początkujących… Jak sprawić, by nocne niebo było sprzymierzeńcem, jak powiesić kapelusz na dyszlu Wielkiego Wozu, jak przyjazny Orion może doprowadzić do domu… Ja kiedyś chętnie słuchałbym takich opowieści. I żałuję, że Agnes nie mogła zobaczyć tego błogiego świtu.

Powinienem zanieść kwiaty na jej grób.

– Chciałaby dostać kwiaty?

– Zawsze mówiła „nie”, a potem przyjmowała je i gderała na grzeszne marnowanie pieniędzy, ale trzymała je w gabinecie, aż opadły wszystkie płatki.

Helen pocałowała go w policzek.

– Jedź tam.

– Co?

– Nie czekaj na zaproszenie z Domu. Jedź dla siebie. Lepiej się poczujesz. I nie martw się o nas, nigdzie stąd nie pójdziemy. Przynajmniej ja…

Przespał się z tym.

A następnego dnia pojechał.

Madison Zachodnie 5, nowe miasto, wyrosło, by zastąpić zniszczony bombą wrak starego. Wzniesiono je zgodnie z nowymi postkrokowymi zasadami rozwoju urbanistycznego. Dawno temu tu właśnie zatrzymała się na krótko Helen z rodziną, zanim wyruszyli na wykroczną wędrówkę. I tutaj odtworzono dawny Dom – bardzo skrupulatnie, choć naprawiono jego liczne usterki. Sam Joshua przekazał na ten cel pewną sumę. Siostra Agnes żyła jeszcze, by osobiście dopilnować odbudowy.

A potem umarła w jesiennym słońcu nowej Ziemi. Pochowano ją w obecności wielu ważnych osób – niektóre z nich, o czym Joshua wiedział, szczerze by wolały, by ta ceremonia zdarzyła się nieco wcześniej.

Na razie jej ciało miało nowiutki cmentarz tylko dla siebie. W słoneczne majowe popołudnie Joshua zjawił się tam z bukietem i ułożył go starannie na kamieniu, na tym małym placyku obok Domu. Leżały tam już inne kwiaty, od samych sióstr i od innych dorosłych wychowanków, którzy doznali niezmordowanej cierpliwości Agnes i jej mądrej miłości.

Stracił poczucie czasu. Jeśli ktoś z wnętrza cichego Domu go zobaczył, to nie zaczepiał. Ze zdziwieniem zauważył, że wydłużają się cienie, a popołudnie zmierza ku wieczorowi. Wyszedł więc z małego cmentarza, by ruszyć w długą drogę powrotną do domu Jansson.

Po drugiej stronie ulicy zauważył kobietę w habicie zakonnicy. Stała nieruchomo, jakby go obserwowała. Podszedł do niej.

– Mogę w czymś pomóc, siostro?

– Nie było mnie tutaj i dopiero niedawno dowiedziałam się o śmierci Agnes. – Mówiła z lekkim irlandzkim akcentem. – Jest pan może Joshuą Valienté? Znam pańską twarz z mediów. Ojej, gdzie moje maniery? Jestem siostra Conception. Agnes i ja znałyśmy się od bardzo dawna. Razem składałyśmy śluby. Wiedziałam, że kiedyś zyska znaczenie w świecie, choć potrafiła być bardzo pyskata…

Joshua milczał.

„Siostra Conception” przyjrzała mu się uważnie.

– To nie działa, prawda?

– Jeśli chcesz, bym uznał, że jesteś kim innym, niż jesteś, to rzeczywiście nie. Poznałbym ją nawet po ciemku. Pamiętam, jak co wieczór przechodziła przez naszą sypialnię, zatrzymywała się przy drzwiach i gasiła światło. Pamiętam pstryknięcie bakelitowego wyłącznika, który trzymał się na klej, bo nigdy nie było pieniędzy na naprawę. Sprawiała, że czuliśmy się bezpieczni… Poza tym nigdy nie umiała kłamać. Ani udawać irlandzkiego akcentu.

– Joshuo…

– Chyba potrafię zgadnąć. Lobsang?

– Lobsang.

– Taki numer do niego pasuje. I to ja sam przyprowadziłem go do Agnes, kiedy już umierała. Czyli to pewnie moja wina. A teraz… teraz jesteś tutaj…

– Joshuo…

– Witaj, Agnes.

Objął ją ramionami i tulił, aż wybuchnęła śmiechem i go odepchnęła.

ROZDZIAŁ 26

Dla Agnes wszystko zaczęło się od przebudzenia. Poczuła delikatne ciepło i pewne wrażenie… różowości.

Zastanawiała się nad tym przez nieokreślony czas. Ostatnim, co pamiętała, było łóżko w Domu i ciche mruczenie księdza. Odezwała się więc, raczej z ostrożnością niż z nadzieją:

– Czy jestem w niebie?

– Nie. Niebo może poczekać – odpowiedział spokojny męski głos. – Mamy teraz pilniejsze sprawy.

– A zjawi się anielska orkiestra? – wyszeptała (choć nie była pewna, w jaki sposób może szeptać).

– Raczej nie – odparł firmament. – Ale dostaje siostra najwyższą ocenę za wyłapanie odniesienia do dzieł zmarłego Johna Steinmana już w pierwszej minucie ożywionej świadomości. Teraz jednak musi siostra znów zasnąć. – Ciemność powróciła, by przesłonić firmament, a kiedy już znikał, firmament powiedział jeszcze: – Zadziwiające…

Najbardziej zdumiewające było to, że mówił po tybetańsku. A ona rozumiała.

Minęło więcej czasu.

– Siostro Agnes? Znowu muszę siostrę na chwilę obudzić, w celu kalibracji…

Wtedy właśnie pokazali Agnes jej nowe ciało: różowe, nagie, delikatne i bardzo kobiece.

– A kto zamawiał te…?

– Proszę?

– Posłuchaj no… Zanim jeszcze moje piersi przed zimą zaczęły się kierować na południe, zapewniam, że nie miały tych rozmiarów. Możesz je trochę stonować?

– Proszę się nie martwić. Wszystko jest zmienne. Jeśli siostra okaże cierpliwość, w końcu będziemy w stanie zaprezentować zestaw ciał na wszystkie okazje. Oczywiście, wszystkie protetyczne. Z pewnością będzie siostra uchodzić za człowieka; technika bardzo się rozwinęła od czasu moich pierwszych eksperymentów. Choć duża część siostry, w sensie technicznym, nie będzie ludzka. Nawiasem mówiąc, zajmuje się siostrą grupa chirurgów i personelu medycznego opłacana przez mało znaną spółkę zależną Korporacji Blacka. Nie mają pojęcia o tożsamości siostry. Czy to nie zabawne?

– Zabawne? – I nagle siostra Agnes zrozumiała, kto jej to wszystko robi. – Lobsang! Ty draniu!

Ciemność zapadła znowu. Ale gniew pozostał: gniew, który ją wypełniał i który zawsze traktowała jak sprzymierzeńca. I teraz starała się utrzymać ten żar.

W końcu powróciła różowość.

Znowu zabrzmiał łagodny głos Lobsanga.

– Raz jeszcze proszę o wybaczenie, ale to bardzo delikatna procedura. Można ją określić jako finisz. Od trzech lat pracuję nad ożywieniem siostry i teraz zbliżamy się do końca. Siostro Agnes, droga Agnes, nie masz się czego obawiać. Mam wręcz nadzieję, że jutro spotkamy się na śniadaniu. A póki czekamy, co powiesz na trochę muzyki?

– Nie chcę więcej tego przeklętego Johna Lennona.

– Nie, nie. Znam twoje gusta… Co byś powiedziała na utwory Bonnie Tyler?

Siostra Agnes zbudziła się oszołomiona. Oszołomiona i wyczuwająca zapach kawy, jajek i bekonu.

Zapach unosił się z tacy obok łóżka. Tacę najwyraźniej położyła tam młoda dziewczyna: w okularach, przyjazna, Azjatka, być może Japonka.

– Nie ma pośpiechu, proszę pani. Proszę zachować ostrożność. Nazywam się Hiroe. Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę mówić.

Prawdę mówiąc, powrót do życia z czasem wydawał się coraz łatwiejszy.

Z pomocą Hiroe przeszła do łazienki czegoś, co wydawało się bezosobowym hotelowym

apartamentem; wzięła prysznic, obejrzała w lustrze swoje perfekcyjne zęby i opróżniła jelita – właściwie z niczego.

– Kwestie fizyczne nie powinny sprawiać trudności – zapewniła Hiroe. – Kiedy jeszcze pani spała, przeprowadziliśmy ciało przez liczne podstawowe procesy. Trenowaliśmy je, można powiedzieć. Czy zechciałaby pani przejść się tam i z powrotem i opowiedzieć, co pani czuje?

Siostra Agnes pospacerowała trochę i zdała raport. Skosztowała kawy, która okazała się całkiem niezła, i ze zdziwieniem odkryła, że bekon jest przysmażony na chrupko, do granicy zwęglenia – tak jak lubiła.

W szafie znalazła wiele ubrań, w tym również habit, jaki nosiła przez tyle lat. Zawahała się. Jako katolicka zakonnica, nieco skonfliktowana z ortodoksją Kościoła, już przed tym wszystkim nie była całkiem pewna swojego teologicznego statusu; teraz była całkiem zagubiona. Ale śluby złożyła już bardzo dawno i uważała, że nadal ją obowiązują, włożyła więc dobrze znany kostium. Ubierała się z uśmiechem, gdyż zniknął dręczący ją od dawna ból w stawach. Przy każdym ruchu czuła zapomnianą swobodę.

Zwróciła się do Japonki.

– Przypuszczam, że mam spotkanie z samym Lobsangiem?

– Brawo! – Hiroe się roześmiała. – Uprzedzał, że szybko przejdzie pani do rzeczy. Zechce pani pójść za mną…

Agnes szła za dziewczyną przez korytarz o stalowych ścianach, przechodząc przez liczne drzwi, które otwierały się i zamykały z pewną automatyczną elegancją. Potem wprowadzono ją do pokoju pełnego książek i antycznych mebli – tak mógłby wyglądać gabinet Darwina, łącznie z ogniem płonącym w antycznym kominku. Agnes poznała to miejsce z opisu Joshuy, kiedy znalazł się w podobnej sytuacji. Styl Lobsanga zapewne.

Po drugiej stronie pokoju stał odwrócony tyłem obrotowy fotel z grubą tapicerką.

– Ten ogień to podróbka, tak? – burknęła. – Joshua mi o nim opowiadał. Powiedział, że randomizacja zawodzi.

Od strony fotela nie nadeszła żadna odpowiedź.

– Posłuchaj mnie. Nie jestem pewna, czy powinnam być nieskończenie wdzięczna, czy nieskończenie wściekła…

– Ale o to właśnie prosił w twoim imieniu Joshua – odezwał się wreszcie uprzejmy głos. – Tak przynajmniej zrozumiałem. Przyprowadził mnie, żebym cię obejrzał, kiedy chorowałaś. Pamiętasz? To było w Domu, w Madison Zachodnim 5. Otrzymałaś już ostatnie namaszczenie. Cierpiałaś, Agnes.

– Trudno mi o tym zapomnieć.

– I Joshua poprosił, żebym ulżył twoim cierpieniom. Z pewnością też byś tego chciała…

– Joshua… Oczywiście, że przyszedł…

Ze wszystkich dzieci, którymi opiekowała się przez te lata w Domu, Joshua Valienté zawsze był najbardziej… niezwykły. To typowe, że nigdy nie zapomniał, nie wycofał się – wrócił, kiedy najbardziej go potrzebowała, kiedy jej życie po zbyt wielu dziesięcioleciach skwierczało już jak gasnąca świeca. Wrócił, by spróbować wszystko naprawić.

– To jasne, że Joshua poprosił o pomoc. I przypuszczam, że nie chciałeś mu odmawiać.

– Nie. Zwłaszcza że prosił przez zaciśnięte zęby. Po wybuchu jądrowym w Madison nasze stosunki się pogorszyły.

– Ale z pewnością prosił, żebyś ułatwił mi odejście. Nie o takie… bluźnierstwo!

Fotel obrócił się wreszcie i zobaczyła Lobsanga – w pomarańczowej szacie i z najwyraźniej ogoloną głową. Tylko raz widziała go osobiście i zapamiętała tę twarz – dziwną, nie całkiem przystającą do ludzkich norm, w nieokreślonym wieku, podobną może do rekonstruowanych twarzy ofiar ciężkich poparzeń. Przypomniała sobie własne odbicie; jej nowa mechaniczna powłoka była lepszej jakości niż to. Najwyraźniej stanowiła nowszy model.

– Bluźnierstwo? – powtórzył. – Czy musimy rozmawiać w takich kategoriach?

– A w jakich kategoriach chcesz rozmawiać?

– Może o przyczynie, dla której… sprowadziłem cię z powrotem?

– Przyczynie? A jaka może być przyczyna?

– Bardzo poważna. Byłbym zachwycony, gdybyś w tej niezwykłej sytuacji zechciała rozważyć moją propozycję… Nowy cel, który będzie zgodny z twoimi przekonaniami. Tak przynajmniej uważam.

Siostra Agnes usiadła w niemal identycznym miękkim fotelu naprzeciwko.

– A przy okazji… jak znajdujesz swoje nowe ciało?

Uniosła dłoń i zgięła palce. Wyobraziła sobie, że słyszy szum maleńkich hydraulicznych siłowników.

– Znajduję, że zmieniłeś mnie w potwora Frankensteina.

– Prawdę mówiąc, potwór Frankensteina był znacząco mądrzejszy i bardziej wartościowy od jego tak zwanego pana. To tak na marginesie.

– Do rzeczy. Czego ode mnie chcesz?

– Bardzo dobrze. Agnes, wiele się o tobie dowiedziałem od Joshuy i z innych źródeł, w tym twoich pamiętników. Znając twoją nadzwyczajną sympatię dla nieodwracalnie skażonej ludzkości, porwałem cię… można tak to określić… dla dobra tejże ludzkości. Mam dla ciebie misję. Mianowicie: potrzebny mi oponent.

– Słucham?

– Znasz mnie, Agnes. Ogarniam cały świat! A nawet światy. Dysponuję ogromną władzą, poczynając od możliwości anulowania mandatów za złe parkowanie, aż do potęgi w skali, jaką nie mógł się pochwalić żaden tyran w historii. Nie mam pana. Nie odpowiadam przed nikim prócz samego siebie. Nawet Douglas Black jest tylko patronem, pomocnikiem. Nie mógłby mnie powstrzymać. I to właśnie mnie niepokoi.

– Naprawdę?

– A nie powinno? Potrzebny mi oponent, Agnes. Ktoś, kto mi powie, kiedy zaczynam szwankować. Kiedy staję się nieludzki. Albo nawet zbyt ludzki. Biorąc pod uwagę wszystko, co mówił o tobie Joshua, wydaje mi się, że właśnie ty wyjątkowo się nadajesz do tej funkcji.

– Przywróciłeś mnie do życia, żebym była twoim sumieniem? To śmieszne! Nawet gdybym się zgodziła, jak mogłabym cię powstrzymać, jeśli zechcesz coś zrobić?

– Dam ci środki, by mnie wyłączyć.

– Co takiego?! To w ogóle możliwe?

– To trudne – przyznał Lobsang. – W tej chwili istnieje pewna liczba moich iteracji na całym świecie, na Długiej Ziemi, a nawet w różnych lokalizacjach w Układzie Słonecznym. Nie ma czegoś takiego jak zbędny backup… Ale tak. Mogę znaleźć sposób, by tego dokonać. Żeby wykasować mnie z tych wszystkich miejsc.

– Hm… A we wszystkich tych miejscach… Gdzie jest twoja dusza?

– Tutaj, kiedy jesteśmy w tych nowych ciałach, możemy się chyba zgodzić, że dusza nie ma żadnych granic?

– Czy mam jakiś wybór w tej kwestii?

– Oczywiście. Możesz wyjść stąd teraz, a my przewieziemy cię w dowolnie przez ciebie wybrane miejsce na planecie. Nigdy więcej o mnie nie usłyszysz. Albo… no cóż, ty też masz wyłącznik, Agnes. Ale wiem, że nie skorzystasz z żadnej z tych opcji.

– Ach, wiesz? Niby skąd?

– Widzisz, kiedy odwiedziłem cię tamtego dnia razem z Joshuą i spytałem, czy czegoś żałujesz… Pamiętasz to? Szepnęłaś: „Tyle jeszcze do zrobienia”. I teraz masz szansę, by zrobić coś więcej. Co ty na to? Czy zechcesz być Boswellem dla mojego Johnsona, Watsonem dla mojego Holmesa? Szatanem dla mojego miltonowskiego Boga?

– Twoją gderliwą żoną?

Zaśmiał się – dziwnym, nie całkiem ludzkim głosem.

Siostra Agnes nietypowo dla siebie milczała przez dłuższą chwilę. W ciszy słychać było trzask tego nie całkiem autentycznego ognia. W tym pomieszczeniu czuła się przygnieciona, było jej duszno. Marzyła, by stąd wyjść. Wyjść na drogę…

– Co się stało z moim harleyem?

– Joshua dopilnował, żeby odpowiednio go przechowywać. Zawieszony nad ziemią, podwyższone ciśnienie w oponach, benzyna spuszczona z baku, wszystko nasmarowane.

– Będę mogła nim jeździć? To znaczy, czy będę fizycznie zdolna…

– Oczywiście.

– A czy ta twoja nędzna alchemia pozwala mi na picie piwa?

– Z całą pewnością.

– Tak właściwie to gdzie teraz jestem?

– W Szwecji. W budynku wydzielonej spółki zależnej działu medycznego Korporacji Blacka. Na zewnątrz mamy piękny, słoneczny dzień.

– Naprawdę?

– I są motocykle. Przewidziałem to, jak widzisz. Nie harleye, ale… Masz ochotę na przejażdżkę?

To było kuszące. Znowu być młodą… młodą i w drodze…

– Za chwilę – odparła stanowczo. – Co u Joshuy?

ROZDZIAŁ 27

Joshua siedział z wskrzeszoną siostrą Agnes w brudnym bufecie w Madison Zachodnim 5. Atmosfera spotkania była dziwna – dwoje ludzi usiłowało jakoś uchwycić ten niewyjaśniony nowy świat, w którym martwi mogą ożyć i spokojnie popijać kawę, rozmawiając o dawnych czasach… Dwoje ludzi, nie zawsze znajdujących słowa, jakie należy wypowiedzieć. Na razie uśmiechy załatwiały sprawę.

Agnes siedziała wyprostowana, trochę sztywno. Może jej rysy były zbyt regularne, skóra trochę zbyt gładka, by uznać je za przekonująco ludzkie. Jednak w opinii Joshuy zbyt wielu klientów tego lokalu, głównie robotników budowlanych z Niskich Ziemi, zdradzało całkiem niereligijne zainteresowanie nowymi wypukłościami Agnes.

– Powinni mieć więcej szacunku dla kornetu.

– Daj spokój. Wszyscy mężczyźni są stworzeniami prymitywnymi i reagują na symbole bardziej podstawowe niż habit i krucyfiks.

– Nie całkiem wierzę, że to się dzieje.

– Mnie też jest trudno. I trudno nawet uwierzyć, że jestem tutaj i mogę nie wierzyć, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Uśmiechała się. Znowu widział ten rozsadzający skały uśmiech, z którym zawsze wyglądała o dwadzieścia lat młodziej. Uśmiech Agnes nie należał do takich, które normalny świat kojarzy ze słowem „zakonnica". Był to uśmiech, który zawsze skrywał odrobinę figlarności, a także straszliwą pasję utrzymywaną pod kontrolą do chwili, gdy okaże się potrzebna. To właśnie pozwoliło jej prowadzić Dom, a także wiele innych projektów, mimo sprzeciwu w Watykanie i na wszystkich niższych stopniach – uśmiech i pasja.

Sączyła kawę całkiem przekonująco, całkiem jak niegdyś jednostka mobilna Lobsanga. Joshua starał się nie myśleć o wewnętrznej hydraulice, która to umożliwiała. Po chwili Agnes odstawiła filiżankę i spojrzała na niego – z dumą, jak się wydawało.

– Siedzi teraz przede mną dorosły mężczyzna, ojciec i burmistrz…

– Lobsang ci to zrobił.

– To fakt – przyznała. – Chociaż jako usprawiedliwienie wykorzystał twoje nieprzemyślane słowa, młody człowieku. Będziemy musieli o tym poważnie porozmawiać.

– Ale jak? To znaczy…

– Albo skopiował mnie poprzez jakiś skan neuralny z mojego biednego konającego mózgu do wiadra żelu, albo przywołali mnie tybetańscy mnisi, przez czterdzieści dziewięć dni śpiewający Księgę Umarłych nad moim złożonym już do grobu ciałem. Lobsang mówi, że zastosował obie metody.

Joshua uśmiechnął się blado.

– Tak, to cały Lobsang. Zawsze trzeba mieć backup. Był na twoim pogrzebie, ale resztę przede mną ukrywał. Nic nie wiedziałem o reinkarnacji. Ani o mnichach. Musieli cię doprowadzać do szału. Czy ktoś jeszcze wie, że wróciłaś? Ktoś w Domu…

– Tak. Skontaktowałam się z Domem, kiedy tylko mogłam. Spytałam o siostrę Georginę, bo z nią była najmniejsza szansa, że dozna szoku, kiedy podniesie słuchawkę i usłyszy mój głos. Tak przynajmniej uważałam. I jeśli chcesz wiedzieć, dostałam też liścik od arcybiskupa. Kościół odkrywa więcej tajemnic niż sam Lobsang. Ale mój powrót nie jest jeszcze wiedzą publiczną. Oczywiście, będę musiała się ujawnić, że tak powiem, jeżeli znowu chcę zająć swoje miejsce w świecie. Przynajmniej, dzięki Lobsangowi, nie jestem pierwszym, hm… duchem w krzemie i żelu, nawet jeśli jego spowija płaszcz tajemnicy. Dostatecznie wielu ludzi wie o jego pochodzeniu, więc i moje istnienie powinno zyskać akceptację.

– Jakie miejsce w świecie?

Zacisnęła wargi.

– No więc, Joshuo, jak powinieneś wiedzieć, gdybyś w ogóle zwracał uwagę na takie

rzeczy, przed swoją końcową chorobą byłam zastępcą przewodniczącej Konferencji Przywództwa Kobiet Religijnych, reprezentującej większość amerykańskich zakonnic katolickich. Trwała właśnie straszliwa bitwa z samym Watykanem, z jego Kongregacją Doktryny Wiary. To współczesna inkwizycja. Chodziło o książkę siostry Hillary z Cleveland.

– Książkę? O czym?

– O duchowych pożytkach kobiecej masturbacji.

Joshua zakrztusił się kawą. Męskie głowy znowu odwróciły się w ich stronę.

Oczy Agnes błysnęły, jakby była gotowa do walki.

– Prowadzimy wojnę z papieżem i jego kardynałami od drugiego soboru watykańskiego. Naszym zdaniem sprawiedliwość społeczna jest ważniejsza niż zwalczanie aborcji albo jednopłciowych małżeństw. Odrzucamy protekcjonalny patriarchat, choć przecież w takim czy innym sensie właśnie dlatego zakonnice zostały zakonnicami. Och, nie mogę się doczekać powrotu na pole bitwy, Joshuo. A z tym nowym ciałem nigdy nie braknie mi pary. Dla wszystkich walczących zakonnic będę jak króliczek Energizera.

– Co to jest króliczek Energizera?

– Drogie dziecko, tyle jeszcze musisz się nauczyć.

– Ale powiedz, czemu Lobsang cię ożywił. Nie ze względu na mnie, jak zgaduję?

Parsknęła.

– Może to dziesięć procent powodów. Jak zrozumiałam, mam mu służyć za kompas moralny.

– Hm… To niekoniecznie zły pomysł.

– Może tak. Ale jestem zdumiona, bo on chyba nie zdaje sobie sprawy, że mój własny moralny kompas jest solidnie pogięty przy osi.

Uśmiechnął się.

– Pamiętam, jak przyłożyłaś butem nuncjuszowi papieskiemu. Wszyscy byliśmy zachwyceni, choć oczywiście nie mieliśmy pojęcia o skandalu, w jaki gość był wtedy zamieszany. Jakieś dwa lata później wszystko się wydało i żałowaliśmy, że nie oberwał oboma butami.

– Jasne, z początku byłam wściekła na Lobsanga za to, że przywołał mnie z martwych. Co za bezczelność… Ale równocześnie, jak pewnie rozumiesz, byłam nieprzytomna z wdzięczności.

Popatrzyła na swoje ciało, swoje dłonie.

– Ale dał ci wybór? Nie musiałaś się zgadzać? Mogłaś odejść i prowadzić niezależne… no, życie? Albo…

– Albo kazać mu, żeby mi pokazał mój wyłącznik.

– Jak cię przekonał?

Zamyśliła się.

– Wiesz, tak prawdę mówiąc, to była pewna rozmowa. Powiedział, że to czy tamto „się nie przelicza". „Fakt", zgodziłam się…

– Nawiasem mówiąc, to była ironiczna aluzja – dodał Lobsang.

Byli w swego rodzaju sali gimnastycznej, oboje ubrani w mniej czy bardziej niedopasowane dresy. Lobsang pomagał Agnes rozwinąć odruchy fizyczne.

– Co było ironiczną aluzją?

– Fraza „nie przelicza się" została użyta w sensie ironicznym, by zasugerować zdziwienie i rozdrażnienie – tłumaczył cierpliwie Lobsang. – Nie służyła mi jako komunikat błędu w reakcji na niedostateczne lub sprzeczne informacje.

– Lobsangu…

– Słucham.

– O czym ty mówisz, do licha?

– Uparcie myślisz o mnie jako komputerze. Staram się rozwiać tę iluzję. Czemu kręcisz głową?

– Przepraszam. Chodzi o to, no wiesz, że przesadnie się starasz. Tak myślę.

– Możesz mnie nazywać Lobby. Może takie zdrobnienia pomogą ci się oswoić. Jak

myślisz?

– Lobby…

(Joshuo, on cały czas milkł i czekał, żebym mówiła dalej. Spotkałeś się kiedyś z cudzoziemcem, który chce na tobie poćwiczyć znajomość języka? W tamtych pierwszych dniach Lobsang był właśnie taki: sprawdzał na mnie swoje człowieczeństwo).

– Słuchaj – powiedziała Agnes. – Bierzesz się do tego ze złej strony. Nie jesteś człowiekiem. Nie możesz być człowiekiem. Jesteś inteligentną maszyną. Jesteś więcej niż człowiekiem. Możesz się z tym pogodzić? W byciu człowiekiem nie chodzi o sam mózg, wszystko się wiąże z różnymi brudnymi elementami, takimi jak… no wiesz, organy, płyny i instynkty.

– Opisujesz nie siebie, lecz swoje ciało. A właściwie swoje dawne ciało.

– No tak, ale…

– Możemy spróbować testu Turina – zaproponował Lobsang.

– Och, maszyny od lat już potrafią przejść przez test Turinga.

– Nie. Test Turina. Oboje modlimy się przez godzinę, a potem sprawdzamy, czy Bóg widzi różnicę.

Musiała się roześmiać.

– I to wszystko? Rozśmieszył cię?

– Wiesz, po raz pierwszy rzeczywiście wydawał się naprawdę ludzki. No i się nie poddawał. Czułam się, jakby szczeniaczki zalizywały mnie na śmierć. W końcu mnie zamęczył.

Joshua pokiwał głową.

– Jeśli to się uda choćby w dziesięciu procentach, to miał szczęście, że cię pozyskał.

Parsknęła.

– Lepiej jego o to zapytaj. Uczę się już strzelać z bata… Joshuo, wiem, że się poróżniliście…

– Delikatnie powiedziane. Gdy poprosiłem go, żeby ci pomógł, to był pierwszy przypadek, kiedy odezwałem się do niego od bomby atomowej w Madison.

– Mam wrażenie, że za tobą tęskni. Obejmuje cały świat, ale niewielu ma przyjaciół. Może wcale.

– Dlatego musi ich produkować, tak?

– Jesteś okrutny, Joshuo. Dla nas obojga.

– Tak. Przepraszam. Agnes, jakkolwiek się tu znalazłaś, dobrze jest mieć cię znowu.

Wydawała się dziwnie zatroskana. Ujęła obie jego dłonie, jak to robiła, kiedy był mały, a ona miała mu do powiedzenia coś trudnego.

– Ale ty i ja wiemy, jaki jest prawdziwy problem, Joshuo.

– Jaki problem?

– Wyglądam jak Agnes. Myślę jak ona. Mogę kontynuować jej pracę. Czuję się, jakbym nią była. Ale czy mogę być nią naprawdę? Jestem zakonnicą, Joshuo. Czy raczej Agnes nią była. Na tyle, by wiedzieć, że w teologii katolickiej nie ma miejsca na reinkarnację w stylu tybetańskim.

– Więc co to?

Odwróciła wzrok, co było u niej niezwykłe.

– Moja śmierć, Joshuo…

– Tak?

– Ja… doświadczyłam jej. Tego, co nazywamy sądem szczegółowym. „I każdą łzę otrze Bóg z ich oczu". Spotkałam Boga. Tak czuję. Tak wierzę. – Uniosła i obróciła dłonie, przyglądając się im. – A teraz jestem tutaj, w tej cudownej nowej postaci. „Trzeba, ażeby to, co zniszczalne, przyodziało się w niezniszczalność, a to, co śmiertelne, przyodziało się w nieśmiertelność". – Rzuciła mu przelotny uśmiech. – Nie bój się, nie zapytam o rozdział ani wiersz. Może i jestem jakimś elektronicznym widmem, a nie Agnes, albo w najlepszym razie

bluźnierczą drwiną z niej. A może odwrotnie, jestem tu, by wypełnić wolę bożą w nowy sposób; w tym świecie przekształconym przez technikę wypełniać tę wolę w sposób, jaki nigdy jeszcze nie był możliwy. I chyba jestem gotowa, by na razie uznać tę drugą interpretację.

Zamieszał resztkę swojej kawy.

– Ale jak myślisz, czego chce Lobsang? Czym próbuje się stać? Strażnikiem całej ludzkości czy co?

Zastanowiła się.

– Wydaje mi się raczej, że jest kimś w rodzaju ogrodnika. Co brzmi miło, sielankowo i niegroźnie, dopóki człowiek sobie nie przypomni, że ogrodnik czasem coś przycina…

Wstał.

– Muszę wracać. Odkąd tu jesteśmy, moja rodzina ma spore kłopoty.

– Słyszałam.

– A co do natury twojego istnienia… Wiesz, sporo czasu spędziłem z Lobsangiem. Nie jestem teologiem. Mogę tylko poradzić, żebyś robiła swoje. Czyniła dobro, które masz przed sobą. Tak zawsze mówiłaś.

– To prawda. Właściwie liczę na to, że pewnym momencie ci goście w śmiesznych sukienkach z Watykanu udzielą mi jakichś teologicznych wskazówek.

– Nie interesuje mnie Watykan. Jeśli o mnie chodzi, jesteś moją Agnes.

– Dziękuję ci, Joshuo. – Uścisnęła go. – Nie stań się obcy.

– Nigdy.

ROZDZIAŁ 28

Sally wróciła i zjawiła się w domu Moniki Jansson bez uprzedzenia ani nie tłumacząc, gdzie była.

Jansson była sama. Czekała na powrót Joshuy z Domu. Helen poszła na policję, by omówić z prawnikami warunki kaucji, a Dan radośnie grał w softball z Billem Chambersem, który jak zwykle cierpiał na monumentalnego kaca.

Usiadły przy kawie. Dwie dziwaczki przypadkiem rzucone razem, pomyślała Jansson. Sally wydawała się niespokojna, jak zwykle. Miała na sobie kamizelkę z mnóstwem kieszeni, mieszczącą jej polowy ekwipunek, plecak czekał koło drzwi. Rozmawiały ostrożnie o życiu i o tym, co mają ze sobą wspólnego: Długą Ziemię i Joshuę.

Z niezrozumiałych powodów Joshua zawsze był dla porucznik Moniki Jansson ośrodkiem doświadczeń z Długą Ziemią. Teraz opowiadała Sally anegdotki o dawnych czasach. Na przykład o powtarzanych przez nią ciągle próbach zwerbowania Joshuy.

Któregoś dnia, siedem miesięcy po Dniu Przekroczenia, Jansson udało się umówić na rozmowę z Joshuą w Domu, wtedy jeszcze stojącym w Madison Podstawowym. Oczywiście rozmowa toczyła się w obecności siostry czy dwóch, jak to było w starej piosence. Jansson uznała, że tak być powinno – w końcu Joshua miał dopiero czternaście lat.

Ale jego podejrzliwość była niemal dotykalna, niczym czwarta osoba tłocząca się na kanapie obok Jansson i sióstr.

– Chcesz mnie badać? – zapytał.

– Co?

– Oddać mnie profesorom na uniwersytecie. Wsadzą mnie do klatki i będą badać.

Była zaszokowana.

– Nie, Joshuo. Nigdy w życiu. Posłuchaj: stałeś się sławny. Jesteś legendą, czy ci się to podoba, czy nie. Ale od samego początku, od Dnia Przekroczenia, robiłam, co mogłam, żebyś nie wystąpił w oficjalnych raportach.

Przemyślał to.

– Dlaczego?

– Bo to mogłoby ci zaszkodzić. Zrobisz, co zechcesz. Ale chcę, żebyś się zastanowił… no wiesz, czy mógłbyś ze mną pracować. Ze mną, nie dla mnie. Żeby dobrze wykorzystać swoje zdolności, swoją pozytywną energię. Znajdę dla ciebie zadania. Sposoby pomagania ludziom. Mówię o płatnej pracy. Jakbyś dorabiał w soboty; nie będzie ci to przeszkadzać w nauce. Obiecuję, że jeśli będziesz ze mną pracował, nadal będę cię chronić.

Drgnął.

– A jak nie będę z tobą pracował, to przestaniesz mnie chronić.

– Nie, nie, źle się wyraziłam. Będę cię ochraniać, cokolwiek postanowisz…

Ale on już zniknął i tylko puknęło przemieszczane powietrze. Zniknął, pozostawiając dwie zniechęcone siostry.

Jansson starała się szukać jaśniejszych stron. Przecież nie powiedział „nie”.

Próbowała nadal, aż w końcu z oporami stał się sprzymierzeńcem. I był tym sprzymierzeńcem już zawsze.

– Ładna historia – przyznała Sally. – Naprawdę w ten sposób chciałaś go chronić, prawda?

– Przyjaciel na całe życie… to właśnie Joshua. Ale ma skłonność do otaczania się silnymi kobietami. Ty, Helen, siostra Agnes…

– I ty również, poruczniku w stanie spoczynku.

– Uznaję to za komplement. Lecz dla Helen musi to być trudne. Jest jego żoną.

Sally odwróciła wzrok.

– Helen mnie absolutnie nie interesuje. Ponura mała kura domowa. Choć ładnie dołożyła

prawym sierpem temu czubkowi na lądowisku.

– To prawda.

Sally co chwila zerkała na zegarek.

– Gdzie się teraz wybierasz? – zapytała ostrożnie Jansson.

– Do Szczeliny.

– Naprawdę? Domyślam się, że z powodu trollicy Mary.

– Tak.

Jansson się uśmiechnęła.

– I co zrobisz? Staniesz tam z plakatem?

– Czemu nie? To lepsze niż pozwolić, by to biedne stworzenie zostało uśpione, z potem zniknęło z oczu i z serca.

– Fakt. To był szokujący wypadek. Kiedy go zobaczyłam, sama też napisałam kilka e-maili… Dzięki temu mogłam pociągnąć za kilka sznurków i zorganizować Joshui spotkanie z senatorem Starlingiem. Chciałabym iść z tobą…

Sally spojrzała na nią badawczo.

– Mówisz poważnie?

Jansson była zaskoczona pytaniem; odezwała się pod wpływem impulsu.

– Co? Właściwie… tak, chyba tak. Gdybym mogła. Dlaczego pytasz?

– Bo możesz się przydać. Dlatego. Jesteś przecież Upiorną Jansson Joshuy. Możesz w świecie ludzi załatwiać sprawy, do których ja nie mam dostępu. – Sally wydawała się niepewna, jakby nie chciała się przyznawać do najmniejszej słabości. – Może razem doprowadzimy do czegoś dobrego. Albo przynajmniej nastraszymy tych ćwoków pod Szczeliną, aż wyskoczą ze swoich kosmicznych portek. Joshua mówił, że rozwiązujesz sprawy. Naprawiasz. To twoja siła. A z powodu całej tej historii z trollami już wkrótce coś zacznie się psuć na całej Długiej Ziemi. Chodź ze mną. Co na to powiesz?

Jansson uśmiechnęła się słabo.

– Tak po prostu? Jak Thelma i Louise, tak? W moim wieku, w moim stanie? Nie powinnam oddalać się dalej niż o parę godzin od szpitala. Co prawda mogę sama sobie aplikować leki… Ale nigdy nie przekraczałam nawet w części tak daleko. Do Szczeliny jest prawie dwa miliony kroków, zgadza się? Chyba nie dam rady.

– Nie będzie tak źle. – Sally mrugnęła porozumiewawczo. – Pamiętaj, z kim rozmawiasz. Znam kilka skrótów…

– To szaleństwo. To niemożliwe. Prawda?

ROZDZIAŁ 29

Kiedy Jansson i Sally szykowały się do opuszczenia Madison Zachodniego 5, Maggie Kauffman właśnie tam przybyła.

– Znajdź mi eksperta od trolli – poleciła Johnowi Mackenzie.

A czego kapitan sobie życzyła, kapitan dostawała.

Zajęło to kilka dni. Wyszukiwanie outernetowe nie było szybkie, chociaż im bliżej Ziemi Podstawowej, tym sprawniejsza była wymiana informacji. Mac jednak w dość krótkim czasie znalazł kilka uniwersytetów, które badały trolle w stanie dzikim. Pokazał Maggie wyniki – odkryto, że trolle są dociekliwe, towarzyskie i szybko się uczą. Powszechnie się zgadzano, że są przynajmniej preświadome, choć naukowa mniejszość twierdziła, że są świadome w pełni, jednak ich inteligencja ma inną perspektywę, inne podstawy niż umysły ludzi. Z pewnością uczyły się w fenomenalnym tempie…

Wszystko to wydało się Maggie raczej suche. Poprosiła Maca, by poszukał kogoś, kto zna trolle lepiej niż jako przedmioty badań czy obiekty doświadczalne. Kogoś, kto żył wśród nich.

Dlatego właśnie na krótko porzuciła swój okręt i nie zawiadamiając zwierzchników – takie sztywniaki jak Ed Cutler zablokowałyby inicjatywę, zanim jeszcze zaczęła jej realizację – wskoczyła na szybki twain komercyjny lecący na wschód. Wysiadła na świecie odległym o pięć kroków na zachód od Podstawowej, w nowym mieście Madison, stan Wisconsin…

Doktor Christopher Pagel i jego żona Juliet, obok innej działalności, parę kilometrów za miastem prowadzili ośrodek ratowania maltretowanych wielkich kotów, zwierząt kupionych nielegalnie przez baronów narkotykowych czy innych drani, którzy w ten sposób chcieli podkreślać swoje machismo. Potem, kiedy przestawały być miłe i słodkie, właściciele je porzucali. Ośrodek działał jeszcze przed Dniem Przekroczenia – wtedy ofiarami były zwykle lwy i tygrysy. Kiedy dostęp do Długiej Ziemi i kalejdoskopu dziewiczych światów otworzył nowe możliwości, w wielkich klatkach zamieszkały takie stworzenia jak szablozębne smilodony, a nawet lew amerykański, *Panthera leo atrox*.

Pagelowie zatrudniali liczne rodziny trolli, by pomagały im w pracy.

Starsi wiekiem, ale eleganccy i niezwykle uprzejmi, wyjaśnili Maggie, że trolle pomagają nie tylko przy pracach fizycznych. Sama ich obecność wpływa na koty uspokajająco. Chris opowiedział, jak samiec z miejscowej rodziny trolli znakomicie sobie poradził z pewnym kłopotliwym tygrysem. Po jednej próbie ataku na dozorcę drapieżnik został złapany za kark i wolno, precyzyjnie przyciśnięty do gruntu z taką szybkością i siłą, by zrozumiał, że skończenie pod ziemią jest całkiem realne, jeśli nie opanuje programu tresury…

Od Pagelów Maggie dowiedziała się naprawdę dużo na temat trolli. Na przykład tego, że – jak się zdaje – oczekują od ludzi rozrywki, odmiany, nowych koncepcji. Wystarczy pokazać nawet młodemu trollowi na przykład kosiarkę do trawy ze śrubkami tak dużymi, by mogły je chwytać trollowe palce, a spróbuje rozłożyć ją na kawałki, starannie układając wszystkie części, a potem złożyć z powrotem, dla samej radości zabawy. Juliet Pagel robiła doświadczenia z ludzką muzyką. Trolle siedziały w zachwyconym milczeniu przy dobrych chórach gospelowych, jak również przy grupach z lat sześćdziesiątych zeszłego wieku, tych prezentujących miękkie wielogłosowe harmonie, jak na przykład Beach Boys.

Maggie była coraz bardziej zdecydowana w kwestii trolli. Musiała pamiętać, że powierzona jej misja ma być trwałym symbolem Egidy Stanów Zjednoczonych. A zatem nie wystarczy, by „Benjamin Franklin" płynął po dalekich światach niczym staroświecki pancernik, prezentując dyskretną groźbę i rozrzucając ulotki o tym, że należy płacić podatki. Powinni raczej symbolizować pozytywne wartości narodu. A to znaczy, w epoce Długiej Ziemi, życie w harmonii z innymi mieszkańcami wykrocznych światów, w szczególności z trollami. Sally Linsay miała rację, uznała po namyśle Maggie: nie da się tego okazać lepiej, niż mając trolle

na pokładzie.

Jako dowódca twaina miała podczas misji sporą swobodę podejmowania decyzji. Mimo to poświęciła dużo czasu, by dla eksperymentu uzyskać wsparcie przynajmniej większej części załogi. Zwierzchnikom nie zamierzała się tłumaczyć ze swoich planów, chyba że naprawdę nie będzie wyjścia.

Dlatego też, kiedy wróciła na okręt, miała ze sobą trzy trolle. Stanowiły rodzinę: dwoje rodziców i młode. Pagelowie nazywali je Jake, Marjorie i Carl.

Gdy tylko weszły na pokład, dyskusje – mimo wcześniejszych przygotowań – rozgorzały na nowo. Pozwoliła im się toczyć. Trolle nigdzie się nie wynosiły.

W rezultacie już po tygodniu załoga „Franklina", dryfującego po niebach niezliczonych wykrocznych Ameryk, przyzwyczaiła się do przerywania pracy o zmroku, kiedy otwierano wielkie wrota ładunkowe, a trolle dołączały do harmonii i tonów długiego wołania rozbrzmiewającego echami przez rubieże kolejnych światów.

– Pamiętacie przecież – zwróciła się Maggie do Nathana i Maca. – W *Star Treku* wprowadzili na mostek Klingona.

– I Borga – dodał Nathan.

– No właśnie.

– Ale nie Romulanina – zauważył Mac. – Romulanina nigdy.

– Trolle zostają – ucięła stanowczo Maggie.

ROZDZIAŁ 30

Od rozmowy z Kenem, w której zdradził mu zamiar rezygnacji, Nelson Azikiwe potrzebował jeszcze kilku miesięcy, nim wyjechał. Musiał uporządkować sprawy parafii, pozbyć się zbędnego dobytku i wprowadzić swego następcę we wszystkie istotne sprawy, w tym problemy z toaletą. Dopiero wtedy gotów był przystąpić do kolejnej fazy swego życia – do badania Projektu Lobsang i innych tajemnic. Nie spieszył się. Zawsze prowadził raczej wędrowne życie, ale uważał, że nie należy żałować czasu na odpowiednie pożegnania.

Postanowił polecieć do Ameryki samolotem; jego pokolenie nie było przyzwyczajone do powolnych podróży twainami. Chociaż obecnie nie było tak wielu lotów, jak się przekonał, zwłaszcza odkąd Długą Ziemię zaczęły obsługiwać twainy. Do nowych światów sterowce nadawały się idealnie – nie potrzebowały lotnisk i mogły się zatrzymać praktycznie w dowolnym miejscu. Ale nawet dla podróży w poziomie, poprzez Ziemię, nawet na Podstawowej, sterowce wróciły do mody. Przede wszystkim hel, bezpieczny i niepalny gaz nośny, stał się o wiele łatwiej dostępny – naturalne rezerwy Podstawowej już się wyczerpywały, lecz w światach wykrocznych otworzyły się nagle nowe źródła. Stateczne tempo przelotów sprawdzało się przy transporcie towarów; worki ziarna czy rud minerałów nie przejmowały się długością lotu i rzadko narzekały na dobór wyświetlanych filmów.

Ale tradycyjny transport lotniczy nie umarł od razu i na razie na Podstawowej samoloty ciągle latały – chociaż w czasie tej podróży Nelson musiał znieść znaczne opóźnienia. Wiele lotów do Stanów odwołano z powodu chmur popiołu wyrzuconych w atmosferę przez jakąś niewielką erupcję w Yellowstone.

Samolot, który w końcu złapał, wystartował z Anglii, przeleciał nad północnym Atlantykiem, potem w dół nad Tarczą Kanadyjską, aż w końcu dotarł do nieskończonych pól uprawnych i farm Ameryki Podstawowej, rozciągających się pod oknami jak lśniący dywan. Jeśli ktoś miał dobre oko, mógł tu i tam odkryć luki w tej panoramie upraw, strzępy powracającej dziczy w miejscach porzuconych obejść i pól. Ich właściciele prawie na pewno postanowili przekroczyć na zachód – większość Amerykanów odruchowo wybierała zachód, mimo zapewnień ekspertów, że etykiety WSCHÓD i ZACHÓD na krokerach są całkowicie przypadkowe. Odchodzili, szukając nowych terenów i lepszego życia. Albo też, myślał Nelson, wyruszali po prostu dlatego, że te nowe światy tam były, a w genach Amerykanów, może też Kanadyjczyków, było coś, co nakazywało im ciągle iść dalej. Długa Ziemia stanowiła nieskończone pogranicze. I chociaż obecnie nie odchodziły już takie tłumy, jednak nowe światy wciąż przyciągały pionierów.

Jego cel był skromniejszy: lotnisko O'Hare. Planował na pewien czas zatrzymać się w Chicago. Potem chciał odwiedzić nowy uniwersytet wznoszony w Madison Zachodnim 5 w ramach postatomowej odbudowy miasta. Miał tam przyjaciół i interesy. Właśnie z Madison Willis Linsay wysłał do internetu plany prototypowego krokera – wspaniały, ale i destrukcyjny gest, który na zawsze zmienił świat, a nawet światy. W Madison spędził dzieciństwo sam Joshua Valienté. Nelson, na tropie Projektu Lobsang, miał przeczucie, że w Madison zdoła coś odkryć, uzyskać kilka odpowiedzi.

Jak się okazało, ten wstępny plan nie przetrwał nawet wyjścia z lotniska.

Nelson zawsze z ulgą opuszczał ciasne wnętrze samolotu. Był potężnym mężczyzną, takim, który ma problemy, żeby się zmieścić w lotniczym fotelu, ale może spacerować w każdej dzielnicy, nie martwiąc się specjalnie o bezpieczeństwo. Ogólnie jednak, uznał, stojąc w kolejce do wyjścia, musiał przyznać, że lubi, kiedy ludzie ustępują mu nawet bez proszenia. Rozmiary uratowały go przed niejedną bójką w południowoafrykańskim miasteczku jego dzieciństwa. Zresztą takie kłopoty skończyły się, kiedy znalazł miejscową bibliotekę i odkrył cały wszechświat idei, do których jego młody intelekt wystartował szybciej niż Saturn 5 w niebo nad Florydą. Trudno powiedzieć, żeby nasiąkał szacunkiem dla autorytetów – praktycznie od początku

wyszukiwał problemy do rozwiązania, a potem je rozwiązywał. Jeden z nauczycieli zauważył, że jest geniuszem skojarzeń.

Jego życie zmieniło się całkowicie, kiedy pierwszy raz zastosował swe analityczne zdolności do koncepcji Wszechmogącego. Nawet gdyby odrzucić tradycyjne pojęcie Boga, zawsze miał wrażenie, że bez jakiejś Pierwszej Przyczyny pozostaje tylko filozoficzna pustka, przestrzeń do wynajęcia. Jego znajomi z nerdosfery zapełniali tę pustkę iluminatami albo okiem patrzącym z trójkąta na dolarowym banknocie. Po Dniu Przekroczenia, po otworzeniu ogromnego, obfitego i dostępnego dla ludzi uniwersum, potrzeba wypełnienia tej pustki jeszcze się pogłębiła. I przede wszystkim dlatego postanowił kolejną fazę swego życia poświęcić na badanie tej pustki i związanych z nią zagadek.

W każdym razie tego ranka na lotnisku O'Hare onieśmielający wzrost Nelsona, wspierany przez jego umiejętność rozwiązywania problemów, pomogły mu przedostać się przez biurokratyczny labirynt Urzędu Imigracyjnego. A przy ostatniej barierce, którą właśnie minął, jakiś urzędnik dogonił go i wręczył ulotkę.

– Och… Ktoś to dla pana zostawił, panie Azikiwe.

Ulotka była reklamówką campera winnebago. Nelson zamierzał polecieć do Madison. Nie potrzebował campera. Ale kiedy znów podniósł wzrok, urzędnika nie było.

Nelson poczuł dreszcz, jak zawsze kiedy kojarzył pozornie niepowiązane fakty, na przykład przy rozwiązywaniu zagadek Quizmastersów.

– Rozumiem, Lobsangu – powiedział i schował ulotkę do kieszeni.

Nim minęła godzina, wynajął najnowszy model winnebago, z generatorem o mocy wystarczającej dla jego sprzętu i z łóżkiem, dużym łóżkiem, akurat dla niego.

Wyjechał tym domem na kółkach z lotniskowego parkingu, a nie mając dalszych instrukcji, wybrał przypadkowy kierunek i ruszył autostradą. Na takiej drodze sama jazda była cudownym przeżyciem. Zastanawiał się, czy nie jest to ostatecznym wyrazem amerykańskiego marzenia – być w drodze, wszystkie kłopoty zostawić za sobą jak wyrzucone śmieci, bez żadnego innego celu niż jazda poza horyzont, byle tylko być w ruchu… Jechał więc na zachód przez całe przedpołudnie.

Zatrzymał się w małym miasteczku, zrobił zakupy i zalogował się, by sprawdzić ostatnie znaleziska sieciowego świata, w tym odkrycia jego kumpli z Quizmasters. Pracowali dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, od chwili kiedy skusił ich najdelikatniejszą sugestią: „Przypuszczam, że wszyscy widzieliśmy ten klip, jak »Mark Twain« na holu dociera do Madison, a dziewczyna mówi o kocie, który zna tybetański. Zgadza się? Czy jest w tym jakaś wskazówka? Wskazówka czego? Wygląda na to, że ktoś próbuje nam zamącić w głowach"…

Wobec tego początkowego pytania Nelsona Quizmastersi szaleli, spekulowali, wysuwali hipotezy i porównywali wzorce. Stojąc w swoim winnebago i szykując wykwintne curry ze świeżo kupionych składników, Nelson przyglądał się, jak na ekranach migają wiadomości i złożone hipotezy. I myślał.

Kiedy curry było gotowe, praktycznie ignorował ekrany. Nauczył się kochać maniery dawnej Anglii, jakie poznał w parafii Świętego Jana nad Wodami. Tam ludzie skupiali się na jedzeniu… choć było w tej frazeologii coś, co budziło uśmiech chłopaka z małego miasteczka.

Jednak jedząc, kątem oka widział, jak Quizmastersi rozgrzewają się, jak budują teorie w tempie jednej na minutę, niektóre kompletnie zwariowane.

A potem pojawił się ślad, który zwrócił jego uwagę. Dzięki dziwactwom ramówek rozmaitych kanałów telewizyjnych, przeskakując z programu na program i poczynając mniej więcej od teraz, można było oglądać klasyczny film *Bliskie spotkania trzeciego stopnia* przez dwadzieścia cztery godziny bez przerwy.

– Czyli: Diabelska Wieża, Lobsangu? Coś takiego już było zrobione, więc trochę jesteś nieoryginalny. Ale nigdy tam nie byłem i zawsze chciałem ją zobaczyć. Nie będę pytał, jak cię znaleźć; sądzę raczej, że to ty mnie znajdziesz…

Skończył jeść i sprzątnął naczynia. Nawigacja satelitarna poinformowała go, że aby dotrzeć do Wyoming, musi przejechać półtora tysiąca kilometrów na północny wschód od Chicago. W takim wozie to jazda marzeń. Nie będzie się spieszył, w drodze postara się zwiedzić to i owo. Nie jest niczyją marionetką.

Może nawet obejrzy jedną z tych powtórek *Bliskich spotkań*…

ROZDZIAŁ 31

Ostatni zjazd przez czułe punkty, najdłuższy z dotychczasowych, doprowadził Sally i Jansson do świata oddalonego o kilkanaście kroków od Szczeliny. Czułe punkty przerzucały człowieka nie tylko wykrocznie, ale i geograficznie. Kobiety wylądowały więc na północnym zachodzie Anglii, niedaleko wybrzeża Morza Irlandzkiego – w miejscu, o którym Sally wiedziała, że jest bliskie cienia Szczeliny Kosmosu – domu nowych kosmicznych kadetów.

Monica Jansson dotarła tu wyczerpana i oszołomiona. Sally musiała jej pomóc ułożyć się na miękkiej trawie ostatniego zbocza i owinąć w kokon srebrnych koców ratunkowych.

Potrzebowały tygodnia, żeby pokonać dwa miliony światów i przez czułe punkty dotrzeć do Szczeliny – droga o wiele szybsza niż dowolnym twainem, ale i tak męcząca. Sally musiała szukać tych czułych punktów, wykonując przy tym ruchy jak w tai-chi. Zdawało się, że jest ich więcej w sercach kontynentów, z daleka od brzegów. Łatwiej było je znaleźć o świcie albo o zachodzie. Niekiedy Jansson wręcz je widziała jako swego rodzaju migotanie. Dziwne zjawiska – ale potrafiły w czterech czy pięciu krokach przenieść człowieka wszędzie, gdzie chciał dotrzeć.

Jansson nie skarżyła się w czasie podróży i dopiero po kilku przeskokach Sally zauważyła, jakie to dla niej trudne. Czułe punkty były skazą w quasi-liniowej wszechwymiarowej geometrii Długiej Ziemi. Wyszukiwanie ich wymagało talentu, który Sally zawdzięczała swemu genetycznemu dziedzictwu. Taka podróż była o wiele łatwiejsza, niż brnąć krok za krokiem, tak jak ta nudna szara myszka Helen Valienté, kiedy razem z rodziną pokonała kiedyś sto tysięcy światów, by postawić swoją pionierską chatę z bali. Nic jednak nie przychodziło za darmo i czułe punkty coś człowiekowi zabierały. Przede wszystkim nie był to natychmiastowy przeskok, jak podczas zwykłego przekraczania; pojawiało się uczucie spadania, ostrego i wysysającego siły zimna, przelotu trwającego pewien skończony czas – tak człowiek to zapamiętywał, choć zegarek wskazywał potem, że żaden czas nie upłynął. Było to wyczerpujące i odbierało siły. W dodatku Jansson była już chora, zanim wyruszyły. Ale nie należała do takich, co się skarżą, cokolwiek by się działo.

Sally zakrzątnęła się, zbierając drewno na ognisko i rozpakowując prowiant. Potem, późnym popołudniem majowego dnia, całkiem ciepłego na tej konkretnej wykrocznej Ziemi, usiadła cicho przy ogniu i pozwoliła Jansson odespać drogę.

Patrzyła, jak wschodzi księżyc.

Nie był to taki księżyc, do jakiego była przyzwyczajona. W tym świecie, ledwie parę kroków od samej Szczeliny, księżyc był obficie nakrapiany młodymi kraterami. Mare Imbrium – Morze Deszczów, prawe oko księżycowej twarzy – było niemal całkiem zamazane, a krater Kopernik niknął wobec nowej ogromnej blizny, jaskrawego rozbryzgu, którego promienie ciągnęły się przez połowę widocznej tarczy. To musiał być niesamowity widok, kiedy Bellos i jego wykroczni bracia dokonali przerażającego bliskiego przejścia – chybiając tej konkretnej Ziemi, ale przelatując bardzo blisko. Gruntem wstrząsnęły konwulsje bombardowania przez przypadkowe odłamki, a twarz księżyca rozjarzyła się niczym pole bitwy na niebie…

Jansson poruszyła się i po chwili usiadła. Sally postawiła dzbanek kawy na niewielkim stojaku nad ogniem, więc teraz Jansson z wdzięcznością przyjęła kubek. Chwyciła go obiema dłońmi w rękawiczkach i sennie spojrzała w niebo.

– Co jest nie tak z księżycem? – spytała.

– Jesteśmy blisko Szczeliny. To jest nie tak.

Jansson kiwnęła głową. Wypiła łyk kawy.

– Słuchaj, zanim tam dojdziemy… Wyobraź sobie, że jestem głupią gliną, która lepiej się zna na plamach krwi i pijakach niż na kosmologii i statkach kosmicznych. Czym właściwie jest ta Szczelina? I co ma wspólnego z kosmicznymi kadetami?

– Szczelina to przerwa w Długiej Ziemi. Widzisz, te alternatywne Ziemie ciągną się bez końca, o ile nam dzisiaj wiadomo, i wszystkie są ogólnie do siebie podobne, choć różnią się

szczegółami. Ale Szczelina to jedyne miejsce, jakie do tej pory udało nam się znaleźć, gdzie Ziemi w ogóle nie ma. Gdybyś tam przekroczyła, zaczęłabyś dryfować w próżni. Nastąpiło zderzenie. Wielki głaz zjawił się tutaj z wizytą: asteroida, kometa czy może uwolniony księżyc. Kosmiczni kadeci nazywają ten hipotetyczny obiekt Bellosem.

– Czemu Bellosem?

Sally wzruszyła ramionami.

– Odwołanie do jakiegoś głupiego filmu, podejrzewam. Joshua mógłby wiedzieć. A Lobsang pewnie ma ten film… Wszystko, co może się zdarzyć, gdzieś się zdarzyć musi, zgadza się? Bellos czy jego kopie wypłynęły z ciemności i bezpiecznie minęły niezliczone miliardy Ziemi. Kilka Ziemi, jak ta tutaj, znalazło się tak blisko, że zasypały je odłamki i doznały rozmaitych szkód.

– Na przykład jakich?

– Jak ten bryzg nowych kraterów na Księżycu. Jak zdarcie z Ziemi dużej części atmosfery. Albo zmiana pozycji biegunów. Albo zakłócenie dryfu kontynentalnego. Ogólnie mówiąc, wybicie dinozaurów wyglądało przy tym jak bójka uliczna. Ale cała planeta nie uległa rozbiciu.

Jansson pokiwała głową.

– Już widzę, do czego zmierza ta opowieść. A jedna Ziemia…

– Jedna Ziemia została całkiem usunięta.

Jansson gwizdnęła. Taka wizja chyba ją przeraziła.

– Mogło trafić na nas – mruknęła.

– Ziemia Podstawowa leżała daleko po drugiej stronie krzywej prawdopodobieństwa.

– Tak, ale gdyby nie… Nawet gdybyśmy żyli na którymś z tych bliskich światów…

– Trzęsienia ziemi, fale pływowe i takie tam zabawy. Aha, zima pyłowa pewnie wybiłaby nas wszystkich. A raczej naszych przodków naczelnych, to było dawno.

– Paskudnie.

– Nie, to tylko statystyka. Zdarzyło się i tyle. – Sally dolała jej kawy. – Teraz by nie mogło się zdarzyć. Nie w taki sposób. To znaczy, ludzkość by nie zniknęła. Rozprzestrzeniliśmy się. Długa Ziemia to nasza polisa ubezpieczeniowa. Nawet Bellos nie mógłby nas zlikwidować,

– Rozumiem. A ta Szczelina jest użyteczna, ponieważ…?

– Ponieważ możesz zwyczajnie przekroczyć w kosmos. Rozumiesz, na świecie Szczelina minus jeden wkładasz skafander, przekraczasz… i gotowe, spokojnie orbitujesz wokół Słońca. Niepotrzebna ci rakieta wielkości drapacza chmur, która ma pokonać ziemską grawitację, bo tam nie ma Ziemi. A kiedy już się znajdziesz w kosmosie, możesz polecieć, gdzie zechcesz. W każdym razie takie jest marzenie. Wolny dostęp do przestrzeni.

Jansson opadała już głowa.

– Nie mogę się doczekać, żeby to zobaczyć. Rano, tak?

– Rano. Ty śpij, a ja postawię namiot, zanim się zrobi ciemno. Głodna jesteś?

– Nie, dzięki. I wzięłam leki. – Jansson znów się położyła i naciągnęła na siebie koce.

– No to dobranoc.

– Dobranoc, Sally.

Jansson znowu osunęła się w sen. Sally usiadła w milczeniu – być może jedyna przytomna i świadoma osoba na całej planecie.

Kiedy przygasło światło dnia, a pojaśniał poobijany księżyc, poczuła się, jakby ktoś zburzył mur wokół jej umysłu. Pejzaż – ciągnące się przed nią trawiaste zbocze – zdawał się zyskiwać głębię, niemal widoczną odmienność. Ta głębia była bezdenna, wielowymiarowa, nieskończona. Sally śniła kiedyś, że umie latać. To absurdalnie proste, trzeba tylko wyskoczyć w powietrze, a potem podskoczyć znowu, kiedy będzie już w górze. Teraz ogarnęło ją kuszące uczucie, że jeśli tylko pozna tę sztuczkę, może przekroczyć stąd, ale nie w jeden świat naraz, tylko na całą Długą Ziemię, na tę wstęgę światów, wszystkie równocześnie. Samo powietrze wokół wydawało się mrowić energią, ziemia była niematerialna jak dym…

Ale wtedy Jansson zakaszlała i jęknęła cicho przez sen. W tym momencie urwał się odlot

Sally w nieskończoność.

ROZDZIAŁ 32

Załoga „Franklina” powoli przyzwyczajała się do trolli na pokładzie.

Nie odnosiło się to jednak do wszystkich odwiedzanych kolonii. New Melfield było niezbyt czystą i niezbyt atrakcyjną osadą rolniczą w Pasie Uprawnym. Kiedy „Franklin” opuścił się nad ziemią, zjawiło się całe miasteczko – i mieszkańcy wydawali się zaskoczeni, kiedy po opuszczonym trapie za ludźmi zeszła też rodzina trolli.

Trolle i marynarze spacerowali po okolicy, gdy tymczasem Maggie gawędziła z miejscowym burmistrzem, przeglądała dokumenty z Podstawowej i ogólnie starała się jakoś go rozluźnić. Chyba tego potrzebował – z dostarczonych jej informacji wynikało, że ta osada to kolejne nieprzyjemne miejsce, gdzie panuje niechęć do trolli, nie wspominając już o ludziach i innych durnych zwierzętach. No cóż, zmiana musi przychodzić stopniowo.

Przed południem zatem burmistrz miał w swoim gabinecie trzy trolle, siedzące nawet na krzesłach – trolle uwielbiały krzesła, zwłaszcza obrotowe. A kiedy Maggie dopiła kawę, którą została poczęstowana, powiedziała wyraźnie:

– Pozmywaj, Carl.

Młody troll, trzymając kubek jak bezcenne dziedzictwo, rozejrzał się, zauważył drzwi do ekspresu i zlewu w sąsiednim pomieszczeniu, starannie wymył kubek w zlewie i ostrożnie ustawił na suszarce. Potem wrócił do Maggie, która dała mu miętówkę.

Burmistrz przyglądał się temu w tępym oszołomieniu.

Był to pierwszy z kilku kolejnych dni w tym miasteczku, dni poświęconych zdobywaniu serc i umysłów. Młodsze dzieciaki prowadzono na wycieczki po „Franklinie”, skąd po raz pierwszy w życiu mogły zobaczyć z góry swoje domy. Starsze dzieci – pod ścisłym nadzorem – bawiły się z trollami.

Ale drugiego dnia ogłoszono alarm dla całej załogi, bo na niebie nad New Melfield pojawił się drugi twain.

Był to statek handlowy. Wieczorem kapitan z pierwszym oficerem przybyli na „Franklina” i spotkali się z Maggie w kajucie przy stanowisku dowodzenia. I przynieśli paczkę.

Maggie zerknęła na Nathana Bossa, który ich wprowadził.

– Przeskanowaliśmy pakunek – zapewnił. – Jest czysty.

Kapitan drugiego sterowca, młody i z nadwagą, uśmiechnął się do Maggie.

– Jest pani bardzo ważną osobą, pani kapitan. Musiałem mocno zboczyć z trasy, żeby to pani dostarczyć. Ma pani zapewnienie samego Douglasa Blacka…

– Douglasa Blacka? Z Korporacji Blacka? Tego…

O rany, pomyślała Maggie. Sally Linsay naprawdę ma niezłe kontakty.

– Tak, pani kapitan. Ten pan Black gwarantuje, że nic w tej przesyłce nie zaszkodzi ani pani, ani „Benjaminowi Franklinowi”. Instrukcje znajdują się wewnątrz. Nic więcej nie wiem…

Maggie ogarnęła śmieszna niecierpliwość dziecka, które nie może się doczekać, by rozwinąć świąteczny prezent.

Gdy tylko goście wyszli, posłuchała rady ostrożnego Nathana i dla większego bezpieczeństwa wyniosła paczkę z okrętu. Wewnątrz znalazła starannie opakowany niezwykły instrument, trochę podobny do okaryny. Trollowy gwizdek – Sally Linsay dotrzymała słowa. Maggie obejrzała klawisze; sterowanie wydawało się bardziej skomplikowane niż w tej zabawce, jaką widziała u Sally. Może to nowszy model. Znalazła też krótką, jednostronicową instrukcję, podpisaną ręcznie „G. Abrahams”. Nazwisko nic jej nie mówiło.

Chciała jak najszybciej wypróbować gwizdek w rozmowie z trollami.

Zwolniła Nathana, który odchodząc, uśmiechał się i kręcił głową. Poszła na pokład obserwacyjny, gdzie trolle lubiły spać, może z powodu niższej temperatury. I rzeczywiście były tu i czochrały się łagodnie, na wpół uśpione. Porozumiewały się jak zwykle spokojnymi, ledwie słyszalnymi dźwiękami. Maggie dyskretnie włączyła okarynę, wymierzyła w Jake’a i słuchała

uważnie.

I zdziwiła się, kiedy od strony Jake'a zabrzmiały słowa:

– Jestem syty / zadowolony, jest zabawnie, pragnę wrócić do /znaczenie niezrozumiałe/.

Słowa wygłaszał męski głos, stanowczy i dość miło brzmiący, choć sztuczny.

Czyli trollowy gwizdek działał, choć brzmiało to raczej jak wymiana koncepcji niż realne tłumaczenie. Ci maniacy z Korporacji Blacka – czy kim tam naprawdę był G. Abrahams – pewnie uwielbiali bawić się tą zabawką.

Skierowała trollowy gwizdek na Marjorie.

– Samica tutaj / patrzy / samica bez partnera / znaczenie niezrozumiałe, tłumaczenie przybliżone: samica dla własnych celów decydująca się nie mieć partnera…

To o niej!

– Każdemu się wydaje, że jest świetnym doradcą w sprawach osobistych… – mruknęła pod nosem Maggie.

Zebrała się na odwagę, uniosła trollowy gwizdek, przysunęła sobie ustnik i powiedziała wyraźnie:

– Nazywam się Maggie Kauffman. Witajcie na pokładzie „Benjamina Franklina".

Jej słowom towarzyszył płynny werbel.

Trolle znieruchomiały. Patrzyły na nią z rozdziawionymi ustami i szeroko otwartymi oczami.

Pokazała siebie palcem.

– Maggie. Maggie…

Marjorie zamruczała w odpowiedzi, najwyraźniej usiłując znaleźć dla Maggie jakąś etykietę:

– Przyjaciel / babcia / interesująca obca…

Ta „babcia" zaskoczyła Maggie. Babcia? Jak bardzo ludzkie określenie… Czy w ten sposób postrzegały jej relacje z załogą? Według trolli jest starą kobietą pilnującą swych małych wnuków? No fakt, w większości byli sporo młodsi od niej…

Śmiało podeszła do kąta kabiny, gdzie kuliły się trolle, i usiadła na dywanie obok nich.

– Jestem Maggie. Maggie… Macie rację, nie mam męża. Nie mam partnera. Okręt jest moim domem…

Miała wrażenie, że Marjorie – samica – przygląda się jej ze smutkiem swymi dużymi brązowymi oczami. Dłoń niczym skórzana łopata bardzo delikatnie dotknęła ramienia Maggie. Maggie nie miała innej możliwości, niż przysunąć się bliżej. Poczuła, jak obejmują ją potężne ramiona.

Carl tymczasem złapał okarynę i próbował tak długo, aż udało mu się powiedzieć:

– Miętówka!

I tak znaleziono Maggie rankiem. Obudziła się, kiedy któryś z marynarzy bardzo, ale to bardzo delikatnie wyplątał ją spomiędzy chrapiących trolli.

Śniadanie okazało się nieco krępujące. Wszyscy w załodze, co do jednego, wiedzieli, jak spędziła noc. Ale Maggie nigdy nie należała do osób przeczulonych na punkcie własnej powagi.

Przez cały dzień pozwoliła załodze eksperymentować z trollowym gwizdkiem, pod nadzorem. Poprosiła Gerry'ego Hemingwaya z Działu Naukowego, żeby przestudiował jego działanie, a przynajmniej impulsy na wejściu i wyjściu.

Wieczorem musiała rozkazać, by marynarze odłożyli gwizdek, żeby zmęczone trolle mogły się wyspać na pokładzie obserwacyjnym.

Następnego dnia przy śniadaniu zarządziła zebranie całej załogi.

– Jennifer, wczoraj spędziłaś sporo czasu z Jakiem – zwróciła się do Jennifer Wang z oddziału piechoty morskiej. Wiedziała, że jej dziadkowie przybyli z Chin. – Co ci mówił?

Wang była trochę zakłopotana.

– Dużo słów, których nie rozumiałam. Ale ogólnie coś w sensie, że jestem „daleko od domu". Rozbawiło mnie to. Znaczy, jestem Amerykanką chińskiego pochodzenia, jestem dumna z bycia obywatelem Stanów Zjednoczonych, ale coś chyba mam we krwi. Tylko skąd on

wiedział?

– Bo jest sprytny. Ma intuicję. Myśli… Wiecie, posłano nas między innymi po to, żeby szukać na Długiej Ziemi inteligencji. Zgadza się? A teraz mamy ją tutaj, na tym okręcie, żyjącą między nami. Nawiasem mówiąc, tak będę się bronić przed sądem wojskowym. Jestem dumna z tego, jak traktujecie nowych członków załogi. Ale teraz, jeśli w ciągu dwóch minut nie opuścicie tej sali i nie znajdziecie się na stanowiskach, wszyscy macie karny raport. Rozejść się.

ROZDZIAŁ 33

Ostatni krok zaowocował nagłą transformacją wydm w pobliżu szarego oceanu, miejscowej kopii Morza Irlandzkiego, w coś, co wyglądało jak zaczątek terenów przemysłowych, z lśniącymi zbiornikami, pordzewiałymi kratownicami, kominami i niskimi betonowymi budynkami. Nie było tu nic, co mogło się kojarzyć z podbojem kosmosu, przynajmniej na pierwszy rzut oka Jansson nic takiego nie zauważyła.

– Chodźmy. – Sally poprawiła plecak i ruszyła.

Jansson szła za nią, maszerując równym krokiem po trawiastym gruncie, który stopniowo ustępował nierównym pagórkom. Poranek był suchy i jasny w tym świecie, o jeden krok oddalonym od Szczeliny. W wietrze od morza wyczuwała sól i gnijące wodorosty. Próbowała sobie zwizualizować tę Ziemię, wyobrazić sobie, że o jedno pstryknięcie krokera od tej przeciętności znajduje się próżnia, kosmos, pustka… Próbowała, ale bez skutku.

Nie przeszły nawet stu metrów, kiedy okolicę rozświetlił jaskrawy błysk z brzegu budowy przed nimi – jasny niczym rzucona na Ziemię kropla słonecznego blasku.

Jansson bez wahania powaliła Sally na ziemię, przykryła ją sobą i naciągnęła jej na głowę kaptur kurtki. Była na sąsiednim świecie, kiedy wybuchła bomba atomowa w Madison; nie zapomniała. Uderzył w nich huk eksplozji, potem gorący wiatr; zadrżał grunt. Ale wszystko szybko minęło.

Jansson ostrożnie zsunęła się z Sally; krzywiła się, kiedy jej ciało protestowało chórem ukłuć i bólu. Usiadły obie i spojrzały ku zachodowi. Nad miejscem wybuchu wznosiła się chmura białego dymu i pary.

– Nie jądrowy – stwierdziła Sally.

– Nie tym razem. Wybuchła jakaś przetwórnia chemiczna? Przepraszam, że tak na ciebie skoczyłam.

– Nie ma za co. – Sally wstała i otrzepała się z piasku. – To miejsce jest chyba placem zabaw dla technicznych wariatów, którzy mogą, ale nie muszą wiedzieć, co robią. Pilnujmy lepiej pleców.

– Zgoda.

Szły dalej, wypatrując nowych zagrożeń. Ogień w zniszczonym budynku migotał; kiedy się zbliżyły, zobaczyły wznoszącą się parę, efekt amatorskich prób jego ugaszenia. Nie było chyba żadnych zabezpieczeń, nawet ogrodzenia. Gdy jednak weszły w głąb zabudowanego terenu, zostały dostrzeżone. Jansson widziała, że obserwują je robotnicy.

Po pewnym czasie na ich spotkanie wyszedł jakiś mężczyzna. Miał pewnie pięćdziesiąt kilka lat, nie był wysoki, ale wyprostowany, żylasty, opalony, ze ściętymi po wojskowemu siwiejącymi włosami. Nosił niebieski kombinezon z wyblakłym logo NASA i identyfikatorem: WOOD, F. Uśmiechnął się do nich dość przyjaźnie.

– Drogie panie…

– Drogi panie – odparła niechętnie Sally.

– Nazywam się Frank Wood, kiedyś z NASA, a teraz… jakkolwiek zechcecie nas nazwać. Może być Szczelina Kosmosu, pod tą nazwą jesteśmy zarejestrowani. Czy wolno spytać, czemu panie się tu zjawiły? Rzadko odwiedzają nas przypadkowi goście. Są panie ochotniczkami? Jeśli tak, prosiłbym o sugestię co do technicznych kwalifikacji, a z pewnością znajdą panie tu miejsce. Dziennikarki? – Ze smutkiem spojrzał przez ramię na unoszącą się chmurę pary i dymu. – Zauważyły panie, że mieliśmy właśnie wypadek ze zbiornikiem ciekłego tlenu, ale to nic niezwykłego.

Jansson machnęła mu odznaką i legitymacją.

– Jestem z policji. Konkretnie z Madison, Wisconsin.

Popatrzył na legitymację, ale schowała ją, nim zauważył, że od dawna jest na emeryturze i nie powinna zachowywać odznaki.

– Och… – Wydawał się rozczarowany. – Prawdę mówiąc, porucznik Jansson, tego rodzaju władza z Podstawowej nie ma tu oparcia. Nawet gdybyśmy byli pod Egidą USA, chociaż nie jesteśmy. Domyślam się, że chodzi o tę sprawę z trollami, tak?

– Obawiam się, że tak, panie Wood.

– Proszę mi mówić Frank…

– Chyba pana poznaję – oświadczyła Sally.

– Naprawdę?

– Z nagrania wideo. To pan powstrzymał technicznego, który chciał zastrzelić trolla na miejscu.

Wood naprawdę się zarumienił i odwrócił wzrok.

– Nigdy nie chciałem być sławny. Człowiek, z którym musicie o tej sprawie porozmawiać, to Gareth Eames. Mniej więcej dyrektor, w każdym razie on tu kieruje. Anglik. Jeśli mam mówić szczerze, to gdyby nie ta afera w outernecie… tak, wieści dochodzą nawet tutaj… pewnie do tej pory zlikwidowalibyśmy te trolle. Ale nawet tacy ludzie jak my potrafią zauważyć, że znaleźli się w samym środku flejmowej wojny. Chodźmy, zaprowadzę was do Eamesa…

– Nie trzeba – zapewniła energicznie Sally. – Znajdę drogę.

Wood przyjrzał jej się z powątpiewaniem, lecz wzruszył ramionami.

– Niech będzie. – Wskazał niski, przysadzisty budynek z betonu. – To blok administracyjny, a przynajmniej pełni zbliżoną rolę. Tutaj wszystko budujemy jak schrony; życie wśród rakiet uczy ostrożności. Tam urzęduje Gareth. Tam zresztą trzymamy też trolla, w celi.

– Świetnie. – Sally odwróciła się do Jansson i szepnęła: – Spróbuję się tam dostać i rozejrzeć bez tego Bucka Rogersa za plecami.

Jansson miała wątpliwości, ale przekonała się, że Sally ma taki sposób działania. Nie pozwalała przeciwnikowi odzyskać równowagi.

– Jasne. A co ze mną?

– Zajmij czymś tego gościa. Niech ci pokaże te swoje kosmolociki czy co tam jeszcze. Nawiasem mówiąc, chyba wpadłaś mu w oko.

– Bzdura. Poza tym muszę ci przypomnieć, że moja osobista rakieta startuje z innej wyrzutni.

– Czyli nie jest bardziej spostrzegawczy niż większość mężczyzn. – Sally mrugnęła porozumiewawczo. – Odepnij guzik albo dwa, a do końca życia będzie twoim niewolnikiem. No to na razie.

ROZDZIAŁ 34

– Nie myślimy o tym świecie jako Ziemi Zachodniej Dwa Miliony z Groszami, czy jakoś tak – tłumaczył Frank Wood. – Uważamy go za Szczelinę Wschodnią 1. Ponieważ Szczelina jest środkiem naszego wszechświata, nie Ziemia Podstawowa. I to rzeczywiście dziwaczny świat, prawda? Prawie pozbawiony ludzi. Całe kontynenty, na których nikt jeszcze nie postawił stopy. Zasadniczo utrzymujemy się z rybołówstwa, trochę z polowań… a tymczasem budujemy statek kosmiczny! Jesteśmy klanem myśliwsko-zbierackim, mającym program kosmiczny.

Frank Wood mówił i mówił, a Jansson rozglądała się po Szczelinie Kosmosu. Cały kompleks wyglądał jak fanowska rekonstrukcja słabo pamiętanego ośrodka na przylądku Canaveral. Kiedyś jako turystka odwiedziła tę historyczną krainę czarów. Zresztą właśnie tam, na przylądku Canaveral, ludzie ze Szczeliny Kosmosu zwerbowali Franka Wooda. Rozpoznawała podstawowe konstrukcje: piece do wypalania cegieł z miejscowej gliny, kuźnie i zakłady montażowe. Widziała też tradycyjne atrybuty ośrodków kosmicznych, takie jak wielkie kuliste zbiorniki, których ściany pokrywał szron, ponieważ – jak wyjaśnił Frank – trzymali w nich wielkie ilości superzimnych paliw płynnych. Firma miała nawet własne logo: krąg z wąskim rogalikiem Ziemi obejmującym pole gwiazd, w dole nazwa Szczelina Kosmosu, a powyżej dewiza korporacji:

ISTNIEJE COŚ TAKIEGO JAK DARMOWY START

Joshua wyjaśnił kiedyś Jansson, że to parafraza hasła Lobsanga.

A także – budząc dreszcz nawet w sercu tak twardym jak Jansson – był tam statek kosmiczny. Jedna kapsuła stała na czterech solidnych nogach, a przy rusztowaniu wyrastał silnik rakietowy, zbiornik wysokości dwudziestu metrów, z dyszą skierowaną – co dziwne – do góry, jakby statek szykował się do startu w głąb Ziemi. Frank wyjaśnił, że to stanowisko testowe odpaleń statycznych.

Robotnicy byli w większości mężczyznami, w większości między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia, w większości z nadwagą. Niektórzy nosili skafandry ochronne albo kombinezony robocze, jak Frank, ale inni chodzili w szortach, sandałach i koszulkach z cytatami z dawno zapomnianych filmów i programów telewizyjnych:

SPEC Z CIEBIE MARNY OD NIEDŹWIEDZI POLARNYCH

Jakiś człowiek z plikiem rysunków technicznych podszedł do Jansson i spojrzał jej w twarz.

– Nowa, co? Tu jest jak na nieskończonym konwencie, słowo. Trafiłem do nieba czy co?

I odszedł, zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć.

Frank uniósł brew, jakby to zdanie było zabawne dla niego i Jansson.

– To nie jest inwestycja korporacyjna. Jeszcze nie. Sama pani widzi. Ci ludzie są ochotnikami. Hobbystami. Mamy tu amatorskich specjalistów rakietowych, astronomów, radioamatorów i rozczarowanych kadetów kosmicznych, trochę takich jak ja. Parę osób z domu finansuje nas prywatnie. Wielkie korporacje nie dostrzegły jeszcze wartości tego pomysłu. Po co się męczyć, żeby przelecieć w kosmosie na jakąś pustynną planetę w typie Marsa, kiedy

w odległości spaceru mamy miliardy zdatnych do życia Ziemi? Ale nauczą się i z pewnością nas wesprą, kiedy zaczniemy uzyskiwać wyniki.

– I wszyscy będziecie bogaci.

– Możliwe. W każdym razie pewnie się już pani domyśla, że wyrobienie towarzyskie nie znajduje się wysoko na liście kryteriów selekcji naszych pracowników. Przyzwyczai się pani.

Dla Franka Wooda, jak się dowiedziała, Szczelina była szansą powrotu do Marzenia.

Zanim zwerbował go Gareth Eames, Frank nie słyszał nawet o Szczelinie Kosmosu. Pracował jednak w Ośrodku Lotów Kosmicznych im. Kennedy'ego, a raczej tym, co po nim zostało, i to było smutne. Na wystawie rakiet – muzeum pod gołym niebem – nie dbali już nawet o bezcenne pamiątki. Pod działaniem słonego powietrza korozja wżerała się w cienkie jak papier cylindryczne kadłuby i rozwarte dysze silników. Nadal zdarzały się starty bezzałogowych satelitów, jednak dla człowieka, który miał sam polecieć w kosmos, takie rutynowe starty miały tyle dramatyzmu co wyprzedaż starzyzny.

Frank pamiętał czasy, kiedy jako dziecko z błyszczącymi oczami słuchał ludzi z telewizji. Tłumaczyli, że planują ustawić katapulty elektromagnetyczne na Księżycu, że będą wydobywać surowce z asteroid, zbudują w przestrzeni zamknięte światy, postawią windy kosmiczne jak drabiny z powierzchni Ziemi do nieba. Kto nie chciałby w tym uczestniczyć?

A potem ktoś wymyślił krokery. W Dniu Przekroczenia Frank miał trzydzieści jeden lat, był już weteranem lotnictwa i właśnie został przyjęty do korpusu astronautów NASA. Tyle że nagle zaistniały krokery i Długa Ziemia. Ludzkość nagle zyskała tanią i łatwą drogę do biliona światów.

Frank Wood marzył kiedyś o podróży na inne planety, może nawet do gwiazd. Teraz kosmiczne statki przyszłości utkwiły na platformach startowych wyobraźni, a on czekał na emeryturę w tym, co pozostało z Centrum Lotów Kosmicznych – kandydat na astronautę zmuszony do prowadzenia busików z turystami. Czuł się jak wczesny ssak truchtający wokół kości ostatnich dinozaurów.

Potem pojawił się Gareth Eames, wygadany Brytyjczyk. Opowiadał o czymś, co nazywał Szczeliną. Czymś w rodzaju luki w Długiej Ziemi. To było miejsce dla kosmicznych kadetów, przynajmniej tak wydawało się Frankowi, który z początku prawie nic nie zrozumiał.

I wtedy Eames pokazał mu fotografię statku kosmicznego.

Najbardziej dla Jansson uderzającym spostrzeżeniem podczas tej krótkiej wycieczki nie była technika kosmiczna ani hobbystyczni robotnicy, ale trolle. Były wszędzie; pracowały w fabrykach obok niezgrabnych robotów montażowych, przenosiły w różne strony ciężkie ładunki – na przykład tajemnicze struktury z cegieł, łuki i segmenty kopuł. W jednym miejscu wyraźnie mieszały i wylewały beton, budując coś, co najwyraźniej miało się stać rozległą płytą, zapewne platformą startową. Ta grupa akurat śpiewała przy pracy i Jansson usłyszała cichą pieśń, rondo oparte chyba na starej piosence popowej z tekstem o tym, że ktoś chce być astronautą, najszybszym z ludzi… Niewątpliwie nauczyły się jej od miejscowej populacji nerdów.

Frank Wood nie wspomniał nawet o trollach, jakby były dla niego niewidzialne.

Po wycieczce zaprowadził ją do czegoś w rodzaju surowej kawiarni pod gołym niebem, obok tego odwróconego silnika rakietowego. Jansson usiadła z ulgą.

– To prawdziwy ośrodek lotów kosmicznych – powiedział. – Jestem pewien, że już to pani odkryła. Ale tutaj znaleźliśmy się na wyjątkowej pozycji, tuż obok Szczeliny. Nasza praca nie przypomina niczego, co robiono do tej pory.

Instynktownie lubiła Franka Wooda, ale szybko zaczęły ją męczyć te chłopięce przechwałki.

– Wszystko to wydaje mi się dość proste. Muszę tylko zrobić jeden krok dalej i będę w przestrzeni kosmicznej. Tak?

– To prawda. – Kiwnął głową. – W próżni. Oczywiście, zaraz by pani zginęła, gdyby nie miała na sobie skafandra ciśnieniowego. Ponadto leciałaby pani w przestrzeni z prędkością setek kilometrów na sekundę.

– Naprawdę? – Spróbowała wyobrazić sobie dlaczego, ale bez skutku.

– Chodzi o rotację Ziemi – wyjaśnił. – Tej Ziemi. Jeśli człowiek stanie na równiku,

porusza się dookoła z prędkością półtora tysiąca kilometrów na godzinę. Grawitacja utrzymuje go w miejscu, ale tutaj. Przekroczy dalej i grawitacja znika, ale człowiek zabiera ze sobą ten pęd. To tak jakby ktoś zakręcił nim w górze na sznurku, ten sznurek się urwał, a on by odleciał w przestrzeń. Oczywiście, jeśli będziemy sprytni, możemy wykorzystać ten wektor, ale zwykle tylko przeszkadza. Jedyne punkty stałe znajdują się na biegunach, lecz praca tam nie jest wygodna. Dlatego znajdujemy się tutaj, na stosunkowo wysokiej szerokości geograficznej, w Anglii. Im dalej na północ, tym lepiej. Albo na południe, oczywiście.

– Oczywiście – powtórzyła niepewnie Jansson.

– Co jest wbrew logice podczas startu z Podstawowej, gdzie im niższa szerokość, tym lepiej, bo chcemy, żeby ta rotacja dała dodatkowe pchnięcie. Tutaj chodzi o to, żeby przekroczyć w statku kosmicznym. – Wskazał kapsułę, którą zauważyła wcześniej, podobną do modułu dowodzenia Apollo, tylko na czterech nogach. – To jest nasz prom. Zaadaptowana technologia twainów, ale wbudowana w kapsułę przerobioną z „Dragona" SpaceX-u. Wszystkie części z żelaza i stali są usunięte, jasne? Trzeba przekroczyć w Szczelinę… wybiera się tylko właściwą porę dnia, kiedy obrót Ziemi doprowadza nas w odpowiednie miejsce. Prom odpala silniki, żeby wyhamować prędkość obrotową i doprowadzić do stanu względnego spoczynku. A potem się dokuje przy Ceglanym Księżycu.

– Przy czym?

– Tak nazywamy stałą stację kosmiczną, jaką budujemy w miejscu położenia Ziemi, w Szczelinie. Cegły i cement łatwo tu przygotować, łatwo przekroczyć z dużymi segmentami, pod warunkiem że użyjemy zaprawy i materiałów, które wytrzymają warunki próżni. Nawet trolle potrafią wytwarzać duże sekcje konstrukcji.

Po raz pierwszy w ogóle wspomniał o humanoidach.

– Stacja będzie czymś w rodzaju plastra miodu, pękiem subsfer o łącznej średnicy sześćdziesięciu metrów. Szybka i brudna robota, ale możemy tu robić, co chcemy, co tylko się da przenieść. Nie musimy wciskać tego w stożek dziobowy przerobionego pocisku balistycznego i poddawać wielokrotnym przeciążeniom… Ceglana konstrukcja nie jest hermetyczna, lecz w jej ramach możemy wstawić pompowane powłoki albo ceramikę. Kiedy już skończymy, właśnie stamtąd będą startować nasze misje kosmiczne. – Wskazał odwróconą dyszę. – Pewnie poznaje pani tę zabawkę?

– Chciałabym powiedzieć, że tak – odparła.

– To przebudowany S-IVB. To znaczy trzeci stopień Saturna V. Wie pani, dawnej rakiety księżycowej. Stara technologia, ale niezawodna jak diabli. Ten służy tylko do testów, lecz próbujemy go wykonać z materiałów przekraczalnych. Na tym polega całe piękno Szczeliny. Na Podstawowej potrzebna jest rakieta wielkości Saturna V, żeby przenieść ludzi na Księżyc i z powrotem. Zgadza się? Bo trzeba się wyrwać z ziemskiej grawitacji. W Szczelinie wszystko, co potrzebne, żeby dolecieć gdziekolwiek, nawet na Marsa, nie jest większe od tego. Wystrzeliliśmy już próbną sondę na Wenus, statkiem, który nazwaliśmy „Zimorodek". W przyszłości chcemy spróbować rakiet jądrowych, które dają o wiele wyższe delta-fał. To znaczy…

– Wierzę! Wierzę!

Popatrzył na nią zaskoczony, a potem się roześmiał.

– Myślę, że się dogadamy, porucznik Jansson. Przepraszam, wiem, że daję się ponieść. Ale… czytała pani kiedyś Roberta Heinleina? W zasadzie jest tu trochę jak u niego. Naprawdę można za domem zbudować rakietę i polecieć na Marsa. Czy można tego nie kochać? Wszystkie te światy są nasze, łącznie z Europą… Przepraszam, to jeszcze jedno nerdowskie odwołanie.

Zastanowił się.

– Pani Jansson, pamiętam, po co przyszła pani aż tutaj. Proszę źle nie myśleć o chłopakach. Bo to zwykle naprawdę chłopcy, w dużej części brak im dobrych manier, mają swego rodzaju obsesję. Wielu cierpi prawdopodobnie na jakieś zaburzenia osobowości. Ale mają serca na właściwym miejscu, ogólnie biorąc. Wobec trolli często zachowują się bezmyślnie, lecz nie są świadomie okrutni. – Nagle jakby pomyślał o czymś innym. – A spotkała pani kiedyś

kogoś naprawdę złego? Służyłem w lotnictwie. Sporo widziałem na dalekich misjach.

– Byłam policjantką – odparła.

Popatrzył na nią i uśmiechnął się szeroko.

– „Byłam”? Więc kiedy machnęła pani odznaką, porucznik Jansson…

– No dobra, złapał mnie pan. Przy okazji, jestem Monica.

Uśmiechnął się szerzej.

– Monica…

Zbliżył się jakiś człowiek w czapeczce z Bartem Simpsonem.

– Pani jest porucznik Jansson?

– To ja.

– Pani koleżanka, Sally Linsay, przysłała mnie po panią. Aha, i kazała przekazać wiadomość.

– Jaką wiadomość?

– Trolle zniknęły.

– To wszystko?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Idzie pani czy nie?

ROZDZIAŁ 35

Dotarli do budynku administracyjnego, gdzie Sally czekała na nią i – Jansson nie była pewna, jak tego dokonała – w ciągu trzydziestu sekund zdołała spławić Barta Simpsona. Potem obie ruszyły szybko przez ciasne, słabo oświetlone korytarze z nierównymi ścianami.

Mijały biura, pracownie, laboratoria, a nawet rodzaj centrum komputerowego. Kilka osób zerknęło na nie, z zaciekawieniem albo bez, ale nikt nie zastąpił im drogi i nie stawiał żadnych pytań. Musieli tu być przyzwyczajeni do obcych. Jansson odnosiła wrażenie, że naprawdę mają do czynienia z luźną organizacją, z grupą fanów, którzy pracują razem – ludźmi, którzy przychodzą i odchodzą, tak jak skłania ich własny entuzjazm i życiowe obowiązki. Nie mieli żadnej ochrony.

Dotarły do schodów prowadzących w dół, do podziemnego kompleksu, prawdziwego labiryntu korytarzy i pokojów. Jansson przypomniała sobie, co Fred mówił o bezpiecznych pomieszczeniach, a także własne spekulacje, czemu Mary nie przekroczyła, by uciec swym dręczycielom. Trzymanie jej pod ziemią to najprostsze rozwiązanie; wtedy w ogóle nie mogłaby przekraczać.

Po chwili, gdy zagłębiały się w labirynt coraz dalej, Jansson usłyszała muzykę, szarpaną i nieharmoniczną.

– No więc trolle zniknęły – powiedziała. – Co to ma znaczyć?

– Właśnie to – odparła Sally. – Nie stąd akurat, stąd jeszcze nie, ale mogę się założyć, że ten odpływ już się zaczął. Tutaj, jak i wszędzie indziej, opuszczają Długą Ziemię w całości. Słyszałaś o długim wołaniu? Wszystkie trolle wszędzie dzielą się informacjami. No i wydaje się, że doszło do punktu zwrotnego.

– Punktu zwrotnego w czym?

– W stosunkach z ludźmi. W naszych relacjach. I teraz na całej Długiej Ziemi odchodzą… porzucają ludzkie kolonie, a nawet, wydaje się, każdy świat, gdzie znalazła się znacząca liczba ludzi. Rozumiesz, one nie są tępymi zwierzętami. Uczą się i modyfikują swoje zachowania. I teraz nauczyły się o nas wszystkiego, co chciały wiedzieć.

Jansson z trudem to pojmowała; nie mogła ogarnąć umysłem zdarzenia o takiej niezwykłości i takiej skali.

– Dokąd odchodzą?

– Nie wiadomo.

Jansson nie próbowała nawet pytać Sally, skąd to wie. Sama widziała, jak jej towarzyszka umie się poruszać po Długiej Ziemi. Wiedziała też, że jest w jakiś sposób zestrojona z trollami i ich długim wołaniem. Dla Jansson Sally była jak amatorskie wcielenie jakiejś wszechobecnej agencji wywiadowczej czy dominującej korporacji, może jak ta Blacka. To jasne, że miała informacje, co się dzieje na wszystkich światach.

Jansson domyślała się też, że sprawa trolli leży Sally na sercu – zresztą inaczej by ich tu nie było. Dlatego następne pytanie zadała bardzo ostrożnie:

– Czy to naprawdę ważne?

Sally skrzywiła się, ale pozostała uprzejma.

– Tak, to ważne. Jeśli o mnie chodzi, trolle są Długą Ziemią. Jej duszą. A także integralną częścią jej ekologii. Nie wspominając już o tym, jakie są wściekle użyteczne. Tej jesieni na tysiącu rolniczych światów bez pracy trolli będą mieli kłopoty ze zbiorami.

– A zatem – oświadczyła Jansson – oczywiście to właśnie my musimy coś w tej sprawie zrobić.

– Oczywiście. – Sally uśmiechnęła się posępnie.

– Zaczynając od czego?

– Zaczynając tutaj. To jest to miejsce…

Stanęły przed drzwiami z ręcznie wymalowanym żartobliwym plakatem: KOSMICZNE

WIĘZIENIE. Nieharmonijna muzyka, jeśli można ją tak określić, płynęła ze środka – ostra, nieprzyjemna, aż Jansson musiała zapanować nad odruchem, by zatkać sobie uszy. Kiedy zajrzała przez judasz w drzwiach, zobaczyła skuloną w kącie potężną samicę trolla, przygarbioną i nieruchomą, ale otoczoną aurą nieszczęścia. W pokoju poza nią nie było nic, tylko miska z wodą.

– Mary – szepnęła Jansson.

– Nasza bohaterka. „Nie dam". – Mówiąc to, Sally wykonała znak migowy.

– Jesteśmy pod ziemią… – Przypomniała sobie, co mówił Frank. – Ale jesteśmy obok Szczeliny. Z jednej wykrocznej strony mamy litą skałę, ale z drugiej nie. Czyli mogłaby przekroczyć w próżnię, jak sądzę, żeby spróbować dosięgnąć szczeniaka. Nie jest przykuta, prawda?

– Nie wydaje mi się. Ale musi instynktownie bać się próżni. Poza tym używają tych dźwięków, żeby ją zdezorientować i pogorszyć samopoczucie. Powinnaś pogadać z Garethem Eamesem, który tu wszystkim kieruje. To Brytyjczyk. Co za bydlak… Z jakiegoś powodu serdecznie nienawidzi trolli. Ma wykształcenie w akustyce i mówi, że podczas pierwszego kontaktu z nimi odkrył, jak je odpędzać takimi dysonansami. Teraz zrobił z tego broń. Ale trzyma tu coś jeszcze. Chodź zobacz.

Kawałek dalej stanęły przed kolejnymi zamkniętymi drzwiami, tym razem z małym okienkiem. Jansson zajrzała do środka i zobaczyła coś w rodzaju prymitywnego pokoju dziecinnego, a może raczej klatki szympansów w zoo, z drabinkami, linami i dużymi, prostymi zabawkami. W środku siedział samotny trollowy szczeniak i bez entuzjazmu bawił się wielką plastikową ciężarówką. Miał na sobie dziwny srebrzysty kombinezon, tylko głowa, dłonie i stopy pozostały odkryte.

– Dziecko Mary.

– Tak – potwierdziła Sally. – Dozorcy nazywają go Hamem. Widzisz, co tutaj robią. Ma na sobie jakiś eksperymentalny skafander ciśnieniowy. Widziałaś film. Chcieli szczeniaka użyć jako obiektu doświadczalnego.

– Nie chcieli go skrzywdzić…

– Nie. Ale Mary musiała jakoś wyczuwać niebezpieczeństwo, na jakie chcą go narazić, bo Szczelina to miejsce, którego trolle z pewnością unikają. Dlatego się sprzeciwiła.

Jansson zdążyła już nieźle poznać Sally.

– Masz już jakiś plan, zgadza się?

– Będziemy miały tylko jedną szansę.

Spodziewając się – i obawiając – odpowiedzi, Jansson spytała:

– Szansę, żeby co zrobić?

– Wyrwać je stąd. Zabierzemy dzieciaka do matki, potem przekroczymy…

– I co dalej?

– Uciekamy. Ukrywamy się gdzieś, dopóki nie znajdziemy odpowiedniego schronienia. Może tam, gdzie odchodzą wszystkie trolle.

– Wiedziałam, że coś takiego powiesz.

– A ja wiem, że mi pomożesz – powiedziała Sally z uśmiechem. – Wszystkie gliny chcą choć raz w życiu przejść na ciemną stronę, prawda?

– Nie.

– Zresztą jesteś mi potrzebna, Jansson.

– Do czego?

– Na początek żeby otworzyć te drzwi. Jesteś gliną, na pewno potrafisz. Ale nie wiem, ile mamy czasu. Umiesz to otworzyć czy nie?

Jansson umiała. I otworzyła. I zdecydowała.

ROZDZIAŁ 36

Trzy tygodnie po wyczynie Sally, kiedy wieści o nim przesączyły się przez outernet na Ziemię Podstawową, Lobsang zaprosił Joshuę na spotkanie twarzą w twarz. Ich pierwsze od lat, tak naprawdę pierwsze od pogrzebu siostry Agnes.

Lobsang…

Jak to miał w zwyczaju, Joshua zastanawiał się przez całą dobę.

A potem niechętnie się zgodził.

Kompleks Instytutu transEarth, gdzie go skierowano, parę kilometrów od cienia Madison na Ziemi Zachodniej 10, okazał się niską, kanciastą i rozległą budowlą z kamienia i drewna, typową dla wszechobecnej architektury Niskich Ziemi. Wyrastał przy opuszczonej drodze przecinającej preriową równinę. Oczywiście, Lobsang założył swoje biura w częściowo należącej do niego spółce zależnej Korporacji Blacka w wykrocznym Madison, by być blisko Agnes i Domu. I choć była to Niska Ziemia, tworzyła inny świat, z odrobinę odmiennym przedwieczornym niebem. Na Podstawowej w taki czerwcowy dzień byłoby zabarwione na pomarańczowo i szaro, pięknymi, ale toksycznymi kolorami spalania. Tutaj miało barwę głębokiego i nieskazitelnego błękitu. Ta względna pustka i niezwykła czystość tak blisko Podstawowej na nowo wzbudziły u Joshuy poczucie ogromu tego korytarza światów, jakim była Długa Ziemia.

Wewnątrz znalazł typowy biurowy rozgardiasz: zwodniczo niewygodne krzesła, krzywe fikusy i rozpaczliwie uprzejmą młodą kobietę, która zanim pozwoliła mu przejść, zrobiła chyba wszystko oprócz prześwietlenia jego płuc. Zdawało się, że w każdym rogu korytarza jest kamera, a wszystkie obserwują go bezustannie. W końcu automatyczne drzwi otworzyły się samodzielnie i skierowały go do korytarza o białych ścianach. Następna kamera obróciła się, by go śledzić, a oko jej obiektywu migotało paranoją.

Drzwi na drugim końcu także się otworzyły i stanęła w nich młoda kobieta.

– Pan Valienté? Tak się cieszę, że udało się panu dotrzeć.

Była niską ciemnowłosą Azjatką i nosiła największe okulary, jakie Joshua w życiu widział. Wyciągnęła rękę.

– Nazywam się Hiroe. Witamy w transEarth. Powinien pan nosić ten identyfikator.

Wręczyła mu smyczkę, na której wisiał identyfikator z nazwą transEarth, jego nazwiskiem, zdjęciem, logo konia szachowego i jakimś kodem, który mógł zawierać cokolwiek, od rozmiaru buta po sekwencję DNA.

– Proszę to nosić przez cały czas, inaczej nasze roboty strażnicze porażą pana z laserowych oczu. Żartowałam.

– Doprawdy?

– Oczywiście. Może to pana zaciekawi, ale już teraz kosztował pan Selenę Jones jednego dolara. Pamięta pan Selenę?

– Pamiętam Selenę. Czy nadal jest prawnym opiekunem Lobsanga?

– Pod pewnymi jurysdykcjami, owszem. Założyła się ze mną, że pan nie przyjdzie, nie odpowie na wołanie Lobsanga o pomoc.

– Tak uważała?

– Ale ciekawość to wspaniałe uczucie, prawda?

Ciekawość i durne resztki lojalności, pomyślał.

– Tędy proszę.

Hiroe wprowadziła Joshuę do przestronnego, niskiego pokoju z szerokimi oknami wychodzącymi na prerię. Wszędzie stały monitory, a na biurku leżała wytarta klawiatura; blat biurka z dębowego drewna miał grubość piętnastu centymetrów. Taki gabinet mógł należeć do kogoś, kto lubi swoją pracę i nie robi prawie nic oprócz pracy.

Bardziej zaciekawiła Joshuę podłużna kamienna donica przed jednym z okien. Rosły

w niej kapturnice – wysokie na półtora metra, bladozielone z czerwonymi i białymi żyłkowaniami. Skupiały się blisko siebie, jakby łączyła je jakaś tajemnica; budziły nieprzyjemne wrażenie, że nie tylko prądy powietrzne nimi poruszają.

– *Sarracinea gigantica* – powiedziała Hiroe. – Mięsożerne, wie pan.

– Wyglądają na takie. Kiedy jest pora karmienia?

Zaśmiała się ślicznie.

– Jedzą tylko owady. Wydzielają nektar, zatrutą przynętę, która ma interesujące możliwości komercyjne. Oryginalne nasiona dostaliśmy z jednej z wykrocznych alternatyw.

– Których?

– Nie jest pan w stanie nawet rozpocząć negocjacji w sprawie kupna tej informacji – odparła uprzejmie i wskazała mu fotel. – Jedną chwilę, jeśli można, muszę przepuścić pańskie dane przez ostatnie etapy ochrony. – Stuknęła w klawisz. – Tutaj, w transEarth, tym się właśnie zajmujemy. Kupujemy i sprzedajemy komercyjnie użyteczną informację.

Czyli nie był to tylko opłacany przez Blacka dziecięcy kojec dla Lobsanga, pomyślał cynicznie Joshua. Pewnie dla Douglasa Blacka to typowe, że wymaga zysków.

– Gotowe. Jest pan w systemie. Proszę przez cały czas nosić identyfikator. Jest pan gotów na spotkanie z Lobsangiem?

Hiroe wyprowadziła go z budynku i ruszyli przez kompleks. Zapadał już zmierzch, na tym świecie, jak i na wszystkich innych. Kilka latarni skrzyło się na horyzoncie, a słońce wisiało nisko.

Ale w powietrzu unosił się lekki zapach siarki. W dzisiejszych wiadomościach podano, że tutejsza kopia Yellowstone jest nieco bardziej niespokojna niż większość jego braci. Pojawiały się informacje o drzewach zatrutych przez kwaśne wycieki. W cieniu Yellowstone na większości Niskich Ziemi najwyraźniej trwało jakieś geologiczne wzburzenie. Na samej Podstawowej nastąpiła eksplozja, wskutek której zginął nieszczęsny młody strażnik, niejaki Herb Lewis. Naukowcy podkreślali, że to nie była erupcja wulkaniczna, ale zjawisko hydrotermiczne, wybuch uwięzionej i przegrzanej wody. Przypadek w niewielkiej skali… Niewielkiej? Nawet tutaj, daleko od Yellowstone, czuł zapach tego przypadku w niewielkiej skali na tym świecie. Pamiętał obłąkańca od apokalipsy, który zaczepił ich na lądowisku twainów na Podstawowej, opowiadając o ogniu i siarce z Yellowstone, i poczuł lekkie ukłucie niepokoju.

Hiroe usiadła na ławie wyciętej z jednej wielkiej kłody drewna.

– Proszę. Zaczekamy tu na Lobsanga.

Joshua usiadł sztywno.

– Denerwuje się pan przed ponownym spotkaniem?

– To nie nerwy… Skąd pani wie?

– Och, drobiazgi. Zaciśnięte zęby, pobielałe kostki palców…

Joshua się zaśmiał. Ale też rozejrzał, nim odpowiedział:

– Czy on może nas tutaj słyszeć?

Pokręciła głową.

– Właściwie nie. Tutaj jego możliwości są ograniczone. Siostra Agnes uważa, że dla niego lepiej, by nie był wszechmocny przynajmniej w jednym miejscu na świecie. Czy też światach. Jak pan myśli, czemu pana tu przyprowadziłam, zanim poruszyłam ten temat? Nie chcę urażać jego uczuć.

– Jest pani kimś więcej niż pracownikiem, prawda?

– Myślę o sobie jako przyjaciółce. On jest wszędzie, a jednak jest bardzo samotny, panie Valienté. Naprawdę potrzebuje przyjaciół. Zwłaszcza pana…

Przez zmierzchający dzień zbliżył się starzec – takie było pierwsze wrażenie Joshuy: szczupły, wysoki, z ogoloną głową, ubrany w luźną pomarańczową szatę. Stopy w sandałach miał brudne; niósł coś jakby grabie.

Joshua wstał.

– Witaj, Lobsangu.

Hiroe uśmiechnęła się i odeszła z gracją.

– Najpierw to, co ważne – rzekł Lobsang. – Dziękuję, że przyszedłeś.

Twarz tej konkretnej jednostki mobilnej przypominała Joshui niektóre kostiumy, ciała, jakie Lobsang nosił wcześniej. Pozwolił sobie jednak, by się zestarzeć – a w każdym razie, pomyślał Joshua, zaprogramował jakiś zestaw nanofabrykatorów, by wyryły zmarszczki i napompowały fałdy, nadając mu wygląd człowieka po sześćdziesiątce. Szedł przygarbiony, poruszał się wolno, dłonie ściskające grabie miały trochę opuchnięte stawy i skórę z plamami wątrobowymi. Oczywiście, wszystko to było oszustwem. Wszystko w Lobsangu było oszustwem i człowiek musiał stale sobie o tym przypominać. Ale i tak było to oszustwo imponujące; jeśli Lobsang postanowił zagrać starego mnicha, dbał o poprawność każdego szczegółu, aż do postrzępionego skraju pomarańczowej szaty.

Joshua, stanowczo niewzruszony, nie miał ochoty na zbędne pogawędki.

– Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać? Z powodu tego numeru, jaki wykręciła Sally?

– W zmowie z twoją starą przyjaciółką, porucznik Jansson z madisońskiej policji. Zmowa… – powtórzył, z wyraźną przesadą formując wargami kolejne sylaby. – Piękne słowo. Od razu się kojarzy z tajnymi spiskami i intrygami. Tak, pięknie brzmi. Ale do rzeczy. O czym to ja… A tak, Sally Linsay. Owszem, ta jej ucieczka z trollicą Mary i jej szczeniakiem trafiła do wiadomości w licznych światach.

– Jakbym nie wiedział – mruknął smętnie Joshua.

Dzięki staremu nagraniu z powrotu „Marka Twaina" i intensywnemu użyciu programów rozpoznawania twarzy był teraz powszechnie znany jako towarzysz Sally. Media nie dawały mu spokoju – dziennikarze, ale także grupy broniące rozmaitych stanowisk w kwestii trolli i związanych z nimi problemów.

– Wyczyn Sally spowodował, że sprawa trolli i ich relacji z ludźmi trafiła na szczyty list wiadomości. Ale kryzys dojrzewał już od pewnego czasu. Z pewnością jesteś tego świadom. I teraz trolle zaczęły własne działania. Działania mające groźne skutki dla nas wszystkich.

– Słyszałem. Trolle wynoszą się ze wszystkich światów, tak?

Lobsang się uśmiechnął.

– Pozwól, że ci pokażę. A raczej moje trolle ci pokażą.

– Twoje trolle?

– Jest takie nieduże stado o kilkanaście kroków stąd. Moja posiadłość tutaj rozciąga się na parę sąsiednich światów. – Wyciągnął rękę, jakby zapraszając. – Pójdziemy?

Grupa składała się z mniej więcej dwudziestu trolli. Samice iskały się leniwie w cieniu rozłożystego drzewa – w tym szczególnym świecie wczesny wieczór był wyjątkowo ciepły. Szczeniaki bawiły się, kilka młodych samców przepychało się raczej przypadkowo, a na samym obrzeżu grupy dorosłe samce migotały, znikając i pojawiając się znowu. Ale kiedy trolle pracowały, bawiły się czy drzemały, cały czas śpiewały żywą piosenkę przeplataną złożonymi harmoniami pohukiwań, melodii powtarzanej w kanonie, aż tworzyła niekończące się rondo.

Lobsang poprowadził Joshuę do niewielkiego ogrodzonego parku. Stało tam kilka ławek i fontanna. Ziemię pod kilkoma drzewami porastał mech – nie trawa, ale mech, w nisko wiszącym słońcu jarzący się jaskrawą zielenią.

– Usiądź, jeśli chcesz. Możesz się napić wody – powiedział Lobsang. – Jest czysta, prosto ze źródła. Wiem dobrze, bo muszę czyścić rury.

Sztywno ukląkł i na czworaka zaczął pełznąć po mchu, wyrywając samotne źdźbła trawy, jakby pielił chwasty.

– *Czysta mocna górska rosa* – powiedział.

– Nie rozumiem.

– To tytuł piosenki, którą śpiewają trolle. Starej irlandzkiej pieśni ludowej. Wiesz, że poprzez to, co śpiewają, można oznaczyć czas pierwszego kontaktu dowolnego stada trolli z ludźmi? W tym przypadku to późny dziewiętnasty wiek. Pamiętasz szeregowego Percy'ego? Przeprowadziłem już wstępnie takie ćwiczenia, wynikiem jest coś w rodzaju mapy naturalnych przekraczających z ery przed Willisem Linsayem. Choć oczywiście nie zawsze da się prześledzić własne wędrówki trolli.

– Co miałeś na myśli, mówiąc o „swoich” trollach, Lobsangu?

Przesunął się naprzód i dalej cierpliwie oczyszczał mech.

– Takie powiedzenie. Znalazłem to stado w świecie Pasa Uprawnego. Jak najlepiej umiałem, poprosiłem ich, żeby przyszły tu za mną. Są też inne grupy. Oczywiście, nie są to moje trolle, tak jak Shi-mi nie była moim kotem na „Marku Twainie”. Ale stworzyłem dla nich rezerwat, tutaj i na sąsiednich światach, wiele hektarów powierzchni i wiele światów głębokości. Nie dopuszczałem tu ludzi i zrobiłem wszystko, by trolle, to i inne stada, dobrze się tu czuły. Próbowałem je badać. Sam wiesz, że starałem się zrealizować ten projekt od wielu lat, od naszej wyprawy na „Twainie” i wizyty w Szczęśliwym Porcie. Tutaj mogę je obserwować w warunkach przypominających ich naturalne środowisko.

– I to jest powód twojej pokornej postawy, tak? Ty, nadludzka jaźń obejmująca dwa miliony światów, zniżasz się do pełzania po mchu?

Lobsang uśmiechnął się, nie zakłócając rytmu swoich ruchów.

– Prawdę mówiąc, tak, to pomaga z trollami. Moja obecność jest stała, ale nie budzi lęku. Ale nie używałbym sformułowań w rodzaju „zniżasz się”. W każdym razie nie przy siostrze Agnes. Jej zdaniem rozwijam swoją osobowość.

– Aha… Czyli to był jej pomysł?

– Mówi, że woda sodowa zaczęła mi uderzać do głowy.

– Rzeczywiście, brzmi to jak słowa Agnes.

– Jeśli chcę być częścią ludzkości, muszę być w tej ludzkości zanurzony. Czyli: na ziemię, na sam dół łańcucha pokarmowego, że tak powiem.

– A ty na to poszedłeś?

– Wiesz, nie byłoby sensu robić sobie tylu kłopotów przy wskrzeszeniu tej kobiety, gdybym nie miał słuchać jej rad. Prawda? Dlatego uznałem, że jej potrzebuję, Joshuo. Albo kogoś takiego jak ona. Kogoś posiadającego rozsądek i autorytet moralny, żeby szeptać mi do ucha, budząc wątpliwości.

– To działa?

– Z całą pewnością wiele się nauczyłem. Na przykład jak mało ozdobny wydaje się ozdobny ogród, jeśli samemu trzeba zamiatać liście. Jak używać miotły, co wymaga pewnej oburęcznej sprawności i tak jakby trwałej strategii oszczędzania energii. I to zadziwiające, ile kątów odkrywa człowiek na świecie. Może to jakiś wszechwymiarowy paradoks? Ale są prace, które lubię szczególnie. Karmienie karpi. Przycinanie drzew wiśniowych…

Joshua wyobraził sobie, jak Agnes zrywa ze śmiechu swoje reinkarnowane boki, ale jemu nie było specjalnie wesoło.

Lobsang zauważył jego znieruchomienie.

– Ach… Dawny gniew wciąż płonie, jak widzę.

– A czego się spodziewałeś?

To było dziesięć lat temu, kiedy wrócił z wyprawy z zaginionym awatarem Lobsanga, wyprawy do rubieży Długiej Ziemi. I znalazł Madison zmienione w dymiące ruiny przez fanatyka z plecakowym ładunkiem jądrowym. Od tego czasu ledwie potrafił się zmusić, by się do Lobsanga odezwać.

– Wciąż wierzysz, że mogłem to powstrzymać – powiedział łagodnie Lobsang. – Ale przecież nawet mnie tam nie było. Byłem z tobą.

– Nie cały ty…

Lobsang, z natury będąc osobowością rozproszoną, zawsze twierdził, że jego esencja wyruszyła z Joshuą w dalekie wykroczne światy – i to jego kluczowe jądro nie powróciło. To, z czym Joshua w tej chwili rozmawiał, było innym Lobsangiem, innym jądrem osobowości, częściowo zsynchronizowanym z rezydualną kopią z „Marka Twaina” dzięki bankom pamięci, jakie Joshua przyniósł z powrotem. Inny Lobsang – nie ten sam, nie ten, którego znał Joshua i który prawdopodobnie nadal istniał daleko stąd. Ale Lobsang był świadkiem zniszczenia Madison i nic nie zrobił.

– Nawet wtedy, kiedy powrócił „Twain”, dziesięć lat temu, byłeś… – Joshua szukał

odpowiedniego słowa. – Byłeś immanentny. Przesycałeś cały świat. Tak przynajmniej twierdziłeś. I pozwoliłeś tym wariatom wejść do miasta z bombą, pozwoliłeś Jansson i innym glinom biegać i ich szukać, a przez cały czas…

Lobsang kiwnął głową.

– Przez cały czas mogłem zwyczajnie pstryknąć palcami i skończyć tę awanturę. Tego byś chciał?

– Przecież mogłeś. Więc czemu tego nie zrobiłeś?

– A wiesz, przez całe wieki ludzie to samo pytanie zadawali chrześcijańskiemu Bogu. Jeśli jest wszechwiedzący i wszechmocny, dlaczego pozwala cierpieć choćby jednemu dziecku? Tylko że ja nie jestem bogiem, Joshuo…

– Za to lubisz się tak zachowywać – parsknął niechętnie Joshua. – Czy nosisz te grabki i sandały, czy nie…

– Nie potrafię zajrzeć w ludzkie dusze. Widzę tylko to, co na powierzchni. Czasem odkrywam, że nawet sobie nie wyobrażałem, co kryje się wewnątrz, kiedy wreszcie ujawni się to poprzez słowa lub działania. Ale nawet gdybym mógł powstrzymać tych zamachowców, czy powinienem? Jakim kosztem? Ilu kazałbyś mi zabić, by nie dopuścić do akcji, która pozostałaby czysto hipotetyczna? Co byś wtedy o mnie myślał? Ludzie mają wolną wolę, Joshuo. Bóg nie chce, a ja nie mogę ich powstrzymać od krzywdzenia siebie nawzajem. Myślę, że powinieneś porozmawiać o tym z Agnes.

– Dlaczego?

– Z jej pomocą może znajdziesz we własnej duszy zdolność wybaczenia mi.

Joshua pomyślał, że nigdy mu się to nie uda. Ale wiedział, że powinien zostawić tę sprawę. Z trudem skoncentrował się na obecnej sytuacji.

– No więc trolle. Czego się o nich dowiedziałeś?

– Och, wielu rzeczy. Na przykład o ich prawdziwej mowie. Nie ma nic wspólnego z tymi prymitywnymi znakami i wskazywaniem na obrazek, z tym pidżinem, jaki ludzie im narzucają, kiedy chcą wydawać polecenia.

– Nawet wtedy to całkiem bogaty język, Lobsangu. Wszędzie można zobaczyć filmik z Mary, kiedy mówi „Nie dam". Wszędzie: na plakatach, w graffiti, w sieci, nawet na animowanych koszulkach.

– To prawda. Ale to nieodpowiedzialne dla podatkowych buntowników z Walhalli, by łączyć swoją symbolikę z tą ze sprawy trolli. To dwa oddzielne konflikty, z których każdy obejmuje całą Długą Ziemię. – Lobsang przysiadł na piętach, przekonująco spocony. – Wiesz przecież, że w sercu prawdziwej mowy trolli jest muzyka. Z pewnością to dla ciebie żadna niespodzianka, Joshuo. Po kontakcie z ludźmi przejmują nasze pieśni, ale robią z nich własne, splatają nieskończone wariacje… Muzyka to dla nich sposób wyrażenia naturalnych rytmów ciał, od uderzeń serca, oddechu, okresowości kroków podczas marszu, może nawet iskrzenia neuronów w głowach. A rytmu pieśni używają do wskazywania czasu, kiedy chcą razem przekroczyć albo polować. Wiesz, Galileusz też tego próbował.

– Galileusz?

– Używał muzyki jako swego rodzaju zegara, by mierzyć upływ czasu we wczesnych eksperymentach mechanicznych. Ruch wahadła i tak dalej. No i oczywiście pieśni trolli niosą informację. Nawet pojedynczy dysonans może stanowić ostrzeżenie. Jest w tym zresztą coś więcej. Przyjrzyj się im teraz; myślę, że planują polowanie…

Migotanie przekraczających trolli wokół zasadniczej grupy stawało się bardziej intensywne. Powracające trolle dodawały nową linię do rozbrzmiewającej harmonijnie pieśni, głośno albo cicho; pieśń jako całość ewoluowała, adaptowała się, a kolejni przekraczający reagowali.

– W całym rezerwacie umieszczam dla nich pożywienie – mówił Lobsang. – To znaczy w wykrocznych światach. Plastry miodu albo zwierzęta do polowania, sarny, króliki… Stado działa jak wyszukujący jedzenie pojedynczy organizm. Przekraczający zwiadowcy rozbiegają się po światach i jeśli któryś z nich znajdzie obiecujące źródło pożywienia, powiedzmy stado saren, wtedy wraca i no… śpiewa o tym.

– W tej chwili oni ciągle śpiewają o tym, jak dobrze się upić irlandzkim bimbrem. O ile dobrze rozumiem.

– Centralna pieśń to tylko fala nośna, Joshuo. Wykonałem pewne analizy akustyczne. Pojawiają się wariacje rytmu, wysokości, nawet fazy poszczególnych urywków. W ten sposób przekazują informacje o tym, jak daleko jest jedzenie, jakiej jakości… Inni zwiadowcy odbierają je, ruszają sprawdzić i wracają z potwierdzeniem lub zaprzeczeniem. To dla stada efektywna metoda zbadania wszystkich możliwości. Często przechodzą na inną tonację albo do całkiem innej pieśni, by zasygnalizować jednomyślność. Wtedy przekraczają. W podobny sposób działają pszczoły. Kiedy muszą znaleźć nowe miejsce dla roju, wysyłają zwiadowców, którzy wracają i tańczą te dane.

Lobsang przyjrzał się stadu.

– Indywidualnie trolle nie są bardziej inteligentne od szympansów, ale wyewoluowały tak, by grupa mogła podejmować inteligentne i dojrzałe decyzje. Ale nie przypomina to procesu decydowania u ludzi ani demokracji. Nawet takiej demokracji, jaką praktykujecie na tych waszych odludziach. – Uśmiechnął się do Joshuy. – Słyszałem, że zrobili cię burmistrzem.

– Tak jakby.

– Pewnie była ostra walka, co?

– Och, daj spokój. Moim głównym zadaniem jest przewodniczenie zebraniom mieszkańców. Diabli Wiedzą Gdzie to społeczność dostatecznie mała, by wszyscy dorośli mogli się zebrać na publicznej łące i omówić wszystkie sprawy. Jako podręcznika parlamentarnych obrad używamy *Zasad porządku* Roberta.

– Bardzo po amerykańsku. Ale może w tej waszej praktyce jest coś ze zbiorowej mądrości trolli. Lepsze to niż narażać się na błędy pojedynczego i upartego przywódcy. Trolle prawie zawsze robią to, co należy, Joshuo, nawet jeśli stawiam przed nimi mocno skomplikowane zagadki.

– Nikt wcześniej tego nie zauważył?

– Nikt nie miał cierpliwości. Ludzie zawsze się skupiają na tym, co trolle dla nich robią. Nie na tym, czego trolle chcą. Ani co mogłyby robić.

– Jak to możliwe, że nasze szympansy, te na Podstawowej, tak się nie zachowują?

– Podejrzewam, że chodzi o ewolucyjną adaptację do przekraczania. Na Długiej Ziemi, gdzie twoje jedzenie może być całkiem blisko geograficznie, ale oddalone o kilka światów, niezbędne są całkiem inne strategie poszukiwania i współpracy. Zwiadowcy muszą wypatrzyć jedzenie i szybko wrócić z tą wiadomością, grupa musi zdecydować, by szybko wyruszyć albo nie… To środowisko wymusza skuteczny zwiad, precyzyjną i szczegółową komunikację oraz szybkie, dojrzałe podejmowanie decyzji. Tak jak widzimy tutaj. Ale w pieśni trolli jest coś więcej niż tylko reakcja na potrzeby chwili. Długie wołanie, które rozprzestrzenia się poprzez światy, to rodzaj zakodowanej wspólnej mądrości. Wołanie może trwać nawet miesiąc, nim zacznie się powtarzać; niesie też pasma ultradźwiękowe, całkiem dla ludzi niesłyszalne. I nie tylko: to jakby przekaz świadomości. Ludzie nie doświadczają niczego podobnego. Próbowałem długie wołanie zdekodować, ale możesz sobie wyobrazić, jakie to trudne. Robię pewne postępy; stworzyłem rozmaite prototypy czegoś w rodzaju zestawu translacyjnego.

– Jeśli ktokolwiek zdoła tego dokonać, to właśnie ty, Lobsangu.

– To prawda – przyznał Lobsang z satysfakcją. – Ale w tej chwili długie wołanie wibruje od złych wieści dla trolli. Złych z naszego powodu. Popatrz.

Wstał sztywno i uniósł ręce.

– Staram się badać trolle w ich stanie naturalnym. Tej grupie postawiłem jednak jedno kluczowe wymaganie: że w zamian za schronienie, jakie im daję, za ochronę przed ludźmi zostaną tutaj, dopóki ich nie uwolnię. Oczywiście tylko werbalnie; nic ich fizycznie nie ogranicza. Prosta sprawa.

– I…?

– I teraz, Joshuo, rzeczywiście ich uwolnię.

Klasnął w ręce. Raz, drugi…

Trolle przerwały śpiew. Zaprzestały też przekraczania, kiedy tylko wrócili zwiadowcy – i wszystkie głowy, z wyjątkiem najmniejszych noworodków, zwróciły się w stronę Lobsanga. A po kilku uderzeniach serca rozpoczęły nową pieśń, rytmiczną balladę.

– *Galway Bay* – szepnął Joshui Lobsang.

Trolle zaczęły przekraczać, najpierw matki z młodymi, na końcu dorosłe samce jako ochrona przed drapieżnymi elfami. W niecałą minutę wszystkie zniknęły, zostawiając tylko zdeptany kawałek ziemi.

Joshua zrozumiał.

– Odeszły z całą resztą, tak jak mówią raporty. Na całej Długiej Ziemi.

– To prawda, Joshuo. I o tym chciałem z tobą porozmawiać. Chodź, przejdziemy się. Zesztywniałem od tego pielenia…

Na prawie wszystkich światach czerwcowe nieba pozostawały czyste, słońca zachodziły równocześnie, jakby nurkowali pływacy synchroniczni, a mrok nadciągał delikatnie i powoli. Na którymś świecie sowa zahukała z powodów tylko jej znanych.

Lobsang opowiadał o trollach.

– Stały się kluczowe dla gospodarki całej ludzkości, w tym na Podstawowej, choćby i nie bezpośrednio. Dlatego korporacje, w tym Korporacja Blacka, naciskają, gdzie tylko mogą, by sprowadzić trolle z powrotem.

– Z powrotem do pracy.

– Tak. Istnieją również kwestie bezpieczeństwa. Gorsze od znikania trolli byłoby, gdyby na przykład uznano je za aktywne zagrożenie dla ludzkości, i jeśli sprowokuje to wspólną reakcję militarną… Tego musimy uniknąć.

Zamilkł, żeby Joshua miał czas przetrawić te słowa.

– Istnieją też inne, bardziej fundamentalne kwestie. Im dłużej obserwuję trolle, tym bardziej jestem przekonany, że są jednym z najważniejszych elementów ekologii samej Długiej Ziemi. Jak słonie na afrykańskich sawannach, istnieją od milionów lat i przez cały ten czas kształtują tereny, które zamieszkują, choćby zjadając tak wielką ich część. Sally Linsay mnie tego nauczyła. Studiowała trolle w stanie dzikim, na swój sposób i o wiele dłużej niż ja. Jeśli usuniesz z ekologii wielkie zwierzęta, może nastąpić efekt zwany kaskadą troficzną. Zniknięcie szczytu łańcucha pokarmowego powoduje destabilizację do samego dołu, załamania i eksplozje populacji, może też zwiększyć wydzielanie gazów cieplarnianych i tak dalej. Nastąpią nagłe wymierania i ekokatastrofy na całej Długiej Ziemi. A wszystko to przez nas.

– Jest z czego być dumnym – mruknął Joshua.

– Problem polega na tym, Joshuo, że trolle nie mają szczególnych powodów, by wracać. Przed Dniem Przekroczenia miały długie i bliskie kontakty z ludźmi. Traktowaliśmy je przyzwoicie, więc i one traktowały nas przyzwoicie.

Joshua znowu pomyślał o historii szeregowego Percy'ego Blakeneya, weterana z okopów pierwszej wojny światowej, zagubionego i oszołomionego w wykrocznym świecie, do którego nieświadomie przekroczył… Trolle pomagały mu przetrwać przez całe dziesięciolecia.

– Ale od Dnia Przekroczenia wszystko wyglądało inaczej. Wykorzystanie tego szczeniaka do eksperymentów w Szczelinie było tylko czubkiem góry lodowej.

– Wydaje mi się – oświadczył Joshua – że zdołamy skłonić trolle do powrotu, tylko jeśli potrafimy je przekonać, że będziemy je szanowali. Że posłuchamy, kiedy powiedzą „Nie dam", tak jak Mary. Taka koncepcja nie jest łatwa do przekazania humanoidowi…

– Wiem, że próbowałeś przekonać senatora Starlinga do kampanii prawnej ochrony trolli pod Egidą USA. Nawet to nie jest skromnym wyzwaniem.

– Tak, prawa ochrony zwierząt to labirynt.

– Nie tylko to, Joshuo. Przede wszystkim musielibyśmy zdecydować, czym są trolle.

– O co ci chodzi?

– O to, że nie bardzo się mieszczą w dawnych kategoriach, prawda? Kategoriach człowieka i zwierzęcia, rozróżnienia, dzięki któremu uważamy, że mamy władzę nad naturą. To trochę tak, moim zdaniem, jakbyśmy znaleźli grupę *Homo habilis*, osobników pomiędzy

człowiekiem a zwierzęciem. Nie noszą ubrań, nie znają pisma. Nie mają języka analogicznego do naszego. Nie używają ognia, choć *Homo habilis* prawdopodobnie używał. A jednak mają kilka bardzo ludzkich cech. Wykonują proste narzędzia: kije, kamienne siekierki. Łączą ich bardzo silne więzi rodzinne, zresztą właśnie dlatego tak łatwo jest schwytać matkę, jeśli ma się jej młode. Okazują współczucie, nawet ludziom. Posługują się własnym językiem, wykorzystują muzykę do komunikacji. I śmieją się, Joshuo. Śmieją się… Rozróżnienie człowieka i zwierzęcia jest tu decydujące. Zwierzę możesz posiadać na własność, możesz je bezkarnie zabić, pomijając słabe prawa zakazujące okrucieństwa. Nie można mieć na własność człowieka, w każdym razie w żadnym cywilizowanym społeczeństwie, a zabicie go to morderstwo. Czy zatem powinniśmy prawami człowieka objąć również trolle?

– Robimy to, mniej więcej. W Diabli Wiedzą Gdzie.

– Tak, ale jesteście tam normalniejsi od większości ludzi. Jednak podstawowym problemem jest, czy powinniśmy przyjąć je do naszej kategorii istnienia?

– Co stanowi wyzwanie dla naszej dumy, tak?

– Nie tylko – odparł Lobsang. – To wyzwanie dla naszego wyobrażenia o sobie. Są również tacy, którzy przekonują, że trolle nie mogą być ludźmi, bo nie mają wizji Boga. Przynajmniej o ile możemy to stwierdzić. Co z tym zrobią na przykład katolicy? Jeśli trolle mają dusze, to musiały upaść, jak my; inaczej mówiąc, są skażone grzechem pierworodnym. W takim razie obowiązkiem katolika jest udzielenie im chrztu, by ocalić je od otchłani po śmierci. Ale widzisz, jeśli trolle są zwierzętami, ochrzczenie ich jest bluźnierstwem. Podobno papież szykuje encyklikę na ten temat, ale na razie debaty religijne jeszcze bardziej podgrzewają spory.

– Co na to Agnes?

– „Trolle lubią lody i się śmieją. Oczywiście, że są ludźmi jak szlag, Lobsangu. A teraz bierz miotłę, opuściłeś tamten kawałek".

– Tak, to cała Agnes. Ale przejdźmy do rzeczy. Sally właśnie dlatego wyciągnęła mnie z domu i zawlokła aż na Podstawową. Oczywiście, dziesięć lat temu Sally w ogóle nas znalazła z powodu zaniepokojenia trolli, które uciekały przed Pierwszą Osobą Pojedynczą. A teraz ty chcesz, żebym wyruszył znowu, prawda? W głąb Długiej Ziemi, do Wysokich Meggerów. Co miałbym tam robić? Zgaduję, że szukać Sally i Jansson z Mary. Co potem? Odkryć, gdzie się ukryły trolle? Przekonać je, żeby wróciły i znowu włączyły się do świata ludzi?

– Z grubsza o to chodzi – przyznał Lobsang. – Wydaje się niemożliwe, prawda? Nie pomaga, że jesteśmy w samym środku awantury po żądaniach niepodległości ze strony Walhalli.

– Chcesz przywrócić równowagę…

– Ciebie i mnie zawsze łączyły podobne instynkty, Joshuo. – Lobsang schylił się i podniósł samotny zeschły liść z nieskazitelnej poza tym powierzchni mchu. Zrobisz to, Joshuo? Nie zadał tego pytania, ale pozostawił je zawieszone.

Joshua się zastanawiał. Powoli dobiegał trzydziestki. Miał młodą żonę, syna, funkcję w społeczności Diabli Wiedzą Gdzie. Nie był już człowiekiem z gór, jeśli w ogóle był nim kiedykolwiek. I nagle zjawiła się Sally pędząca w Długą Ziemię przez te swoje czułe punkty, jakby wyzywała Joshuę, by za nią podążył. Oto zjawiał się Lobsang niczym widmo przeszłości i raz jeszcze pstrykał palcami. Czy Joshua zacznie skakać na rozkaz? Zatańczy, jak mu zagrają?

Oczywiście, że tak. Chociaż nie jest już tym człowiekiem co kiedyś. Ale w końcu nawet Lobsang nie jest taki jak dawniej, nie całkiem.

Szli przed siebie, niekiedy przekraczając ze świata do świata, od zachodu do zachodu słońca. Pieśni trolli unosiły się w aromatycznym powietrzu każdej Ziemi – ale Joshua zastanawiał się, czy nie cichną teraz, gdy ich słucha.

– Widzę, że instynkt cię nie mylił – powiedział.

– Co masz na myśli?

– Rzeczywiście potrzebowałeś siostry Agnes.

Lobsang westchnął.

– Myślę, że potrzebuję i ciebie, Joshuo. Często wspominam dni, które spędziliśmy razem na „Marku Twainie".

– Oglądałeś ostatnio jakieś stare filmy?

– To jeszcze jeden problem z Agnes. Nie pozwala mi puszczać żadnych filmów, w których nie występują zakonnice.

– Oj… To brutalne.

– To kolejna rzecz, która jest dla mnie dobra. Jej zdaniem. Oczywiście, nie ma aż tylu filmów z zakonnicami, więc oglądamy je w kółko. – Zatrząsł się. – Nawet mi nie wspominaj o *Mułach siostry Sary*. Ale najgorsze są musicale. Chociaż Agnes mówi, że scena okradania lodówki z *Zakonnicy w przebraniu* to autentyczny element zakonnego życia.

– To pociecha. Musicale z zakonnicami, hm…

Nad parkiem zabrzmiał głos, który Joshua aż za dobrze pamiętał z własnej przeszłości.

– Lobsangu! Pora wracać! Twój kolega zaczeka do jutra…

– Wszędzie ma megafony. – Lobsang zarzucił sobie grabie na ramię i westchnął. Razem powlekli się po trawie. – Widzisz, co ze mną zrobiła? I po to zatrudniłem cztery tysiące dziewięciuset tybetańskich mnichów, żeby śpiewali przez czterdzieści dziewięć dni z czterdziestu dziewięciu szczytów wykrocznego Tybetu?

Joshua poklepał go po ramieniu.

– Trudna sprawa, Lobsangu. Ona cię traktuje, jakbyś był dzieckiem. Jakbyś miał lat szesnaście, wkrótce siedemnaście.

Lobsang spojrzał na niego niechętnie.

– Możesz się wypchać takimi cytatami – burknął.

– Ale wierzę, że sprostasz tym trudnościom, Lobsangu. Przekroczysz każdą przeszkodę. Pokonasz każdą górę…

Lobsang smętnie poczłapał przed siebie. Joshua pomachał mu wesoło.

– Na razie! Czołem!

ROZDZIAŁ 37

Joshua opuścił kompleks transEarth przez główny budynek w Madison Zachodnim 10. Mógł przekroczyć gdziekolwiek, ale uznał, że uprzejmie będzie wybrać tę drogę. Poza tym powinien oddać Hiroe swój identyfikator.

Bill Chambers czekał na niego w foyer.

– Bill, co ty tu robisz?

– Lobsang po mnie posłał. Uznał, że w podróży będziesz potrzebował towarzystwa.

– Jakiej podróży?

– Żeby odszukać Sally i trolle. A jakiej jeszcze?

– Przecież dopiero co o tym mówiliśmy… – Joshua westchnął. – Zresztą, do diabła, to cały Lobsang… Dobra, Bill, dzięki.

– Szybki jest, trzeba przyznać. Obiecał, że da nam jakiś aparat do tłumaczenia, żebyśmy mogli rozmawiać z trollami.

– O ile w ogóle je znajdziemy. Bo jeśli mam być szczery, to w ogóle nie mam pojęcia, gdzie zacząć.

– Ja wiem. – Szeroki uśmiech rozciął rumianą twarz Billa. – I pewnie dlatego po mnie posłał. Musimy zacząć od Sally. Wykombinować, dokąd mogła pójść.

– A jak to zrobimy?

– Sam wiesz, że jesteś jej bliższy niż dowolny przedstawiciel rodzaju ludzkiego, czy ci się to podoba, czy nie. Na pewno coś zrobiła albo powiedziała, co naprowadzi nas na trop.

– Zastanowię się. Co jeszcze?

– A potem musimy wyśledzić tych trollowych chłopaków. I mam tu pewien pomysł. Popatrz.

Z kieszeni kurtki wyjął kasetę magnetofonową, element techniki przestarzałej od pięćdziesięciu lat, jeśli nie więcej. Plastik był wytarty i zabrudzony, a etykieta nieczytelna. Kaseta pachniała dziwnie, co Joshua odkrył, kiedy wziął ją do ręki: na wpół kozioł w rui, na wpół paczula, na wpół chemia. Prawdę mówiąc, pachniała jak czyste noce w Wysokich Meggerach.

– Na miłość boską, kto odtwarza kasety magnetofonowe poza muzeami? Co to jest, Bill?

– Przynęta.

– Na co przynęta? Czy na kogo?

– Kogoś, kto nam pomoże. Zobaczysz. No więc… co najpierw?

– Najpierw muszę się zobaczyć z rodziną. Spróbuję wytłumaczyć wszystko Helen.

Bill spojrzał na niego badawczo.

– Przecież ona już wie, chłopie.

Joshua przypomniał sobie fragment wiersza, który Helen zacytowała mu na samym początku tej historii: „kobieta […] ze wzrokiem tkwiącym w zachodzie/I mężczyzna, co miał wschód za plecami".

– Tak. Chyba tak.

– Co do mnie, idę się nawalić, póki mam okazję. Zobaczymy się rano.

ROZDZIAŁ 38

„Benjamina Franklina” wezwano do miasteczka Nowa Czystość, sto tysięcy światów na wschód od Walhalli, skąd dotarł niejednoznaczny meldunek o kolejnych kłopotach z trollami.

Joe Mackenzie i Maggie stali na pokładzie obserwacyjnym i z góry przyglądali się osadzie. Z powietrza wszystko prezentowało się jak obraz porządku i kompetencji: ratusz, równe pola uprawne i oczywiście coś, co wyglądało na duży kościół.

– Nowa Czystość, tak? – mruknął. – Przypomnij mi, jak się nazywa ta sekta.

Maggie zajrzała do notatek.

– Bracia Nieoszlifowani.

– No tak, kościoła można się spodziewać. Ale nie ma palisady.

– Nie. Ale popatrz tam. – Wskazała coś, co wyglądało jak zbiorowy grób.

Twain zniżył się, a w głowie Maggie zaczęły się odzywać dzwonki alarmowe. Bracia Nieoszlifowani… Maggie odebrała edukację domową, jej nauczycielami byli zaprzysiężeni ateiści – chociaż nie, zaprzysiężeni nie: uważali, że twardy i fundamentalistyczny ateista nie jest lepszy od najgorszych, grożących ogniem i siarką, zapluwających się kaznodziejów. Jako młoda dziewczyna Maggie była zafascynowana oboma ekstremami. I teraz, jako koneserka wierzących i niewierzących, sądziła, że sekty typu Braci Nieoszlifowanych potrafi rozpoznać na pierwszy rzut oka. Właśnie zebrali się przed grupą wypadową z „Franklina”: mężczyźni i kobiety ubrani jednolicie w bure wełniane koszule, z długimi, opadającymi na plecy włosami.

Mimo to wydawali się całkiem gościnni – do chwili, kiedy za ludzką załogą z trapu nieruchomego sterowca zszedł Jake i reszta trolli.

Jakiś młody człowiek podszedł do Maggie.

– Nie pozwalamy, by te kreatury przebywały na naszych terenach, w naszych domach i naszych farmach. Są nieczyste.

Maggie spojrzała na niego z irytacją. Ale w jego twarzy dostrzegła napięcie, a nawet żal. Musiało się tu wydarzyć coś złego.

– W jaki sposób nieczyste? Poza tym Jake nie jest kreaturą.

Mężczyzna zacisnął wargi.

– Dobrze – rzekł po chwili. – Niech on sam mi to powie.

Maggie westchnęła.

– Właściwie to możliwe, prawie. Jak się pan nazywa?

– Moje imię nie jest istotne. Mówię w imieniu wszystkich. Taki jest nasz zwyczaj.

Maggie poczuła delikatny, ale uparty ucisk na ramieniu. To był Jake. Skinęła na Nathana Bossa, który trzymał trollowy gwizdek.

– Ta żywa osoba / bliska martwej / odeszła / osoba była i nie ma / pieśń smutku.

Słysząc te dobiegające z instrumentu chrapliwe słowa, Bracia Nieoszlifowani wytrzeszczyli oczy na trolla.

Maggie stanęła przed młodym rzecznikiem osady.

– Co się tu stało? Proszę mi pokazać.

Zamiast odpowiedzieć, wyprowadził ją poza równe budynki do tej jamy, którą zobaczyli z góry.

Rzeczywiście był to dół w ziemi pełen ciał. Było ich kilkanaście, może więcej. Nie zauważyła żadnych ludzkich szczątków, ale zwłoki wielu humanoidów, trolli i innego gatunku, który Maggie rozpoznała dzięki danym przekazanym jej przed rozpoczęciem misji: elfy, jedna z groźniejszych odmian, jeśli dobrze zapamiętała szczegóły.

– Myślę, synu – oznajmiła rozkazująco – że jednak musisz mi się przedstawić.

Zaczerwienił się.

– Jestem brat Geoffrey, audytor Braci Nieoszlifowanych. Jesteśmy zakonem

kontemplacyjnym; wierzymy, że ludzka dusza może przezwyciężyć wszelkie wrogie okoliczności…

Głos mu się załamał.

Opowieść, jaką w końcu z niego wyciągnęła, między licznymi szlochami i *mea culpa*, była typowa dla całej Długiej Ziemi. Każda wykroczna Ziemia była nowym światem, światem darmowym, czystym płótnem, na którym można było namalować cudowne życie – jeśli człowiek marzył dostatecznie mocno i pilnował swoich pleców. Tutaj Bracia Nieoszlifowani zbudowali porządne otwarte miasteczko, zgodnie z wzorcami ateńskimi, jak twierdził brat Geoffrey. Ich filozofia wydawała się mieszaniną nauk postaci, które Maggie – ze swym mglistym pojmowaniem teologii – kojarzyła ogólnie jako tych dobrych, między innymi Jezusa, Buddy i Konfucjusza. Nie słuchali jednak ostrzeżeń, jakich jeszcze przed wyruszeniem z Ziemi Podstawowej z pewnością udzielali im bardziej doświadczeni wędrowcy.

Zagrożeniem, jakie na nich spadło, jednym z bardzo wielu możliwych, były elfy.

Podszedł Mac.

– Wykonaliśmy pobieżną analizę w tej jamie. Atakowały elfy. Rany obronne znaleźliśmy tylko na trollach. Elfy najwyraźniej przekroczyły i rzuciły się na ludzi.

Na odprawach Maggie widziała zapisy z takich zdumiewających napadów, wyprowadzanych znikąd przez okrutnych łowców i zabójców.

– Palisada by im nie pomogła przeciwko przekraczającym napastnikom.

– Nie, ale piwnice by pomogły, a też ich pewnie nie zbudowali. Trolle wpadły pod ostrzał. Do diabła, mogły zwyczajnie tędy przechodzić, może nawet próbowały pomóc. Miały pecha, skoro tak rzadko się je ostatnio spotyka. I źle się to dla nich skończyło, bo domyślam się, że ci tutaj nie widzą żadnej różnicy między trollami a elfami.

– Więc zaczęli strzelać w jedne i drugie.

– Na to wychodzi.

– Dzięki, Mac.

Geoffrey ciągle stał obok niej.

– Moja matka… moja matka została porwana. I…

– Rozumiem. Ale to nie były trolle. Proszę spojrzeć. – Wskazała małego Carla bawiącego się zabawkami ku radości kilkorga dzieci w burych koszulach. – Tak się zachowują trolle. Jeśli chcecie tutaj przetrwać, musicie zrozumieć realia Długiej Ziemi. W waszym przypadku, jeśli gdzieś w wykrocznej okolicy krążą elfy, musicie zaakceptować trolle. Pomogą wam zbierać z pól, stawiać spichrze, kopać studnie. A co najlepsze, będą odstraszać elfy.

Zdawało się, że brat Geoffrey z trudem może się z tym pogodzić. Ale w końcu zareagował pozytywnie.

– Jak możemy sprowadzić do nas trolle?

Trudne pytanie, a w każdym razie nieodpowiedni moment, skoro trolle wyraźnie wycofywały się z ludzkich światów.

– Bądźcie dla nich mili. Na początek sugeruję, żeby z pomocą mojej załogi pochować ciała tych trolli obok ciał waszych zabitych. Niedługo każdy troll na tym świecie i na wszystkich innych dowie się, że okazaliście im szacunek. Aha, przed odlotem pomożemy wam też wykopać jakieś piwnice. Jako środki obrony antykrokowej. Jasne? No i palisadę, na wszelki wypadek…

Pracowali aż do wieczora.

Kiedy zaszło słońce, miejscowi zebrali się, by posłuchać pieśni trolli z „Franklina". Wkrótce potem zabrzmiały odpowiedzi jak echa spoza zamglonego horyzontu, te dalekie dziwnie się łączące z bliskimi; wołania płynęły i wzlatywały nad ziemią, zlewały w jedną wielką symfonię. A jednak kryła się w tych dźwiękach jakaś pustka. Ten świat, podobnie jak wszystkie zamieszkane przez ludzi, z wolna tracił swoje trolle. Cisza zalegała wzdłuż Długiej Ziemi, jakby nastąpiło wielkie wymieranie, szalała straszna zaraza.

Co za niezwykłe zjawisko, myślała Maggie. Nie mogła sobie przypomnieć żadnego precedensu, niczego podobnego w przeszłości – to mniej więcej tak jakby wszystkie słonie opuszczały Afrykę. Świat naturalny odrzucał ludzi. Nawet jej trolle czuły się dziwnie niespokojne,

a ona postanowiła wypuścić je, gdy pojawią się sygnały, że chcą odejść.

Już niedługo, myślała zrezygnowana, pojawią się żądania z licznych farm, by ściągnąć z powrotem trollowych robotników, i że już najwyższy czas, by rząd coś z tym zrobił…

„Benjamin Franklin" wisiał nad Nową Czystością jeszcze przez dwa dni, nim wzniósł się wysoko, przekroczył i zniknął.

ROZDZIAŁ 39

Oczywiście Sally znała świat, do którego przybyły. I oczywiście ten świat był nowy dla Jansson. Wszystko, tak jak Szczelina, jak każda Ziemia poza Niskimi, było dla niej nowe. Wędrowały trzy tygodnie od Szczeliny, by się tu dostać, trzy tygodnie zwykłego przekraczania i spadania przez czułe punkty. Jansson podejrzewała, że Sally mogłaby tu dotrzeć szybciej, ale starała się, by nie tylko były wciąż w ruchu, ale także pozostawały ukryte. A z trollami nie można podróżować szybko – te ich potężne ciała potrzebują dużo jedzenia. Codziennie.

Z ostatniego czułego punktu wynurzyły się w krajobrazie, który był prawie, ale nie całkiem pustynny. Stanęły w szerokim wąwozie z podziurawionymi przez jaskinie urwiskami po obu stronach. Na dnie wąwozu rosło kilka karłowatych drzew, leżały szczątki kamiennego mostu i stał budynek, wielka sześcienna masa gładkiego czarnego kamienia. Powietrze było tak suche, że zdawało się wysysać wilgoć z ciała. Jansson odruchowo rozejrzała się za cieniem.

Sally dobrze pamiętała ten świat. Nieoficjalnie nazwali go Prostokątami, kiedy dziesięć lat temu trafili tu razem z Joshuą i Lobsangiem. Świat przegranej inteligencji, jak się zdawało, i śmierci. Świat, gdzie Joshua znalazł piękny szafirowy pierścień. Świat, który przez ostatnie dziesięciolecie wydawał się niezmieniony, jeśli nie liczyć pozostałości po późniejszych gościach: odciski butów w pyle, blizny po ogniskach, chorągiewki wyznaczające archeologiczne wykopy, a nawet trochę śmieci, plastikowych pudełek i porwanych toreb.

Trollica z młodym odeszła szukać wody, jedzenia i cienia.

Sally ułożyła Jansson wygodnie pod poskręcanym drzewem, na prymitywnym legowisku z ich zrzuconego ekwipunku, przykrytą jednym kocem ratunkowym. Potem sprawnie rozpaliła ognisko – nie potrzebowały ciepła, ale mogło odpędzić zwierzęta.

– Rozumiem, że już tu byłaś – powiedziała Jansson. – Razem z Joshuą, lata temu. A jesteśmy tu, bo tutaj są trolle. Albo gdzieś niedaleko. Ukrywają się. Taką masz teorię, choć nie wiem, na czym ją opierasz.

Sally obojętnie wzruszyła ramionami.

Jansson sądziła, że rozumie. W czasie podróży Sally znikała co jakiś czas – na kilka godzin, na dzień, czasem na dłużej. Podłączała się do tej swego rodzaju sieci kontaktów i informacji, jaką sobie zbudowała. Jansson podejrzewała, że samej Sally trudno byłoby przeanalizować docierające do niej z różnych źródeł rozmaite pogłoski. Jeśli trafi tutaj, to znajdzie trolle albo trolle ją znajdą – tyle podpowiadał jej instynkt. Jansson mogła tylko mieć nadzieję, że strzępy informacji i wewnętrzne przeczucia okażą się dla Sally dobrym przewodnikiem.

Przestała się zastanawiać. Pytanie pewnie też nic nie da. Sally zawsze była małomówna, owszem, ale takie wybiórcze milczenie było jednym z jej najbardziej irytujących zwyczajów.

Kiedy Jansson odpłynęła w sen, Sally poszła na polowanie. Dno wąwozu jest podejrzanie płaskie, pomyślała; takie samo wrażenie odniosła, kiedy tu się znalazła za pierwszym razem. Całkiem jakby to była pojedyncza wielka płyta – być może kolejny artefakt, jak sam budynek. Pod ścianami widziała zbocza osypisk, tu i tam walczyła o przetrwanie zielona ekstremofilna roślinność lubiąca upał i suszę. Na pierwszy rzut oka nic się tu nie poruszało, żadne zwierzęta, ptaki czy owady. Sally to nie peszyło; gdziekolwiek pojawia się jakaś zieleń, żyją też roślinożercy, którzy się nią żywią, oraz drapieżniki żywiące się roślinożercami. To kwestia cierpliwości. Musiała tylko zaczekać. Nigdy nie zabierała żywności – nie do tej nieskończonej spiżarni, jaką była Długa Ziemia. Wystarczy jej jakaś jaszczurka czy dwie, czasem ryjówka.

Przykucnęła przy stromej ścianie wąwozu, w cieniu skalnego urwiska. W taki sposób żyła od dwudziestu pięciu lat, odkąd opuściła Ziemię Podstawową, wkrótce po Dniu Przekroczenia, kiedy jej ojciec oddał ludzkości ryzykowny dar technologii krokerów. Oczywiście, także we wcześniejszych latach miała wiele praktyki. Życie z tego, co upoluje w trakcie wędrówki, było łatwe, choć naiwnością byłoby wierzyć, że zwierzęta, które nigdy nie spotkały człowieka,

okażą się naturalnie ufne. Strasznie dużo dobrych rzeczy do jedzenia ucieka przed wszystkim, co niezwykłe.

Musiała tylko zaczekać…

Okolica była dokładnie taka, jak ją zapamiętała, jeśli nie liczyć późniejszych śladów butów, o czym przekonała się, kiedy spokojnie zbadała wzrokiem otoczenie. Ze wszystkich odkryć, jakich dokonali Joshua i Lobsang w czasie swej badawczej wyprawy sprzed dziesięciu lat, to było chyba najbardziej sensacyjne: dowód istnienia inteligentnych dinozaurów żyjących ponad półtora miliona kroków od Podstawowej. Lobsang na próżno protestował i tłumaczył, że zbiorowy organizm, określający siebie jako Pierwsza Osoba Pojedyncza, jest o wiele ciekawszy i bardziej niezwykły, jednak nikt nie rozumiał jego argumentów. Nie warto też było wyjaśniać, że istoty, których szczątki tu znaleźli, choć zbliżone do gadów, absolutnie nie mogły być dinozaurami w żadnym sensie tego słowa.

Wszyscy chcieli dowiedzieć się więcej. Do uniwersytetów popłynęły granty pozwalające wysłać grupy badawcze. Przez kilka lat naukowcy czołgali się po okolicy, choć z powodu radioaktywności praca była dość ryzykowna. Wysyłali latające drony i balony wyposażone w czujniki podczerwieni i georadary, by przyjrzeć się reszcie tego świata. Nikt się nie zdziwił, gdy wyszło na jaw, że ten wąwóz był czubkiem piramidy, widzialnym wierzchołkiem planetarnej cywilizacji – starożytnej, dawno upadłej, zasypanej piaskami jałowego świata. Z braku sprzętu Lobsang i „Mark Twain" nie mogli jej zbadać ani nawet wykryć. W piasku i pod nim kryły się ślady miast, dróg, kanałów budowanych według nieludzkich planów, wyraźnie produktów innych umysłów, ale poza tym dziwnie znajomych i bardzo starych.

Nie, to nie były dinozaury, ale mogły mieć dinozaury wśród przodków, tak jak ludzie mieli przodków w erze dinozaurów: płochliwe, wiewiórkowate, czworonożne ssaki… Może potężne uderzenie meteorytu, które na Podstawowej zniszczyło zdominowaną przez wielkie gady ekologię, miało w tym świecie inne skutki? Mogło na przykład wybić wielkie bestie, ale pozostawić ich mniejszych, sprytniejszych, zwinniejszych kuzynów. Istoty z Prostokątów mogły być dalekimi potomkami raptorów. Jednak o wiele później i dla nich nastąpiła katastrofa – może wojna, zaraza czy inne pechowe uderzenie asteroidy… Ocaleni albo ich potomkowie, gdy technika została utracona, a cywilizacja legła w gruzach, zostali tu przyciągnięci przez dziwne zjawiska wokół stosu atomowego, możliwe, że naturalnego, skutku przypadkowej koncentracji rudy uranowej pod budynkiem. To był ich bóg, świątynia, która powoli ich zabiła.

Tak mówiła jedna z teorii – przypadkowa koncentracja rudy. Ale od samego początku pojawiały się spekulacje, że ten stos nie był naturalnym zjawiskiem, ale zrujnowaną i ciągle zabójczą pozostałością o wiele starszej i bardziej zaawansowanej techniki. Szczątkowa radioaktywność pochodziła z porzuconego rdzenia, czy może składowiska odpadów. Hipoteza taka wciąż budziła burzliwe dyskusje, ale pasowała do pierwszego wrażenia Sally, kiedy przybyła do tego świata.

W pewnym sensie była zadowolona, że odpowiedzi nie okazały się proste ani jasne. Jak wszystkie światy, i ten nie był eleganckim i skończonym modelem teoretycznym, ale produktem długiej i unikatowej historii ewolucyjnej. Zresztą Sally sama kończyła college w Madison; wiedziała, kiedy konstrukcje teoretyczne chwieją się na fundamencie niewystarczających danych. Dlatego ignorowała większość wymysłów.

Była zadowolona, że Joshua nigdy nie ujawnił istnienia jedynej materialnej pamiątki, jaką stąd zabrali – pierścienia, który mógłby powstać w rękach ludzkiego jubilera, a który odkryli na pozbawionym już ciała palcu któregoś postdinozaura. I zadowolona, że Joshua zachował go przez te wszystkie lata.

Po jakimś czasie pieniądze się wyczerpały, bo Długa Ziemia zawsze była pełna różnego rodzaju tematów badawczych; archeolodzy zabezpieczyli stanowiska i odeszli. Sally, obecnie w trybie polowania, także z tego była zadowolona. Cieszyła się samotnością. Nie było tu nikogo prócz cieni na skale…

Gorący oddech na karku… Łowca stał się łowionym, pomyślała natychmiast. Nie była dostatecznie uważna. Odwróciła się, sięgając po nóż u pasa.

Wilk – takie było jej pierwsze wrażenie. Ogromny, ze zjeżoną sierścią, otwartą paszczą i z wywieszonym jęzorem, z oczami jak okna na arktyczne pustkowie. Wyglądał na równie ciężkiego jak ona, może cięższego. I podszedł tak blisko, że praktycznie mógłby ją nadgryźć, zanim cokolwiek zauważyła.

Z wysiłkiem powstrzymała się od przekroczenia – jej pierwszej reakcji. W tej wyprawie nie była sama, musiała myśleć o Jansson. Zastanowiła się, czy zdąży krzyknąć, by ją ostrzec, i czy to w czymkolwiek pomoże.

Ale zwierz nie atakował.

Cofnął się o krok, potem drugi… i stanął na tylnych łapach. Nie kołysał się jak pies wykonujący cyrkową sztuczkę, ale stał swobodnie, naturalnie, jakby stworzony do takiej postawy. Zauważyła teraz, że w talii ma rodzaj pasa, z którego zwisały rozmaite narzędzia, w tym chyba bardzo zaawansowany technicznie pistolet wykonany z jakiegoś metalu i przypominający fantastyczny, godny Bucka Rogersa miotacz promieni. Wydawał się tu całkiem nie na miejscu. Kiedy wilk rozłożył przed nią przednie łapy, spostrzegła, że palce są długie i giętkie – podobne do pozbawionej kciuka dłoni okrytej skórzaną rękawiczką.

Niespodzianka goniła niespodziankę.

A potem wilk przemówił.

– Sally Lins-ssay. – Głos miał niski, chrapliwy, podobny do głośnego szeptu, ale zrozumiały. Ludzkim słowom towarzyszyły lekkie zmiany postawy: uniesienie głowy, skrzywienie pyska. – Przychodzisss-sz tu. Koboldy mówiły.

Po czym wzniósł swą potężną głowę i zawył.

ROZDZIAŁ 40

W czasie tych tygodni, odkąd pozostawili za sobą niskie Chiny, sterowce „Zheng He" i „Liu Yang" sunęły bezustannie na wschód, a tempo ich przekraczania stopniowo rosło, choć – jak dowiedziała się Roberta – wciąż jeszcze sporo ich dzieliło od konstrukcyjnego maksimum. Światy przemykały pod dziobami w szerokich pasach, zimne i umiarkowane, wilgotne i pustynne; wschodnia geografia wykroczna z grubsza odpowiadała mapom wykreślonym przez amerykańskich badaczy światów zachodnich. Tak samo była przecinana jokerami niczym przypadkowymi lampami błyskowymi.

Zatrzymywali się co pewien czas, członkowie załogi zjeżdżali na powierzchnię, by – odpowiednio chronieni – obserwować, mierzyć, pobierać próbki geologiczne, botaniczne i zoologiczne, a nawet nietypowych śladowych gazów atmosferycznych. Realizowali taktykę badań, jaką opracował dziesięć lat wcześniej Joshua Valienté: zwiadowcy na powierzchni, nadzorowani przez kontrolerów z pokładów sterowców. Roberta obserwowała wszystko z góry i metodycznie robiła notatki.

Minęli granicę dwóch milionów kroków od Podstawowej. Teraz zbliżali się do świata, na którym, jak zaplanowano, Roberta sama miała zejść na powierzchnię w towarzystwie porucznik Wu Yue-Sai.

Chińczycy dotarli tam już wcześniej i zbadali go wstępnie. To pierwsze zejście miało służyć Robercie za naukę, jak jej wyjaśniono, a ona to przyjęła. Spędziła już wiele czasu w rodzaju komory treningowej, razem z porucznik Wu, która pokazała jej, jak włożyć kombinezon, jak korzystać z pakietów medycznych, racji polowych i srebrzystych foliowych koców ratunkowych – i jak używać ceramiczno-spiżowych pistoletów. Roberta starała się opanować każdą procedurę i ćwiczyła bez końca.

Yue-Sai usiłowała jej ten proces ułatwić. Rzucała żarty w swym nie całkiem perfekcyjnym angielskim, wymyślała pomagające w treningu gry i konkursy. Roberta czekała spokojnie, aż te chwile mijały, a potem kontynuowała cierpliwie swe ćwiczenia.

Z czasem Yue-Sai zrezygnowała i wycofała się. Roberta wiele razy widziała już takie reakcje. Nie o to chodzi, że nie rozumiała ludzi, ale raczej rozumiała ich zbyt dobrze. Próby żartów Yue-Sai były całkiem oczywistymi ćwiczeniami motywacyjnymi, które Roberta przejrzała natychmiast. Tyle że przy swym wewnętrznym poczuciu celu nie potrzebowała zewnętrznej motywacji. Jednak dla Yue-Sai jej reakcja nie była wystarczająca i Roberta to również rozumiała.

Piętnastoletnia Roberta była osobą, która widzi różne sprawy. To znaczy dostrzega je wyraźniej niż inni. Z pewnością zdawała sobie sprawę z własnych ograniczeń, na przykład teraz, kiedy szykowała się, by po raz pierwszy stanąć na dalekim wykrocznym świecie. Jej ignorancja albo zwyczajny przypadek mogły ją tam zabić w mgnieniu oka. Godziła się na to ze spokojem, który innym wydawał się chłodem. Ale po co się oszukiwać?

Wydawało jej się czasem, że droga kariery, którą chciała podążać, w pełni zależała od zerwania z wszelkimi iluzjami. Jaka jest natura wszechświata, w którym się urodziła? Dlaczego w ogóle istnieje? Jeśli ma jakiś cel, to jaki? Wydawało jej się, że to jedyne pytania, na które warto szukać odpowiedzi. A jedyną rozsądną techniką badania takich kwestii była metoda naukowa, dojrzałe i samokorygujące poszukiwanie prawdy. Jednak już w wieku dwunastu lat stało się dla niej jasne, że nauka, jaka rozwinęła się do tej pory, fizyka, chemia, biologia i cała reszta, jeszcze się nie zmierzyła ze sprawami fundamentalnymi. Do tych kwestii, miała wrażenie, odnoszą się jedynie filozofowie i teolodzy. Niestety, ich odpowiedzi były mieszaniną zwątpienia, iluzji i pustych słów, a w rezultacie robiły więcej złego niż dobrego. Mimo to nie znalazła nic więcej.

Na razie poświęciła się, przynajmniej nominalnie, teologii i filozofii, a także naukom biologicznym, takim jak badania prowadzone podczas tej wyprawy. Otrzymała nawet granty mające wspierać jej misję na wykroczny wschód – od Watykanu, od mormonów, organizacji islamskich

i rozmaitych fundacji filozoficznych. Kontaktując się z takimi grupami, szybko się przekonała, że lepiej nie dzielić się z nimi swoim poglądem, że zorganizowana religia jest formą zbiorowej iluzji.

Musiała pracować z tym, co miała do dyspozycji. Czasami wyobrażała sobie, że jest jak ci uczeni z europejskiego średniowiecza, którzy wstępowali w szeregi Kościoła, gdyż nie istniała inna organizacja umożliwiająca działalność naukową. Albo może, gdyby sięgnąć dalej w przeszłość, jakby próbowała z kamiennych ostrzy i brył ochry zbudować radioteleskop. Nie poddawała się jednak, ponieważ nie miała wyboru. Mimo swej niewystarczającej edukacji postrzegała świat klarownie. Ludzi też widziała klarownie, bardziej niż oni sami siebie. Człowieczeństwo, jak stwierdziła kiedyś w odpowiedzi na pytanie podczas egzaminu z filozofii, do którego przystąpiła w wieku jedenastu lat, to nic więcej niż skromna pozostałość po usunięciu oszołomionego szympansa. Takie odpowiedzi sprawiły, że stała się obiecującą studentką. W Szczęśliwym Porcie, gdzie było wiele takich dzieci jak ona, nie miała problemów z wybraniem do drużyny siatkówki. Ale jej brak reakcji, jej zwyczaj wygłaszania krótkich wykładów czy poprawianie nawet drobnych pomyłek nie przysporzyły jej popularności wśród załogi. Nawet u wyrozumiałej Yue-Sai.

Sterowce zatrzymały się w wybranym punkcie i rutynowo wysłały sondy i balony meteorologiczne, by uzyskać szerszy obraz świata. Potem Yue-Sai zabrała Robertę na pokład windowy, raz jeszcze sprawdziły cały sprzęt i zjechały na powierzchnię Ziemi Wschodniej 2 201 749.

Stanęły na skraju lasu, niedaleko rozległego ujścia rzeki. Spod osłony drzew Roberta mogła spojrzeć ponad otwartą równinę przy ujściu, ponad otaczające ją mokradła, aż po ostrą linię horyzontu na oceanie. Jej uwagę zwróciły wielkie latające stworzenia sunące nisko nad wodą – całe stado, a każde z rozłożonymi błoniastymi skrzydłami. Były to największe istoty latające, jakie widziała w życiu. Coś jak pterozaury? Coś jak nietoperze? Może coś, co wyewoluowało z całkiem innych przodków? Ich sylwetki rysowały się wyraźnie na tle migoczącego w morskich falach światła, gdy opadły niżej i opuściły giętkie szyje, porywając z wody wielkie ryby czy też stworzenia rybopodobne, które znikały w długich dziobach.

To był ciepły, wilgotny świat z wysokim poziomem mórz, gdzie oceany sięgały głęboko ku sercom kontynentów. Świat, gdzie możliwe były tak fantastyczne widoki. Ale i świat, jak dowiedziała się wcześniej Roberta, niosący specyficzne zagrożenia, nieznane na suchych Ziemiach, takich jak Podstawowa. Nie najmniejszymi z nich były egzotyczne katastrofy klimatyczne, na przykład hiperkan, już teraz formujący się nad miejscową kopią Oceanu Spokojnego.

Cienie poruszyły się w lesie.

Yue-Sai skinęła ręką. Roberta sprawdziła, czy ma wyłączony głośnik z monitora na lewym ramieniu, i stanęła nieruchoma, milcząca za osłoną drzew.

Ogromne stwory przesuwały się przez las, kierując się do ujścia i świeżej wody. Roberta spostrzegła zwarte, umięśnione ciała poruszające się na czterech nogach, choć tylne były o wiele potężniejsze od przednich. Stwory przypominały trochę kangury, uznała, ale o mocniejszej budowie i z uszami wzniesionymi jak ogromne kolorowe grzebienie. Zwierząt było kilka, największe wyższe w kłębie niż Roberta; wokół biegały młode, a jeden noworodek siedział w torbie na brzuchu matki.

Cicha jak kot, Yue-Sai przemknęła między drzewami tropem stada. Roberta podążyła za nią. Nie była tak cicha jak Chinka, ale szum obiektywu w pakiecie monitoringu rozbrzmiewał głośniej niż jej kroki, co napełniło ją pewną dumą.

Dotarły na brzeg lasu, do wstęgi świeżej wody. Po przeciwnej stronie mokradeł spacerowało, przepychało się i żerowało wielkie stado ptaków czy też stworzeń ptakopodobnych. Obfite kwiaty na bagnach tworzyły masę kolorów pod błękitnym niebem. Robercie zdawało się, że widzi prążkowane grzbiety krokodyli prześlizgujące się przez głębszą wodę.

I tam, na brzegu rzeki, stworzenia z lasu przystawały, by napić się wody.

Najbardziej widoczne, najbardziej spektakularne były te wielkie, krępe kangury z ich barwnymi, podobnymi do żagli usznymi grzebieniami; masywne i ociężałe, poruszały się wolno

i wyglądały jak wyrzeźbione z żywej skały. Przy tak wielkiej masie ich potężne tylne nogi musiały wyewoluować do kopania wrogów, nie do skakania, jak u kangurów z Podstawowej. Za to uszne grzebienie wydawały się dziwnie delikatne, niemal przejrzyste w promieniach słońca – najwyraźniej jedynie cienka skóra rozciągnięta na szkielecie z chrząstki. Grzebienie jarzyły się jaskrawymi wzorami, zmieniającymi się i znikającymi w oczach.

– Widzicie to, kapitanie Chen, panie Montecute?

– Tak, poruczniku – odpowiedział w słuchawkach głos dowódcy. – Starajcie się utrzymywać te grzebienie w obrazie. Po co takie skomplikowane ubarwienie? Każę naszym uczonym przepuścić to przez zestawy analizatora wzorców.

Yue-Sai dotknęła ramienia Roberty i wskazała coś trochę dalej na brzegu.

Kolejne zwierzęta u wodopoju. Tym razem były podobne do wielkich bezpiórych ptaków nielotów, uznała Roberta; chodziły na dużych tylnych odnóżach; miały też parę przednich, małych i chwytnych. Ich głowy, płaskie, podłużne, prawie jak u węży, kończyły się szerokimi kaczymi dziobami. Kiedy te stworzenia pochylały się nad wodą i ssały głośno, z tyłu kołysały długimi umięśnionymi ogonami.

– Ptaki czy dinozaury? – zainteresowała się Roberta.

Yue-Sai wzruszyła ramionami.

– Należą do tej samej wielkiej rodziny, Roberto. Niczego nie oczekuj. Niczemu nie daj się zaskoczyć…

Roberta rozumiała zasadę. Historie równoległych światów Długiej Ziemi kształtowały zbliżone procesy, które jednak różniły się szczegółami. Człowiek powinien sobie wyobrazić, że wędruje po czymś w rodzaju drzewa prawdopodobieństwa, na którym znajduje światy, gdzie jakieś dawne wydarzenie potoczyło się inaczej. W efekcie odmieniło późniejszą historię życia i dostarczyło doborowi naturalnemu nowego surowca do formowania…

– Na przykład – mówiła dalej Yue-Sai – te kacze dzioby wyglądają po ptasiemu, mogą też być dinozauroidalne. Ale tamte grzebieniaste bestie to ssaki. Wydaje się, że rodzaj torbaczy. A tam z kolei jest coś, czego nigdy byś nie zobaczyła w okresie kredy.

Wskazała palcem.

Elfy.

Przekraczające humanoidy. Cała grupa, około dwudziestu sztuk, w tym dzieci i niemowlęta. Znalazły sobie miejsce z dala od wielkich roślinożerców, dostatecznie odsunięte od wody, by nie narażać się na ataki krokodyli i innych wodnych drapieżników. Nabierały dłońmi wodę, grzebały też w błocie, szukając korzeni, dżdżownic i mięczaków. Młode samce sprzeczały się i z drażniącymi chrapliwymi krzykami migotały pomiędzy światami. Przyglądanie się im przypominało próbę obejrzenia źle zmontowanego filmu.

– Są też inne odmiany – powiedziała cicho Yue-Sai. – Zauważyłam je głębiej w lesie…

Rozmowę przerwał im huk gromu.

Yue-Sai i Roberta ukryły się głębiej. Niektóre kacze dzioby nadal piły wodę, ale dorosłe osobniki rozglądały się podejrzliwie. Grzebieniaste kangury pochyliły wielkie głowy i cofnęły się, ustawiając nierówny krąg.

Rozległ się trzask pękającego drewna, skrzypnięcie przewracanego młodego drzewa i las rozsunął się niby sceniczna dekoracja. Na otwartą przestrzeń wybiegło ogromne zwierzę. Jego tułów musiał mieć z pięć metrów długości, perfekcyjnie zbalansowany na dwóch potężnych nogach. W porównaniu z nimi przednie kończyny były niewielkie, ale i tak dłuższe i bardziej umięśnione niż nogi Roberty. Prawą miał owiniętą jakimś pnączem. Skórę porastały jaskrawo ubarwione pióra, tworząc coś w rodzaju kostiumu azteckiego kapłana. Głowa była prawdziwym koszmarem zębów i krwi, a kiedy potwór otworzył paszczę, by zaryczeć, Roberta miała wrażenie, że wyczuwa zapach gnijącego mięsa. Szedł naprzód, potężny i niepowstrzymany; wydawał się bardziej mechaniczny niż zwierzęcy – robot zabójca, automat, a jednak dyszał i drapał pazurami ziemię. Roślinożercy uciekali już wzdłuż brzegu, rycząc w galopie.

Elfy nie uciekły. Rozstawiły się w luźny łuk, twarzami do bestii, dorośli z przodu, z kamiennymi ostrzami w rękach, młode za nimi, ale nawet one powarkiwały wyzywająco.

Wyglądało to jak kolejna filmowa scena: małpoludy z kamiennymi nożami przeciwko dinozaurowi.

Yue-Sai wpatrywała się, jakby nie chciała stracić nawet sekundy tego spektaklu.

– Dinozaur, zgadza się. Albo jego potomek po sześćdziesięciu pięciu milionach lat. Zbliżony do tyranozaura. A może coś innego wyewoluowało i zajęło tę samą niszę.

– Oczywiście Chiny miały własne linie wspaniałych dinozaurów – przypomniał jej surowo dowódca. – Można użyć innych porównań.

– Tak jest – odparła z roztargnieniem. – Mógł być nawet nielotnym ptakiem. Jeżeli to tyranozaur, są duże szanse, że jest samicą. Miały swoje tereny łowieckie co cztery–pięć kilometrów. Samce były rzadsze, co kilkadziesiąt kilometrów. Ale co ona ma na ramieniu?

Ryki drapieżnika i warknięcia oraz gesty humanoidów osiągnęły punkt szczytowy. Potwór zaatakował nagle, szarżując w środek grupy elfów.

Młode z rodzicami rozbiegły się. Dorosłe elfy zamigotały, znikając i pojawiając się z powrotem tak szybko, że drapieżca nie nadążał, choć opuścił łeb i kłapał wielkimi zębami, omiatając pustą przestrzeń łapami i ogonem.

Elf zmaterializował się w skoku nad łbem napastnika i zaatakował nożem prawe oko, po czym zniknął, nie dotykając nawet gruntu. Precyzja ataku wydawała się niewyobrażalna, a oko ocalało tylko dzięki przypadkowemu ruchowi łba. Zakrwawiony i rozjuszony drapieżnik stał pośrodku grupy humanoidów, niezdolny do zadania ciosu żadnemu z nich. Zaryczał znowu, machnął ogonem i kłapnął zębami w powietrzu.

Ale humanoidy też miały dosyć. Przekraczały teraz, dorośli i matki z dziećmi na rękach. O ile Roberta mogła to ocenić, nie zostawiły nikogo.

– Trzeba to maluchom przyznać – odezwał się Jacques w słuchawkach – że postawiły się swojemu Grendelowi.

Yue-Sai wzruszyła ramionami.

– Bestia nauczy się w końcu, żeby nie wchodzić w starcia z humanoidami, zwłaszcza takimi, które umieją przekraczać. Ale to nie one były głównym celem. Patrzcie.

Drapieżnik szedł teraz wzdłuż brzegu, za wielkimi grzebieniastymi kangurami. Zaalarmowane, wyprzedzały go teraz o spory dystans: tony mięśni i kości w ruchu przypominały cofającą się dywizję pancerną. Ale jedna samica została z tyłu, by pilnować młodego.

– Mają za dużą przewagę – uznał Jacques.

– Tak pan sądzi? – mruknął Chen. – Proszę spojrzeć, co robi ze swoją ręką.

Roberta widziała, jak drapieżnik używa jednej zwinnej kończyny, by odwinąć pnącze z drugiej. Pnącze miało dwa metry długości i było na obu końcach obciążone czymś, co przypominało orzechy kokosowe. Potem, już biegnąc, gdy wielkie nogi dudniły o ziemię, a grzbiet i ogon ustawiły się niemal w poziomie, drapieżnik zakręcił pnączem i rzucił. Pokonało dzielącą ich odległość i oplątało tylne nogi grzebieniastej kangurzycy. Pnącze natychmiast się zerwało, ale ten moment wystarczył, by kangurzyca runęła na ziemię. Cielak zwolnił obok niej, porykując cicho, wyraźnie przestraszony.

I miał podstawy do strachu, gdyż drapieżnik natychmiast rzucił się na matkę. Przebiegł obok i schylił łeb, wyrywając wielki kawał mięsa z tylnej prawej nogi zwierzęcia, po czym niemal w przelocie uderzył paszczą w piękne ucho, całkowicie niszcząc chrzęstną ramę; ucho złożyło się nagle jak spadający na ziemię latawiec. Matka upadła, rycząc boleśnie. Udało się jej powstać, choć z głębokiej rany ciekła krew. Popchnęła nawet dziecko, kiedy powoli sunęli po plaży za resztą stada, które dotarło już do lasu.

Drapieżnik wyprostował się i dysząc ciężko, patrzył, jak odchodzą. Pysk miał poplamiony krwią kangura. Po chwili schylił się nad wodą, wypił potężny haust, potrząsnął łbem i potruchtał za samicą i cielakiem. Ten pościg mógł mieć tylko jeden rezultat.

– Drapieżnik użył bolas – powiedziała Roberta.

– Rzeczywiście – przyznała Yue-Sai. – Chociaż wyglądało, jakby było obiektem naturalnym. Pnącze roślinne obciążone owocem. Natomiast nic naturalnego nie było w sposobie użycia. – Yue-Sai wydawała się na swój spokojny sposób zachwycona tym oszałamiającym

odkryciem. – Mówiłam ci, Roberto. Jesteśmy już bardzo daleko od domu. Nie wolno niczego przesądzać z góry.

– Słusznie – odezwał się kapitan Chen. – A jeszcze nasi eksperci od analizy sygnałów poinformowali mnie, że desenie pojawiające się na grzebieniach tych wielkich kangurów zawierały dane. Zwierzęta rozmawiały ze sobą poprzez wizualne przekazy grzebieni. Inteligencja! Nasi pokładowi uczeni muszą to wyraźnie zaznaczyć w swoim wspólnym artykule *Ssacze i gadzie zbiorowisko inteligencji tworzących narzędzia poza Ziemią Wschodnią Dwa Miliony*. To wspaniałe! Wielkie odkrycie dla Chin!

Dziewczęta ruszyły w stronę windy.

Chen mówił dalej z wyraźnym entuzjazmem:

– Wiesz, Roberto, my Chińczycy też mamy swoją utopijną legendę. To opowieść pochodząca z piątego wieku po narodzinach waszego Chrystusa. Mówi o tym, że pewien rybak odkrył w wąskiej jaskini przejście do Krainy Brzoskwiniowych Kwiatów, gdzie mieszkali potomkowie żołnierzy zaginionych w czasach dynastii Qin. Żyli pod osłoną gór, w zgodzie między sobą i w zgodzie z naturą. Kiedy jednak rybak próbował tam trafić drugi raz, nie znalazł drogi. Tak się dzieje ze wszystkimi utopiami, o których legendy znane są na całym świecie. Nawet w Ameryce Północnej, gdzie marzenie rodowitych mieszkańców o Krainie Wiecznych Łowów zostało wyparte przez Wielką Cukierkową Górę europejskich osadników. Jak myślisz, Roberto, jeśli dotrzemy odpowiednio daleko, znajdziemy te krainy? Może te legendy to relikt jakichś dawnych wizji Długiej Ziemi?

– Ta dyskusja nie mówi o niczym sensownym – mruknęła Roberta w odpowiedzi. – A co do artykułów, które pan planuje… Nic tutaj nie ma znaczenia.

Yue-Sai spojrzała na nią zaskoczona.

– Jak to? – zdziwił się Jacques.

Roberta skinęła ręką wokół siebie.

– Nadchodzący hiperkan zniszczy to wszystko. Studiowałam teorię klimatu światów z dużą powierzchnią mórz. Są podatne na potężne huragany pobierające ciepło z płycizn oceanicznych. To burze mogące obejmować całe kontynenty, z wiatrami rzędu tysiąca kilometrów na godzinę, które wyrzucają parę wodną aż do stratosfery i niszczą warstwę ozonową… Sprawdziłam też dane balonów meteorologicznych, które wysłaliście z twainów. Taki sztorm formuje się już teraz, możecie spytać waszych meteorologów. Pomyłka jest wykluczona. Potrzeba jeszcze kilku tygodni, by osiągnął pełną siłę, ale kiedy to nastąpi, ta skomplikowana zwierzęca zbiorowość znajdzie się bezpośrednio na jego drodze. To był ciekawy eksperyment, wykroczny wspólny ekosystem rozmaitych gatunków. Ale zostanie przerwany.

Zapadła cisza.

– Przerwany… – powtórzył po chwili Chen.

Robertę irytowały takie reakcje na jej dobór słów. Ludzie zachowywali się jak dzieci, które zatykają uszy, żeby nie słyszeć złych wieści.

– Każde życie kiedyś zostaje przerwane. Mówię jedynie prawdę, która jest trywialnie oczywista.

I znowu nikt się nie odezwał.

Yue-Sai odwróciła głowę.

– Dowódco, chyba powinnyśmy wracać.

– Wyrażam zgodę.

ROZDZIAŁ 41

„Zheng He” i „Liu Yang” zatrzymały się na kilka dni w okolicach Ziemi Wschodniej 2 201 749. Naukowcy porządkowali obserwacje i katalogowali próbki, a mechanicy rozpełzli się po wnętrzach sterowców, testując systemy i prowadząc rutynowe prace konserwacyjne. Potem ruszyli dalej, w regiony wschodniej Długiej Ziemi, nigdy wcześniej niebadane przez chińskie załogi. Ani przez żadne inne.

W nieznane.

Wkrótce potem oba okręty zatrzymały się na dłużej obok Ziemi Wschodniej 2 217 643. Znaleźli tam Szczelinę – przerwę w łańcuchu wykrocznych światów, gdzie lokalna Ziemia została usunięta. Roberta spokojnie przypomniała Jacques’owi, że pierwsza Szczelina zachodnia, odkryta przez Joshuę Valienté, także znajdowała się w okolicach Ziemi Zachodniej Dwa Miliony. Z pewnością z podobieństwa tych liczb można wyciągnąć wnioski co do natury wielkiego drzewa prawdopodobieństwa, jakim jest Długa Ziemia.

Statek Valienté został poważnie uszkodzony, przekraczając w próżnię. Chińskie okręty okazały się lepiej przygotowane. Przeskakiwały tam i z powrotem, wyrzucając wzmocnione automatyczne sondy, które dzięki momentowi obrotowemu sąsiednich Ziemi odlatywały w czarną pustkę Szczeliny. Jacques bez większego zainteresowania oglądał przesyłane obrazy – gwiazdy wyglądające jak widziane z dowolnego świata, planety krążące na pozór po swych zwykłych orbitach, dumnie obojętne wobec braku Ziemi. Członkowie załogi byli jednak zafascynowani, tak jak wcześniej humanoidami i potomkami dinozaurów. Jacques przypomniał sobie, że tę misję wysłała agencja kosmiczna – nic dziwnego. że załogę intrygowały wizje dalszego wszechświata.

Roberta także zdradzała zaciekawienie. Poprosiła, by sondy zbadały sąsiednie planety, Marsa i Wenus, szukając jakichś różnic w ich atmosferach i powierzchni.

Kiedy zakończono wstępne badania nowej Szczeliny, kapitan Chen, z dość chłopięcym i podekscytowanym uśmiechem, poprosił pasażerów, by rankiem stawili się na pokładzie obserwacyjnym.

– Wtedy zacznie się prawdziwa podróż…

Rankiem Jacques i Roberta dołączyli do porucznik Wu przed wielkimi dziobowymi oknami. Jacques trzymał w dłoni kubek kawy, Roberta wodę. Sterowce wisiały na niebie ostatniego świata – dwie smukłe powietrzne ryby nad rozległym dywanem lasu. Kawałek dalej widzieli rzekę, błyszczącą szkliście wstęgę, a potem wielkie i płytkie morze, typowe dla tych ciepłych światów i błękitne aż po horyzont.

Przekraczanie zaczęło się bez ostrzeżenia; światy przemykały w dole, z początku wolno, ale coraz szybciej. Niedługo podróżowali już jeden krok na sekundę – do takiego tempa zdążyli się przyzwyczaić. Układy pogodowe pojawiały się i znikały w rytmie pulsu Jacques’a: słońce, chmury, deszcz, burza, niekiedy nawet śnieg. Migotały elementy lasu: raz tuż przed dziobem „Zheng He” wyrósł ogromny, wyraźnie świeży krater, nim zniknął jak sceniczny rekwizyt… Od czasu do czasu świat rozbłyskiwał albo ciemniał i Jacques wiedział, że systemy okrętu rejestrują kolejnego jokera.

Chen stanął obok i chwycił zamontowaną przed oknem gładką drewnianą poręcz.

– Lepiej się złapcie.

Za nimi trolle zaczęły śpiewać *Eight Miles High*.

Szybkość przekraczania wzrosła. Dla Jacques’a stało się to wzrokowo męczące, jakby przed twarzą coraz szybciej migała mu lampa stroboskopowa. Starał się skupić na pozycji porannego słońca, niezmiennej na kolejnych niebach, ale przez jego tarczę przemykały zasłony chmur, a niebo migotało bielą, szarością, błękitem… Wszyscy teraz chwycili poręcz, nawet Roberta. Jacques miał wrażenie, że słyszy pomruk silników, i wyczuwał, że sterowce nie tylko przekraczają, ale pędzą naprzód. Widział, jak wygina się srebrzysty kadłub „Liu Yang”, ogromnej plastikowej ryby płynącej przez migotliwe światło kolejnych światów. Za nimi ktoś z załogi zaczął

wymiotować.

– To minie – zapewniła Yue-Sai. – Wszystkich nas badano pod kątem skłonności do epilepsji, a leki przeciwko nudnościom zostały starannie dobrane. Złe samopoczucie powinno przejść za chwilę.

Coraz szybciej i szybciej wykonywali kroki, szybciej i szybciej zmieniała się pogoda za oknami. Jacques zmuszał się, by patrzeć; skupił się na drewnianej poręczy pod palcami, na wibracjach silników docierających do stóp przez podłogę. I nagle migotanie ustało, światy zlały się w rodzaj niezmiennej rozmytej plamy. Bledsze niż zwykle słońce wisiało cierpliwie na swoim miejscu, na pozornie bezchmurnym niebie, które nabrało barwy ciemnobłękitnej, jak o wczesnym zmierzchu. Krajobraz w dole wydawał się zamglony i niewyraźny, sylwetki gór, szare i przyćmione, usiane plamami lasu, wydawały się rosnąć, wibrować i zanikać. Rzeka, wijąca się szarpnięciami po okolicy, teraz rozlała się, jakby wystąpiła z brzegów i srebrzystoszarą powierzchnią pokryła szeroki pas gruntu; wybrzeże oceanu także stało się rozmyte, a granica między wodą i lądem niepewna.

– Przekroczyliśmy próg zlania błysków – mruknęła Roberta.

– Tak! – zawołał Chen. – Podróżujemy teraz w szczytowym tempie, pokonując oszałamiające pięćdziesiąt światów na sekundę… To więcej niż częstotliwość odświeżania cyfrowych ekranów, szybciej niż zauważa oko. W takim tempie trasy wielkich wypraw pierwszych pionierów Długiej Ziemi moglibyśmy pokonać w nieco powyżej pół godziny. Gdybyśmy utrzymali taką prędkość, przekraczalibyśmy ponad cztery miliony światów dziennie.

– Ale przesuwamy się również poziomo, tak? – spytał Jacques. – Dlaczego?

– Dryf kontynentalny – odparła natychmiast Roberta.

Chen z aprobatą kiwnął głową.

– Zgadza się. Na Ziemi Podstawowej kontynenty dryfują z czasem. Szybkość to około dwóch centymetrów rocznie. Wskutek efektu kumulacji dryf następuje również przy ruchu wykrocznym. Dlatego przemieszczamy się w poziomie, a wielkie silniki utrzymują nas w sercu płyty tektonicznej, na której znajdują się południowe Chiny. Lepsze to niż całkiem się zgubić. – Mrugnął do Jacques'a. – Nawiasem mówiąc, chińskie sterowce ustanowiły także rekordy prędkości w powietrzu. – Zerknął na zegarek. – A teraz proszę mi wybaczyć, inżynierowie wymagają pochwał, uspokojenia albo jednego i drugiego. Obowiązek wzywa…

Jacques zauważył, że końcowe cyfry na liczniku Ziemi na ścianie rozmyły się zupełnie, jak te światy, które zliczały. Natomiast te wyższe, ważniejsze, wolniej się zmieniające cyfry rejestrowały ogromne kroki, jakie wykonywali w głąb nieznanego.

Trolle wciąż śpiewały.

ROZDZIAŁ 42

Obrazki z misji kapitan Magie Kauffman, podczas panującego na Długiej Ziemi lata:

USS „Benjamin Franklin" kontynuował rejs w sposób nieuporządkowany, często zygzakując. Koloniści Długiej Ziemi nie organizowali się świadomie – ani geograficznie, ani wykrocznie. A jednak pojawiał się wśród nich pewien rodzaj organizacji, jak zauważyła Maggie, kiedy grupki domostw i farm wyrastały na sąsiadujących światach. Gerry Hemingway z działu naukowego opracował matematyczny model przenikania osadników na Długą Ziemię, dający w rezultacie rozkład, który opisał jako „na granicy chaosu". Maggie pomyślała ze znużeniem, że nazwa całkiem dobrze opisuje rzeczywistość.

Kiedyś nad wybrzeżem Atlantyku i pod niebem umiarkowanego Pasa Uprawnego spotkali brytyjski sterowiec „Sir George Cayley" wracający z wyprawy do Islandii. W takich miejscach jak Islandia przekraczający przeszukiwali równoległe światy, by znaleźć sprzyjającą pogodę. Jeśli ktoś miał wybór, ruszał do świata z lokalnym optimum klimatycznym – zmieniał świat, zmieniał aurę. W przypadku Islandii mieszkańcy starali się odkryć wyspy zbliżone do stosunkowo łagodnej krainy, jaką w pierwszym tysiącleciu odkryli i skolonizowali wikingowie (przebieranie się, by zagrać tę rolę, nie było najwyraźniej konieczne).

Delegacje obu okrętów odwiedziły się wzajemnie. Doświadczenie mówiło Maggie, że Brytyjczycy zawsze mają najlepsze alkohole, w tym gin z tonikiem, którym wznosi się toasty za Jego Wysokość – i zawsze na siedząco; tradycja ta sięgała jeszcze czasów Nelsona, kiedy na ciasnych drewnianych okrętach nie było miejsca, by stanąć.

Jednakże tak miłe przygody nie były dla załogi „Franklina" normą.

Bardziej typowe były wezwania do jakiegoś świata siedemset tysięcy kroków od Podstawowej, gdzie jakiś optymistyczny poszukiwacz srebra, który wyobrażenie o technikach wydobywczych czerpał wyłącznie z filmów, zamienił swój szyb w śmiertelną pułapkę. Wydostanie go było prawdziwym wyzwaniem technicznym, na szczęście okazało się, że kadet Jason Santorini zmarnował kilka lat młodości na speleologię – uwielbiał wciskać się w głąb kamiennych rumowisk. Kiedy akcja ratownicza dobiegła końca, Maggie dała załodze kilka dni przepustki, zanim ruszyli dalej.

Drugiego dnia Maggie jadła obiad ze starszymi oficerami na stałym lądzie, w cieniu „Franklina" – kadet Santorini za swoje wysiłki został nagrodzony miejscem przy kapitańskim stole. Zza horyzontu wypłynął nagle inny twain, mały sterowiec komercyjny. Opuścił trap niedaleko, za krzakami. Na dół zeszła dość sztywno para ludzi: starsza kobieta i mężczyzna w średnim wieku.

I kot, który zbiegł za nimi po trapie.

Maggie i jej oficerowie wstali, by powitać nowo przybyłych. Joe Mackenzie podejrzliwie obserwował kota.

– Kapitan Maggie Kauffman? – upewnił się mężczyzna. – Miło mi spotkać panią fizycznie, bo tak wiele o pani słyszałem! Trochę czasu zajęło nam przygotowanie tego spotkania, jak pewnie się pani domyśla…

– A pan to…?

– Nazywam się George Abrahams, a to moja żona Agnes. Mam stopień doktora, choć tym nie musimy się przejmować. – Akcent miał chyba bostoński, a nazwisko wydawało się Maggie irytująco znajome. Był wysoki, szczupły, trochę przygarbiony, nosił gruby czarny płaszcz i na siwych włosach homburga. Twarz miał dziwnie obojętną, pozbawioną wyrazu – trudną do zapamiętania, pomyślała Maggie.

Kot, smukły i biały, rozejrzał się, pociągnął nosem i ruszył mniej więcej w kierunku „Franklina".

Mac szturchnął Santoriniego.

– Miej na oku tego sierściucha.

– Tak jest, sir.

Maggie zaprosiła oboje do stołu, a Mac, najwyraźniej w odruchu uprzejmości, nalał im kawy.

– Proszę powiedzieć, jak nas pan znalazł, doktorze Abrahams – poprosiła Maggie surowym tonem. – To przecież sterowiec wojskowy. Czego pan ode mnie chce?

Jak za nią podążał, okazało się w miarę oczywiste: dzięki outernetowym informacjom przekazywanym przez cywilów i opisującym rozmaite interwencje „Franklina". A czego chciał? To się wiązało z trollowym gwizdkiem…

Maggie pstryknęła palcami.

– No jasne! Pańskie nazwisko było na instrukcji.

– Jestem jego konstruktorem – oświadczył bez szczególnej skromności, a jego żona przewróciła oczami. – Z raportów wiem, że opanowała go pani bardzo szybko, wręcz zadziwiająco szybko, jeśli wolno mi to ocenić. No cóż, przybywam z darami. Mam piętnaście dodatkowych translatorów dla pani i załogi. To wciąż jeszcze prototypy, choć w udoskonalonych wersjach. W miarę jak je rozwijamy, obie strony uczą się ich używać. To znaczy ludzie i trolle. Przekonała się pani, jestem pewien, że trolle są cierpliwie i uczą się tak szybko jak ludzie, Boże wielki, jak one się uczą. I oczywiście pamiętają, pamiętają wszystko.

– No… Bardzo dziękuję – powiedziała zakłopotana Maggie. – Chętnie przyjmiemy trollowe gwizdki, po sprawdzeniu, naturalnie. Zna pan Sally Linsay, jak rozumiem. Ale muszę też spytać, czy jest pan związany z Korporacją Blacka?

– Och, droga pani, dwa pytania niemal w jednym zdaniu… Znam Sally. To niezwykły sędzia dla ludzkości. I surowy; kiedy nie jest w nastroju, pewnie by chętnie skazała kogoś na powieszenie! Co do Korporacji Blacka… – Westchnął. – Oczywiście, że w tym uczestniczą, pani kapitan. Lecz ja jestem niezależny, mam własne warsztaty… Tak, jestem partnerem Korporacji Blacka, ale nie mają mnie na własność. Jednak finansowali moje prace i zorganizowali dostarczenie pani prototypu.

– Douglas Black znowu oddaje za darmo technologiczne skarby?

– W mojej osobistej opinii Douglas Black uważa, że uwolnienie takiej technologii na dłuższą metę będzie miało dobroczynny skutek dla rozwoju ludzkości na Nowej Ziemi. A na krótszy dystans pomoże naprawić nasze nadszarpnięte relacje z trollami. Oczywiście ja podczas moich badań pracowałem z trollami bardzo intensywnie. Cóż to za wspaniałe stworzenia! Nie sądzi pani? I uczuciowe. Każdy, kto miał kiedyś jakieś zwierzę, wie, że posiadają one coś, co odpowiada duszy…

Żona szturchnęła go lekko.

– Przestań wygłaszać kazania, George. A co więcej, do już nawróconych. Zrobiliśmy to, po co tu przybyliśmy. Teraz pora pomachać na do widzenia i pozwolić, by ci dzielni ludzie zajęli się swoimi obowiązkami.

Wydawało się, że na tym skończą. Trochę oszołomiona Maggie posłała ludzi po trollowe gwizdki, po czym wstała, by pożegnać przybyszów. Żona, która w porównaniu z mężem wydawała się dziwnie zaawansowana w latach, gderała trochę, kiedy odchodzili do swojego statku.

– Pospiesz się, mój drogi. Pamiętaj o swojej prostacie.

– Nie przesadzaj, Agnes.

Dopiero kiedy zniknęli, Mac się rozejrzał.

– A gdzie ten przeklęty kot? – zapytał.

Kolejne zadanie czekało na nich w wykrocznej Nebrasce, w drodze powrotnej do Pasa Uprawnego. Zbieracko-łowieckie grupy wędrowne pobliskich równoległych Ameryk spotykały się okresowo na czymś, co nazywano „hootenanny" – połączenie jarmarku małżeńskiego, aukcji farmerów, koncertu rockowego i zjazdu Aniołów Piekieł; takie imprezy wręcz przyciągały kłopoty. Ale dla „Franklina" było to zadanie rutynowe, gdyż samą swoją obecnością te kłopoty odpychał.

Przy okazji główny mechanik Harry Ryan przeprowadził pełną kontrolę systemów – od ostatniego przeglądu minęło już sporo czasu. Wśród rozmaitych drobiazgów zameldował

o problemach z dwoma pozostałymi samolotami „Franklina", właściwie motolotniami, zdolnymi do startu z powietrza, jeśli sytuacja wymagałaby szybkiego reagowania. Trzeci zużyli już na części zamienne…

Maggie przeglądała raport Harry'ego w swojej kajucie przy stanowisku dowodzenia i nagle zdała sobie sprawę, że coś wpatruje się w nią ze skupieniem.

To był kot. Kotka właściwie, kotka George'a Abrahamsa; stała cierpliwie na dywanie i patrzyła na nią. Smukła, biała, na oko zdrowa, należała do rasy, której Maggie nie rozpoznała – zresztą nie znała się na kotach. Oczy zwierzaka przypominały niesamowite zielone iskry. Iskry jak rozjarzone LED-y, spostrzegła Maggie, kiedy przyjrzała się bliżej.

Wtedy kotka przemówiła, kobiecym głosem wyrzucając płynny i całkiem niezrozumiały strumień zgłosek.

– Co? Co?!

– Najmocniej przepraszam – powiedziała kotka. – George i Agnes Abrahams wykorzystywali mnie, żeby ćwiczyć suahili. Stało się to moim ustawieniem wyjściowym. Jestem świadoma, że prowadzisz teraz kontrolę systemów…

Niepewna Maggie znalazła wspomnienie dryfujące po powierzchni jej świadomości.

– Joshua Valienté! On miał gadającego kota, zgadza się? Tak głosi legenda.

I wtedy uświadomiła sobie, że nie tylko widzi gadającego kota, ale prowadzi z tym kotem rozmowę.

– Jestem w pełni wyposażona, by wspomóc waszą obecną działalność. To znaczy analizę systemów. W turbinie drugiej pojawiło się zmęczenie metalu. Spłuczka w toalecie załogi na pokładzie rufowym jest popsuta. Przy okazji: liczba gryzoni na statku pomijalna, ale nie zerowa.

Maggie przyjrzała się kotce. Potem wstała, obeszła biurko, chwyciła zwierzaka i postawiła na blacie. Kotka była cięższa, niż się spodziewała, ale przyjemnie ciepła w dotyku.

Zastanowiła się nad tym, czego się od niej dowiedziała. Stuknęła w panel łączności.

– Hej, Harry…

– Słucham, kapitanie – natychmiast odpowiedział mechanik.

– Jak toaleta załogi?

– Co? Hm, sprawdzę w notatkach… Uszkodzona spłuczka, jak się okazuje. Czemu pani pyta?

– A co się dzieje z turbiną numer dwa?

– Żadnych awarii.

– Mógłbyś sprawdzić jeszcze raz? Odezwij się, jak skończysz. – Znów popatrzyła na kotkę. – No więc… czym ty jesteś, do diabła?

– Sztuczną formą życia. To chyba jasne. Obejmującą także najnowocześniejszą sztuczną inteligencję. Najlepsze w sztucznej inteligencji jest to, że jest lepsza od sztucznej głupoty. Nie sądzisz? Ha, ha.

Głos był całkiem ludzki, ale trochę piskliwy, jakby dobiegał z małego głośnika.

Maggie zachowała kamienną twarz.

– Abrahamsowie zostawili cię u nas?

– Jestem kolejnym podarunkiem, pani kapitan. Proszę wybaczyć ten podstęp. Uznano, że odmówi pani odruchowo. Ale jestem zdolna do wspierania tej misji na wiele sposobów. Misji, której jestem całkowicie oddana.

– Masz jakieś imię?

– Shi-mi. To znaczy „kot" po tybetańsku. Jestem rozwinięciem wcześniejszych modeli…

Zestaw komunikacyjny zapiszczał – łączył się Harry Ryan.

– Nie wiem, jak pani na to wpadła, kapitanie, ale rzeczywiście jest defekt w drugiej turbinie. Zmęczenie metalu w łożyskach. Musimy tę turbinę ściągnąć za maks siedem tygodni, najlepiej w suchym doku. To bardzo delikatne zakłócenie, nie ujawniłoby się przez jeszcze co najmniej kilka dni pracy, ale prawdopodobieństwo awarii rośnie. Pani kapitan, jestem zażenowany, że tego nie zauważyliśmy.

– Nie przejmuj się, Harry. Poproś Nathana, żeby ułożył harmonogram przelotu. Wracamy do domu.

– Tak jest.

– Praca turbiny nie brzmiała właściwie – oświadczyła skromnie Shi-mi. – Łatwo to zauważyć. Ale to w końcu tylko opinia jednego kota.

– Nie jesteś tylko kotem, prawda?

– Nie, pani kapitan. Mnie zbudowano według najwyższych norm działów robotyki, protetyki i sztucznej inteligencji. Podczas gdy waszą turbinę zbudował dla rządu ktoś, kto zaproponował najniższą cenę. Dziękuję bardzo, mam nadzieję, że zaliczyłam audyt. A przy okazji: czy poczuje się pani urażona, jeśli od czasu do czasu przyniosę pani mysz? To taka tradycja…

– Proszę bardzo.

– Dziękuję.

– I staraj się nie wchodzić w drogę Joemu Mackenzie.

– Tak jest, pani kapitan. Czy to znaczy, że mogę zostać na pokładzie?

– Tylko wynieś się stąd.

– Tak jest.

ROZDZIAŁ 43

Lobsang użył swoich wpływów w Korporacji Blacka i zarezerwował dla Joshuy i Billa sterowiec. Był to stosunkowo mały i zwinny statek, z przejrzystą solarną powłoką, ścianami z paneli ceramicznych i z wielkimi widokowymi oknami. Normalnie był wykorzystywany jako pilot towarzyszący wielkim wykrocznym konwojom na trasie do Walhalli. Nie miał nazwy, jedynie korporacyjny numer, więc Bill natychmiast nadał mu imię „Shillelagh".

Bill z powodów, jakich Joshui nie zdradził, chciał wystartować nie z typowych portów na Missisipi, ale z regionu Seattle, na północnym zachodzie, na wybrzeżu Pacyfiku. Najszybszą metodą transportu sterowca z bazy w Hannibal na Niskiej Ziemi do Seattle było zdemontowanie go, przewiezienie koleją przez Stany Podstawowe i złożenie przy rękawie na lotnisku SeaTac. Zajęło to tydzień. Podróżnicy wykorzystali ten czas na przygotowania, na zebranie zapasów i ekwipunku. Lobsang dostarczył im coś, co nazwał „trollowym zestawem translacyjnym", zapakowanym w czarny blok dostatecznie mały, by zmieścił się w plecaku.

Joshua popytał o Sally tu i tam, zgodnie z sugestiami Billa. Odwiedził hotele, w których się zatrzymywała, sprawdził nawet w domu Jansson. Bezowocnie poszukiwał jakichkolwiek wskazówek, gdzie mogła zniknąć.

Musiał też wyjaśnić sprawę rodzinie, którą pozostawiał, po raz kolejny znikając gdzieś na dalekich Ziemiach – znowu odchodził na prośbę Lobsanga, znowu odciągała go Sally, tajemnicza rywalka Helen. Mały Dan mu zwyczajnie zazdrościł, bo też chciałby wyruszyć na taką wyprawę. Helen, która walczyła o zgodę na widzenie z bratem w więzieniu, groźnie milczała. To nie była szczęśliwa rodzina i nie po raz pierwszy Joshua czuł, że pęka mu serce.

Wyruszył jednak mimo to.

Powodowany nagłym impulsem, zabrał szafirowy pierścień, jedyną pamiątkę z tamtego lotu z Lobsangiem sprzed dziesięciu lat – zdjął go z haczyka na ścianie w domu Jansson i zawiesił w saloniku gondoli. Zastanawiał się, czy Sally tego by po nim oczekiwała.

Tak więc w słoneczny czerwcowy poranek w SeaTac Podstawowym Joshua siedział w kompaktowej gondoli, zaprojektowanej jak przyczepa kempingowa: maleńka wnęka kuchenna i salonik, składane koje i stoliki – zresztą wnętrze projektowali specjaliści od przyczep z Airstream. Bill zajął miejsce w małej sterówce na dziobie.

„Shillelagh" wzniósł się bez trudu. Po chwili przed Joshuą rozciągnął się wspaniały widok na lotnisko i ciasno zabudowane tereny wokół, a potem na zatokę Puget Sound.

Wszystko to zniknęło, kiedy zaczęli przekraczać, zastąpione coraz skromniejszymi zabudowaniami SeaTac Zachodniego 1, 2 i 3, ich wstążkami dróg i torów, niewielkimi osadami wyciętymi w bezkresnych lasach; każdy z tych światów widziany tylko przez jedno uderzenie pulsu – aż w końcu, po zaledwie kilku krokach, wszelkie ślady ludzkiej obecności zniknęły niemal całkowicie. Pozostał tylko las, Sound i spiętrzone w dali szczyty pasma Kaskad. Przekraczając, sterowiec wznosił się stale, a Bill kierował go w poziomie ku górom, praktycznie niezmiennym, choć mijali kolejne światy. Niebo za to migotało – pogoda nigdy nie była taka sama między jedną Ziemią a drugą i w ten czerwcowy dzień przelatywali od słońca przez chmury w ulewę.

W pierwszych kilku światach niewiele mogli zobaczyć prócz koron drzew. Joshua wiedział, że w dole żyją niedźwiedzie, bobry i wilki – ludzie także, choć poza Niskimi Ziemiami istniał tylko długi i coraz węższy szlak kolonizacji. Więcej było tu szczurów niż ludzi, zapewne, zwłaszcza teraz, kiedy tak gęsto latały twainy z obszernymi ładowniami i zapasami żywności. Co jeszcze działo się na dole, mogli tylko zgadywać. Realizowano wprawdzie program pomiarów kartograficznych Niskich Ziemi, w ramach którego niewielkie satelity przelatywały na biegunowych orbitach ponad obracającą się planetą, za pomocą kamer, georadarów, czujników podczerwieni i innych sensorów badały kontynenty, oceany i czapy lodowe, a potem przekraczały do następnego świata, i następnego… Nawet takie ziarniste obrazy, ukazujące

niewiele szczegółów mniejszych niż spory samochód, dostępne były jedynie dla mniej więcej setki najniższych światów. Dalej, poza jakimiś wyjątkami, które badano dokładniej, nikt właściwie niczego nie wiedział.

Wspinali się nad zboczem Mount Rainier, kiedy trafili do pierwszego ze światów lodowcowych. Przez kilka sekund lecieli wysoko nad spękanymi białymi polami, a potem znowu pojawiła się nieskończona zieleń.

Joshua siedział i obojętnie śledził zmiany scenerii. Już zaczynał tęsknić za rodziną. Zastanawiał się, czym mógłby się zająć.

– Bill?

– Tak?

– Tylko sprawdzam. Jak leci?

– Idealnie.

– Dobrze.

– Muszę się skupić na pilotażu. Nie jest to moje zwykłe zajęcie, ale chłopcy z Korporacji Blacka urządzili mi przyzwoite szkolenie. To dość proste… ale nie tak jak prowadzenie samochodu. Ani nawet jazda konna. W końcu statek musi być świadomy, przynajmniej w pewnym stopniu, i prawdę mówiąc, jest mądrzejszy od konia. To tak jakbyś cały czas z nim dyskutował. Wiesz, jechałem kiedyś na słoniu, na farmie w afrykańskim buszu, w rezerwacie. Słoń afrykański nie jest oswojony, jak indyjski. To wielka i chytra bestia, która wie, dokąd chce iść, i jeśli masz szczęście, może się zdarzyć, że w tę samą stronę co ty. W przeciwnym razie możesz tylko się trzymać. Tutaj jest tak samo. Trochę wariacko, nie? Ale dotrzemy do celu, gdziekolwiek leży ten cel.

– Może być.

I tyle. Przypominało to wyprawę „Marka Twaina" sprzed lat – ale przynajmniej teraz Joshua lepiej się dogadywał z drugim członkiem załogi.

Przed zachodem słońca minęli Pas Lodowy, jak go nazywano – plik zlodowaciałych światów wokół Podstawowej, i lecieli nad bardziej jałowymi światami Pasa Górniczego. Widoki stały się jeszcze bardziej jednostajne. Joshua przygotował posiłek: racje polowe podgrzane na pojedynczym palniku – na tym statku nie mogli liczyć na wykwintną kuchnię. Zaniósł porcję Billowi, który rozbił obóz w sterówce. Potem się położył, spoglądając przez okna gondoli na gasnące promienie letnich słońc połyskujące na powłoce.

Świt przyniósł więcej tego samego.

Przed południem drugiego dnia wlecieli w Pas Uprawny, sto tysięcy kroków od Ziemi Podstawowej – szeroką wstęgę cieplejszych światów pokrytych lasami i prerią, a teraz także ludzkimi osadami rolniczymi. Wśród nich był też Restart, założony przez Helen i jej rodzinę wędrowców – tam brali ślub.

Potem, późnym popołudniem, Joshua wyczuł, że sterowiec zwalnia. Migotanie nieba stało się powolniejsze, a mniej czy bardziej podobne pejzaże w dole zmieniały się coraz bardziej powoli, aż zamarły.

Gniewne brzęczenie wypełniło powietrze. W gondoli zrobiło się ciemno, gdyż światło przesłoniły roje ciężkich owadów, z trzepotaniem chitynowych skrzydełek uderzających bezustannie o duże okna. Joshua zerknął na nieduży ziemiometr – byli na Zachodniej 110 719.

Musiał krzyczeć w tym hałasie.

– Hej, Bill!

– Słucham.

– Poznaję to miejsce!

– Powinieneś. Typowy joker. Właściwie to sam go odkryłeś podczas wyprawy z Lobsangiem.

– Tak, i minęliśmy go z marszu. Co tutaj robimy, Bill? Te robale nas poduszą, jeśli wcisną się do wentylacji!

– Cierpliwości, świerszczyku…

Sterowiec wznosił się teraz, Joshua wyczuwał to, ale świat wciąż skrywały chmary owadów – przypominały trochę wielkie szarańcze, co zapamiętał z pierwszej wizyty.

I nagle „Shillelagh" zalał blask słońca. Joshua zobaczył, że wciąż się unoszą nad zboczem Mount Rainier, czy też jej kopii z tego świata. Najwyraźniej klimat był tu cieplejszy od średniej, gdyż las sięgał prawie do skruszonego erozją szczytu – las dębów, w którym drzewa wyrastały z bujnej plątaniny powalonych pni i zarośli. Zauważył w dole strumień spływający po stromym zboczu. Coś ciężkiego przedzierało się przez poszycie i parło na wschód, a siedzące tam stworzenia wystraszone poderwały się do lotu – nie były to ptaki, lecz coś w rodzaju wielkich i tłustych ważek; hałaśliwie trzepocząc, odfrunęły w bezpieczne miejsce.

Kiedy oderwał wzrok od szczytu, zobaczył krajobraz okryty chmarami owadów niczym pulsującym lśniącym dywanem, sięgającym chyba aż do widocznego w oddali oceanu. Grunt roił się od nich, podobnych do czarnych rzek spływających między rzadkimi plamami zieleni; zewsząd unosiły się nowe roje. Nic jednak nie dolatywało na wysokość wierzchołka Mount Rainier ani innych gór w Kaskadach, których zbocza wyrastały z chmur jak zielone wyspy na owadzim morzu.

– Mają ograniczony pułap – zauważył Joshua.

– Owszem. Większość dużych gatunków ma. Nie wszystkie. Ale to wystarczy, żeby na szczytach dało się przeżyć.

– Żeby kto przeżył?

– My, Joshuo. A konkretnie ty.

– Zatrzymujemy się tutaj?

– Tak. Nie na długo, może na jedną noc.

– Po co?

– Mamy spotkanie. Dlatego chciałem zaczynać w Kaskadach. Rzucę kotwicę i spuszczę drabinę. Ta trawiasta polana nad strumieniem, o tam, chyba nadaje się na biwak. Ale zabierz taśmę. No wiesz, tę kasetę.

Trochę niechętnie Joshua zaczął szykować sprzęt: śpiwór, racje żywnościowe, zestaw do rozpalania ognia. Repelent na owady!

– Mam tam zejść sam, tak?

Bill wydawał się trochę zakłopotany.

– Posłuchaj, nie chcę, żebyś mnie brał za jakiegoś fanboya. Ale twoja Wyprawa jest sławna… Oczywiście, wiem, jak było naprawdę. Chodzi o to, że sam schodziłeś na te wszystkie nieznane światy, a Lobsang zostawał bezpieczny na sterowcu. Ty, prawdziwa gwiazda.

– To pocieszenie po tych wszystkich bliznach…

– Ale taka strategia naprawdę ma sens. Chodzisz, badasz, co trzeba, nawiązujesz kontakt…

Jaki kontakt? – zdziwił się w duchu Joshua.

– …A tymczasem ja siedzę na górze, gotów do pomocy, kiedy coś się spieprzy.

– Kiedy…?

– Jeśli, kolego. Jeśli. Przejęzyczyłem się.

Nie po raz pierwszy w trakcie swych przygód na Długiej Ziemi, wbrew własnej ocenie, Joshua zgodził się ustąpić.

Bill uparł się, by zabrał krótkofalówkę i niewielki zestaw naramienny z łączem TV i czujnikami. Joshua zgodził się, mimo nieprzyjemnych wspomnień z naramiennymi papugami Lobsanga. Sam zdecydował się zapakować pistolet.

Zejście okazało się proste. Gdy tylko stanął na ziemi, sterowiec wzniósł się, zabierając ze sobą drabinkę. Joshua rozejrzał się czujnie. Na otwartej przestrzeni, którą między drzewami wyciął strumień, było dość przyjemnie. Powietrze pachniało wilgotnym drewnem i liśćmi gnijącymi tu od tysiącleci; słyszał dalekie brzęczenie falującego morza owadzich rojów poniżej wierzchołka. Nad jego głową jakieś owadzie odpowiedniki nietoperzy śmigały za stworzeniami podobnymi do much.

Nie miał nic do roboty – mógł tylko czekać. Przygotował biwak; rozłożył karimatę

i śpiwór. Zastanowił się nad ogniskiem, ale było całkiem ciepło, choć wilgotno. Miał suchy prowiant, więc nie musiał niczego gotować.

Zaczął się odprężać. Czuł się jak na wakacjach. Zastanawiał się, czy nie połowić trochę, tylko dla zabawy, o ile w tych górskich strumieniach były jakieś ryby…

Radio z kliknięciem zbudziło się do życia.

– Josh, słyszysz mnie tam?

– Nie.

– Ha, ha. Jak sobie radzisz na dole?

– Rezerwuję stolik w restauracji.

– Zabawne, że o tym mówisz. Gdyby coś się poważnie spieprzyło i potrzebowałbyś szybko zaopatrzenia, to jest tam taka kryjówka, jakiś kilometr w dół strumienia.

– Kryjówka? Z czym?

– Sprzęt surwiwalowy. Schronienie, trochę żywności, noże, narzędzia. Zapasowe sznurówki do butów. Zostawione przez czesaczy dla czesaczy.

Joshua usiadł na śpiworze.

– Bill, czemu się tu zatrzymaliśmy? Kto, u licha, zatrzymuje się na jokerach?

– Czesacze się zatrzymują. O to właśnie chodzi. Chcesz poznać historię tego świata? Skąd Ziemia Zachodnia 110 719 wzięła swoją szarańczę? Najlepsza teoria sugeruje, że nigdy nie wyewoluowały tu pterozaury.

– Pterozaury?

– I inne latające gady. Na Podstawowej, przed pterozaurami, niebem rządziły wielkie owady. Rosły do granic możliwości, wykorzystując natlenienie powietrza. Potem zjawiły się pterozaury i wybiły wielkie owady. Zostały tylko te małe i nigdy już nie urosły. Potem niebo należało już do gadów, a jeszcze później do ptaków. Tutaj… żadnych pterozaurów, nie wiadomo, z jakiego powodu. A później ptaki też nie miały szans, by urosnąć. Czyli w efekcie to nie jaskółki gonią za muchami, ale wielkie żarłoczne ważki polują na ptaki wielkości dużych ciem.

– Czyli nie jest to świat dla ludzi?

– Nie ma szans.

– Ale czesacze tu bywają?

– Oczywiście. I w innych odpowiednich do życia miejscach na innych jokerach. Joshuo, joker to przecież cały świat i nie może być wszędzie taki sam. Zawsze się znajdą jakieś bezpieczne miejsca, kryjówki jak ta. Warto je poznać.

– Jak?

– Przez innych czesaczy. To cała subkultura, o jakiej tacy jak ty albo Lobsang nie mają pojęcia. I nam to odpowiada. Ty uważasz, że w Długiej Ziemi chodzi o kolonie, jak Diabli Wiedzą Gdzie czy Restart, o takie miasta jak Walhalla, o wojny o niepodległość i co tam jeszcze. Wszystkie te obłąkane zagrywki z historii Podstawowej przeniesione do nowych światów. Ale to nie jest cała historia, Joshuo. Tu chodzi o nowy sposób życia, czy może raczej o bardzo stary. Czesacze nie skolonizowali Długiej Ziemi, Joshuo. Ani nie zaadaptowali jej, żeby odpowiadała ich potrzebom. Oni tylko w niej żyją. W takiej, jaka jest.

Wykład zaskoczył Joshuę. Wychowywał się z Billem, teraz mieszkali w tym samym miasteczku. Myślał, że go zna.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Och, ty miewasz wakacje. Ja też czasem lubię się urwać i sobie pochodzić. Zawsze wracam. Mój problem jest taki, że za bardzo lubię domowe wygody. I lubię się czasem napić. Ale to zawsze świetny urlop. W każdym razie wiem, jak myślą ci ludzie.

Joshua zastanawiał się chwilę.

– I teraz musimy myśleć jak czesacze, żeby odszukać trolle. Zgadza się?

– Ponieważ trolle też żyją na Długiej Ziemi. Znają tajemne miejsca, gdzie mogą się ukryć, tak jak się tego uczą czesacze… Ciemno się robi.

– Zauważyłem.

– Joshuo, nie przeszkadza ci, że zostaniesz tam na noc? Dookoła czają się różne

egzotyczne potwory, nie muszę ci chyba mówić.

– Ale masz czujniki podczerwieni i sonarowe czujniki ruchu. Wykryjesz poruszające się ciała, ciepłokrwiste i zimnokrwiste. Tak? W razie czego mnie obudź.

– Nie ma sprawy. Śpij dobrze, kolego.

– Ty też.

Obudził się o szarym, mglistym świcie.

Zanim jeszcze otworzył oczy, zdał sobie sprawę z nieprzyjemnego dreszczu na karku, produktu milionów lat zwierzęcej czujności próbującej się przebić przez odźwiernego, jakim stał się mózg.

Ktoś go obserwował.

Usłyszał słowa:

– Bez-z ś-śścież-żki.

Usiadł, nadal w śpiworze.

Elf stał oparty o pień drzewa, kilka kroków od niego. Wtapiał się w tło tak idealnie, że byłby niezauważalny, gdyby nie odwrócił głowy i się nie uśmiechnął. Słaby blask słońca oświetlił dwa rzędy idealnie trójkątnych zębów.

Elf wyszedł z cienia i stanął nad śpiworem.

Miał najwyżej metr dwadzieścia, był krępy i silny, z twarzą, która wiele zawdzięczała smętnemu pawianowi, oraz punkrockową fryzurą, która wszystko zawdzięczała papudze. Miał na sobie rodzaj skórzanej przepaski biodrowej i u pasa nosił skórzany mieszek. Był bosy; stopy miał całkiem podobne do ludzkich, tyle że ze szponami zamiast paznokci. Joshua szukał wzrokiem innej broni, ale nie zauważył żadnej.

Elf znów się uśmiechnął. Joshua czuł jego oddech. Pistolet leżał w śpiworze, jednak Joshua miał nieodparte wrażenie, że w tej chwili próba sięgnięcia po broń byłaby wyjątkowo głupia.

W takich chwilach, myślał, musi istnieć jakieś lepsze otwarcie niż „Gwiazda błyszczy nad godziną naszego spotkania". Ale te słowa padły z głośnika trzeszczącego radia leżącego na ziemi obok śpiwora. Najwyraźniej Bill obserwował wszystko.

Elf znów się uśmiechnął.

– Życzę c-ci dobrej ś-śśmierci.

Angielski! Mówił po angielsku! To w oczywisty sposób był elf, przedstawiciel jednego z licznych szczupłych i smukłych gatunków humanoidów, które na całej Długiej Ziemi tak nazywano. I choć Joshua nigdy ich nie widział, natychmiast odgadł, do jakiego podgatunku należy przybysz.

– Jest koboldem.

– Najwyraźniej – mruknął Bill przez radio. – Niektórzy nazywają ich pierścieniogonami. Albo miejskimi lisami w tym walonym angielskim.

– Myślałem, że to legenda czesaczy…

– Nie mów mu tego, bo się wkurzy. Mam go na podczerwieni. Widzę, jak jest uzbrojony. Nie zrobi ci krzywdy. Prawdopodobnie. Powiedz, jak byś go opisał.

– Możesz sobie wyobrazić, że Gandhi spotyka Piotrusia Pana?

– Nie…

Kobold znowu wyszczerzył ostre zęby.

– Nie martw, mały człow-wieku. Ja chronię. Jesteś bez-zzpieczny. Bądź przyjaciel.

– Świetnie. Nazywam się Joshua.

Kobold z powagą kiwnął głową.

– Wiem. Lobsang cię pos-ssłał.

– Lobsang? Wiesz o Lobsangu? Jakoś nie jestem zdziwiony.

– Głośno o tobie, Joshuo, we wszystkich plotkach koboldów – wtrącił się Bill. – Zwłaszcza odkąd zacząłem w twoim imieniu zbierać informacje o Sally.

– Mas-sz kamień, c-co ś-śśpiewa?

– Kamień co śpiewa?

– Tak. Kamień, co zjada duszę człowieka i śpiewa. Święta muzykka. L-ludzie ś-śpiewają

po ś-śmierci. – Kobold zamilkł na moment, choć poruszał ustami, jakby chciał coś sobie przypomnieć. – Jak Buddy Holly.

– Powiedz: tak – polecił Bill.

– Tak.

– Szlag, Joshuo, muszę ci wszystko przeliterować? Daj mu tę kasetę.

– Aha… „kamień, co śpiewa". Rozumiem. – Joshua sięgnął po kurtkę, której używał zamiast poduszki, i wyjął z kieszeni wytartą kasetę.

Kobold wyciągnął rękę i wziął ją tak, jak gorący wyznawca bierze relikwię. Powąchał, podniósł do ucha i delikatnie potrząsnął.

– Bill był tu wcześ-śśniej. Rozmawiamy. Daje mi muz-zykę. Daje kawwę. Daje maszynę, co pije s-ssłońce i gra ś-świętą muz-zzykę.

– Mówisz o odtwarzaczu kaset?

Kobold obracał kasetę w długich palcach.

– Kinkss?

– Tak, ten album chciałeś – potwierdził Bill przez radio. – *The Kinks Are the Village Green Preservation Society*.

– Dobrze… – Kobold wydobył z mieszka u pasa odrapany walkman, powierzchnię baterii słonecznych skierował ku słońcu, założył na szyję starożytne z wyglądu słuchawki i wcisnął kasetę do szczeliny.

– Ekstras-ssy?

– Masz tam dwanaście utworów z wersji mono, wydanej w Europie, piętnaście z wersji brytyjskiej, mono i stereo, plus kilka ciekawostek. Alternatywny miks *Animal Farm*. Niewydany utwór *Mick Avory's Underpants*…

Kobold już nie słuchał. Wycofał się pod drzewo, przyciskając do uszu wytartą piankę słuchawek.

– To tyle – stwierdził cicho Bill. – Jest wyłączony na parę godzin, dopóki wszystkiego nie przesłucha. Josh, jeśli masz ochotę na śniadanie, teraz jest odpowiednia chwila.

– Kinks, Bill?

– Świetny zespół z lat sześćdziesiątych. Brytyjski, ale wybił się w Stanach…

– To mnie nie interesuje. Bez obrazy dla Kinksów. Ale o co chodzi z tą taśmą?

– Wymiana towarowa. Koboldy lubią ludzką kulturę. Niektóre szaleją za muzyką. Ten się złapał w chwili, kiedy pierwszy raz usłyszał *Waterloo Sunset*. To trochę kapuś. Informator. Dostarczam mu muzykę, jakiej chce, a on w zamian daje informacje.

– Tak, ale kto używa odtwarzacza kasetowego?

– No wiesz, ten gość jest starszy, niż wygląda. Zajmuje się takimi wymianami od lat. Jest humanoidem, którego linia ewolucyjna oddzieliła się od ludzkiej miliony lat temu. Trudno, żeby szybko łapał nowe technologie.

Joshua wysunął się ze śpiwora.

– Muszę się napić kawy.

ROZDZIAŁ 44

Pierwsi przekraczający, badający Długą Ziemię, nie znaleźli żadnych śladów współczesnego człowieka poza Podstawową.

Jasne, znaleźli trochę kamiennych narzędzi. Znaleźli ślady palenisk w głębinach jaskiń. Znaleźli nawet jakieś kości. Ale nie było żadnego wielkiego przeskoku – żadnych rysunków naskalnych, żadnych ubieranych kwiatami miejsc pochówku, żadnych miast, żadnej zaawansowanej techniki (w każdym razie ludzkiej). Iskra intelektu musiała się zatlić za wystającym przedludzkim czołem na milionie światów, tak jak na Ziemi Podstawowej – ale prócz Podstawowej nie rozpaliła się nigdzie. Z nieznanego powodu te alternatywne światy, do których wlewali się ziemscy pionierzy, były na ogół mroczne i spokojne. Światy drzew – wiele z nich. Ziemie jak rozległe i gęste lasy. Sama Podstawowa była tylko polaną w tych puszczach, iskrą cywilizacji, kręgiem światła z ogniska, poza którym cienie rozciągały się w nieskończoność. Bywało, że na wielu światach żyły humanoidy, potomkowie zaginionych kuzynów człowieka, ale ludzie wiedzieli, że nigdy nie spotkają humanoida, który jest choćby w przybliżeniu taki sprytny jak oni. Nie spotkają humanoida, który umie mówić po angielsku, na przykład. Jedno się nie zgadzało w tym powszechnie uznawanym obrazie – był całkowicie błędny.

Profesor Wotan Ulm z Uniwersytetu w Oksfordzie, autor bestsellerowej, choć kontrowersyjnej książki *Kuzyni Patrzącego w Księżyc. Rozprzestrzenianie humanoidów na Długiej Ziemi*, poruszył temat koboldów w wywiadzie, jakiego udzielił BBC:

Oczywiście, wobec wyrywkowości naszych badań Długiej Ziemi, możemy wyciągać jedynie wstępne wnioski. Dowody istnienia koboldów to niewiele więcej niż legendy i anegdoty. Mimo to analiza DNA próbek dostarczonych przez wczesne ekspedycje, w tym zęba wbitego w but Joshuy Valienté, potwierdza, że humanoidy Długiej Ziemi oddzieliły się od grup z Ziemi Podstawowej już kilka milionów lat temu, prawdopodobnie w okresie rozwoju *Homo habilis*, pierwszego hominida wytwarzającego narzędzia. Potwierdza to moją hipotezę, że właśnie rozwinięte cechy kognitywne *Homo habilis* pozwoliły niektórym przedstawicielom tego gatunku na przekroczenie do sąsiednich światów. Zdolność wyobrażenia sobie narzędzia w kamieniu może być powiązana ze zdolnością do wyobrażenia sobie całkiem innego świata. I potem sięgnięcia do niego…

Po rozdzieleniu – kiedy przekraczający odeszli, a Ziemię Podstawową zasiedlili potomkowie tej reszty, która przekraczać nie potrafiła – humanoidy rozprzestrzeniły się po Długiej Ziemi, ewoluując w rozmaitych niszach ekologicznych. A przez cztery miliony lat dobór naturalny okazał się zadziwiająco pomysłowy.

Jedną z fundamentalnych różnic między gatunkami humanoidów jest to, czy zachowały możliwość przekraczania, czy nie. Niektóre tak, jak wiemy, na przykład forma nazywana trollami. Inne nie. Jeśli grupy znalazły Ziemię wygodną do zamieszkania, osiadły i utraciły tę zdolność. W niektórych przypadkach utraciły też inteligencję, wspierającą umiejętność przekraczania, i zaczęły zasiedlać swój pojedynczy świat. Nie powinno nas to zaskakiwać. Młode żachwy są ruchliwe, mają ośrodkowy układ nerwowy i mózg. Kiedy jednak żachwa znajdzie odpowiedni kamień, osiada na nim, otwiera syfon wlotowy i zaczyna bierne życie, absorbuje własny mózg i włącza telewizor. Podobnie ptaki, po skolonizowaniu wyspy wolnej od drapieżników, tracą zdolność lotu. Lot, tak jak inteligencja, jest energetycznie kosztowny i można tę cechę wyłączyć, jeśli nie jest używana, nie jest konieczna dla przetrwania. Podobnie dzieje się zapewne z przekraczaniem.

Drugim rozgraniczeniem ewolucyjnym wśród wędrownych gatunków jest to, czy miały częste kontakty z ludzkością na Ziemi Podstawowej. Jeśli nie, mogły wyewoluować w formy całkiem nieznane z Podstawowej, takie jak trolle. Jeśli natomiast miały takie kontakty, można by przypuszczać, że będziemy o tym wiedzieć. W pewnym sensie wiemy rzeczywiście. Zadziwiające, jak wielka część naszego folkloru da się wyjaśnić, jeśli uznamy istnienie

humanoidalnych istot, które potrafią swobodnie przekraczać.

Co do samych humanoidów mających kontakty z ludźmi, mogło to mieć wpływ na ich dalszą ewolucję. Mogły się rozwinąć, by wyglądać tak jak my, dla lepszego maskowania. Mogą wyglądać groźnie albo słodko, żeby nas rozbroić. Albo, co najbardziej interesujące, mogły ewolucyjnie uzyskać mechanizmy mowy, by w jakiś sposób się z nami porozumiewać. Nawet inteligencja mogła być promowana, by z nami współzawodniczyć.

I tak doszliśmy do koboldów. Te istoty rzeczywiście mogą być tymi mitycznymi koboldami, źródłem germańskich legend o podziemnych duchach, znanych także jako odmiany gnomów, krasnoludów czy *Bergmännlein*, „małych ludzi gór". Nawiedzały kopalnie rud metalu i raczej dawały się usłyszeć, niż zobaczyć. Bywały pomocne: ich stukanie prowadziło ludzkich górników do bogatych złóż rudy albo ostrzegało o zagrożeniu. W Kornwalii znane były jako stukostrachy. Czasami też kradły błyskotki, jak lusterka czy grzebienie. Były najwyraźniej zafascynowane ludzką kulturą materialną, choć nie potrafiły jej naśladować.

Należy tu wspomnieć, że mocna budowa obserwowanych koboldów, ich awersja do ostrego światła, dłonie i stopy wyraźnie zaadaptowane do kopania w ziemi – to wszystko cechy sugerujące podziemny tryb życia. Może ewoluowały pod powierzchnią Ziemi Podstawowej, a przynajmniej przystosowały się do takich warunków, gdy ich przodkowie przekroczyli i odeszli, a potem wrócili. Może w niedawnych wiekach przyrost ludzkiej populacji w końcu wypchnął ich i odizolował od nas do czasu, kiedy rozpoczęła się nasza własna krokowa dyfuzja. Nawiasem mówiąc, słowo „kobold" jest źródłem nazwy „kobalt".

Co dziwne, choć istoty te są pod wieloma względami najbardziej do nas podobne ze wszystkich gatunków humanoidalnych, w pewnym sensie także najbardziej rozwinięte umysłowo, równocześnie należą do najbardziej tajemniczych. Może powodem są lekceważące określenia, jakich ludzie używają wobec nich. A może po prostu znają ludzi.

Laika może zaskakiwać fakt istnienia na Długiej Ziemi osiadłych humanoidów, które w ewolucyjnych skalach czasowych kształtowane były przez kontakty z ludźmi. To może się zdarzyć oczywiście tylko wtedy, gdy gatunek powrócił na Ziemię Podstawową i potem stracił zdolność przekraczania. No cóż, istnieje na Podstawowej gatunek, który mógłby pasować do tej kategorii, choć ewidencja genetyczna wydaje się kontrowersyjna: to szympansy bonobo. W retrospekcji – kto mógłby sobie wyobrazić, że te łagodne stworzenia pochodzą z tej samej planety co istoty podobne do nas? Nie wspominając nawet o ich kuzynach, zwykłych szympansach, prawie tak niesympatycznych jak my. Nic dziwnego, że przodkowie bonobo wynieśli się stąd, kiedy tylko zdołali ukraść samochód. I pechowo się złożyło dla współczesnych bonobo, że ich późniejsi przodkowie przywędrowali z powrotem.

Czy to wystarczy, Jokasto? Więc może powiesz temu długowłosemu pseudokoboldowi w reżyserce, że jedzenie burgera w czasie całego mojego wywiadu jest nawet bardziej obrzydliwe, niż to sobie wyobrażasz…

ROZDZIAŁ 45

– Masz więcej Kinks-ss?

– Trochę – przyznał Bill.

– Daj.

– Nie.

– Jak ci na imię? – zapytał w końcu Joshua.

Kobold się uśmiechnął. A przynajmniej jego zęby się uśmiechnęły.

– Moje imię dla lludzi to Finn McCool.

– Ja to wymyśliłem – wtrącił Bill. – Jakoś tak pasowało.

– Nie daję imienia ludziomm. Nie moje imię.

– Finn McCool wystarczy – zapewnił Joshua.

– Ludzie ze śświata bez śścieżek dziwniejs-ssi niż trollen – oświadczył Finn McCool, przyglądając się Joshui i elementom jego wyposażenia. – Jak żyją? Bezz broni?

– Och, mam broń.

– Ale jednną tylko. Jesteś bez śścieżki. Nasss wielu.

– Wielu? Gdzie? Gdzie jest reszta?

Kobold wyciągnął rękę.

– Ty dajesz. Tak ssię robi, wszys-sscy wiedzą. Ty dajesz, ja mówię.

– Nie zwracaj uwagi – wtrącił Bill. – Już dałeś. On tylko próbuje utargować lepszą cenę.

Joshua przyjrzał się koboldowi.

– Handlujesz, tak? Wymieniasz się z innymi ludźmi?

– Z innymi ludźmi. I jesz-szcze innymi, nie-ludźmi, nie-kobolldami.

– Z innymi typami humanoidów? Innymi rasami?

– A oni handlują z jesz-szcze innymi. Innymi, z dalekich ś-światów.

– Jak dalekich?

– Śświatów, gdzie nie ma kssiężyca. S-ssłońce innego koloru.

– Gówno prawda – zirytował się Bill. – Nie ma takich światów. On tylko stara się więcej od ciebie wyciągnąć, Joshuo. Prawda, Finnie McCool? Nie wykantujesz kanciarza, marny kantowniku. Słuchaj, Joshuo, musisz zrozumieć, z kim masz do czynienia. To oślizłe małe łobuzy. Szybko się poruszają. Potrafią chyba korzystać z czułych punktów, cały czas gadają i handlują z nami i między sobą. Ale nie są ludźmi! Nie robią interesów jak my, nie dążą do bogactwa, nie walczą o maksymalny zysk. Bardziej przypominają…

– Kolekcjonerów?

– Coś w tym stylu, tak. Jak ci maniacy, którzy zbierają komiksy. Albo sroki zafascynowane ludzkimi drobiazgami, błyszczącymi świecidełkami, które mogą ukraść i potem oglądać, ale nigdy nie zrozumieją. Nie ma w tym logiki, Joshuo. Chodzi tylko o towar, którego chcą, to wszystko. Kiedy już to zrozumiesz, nietrudno sobie z nimi poradzić. Wielkie, walone i paskudne sroki w spodniach. To właśnie ty, Finnie McCool.

Kobold tylko się uśmiechał.

– No więc myślę sobie, że wiesz, po co tu jesteśmy, Finnie McCool – rzekł Joshua. – Czego chcemy. Gdzie są trolle?

– Ty dajesz…

– Lepiej puść farbę, mały dupku! – warknął Bill.

Finn McCool syknął i odpowiedział urażonym tonem:

– Trollen są tutaj. Ale nie tutaj.

Joshua westchnął.

– Jest podręcznikowo tajemniczy. Bill, jeśli tylko chciałbyś coś wtrącić…

– Finnie McCool, chcesz powiedzieć, że trolle ukrywają się na jokerze?

– Nie tutaj.

– Joker, ale nie ten joker. Tak myślałem. Ale który?

Joshua odniósł wrażenie, że Finn McCool nie ma zamiaru odpowiadać.

– To wszystko? – zapytał. – Wszystko, co dostaniemy od ciebie w zamian za tę wspaniałą, mm… starą taśmę?

Finn McCool wyprostował się nagle. Wciągnął powietrze płaskim szympansim nosem i zaśmiał się.

– Joshuo – odezwał się nerwowo Bill. – Wykrywam dziewięć, poprawka, dziesięć, nie… jedenaście punktów cieplnych. Zbliżają się do ciebie. Teraz mam też potwierdzenie wizualne. Hmm…

Joshua odwrócił się w miejscu. Między drzewami unosiła się poranna mgła, przesłaniała strumień. W tej mgle mogło się ukrywać wszystko. Wilgoć ściekała z liści na drzewach.

– Co to znaczy „hmm"? Jak wyglądają?

– No… na zdecydowanych.

Błysnęły zęby. Finn McCool na moment wtopił się w tło i już go nie było. Joshua mógł się mylić, ale miał wrażenie, że uśmiech McCoola był ostatnim jego fragmentem, który zniknął.

A z mgły…

Wschodzące słońce wysyłało włócznie czerwonego światła nad trawiastymi zboczami. Na wysokości szczytu poranna bryza była chłodna. Kilka strzępów mgły poruszyło się między drzewami znaczącymi koryto strumienia.

Poruszały się tam jakieś kształty.

Zaczęły od delikatnej sugestii ruchu we mgle, ale potem okrzepły. Ogólny efekt przypominał wirnik turbiny, zwalniający od prędkości roboczej do bezruchu. A kiedy znieruchomiały…

Nie były o wiele wyższe od człowieka, ale patykowata chudość podkreślała wrażenie wzrostu. Skórę miały lekko szarą, popielatoblond włosy nosiły w stylu afro. Mogłyby ujść za ludzi w jakiejś marnie oświetlonej dyskotece, w jakich Joshua, choć rzadko, bywał niekiedy za młodych lat w Madison.

Oprócz uszu. Były wielkie, szpiczaste, bezustannie strzygły w przód i w tył, jakby szukały najlżejszych dźwięków. I oprócz oczu, bardzo delikatnie jarzących się zielenią.

Miały długą, wąską, obosieczną broń z drewna – miecze, z braku lepszego określenia. Nie krzyczały, nie wymachiwały nią. Po prostu wyglądały na spokojne i zdecydowane.

Każde dziecko potrafiłoby je nazwać. Elfy. Ale nie takie jak Finn McCool, względnie przyjazny miłośnik muzyki i rozmowy. To były elfy z koszmarów.

Zbliżały się do Joshuy ze wszystkich stron. Nie miał jak uciekać. W przeszłości poznał już kilka odmian elfów i wiedział, że przekraczanie nie pomoże – bo przeciwnik robi to lepiej. Pistolet zostawił gdzieś w śpiworze. Mógł sięgnąć tylko do radia, bloku plastiku wielkości pięści. Niezbyt groźna broń…

Pierwszy elf, który podbiegł do niego, wzniósł miecz do zabójczego cięcia… i zawahał się, jakby rozkoszował się chwilą.

Z bliska stworzenie wyglądało jak coś z podręcznika prehistorii, choć neandertalczyk uznałby je za brzydkie. Twarz pokrywała sieć zmarszczek. Elf nosił krótką tunikę i rodzaj plecaka. Miał wyrachowaną minę. Może wahał się, bo próbował przewidzieć, w którą stronę Joshua przekroczy, żeby podążyć za nim i zabić.

Wszystko to trwało krótko. Potem górę wzięły odruchy Joshuy. Schylił się, chwycił radio i zatoczył nim szybki łuk, przerwany przez szczękę elfa. Odłamki szkła i plastiku rozprysnęły się w deszczu złotych iskier. Kiedy elf zatoczył się do tyłu, Joshua wyprowadził nogą klasyczne kopnięcie, zalecane przez trenerów samoobrony dla kobiet na całym świecie. Piskliwy wrzask bólu zwiększył skromny zakres wiedzy ludzkości na temat anatomii humanoidów z Długiej Ziemi.

I nagle dookoła zaczęła się bitwa.

McCool wrócił. Sprowadził więcej koboldów, a te natychmiast podjęły walkę. Przybyła kawaleria, pomyślał Joshua z wdzięcznością. A była to kawaleria, która umiała przekraczać nie gorzej od przeciwników. Postacie z obu podgatunków migały w polu widzenia niczym odpryski

koszmarów.

Joshua rzucił się do ucieczki. Pędził na złamanie karku w stronę drabinki wywieszonej pod opadającym sterowcem. Musiał powalić któregoś z walczących, który mu stanął na drodze – nie wiedział, czy to jeden z tych dobrych, czy tych złych.

Dopiero kiedy wspiął się na drabinkę, kiedy poczuł się bezpiecznie ze ściskanym w dłoni aluminiowym szczeblem, kiedy sterowiec niósł go w górę, dalej od bitwy, wtedy się obejrzał.

Elfy preferowały miecze, natomiast koboldy walczyły gołymi rękami – zdaniem Joshuy wskazywało to na wyższą inteligencję, bo jeśli ktoś chwyta przeciwnika, ten nie może przekroczyć tak, by go ze sobą nie zabrać. Poza tym zdawało się, że koboldy doprowadziły sztukę walki wręcz do punktu, gdzie broń tylko by przeszkadzała. Zobaczył, jak jeden znika na moment, gdy ostrze już miało ściąć mu głowę, pojawia się znowu, chwyta rękę z mieczem i z baletową gracją wyprowadza w pierś elfa kopnięcie, które musiało zabić natychmiast. Jak zwykle przy starciach humanoidów nie była to bitwa, raczej seria osobnych pojedynków. Zwycięzca szukał kolejnego przeciwnika, ale czasem nie zwracał uwagi na kolegę cofającego się wobec liczebnej przewagi wrogów.

I wtedy Joshua zauważył Finna McCoola powalonego pchnięciem drewnianego miecza w ramię. Może próbował przekroczyć, ale był oszołomiony i zdezorientowany. Elfi przeciwnik uniknął cięcia ostrych szponów u nóg McCoola, które z pewnością rozprułyby mu brzuch. Cofnął miecz do drugiego pchnięcia. I również znieruchomiał tuż przed kończącym atakiem. Stał zwrócony plecami do Joshuy.

A Joshua dostrzegł, że może interweniować.

– Niech to szlag!

Wypuścił szczebel i szansę bezpieczeństwa, zeskoczył ciężko, chwycił leżącą na ziemi gałąź i pobiegł ku walczącym. Nie chodziło o to, że zaprzyjaźnił się z Finnem McCoolem. Ale jeśli miał wybierać, wolał stanąć po stronie kogoś, kto jednak nie próbował go zabić. A nawet wrócił, żeby walczyć u jego boku.

Nie zwalniając, z całej siły uderzył elfa w kark. Liczył na satysfakcjonujące stuknięcie drewna o ciało, ale rozległ się tylko tępy trzask i spróchniała gałąź rozpadła się w eksplozji zarodków grzybów i rozzłoszczonych chrząszczy. Elf wcale nie ucierpiał. Odwrócił się powoli. W zdumieniu marszczył czoło.

Zdrowa ręka McCoola wystrzeliła naprzód raz, potem drugi, a w miejscach trafienia rozlegał się ostry trzask kości. Elf zgiął się wpół i przekroczył, nim umarł.

Krew ciekła McCoolowi z ramienia, ale nie zwracał na to uwagi. Stał twarzą w twarz z Joshuą, który uświadamiał sobie, że stało się chyba coś bardzo niedobrego.

– Człowieku bezz ścież-żki! Zabiję cię wiele…

Bitwa wokół przygasła. Elfy i koboldy razem przerwały rzeź, by się im przyglądać.

– Ale posłuchaj…

Finn McCool odchylił głowę i wrzasnął. Wyprowadził wysokie kopnięcie, które mogłoby zabić Joshuę w ciągu sekundy.

Ale Joshua już biegł w stronę drabinki. Wyskoczył w powietrze i złapał szczebel, a Bill, trzeba mu przyznać, natychmiast podniósł statek. Z wysokości kilku metrów Joshua spojrzał w dół. McCool leżał rozciągnięty pod drzewem i przeklinał, z ramienia płynęła mu krew.

Joshua wznosił się pomiędzy drzewami w słoneczny blask, a górski las i bezładne, rozległe pole bitwy zniknęły mu z oczu.

Wspiął się po drabince do luku, potem do bezpiecznie zrozumiałej gondoli; wyprostował się i uderzył głową o sufit. Zaczął wciągać drabinkę całymi splątanymi naręczami.

– To ty, Joshuo, prawda? – zapytał nerwowo Bill. – Nie miałem kontaktu, odkąd użyłeś radia do złamania szczęki tego elfa…

– Leć! Po prostu leć!

Dopiero kiedy cała drabinka była wewnątrz, Joshua osunął się na kanapę. Oddychał z trudem. W górze trwała cisza, zakłócana jedynie skrzypnięciami i zgrzytami pojemników z gazem, który rozszerzał się w cieple porannego słońca. Pod nimi cień „Shillelagh" płynął

spokojnie po pokrywie lasu, jakby pod spodem, w półmroku nie rozgrywały się wszelkie rodzaje piekła.

Cały czas widział przed sobą twarz Finna McCoola, jak maskę z teatru nō, wykrzywioną furią i nienawiścią.

– Uratowałem mu życie. McCoolowi. I nie wiem, czemu stałem się przez to jego śmiertelnym wrogiem. Jaka w tym logika?

– To logika koboldów, Josh. Jak honor u ludzi, tylko że w krzywym zwierciadle. Zawstydziłeś go, ratując, kiedy to on miał uratować ciebie. Może chcesz wrócić na dół i pogadać z nim na ten temat?

– Po prostu zabierz nas stąd.

Las w dole mrugnął i zniknął.

ROZDZIAŁ 46

Pierwszy przystanek Nelsona w Wyoming, gdzie dotarł swym wypożyczonym winnebago, tropiąc Projekt Lobsang, wypadł w Dubois, w krainie kowbojów.

Niestety, obecnie trwał niedobór kowbojów. Mieszkańcy Wyoming wyjątkowo chętnie wyruszali na nowe wykroczne światy, gdzie ziemia była za darmo, a interwencje rządu nieczęste. Nelson niemal z otuchą przeczytał na zderzaku furgonetki naklejkę „W tym sąsiedztwie straż nie tylko pilnuje".

Znalazł restaurację LongHorna i zamówił burgera i piwo. Telewizor pod sufitem, ignorowany przez większość klientów, pokazywał obrazy nieustannych problemów geologicznych w Yellowstone, w innej części stanu. Mnóstwo niewielkich wstrząsów, ewakuacja jakiejś osady, osunięcia, zablokowane drogi… Martwe ryby w jeziorze Yellowstone. Bańki wypływające powoli w jakiejś gorącej błotnej sadzawce. Do Nelsona powoli dotarło, że wiele z tych incydentów miało miejsce w wykrocznych wersjach Yellowstone, w sąsiednich światach. Geolodzy, rozrzuceni na wstędze światów, uzbrojeni w instrumenty porwane z dawno działających stacji badawczych na Podstawowej, twierdzili, że bardzo wiele się uczą z porównawczych studiów zachowań sąsiednich kalder. Spikerzy, puści i przystojni, teatralnie udawali ulgę, że wciąż zatłoczona Podstawowa nie jest poważnie zagrożona, i rzucali głupawe żarciki.

Nelson odwrócił głowę i zatonął w myślach. Potrzebował miesiąca, żeby dojechać tu z Chicago – ta powolna włóczęga była niezwykle przyjemna. Potrzebował czasu, by odrzucić przeszłość, intensywne doświadczenia lat spędzonych jako pastor w parafii Świętego Jana nad Wodami. Miał wrażenie, że potrzebuje dekompresji, jak nurek głębokościowy. A tajemnice świata mogą zaczekać…

Ku lekkiej irytacji Nelsona za oknem, przymocowany do żelaznego płotu, wisiał animowany billboard. Cyklicznie pokazywał serię bzdurnych reklam, które Nelson starał się ignorować. Wszędzie coś stara się zwrócić uwagę – oto współczesny świat, przynajmniej na Podstawowej. I nagle jego wzrok przyciągnęły słowa: „Czy odczuwasz humorystyczny pierwiastek żelaznych prętów tej kraty?".

Niemal upuścił burgera, co byłoby przerażającym marnotrawstwem.

– Cytat z Gilberta K. Chestertona? Tutaj?… Dzień dobry, Lobsangu. Widzę, że jestem na właściwym tropie.

Winnebago nie był najszybszą maszyną na drodze, ale kiedy Nelson opuścił Dubois, wcisnął gaz.

– Ściśle mówiąc – odezwał się głośno, choć nikt nie słuchał – robię coś bardzo głupiego. Mogę przecież mieć do czynienia z szaleńcem. Spotkałem już jednego czy dwóch takich, chociaż żaden nie cytował prac jednego z najwybitniejszych pisarzy, jakich wydała Brytania.

Spoglądając na pustą drogę, zastanawiał się, ile czasu minęło, odkąd ktokolwiek poza naukowcami czytał dzieła G.K. Chestertona. Nawet on sam nie, gdyż te najlepsze pochłonął jako nastolatek, kiedy przypadkiem odkrył je w publicznej bibliotece w Joburgu.

Diabelska Wieża była już widoczna w oddali, kiedy wyprzedził go policjant na motocyklu i dał znak, by się zatrzymał.

Policjant miał opuszczoną ciemną szybę w kasku, nosił wielki pistolet w kaburze na biodrze, a kiedy podszedł, otaczała go aura groźnej władzy.

– Pan Nelson A-zi-ki-we? – Bardzo starannie wymówił nazwisko. – Spodziewałem się pana. Mogę prosić o jakiś dowód tożsamości?

Nelson nabrał tchu.

– Nie, drogi panie, to pan niech pokaże dowód. Jesteśmy dwójką obcych ludzi na pustej drodze, obaj niepewni tożsamości… i lojalności tego drugiego. Fundamentalnie Chestertonowski moment, nie sądzi pan?

Oczy za szybą pozostawały niewidoczne. Ale policjant się uśmiechnął.

– Kiedy płoną mosty…

Znowu Chesterton. Dalsze słowa wypłynęły odruchowo, ze wspomnień o obsesyjnej lekturze czasów nastoletnich.

– …kończy się ten świat – dokończył Nelson.

– To wystarczy, przyjacielu. Dalsze referencje są zbędne. Niestety, na horyzoncie pojawił się prawdziwy funkcjonariusz, więc wybacz, ale muszę znikać. Koordynaty znajdziesz w nawigacji satelitarnej.

Trzydzieści sekund później jego motocykl zniknął w oddali. Oczywiście, prawdziwy policjant, kiedy już dotarł, okazał się wścibski. Nelson przeszedł w tryb niewinnego i trochę zagubionego turysty, i zdołał zatrzymać go do chwili, kiedy trzy winnebago, w dodatku z kalifornijskimi rejestracjami, przejechały obok z prędkością dobrze ponad sto dwadzieścia na godzinę. Takiego nisko wiszącego owocu nie mógł zignorować żaden glina z Wyoming.

Nelson ruszył dalej.

W połowie następnego dnia wprowadził swojego winnebago na podjazd jakichś zakładów elektroniki. Stanął przed zamkniętą i nieobsadzoną bramą z logo Instytutu transEarth. Mały głośniczek na słupku przy drzwiach po stronie kierowcy zażądał:

– Proszę się zidentyfikować.

Nelson zastanowił się, a potem wychylił i powiedział wyraźnie:

– Jestem Czwartkiem.

– Oczywiście. Proszę do środka.

Skrzydła rozsunęły się bezgłośnie. Zanim ruszył, Nelson zainicjował sieciowe wyszukiwanie nazwy „transEarth”. A potem przejechał przez bramę.

ROZDZIAŁ 47

Znalazł drzwi, które odsłoniły krótki korytarz prowadzący do windy.

– Proszę naprzód – zabrzmiał głos. Głos Lobsanga? – Proszę skorzystać z kabiny, działa automatycznie.

Mogła to być jakaś pułapka. Ale czy głos powiedział „kabina", zamiast „winda", żeby go uspokoić? Jeśli tak, to miłe, chociaż dziwne.

W każdym razie chętnie poszedł naprzód. Kabina zamknęła się wokół niego i zaczęła opadać.

Nawet w tej chwili bezcielesny głos mówił dalej:

– Ten kompleks był kiedyś własnością rządu Stanów Zjednoczonych. Od zakupienia go przez transEarth jakoś zniknął z mapy. Rządy bywają takie nieuważne…

Drzwi otworzyły się, odsłaniając coś w rodzaju gabinetu, pewnie w angielskiej tradycji – był tu kominek i tańczące w nim płomienie, wyraźnie sztuczne, ale trzaskały całkiem realistycznie. Nelson czuł się, jakby wrócił do jednej z co piękniejszych rezydencji swoich parafian u Świętego Jana nad Wodami.

Przesunęło się krzesło przy niskim stoliku. Mężczyzna o nieokreślonym wieku podniósł się na powitanie. Miał pomarańczową szatę, ogoloną głowę, uśmiech… i fajkę w ręku. Trudno powiedzieć czemu, ale tak jak ogień na kominku, roztaczał atmosferę sztuczności.

– Witaj, Nelsonie Azikiwe.

Nelson zrobił krok naprzód.

– Lobsang?

– Przyznaję się. – Mężczyzna skinął fajką mniej więcej w stronę drugiego fotela. – Usiądź, proszę.

Usiedli obaj.

– Najpierw najważniejsze – zaczął Lobsang. – Jesteśmy tu bezpieczni i rozmawiamy w dyskrecji. To jeden z kilku ośrodków wsparcia, jakie posiadam na całym świecie… a właściwie na światach. Nelsonie, kiedy tylko zechcesz, możesz stąd wyjść, ale wolałbym, żebyś nigdy nie wspominał o naszym spotkaniu. Wierzę, że miłośnik Chestertona spełni prośbę innego miłośnika o dochowanie sekretu. Pozwól jednak, że sprawdzę, czy trafnie odgadłem twoją ulubioną powieść: *Napoleon z Notting Hill*, prawda?

– Źródło tego cytatu na płocie.

– Zgadza się. Mój wybór to *Człowiek, który był Czwartkiem*, wciąż znakomita lektura, prekursor wielu szpiegowskich romansów w późniejszych latach. Niezwykły człowiek, ten Chesterton. Chwycił katolicyzm niczym kocyk bezpieczeństwa…

– Trafiłem na niego jako dzieciak, kiedy grzebałem w bibliotece w Joburgu. To był skład starych książek, relikt panowania Brytyjczyków. Prawdopodobnie nikt ich nie czytał od czasów apartheidu… – Nelson umilkł. Przypuszczał, że wizja takiego *bongani* jak on, siedzącego w zakurzonej bibliotece i pochłaniającego przygody ojca Browna, wydawała się dostatecznie surrealistyczna. Jednak ta sytuacja odbierała jej ciasteczko, jak mawiali jego parafianie. O co zapytać? Od czego zacząć?

– Jesteś częścią Projektu Lobsang? – spróbował.

– Drogi Nelsonie, ja jestem całym Projektem Lobsang.

Nelson przypomniał sobie rozmaite wyszukiwania, jakie wykonywał.

– Wiesz, pamiętam jakieś pogłoski o superkomputerze, któremu udało się przekonać właścicieli, że jest duszą reinkarnowaną w maszynie w chwili startu systemu… coś w tym rodzaju. Nerdosfera zgodziła się powszechnie, że to plotka dla odwrócenia uwagi. – Nelson się zawahał. – Tak było, prawda?

Lobsang pominął pytanie milczeniem.

– Przy okazji, może się czegoś napijesz? Jak rozumiem, jesteś fanem piwa.

Wstał i podszedł do orzechowego barku.

Nelson przyjął pół szklanki ciężkiego aromatycznego piwa i pytał dalej:

– Czy coś cię łączyło z ekspedycją „Marka Twaina”?

– Tu mnie masz. Po raz drugi znalazłem się w pobliżu ogniska zainteresowania opinii publicznej, po tej historii związanej z moimi cudownymi narodzinami. Tym razem ucieczka była trudniejsza. Obawiam się, że biedny Joshua Valienté w końcu ściągnął na siebie więcej uwagi, niżby chciał. I niż zasługiwał, prawdę mówiąc. Ja tymczasem wycofałem się na wygodną pozycję w cieniu.

– A czy transEarth nie jest jakimś oddziałem Korporacji Blacka?

– Owszem. – Lobsang się uśmiechnął. – TransEarth jest w części własnością Blacka.

– Powiedz, dlaczego się tu znalazłem.

– To ty przyszedłeś do mnie. Nie zapominaj o tym. Jesteś tutaj, bo rozwiązałeś łamigłówkę. Podążałeś za tropami.

– Takimi jak związek między tobą i „Markiem Twainem”?

– Na przykład. Ale oczywiście i ty masz pewne związki z Blackiem, od czasu swojego stypendium. Nie zdziwisz się pewnie, kiedy ci powiem, że Korporacja Blacka cię obserwowała. Prawdę mówiąc, traktują cię jako jedną ze swoich długoterminowych inwestycji.

Lobsang pochylił się nad stołem i stuknął w blat, unosząc ekran. Nelson patrzył na niepokojąco znajome fotografie swoje i rodziny, życie przesuwające obraz za obrazem, poczynając od jego własnej uśmiechniętej buzi w wieku dwóch lat.

– Urodzony pod Johannesburgiem, oczywiście. Zwróciłeś na siebie uwagę, kiedy twoja matka zgłosiła cię do programu „Szukamy przyszłości” Blacka. Potem dostawałeś stypendia i granty, choć nigdy nie byłeś zatrudniony bezpośrednio u Blacka. Zyskałeś niejaką sławę jako paleontolog Długiej Ziemi. Badałeś wykroczną przeszłość, tak? Trochę było zaskakujące, kiedy sam także zrobiłeś krok w bok, do Kościoła anglikańskiego, ale Douglas Black uważa, że ci, których wysoko ceni, powinni znaleźć własną drogę. Ufa im, rozumiesz. I teraz jesteś tutaj, wychwalany przez dobrego przyjaciela Douglasa, arcybiskupa Canterbury… A jednak wciąż poszukujący nowych ścieżek. – Uśmiechnął się. – Opuściłem coś ważnego?

Nelson poczuł się lekko rozdrażniony myślą, że ktoś nim manipulował.

– A kim ty jesteś? Jeszcze jedną długoterminową inwestycją bogatego i potężnego człowieka?

Lobsang się wahał. To dziwne, ale przypominał teraz Nelsonowi niektórych parafian trapionych religijnymi wątpliwościami.

– W pewnym sensie – przyznał w końcu. – Właściwie to tak, całkiem dosłownie tak. W sensie technicznym jestem produktem technologii Blacka, poczynając od żelu, który utrzymuje moją świadomość. W sensie prawnym jestem partnerem w interesach, współwłaścicielem spółki zależnej Korporacji Blacka. Jednak poza tym Douglas daje mi szeroką, właściwie nieograniczoną swobodę. A czym jestem? Wierzę, że jestem reinkarnacją tybetańskiego mechanika motocyklowego. Mam wyraźne, choć trochę niekompletne wspomnienia swego dawnego życia… Niektórzy nazywają mnie obłąkanym, choć wysoce inteligentnym superkomputerem. Ale ja wiem, że mam duszę. To ten kawałek, który teraz z tobą rozmawia, zgadza się? I miewam sny… Uwierzysz?

– Wszystko to brzmi dość niejasno. Potrzebujesz rady?

Lobsang uśmiechnął się smętnie.

– Prawdopodobnie. Ale bardziej są mi potrzebni… towarzysze… w mojej misji.

– Jakiej misji?

– Najkrócej mówiąc, studiuję fenomen Długiej Ziemi i jej implikacje dla ludzkości. Doszedłem do wniosku, że nie mogę tego robić sam. Potrzebuję innych perspektyw… takich jak twoja, wielebny Azikiwe. Tej niezwykłej mieszanki elementów racjonalnych i mistycznych. Nie zaprzeczysz wszak, że także zawsze poszukiwałeś prawdy. Wystarczy sprawdzić twoje działania w sieci, żeby się o tym przekonać.

– Domyślam się – burknął niechętnie Nelson – że nie ma sensu powoływać się na moje

prawo do prywatności?

– Mam dla ciebie misję, cel, wyprawę przez Długą Ziemię… a także przez tę. Wybierzemy się do Nowej Zelandii na Ziemi Zachodniej numer… chociaż właściwie te numery rzadko kiedy mają znaczenie, prawda?

– Nowa Zelandia? A co chcemy tam zobaczyć?

– Czytałeś raporty z wyprawy „Marka Twaina", prawda? Przynajmniej te, które ujawniono publicznie?

– Tak…

– Trafiłeś na wzmianki o istocie znanej jako Pierwsza Osoba Pojedyncza?

Nelson milczał. Ale ciekawość była jak haczyk wbity w ciało…

Lobsang poprawił się w fotelu.

– Co powiesz?

– Trochę nagle to na mnie spadło, przyznasz… Muszę się zastanowić.

– Twain będzie tu jutro.

– Dobrze. – Nelson wstał. – Noc spędzę w swoim pojeździe. Da mi to czas do namysłu.

Lobsang wstał także, z uśmiechem.

– Nie musisz się spieszyć.

Tej nocy nadeszła burza z piorunami, naprawdę potężna. Nadciągnęła z zachodu, a winnebago w deszczu rozbrzmiewał, jakby był celem na strzelnicy.

Nelson leżał na posłaniu i słuchał tej kanonady. Myślał o świecie w ogólności i swojej sytuacji w szczególności – w tym również na temat natury duszy. Zadziwiające, jak wielu spotkał ludzi, którzy nie widzieli żadnego pożytku w ortodoksyjnym chrześcijaństwie, a jednocześnie bezmyślnie wierzyli, że mają duszę.

Jeszcze dziwniejsza była myśl, że być może człowiek potrafi stworzyć duszę… A przynajmniej stworzyć ciało, które może przechować duszę. I nagle ogarnęła go chęć, by wyruszyć na wyprawę z Lobsangiem – choćby po to, żeby lepiej go poznać.

Mimo to pozostała w nim pewna szczątkowa podejrzliwość. Pamiętał, co powiedział Lobsang, dość tajemniczo: „To ty przyszedłeś do mnie. Nie zapominaj o tym. Jesteś tutaj, bo rozwiązałeś łamigłówkę. Podążałeś za tropami". To prawda, ale kto pozostawiał te tropy?

Następnego ranka zadzwonił, żeby umówić odbiór wypożyczonego winnebago.

W południe, zgodnie z obietnicą, twain opadł bezgłośnie z nieba. Nelson wiele razy podróżował twainami, ale ten wydał mu się dość spartański: sześćdziesięciometrowa powłoka nad niewielką i opływową gondolą.

Twain opuścił uprząż ratunkową i wciągnął go na górę, do luku na rufie. Nelson wypiął się i przecisnął ciasnym korytarzem do jadalni połączonej z kuchnią, najwyraźniej pełniącej też funkcje pokładu obserwacyjnego. Raczej poczuł, niż usłyszał, że ruszają silniki. I nagle, przez wielkie okna widokowe, zobaczył, że są w chmurach, a deszcz uderza o szyby… a potem są w słońcu i upale takim, że powłoka zaczęła parować. Czyli już przekraczają… Zdążył wziąć polecone przez Lobsanga tabletki przeciw nudnościom, więc mimo zwykłej niechęci do przekraczania żołądek mu specjalnie nie dokuczał.

Krótkie schodki doprowadziły go do drzwi sterówki nad jadalnią – drzwi najwyraźniej zaryglowane. Kiedy szarpnął za klamkę, rozjaśnił się ścienny ekran, ukazując uśmiechniętą twarz i łysą głowę.

– Miło cię mieć na pokładzie, Nelsonie.

– Miło tu być, Lobsangu.

– Jak się domyślasz, jestem pilotem tego sterowca…

– A z którym Lobsangiem rozmawiam?

– Postaraj się zrozumieć, że Lobsang nie jest pojedynczą jednostką. Nazwanie mnie wszechobecnym też nie załatwia sprawy. Pamiętasz taki film, *Spartakus*? No więc wszystkie moje ja są Spartakusem. Wymaga to regularnego zawieszania działań na czas synchronizacji nas wszystkich, mnie wszystkich… Jesteś sam na tym statku, lecz gdybyś wymagał fizycznej obecności, na przykład z powodów medycznych, mogę uruchomić jednostkę mobilną. Kierujemy

się do Nowej Zelandii, przekraczamy mniej czy bardziej jednostajnie, by poszukać możliwie sprzyjających wiatrów. Wierz albo nie, ale na twainie załatwiam sprawy delikatnie…

– W takim razie postaram się odpocząć i rozkoszować wycieczką.

– Tak zrób. Relaks to jedna z tych umiejętności, której Joshua Valienté nie zdołał opanować.

– Na pewno nie wyglądał na zrelaksowanego na tym nagraniu z jego powrotu do Madison. Nagraniu, które właściwie doprowadziło mnie do tego punktu, do ciebie. Pewnie sam mi je przesłałeś, prawda?

Zdecydował się na tę misję, ale niechęć wobec faktu, że był sterowany, że został wciągnięty w tę sytuację, zaczęła przeradzać się w gniew.

– Jak daleko w przeszłość sięgają twoje działania? Nie przypuszczam, żebyś miał cokolwiek wspólnego z powstaniem forum określającego się jako Quizmasters? Czy to ty stałeś za całą tą ścieżką okruchów, która doprowadziła mnie do ciebie?

Lobsang się uśmiechnął.

– Od teraz żadnych więcej sztuczek.

– Mam nadzieję. Nikt nie lubi być manipulowany.

– Nie myślę o tym jak o manipulacji. Raczej jak o stworzeniu okazji. Od ciebie zależy, czy zechcesz ją wykorzystać.

– Wczoraj nazwałeś mnie inwestycją.

– To język Douglasa Blacka, nie mój. I pamiętaj, w ostatecznym rozrachunku to ty przyszedłeś do mnie. W każdym razie, czy w końcu będziemy współpracować, czy nie, i tak witam cię na pokładzie. I życzę przyjemnego lotu. Jeśli nie można inaczej, to wyobraź sobie, że jesteś na wakacjach.

– Albo na castingu czy przesłuchaniu…

– Jeśli wolisz.

Nelson uśmiechnął się także.

– Ale powiedz, Lobsangu, kto tu przesłuchuje kogo?

ROZDZIAŁ 48

Beagle i kobold zbliżyły się do zapylonej płaszczyzny.

W swoim prymitywnym obozowisku Sally i Jansson obserwowały ich czujnie. Oba stworzenia podchodziły coraz bliżej, a Jansson była coraz bardziej świadoma pustego miejsca u pasa, gdzie powinien się znajdować jej policyjny kroker. Beagle, człowiek-pies, skonfiskował go, kiedy tylko przybyły. To była pierwsza wizyta od mniej więcej tygodnia, odkąd się tu zjawiły, odkąd ze świata Prostokątów sprowadzono je te parędziesiąt kroków dalej na zachód – do świata pełnego trolli, jak stwierdziła Sally, która wyczuwała je i słyszała od pierwszej chwili. Dowiedziały się, że beagle'e czekają na jakiegoś władcę z… z innego świata. To będzie władca, który miał rozmawiać z ludźmi.

Jansson uznała, że dzięki temu mają czas, by się zorientować i by mogła odzyskać siły po długiej podróży. Nawet ten pierwszy skok z Prostokątów tutaj okazał się dość groteskowy, ponieważ beagle nie potrafił przekraczać i wędrował niesiony na grzbiecie przez krępego i brzydkiego humanoida, którego Sally nazywała koboldem.

Zresztą wszystko wydawało się im dziwne. Nawet Sally, jak przekonała się Jansson, wielka znawczyni Długiej Ziemi, nic nie wiedziała o tym świecie. Dla Sally był to tylko kolejny joker, kolejny pustynny świat w całej wstędze takich, które utraciły większość swej wody wskutek tej czy innej katastrofy w burzliwej epoce formowania powierzchni planety. Na takim świecie aktywność geologiczna powinna być mocno zredukowana, życie ograniczone… Tyle mówiła teoria. W rzeczywistości, jak przekonywała się Jansson, na wielu takich światach istniały nadające się do życia rejony.

Na tym świecie była to wyspa zieleni i wilgoci – z tego, co mówiły koboldy, Sally wnioskowała, że może mieć rozmiary Europy. Zlekceważona przez wcześniejszych podróżników, w tym Joshuę i Sally, którzy zbyt pospiesznie przekroczyli przez ten świat. Niedostrzeżona przez zespoły badawcze, które przybyły do Prostokątów – byli naukowcami wychowanymi na Podstawowej, z oczekiwaniami przez Podstawową wykształconymi, myśleli w kategoriach jednego świata i nigdy nie patrzyli wykrocznie.

A teraz obie kobiety trafiły tutaj, do świata, gdzie żyły psy – dziwne i inteligentne – oraz najwyraźniej trolle w wielkich gromadach.

Przez długą chwilę trwała cisza. Te psie bestie wolały chyba obserwować, przyglądać się, zastanawiać, zanim cokolwiek powiedzą – gramatyka ich interakcji była inna od ludzkiej. Jansson i Sally stały po prostu i czekały. Kobold był ranny w rękę, jak zauważyła teraz Jansson; nosił prymitywny opatrunek z jakiejś szmaty. Zaśmiał się, wyraźnie rozbawiony sytuacją.

Trolle, które wędrowały z nimi, wcale nie wydawały się zakłopotane. Mary siadła na jakimś wzgórku, cicho nucąc irytująco znajomą melodyjkę, a Ham radośnie rozgrzebywał mocnymi palcami ziemię i od czasu do czasu wrzucał do ust robaki. Całkiem jakby pojawienie się dwunogiego psa z miotaczem promieni zdarzało się codziennie.

Beagle stanął przed kobietami; nie mrugał, a jego wilgotny ruchliwy nos marszczył się – najwyraźniej pies je obwąchiwał. Miał ponad dwa metry wzrostu – wyrastał i nad Sally, i nad Jansson. Ale nie tylko to i nie tylko jego miotacz budziły lęk, uświadomiła sobie Jansson. Było w nim coś płynnie zwierzęcego, wrażenie wyostrzonej perfekcji – we wszystkim, aż po sposób, w jaki jego sierść okrywała ciało gładkimi, równymi warstwami. W oczach błyszczała mu inteligencja; bystra, surowa, skupiona inteligencja.

Zęby, oczy, uszy, pysk i nos były całkiem jak u psa, choć Jansson zauważyła, że ogólny kształt czaszki z wypukłym czołem mógł sugerować humanoida. Twarz miał czasem ludzką, a czasem wilczą, zmieniającą się jak na holograficznej ilustracji. Uszy były zbyt szpiczaste, oczy zbyt szeroko rozstawione, usta zbyt szerokie, nos płaski z czarnym czubkiem… A oczy… tak, to jakby spojrzeć w oczy wilka. Patrząc, Jansson czuła się niedbała, niepełna. Ale też było w nim coś nierzeczywistego, jakby był efektem komputerowym w filmie. Po prostu nie pasował

do przytulnej, prowincjonalnej świadomości rozwiniętej na Ziemi Podstawowej.

Nie umiał przekraczać. Prawdopodobnie nie umiał tego nikt z jego pobratymców. Jansson starała się trzymać tej myśli: że potrafi robić coś, czego on nie potrafi…

Zakaszlała i zadrżała, kiedy objęła ją fala osłabienia.

Beagle zwrócił się do niej.

– Twoje imię?

Wymowa była zniekształcona, przypominała połączenie psich warknięć i pisków: „Hrr-two-hrr-je imi-herrr?". Jednak wyraźnie mówił po angielsku, a słowa były zrozumiałe. Mówiący pies – to kolejny gigantyczny przeskok koncepcyjny dla kogoś takiego jak skromna eksglina.

Jansson spróbowała się wyprostować.

– Monica Jansson, dawniej porucznik. Policja w Madison.

Beagle przekrzywił głowę, wyraźnie zdziwiony. Spojrzał na Sally.

– Ty?

– Sally Linsay.

Beagle uniósł przednią kończynę, ramię, i wskazał własną pierś. Jansson zauważyła, że jego łapa, dłoń, ma cztery wysunięte wyrostki, jakby palce, nic zbliżonego do kciuka, a całość okrywa rodzaj skórzanej rękawiczki. Możliwe, że ochrona na czas, kiedy chodził na czterech łapach.

– Moje imię – powiedział – to Śnieżek.

Sally usiłowała się powstrzymać, ale nie zdołała i wybuchnęła śmiechem.

Jansson obejrzała się na kobolda.

– Śnieżek?

Kobold uśmiechnął się nerwowo.

– Inni bez-zz ś-ścieżki przyszli tu dawno… Dali immię.

– Wiem, że nazywasz się Finn McCool, zgadza się? – spytała Sally. Obejrzała się na Jansson. – Jeden ze sprytniejszych, dobry w kontaktach z ludźmi. Mogłam się domyślić, że jest w to zamieszany i próbuje coś wyciągnąć dla siebie.

Kobold wyszczerzył zęby.

– Josh-shua.

Sally zmarszczyła czoło.

– Co z Joshuą?

Kobold nie odpowiedział.

– Ty. – Śnieżek zwrócił się do Sally. – Człowiek z cuchnącym kroczem.

– Dzięki.

– Pachniesz tak samo jak poprr-rzednio. Jak inni twojego hrr-rodzaju. Ale tty…

Zbliżył się do Jansson. Starała się nie odsunąć, kiedy przymknął oczy i powąchał jej oddech. Sam pachniał wilgotnym futrem i jakimś piżmem.

– Dziwne. Chora. Pachniesz-sz cho-hrrobą.

– Bardzo spostrzegawczy – mruknęła Jansson.

Cofnął się, uniósł głowę i zawył. Był to ostry, bardzo głośny dźwięk, aż Jansson się skrzywiła, a Sally zasłoniła uszy. Po chwili odpowiedziało wycie ze wschodu.

Śnieżek odwrócił się i wyciągnął łapę w tamtą stronę.

– Moje Legowisko! Zapach mojego miotu! Imię: Oko Łowwcy. Jedzie wózz, cię zabie-hrrze. Wnuczka Legowiska, imię Petra. Zobaczy was. Wnuczka z Legowiska Matki, daleko.

– Czy ta Wnuczka o nas wie? – spytała Sally.

– Jesz-szcze nie. Nies-sspodzianka Śnieżka. – Odchylił wargi, demonstrując psie zęby w rodzaju uśmiechu. – Nag-hrroda dla Śnieżka za p-hrrezent.

Wydawał się pobudzony, zdyszany.

– Nie patrz w dół – rzuciła Sally do Jansson.

– Czemu?

– Bo jeśli spojrzysz, zobaczysz, że już teraz przewiduje, jaką nagrodę dostanie od tej

Wnuczki, kimkolwiek jest.

Ku uldze Jansson Śnieżek odszedł – wielki priapiczny zwierz zaczął wypatrywać wozu.

Kobold został i wciąż się uśmiechał.

– Czyli wolno mi zadawać pytania? – spytała ze znużeniem Jansson.

Sally parsknęła śmiechem.

– Jeśli wpadniesz na to, od czego zacząć.

Sally wskazała palcem McCoola.

– Wiem o takich jak ty. Posterunki policji na Niskich Ziemiach przechowują meldunki o was. Niepewne obserwacje, fragmentaryczne raporty, ziarniste obrazy z kamer nadzoru… Co tu robisz?

McCool wzruszył ramionami.

– Pomma-gamm wam. Za cenę.

– Oczywiście, że za odpowiednią cenę – stwierdziła Sally. – Domyślałam się, Monico, że koboldy będą wiedzieć, gdzie się schowały trolle.

– Dlatego poszłaś do nich i spytałaś…

– One wszystkie się znają. Wymieniają informacje. Trolle mają swoje długie wołanie. U koboldów to raczej długi donos. Wszystko, co wiedzą, podlega wymianie i jest sprzedane temu, kto da najwięcej. Podążyłam więc tropem pogłosek od jednego chudego kobolda do drugiego. W końcu trafiłam na takiego, który kazał mi sprowadzić Mary na Prostokąty. Potem… znasz resztę. Stamtąd sprowadzili nas tutaj, do tego jałowego świata, tego jokera pełnego myślących psów.

– Beagle'i – poprawił ją McCool. – Naz-zzywają je beagle'ami.

– Kto je tak nazywa? – zdziwiła się Jansson. – Dlaczego beagle'e?

– Kto? Inni bez ś-śścieżki tutaj, wcześ-śśniej. Nazwali je beagle'ami

– Ktoś tu stroił sobie żarty – stwierdziła Sally. – Założę się, że to przez Darwina.

Finn McCool wzruszył ramionami. To był nienaturalny ruch, uznała Jansson. Jeszcze mniej ludzki niż w wykonaniu małpki robiącej sztuczki w cyrku.

– I w taki sposób on zyskał swoje imię? Śnieżek?

Znowu wzruszenie ramion.

– Ludzkie immię. Nie prawdziwe im-mię. Beagle'e nie mówią prrawdziwego immienia do ludzi. Koboldy nie mów-wią prawdziwego imienia do tych bez ś-śścieżżki.

– A jakim cudem on w ogóle mówi po angielsku? Nauczył się od ludzi?

– Nie. Koboldy tu najpierrw. Koboldy s-ssprzedają beagle'om rzecz-czy.

Jansson kiwnęła głową.

– Ty już mówiłeś po angielsku. Czyli beagle'e pierwsze nauczyły się waszego języka, nie na odwrót.

– Czyli beagle'e są mądrzejsze od koboldów – dodała Sally z zadowolonym uśmieszkiem.

McCool odwrócił głowę rozdrażniony.

Od wschodu zbliżał się obłok kurzu. Śnieżek zauważył go, powąchał powietrze i znowu zawył. Z oddali ktoś także zawył w odpowiedzi i zabrzmiało coś, co przypominało gardłowe krakanie, jakby okrzyk wielkiego ptaka. Jansson znowu zadrżała; nie miała właściwie pojęcia, w co się pakuje.

– Powiedz mi jeszcze coś – poprosiła McCoola. – Ten beagle, Śnieżek, nosił włócznię z kamiennym grotem… i miotacz promieni.

– Wygląda raczej na przenośny, kieszonkowy projektor laserowy – stwierdziła Sally.

– Dopiero tu trafiłyśmy, ale nie widzę żadnych miast ani samolotów na niebie. W jaki sposób taki wojownik z epoki kamiennej zdobył pistolet laserowy?

– Z jakiegoś innego świata, wykrocznego – podpowiedziała Sally. Zwróciła się do McCoola. – Od was, koboldów. Tak? Na tym polega tu wasz interes.

Kobold znów się uśmiechnął.

– Beagle'e nie przekrraczają. S-ssprytne, ale bezz narzędzi. Tylko kamień. Narzędzia

kupują od nass, wszys-sstkie rzeczy.

– W tym broń – mruknęła Sally. – Wygląda, jakby pochodziła z cywilizacji bardziej rozwiniętej niż Podstawowa. Skąd ją wziąłeś, małpko?

– Wykopałem – odparł Finn McCool. Wyszczerzył zęby i nie chciał mówić nic więcej.

Pod obłokiem kurzu ukazał się wóz, ciężka drewniana rama na czterech pełnych drewnianych kołach, obramowanych rdzawym żelazem, i zaprzężona w wielkie ptaki. Inny beagle, może trochę drobniejszy od Śnieżka, stał wewnątrz i trzymał lejce. Wyższe od Jansson, wyższe nawet od Śnieżka ptasie stwory miały ciężkie upierzone ciała, krótkie skrzydła, muskularne nogi, stopy zakończone szponami niczym sierpy, długie jak kolumny szyje i głowy wyglądające jak zbudowane z samych dziobów. A jednak szły w uprzęży i wyglądały na posłuszne.

– Zadziwiający widok – mruknęła Jansson. – Pies powożący wozem. Zaprzężonym w dwa wielkie ptaszyska. Gdybyś to sfilmowała i wypuściła do outernetu, stałoby się komediową sensacją.

Sally z zaskakującą delikatnością dotknęła jej ramienia.

– Nie pozwól, żeby niezwykłość uderzyła ci do głowy, Jansson. Chodźmy…

Pospiesznie spakowały sprzęt.

Wóz zwolnił i stanął. Beagle woźnica zeskoczyła na ziemię – była naga, jeśli nie liczyć rodzaju pasa z kieszeniami, więc można było poznać, że to samica. Przywitała się ze Śnieżkiem – przez moment oba beagle'e biegały wokół siebie, a Śnieżek nawet opadł na chwilę na cztery łapy, machając kikutem ogona.

– Samice są dominujące – oceniła Sally.

– Co?

– Popatrz. Śnieżek jest bardziej ucieszony, że ją widzi, niż odwrotnie. Warto zapamiętać.

– Hm… Może to zbyt pochopny wniosek?

Sally parsknęła.

– Wszystkiego, co można odkryć o ludzkich samcach, możesz się dowiedzieć z jednego nędznego egzemplarza. Dlaczego z tymi nie może być tak samo? Słuchaj, musimy znaleźć dla siebie jakąś sensowną strategię.

– Przyszłyśmy, żeby pomóc Mary. Przyszłyśmy dla trolli.

– Tak. Ale nie spodziewałyśmy się takich komplikacji. Spróbujemy grać na czas i zachować życie. Pamiętaj, jeśli będzie naprawdę niedobrze, zawsze możemy przekroczyć. Poniosę cię. Te psy nie pójdą za nami, tyle wiemy.

Po powitaniu samica beagle'a zbliżyła się do ludzi.

– Li-Li. Nazywajcie mnie Li-Li. – Wskazała wóz. – Jedźmy do Oka Łowwcy.

– Dziękujemy. – Sally kiwnęła głową. – Musimy zabrać trolle, z którymi przyszłyśmy…

Ale Li-Li odwróciła się już i machała na trolle, śpiewając przy tym jakąś świergotliwą melodię. Mary bez wahania wstała, posadziła sobie Hama na ramieniu i wspięła się na wóz.

Kobiety wsiadły za nią, razem z Finnem McCoolem. Śnieżek potrząsnął lejcami, ptaszyska zagruchały jak gołębie na sterydach, a wóz szarpnął i ruszył, niemal przewracając przy tym Jansson. Nie było tu żadnych siedzeń. Jansson trzymała się szorstkiej burty wozu i dumała, jak daleko jest do celu, czy wytrzyma całą drogę i się nie przewróci.

Li-Li zbliżyła się do niej. I znów Jansson musiała znieść wilgotny psi nos obwąchujący jej usta, pachy, krocze.

– Cho-hrra – stwierdziła bezceremonialnie Li-Li.

Jansson uśmiechnęła się z przymusem.

– Moje ciało źle pracuje i jestem naładowana lekami. Nic dziwnego, że źle dla ciebie pachnę.

Li-Li ujęła jej dłonie. W przeciwieństwie do Śnieżka nie nosiła rękawiczek. Palce miała długie i prawie ludzkie, ale dłonie miały po wewnętrznej stronie okryte skórą poduszeczki, jak psie łapy.

– Moja p-hrr-aca. Leczenie chorrych i hrr-annych. Macie szczęście.

– Dlaczego? – spytała ostro Sally. – Dlaczego mamy szczęście?

– Śnieżek wass znalazł. Nie ba-hrrdzo mąd-hrry, ale wielki duch. Zawsze prawdę mówi. Odważny. Dob-hrry łowca, ale łagodny. Zabie-hrra was do miasta, zobaczyć Wnuczkę Petrę. Niektórzy łowcy zabie-hrrają tylko głowę. Albo uszy.

Sally i Jansson porozumiały się wzrokiem.

– Czyli miałyśmy szczęście, bo znalazł nas beagle, który nie zabił nas od razu.

– Nie istnieje absolutna moralność – stwierdziła Sally. – A przy okazji – dodała ciszej – właśnie doszłam do kolejnego pochopnego wniosku.

– Jakiego?

– Powiedziała, że Śnieżek jest prawdomówny. To implikuje, że inne nie są. Te superpsy potrafią kłamać.

Jansson kiwnęła głową.

– Zanotowałam.

ROZDZIAŁ 49

Wkrótce nad wschodnim horyzontem pojawiła się plamka dymu. Szlak, którym jechali, pokrywało zryte koleinami zaschnięte błoto. Z dala od otwartej, porośniętej suchymi krzakami równiny, na którą przekroczyły, okolica wydawała się bardziej zielona. Mijali nawet jakieś kępy drzew. Dla Jansson, która nie była naturalistką, wszystkie drzewa wyglądały jak paprocie z grubymi, krótkimi pniami i liśćmi jak parasole.

W pewnym miejscu za zasłoną drzew zobaczyła jezioro; przy jego brzegu zebrały się spragnione zwierzęta. Przypominały nieduże jelenie, choć ciała miały trochę za ciężkie, nogi za krótkie. Jelenie z domieszką świni, być może…

Li-Li siedziała czujnie, kiedy wóz przetaczał się blisko brzegu. Śnieżek przy lejcach wpatrywał się nieruchomo w te niby-jelenie; uszy mu sterczały. Li-Li warczała cicho, powtarzając mu jedno zdanie raz po raz. Kobold, Finn McCool, uśmiechnął się lękliwie i nerwowo do obu kobiet.

– Mówi: „Śnieżek, pammiętaj, kim jes-ssteś". Ci psi chłopcy gonią zdobbycz na czworaka, jeś-śśli mają okazzję. Powinni chodzić na s-ssmyczy…

– Nic mnie nie zdziwi – oświadczyła Jansson, kiedy oddalili się od wody.

– Powinnyśmy pamiętać – zaznaczyła Sally – że nasi gospodarze wyglądają może jak psy, ale nie są psami. To może nas zmylić. Ich przodkowie nie byli psami, bo tutaj psy zapewne wcale nie wyewoluowały, nie takie, jakie znamy. Owszem, te inteligentne istoty zostały wyrzeźbione z jakiejś psiej gliny. Tak jak my jesteśmy inteligentnymi istotami zbudowanymi ze zmodyfikowanych małp.

Jansson odkryła, że tęskni za betonem i szkłem z Podstawowej, za pocieszająco nieuporządkowanymi występkami prymitywnej ludzkości. Może to wszystko, cały dobór naturalny dowolnie kształtujący żywe istoty, to coś, do czego na Długiej Ziemi człowiek się przyzwyczaja. Ale nie ona, jeszcze nie.

– Plastyczność żywych organizmów…

– O co ci chodzi?

– Nic takiego. To tylko cytat z książki.

Jej reakcja chyba tylko zdziwiła Sally.

Teraz mijali tereny gospodarcze – ich pas wyraźnie otaczał miasto beagle'i. Powyginane linie kamiennych murków dzieliły teren na prymitywne pola pełne zwierząt, które skubały trawę. Niektóre wyglądały jak tłuściejsze i głupsze wersje tych niby-jeleni znad jeziora za lasem. Inne przypominały raczej krowy, świnie, kozy, a nawet coś zbliżonego do nosorożca z obciętym rogiem, a także kilka tłustych odmian tych ptaszysk, które ciągnęły wóz. Tu i tam psy doglądały stad. Na którymś polu jeleniowate zwierzęta ktoś zapędzał do zagrody, być może by je wydoić.

Jansson zobaczyła tu trolle, pierwszy raz od przybycia do tego świata, nie licząc oczywiście Mary i Hama. Grupa kilkudziesięciu osobników naprawiała kamienny murek. Śpiewały przy pracy – typową piękną wielogłosową harmonią zastosowaną do skocznej melodii. Ham, który drzemał na kolanach Mary, zbudził się i wdrapał na ramię matki, żeby popatrzeć. Swym dziecięcym, piskliwym głosem przyłączył się do kolejnych zwrotek.

Sally nasłuchiwała uważnie.

– Mogłabym przysiąc, że śpiewają *Johnny B Goode*. Ojciec by wiedział.

– To są farmy inteligentnych drapieżników, tak? – spytała Jansson. – Żadnych upraw, żadnych plonów. Nic, tylko chodzące mięso.

– Zgadza się, Monico. Będziemy miały masę peptydów w arteriach, kiedy nas tu parę razy nakarmią.

– Trolle wydają się całkiem zadowolone, sądząc po tej grupie, którą widziałyśmy.

– Tak. – Sally wydawała się dziwnie nieswoja po tej uwadze. – Te psy są ewidentnie inteligentne. Wiemy, że trolle lubią towarzystwo istot inteligentnych. Pewnie dlatego szukają

schronienia na tym świecie. Znalazły tu istoty inteligentne, ale nie ludzi. A więc dobrze się tu czują.

– Jesteś zazdrosna!

– Wcale nie.

– Daj spokój. Wszyscy wiedzą, że lubisz trolle, Sally Linsay. Broniłaś ich, zanim jeszcze doszło do tej ostatniej wpadki, zanim jeszcze zwiałyśmy z Mary spod Szczeliny.

– I co z tego?

– I teraz odkryłaś, że choć trolle są dla ciebie czymś szczególnym, ludzie dla trolli wcale tacy szczególni nie są.

Sally tylko rzuciła jej ponure spojrzenie.

Śnieżek wyprostował się nagle, patrząc ku północy. Zastrzygł uszami, a włosy na karku mu się zjeżyły. Li-Li znowu wymruczała jakieś słowa, warknęła komendę i Śnieżek utrzymał lejce.

– Widzisz, co zwróciło jego uwagę? – spytała Sally. – Popatrz.

Jansson odwróciła głowę i zobaczyła niewielkie zwierzęta z brązową sierścią skaczące przez pole, jakby uciekały przed wozem; aż podskakiwały ich białe ogonki.

– Wyglądają jak króliki – stwierdziła.

– Myślę, że to są rzeczywiście króliki. Takie prawdziwe, rodowodowe z Podstawowej. Ciekawe, jak się tu dostały.

Sally obejrzała się groźnie na Finna McCoola, który znów się uśmiechnął, ukazując rząd trójkątnych zębów.

– Beagle'e je lubią. Przyjemnie ś-ścigać. Dobre jedzenie.

– Co jeszcze sprzedałeś tym stworzeniom?

– Poz-za królikami?

– Poza królikami.

– Nie tylko ja. Koła. Żelaz-zzo…

– Sprzedałeś im sztukę obróbki żelaza?

– Ssprowadziłem kowala. Człowieka.

– A jakiej zapłaty żądałeś za to wszystko? – spytała Jansson.

– Mioty ich miotów będą jesz-szcze s-sspłacać w ratach.

Będą płacić za ten „dar" królików, pomyślała Jansson. Mogły wcześniej spytać o nie Australijczyków…

Kobold przechylał się do nich, wyraźnie chcąc się włączyć do rozmowy. Kobiety jednak zamilkły, więc się cofnął. Jansson zastanawiała się, czy wyczuł ich wzgardę. W każdym razie wydobył z sakiewki stary walkman, wsunął słuchawki na uszy i włączył muzykę; kołysał się do rytmu. Znowu się uśmiechnął i obserwował twarze obu kobiet, jakby chciał się upewnić, że na niego patrzą. Wydawał się marną imitacją człowieka, i to w potrzebie, uznała Jansson – potrzebował uznania ludzi, bo ta zwierzęca godność, jaką posiadali jego dalecy przodkowie, pewnie zaniknęła już, wyeliminowana niszczącymi kontaktami z ludzkością.

Jansson odwróciła się z niesmakiem.

I zobaczyła ze zgrozą, że kiedy Śnieżek i Li-Li patrzyli na króliki, Sally wysunęła miotacz promieni z kabury u pasa Śnieżka. Obejrzała go szybko i włożyła na miejsce.

– Martwy – szepnęła do Jansson. – Tak mi się wydawało, że wygląda na nieczynny. To kolejny użyteczny fakt, Monico…

ROZDZIAŁ 50

Bliżej miasta trakt się poszerzył. Ruch także był większy – przetaczały się wozy wyładowane zarżniętymi tuszami, pociętą skórą i kośćmi. Pędzono też żywe zwierzęta, podobne do niedźwiedzi, a niektóre nawet trochę do małp. Stad pilnowali pasterze, beagle'e z kijami i strzelającymi batami. Minęła ich też grupa trolli prowadzonych przez beagle'a, ale bez żadnego przymusu; trolle śpiewały w marszu coś, co zdaniem Jansson brzmiało jak rockabilly.

Byli też piesi: beagle'e, dorosłe i szczeniaki, w pasach i kamizelkach pełnych kieszeni. Jansson nie zauważyła żadnych ozdób, biżuterii, żadnych kolorowych czapek ani krzykliwych ubrań. Kiedy jednak tłum gęstniał, zaczęła wyczuwać ostre odory mokrej sierści, moczu czy kału; zastanawiała się, czy ci psi ludzie jakoś ozdabiają się nie wizualnymi ornamentami, ale wymyślnymi zapachami.

Dorośli chodzili wyprostowani. Pewnie bieganie na czterech łapach nie było w mieście dobrze widziane, pewnie to coś, na co można sobie pozwolić na odludziu albo w odosobnieniu – tak jak u ludzi chodzenie nago. Ale młode bez oporów biegały na czworaka, skakały i kręciły się przy nogach rodziców, jak zwykłe szczeniaki wokół nowego właściciela. Jansson nie znała się na anatomii, lecz z zaciekawieniem obserwowała beagle'e; próbowała zrozumieć, w jaki sposób psi, czworonożny układ ciała dał się zaadaptować do pozycji wyprostowanej, w dodatku wyglądającej całkiem naturalnie – i jak to możliwe, że tak łatwo jest im wrócić do pozycji czworonożnej. Tym się różniły od ludzi: przecież nawet dziecko nie wytrzymałoby i pięciu minut, gdyby musiało chodzić na nogach i rękach, jak jego dalecy szympansi przodkowie.

Niestety, nie wypatrzyła żadnych szczegółów.

Trzymała się burty rozkołysanego wozu, pozwalając, by zalewały ją obrazy i zapachy. Tłum na trakcie wyglądałby jak składający się z ludzi, gdyby patrzeć na niego spod wpół przymkniętych powiek. Beagle'e w pozycji pionowej były wyższe od ludzi, ale z miednicą zawieszoną dość nisko, tak że tułów był długi, a nogi krótkie. Nie tak niemożliwe do pomylenia z człowiekiem. Ale potem widziała postawione uszy, spoglądały na nią zimne wilcze oczy, docierał ostry zapach stada psów – i miała wrażenie, że te stworzenia nie mogłyby być bardziej obce.

Finn McCool przyglądał się jej.

– Jesteś dla nn-nich obca, ale nie ażż tak obca. One myślą, że jes-ssteście koboldy. – Zaśmiał się. – Dla nich jes-ssteśmy tacy ss-sami, ludzkie rassy. Tacy s-ssami dla głupich sz-szczeniaków.

– Ty i ja nie jesteśmy tacy sami – oznajmiła pogardliwie Sally.

Wreszcie dotarli do miasta, co przyjęły z prawdziwą ulgą. Oko Łowcy okazało się brązową plamą drewnianych budynków pod chmurą dymu na błotnistej równinie. Część centralną otaczała szeroka fosa z przerzuconymi solidnymi mostami z drewna i kamienia. Fosa miała ewidentnie znaczenie obronne, ale za nią nie było żadnych sensownych miejskich murów, tylko nieregularne ogrodzenie z kamieni bez zaprawy. Wyglądało, jakby miało nie dopuszczać zwierząt, które zabłąkają się tu z pól, a nie jakichś realnych najeźdźców.

Zanim dotarły do fosy, minęły zagrody, do których kierowano na rzeź hodowane zwierzęta. Jansson zobaczyła beagle'e przy pracy, błyskające gładkie kamienne ostrza i zwierzęta padające jedno za drugim. Śmierć i krew… zdawało się, że to uniwersalne stałe na każdym świecie, niezależnie od tego, jak daleko się dotrze. Jansson czuła, jak buntuje się jej żołądek.

W mieście budynki, nie wyższe niż dwie kondygnacje, były solidne, choć pozbawione wszelkich ozdób – pudła ze ścianami z kamienia albo wyschniętej gliny, z dachami krytymi drewnem albo czymś w rodzaju szorstkiej strzechy; nieregularne kształty, niczego podobnego do zaokrągleń czy kwadratów kojarzonych z ludzkimi miastami. Zdawało się, że jest tylko kilka arterii komunikacyjnych, długich i prostych ulic z południa na północ i ze wschodu na zachód, przechodzących przez serce miasta; pozostałe ulice były kręte i nieregularne.

Geometria z pewnością nie należała do mocnych stron tych psów – a w każdym razie geometria w stylu ludzi. Dominującym zapachem stał się dym płonącego drewna i zastarzały smród surowego mięsa, maskujący nawet mocne psie zapachy beagle'i. Miasto okazało się nie tylko cuchnące, ale też hałaśliwe, z niecichnącym chórem szczeknięć, ujadań i wycia.

Nie dotarli daleko, gdyż zatrzymała ich grupka twardych z wyglądu samców. Otoczyły wóz i zaczęły wypytywać Śnieżka i Li-Li seriami szybkich szczeknięć i warknięć.

– Gliny – uznała Sally. – Albo gwardia królewska. Mamy jechać prosto do pałacu… Nie przypomina to Paryża we Francji, przyznasz…

– To nawet nie jest Paryż w Teksasie.

– Ale nie po to go zbudowali, żeby akurat nam imponować.

Li-Li uśmiechnęła się do nich, pokazując zęby, a potem zaczęła węszyć w powietrzu, głośno pociągając nosem.

– Wiem od koboldów. Ludzie nie mmają węchu. Ale mias-ssto, mias-ssto pełne ssłów. Tam zapach „Ja tutaj, pół dnia temu, szukam cię". A daleko, daleko… słyszycie wycie? „Ja, ja mam dob-hrre świeże mięso, kupujcie, kupujcie, kupujcie".

Sally uśmiechnęła się do Jansson.

– Wyobraź sobie, że masz nos psa policyjnego. Miasto jest pełne informacji. Wszędzie są zapachowe znaczniki, jak plakaty czy graffiti na murach, natomiast wycie jest bardziej długodystansowe, taki niby internet.

Dotarli wreszcie do budynku większego niż inne – był szerszy, ale nie wyższy i wcale nie lepiej zbudowany. Tutaj ludzie i kobold mieli zaczekać ze Śnieżkiem, a Li-Li wbiegła do środka.

Najsilniejszym zapachem stał się dym palonego drewna.

– Psy odkrywają ogień – mruknęła Jansson.

– Może tak to się zaczęło – odparła Sally. – Psy to inteligentne zwierzęta. Bardzo towarzyskie, szybko się adaptują, łatwo je wytresować. Może tutaj my, sprytne małpy, nigdy nie wyewoluowaliśmy, żeby utrzymać je na swoim miejscu. I pewnego dnia, w jakimś głodującym na prerii stadzie, jakaś inteligentna młoda samica wróciła do legowiska, niosąc w paszczy płonącą gałąź znalezioną pod trafionym przez piorun drzewem…

– Albo jakiś inteligentny młody samiec…

Sally uśmiechnęła się znowu.

– Bądź poważna.

Wróciła Li-Li. I powiedziała, że mają natychmiast iść do Wnuczki.

ROZDZIAŁ 51

Prowadzono je przez wąskie, kręte i poplątane korytarze; łatwo było się zgubić, chyba że ktoś podążał za zapachami… prawdopodobnie. Trafiły w końcu do dużej komory z długimi, zakrzywionymi ścianami z kamienia i gliny, z wysokim sklepieniem, oknami i paleniskiem, na którym nie palił się ogień.

Podstawowe elementy pomieszczenia mógłby zaprojektować człowiek, uznała Jansson, łącznie z paleniskiem umieszczonym pod czymś, co wyraźnie było otworem kominowym. Niektóre rzeczy są widać uniwersalne. Jednak całość, choć rozsądnie zbudowana, dla ludzkich oczu wydawała się ponura: żadnych farb, tapet, gobelinów, żadnych obrazów na ścianach. Unosiła się za to bogata mieszanina zapachów, którą wyczuwał nawet jej zmaltretowany policyjny nos.

Księżniczka beagle'i nie miała tronu; siedziała na podłodze, na czymś, co wyglądało jak kawałek rosnącej w środku sali naturalnej murawy. Obok stali gwardziści uzbrojeni we włócznie z kamiennymi grotami i kosmiczne blastery. Jansson zastanawiała się, skąd trawa bierze światło, by przetrwać.

Tytułem Wnuczki nie była „Wnuczka". Jej imię nie brzmiało „Petra". Doradca obok niej, podstarzały samiec z ponurą miną, nie nazywał się „Brian". Ale takie określenia uzyskały od kobolda jako najlepsze z możliwych. Sama Wnuczka nosiła tylko praktyczny z wyglądu pas z kieszeniami – oraz, jak zauważyła Jansson, jakiś wisior na rzemyku na szyi, jakby medalion z pięknych błękitnych kamieni osadzonych w złotym pierścieniu. Medalion przyciągał wzrok; wydawał się irytująco znajomy.

W dodatku leżał przy niej pies – prawdziwy pies, autentyczny pies z Podstawowej, wielki owczarek alzacki. Usiadł teraz i z wywieszonym językiem patrzył na nowo przybyłych. Wyglądał na zdrowego, dobrze odżywionego i zadbanego. W pewnym sensie, w tym pomieszczeniu pełnym psoludzi, jego obecność wydawała się całkiem naturalna, a równocześnie najdziwniejsza.

Wszystkie beagle'e patrzyły nieruchomo, jak Jansson i Sally – pospiesznie poinstruowane przez Finna McCoola – okazują uległość wobec Wnuczki, kładąc się na wznak i wyciągając w górę ręce i nogi.

– Boże, to poniżające – mruknęła Sally.

– Jest gorsza sprawa. Chyba sama nie dam rady wstać.

Łagodna pielęgniarka Li-Li podeszła, by jej pomóc, kiedy demonstracja dobiegła końca. Potem Sally i Jansson, razem z McCoolem, musiały usiąść na twardym klepisku. Wnuczka wymruczała coś do swych doradców.

– Ten pies – rzuciła cicho Sally. – To pies z Podstawowej. Twoja robota, McCool?

– Nie ja… Inny s-ssprzedawca kobold. Popularne tutaj. Jak wielkie samce. Zabawwki seks-ssualne.

Sally parsknęła, ale powstrzymała się od śmiechu.

Jansson pochyliła się do niej.

– Sally – szepnęła. – Ten wisior, który ma na szyi…

– Tak. Siedź cicho.

– Ale on wygląda…

– Wiem, jak wygląda. Nic nie gadaj.

Po dłuższej chwili Wnuczka zniżyła się do tego, by zwrócić na nie uwagę. Odezwała się typową szorstką aproksymacją angielskiego.

– Ty. Co naz-hrrywasz się człowiekiem. Ze świata, co naz-hrrywasz Podstawową.

– To się zgadza… – potwierdziła Sally. – Ehm… proszę pani.

– Czego tu sz-hrrukacie?

Zacinając się, Sally i Jansson wytłumaczyły, dlaczego przybyły: powiedziały o kłopotach z trollami na wszystkich ludzkich Ziemiach, o tym, jak Sally dowiedziała się od koboldów, że wiele trolli uciekło do tego świata, i jak miały nadzieję, że przyprowadzone przez nie trolle, Mary

i Ham, będą tu bezpieczne.

Wnuczka rozważyła ich słowa.

– Trolle tu szczęśliwe. Trolle lubią beagrr-le'e. Beagle'e lubią t-hrrolle. Trollowa muzyka dobra. Ludzka muzyka gówno. – Zastrzygła uszami. – Uszy beagle'ów lepsz-hrre niż ludzi. Ludzka mu-hrrzyka gówno.

– Ojciec też mi to powtarzał – zgodziła się Sally. – Tylko zjazd, odkąd rozpadli się Simon i Garfunkel.

Petra spojrzała na nią zdziwiona.

– Simon i Ga-rhh…?

– Nieważne.

– Beagle'e ga-rrdzą ludzką muzyką. Beagle'e garrdzą ludźmi.

To brutalne stwierdzenie zaszokowało Jansson.

– Dlaczego?

Wnuczka wstała na dwie nogi i podeszła, spoglądając z góry na siedzące kobiety. Jansson musiała się starać, by nie drgnąć i spokojnie patrzeć jej w oczy.

– Dlaczego? Śmie-hrrdzicie. Ty ba-hrrdzo.

A jednak Jansson miała wrażenie, że sama Wnuczka pachnie dziwnie, nienaturalnie, może jakimiś perfumami. Może w gatunku, dla którego węch jest taki ważny, zamaskowanie zapachu pozwalało ukrywać myśli?

– I wasze pssy. – Petra wskazała spokojnego owczarka. – Kiedyś wilk. Teraz zabawka, jak og-hrryzek kości w ustach. Ludzie to z-hrrobili.

Jansson podejrzewała, że to prawda – psy były wilkami zredukowanymi do posłusznych zwierząt domowych. Wyobraziła sobie, że widzi jakiegoś humanoida z małym mózgiem, w obroży i na smyczy. Mimo to zaprotestowała.

– Ale my kochamy nasze psy!

– Prawdę mówiąc, ewoluowaliśmy razem z nimi – dodała Sally.

– Nie mają p-hrraw. Tu chodzimy na dwóch nogach, nie czte-hrrech. Tylko szczeniaki, jak się bawią. I kiedy polujemy. Mamy zb-hrrodnię. Tych, co hrrobią źle. Ich łapiemy, wypędzamy z miasta. Polujemy.

Jansson spojrzała na nią.

– Na czterech łapach? Polujecie na swoich przestępców na czterech łapach?

Doradca, Brian, odezwał się po raz pierwszy.

– Mamy dużo szczeniaków. Duże mioty. Życie tanie. Lubimy polować.

Zdawało się, że Petra się uśmiecha. Jansson wyczuła w jej oddechu surowe mięso.

– Lubimy polować. Dob-hrre dla wilka w środku.

– Czyli gardzicie ludźmi za to, że w naszym świecie udomowiliśmy wilki – rzekła z irytacją Sally. – Świetnie. Ale wam samym nie zaszkodziliśmy w żaden sposób, nikomu z was. Nie wiedzieliśmy nawet, że istniejecie, dopóki Śnieżek nie zjawił się na Prostokątach.

– Ob-hrrażasz mnie. Śmierrdzące deforrmowane elfy. Nie macie tu p-hrraw. Czemu mam was nie rzucić do polowania?

Sally zerknęła na Jansson.

– Bo możemy wam dostarczyć więcej miotaczy – oświadczyła zdesperowana. Wskazała najbliższego gwardzistę. – Jak te.

Zdumiona tą obietnicą, Jansson spojrzała na nią zaskoczona. Sally unikała jej wzroku.

– Ta broń wygląda mi na starą. Wyczerpana, prawda? Nie widzieliśmy, żeby ktoś z niej strzelał. Wiem, że te miotacze są martwe. Możemy wam zdobyć ich więcej.

Petra spojrzała na kobolda, który wydawał się… rozgniewany? Wystraszony? Jeśli dostarczał beagle'om broń, to mógł stracić dochody. Ale Jansson nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy.

Petra schyliła się, zbliżając wielką głowę do twarzy Sally. Zmarszczyła nos, wilgotny, czujny…

– Kłamiesz.

– To twoja opinia.

Chwila decyzji zawisła w powietrzu. Jansson siedziała nieruchomo, czując bolące mięśnie zdradzieckiego ciała. Sally nie ustąpiła pod gniewnym wzrokiem Petry.

W końcu Petra warknęła z irytacją i wyszła z sali; jej seksualny niewolnik pobiegł za nią.

Sally odetchnęła demonstracyjnie.

– Chyba doczekamy drugiego dnia bitwy.

A kiedy gwardziści zaczęli dyskutować między sobą szczeknięciami i warknięciami, Jansson pochyliła się do Sally.

– W co ty grasz?

Równocześnie analizowała sytuację. Jako była glina, widziała przed sobą wskazówki, w głowie tworzyły się połączenia.

– Czy to ma coś wspólnego z tym jej naszyjnikiem? Jest taki sam jak ten pierścień Joshuy z Prostokątów…

Sally przytknęła jej palec do warg. Ale uśmiechnęła się przy tym.

Odprowadzono je do czegoś jakby apartamentu na końcu pałacu; składał się z głównego pomieszczenia z paleniskiem i małych pokoików, których wejścia można było zasłonić płachtami skóry.

Finn McCool trafił tam razem z nimi. Sally szorstko wepchnęła go do jednego z pokoików i przykazała, żeby tam siedział. Nie protestował, jak zwykle, gdy znalazł się blisko ludzi. Jansson zastanawiała się jednak, jaka uraza płonie w tym dziwnym umyśle, uraza z powodu traktowania go przez te istoty wyższe, fascynujące i odpychające równocześnie.

Jansson wybrała pierwszy z brzegu pokój. Na podłodze znalazła legowisko ze słomy przykrytej kilkoma kocami. Nie było ubikacji ani umywalki, ale rodzaj studni w podłodze, z chyba czystą wodą. Jansson zrzuciła plecak i z zaciekawieniem obejrzała koce. Wydawało się, że utkane są z włókien kory. W jaki sposób je wyprodukowano? Wyobraziła sobie, jak beagle'e zdzierają korę i splatają ją zębami i palcami…

Wróciła do wspólnego pomieszczenia; na ziemi wokół paleniska beagle'e układały miski z jedzeniem. Sally siedziała na podłodze, w dość swobodnej pozie, i przyglądała się pożywieniu. Obejrzała się na Jansson.

– Jak twój apartament?

– Bywałam w gorszych noclegowniach. A w tej chwili mam wrażenie, że mogłabym spać na betonie.

Sally zbliżyła się i powiedziała ciszej:

– Posłuchaj, Jansson, póki mamy chwilę dla siebie. Potrzebny nam plan. Jak możemy się z tego wyplątać.

– Zawsze możemy przekroczyć. Sama mówiłaś, że możesz mnie przenieść…

– Oczywiście. Nie przejmują się tym, prawda? Owszem, zabrali ci kroker. Może im się wydaje, że jesteśmy jak trolle, które nie przekroczą, jeśli muszą zostawić szczeniaka. Ale przypuszczam, że w pewnym sensie narzucają nam swój sposób myślenia. Oni nie mają więzień, nie stosują ich. Mówili o tradycji polowania. Całkiem im odpowiada, jeśli złoczyńcy się wyrwą, tak? Jeśli uciekają, walcząc o życie, zamiast tkwić w zamknięciu. Tak uważają. Dlatego instynktownie nie próbują nas więzić. Uważają pewnie, że jeśli nawet przekroczymy, i tak nas upolują, bo pójdą za nami, niesieni przez koboldy. Zobaczymy, czy spróbują. Na razie jednak nigdzie się nie wybieramy. Nie załatwiłyśmy tu naszych spraw. Musimy uregulować jakoś stosunki między ludzkością i tymi inteligentnymi psami. Nie możemy pozwolić, żeby różne koboldy rozgrywały nas przeciwko sobie nawzajem.

Jansson zerknęła na wejście do pokoiku Finna McCoola.

– Zgadzam się – zapewniła z przekonaniem.

– No i jest jeszcze sprawa trolli. Jeśli zbierają się tutaj, wszystko staje się… – Zdawało się, że brakuje jej słów, co było dla Sally nietypowe. – Staje się wytrącone z równowagi na całej Długiej Ziemi. I musimy to jakoś rozwiązać. Ale najpierw to, co najważniejsze. Trzeba zamknąć

brudne interesy tego kobolda, więc musimy znaleźć jakieś zaczepienie…

– Mówiłaś o pierścieniach. Tym, który nosi Wnuczka, i tym, który Joshua przyniósł z Prostokątów.

– Zgadza się. To musi mieć jakieś znaczenie. Wszystko się ze sobą łączy, przyznasz. Pierścień ze świata tuż obok, do którego docierają koboldy, ale beagle'e nie mogą… Zaawansowana broń, także znaleziona w jakimś wykrocznym świecie…

Jansson zastanawiała się przez chwilę.

– Znamy tylko jedno możliwe źródło wysoko rozwiniętej techniki: to świat Prostokątów, świat ze stosem atomowym. Tak? Tam znaleźliście pierścień, taki sam jak ten Wnuczki. Najprostsze wyjaśnienie jest takie, że tam właśnie znajduje się źródło broni.

– Zgoda – przyznała Sally. – Brzytwa Ockhama.

– I instynkt gliny. Jasne. Ale z jakiegoś powodu kobold nie może chwilowo zdobyć miotaczy. Gdyby mógł, już by je sprzedawał, prawda?

– To musi mieć jakiś związek z pierścieniami. Inaczej po co by Wnuczka nosiła jeden z nich na szyi? Może McCool potrzebuje pierścienia, żeby uzyskać dostęp do broni? Ale tego u Wnuczki nie może więcej używać…

– Wiem, o czym myślisz – uśmiechnęła się Jansson. – Może pierścień Joshuy też się nadaje.

– To wszystko domysły, lecz pasują do siebie. Mój kontakt wśród koboldów posłał mnie na Prostokąty, nie bezpośrednio tutaj. Zawsze podejrzewałam, że na tej suchej planecie można znaleźć więcej produktów techniki… Niech to szlag! Potrzebujemy tego pierścienia, jeśli chcemy do czegoś dojść. Muszę go tu przynieść. Zdjąć go ze ściany w mieszkaniu Valienté.

– Przynieść? Och… Chcesz stąd przekroczyć…

– Muszę cię na trochę zostawić. Jesteś zbyt słaba, tylko byś mnie spowalniała. Przykro mi. Zresztą przynajmniej jedna z nas musi zostać i pokazać, że nie uciekamy.

Jansson skrzywiła się, próbując zamaskować lęk na myśl o tym, że zostanie tu sama.

– Będę cię kryła. Nawet nie zauważą, że cię nie ma.

– Jasne. Joshua, mam nadzieję, też nawet nie zauważy, że nie ma pierścienia. Nie chcemy, żeby jeszcze on się tu zjawił.

– Przybędzie, jeśli zdoła – oświadczyła Jansson z przekonaniem.

Sally zastanowiła się szybko.

– Jeśli tak, może uda się go wykorzystać…

Ale musiały przerwać, gdyż do pokoju wszedł beagle, którego Jansson zapamiętała jako doradcę Wnuczki o ludzkim imieniu Brian.

– Pros-szę… – Skinął ręką czy łapą w bardzo ludzkim geście powitania. – Zjedzcie ze mną. Wyb-hrrałem dania, jakie wcześniej wybierrały koboldy.

– Nie jesteśmy koboldami – burknęła Sally.

Jansson przyniosła sobie koc, złożyła i krzywiąc się z bólu, usiadła na nim. Rzuciła okiem na rozstawione już naczynia – wydawało się, że są z drewna. Nie mieli tu garncarstwa?

– Samo mięso – zauważyła niechętnie Sally, badając zawartość misek. – Nie pytaj, z czego są te plastry. Przynajmniej je upiekli, pewnie mocniej niż lubią beagle'e.

– Spal-hrrone – warknął Brian. – Żadnego smaku…

– Wszystkie oprócz tego. – Sally wskazała środkową misę pełną tłustych różowych kęsów.

– Tych nie wolno piec – oświadczył Brian.

Jansson sięgnęła do resztek energii, próbując jakoś radzić sobie z kolejnymi zdziwieniami.

– Dziękujemy za gościnność.

– Dziękuję – odpowiedział Brian.

– Za co?

– Że tu jess-teście. Ja, ja mam dziwną hrrolę. Pasuje do mojego dziwnego umysłu. Mój nos śledzi, hrr, nietypowe zapachy. Wnuczka Petra mnie tole-hrruje dla mojego czasem przydatnego nosa. A ja, ja jesstem niewolnikiem jej zapachu, jak ten przysstojny du-hrreń Śnieżek… Samice rządzą, hrr, samcami. U ludzi tak samo?

– Tak – potwierdziła Sally. – I niektóre ludzkie samce też to wiedzą.

– Ja, ja jestem dziw-wny na beagle'a. Ciągle mnie nudzą te same sta-hrre zapachy. Te same hrrozmowy. Cenię obcych i niezwykłość. Inne, inne… – Szukał odpowiedniej frazy. – Inne… punkty widzenia. A co ba-hrrdziej hrróżnego niż beagle i kobold?

– Nie jesteśmy koboldami – zaznaczyła znowu Sally.

– Przep-hrraszam, przeprraszam. Zły te-hrrmin. Szkoda, że nie spotkaliśmy się wcześniej. Dwa hrrodzaje umysłu, dwa sposoby wąchania świata. Bahrrdziej bogate. Przyk-kład: To miasto nazwane od naszej bogini, któ-hrra jest Łowcą. Wierzymy, że to Matka Matek. Jej stado to Stado Stad. Jak Petra jest Wnuczką, są też Có-hrrki nad nią i Matka Stada nad nimi. Matka Stada żyje daleko stąd, rządzi Legowiskami. Łowca, Matka Matek, u-hrrodziła świat i rządzi wszystkim, nawet Matkami. A kiedy umie-hrramy, nasze duchy porzucają ciała, Matka Matek na nie poluje i zabierra z pow-hrrotem. Jakich wy macie bogów?

– Mamy wielu bogów – odparła Jansson. – A niektórzy wcale nie są boscy.

– Uważacie nas za ba-hrrbarzyńców. O jeden k-hrrok od wilka. Czy nasza hrreligia jest dla was p-hrrymitywna?

Sally zachowała stoicki spokój.

– Nie mam opinii na ten temat.

– Niekhtórzy poga-hrrdzają tym wilkiem w nas. Tak jak i wy może ga-hrrdzicie waszym zwierzęcym przodkiem, jego znakiem w was. My polujemy. Zabijamy. Duże mioty. Życie tanie, wojna powszechna. Wielkie rzezie. Miasta puste, Legowiska padają… Potem więcej miotów, więcej małych żołnie-hrrzy.

– Cykl – stwierdziła Sally, wyraźnie zafascynowana. – Rozkwit i upadek. Rodzą liczne mioty, wiele niekochanych wojowniczych szczeniaków, wiele Wnuczek i Córek stara się zostać tą Matką, przywódczynią narodu. Walczą, prowadzą wojny, wybijają się… a kiedy populacja spada, cykl zaczyna się od początku.

– To jak miejskie gangi – zauważyła Jansson.

– Może. Na pewno hamuje to ich rozwój. Techniczny, społeczny. Może nie ma się co dziwić, że tkwią w epoce kamiennej. I dlaczego są takim łatwym celem dla handlarzy bronią, jak ten kobold.

– Pat-hrrzcie. – Brian pochylił się i ze środkowej misy wziął różową grudkę. – Nienarodzony k-hrrólik. Wycięty z macicy matki. Świeży. Deli… Delicja. – Umieścił embriona między zębami, nadgryzł i niczym koneser wino, powoli smakował spływającą do ust krew. – Niektórzy ga-hrrdzą wilkiem w nas. Ale ten ss-mak, ten smak…

I nagle odór mięsa stał się dla Jansson obrzydliwy. Wstała sztywno.

– Muszę odpocząć.

– Jesteś cho-hrra. Zapach na tobie.

– Przepraszam. Dobrej nocy, drogi panie. Tobie też, Sally.

– Zajrzę do ciebie później.

– Nie trzeba.

Kilka kroków dzielące ją od sypialni wydawały się bardzo daleką drogą. Zdawało jej się, że czuje na sobie wzrok kobolda, Finna McCoola, obserwującego ją zza zasłony.

Źle spała.

Bolało ją wszystko: brzuch, nawet kości. Wzięła dodatkową dawkę środków przeciwbólowych ze swojego plecaka, ale to nie pomogło.

Zdrzemnęła się.

I obudziła, widząc nad sobą wilczą twarz w ciemności, ledwie się rysującą w świetle gwiazd widocznych przez okno nad posłaniem. Dziwne, ale nie czuła lęku.

– Jestem Li-Li. – Beagle przytknęła jej palec do warg. – Jesteś cho-hrra, widziałam. Boli cię?

Jansson przytaknęła. Nie warto było zaprzeczać.

– P-hrroszę, pozwól mi…

I Li-Li jej pomogła. Obłożyła ciało Jansson zawiniątkami ciepłej tkaniny, posmarowała

brzuch, grzbiet i głowę maściami, które wydawały się jakimiś przeżutymi do miękkości porostami i mchem. Potem szorstkim językiem lizała jej szyję, jej czoło… Ból stopniowo ustąpił i Jansson osunęła się w sen.

ROZDZIAŁ 52

Jakiś tydzień po spotkaniu z George'em i Agnes Abrahamsami „Benjamin Franklin" zbliżał się do Niskich Ziemi, kierując się ku Podstawowej.

Maggie wyczuwała ulgę wśród załogi, radość, że dzięki rozklekotanej turbinie wszystkich czeka nieplanowany urlop. Wyprawa poprzez zachodnią Długą Ziemię była męcząca. Dzień po dniu mijali kolejne światy otępiającej pustki – w każdym razie otępiającej dla miejskich dzieciaków, którzy stanowili większą część załogi. Tę nudę przerywały tylko wezwania, by rozwiązać kłopotliwe sytuacje, jedną bardziej idiotyczną od drugiej.

A trolle odeszły. Doświadczenie było niezwykłe, nawet obserwowane z wnętrza okrętu – niezwykła egzystencjalna zmiana rzucająca cień na wszystkie mijane światy.

A jednak, gdy „Franklin" płynął przez coraz bardziej mroczne nieba industrializowanych Niskich Ziemi, nawet Maggie – choć pochodziła ze wsi – ogarniały znajome ciepłe uczucia i zastanawiała się, czy wielkomiejskie życie ma jakieś zalety. Wieści, które do nich docierały, były naprawdę niezwykłe. Trwały jakieś geologiczne niepokoje w wykrocznych wersjach Yellowstone, w większości Niskich Ameryk. Maggie wpatrywała się w przekazy ze Wschodniej 2 – stado bydła uduszonego przez silną emisję dwutlenku węgla, i z Zachodniej 3 – twainy ewakuujące mieszkańców zagrożonego miasteczka. Do odizolowanych na rubieżach Długiej Ziemi Maggie i jej załogi docierały dotąd tylko rzadkie outernetowe pogłoski o tym, co się dzieje.

Dziwne czasy, myślała; czasy nierównowagi w świecie natury i ludzi, na Ziemi Podstawowej i daleko poza nią.

W doku stoczni remontowej sterowców marynarki w Detroit Podstawowym mechanicy rozpełzli się po całym „Franklinie" razem ze lśniącymi platformami diagnostycznymi z mechanicznymi ramionami – wyglądało to jak skomplikowany taniec modliszek. Zastępca dowódcy Nathan Boss i główny mechanik Harry Ryan obserwowali to wszystko jak para jastrzębi. A towarzyszył im Carl. Młody troll musiał zostać na okręcie – obecność trolli była problematyczna wszędzie na Podstawowej, a one same źle się czuły na świecie z tłumami ludzi. Carl jednak bardzo się interesował każdym kluczem, każdymi kleszczami i każdym zrobotyzowanym zestawem diagnostycznym.

Nawet teraz, kiedy patrzyła na Carla, Maggie trudno było uwierzyć, że nie jest jakimś szympansem czy gorylem. Oczywiście, był od nich bardziej inteligentny, nawet jeśli nie liczyć długiego wołania i niezwykłej grupowej inteligencji trolli. Porozumiewał się komunikatami bardziej złożonymi niż dowolny szympans, potrafił też budować i używać narzędzi przekraczających wyobraźnię Tarzanowej Cheety. Mac poradził jej, żeby myślała o trollach jak o przodkach ludzi. Czymś pośrednim między szympansem a człowiekiem. Jednak, jak tłumaczył Mac, te zwierzęta nie były żywymi skamielinami, ale efektem milionów lat działania doboru naturalnego – od czasu, kiedy ich linia odłączyła się od ludzkiej. To nie byli prymitywni ludzie, ale w pełni wyewoluowane trolle. Maggie była tylko wdzięczna, że „jej" trolle, przynajmniej na razie, nie zdradzały chęci odejścia.

Kot również; Shi-mi spacerowała po rozprutym cielsku sterowca z miną właściciela i inspektora. Maggie nigdy nie zauważyła, by porozumiewała się z kimś z robotników czy choćby z jakimś robotem. Nie była pewna, czy obecność kota powinna ją uspokajać, czy niepokoić.

Natomiast rzeczywiście budziła jej niepokój wszechobecność Korporacji Blacka. Każdy klucz nastawny i kleszcze, tak fascynujące Carla, oznaczone były logo Blacka lub jednej z jego spółek.

Black najwyraźniej zaangażował się w obsługę floty sterowców i ogólnie struktur militarnych USA o wiele mocniej i bardziej widocznie, niż to pamiętała jeszcze sprzed kilku miesięcy, sprzed początku misji „Franklina". A może po prostu lepiej to zauważała teraz, kiedy miała własny okręt. Zresztą związki Blacka z wojskiem miały długą tradycję. W końcu to on

udostępnił technologię twainów i uczynił ją otwartą; był też jednym z głównych dostawców dla wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Od czasów poronionej próby militaryzacji jego działań i wywłaszczenia go kilka lat temu związki Blacka ze sztabem i dysponentami budżetu stały się nie tylko utrwalone kontraktami, ale wręcz instytucjonalne.

Teraz, kiedy te związki tak bardzo rzucały się w oczy, czuła się trochę nieswojo.

Uczucie to jeszcze się wzmogło po zakończeniu prac, gdy kierownik stoczni odszukał ją i poinformował, że uszkodzona turbina numer dwa została wymieniona gratis przez nowocześniejszy model, produkt Korporacji Blacka. Odruchowo zaprotestowała, ale zwierzchnicy jej nie poparli.

Pozostała nieufna, kiedy „Franklin" opuścił dok, by wykonać serię lotów próbnych po zadymionym niebie Podstawowej. Okręt mruczał jak maszyna do szycia i ogólnie zachowywał się o wiele lepiej niż przedtem. I tak jednak poleciła Nathanowi Bossowi i Harry'emu Ryanowi na nowo sprawdzić wszystkie systemy i zabezpieczenia. Chciała się upewnić, że ludzie Blacka nie zostawili na pokładzie żadnych niespodzianek, na przykład układów śledzących albo umożliwiających przejęcie sterowania. Niczego nie znaleźli.

Chyba że liczyć kota, pomyślała Maggie. Ta przeklęta kreatura zaczęła sypiać – a przynajmniej symulować sen – w koszu w kajucie obok stanowiska dowodzenia. A Maggie jakoś nie miała serca, by ją wyrzucić.

Skan Harry'ego Ryana niczego nie wykazał. Maggie jednak zachowała swe podejrzenia.

Tej nocy, ostatniej na Podstawowej przed podjęciem misji, o trzeciej nad ranem obudziła ją pilna wiadomość. Według niekompletnych przekazów outernetowych z Wysokich Meggerów i dalej „Neil Armstrong" zaginął.

ROZDZIAŁ 53

Poranek na Ziemi Wschodniej 8 616 289.

Idąc za Yue-Sai, Roberta z zestawem monitoringu na ramieniu zstąpiła ostrożnie na ziemię porośniętą jakimś zielonym mchem. Przeszły przez mniej czy bardziej otwartą równinę, pod wiszącymi na pochmurnym niebie chińskimi sterowcami. Teren nie był tu porośnięty drzewami; jedyne większe rośliny okazały się czymś w rodzaju paproci, wysokich do piersi; z wielkimi pióropuszami liści. Ranek był słoneczny, ale zimny. Roberta miała na sobie jednoczęściowy pikowany kombinezon i buty z wełnianą wyściółką, lecz chłód kąsał odkrytą skórę, policzki i czoło. Yue-Sai o mało nie skręciła nogi, kiedy wpadła do nory jakiegoś zwierzęcia. Okazało się, że przypomina wiewiórkę, choć Roberta podejrzewała, że bardziej jest podobne do prymitywnych naczelnych niż do prawdziwych wiewiórek. Zresztą naczelne czy wiewiórki, czy jeszcze coś innego, zwierzaki były wszędzie i należało patrzeć pod nogi.

Świat nie wydawał się szczególnie gościnny. Nawigatorzy stwierdzili, że na tej Ziemi płyta tektoniczna niosąca południowe Chiny znalazła się na wyższej szerokości geograficznej, w połowie drogi do bieguna północnego. Geografowie, analizujący obrazy reszty świata przesyłane przez sondy rakietowe, podejrzewali, że na równiku istnieje pustynny superkontynent, połączona Ameryka Północna i Południowa oraz Afryka. Globalny klimat był zakłócony.

Roberta przetrwała nudę przygotowań do tego zejścia, szkolenia, próby skafandra. Pogodziła się też z czekającymi ją zmarnowanymi godzinami ubogich w dane badań. Wiedziała, jak ważny jest fizyczny kontakt z nieznanym światem. Pierwsi badacze kosmiczni, których biografie studiowała pilnie, szukając wzorców osobowych dla swej przyszłej kariery, mówili o potrzebie „prawdy bazowej", o sprawdzaniu warunków na powierzchni jakiejś planety czy księżyca, aby potwierdzić lub odrzucić hipotezy wysunięte na podstawie obserwacji orbitalnych lub teleskopowych. Prawda bazowa, tak. Wiedziała, że jest ważna. A dotarli do bardzo dalekiego, egzotycznego świata, mimo że lot tutaj trwał krótko. Sześć milionów światów od planety z grzebieniastymi kangurami przekroczyli w ciągu niecałego tygodnia; potężne napędy sterowców pchały ich naprzód w niezwykłym tempie.

Mimo to wolałaby teraz siedzieć w swojej kajucie na pokładzie, otoczona książkami i tabletami. Czułaby się bezpiecznie. Ale nie była tam, przynajmniej na razie. Była tutaj. I koncentrowała się na rzeczywistym i fizycznym świecie dookoła.

Wspięły się na zbocze, za którym – jak wiedziały na podstawie pospiesznych obserwacji z powietrza – leżała sucha dolina i toczył się spektakl, który miały zobaczyć. Ta niewielka wspinaczka, wysiłek bezpiecznego przesuwania stóp nad nierównym gruntem, sprawił, że Roberta trochę się zdyszała.

Monitorujący ją z pokładu „Zheng He" Jacques zauważył to.

– Mam nadzieję, że nie opuszczałaś ćwiczeń fizycznych – powiedział.

Roberta nabrała powietrza.

– Podejrzewam, że tutejsze powietrze ma obniżoną zawartość tlenu.

Słyszała trolle śpiewające w tle – cichy pomruk w słuchawce.

– Na okręcie są technicy atmosferyczni, którzy sprawdzają jakość powietrza, zanim otworzą właz. Jak się okazuje, zauważyli fluktuacje zawartości tlenu, tym większe, im dalej odlatujemy. Tutaj stężenie mieści się w granicach niezbędnych do oddychania.

– Ale nie przyszło im do głowy, żeby uwzględnić efekty wysiłku fizycznego – odparła surowo Wu Yue-Sai. – To niestety typowe. Przesadna specjalizacja poszczególnych działów i brak komunikacji.

– Wydaje się, że kapitan prowadzi z nimi poważną rozmowę – oznajmił oschle Jacques. – Jeśli wolicie wrócić…

– Nie, jesteśmy prawie na miejscu – zapewniła Yue-Sai.

Obejrzała się na Robertę, która skinęła głową.

Zbliżając się do grzbietu wzniesienia, Roberta usłyszała orkiestrę rozmaitych odgłosów: głębokie dudnienie, jakby ruchu ulicznego albo nawet czołgów, zmieszane z chórem smętnych porykiwań i perkusyjnymi stuknięciami, brzęknięciami i uderzeniami. Ogarnęło ją podniecenie; uśmiechnęła się do Yue-Sai. Biegiem pokonały ostatnią część zbocza i rzuciły się na ziemię, by spojrzeć w głąb doliny.

Gdzie maszerowały żółwie.

Dla tego widoku wylądowały. Idące w obu kierunkach zwierzęta pokrywały całą dolinę; te po prawej zmierzały na północ, te po lewej na południe. Największe z nich były… ogromne, rzeczywiście jak czołgi, a nawet większe, ze skorupami rozmiarów niewielkich domów, poobijanymi i odrapanymi. Tu i tam w szczelinach i pęknięciach tych skorup ptaki zbudowały gniazda. Roberta zastanowiła się, czy tych pasażerów łączy z gospodarzami jakiś symbiotyczny związek. Zauważyła także od razu, że żółwie obejmowały pełne spektrum rozmiarów, od kolosów, przez olbrzymy, które zwracałyby uwagę nawet na Galapagos, do niewielkich, jakie Roberta widziała czasem hodowane w mieszkaniach, i całkiem małych, mieszczących się w dłoni. Mniejsze biegały wokół nóg ogromnych, człapiących potworów. Wydawały istną kakofonię dźwięków, od popiskiwania najmniejszych po ryki tytanów, huczących niczym buczki mgłowe supertankowców.

Yue-Sai ze śmiechem wskazała małe żółwie.

– Dzieci są takie słodkie.

Roberta pokręciła głową.

– To wcale nie muszą być młode osobniki. Prawdopodobnie widzimy wiele gatunków razem.

– Chyba masz rację. I podejrzewam, że nigdy się nie dowiemy, które są które. – Westchnęła. – Tak wiele światów, tak mało naukowców, by je studiować. Gdybyśmy mieli laboratoria produkujące samopowielających się uczonych, którzy badaliby te światy… Ach, ale przecież mamy! Nazywają się kampusy uniwersyteckie!

Roberta uśmiechnęła się niepewnie.

– Nie zrozumiałaś żartu? – zmartwiła się Yue-Sai. – Przypuszczam, że był trochę zawiły. Czy tak źle mówię po angielsku?

– Nie o to chodzi. Po prostu, jak tłumaczył mi Jacques i inni nauczyciele, jestem za mądra dla większości żartów.

– Doprawdy? – odparła z kamienną twarzą Yue-Sai.

– W wielu żartach jest element oszustwa, a potem ujawnienie prawdy, która zaskakuje. Ja zbyt szybko wykrywam to oszustwo. Dlatego mój ulubiony typ komedii to…

– Slapstick. Humor anarchiczny. Filmy Bustera Keatona. Teraz rozumiem. No ale te światy…

– I te żółwie!

Odkryli cały plik podobnych światów. Im dalej byli od Podstawowej, tym dziwniejsze spotykali Ziemie, z dziwniejszymi ekologiami. W pewnym sensie te żółwie można było przewidzieć. Na Podstawowej plan organizmu żółwia jest bardzo stary, często spotykany i bardzo skuteczny. Więc czemu nie miałyby istnieć światy, gdzie linie genetyczne żółwi stały się dominujące?

– Na wielu światach – powiedziała Yue-Sai – nawet na Podstawowej żółwie zachowują się podobnie. Tworzą długie szeregi, żeby dotrzeć do wodopoju, jak to jezioro wyżej w dolinie. I wypijają swoją porcję, która wystarcza im na całe miesiące.

– Ale te szeregi nie mają setek kilometrów długości!

– Nie – zgodziła się Yue-Sai. – I na ogół nie poruszają się po czymś, co wygląda jak droga z utwardzoną żwirową nawierzchnią. – Chociaż nie mogły podejść bliżej, by to sprawdzić. – I nie takie, którymi kieruje policja drogowa…

W tłumie widziały osobniki wielkości olbrzymów z Galapagos. Stały na uniesionych wysepkach pośród obustronnego ruchu albo w zatoczkach wyciętych w ścianach doliny. Niektóre nosiły na skorupach pasy z kieszeniami i sakiewkami. Miały narzędzia, na przykład pejcze,

którymi niekiedy strzelały, i jakieś przedmioty podobne do rogów, mające wzmacniać ich wołania. Funkcja tych osobników była oczywista: pilnowały, by rzeki zwierząt płynęły spokojnie. W przypadku jakiegoś zderzenia albo kiedy dwa pasy ruchu się zmieszały, albo któryś z małych żółwi wpadł pod nogi olbrzymów, rzucały się w tłum z rykiem rogów. I w jakiś sposób, wśród chaotycznego stukotu skorup, wszystko dawało się uporządkować.

– Mogliśmy się spodziewać inteligencji – stwierdziła Yue-Sai. – Czytałam o tym. Na Podstawowej ludzie odkryli, że żółwie potrafią pokonywać labirynty. Przynajmniej jeśli dali im szansę pokonywania labiryntów, zamiast je zjadać albo dusić w „skrzynkach hibernacyjnych". Może gdzie indziej na tym świecie istnieją żółwiowe wielkie miasta. Żółwiowe armie. Żółwiowe uczelnie… Na samą myśl śmiać mi się chce, choć nie jestem pewna dlaczego.

– Nie wierzę, żebyśmy tu znaleźli cokolwiek bardzo zaawansowanego – odparła Roberta. – Nie lokalnie.

– Dlaczego nie?

– Popatrz na narzędzia tych strażników. Mają podobne funkcje, oczywiście, ale różnią się w szczegółach. Widzisz? Kamień tutaj jest ukształtowany inaczej niż tam. Splot na uchwycie pejcza…

– Co z tego?

– Kultura żółwi musi być inna od naszej – oświadczyła Roberta. – Ich wzorce reprodukcyjne są inne. Jeśli jesteś żółwiem, wykluwasz się z jednego z setek jaj; nie znasz swoich rodziców, nie opiekowali się tobą. Młode nie są prowadzone przez wychowanie rodzinne i edukację formalną, jak my. Pewnie muszą współzawodniczyć o prawo do życia, a jednym z elementów tego współzawodnictwa jest umiejętność wytwarzania narzędzi. Co znaczy, że każda generacja musi w mniejszym czy większym stopniu wymyślać kulturę od zera.

– Hmm… A to ogranicza ogólny rozwój między pokoleniami. Możliwe. Ale to wiele przypuszczeń opartych na jednym drobnym fakcie.

Roberta nauczyła się już nie wypowiadać zdań w rodzaju „To zbyt piękna teoria, żeby nie była prawdziwa". Jacques Montecute powiedział jej kiedyś w chwili irytacji, że hasło „Nikt nie lubi przemądrzałych" powinna wytatuować sobie na czole odwrócone, żeby przypominało jej o sobie każdego poranka z łazienkowego lustra. Dlatego ograniczyła się do stwierdzenia:

– Pasuje do ich fizjologii i do widocznej niejednorodności narzędzi. Owszem, teoria wymaga dalszych badań. Warto byłoby sprawdzić, co się dzieje w pobliżu równika tego świata.

– Dlaczego? – zdziwiła się Yue-Sai.

– Ponieważ żółwiom, które pokonywały labirynty na Podstawowej, pozwalano to robić w wyższych temperaturach. Żółwie są zmiennocieplne; w zimnie się wyłączają.

– Aha. Czyli możliwe, że ich zachowanie, jakie obserwujemy tutaj, w chłodzie…

– …może być warunkowane przez temperaturę. Może na niższych szerokościach osiągnęły więcej. Myślisz, że kapitan Chen zgodzi się na podróż na południe, w stronę równika?

– I zaryzykuje, że jakiś superżółw nas zestrzeli? Nie sądzę. – Yue-Sai spakowała ekwipunek. – Pora wracać na pokład.

Zanim odeszły, Roberta spojrzała jeszcze na przeciwną stronę doliny, gdzie erozja odsłoniła na stromej ścianie miejscowe skały osadowe. Widziała wyraźnie osady morskie, warstwę kredy z tkwiącymi w niej krzemieniami, potem żwir, a nad nim torf pod zieloną powierzchnią gruntu. Potrafiła odczytać geologiczny zapis. Ten obszar, obecnie wyniesiony, stanowił kiedyś dno morza. Później nadszedł lodowiec – i zniknął, pozostawiając żwir, a następnie, przez tysiąclecia klimatu umiarkowanego, powstała warstwa torfu… Ten świat, podobnie jak wszystkie inne, miał własną historię sięgającą na miliardy lat w głąb i prawdopodobnie nie całkiem identyczną z żadnym innym na Długiej Ziemi. Historię, której prawdopodobnie nikt nigdy nie pozna. Ona zabierze stąd raptem kilka zdjęć.

Mogła tylko się odwrócić i odejść.

Na pokładzie kapitan Chen był bardzo podekscytowany, ale nie z powodu żółwi.

– Nareszcie! Nareszcie mamy wyniki z sond wysłanych do Szczeliny Wschodniej. Pamiętasz, ponad sześć milionów kroków wstecz.

– Oczywiście, że pamiętam.

– Prosiłaś o zbadanie planet, Wenus i Marsa. I naukowcy odkryli…

– …życie.

Wydawał się rozczarowany.

– Wiedziałaś? Jasne, musiałaś wiedzieć…

W atmosferze Marsa w sąsiedztwie brakującej Ziemi Wschodniej 2 217 643 sondy wykryły tlen i metan, gazy chemicznie niestabilne, które musiały się tam pojawić wskutek procesów życia. Wydawało się też, że niższe regiony półkuli północnej pokrywa jakaś wegetacja. Natomiast w chmurach tamtejszej kopii Wenus – wysokich, chłodnych i pełnych wody – zaobserwowano chlorofil; rośliny podobne do ziemskich dryfowały po wenusjańskim niebie.

Nie, Roberta nie była zaskoczona. Do dowolnej Szczeliny, do której może dotrzeć przekraczające zwierzę, nawet najgłupszy humanoid, muszą regularnie trafiać chmury bakterii i innych żywych organizmów, choćby tylko przypadkiem. Trafiają tam przez dziurę, gdzie powinna być Ziemia. Większość takich mimowolnych pionierów umiera szybko, w tym także nieszczęsne humanoidy, jeśli nie umieją od razu przekroczyć z powrotem. Jednak niektóre odporne zarodki i bakterie mogą przetrwać promieniowanie i próżnię. Niektóre z tych zarodników mogą w końcu dotrzeć na nieba innych planet i tam je zapłodnić. To była panspermia, naturalny transport życia między światami. Uważano, że jest możliwa nawet we wszechświecie Podstawowym. O ile łatwiejsza musi być panspermia w kosmosie Szczeliny, kiedy życie dysponuje prostszą metodą wyjścia w przestrzeń niż eksplozja po zderzeniu z asteroidą.

Nie, Roberta nie była zaskoczona. Potwierdzenie swoich domysłów zanotowała w tym miejscu umysłu, gdzie powoli tworzył się model nowej Ziemi we wszystkich jej aspektach – fakt po fakcie, dedukcja po dedukcji.

ROZDZIAŁ 54

Pod dziobem sunącego ku Zachodowi sterowca „Shillelagh" z hipnotyczną regularnością przemykały kolejne światy, jeden na sekundę. Bill przerywał podróż na znanych jokerach, światach będących anomalią, skazach na splocie Długiej Ziemi. Podczas typowych lotów wędrowcy przelatywali przez nie jak najszybciej, odwracając wzrok.

Jokery zdarzały się nawet wśród stosunkowo żyznych, względnie zasiedlonych światów Pasa Uprawnego, gdzie leżał też Restart, rodzinne miasteczko Helen. Bill zatrzymał się na chwilę na Ziemi Zachodniej 141 759, gdzie wielokanałowy odbiornik radiowy bezustannie nadawał ostrzeżenia w całej masie języków i kodach rozmaitych standardów. Kwarantanna, jak zrozumiał Joshua mimo obolałych bębenków w uszach. Świat ten był źródłem jakiegoś wyjątkowo zakaźnego patogenu, więc cały został objęty kwarantanną administrowaną przez ONZ oraz ekipę z amerykańskiego Centrum Chorób Zwierząt na Plum Island. Wszyscy podróżni powinni trzymać się z daleka od wyznaczonych obszarów, w przeciwnym razie będą aresztowani, ich materiały skonfiskowane i zniszczone, a oni sami uwięzieni do czasu zakończenia procedur dekontaminacyjnych… Z prawdziwą ulgą ruszyli dalej i zostawili ten świat za sobą.

– Oni mówią poważnie, Bill? Naprawdę można objąć kwarantanną całą Ziemię?

– Można spróbować. Ale jak bardzo są poważni, to całkiem inna sprawa. Na Długiej Ziemi zdarzało nam się spotykać paskudne wirusy. Populacje ptaków i świń, a raczej ptasich stworzeń i świńskich stworzeń, zawsze są rezerwuarem zarazków, które mogą przeskoczyć na ludzi, tak samo jak bywało na Podstawowej. No i trudno oczekiwać, żeby ludzie mieli jakąś odporność na choroby ze światów wykrocznych. Oczywiście, największe zagrożenie dotyczy Podstawowej i Niskich Ziemi, bo mają spore zaludnienie i rozwiniętą sieć transportu. Ale Cowley i jego ćwoki wykorzystują takie obawy, żeby podkręcić niechęć do czesaczy i trolli, jakby każdy z nas był Tyfusową Mary. Wiesz, do takich światów szukają lekarzy, żeby na ochotnika pracowali tutaj i pomagali uwięzionym wędrowcom, a potem konfiskują im krokery i oni nie mogą już wrócić…

Mknęli dalej, z regularnymi zająknięciami postojów.

Jokery nie były specjalnie ciekawe. Wiele nosiło ślady takiej czy innej katastrofy; zwykle widzieli pozbawioną życia powierzchnię gruntu pod niebem albo przesłoniętym popiołem czy pyłem, albo gorącym, pustym, bezozonowym, bezchmurnym i jaskrawoniebieskim. Bill często budował takie sobie bajeczki, wyjaśniające losy tych zrujnowanych światów – poskładane z historii wędrowców, opowieści czesaczy, a niekiedy wyników realnych prac badawczych ekip terenowych.

Najczęstszą przyczyną katastrof, co Joshua zaczynał dostrzegać, były uderzenia asteroid. Gdyby analizować odpowiednio długie skale czasowe, mogłoby się wydawać, że Ziemia dryfuje w jakimś kosmicznym automacie bilardowym. Bill zatrzymał się na dłuższą chwilę na jednym z takich ciężko zniszczonych światów, Ziemi Zachodniej 191 248. W tym przypadku impakt nastąpił ledwie kilka lat temu, w środkowej Azji, daleko od ich miejsca przekroczenia. Życie wokół punktu zero zniknęło, ale pyłowa zima ogarnęła cały glob.

Zdarzały się także inne nieszczęścia. Ziemia Zachodnia 485 671 – świat zamarznięty. W tym świecie epoka lodowcowa nie minęła, lodowce się nie cofnęły. Może powodem było przejście Układu Słonecznego przez gęsty obłok kosmicznego pyłu, który przesłonił Słońce. W efekcie oceany zamarzły aż po równik, a lodowe pejzaże jarzyły się bielą w promieniach słońca płonącego na błękitnym niebie całkiem pozbawionym chmur, jeśli nie liczyć kilku białych smużek będących według Billa kryształkami zamrożonego dwutlenku węgla. Ale w głębinach oceanów, ogrzewanych wewnętrznym ciepłem Ziemi, woda pozostała płynna i życie przetrwało, czekając na czas, kiedy wulkany znowu rozgrzeją planetę.

Ziemia Zachodnia 831 264 – Joshua patrzył na rdzawą powierzchnię kojarzącą się z Marsem i ewidentnie pozbawioną życia, jeśli nie liczyć rzadkich smug fioletowego śluzu. Samo powietrze miało barwę czerwoną od pyłu wznoszonego przez niecichnące wichry.

– Co się tu stało, u diabła?

– Eksplozja gamma. W każdym razie to najlepsze wytłumaczenie. Prawdopodobnie wywołana jakąś potężną supernową, kolapsem superciężkiej gwiazdy w czarną dziurę. Mógł się trafić gdziekolwiek w promieniu tysiąca lat świetlnych. Burza promieni gamma najpierw zdarła warstwę ozonową, a potem usmażyła życie na powierzchni.

– „Gdzie stąpić, gruz bezkształtny oczom się ukaże i piaski bielejące w pustyni obszarze".

– Co to było, Josh?

– Takie tam… zbłąkane wspomnienie siostry Georginy.

– Na dłuższym dystansie życie zawsze się odradza, w taki czy inny sposób. Ale zawsze istnieje ryzyko, że przekroczymy akurat w chwili, kiedy spada jakaś wielka skała czy co tam jeszcze. – W głosie Billa pojawiła się makabryczna satysfakcja. – Co to takiego na niebie? To ptak? To samolot… i bęc!

Joshui, przybitemu przez te grobowe światy, nie było do śmiechu.

– Nadal szukamy Sally, tak?

– Robimy, co możemy – zapewnił Bill. – Kobold mówił, że jego zdaniem trolle ukryły się na tym czy innym jokerze. Złe wieści są takie, że istnieje bardzo dużo jokerów. Dobre wieści, że bardzo wielu czesaczy już jest na tych jokerach.

– Ukrywają się przed ludźmi. Całkiem jak Sally.

– Na tym to polega. Zanim wyruszyliśmy, rozesłałem wiadomość. Wciąż mam nadzieję, że jeśli ktoś ją zauważy, zawiadomi o tym. Jest tam wielu krótkofalowców. To dobra metoda utrzymywania łączności na słabo rozwiniętych światach. Słyszymy ich, przekraczając. Oczywiście, niektóre światy są tak paskudnie zniszczone, że nie mają jonosfery i ten sposób nie działa. Wiesz, z czesaczami trudno coś dokładnie planować. Taką już mają naturę. Czesacze… Niektórzy nazywają ich chodzącymi po graniach, leśnymi dzikusami, ludźmi z gór, menelami albo okisami. W Australii mówi się o nich swagmani, Brytyjczycy mówią: wędrowcy. Kiedyś, w niektórych okolicach, nazywani byli włóczęgami. Ty sam byłeś kiedyś włóczęgą, ich wzorcem. Ale już nie, drogi kumplu. Zdradziłeś własną legendę, kiedy osiadłeś i zacząłeś wypiekać chleb ze swoją panią.

Joshua się zirytował. Nigdy nie chciał być bohaterem legendy. Chciał tylko prowadzić własne życie, na własnych warunkach. Powinien spełniać życzenia jakichś fanów czy co? Miał ochotę odpowiedzieć Billowi ostro, ale się powstrzymał.

– Rozumiem, jak to działa. Dziękuję, że się starasz.

– Robię, co mogę. Chyba że w końcu sam wpadniesz na to, dokąd mogła odejść. No ale dość już gadania. Łeb mi pęka z pragnienia. Masz ochotę na jakieś piwo? Przynieś tu sześciopak, to ci opowiem jeszcze parę historii o jokerach. Chyba że wolisz obejrzeć film. Jak za dawnych czasów, z tym twoim Lobsangiem! Zresztą dobra, obejrzymy sobie film…

Joshua był na ogół sceptyczny wobec jokerowych historii Billa. Na przykład tego, co opowiedział mu o świecie zwanym Gałką. Joshua widział go przelotnie – odkryli go z Lobsangiem we względnie gęsto zasiedlonym Pasie Uprawnym. Świat przypominał kulę bilardową – całkowicie gładki pod bezchmurnym, ciemnoniebieskim niebem.

– Znałem takiego gościa, co znał gościa…

– No jasne…

– Który się założył, że spędzi noc na Gałce. Jedną noc. Całkiem sam. Jak ty byś to zrobił. Ale na golasa, bo to był element zakładu.

– Pewnie.

– Rano się obudził z potwornym kacem. Wiesz, samotne picie nigdy nie jest rozsądne. Otóż ten gość był naturalnym przekraczającym. No więc taki trochę nieprzytomny pozbierał swoje rzeczy i przekroczył. Tylko że tak jakby się potknął przy przekraczaniu.

– Potknął się?

– Mówił, że miał wrażenie, jakby nie przekroczył należycie.

– Co? Jak to możliwe? O co ci chodzi?

– No wiesz, przekraczamy na wschód albo przekraczamy na zachód. Masz jeszcze te czułe punkty, tak jakby skróty, o ile umiesz je znaleźć. I to wszystko. A temu gościowi się wydawało, że przekroczył inaczej. Prostopadle. Jakby na północ.

– I co?

– I znalazł się w jakimś innym świecie. Była noc, nie dzień. Żadnych gwiazd na czystym niebie. W pewnym sensie żadnych. A zamiast nich…

– Twoje opowieści czasem naprawdę zgrzytają, Bill.

Bill wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Ale cię zaciekawiłem, przyznaj…

– No, dawaj dalej. Co takiego zobaczył?

– Zobaczył wszystkie gwiazdy. Wszyściutkie. Zobaczył całą waloną Galaktykę, chłopie, Drogę Mleczną. Z zewnątrz… Cały czas goły, rozumiesz.

To jest kłopot z czesaczami, uznał Joshua. Są ekspertami w wymyślaniu bzdur. Może za dużo czasu spędzają samotnie.

A poszukiwanie Sally, Jansson i trolli trwało i trwało…

Sally… Raz, kiedy zacumowali na noc w jakimś spokojnym świecie, miał wrażenie, że wyczuwa jej zapach. Jakby pojawiła się i zniknęła, kiedy spał. Za dnia przeszukał gondolę i teren dookoła twaina, ale nie znalazł żadnych śladów jej obecności. Pewnie to tylko sen, uznał. Ale postanowił, że nigdy nie opowie o tym Helen.

ROZDZIAŁ 55

Jeden z tych trollowych stworów poważnie wtłukł paru chłopakom, a tego tutaj nie lubią. I wiecie co? Jak tylko mnie zobaczył, rzucił się do mnie i zaczął tańczyć dookoła, jakbym był przyjacielem!

Tak więc „Benjamin Franklin" otrzymał kolejne wezwanie do kolejnego głupiego incydentu z trollami. Jak zauważył Mac:

– Można by pomyśleć, że nie zostało już tylu trolli, żeby powodować takie starcia.

Świat nazywał się Pęknięty Głaz. Według przekazanego raportu mieli tam burmistrza, który jednak mieszkał w jakiejś wykrocznej osadzie stowarzyszonej i zostawiał sprawy miejscowemu szeryfowi, żółtodziobowi na Długiej Ziemi. Człowiek ten – nieszczęśliwie nazywający się Charles Kafka – był nowym na takim stanowisku uciekinierem z wielkiego miasta. Liczył pewnie, że miło i bezproblemowo doczeka emerytury w jakimś – sądząc po nazwie – nostalgicznym miasteczku w stylu Dzikiego Zachodu. Teraz wszystko zaczęło się sypać i wpadł w panikę. Pęknięty Głaz był całkiem nieciekawym światem, kawałek za Pasem Uprawnym – niewiele kroków od poprzedniego celu „Benjamina Franklina", choć zdawało się, że całe wieki lecieli nad tutejszą jałową kopią Ameryki, nim wreszcie zobaczyli jasno płonące o zmroku światła miasteczka nad brzegiem rzeki. Z góry przypominało miasto namiotów – żaden wstyd, wiele kwitnących miast zaczynało jako zbiorowiska namiotów i szałasów. Był tu kościół, chyba niedokończony, i gruntowe trakty wytyczone wśród rzadkich zarośli dookoła. Biuro szeryfa wydawało się jedynym wykończonym budynkiem.

Kiedy twain opadł, wyszedł im na spotkanie szeryf w towarzystwie chłopaka z zarozumiałą miną oraz młodego trolla w łańcuchach. Maggie zastanowiła się, czy coś zrobili trollowi, żeby nie mógł przekroczyć. Zbliżyło się jeszcze kilka osób, żeby popatrzeć.

Z Nathanem Bossem i dwójką kadetów u boku Maggie przerwała prezentację i poprosiła Kafkę, by opowiedział krótko, co zaszło.

– No więc, pani kapitan, jakieś trolle przechodziły w pobliżu, cała banda. Są dość mądre i wiedzą, że lepiej się nie zbliżać. Paru chłopaków poszło za nimi, w tym ten tutaj Wayne; chcieli tylko trochę się zabawić, wie pani, jacy są chłopcy. Zaczepili jakiegoś młodego i trolle zaczęły się bronić, a ten tutaj… – wskazał skutego trolla – położył brata Wayne'a. I potem…

Maggie słyszała już tę kretyńską opowieść ze dwadzieścia razy podczas misji. Zniecierpliwiona i zła, uniosła dłoń.

– Wie pan co? Mam tego dosyć. Kadet Santorini!

– Tak jest!

– Wrócicie na okręt i przyprowadzicie tu Carla.

Santorini nie dyskutował.

– Tak jest!

Czekali w milczeniu. Santorini potrzebował pięciu minut. Wrócił w towarzystwie Carla, który zagwizdał cicho na widok trolla w kajdankach.

Maggie stanęła przed nim.

– Carl, z tą chwilą przyjmuję cię do załogi „Benjamina Franklina". Będziesz tymczasowo pełnił obowiązki chorążego. Santorini, zanotuj to. Boss, kiedy wrócimy na pokład, zadbasz o formalności.

– Tak jest.

– Aha, Nathan… Daj mi naszywkę misji.

Emblemat operacji Syn Marnotrawny był plakietką w takim stylu, jakie nosili kiedyś astronauci. Przedstawiała sterowiec unoszący się nad stylizowanym szeregiem światów. Nathan zerwał naszywkę z munduru, a Maggie użyła łańcuszka własnego nieśmiertelnika, żeby umocować ją na ramieniu trolla. Carl pohukiwał z wyraźną przyjemnością.

– Nathan, spróbuj mu wytłumaczyć, co zrobiliśmy. Chociaż wydaje mi się, że już wie.

Nathan uruchomił swój trollowy gwizdek – miejscowi przyglądali mu się z zaciekawieniem – i zaczął cicho tłumaczyć trollowi, że stał się członkiem rodziny „Franklina".

Maggie z niesmakiem przyjrzała się miejscowym gapiom.

– Tak właśnie, obywatele, traktujemy trolle.

Szeryf Kafka trochę się pogubił.

– I co teraz? Chce pani wysłuchać zeznań Wayne'a?

– Nie, do diabła. Chcę wysłuchać zeznań trolla.

Wieśniacy wytrzeszczali oczy, kiedy Nathan przez trollowy gwizdek rozmawiał z więźniem.

– Pamięta incydent. Oczywiście, że pamięta. Wiedzą, że mają omijać pola uprawne. Nie znajdowali się na polach. Ale kilka młodych się spóźniało, więc grupa się rozbiegła. Znaleźli ich ci chłopcy. Rzucali kamieniami. Próbowali przewracać młode. Trolle nie broniły się aktywnie… Rozumie pani, dowódco, że trudno od trolla wydostać liniową narrację. To raczej wrażenia, strzępy emocji. Muszę interpolować…

– W porządku, Nathan. Obraz jest całkiem jasny.

– Co to niby ma być? – parsknął Wayne. – Chyba jakiś dowcip. Przecież to tylko gadające zwierzę!

Te słowa zostały z grubsza przetłumaczone przez trollowy gwizdek. A szybkość, z jaką Carl podskoczył, chwycił chłopaka za nogę i podniósł jedną ręką głową w dół, była doprawdy imponująca.

Maggie się uśmiechnęła.

– Twoja opinia została obalona, jak sądzę. Podobnie jak twoje zeznanie. Szeryfie, to nie pańscy ludzie zasługują na szacunek trolli, ale odwrotnie. – Przechyliła głowę na ramię, by spojrzeć na wiszącego za nogę Wayne'a. – Co do ciebie, zostawiam cię w rękach rodziców, z nadzieją na lepszą przyszłość.

Chłopak wił się w uścisku spokojnego trolla, niemal drapiąc czaszką o ziemię.

– Pieprz się! Wszyscy wiedzą o tobie i tym kretyńskim statku! Wszystko jest w outernecie, kapitan trollolubna!

Poczuła, że wzbiera w niej złość, ale zachowała zimną krew.

– Puść go, Carl – rzuciła spokojnie.

Odwróciła się i ruszyła w stronę „Franklina", zanim jeszcze z okrzykiem bólu chłopak uderzył głową o ziemię.

ROZDZIAŁ 56

Przez całą noc „Benjamin Franklin" unosił się nad miasteczkiem Pęknięty Głaz.

Wciąż wściekła po złośliwej odzywce Wayne'a – w jaki sposób taki dupek na tym świecie zabitym dechami mógł się czegoś o niej dowiedzieć? – Maggie wezwała głównego mechanika.

– Harry, kto jest najbardziej nerdowatym geekiem na pokładzie? Wiesz, o co mi chodzi…

– Chorąży Fox – odparł Ryan bez chwili wahania.

– Fox. Toby, tak? Wiesz co? Przyślij go tutaj.

Czekając, przejrzała akta personalne Foxa. Naprawdę był geekiem, z tej ledwo oswojonej odmiany: fatalny marynarz, ale z zylionowym IQ. Dokładnie takiego potrzebowała.

– Chorąży Fox – powitała go, gdy się zjawił. – Jak często wykonujecie pełny skan systemów? Znaczy, szukanie pluskiew, trojanów i reszty hakerskiego śmiecia?

Fox chyba nie mógł się skupić w obecności Shi-mi, która obserwowała go z kosza na podłodze. Ale też sprawiał wrażenie urażonego tym pytaniem.

– W technicznym sensie praktycznie cały czas prowadzimy sprzątanie, dowódco. Oczywiście, pracujemy głównie na sofcie Korporacji Blacka, on się sam kontroluje. Ale mamy też kilka niezależnych firewalli, które…

– Oprogramowanie Korporacji Blacka. Założę się, że w Detroit zainstalowali nam go jeszcze więcej, tak? Aktualizacje systemu, nowe wersje…

– No… Tak jest, pani kapitan. To rutynowe działania.

– Ja tam wiem, że po remoncie kazałam Harry'emu sprawdzić okręt od rufy po dziób i z powrotem. Ale nadal… Ile władzy mają programy Blacka nad jednostką? Tylko poproszę o odpowiedź nie dla techników.

Fox zmarszczył czoło i zastanawiał się przez minutę.

– No więc, dowódco, Korporacja Blacka jest głównym dostawcą. Ich oprogramowanie… przenika całego „Franklina".

– Duch w maszynie… – mruknęła Maggie. – Mam wrażenie, chorąży, że przeciekamy jak sito. Nawet jeśli poniżej naszego poziomu wykrywania.

Nie wydawał się szczególnie poruszony, jakby ten fakt był czymś znanym i akceptowanym.

– Tak, dowódco.

– Dziękuję, Fox. Przy okazji, jak idzie spis ludności Egidy?

Na drobnej twarzy Foxa pojawił się wyraz skupienia, kiedy usiłował znaleźć jakąś zwięzłą odpowiedź. Wyobraziła sobie, jak Harry Ryan stara się wbić takie werbalne umiejętności w głowę chłopaka, który musiał kiedyś cierpieć na nieopanowane gadulstwo typowego nerda.

– Jest frustrująco niepełny, dowódco – odparł w końcu.

– No cóż, nie poddawajcie się. Możecie odejść, chorąży.

– Tak jest.

Kiedy wyszedł, wstała, obeszła biurko, chwyciła kota i usadziła na blacie.

– Ten gość, George Abrahams i jego przeklęte trollowe gwizdki…

– Kapitanie?

– To jest przecież misja wojskowa. To mój okręt! A założę się, że każda próba komunikacji, jaką podejmujemy z trollami, jest mu przekazywana.

– Trudno mi powiedzieć…

– Pewnie też jesteś pełna różnych pluskiew, co? Posłuchaj no, koteczko. Masz zorganizować mi jeszcze jedno spotkanie z Abrahamsem. Zrozumiałaś? Nie wątpię, że potrafisz to zrobić.

Kotka zamiauczała cicho.

Następnego dnia Maggie możliwie szybko załatwiła sprawy formalne w miasteczku. Burmistrz został wreszcie wezwany zza tych kilku światów; wydawał się pełen podziwu dla niej i obiecał wyciągnąć lekcję z tego zdarzenia. Zaproponował załodze „Franklina" wolny pobyt

w miejscowych miastach wykrocznych, jednak Maggie grzecznie odmówiła.

Raz jeszcze spotkała się z szeryfem Kafką przed jego biurem. Kiedy próbował przepraszać za swoją wpadkę, klepnęła go po ramieniu.

– Wczoraj starał się pan jak najlepiej. Musi się pan jeszcze wiele nauczyć, ale kto nie musi?

Z wdzięcznością pokiwał głową.

– Powodzenia, pani kapitan.

A teraz do George'a Abrahamsa…

Nie mogła utrzymać chęci spotkania z nim w tajemnicy przed starszymi oficerami. Nie zdziwiła się więc specjalnie, kiedy Joe Mackenzie zjawił się w jej kajucie, niosąc dwie kawy. Potem usiadł i obserwował ją jak aparatura rentgenowska.

– Poufność wyznań pacjenta masz zagwarantowaną.

– Wiesz przecież, o co chodzi, Mac – powiedziała Maggie. – Ufasz Korporacji Blacka?

– A co tu jest do ufania?

– Mam wrażenie, że ktoś coś kombinuje.

Mac się uśmiechnął.

– Wiesz, każdy coś kombinuje. A wojsko od lat już sypia z Blackiem w jednym łóżku. Dlatego Black stał na podium obok Cowleya, kiedy rozpoczynaliśmy naszą misję.

– Tak, ale czy to daje mu prawo do rutynowego monitorowania naszych działań? To wojskowa ekspedycja, Mac. Mam wrażenie, że w tej sprawie wszyscy, poczynając od Pentagonu w dół, tylko przymykają oko.

Mac wzruszył ramionami.

– No więc Black ma dużą władzę. Jak wszyscy producenci broni już od drugiej wojny światowej. Takie jest życie, jak sądzę. Znaczy, nie ma chyba żadnych dowodów złej woli ze strony Blacka? Czy braku patriotyzmu?

– Nie, ale… Teraz to sprawa osobista, Mac. To mój okręt, moja misja. Moja. To tylko wrażenie… ale wydaje mi się, że jestem ciągle w kręgu światła reflektora. Myślisz, że tracę równowagę?

– Nie. Myślę, że słuchasz swojego instynktu, a on jeszcze nigdy cię nie zawiódł.

– Poważnie? Nawet kiedy zatrzymałam tego kota?

– No dobra, oprócz tego – przyznał Mac.

ROZDZIAŁ 57

Okręty „Zheng He” i „Liu Yang” jednostajnie sunęły ku swemu celowi, dwudziestu milionom światów na wschód od Podstawowej. Mijali kolejne niedosiężne wcześniej granice: dziesięć milionów, dwanaście milionów, piętnaście milionów kroków. Pokonywali ogromny dystans Długiej Ziemi – drzewa prawdopodobieństwa, którego gałązki i liście były całymi kiściami światów; oddalali się coraz bardziej od gałęzi, które prowadziły do Ziemi podobnych do Podstawowej. Załogi sterowców nie mogły nawet liczyć na zdatną do oddychania atmosferę odwiedzanych światów. Zawartość tlenu zmieniała się znacząco, od – rzadko – stężenia tak wysokiego, że samoczynny zapłon nawet wilgotnej roślinności stanowił dla nieostrożnych gości realne zagrożenie, po – częściej – światy, na których tlen stanowił tylko śladowy składnik atmosfery. Tereny na grzbietach tańczących kontynentów były tam o wiele mniej zielone.

Bardziej subtelnym zagrożeniem, jak przekonała się Roberta, były zbyt wysokie stężenia dwutlenku węgla, aż do poziomów śmiertelnych dla ludzi. Na wielu z tych Ziemi życie nie rozwinęło się obficie. Trafiali na całe pasy światów, gdzie lądy były całkowicie jałowe, gdzie kolonizacja przez rośliny z morza najwyraźniej nigdy nie nastąpiła, nie wspominając już o późniejszej „inwazji” rzężących ryb dwudysznych. Nijakie, niemal identyczne, te bezbarwne światy przepływały w dole dzień za dniem, niezmienne nawet przy oszałamiającej wykrocznej prędkości sterowców.

Robertę fascynowały obserwowane przez okna z pokładu ewoluujące panoramy lądu i morza, intrygowały bliższe widoki światów, na których się zatrzymywali, by zbadać je dokładniej. Nie pozwalano jej schodzić na powierzchnię, gdyż było to zbyt ryzykowne. A jednak coś w niej, coś słabego i godnego wzgardy, cofało się przed takim bombardowaniem odmiennością. W końcu z tego miejsca cały Pas Lodowy, wstęga światów okresowo podlegających zlodowaceniom, dla których Ziemia Podstawowa była rozsądnie typowym przykładem, wydawał się bardzo mały, bardzo wąski i bardzo daleki, obejmujący mniej niż jeden procent gigantycznego dystansu, jaki już pokonali.

Więcej czasu spędzała w swojej kajucie, próbując jakoś przyswoić potop danych. Albo siedziała z trollami na pokładzie obserwacyjnym i słuchała ich nucenia. W efekcie reszta załogi wolała trzymać się od niej z dala – nawet porucznik Wu Yue-Sai, choć nie lojalny Jacques Montecute.

Jacques obserwował Robertę niespokojnie. Czuł nawet wyrzuty sumienia; ta ekspedycja może się jednak okazać dla niej za trudna. Poczuła grozę Długiej Ziemi – Roberta miała dopiero piętnaście lat i sama skala mogła przytłoczyć kogoś tak młodego, niezależnie od jego inteligencji.

Szóstego czerwca 2040 chińskie okręty osiągnęły swój nominalny cel, Ziemię Wschodnią 20 000 000 – świat, który okazał się nieciekawy, jałowy, całkiem zwyczajny. Ustawili kamienny kopiec, zrobili kilka zdjęć i przygotowali się do powrotu.

Kapitan Chen zebrał starszych oficerów i gości na pokładzie obserwacyjnym „Zheng He”, gdzie wydał przyjęcie na uczczenie tej chwili. Trolle śpiewały nową piosenkę, której żartobliwie nauczył ich Jacques – *China Girl*. Ten jeden raz Chen zgodził się nawet na alkohol. Jacques poradził jednak Robercie, żeby nie był to dzień, kiedy pierwszy raz w życiu spróbuje szampana, bez żalu pozostała więc przy soku pomarańczowym.

Porucznik Wu Yue-Sai w galowym mundurze, elegancka i ładna, ujęła Robertę pod rękę.

– Taka jestem szczęśliwa, że tyle udało nam się osiągnąć z tobą, moją partnerką w odkryciach.

Podszedł kapitan Chen.

– Istotnie. I bez wątpienia dowiemy się jeszcze więcej podczas naszej długiej podróży powrotnej do Podstawowej. Tyle światów czeka na ponowne odwiedziny i zbadanie! Całe dwadzieścia milionów!

Roberta rozważyła to w skupieniu.

– Uważam, że lepiej wykorzystam czas, integrując dane, które już zgromadziłam.

– Integracja zgromadzonych danych! Tylko to chciałabyś robić?

Chen podszedł do Roberty i spojrzał jej w twarz. W opinii Jacques'a był mężczyzną impulsywnym, niekiedy trochę dziecinnym, i najwyraźniej zirytowanym przez to, że Roberta zachowywała powagę i nie potrafiła śmiać się z jego żartów. Uważał chyba, że psuje mu chwilę tryumfu.

– Mądre dziecko, mądre dziecko. Ale jakże pompatycznym stworzeniem jesteś. Mądrym, owszem. Uważasz, że jesteś lepsza od nas, zwykłych śmiertelników? *Homo superior*… czy za kogoś takiego się uważasz? Czy musimy ustąpić ci miejsca?

Nie odpowiedziała.

Chen uniósł rękę i przejechał kciukiem po jej policzku. Gdy się odsunął, kciuk był wilgotny.

– A jeśli tak, to czemu płaczesz?

Roberta uciekła.

Przez cały następny dzień nie zeszła na pokład obserwacyjny.

Przed północą, kiedy sam już miał się szykować do snu, Jacques zapukał do jej drzwi.

– Roberto…

Żadnej odpowiedzi. Nasłuchiwał przez chwilę i usłyszał szlochanie. Kapitan Chen dyskretnie przekazał mu klucz uniwersalny na wypadek krytycznych sytuacji. Teraz więc Jacques przejechał kartą przez szczelinę i nacisnął klamkę.

Sama kajuta była uporządkowana jak zawsze. Pojedyncza lampa paliła się przy stacji roboczej, obok niewielkiego stosiku tabletów, kilku cennych drukowanych książek, plików notatek. Na ścianie mapy pokazywały trasę sterowców przez Długą Ziemię. Żadnych zdjęć, obrazów, zabawek, żadnych pamiątek oprócz próbek do analizy – Roberty Golding nie interesowały takie rzeczy.

Sama Roberta, bosa, w koszulce i spodniach od dresu, leżała skulona na łóżku, twarzą do ściany.

– Roberto…

Jacques podszedł bliżej. Wokół leżały pogniecione chusteczki higieniczne – najwyraźniej szlochała przez dłuższy czas. I miała sińca na skroni. Widywał go u niej już wcześniej; sama siebie uderzała, jakby chciała w ten sposób uciszyć swój płacz. Myślał, że już z tego wyrosła.

– Co się stało? Chodzi o to, co ci powiedział kapitan Chen?

– Ten głupiec? Nie.

– Więc co? O czym myślisz?

– O grzebieniastych kangurach.

– O czym?

– O tej gadzio-ssaczej populacji, jaką znaleźliśmy na Wschodniej dwa miliony dwieście tysięcy…

– Pamiętam.

– Wszystkie te istoty były skazane, hiperkan miał je zabić. Zwykłe załamanie pogody. Pewnie już ich nie ma. Starte z powierzchni ziemi jak plama.

Wyobraził sobie, jak przez tyle długich dni ta straszna świadomość ją przytłaczała. Usiadł na łóżku i dotknął ramienia dziewczyny – przynajmniej się nie cofnęła.

– Pamiętasz lekcje literatury angielskiej Boba Johanssena?

Pociągnęła nosem, ale przestała płakać.

– Wiem, o jaki cytat panu chodzi.

– No proszę…

– „O Boże! ja bym mógł być zamknięty w łupinie orzecha"…

– …„i jeszcze bym się sądził panem niezmierzonej przestrzeni"… – mówił dalej.

– …„gdybym tylko złych snów nie miewał" – szepnęła.

Wiedział, jak Roberta się czuje. On sam niekiedy czuł się tak samo, kiedy budził się przed świtem, o trzeciej w nocy, a świat wydawał się pusty i odarty z wszelkich pocieszających

złudzeń. Czas, kiedy człowiek wiedział, że jest tylko pyłkiem, delikatnym i ulotnym w ogromie wszechświata, płomieniem świecy w pustej hali. Na szczęście zawsze wstawało słońce, budzili się ludzie wokół i człowiek wracał do tego wszystkiego, co odciągało jego uwagę od rzeczywistości.

Kłopot z Robertą Golding polegał na tym, że była zbyt inteligentna, by pozwolić się odciągnąć. Dla niej przez cały czas była trzecia nad ranem.

– Chcesz może obejrzeć jakieś filmy z Busterem Keatonem?

– Nie.

– To może odwiedzisz trolle? Nikt nie może być nieszczęśliwy obok trolla. Pójdziemy je zobaczyć?

Nie odpowiedziała.

– No to chodź.

Postawił ją na nogach, otulił kocem i zaprowadził na pokład obserwacyjny.

Tylko jedna dziewczyna z załogi pełniła tu służbę. Czytała książkę. Skinęła Jacques'owi głową i odwróciła wzrok. Trolle drzemały jak wielkie stosy futra koło dziobu. Młode spały mocno, podobnie jak większość dorosłych. Trzy czy cztery mruczały cicho, jakby powtarzały sobie piosenkę o tym, że nie należy dziś wieczorem ubierać się na czerwono, bo czerwień to kolor, który nosiła moja maleńka… Głupie, proste, wieloczęściowe harmonie.

Chińscy marynarze zachowywali dystans do trolli. A może to trolle subtelnie trzymały ich z daleka od siebie. Ale Jacques'a i Robertę dopuściły.

I tak Jacques usiadł na dywanie obok Roberty i oboje wtulili się w ciepło futer na brzuchach wielkich stworzeń. Zanurzeni w silnym zapachu trolli, mogliby właściwie być w domu, w Szczęśliwym Porcie – gdyby nie przesuwające się za oknami dziwne nieba.

– To nie jest żadne pocieszenie – szepnęła Roberta, kryjąc twarz. – Tylko bezmyślne zwierzęce ciepło.

– Wiem – zgodził się Jacques. – Ale nic więcej nie mamy. Spróbuj teraz zasnąć.

ROZDZIAŁ 58

Spotkanie z George'em Abrahamsem doszło do skutku kilka dni po tym, jak Maggie Kauffman zażądała go w rozmowie z kotką – co jej specjalnie nie zaskoczyło. Miało nastąpić na dalszym zachodzie, w wykrocznym Teksasie, w miasteczku zwanym Redemption – położonym wygodnie na trasie „Franklina" do Walhalli, gdzie wszystkie sterowce uczestniczące w operacji Syn Marnotrawny zostały wezwane na rozprawę z „buntownikami" od Deklaracji Niepodległości.

Redemption okazało się sporą osadą i jedną z bardziej rozwiniętych – mieli nawet tartak, chwalący się na billboardzie zerowym kontem wypadków śmiertelnych. Maggie była pewna, że miejscowi zarejestrowali istnienie miasteczka w odpowiednich urzędach i z pewnością nie będą sprawiać „Franklinowi" kłopotów. Z satysfakcją posłała załogę na przepustki, choć dopilnowała, by Nathan Boss i grupa żandarmerii uważali, czy nie dzieje się coś groźnego.

Potem czekała. Wypytała nawet kotkę.

– No dobra, gdzie jest Abrahams?

– Nie można znaleźć pana Abrahamsa – odpowiedziała spokojnie Shi-mi. – To pan Abrahams znajdzie panią.

Po kilku godzinach dostała wiadomość od oficera dyżurnego – jakiś samochód czeka na nią przy rampie ładunkowej.

Wyglądał na brytyjskiego rolls-royce'a, choć spod maski sączyły się smugi pary. Obok otwartych drzwi czekał mężczyzna w czerni, robiący wrażenie kierowcy klas posiadających. A wewnątrz, kiedy wsiadła, znalazła George'a Abrahamsa. Wydawał się jakby wyższy, niż go zapamiętała, bardziej okazały… Nie, pomyślała; młodszy.

Uśmiechnął się, kiedy ruszyli.

– Wóz należy do restauracji.

– Jakiej restauracji?

– Zobaczy pani. Ale ładne wyczucie stylu, prawda? Choć to raczej steampunkowa limuzyna… Dobrze się pani czuje, pani kapitan?

– Przepraszam. Jestem nieswoja, bo wydaje się pan… młodszy.

– To tylko fasada – szepnął z uśmiechem. – Jak oboje dobrze wiemy.

Maggie uznała te słowa za nieco złowieszcze; rozbudziły w niej chyba poczucie paranoi, która ostatnio wyraźnie ją ogarniała. Przed zejściem z pokładu wrzuciła do kieszeni munduru lokalizator i teraz była z tego zadowolona.

– Nie wierzę, że planuje pan porwanie. Ale muszę ostrzec, że mój okręt…

– Niechże pani nie będzie taka melodramatyczna, kapitanie. Proszę spojrzeć, jesteśmy właściwie na miejscu. To przecież nie jest duże miasto. Żadna osada na Długiej Ziemi jeszcze nie jest duża. Czasami zapominamy, jak to wszystko jest nowe… Dzień Przekroczenia nastąpił zaledwie jedno pokolenie temu.

Z ulgą przekonała się, że istotnie zaparkowali przed restauracją. Duże wrażenie zrobił na niej wystrój: głównie kamień i drewno, w typowym stylu światów kolonialnych, a jednak elegancki. Najwyraźniej jakiś pomysłowy przedsiębiorca zauważył, że nawet na rubieżach Długiej Ziemi ludzie czasem potrzebują odrobiny klasy.

A chardonnay było znakomite.

Kiedy usiedli we wnęce przy stoliku na dwie osoby, z ironią uniosła kieliszek.

– Czyje zdrowie powinnam wypić? Kim pan jest, panie Abrahams? Czy jem kolację z Korporacją Blacka?

– Zasadniczo, pani kapitan, odpowiedź na to pytanie brzmi: nie. Chociaż pracuję z nimi i poprzez nich. Zresztą mówiłem pani o tym. Lubię myśleć o sobie jako pracującym na rzecz ludzkości. A także na rzecz trolli. Dwa wspaniałe gatunki rozdzielane przez głupotę. I właśnie dlatego, kapitan Kauffman, zwróciła pani moją uwagę. Moją i kilku innych osób.

Poczuła się obnażona i rozgniewana.

– Jakich innych osób? Douglasa Blacka?

– Z pewnością Douglasa Blacka. Kapitanie, niech pani myśli o sobie jako cennej długoterminowej inwestycji. Jednej z kilku, prawdę mówiąc.

Rozzłoszczona, nie odpowiedziała.

– Z pewnością spełniła pani nadzieje, jakie ja w pani pokładałem – oświadczył Abrahams.

– Jakie nadzieje? Kiedy?

– Kiedy powierzyli pani dowodzenie nowym i błyszczącym „Benjaminem Franklinem", mimo dość niejednoznacznych opinii o pani wcześniejszej karierze. I proszę, niech pani nie będzie tym urażona, ale wyznam, że także dyskretnie przyłożyłem rękę do tego wyboru. Teraz mogę wyjawić, że jeden z członków panelu selekcyjnego krytykował pani szczerość w kwestii ateizmu rodziny, inny natomiast jeszcze dzisiaj wyznaje staromodne poglądy na temat kobiet na stanowiskach dowódczych…

– Nie uwierzę, że miał pan jakikolwiek wpływ na admirała Davidsona.

– Owszem, nie miałem, ale potrzebował wsparcia panelu doradców. No cóż… powiem tylko tyle, że nawet w otchłaniach Pentagonu da się wywrzeć pewien nacisk. Jeszcze wina?

– Czyli byłam manipulowana.

– A co do kontaktów z trollami… Wie pani, że występuje teraz w długim wołaniu? Naprawdę. „Kobieta, która pozwala trollom latać"…

– Manipulowana – powtórzyła. – Przez całe moje życie, jak się zdaje. Przez całą moją karierę. I niby jak mam się z tym czuć? Wdzięczna?

– Och, nie manipulowana. Po prostu… ustawiona na właściwym miejscu. Od pani zależało, czy wykorzysta pani ofiarowaną możliwość. W końcu nawet w ramach pani wojskowej misji jako dowódca twaina ma pani dużą autonomię. To pani podejmuje decyzje, na pani charakter nikt nie wpływa. Jest pani tym, kim jest. Black, i ja także, jak również admirał Davidson, wierzymy, że tym najmądrzejszym i najlepszym należy zagwarantować pełną swobodę działań. Cokolwiek innego byłoby marnowaniem ich talentów. A czy jest pani obserwowana? Oczywiście. Jak my wszyscy w tym przesyconym techniką wieku. Co z tego? A w kwestii tego, co nazwała pani „manipulacją"… My wszyscy, cała ludzkość, stajemy wobec ogromnych wyzwań i nieznanej przyszłości. Lepiej chyba, żeby wszyscy ludzie o dobrych sercach pracowali wspólnie, prawda? Wie pani, kapitanie, że to wszystko nie musi mieć znaczenia dla pani pracy, kiedy już nasza rozmowa się zakończy, a pani wróci na okręt. Więcej, mam nadzieję, że nie będzie miało.

– Mogę się wycofać, prawda?

– A wycofałaby się pani, gdyby mogła?

Zostawiła to bez odpowiedzi.

– Powie mi pan, kim jest?

Zdawało się, że to rozważa.

– Ta kwestia naprawdę nie ma znaczenia, moja droga – rzekł w końcu. – A teraz… zamówimy?

Wróciła limuzyną i przy rampie „Benjamina Franklina" zobaczyła Carla. Gdy podeszła, zasalutował jej całkiem sprawnie. Pilnowała, żeby mu odpowiedzieć.

Było już późno, nie działo się nic groźnego, więc po krótkiej wizycie na stanowisku dowodzenia poszła do swojej kajuty. Kotka zwinęła się w kłębek obok koi. Mruczała nawet przez sen, o ile w ogóle spała.

George Abrahams… Maggie nawet przez chwilę nie sądziła, że to jego prawdziwe nazwisko. Douglas Black… Naciskali… Nie, raczej szarpali za sznurki, a Maggie Kauffman była marionetką. Ale niewiele mogła zrobić innego, niż się z tym pogodzić. Albo, pomyślała, poszukać sposobów, żeby przycisnąć swoich nowych „partnerów" i wykorzystać sytuację.

Położyła się, nie budząc kotki.

ROZDZIAŁ 59

Lobsang lubił rozmawiać – a także słuchać, jeśli człowiek potrafił go zainteresować. W ciągu tygodni, jakie spędzili razem, pokonując wykroczne kopie Pacyfiku w drodze do Nowej Zelandii, Nelson zrozumiał, że Lobsang istotnie ma możliwość zdobycia wiedzy o wszystkim, o czym warto wiedzieć. Próbował sobie wyobrazić, jak się czuje podczas okresowej synchronizacji rozmaitych iteracji – jak gdyby, metaforycznie, wszystkie spotykały się w jakiejś wielkiej sali i wszystkie mówiły naraz, gorączkowo przekazując swoje odmienne doświadczenia.

W rezultacie ta podróż do wykrocznej Nowej Zelandii upłynęła Nelsonowi dość przyjemnie. Zdołał nawet odsunąć od siebie myśl, że Lobsang i stojące za nim tajemnicze postacie widzą w nim „cenną długoterminową inwestycję", zapewne jedną z wielu. Wyobrażał sobie tę mglistą społeczność potencjalnych sprzymierzeńców, których nazwisk być może nigdy nie pozna.

Jednak, jak wszystkie podróże, i ta dobiegła końca, szesnaście dni po odlocie z Wyoming.

Nelson wiele razy odwiedzał już Nową Zelandię Podstawową. Na tym dalekim świecie, odległym o siedemset tysięcy kroków na zachód od Ziemi Podstawowej, Kraina Długiej Białej Chmury była rzadko, o ile w ogóle, zaludniona. Jej zielone góry i krystalicznie czyste niebo pozostawały nieskażone i z powietrza wyglądały wspaniale.

Kierując się na zachód, twain przeleciał nad wybrzeżem i w głąb oceanu. Wreszcie zwolnił nad niedużą wyspą, plamą zieleni i żółci wśród fal tutejszej wersji Morza Tasmańskiego.

– I co? – zapytał Nelson. – Co mamy tu zobaczyć?

– Popatrz w dół – poradził mu bezcielesny głos Lobsanga.

– Coś na tej wyspie?

– To nie jest wyspa…

Przez doskonałe teleskopy twaina Nelson widział kępy drzew, obwódkę czegoś, co wyglądało na plażę, poruszające się zwierzęta… coś podobnego do koni… i słonie… nawet karłowatą żyrafę. Ciekawe, że także ludzi na tej dziwnej plaży. Eklektyczna mieszanka… Morze przy brzegu było mętne, lekko wzburzone i wyraźnie pełne życia.

W dodatku za „wyspą" ciągnął się kilwater.

– To nie jest wyspa – zgodził się Nelson. – Wygląda na żywą…

– Brawo. Zespolony, złożony, współpracujący organizm, skomplikowana istota podróżująca na północny wschód, jakby postanowiła przekroczyć Pacyfik…

– Żyjąca wyspa! – Nelson nierozsądnie wpadł w zachwyt. – Jeśli tak, to spełniła się dawna legenda. Wiesz, święty Brendan, kiedy pokonał Atlantyk, wylądował podobno na grzbiecie wieloryba. O ile pamiętam, było to w szóstym wieku. Podobne opowieści można znaleźć w greckim bestiarium z drugiego wieku, a później w *Baśniach z tysiąca i jednej nocy*...

– A teraz to rzeczywistość. Nelsonie, poznaj Drugą Osobę Pojedynczą.

Gramatyka wywołała grymas na twarzy Nelsona, choć zrozumiał odwołanie do słynnego odkrycia „Marka Twaina".

– Co teraz?

– Złożymy wizytę.

– My?

Drzwi na pokład wypoczynkowy gondoli otworzyły się i wszedł Lobsang z ogoloną głową, w pomarańczowej szacie – na pierwszy rzut oka ten sam Lobsang, którego Nelson spotkał w Wyoming.

– To jest twoja jednostka mobilna? – zapytał Nelson.

– I całkowicie wodoodporna. Chodźmy…

Przeszli na rufę, do luku, do którego wciągnął się Nelson na początku wyprawy.

– Nawiasem mówiąc, będziemy tam całkowicie bezpieczni – zapewnił Lobsang. – Nawet gdybyś chciał ponurkować trochę wokół brzegu skorupy.

– Zwariowałeś? Byłem już tutaj, znam te wody. Rekiny, parzące meduzy…

– Nic ci nie grozi. – Nelson wcisnął jakiś guzik. Z przedziału wysunął się ponton, nadął się i zawisł nad otwartym lukiem. – Wiele razy odwiedzałem już to zbiorowisko życia i mogę cię o tym zapewnić. A teraz chodź, poznasz nowych przyjaciół.

Po pięciu minutach obaj wysiadali z pontonu na skorupę Drugiej Osoby Pojedynczej. Chociaż wrażenie było inne – całkiem jakby wyskakiwali na piaszczystą plażę. „Grunt" pod stopami wydawał się solidny, zakorzeniony głęboko w skalistym podłożu Ziemi, jak wszystkie zwyczajne wyspy.

Nelson wokół widział piasek, połamane muszle, kępy drzew. Czuł rześką bryzę; na tej półkuli właśnie kończyła się zima. Czuł zapach soli, piasku, wodorostów, a także cieplejszy, bardziej wilgotny aromat roślinności z wnętrza wyspy. Zapachy, kolory, błękit nieba i morza, zieleń drzew – wszystko to było przemożnie żywe i jaskrawe.

– To jak wyspa Robinsona Cruzoe – stwierdził.

– Zgadza się. Tyle że ruchoma. I… popatrz tutaj.

Kawałek ziemi podparty jakąś muszlą – tak, fragmentem tej gigantycznej skorupy – otworzył się powoli niczym klapa włazu. Z dołu wynurzyło się kilkunastu ludzi – uśmiechnięci, wspinali się po swego rodzaju schodach. W różnym wieku, wszyscy byli nadzy i opaleni na brąz; wyglądali jak atleci. Kilkoro dzieci gapiło się na Nelsona. Naprzód wystąpiła jakaś kobieta z czerwonym kwiatem we włosach, wciąż uśmiechnięta. Odezwała się w niezłym, choć dziwacznie akcentowanym angielskim.

– Witajcie. Jakie wieści z domu? Proszę, panie, proszę, jeśli macie tytoń, proszę…

Lobsang uśmiechał się pobłażliwie.

– Kim są ci ludzie? – wykrztusił zdumiony Nelson.

– Ponieważ ta zagubiona bestia najwyraźniej zawędrowała także na oceany samej Podstawowej, podejrzewam, że przynajmniej niektórzy są potomkami załogi „Mary Celeste"… – odparł Lobsang.

Nelson nie miał pojęcia, czy powinien traktować te słowa poważnie.

Po chwili siedział trochę zakłopotany w kręgu bardzo zaciekawionych i bardzo nagich osób, koniecznie chcących się dowiedzieć, co słychać na Ziemi Podstawowej. Siedzieli blisko czegoś, co chyba pełniło funkcje kominka – ogień płonął na kamiennych płytach, zapewne by chronić receptory bólu gospodarza. Nelson dyskretnie przypomniał Lobsangowi, że wielorybia wyspa świętego Brendana zanurzyła się, podrażniona nieuważnie roznieconym ogniem…

Mowa tutejszych mieszkańców brzmiała jak kreolski utworzony z większości europejskich języków, jednak zdominowanych przez angielski. Nie była trudna do zrozumienia. Nelson opowiedział im o istotnych według siebie wydarzeniach na Podstawowej. Uśmiechali się i słuchali, łagodni, gładko ogoleni, dobrze odżywieni i zupełnie nadzy. Po chwili podali im połówki orzechów kokosowych napełnione mlekiem po brzegi.

Lobsang wyjaśnił Nelsonowi, że podczas wcześniejszych wizyt udało mu się nawiązać bezpośredni kontakt z samą wyspową bestią, będącą pod wieloma względami podobną do oryginalnej Pierwszej Osoby Pojedynczej. Jak się z nią porozumiał, tego nie zdradził.

Wyspa niosła około setki ludzkich pasażerów. Niektórzy trafili tu wskutek rozbicia statku lub podobnych przypadków – a odchodzili, umierając albo doczekując do końca „cyklu" tej istoty, jak to nazywał Lobsang. Był to czas, jakiego ten najwyraźniej łaskawy kraken potrzebował do zakończenia rejsu, kiedy to ludzie mogli zejść na ląd przy jakimś brzegu i wrócić do domu.

Ale oczywiście, po dzieciach siedzących przed nim i patrzących z nieskrywaną ciekawością Nelson poznawał, że ta niewielka społeczność naprawdę żyje. Ludzie rodzą się tutaj – a niektórzy pewnie dożywają końca swych lat i umierają, być może nigdy nie schodząc z grzbietu tej cierpliwej istoty. Nie widzieli nic dziwnego w swoim wędrownym domu czy sposobie życia. Dopiero po dyskusji z Lobsangiem Nelson zaczął to rozumieć.

– Ci ludzie są żywieni – tłumaczył Lobsang. – Zadbani. Każde stworzenie w pobliżu Drugiej Osoby Pojedynczej jest wręcz ekstremalnie potulne. Całkiem jakby tę zespoloną istotę otaczała luźna chmura ufności. Rzecz jasna, każdy musi jeść i czasem coś porwie jakąś mniejszą

rybę, ale Druga Osoba Pojedyncza nie skrzywdzi ani nie pozwoli niepotrzebnie skrzywdzić żadnego wyższego organizmu. A w szczególności nikogo z ludzi.

– Jeśli coś o takim rozmiarze dotrze kiedyś do głównych szlaków żeglugowych, zwłaszcza na Podstawowej, będą kłopoty.

– Och, to prawda. Te bestie… nazywam je trawerserami… na ogół mają dość rozsądku, żeby trzymać się z dala od Podstawowej. O ile mogłem to stwierdzić, ten konkretny egzemplarz się zgubił. Zawędrował za blisko Podstawowej, może nawet przez nią przekroczył. W tej chwili stara się dostać do miejsca, którego nazwę tłumaczę jako „sanktuarium"; co ciekawe, znajduje się ono w pobliżu Puget Sound, niedaleko Seattle. Kiedy odejdziemy, planuję zostawić tu iterację siebie, żeby doprowadziła go w bezpieczne miejsce. Większość jego pobratymców, takich jak Pierwsza Osoba Pojedyncza, żyje zwykle o wiele dalej od Podstawowej.

– W tych podsumowaniach, jakie krążyły na temat bestii, którą podróżnicy z „Marka Twaina"... właściwie ty, jak przypuszczam… nazwali Pierwszą Osobą Pojedynczą, sugerowałeś, że stwór ten wędruje przez Długą Ziemię, dokonując swego rodzaju audytu. Remanentu.

– Wstępna hipoteza, ale nie gorsza od innych. Wydaje się, że istnieją rozmaite podgatunki tych istot, choć żaden tak wielki ani tak groźny jak oryginalna Pierwsza Osoba Pojedyncza. Na przykład nie wszystkie mają taką skorupę jak tutaj. Ale wszystkie są organizmami grupowymi, jakby wielkie kolonie portugalskich żeglarzy. Wszystkie rosną i powiększają się, zbierając różne stworzenia z lądu i wody; niektóre biorą pasażerów, jak widzisz tutaj, inne wchłaniają je i włączają w większy organizm, jak Pierwsza Osoba Pojedyncza. I wszystkie są w pewnym stopniu inteligentne, świadome. Oczywiście, ze świadomości wynika cel.

– Jaki cel?

Lobsang wzruszył ramionami, trochę sztucznie.

– Może faktycznie są kolekcjonerami. Późnymi Darwinami albo ich agentami; zbierają interesujące stworzenia dla… nie wiem, dla nauki? Dla jakiegoś gigantycznego zoo? Czy może ze względów estetycznych? Zauważ, że większość zwierząt tu zgromadzonych ma zbliżoną wagę ciała, powiedzmy w granicach jednego czy dwóch rzędów wielkości. Nie ma płetwali błękitnych i bardzo niewiele myszy albo szczurów. Całkiem jakby trafiały tu wybiórczo. Ale może to zbyt wąska perspektywa. Mam wrażenie, że jedynym celem Pierwszej Osoby Pojedynczej było poznawanie świata i wzrost. Taki cel mają wszystkie świadome stworzenia. Chociaż mogła być przypadkiem szczególnym…

Tutejsi ludzie nie narzekali na swoją sytuację, przynajmniej o ile Nelson potrafił to ocenić. Według Lobsanga ich żyjący dom opiekował się nimi, nawet kiedy musiał się zanurzyć – wszyscy ludzcy i zwierzęcy pasażerowie trafiali wtedy do wypełnionych powietrzem komór pod skorupą.

– Chociaż nie zanurza się często – tłumaczył Lobsang. – Źle to działa na roślinność, którą ma na grzbiecie, że już nie wspomnę o warstwie zebranej gleby… To jak nieskończony rejs wycieczkowy, nie sądzisz?

– Hm… „Titanic" bez góry lodowej.

– Liczne towarzystwo, potrawy z ryb, a czasem innych owoców morza, w tym ostryg, niekiedy jakaś foka… Ale nigdy delfiny, Nelsonie. Aha, i dużo seksu.

Tego Nelson się domyślał, dostrzegając nieco żenującą uwagę, jaką poświęcały mu niektóre młode kobiety.

– A ludzie?

– Nelsonie, na cierpiących światach ludzkich żyją miliardy, które szansę zamieszkania na tym żyjącym wybrzeżu uznałyby za błogosławieństwo.

Nelson prychnął tylko.

– Ach, nie aprobujesz tego, prawda? – domyślił się Lobsang. – Poznaję, drogi Nelsonie, po twoich oczach, po minie… Jesteś purytaninem, przyjacielu, i tę sytuację uważasz za przerażającą. Uważasz, że ludzie nie powinni żyć w taki sposób. Brak wyzwań jest ci wstrętny, tak? Podejrzewam, że jest to również źródłem twojej niepewności wobec Długiej Ziemi; jest zbyt łatwa. Ludzkość, jak wierzysz, powinna zawsze spoglądać w gwiazdy, zawsze walczyć, uczyć się, rosnąć, doskonalić i rzucać wyzwanie nieskończoności.

Nelson spoglądał w twarz Lobsanga – całkowicie poważną, z wyjątkiem lekkiej sugestii najmniejszej iskierki dowcipu. Co z tego należało do człowieka, a co do komputera?

– Jesteś irytująco spostrzegawczy.

– Uznam to za komplement.

ROZDZIAŁ 60

Przez kilka dni pozostali na powierzchni Drugiej Osoby Pojedynczej. Był to dość przyjemny okres, jednak Nelsonowi trudno było przystosować się do stylu życia lotofagów – może Lobsang nie mylił się co do jego duszy purytanina. Niewinność pasażerów wyspy rozbudziła w nim coś z nauczyciela, czy może pasterza.

Wyspiarzom brakowało surowców. Mieli kilka garści odłamków krzemienia, kawałki obsydianu, trochę metali, najwyraźniej pochodzących z kieszeni przodków, rozbitków. Traktowali je jak zabawki, żetony, ozdoby… Korzystając z niepotrzebnych śmieci z twaina, Nelson nauczył ich podstaw obróbki metali, między innymi jak wyciągać drut, dzięki czemu mogli powiększyć skromną rezerwę bezcennych haczyków na ryby. Pozostawił im nawet wstępne instrukcje budowy radia kryształkowego – może pewnego dnia wykorzystają tę technologię, by znów połączyć się z resztą ludzkości, a raczej tym jej ułamkiem, który przebywa na tym świecie.

Wyspiarze uśmiechali się i kiwali głowami, klaskali, kiedy udało mu się złożyć jakiś bardziej skomplikowany element, a uzyskane kawałki drutu wykorzystali jako ozdoby do włosów.

Trochę czasu poświęcił też na spacery po tym, co nazwał dżunglą – niewielkim lesie rosnącym na skorupie. Las rozrastał się całkiem bujnie mimo okresowych zanurzeń, choć był dość eklektyczny i przypominał raczej kolekcje ogrodów botanicznych niż cokolwiek naturalnego – od paproci po eukaliptusy oraz wiele gatunków, których Nelson nie rozpoznał. Co do zwierząt, Lobsang miał rację; działała tu zgrubna selekcja według rozmiaru, a dokładniej masy ciała. To, co brał za słonie, okazało się rodzajem mamuta z zakręconymi kłami i szorstką pomarańczową sierścią. Były to jednak mamuty karłowate, nie większe od kucyków w Świętym Janie nad Wodami.

Inne pytanie, które zaciekawiło Nelsona, to jak stare było to stworzenie. Jak długo już pływało po wykrocznych morzach? Czy gdyby zaczął kopać w lesie albo w ciemnych przestrzeniach pod skorupą, znalazłby kości pradawnych bestii? Może szkielet stegozaura?

Na takie pytanie nawet Lobsang nie miał odpowiedzi.

W dżungli, czwartego dnia, kiedy Nelson siedział głęboko zamyślony, dopadła go Cassie. Była to kobieta, która zwykle nosiła we włosach czerwony kwiat i zaraz po ich lądowaniu prosiła o tytoń.

Teraz już wiedział, o co jej chodzi. Starał się unikać kontaktu wzrokowego, ale pochwyciła go swym spojrzeniem.

– Pan Lobsang mówi, że jest pan spięty i smutny, że potrzebuje pan miłości…

Twierdzenie zawisło w powietrzu, a Nelson niemalże słyszał, jak w jego głowie ze zgrzytem rwanych trybów zderzają się dwa systemy wartości. Owszem, był typem purytańskim; dowolne dziecko płci męskiej, wychowane z jednej strony przez matkę Nelsona, a z drugiej przez jej wersję Boga, też by się takie stało. Owszem, miewał już związki, w tym przez długi czas dziewczynę, z którą łączyło go „porozumienie" – bardzo staromodne określenie, ale…

Ale byli też wyspiarze. Zauważał wśród nich długoterminowe związki, jak małżeństwa, lecz ogólnie traktowano te sprawy dość swobodnie, zwłaszcza wśród młodych. W końcu każdy tutaj znał wszystkich, całkiem jak w Świętym Janie nad Wodami, i panowała jakby ochronna wspólna tolerancja.

Lobsang tłumaczył mu, że dla wyspiarzy będzie lepiej, jeśli ich pula genetyczna zostanie wzbogacona przez przybyszów. Nelson więc miał niemal obowiązek, by przyjąć jej zaproszenie.

– Tylko trochę się poruszamy, panie Nelsonie!

Uśmiechnęła się, zaśmiała i podeszła.

I nagle zatonął w tej chwili, jego czterdzieści osiem lat gdzieś opadło, analityczny umysł się rozpłynął. Świat ożył światłami i kolorami, błękitem i zielenią; Nelson czuł zapach morza, roślin i zwierząt na tej wyspie, czuł morską sól na skórze kobiety, gdy się zbliżyła, a kiedy dotknęła palcem jego warg, mógł ją smakować…

Nikt ich nie widział. No, oprócz Lobsanga, prawdopodobnie.

Potem trzymał się z daleka od dżungli i nigdy nie zostawał sam na sam z Cassie, nigdy więcej.

Piątego dnia, żeby wziąć prysznic i się przebrać, wrócili na twaina, który wisiał nad kilwaterem Drugiej Osoby Pojedynczej. Razem siedzieli w gondoli, w formalnych zachodnich ubraniach, które teraz wydawały się sztywne i krępujące. Żywa wyspa dryfowała pod nimi, złożona, piękna i żyzna. Zdawało się, że została stworzona właśnie po to, by oglądać ją z powietrza.

– Nie rozmawialiśmy jeszcze o tym, dlaczego w ogóle ściągnąłeś mnie do siebie, Lobsangu.

– Ściągnąłem?

– Obiecałeś, że nie będzie więcej sztuczek. Ta ścieżka okruchów, za którą szedłem, była praktycznie wezwaniem. Teraz pokazałeś mi trawersera…

– Przykład zadziwiającej płodności albo pomysłowości życia na Długiej Ziemi.

– Dlaczego? Po co mnie tu sprowadziłeś, po co pokazałeś to wszystko?

– Ponieważ wierzę, że masz umysł takiej jakości, by docenić teorię, którą rozważam od dnia otwarcia Długiej Ziemi.

– Teorię na jaki temat?

– Na temat wszechświata, ludzkości, przeznaczenia Długiej Ziemi… wszystko bardzo wstępne, ale niezwykle istotne. Zechcesz jej wysłuchać?

– Czy potrafisz sobie wyobrazić, że nie? Albo że zdołam cię powstrzymać?

– Wielebny Azikiwe, jestem absolutnie odporny na sarkazm. Powiedzmy, że to cecha mojego samoprogramowania… Ale do rzeczy. Rozważmy taką tezę: Długa Ziemia uratuje ludzkość. Teraz, kiedy zasiedliliśmy wykroczne światy, nie wybije nas wszystkich nawet zniszczenie całej planety i powstanie nowej Szczeliny. Co więcej, Długa Ziemia otworzyła się w ostatniej chwili. Inaczej sami moglibyśmy się wykończyć. Niedługo pewnie jak szympansy grzebalibyśmy w ruinach naszej cywilizacji i walczyli o resztki zasobów. Na szczęście my, niegodne małpy, dostaliśmy nagle klucz do kolejnych światów i pochłaniamy je najszybciej, jak potrafimy.

– Przecież nie wszyscy. Twoi wyspiarze na trawerserze są całkiem odprężeni i chyba nikomu nie szkodzą. A na Długiej Ziemi żyje też wielu włóczęgów, czesaczy, jak sami siebie nazywają, którzy nie zaczepiają nikogo.

– Ale spójrz na sytuację z trollami. Miłe, pomocne i ufne stworzenia. I oczywiście musieliśmy nad nimi zapanować, zniewolić je, zabić. Pomyśl o napięciu wokół Walhalli i jej cichego buntu; nie mogę się zgodzić, żebyś żył po swojemu, nawet o milion kroków stąd. Muszę cię opodatkować, muszę kontrolować!

– I co, Lobsangu, planujesz coś z tym zrobić? – zapytał ostrożnie Nelson. – Ze wszystkich stworzeń na ludzkich światach, z pewnością ty jeden masz takie możliwości…

– Rzeczywiście – burknął Lobsang. – Prawdę mówiąc, miałbyś pewnie trudności w zrozumieniu tego, co można nazwać zakresem moich talentów. Moja dusza jest duszą człowieka, ale zostałem bardzo udoskonalony i rozproszony… Nie chcę wchodzić w szczegóły, lecz praktycznie jestem wszechobecny. W tej chwili jedna z moich iteracji powinna kierować się ku kometom na skraju Układu Słonecznego. Nelsonie, jestem bliski Obłoku Oorta.

– Wielkie nieba!

– Agnes tylko się śmiała. Może trzeba tam być? Nelsonie, jestem wszędzie. Ale nie jestem Bogiem i się nie wtrącam. Nie wierzę w twojego Boga i podejrzewam, że ty też nie. Ale jak również podejrzewam, chciałbyś wierzyć, że wszechświat ma jakiś plan, coś, co nadaje mu sens i znaczenie.

– Jaki plan?

– Nie jestem wprawdzie Bogiem, ale mam boską perspektywę. Długa Ziemia sprawiła, że ludzkość jest odporna na ziemskie katastrofy. Ale nie jest odporna na czas. Ja rozważam długie skale czasowe. Myślę o przyszłych eonach, kiedy umrze nasze Słońce, jak wszystkie słońca

Długiej Ziemi; myślę o czasach poza tą ekspansją ciemnej energii, Wielkim Rozdarciem, kiedy każdy atom zostanie rozerwany, tworząc nową Ginnungagap…

– Ach, pierwotną pustkę przed stworzeniem. „Ni piasku, ni morza, ni chłodnych bałwanów,/Nie było ziemi i nie było niebios”…

– „Ni traw nie było, lecz czeluść otchłani”… – Lobsang pokiwał głową. – *Völuspá* dobrze zapamiętana.

– Nordycka mitologia i tybetańska metafizyka… uderzająca do głowy mieszanka.

Lobsang zignorował tę uwagę.

– Ludzkość musi się rozwijać. Taka jest logika naszego skończonego kosmosu. W ostatecznym rachunku musimy wznieść się i zmierzyć z jego wyzwaniami albo przepadniemy wraz z nim. Rozumiesz chyba. Ale mimo Długiej Ziemi wcale się nie rozwijamy. Jesteśmy tylko coraz liczniejsi. Głównie dlatego, że nie mamy pojęcia, co zrobić z tym wolnym miejscem. Może przyjdą inni, którzy będą wiedzieli.

– Inni?

– Inni. Zastanów się. Nazywamy się mądrymi czy myślącymi, ale jaki byłby prawdziwy *Homo sapiens*? Jak by postąpił? Z pewnością przede wszystkim ceniłby swój świat lub światy. Spojrzałby w niebo, szukając innych istot inteligentnych. I spojrzałby na wszechświat jako całość, by rozważyć jego kultywację.

Nelson przemyślał to.

– Czyli wierzysz, że zgodnie z logiką wszechświata musimy ewoluować poza nasz stan obecny, by być zdolnymi do realizacji takich zadań? Poważnie? Naprawdę wierzysz, że w rozsądnym czasie można się spodziewać nowego wspaniałego gatunku?

– Czy nie jest to przynajmniej możliwe? Przynajmniej logiczne? Wiele jeszcze trzeba się nauczyć… wiele odkryć i wiele zrobić. Dyskutowaliśmy o tym. Zostawiłeś swoją parafię. Szukasz nowej drogi w życiu, nowego celu. Wiem, że pragniesz tych samych odpowiedzi co ja. Czy jest lepsze rozwiązanie, niż pracować ze mną? Potrzebuję wsparcia, Nelsonie. Widzę, jak obraca się świat. Ale nie potrafię zajrzeć do ludzkiej duszy.

Westchnął.

– Jak się czujesz? Czy już dość tu widziałeś?

Nelson się uśmiechnął.

– Poczekajmy jeszcze trochę. Zawsze powinieneś zostawić sobie dość czasu na pożegnania.

ROZDZIAŁ 61

Poszukiwania Joshuy i Billa wciąż nie przynosiły skutku. Dla urozmaicenia Bill częściej się zatrzymywał na światach, które społeczność czesaczy nazywała diamentami – będącymi przeciwieństwem jokerów i mieszczącymi w sobie jakąś wyjątkową atrakcję.

Ziemia Zachodnia 1 176 865: dotarli do niej przed osiągnięciem Pasa Walhallańskiego, światów z Morzem Amerykańskim. Tu jednak Wielki Kanion został zatopiony przez wezbraną rzekę. Pejzaż był wyjątkowo spektakularny, ściągał tu turystów obozujących wzdłuż wysokiej krawędzi kanionu.

Ziemia Zachodnia 1 349 877: świat zdominowany przez dziwaczną, wręcz nieziemską ekologię. Tutaj znajome ziemskie stworzenia otoczone były przez gaje zielonych, poskręcanych żywych istot, które pełzały i rozlewały się, nie pozwalając się sklasyfikować ani jako zwierzęta, ani rośliny – może jakby śluzowce rozrośnięte do wielkich rozmiarów i różnorodnych form. Żaden biolog nie badał jeszcze tego świata. Bywający tu czesacze opowiadali sobie szeptem o Ogromnym Bogu, hipotetycznym obcym, potworze, który w statku kosmicznym rozbił się setki tysięcy lat temu, pozostawiając warstwę ciała, kości i tłuszczu. Z nich właśnie wyewoluowały te organizmy, z jakichś obcych pasożytów czy też odpowiednika bakterii żołądkowych. Dla Joshuy wielka rozmaitość dziwnych form życia na tym świecie okazała się zaskakująca i w pewnym sensie satysfakcjonująca. Tak jakby dotąd czegoś mu brakowało, ale nigdy nawet tego nie zauważył.

I ten ciąg myśli doprowadził go wreszcie do odpowiedzi.

Pojawiła się w głowie, kiedy spał. Zerwał się w ciemności, pobiegł do mesy połączonej z pokładem wypoczynkowym i obserwacyjnym, przez chwilę wpatrywał się w kawałek pustej ściany.

– Mam! – Kiedy nie usłyszał odpowiedzi, zaczął tłuc pięściami w cienką partycję dzielącą to pomieszczenie od kajuty Billa. – Mówię, że wymyśliłem!

– Co wymyśliłeś, ćwoku zwariowany?

– Wiem, gdzie musi być Sally. Dała mi wskazówkę, choć może nie chciała. Nie chodzi o to, co zostawiła, ale co zabrała.

Usłyszał stłumione ziewnięcie Billa.

– A co to takiego?

– Pierścień, Bill! Pierścień! Złoty, z szafirami. Ten, który powiesiłem na ścianie. Nie wiem, kiedy i jak zakradła się po niego na pokład. I jak dawno. Pewnie pęka teraz ze śmiechu.

– Pierścień… I został po nim cień… Potrzebowałeś tylko trzech tygodni, żeby to wykombinować? No więc dokąd mamy lecieć?

– Na Ziemię Zachodnią 1 617 498… Do Prostokątów.

– Świetnie. Ruszymy rankiem. Będziemy za trzy dni. A teraz mogę się jeszcze przespać?

ROZDZIAŁ 62

Przygotowując się do podejścia do Walhalli, sterowce uczestniczące w operacji Syn Marnotrawny zebrały się o sto światów na wschód od celu. Zawisły jak niskie chmury nad brzegiem tutejszej wersji Morza Amerykańskiego, prawie półtora miliona kroków od Podstawowej.

Kiedy tylko „Benjamin Franklin" zajął swoje miejsce, Maggie dostała wiadomość z widocznego na horyzoncie „Abrahama Lincolna". Dowódca przekazał, że ma na pokładzie admirała Davidsona, szefa USLONGCOM, który zaraz osobiście złoży jej wizytę.

Okręty zbliżyły się i zniżyły. Maggie zmieniła mundur i czekała na admirała w kajucie.

Po chwili jednak wezwał ją Nathan Boss.

– Lepiej niech pani zejdzie na rampę ładunkową, dowódco. Mamy pewien problem.

Kiedy tam dotarła, zobaczyła, że tymczasowy chorąży Carl, z opaską na ramieniu, stanowiącą cały jego „mundur", został włączony do grupy witającej admirała. A może sam się włączył – to by całkiem do niego pasowało, zawsze był ciekawy i lubił poznawać nowych ludzi. Tylko że teraz kapitan Edward Cutler, adiutant admirała, trzymał mu pistolet przy głowie. Sam admirał, elegancki sześćdziesięciolatek, obserwował to z rozbawieniem.

Maggie podeszła do Cutlera.

– Co pan robi, kapitanie? – szepnęła mu do ucha.

– Nie widać? Poskramiam niebezpieczne zwierzę!

– Kapitanie, ten troll nie jest niebezpieczny. – Stojąc przed tym surowym, oschłym mężczyzną, poczuła zakłopotanie. – Właściwie to Carl jest członkiem załogi.

Cutler wytrzeszczył oczy.

– To jakiś żart?

– Nie, kapitanie. – Wskazała mu insygnia na opasce trolla. – Przesłałam do sztabu dokumenty. – To była prawda, choć postarała się, by cała sytuacja nie zwróciła uwagi biurokratów. – Eksperymentalna współpraca między gatunkami myślącymi.

Admirał Davidson uśmiechał się szeroko.

– Przyznasz, że to symboliczne, Ed.

Cutler popatrzył na Davidsona, na Maggie, na trolla.

– Adkins! – krzyknął.

Podbiegł młody porucznik.

– Tak jest, sir?

– Prześlecie wiadomość do Białego Domu. Możliwie najszybciej. Powiecie prezydentowi Cowleyowi, że z tą chwilą kapitulujemy przed różnymi włóczęgami i okisami, od których roi się na Długiej Ziemi. A w ramach tego przekazujemy dowodzenie naszymi sterowcami trollom, szopom, pieskom preriowym i innym durnym zwierzakom, jakie akurat spotkamy.

– Tak jest, sir, natychmiast.

– Jednak zanim sam zrezygnuję ze stanowiska, myślę, że wpakuję kulkę temu maluchowi…

Maggie znów podeszła.

– Cutler! Jesteście już ojcem?

– Co? Nie, jeszcze nie.

– No tak. Kapitanie Cutler, chorąży Carl nie zrobi wam krzywdy, cokolwiek by się działo. Ale jeśli natychmiast nie opuścicie broni, kopnę was tak, że szanse na spłodzenie potomka staną się żałośnie nikłe…

Z ulgą wprowadziła admirała do względnej normalności swojej kajuty. Chorąży – ale nie Carl – podał kawę i zamknął drzwi, zostawiając ich samych.

Davidson pochylił się lekko.

– No więc, pani kapitan…

– Sir…

– Nigdy nie lubiłem marnować czasu… Wie pani o tym.

– Tak jest, sir.

– No więc do rzeczy. W krótkim czasie, w jakim dowodziła pani „Benjaminem Franklinem", traktowała pani okręt, jakby był pani prywatną własnością. Wykroczyła pani poza i tak już bardzo luźno określone parametry rozkazów… Mówiąc wprost, tworzyła pani zasady zależnie od sytuacji. Nie tylko to. Pozwoliła pani potencjalnie niebezpiecznym stworzeniom poruszać się swobodnie po okręcie.

– Tak jest, sir.

– Co doprowadziło do takich sytuacji, jak poniżenie biednego Eda Cutlera z powodu trolla.

– Tak jest, sir.

Uśmiechnął się.

– Dobra robota, Maggie.

– Dziękuję, sir.

– Mnie osobiście szczególnie się podobało rozwiązanie sytuacji w Nowej Czystości. Kiedy poradziła im pani, żeby zabite trolle pochować na tym samym cmentarzu co nieszczęsnych pionierów. Dobrze to przyjęto praktycznie w każdym miejscu, gdzie dotarły wiadomości. Mocno się pani przyczyniła do promowania ideałów, co do których ja i inni w strukturach militarnych… do diabła, nawet niektórzy w administracji prezydenta Cowleya… wierzymy, że powinny kierować naszym zachowaniem na Długiej Ziemi. Chciałem, żeby to właśnie pani, spośród wszystkich dowódców, wyciągnęła rękę do tych rozproszonych społeczności. Przyjazną dłoń, a nie zaciśniętą żelazną pięść. Nie do nas należy pilnowanie porządku czy moralizowanie. Naszym obowiązkiem jest obrona naszych obywateli przed zewnętrznym zagrożeniem. Ale żeby to robić, musimy wiedzieć, kogo i co chronimy w tym niezwykłym nowym pejzażu, jaki mamy dzisiaj przed sobą. Aby osiągnąć te cele, musiała pani zachować otwarty umysł, musiała pani słuchać i się uczyć. I pani to robiła. Nie mógłbym określić tego w rozkazie, pani kapitan. Sama pani musiała do wszystkiego dojść. Co pani uczyniła. I cieszę się z tego.

– Jeszcze raz dziękuję, sir – powiedziała niepewnie.

– A co do przyszłości… Ktoś z pani doświadczeniem i szczególnymi talentami nie może się marnować, grając niańkę dla każdej grupy kolonistów, która nie przeczytała instrukcji. Pani kapitan, kiedy zakończymy już tę sprawę w Walhalli, chcę, żeby rozważyła pani nowy przydział: na dowódcę USS „Neil Armstrong II".

Maggie wstrzymała oddech. Drugi „Armstrong" był nowym typem sterowca, na wpół tajnym, zaprojektowanym do badań Długiej Ziemi daleko poza osiągniętymi dotąd granicami – nawet przez wyprawę Valienté, nawet przez tę chińską ekspedycję.

– Pani główną misją będzie zbadanie, co się stało z „Armstrongiem I" i jego załogą. Nie mogliśmy nawet wysłać żadnej jednostki na poszukiwanie. Teraz już możemy. A potem… – Skinął ręką. – Potem jeszcze dalej. Oczywiście, może pani dobrać sobie załogę.

Pomyślała o Macu, o Nathanie i Harrym… nawet o Tobym Foxie.

– To nie sprawi problemów, sir.

– Tak myślałem. – Zerknął na zegarek. – No cóż, kiedy dojdziemy do Walhalli, czeka nas ciężkie zadanie. Myślę, że tutaj załatwiliśmy już wszystko. – Wstał. – Ale skoro już jestem na pokładzie, chętnie spotkałbym się z pani chorążym Carlem w mniej konfrontacyjnej sytuacji…

Nocą Maggie zasypiała już w swojej koi, słuchając mikrodźwięków okrętu, szczęknięć, trzasków i skrzypienia, tak dobrze znanych po rejsie. Każdy marynarz wie, że okręt ma własne życie, tożsamość, swoje idiosynkrazje, nawet nastroje.

Poczuła łapki na pościeli. Odwróciła się. Koci pyszczek majaczył w ciemności, oczy jarzyły się zielenią.

– Nie śpisz – stwierdziła Shi-mi.

– Jesteś geniuszem spostrzegawczości.

– O czym pani myśli, kapitanie?
– Że będę tęsknić za tą starą łajbą.
– Tak. Słyszałam, że czekają panią gratulacje.
– Na pewno słyszałaś. A poprzez ciebie pewnie cała Korporacja Blacka. W każdym razie jeszcze nie zdecydowałam. Słyszysz to, Abrahams, kimkolwiek naprawdę jesteś?
– Będzie pani potrzebowała kota.
– Ach…?
– Osobiście polubiłam „Benjamina Franklina". Ale nie mam nic przeciw temu, żeby przeprowadzić się razem z panią. Proszę to przemyśleć.
– Przemyślę. Obiecuję. A teraz idź się prześpij.
– Tak jest, pani kapitan.

ROZDZIAŁ 63

Trzy dni po odkryciu, że pierścień zniknął, dotarli do świata, który nieoficjalnie nazywali Prostokątami. Istniało tylko jedno oczywiste miejsce, do którego mogli się udać.

Joshua siedział w milczeniu, gdy Bill prowadził sterowiec nad jałowym i pustym pejzażem, aż do suchej doliny o ścianach podziurawionych jaskiniami, a dnem poznaczonym przez te dobrze pamiętane prostokątne formacje, jakby granice pól albo fundamenty budynków, które zniknęły. Dotarli do jedynej monumentalnej kamiennej struktury, podobnej do ściętej piramidy. Nawet z powietrza miejsce to działało na Joshuę depresyjnie. Tutaj dziesięć lat temu z Lobsangiem i Sally znaleźli szczątki istot inteligentnych, jakiejś formy gadów. Skąd wiedzieli, że inteligentnych? Bo w stosie wysuszonych szkieletów w jaskini, relikcie jakiegoś końcowego spazmu wymierania, Joshua znalazł kość palca z pierścieniem, który ze sobą zabrał; czyste złoto z szafirami. A zatem stworzenia te wyraźnie były myślące i równie wyraźnie od dawna martwe. Joshua doznał dziwnego, egzystencjalnego cierpienia na myśl o tym, że jednak nie zdołali się spotkać, choć tak niewiele brakowało – czuł się jak rozbitek na bezludnej wyspie, który widzi, że przepływa statek, nic nie wiedząc o jego obecności. Echo tamtych niezwykłych doświadczeń wracało do niego na Długiej Ziemi pozbawionej trolli; teraz było więcej światów, którym czegoś zabrakło.

– To jest to miejsce! – krzyknął do Billa. – Właściwie to chyba liczyłem, że będzie się tu roiło od trolli.

Miał wrażenie, że niemal słyszy wzruszenie ramion towarzysza.

– Ja tam nie liczyłem, że będzie tak łatwo.

– Pewnie nie.

– Ten świat to klasyczny wyschnięty joker – stwierdził Bill. – Według instrumentów suchszy niż moje gardło w poście.

– Posadź nas możliwie daleko od tego stosu. Jest gorący.

– Właściwie to pomyślałem, że podlecimy do tego kogoś na ziemi, kto do nas macha.

Kiedy Joshua odwrócił wzrok od budowli, też to zobaczył. Srebrzyste koce ratunkowe leżały na skalnym wzgórku ułożone tak, by były widoczne z powietrza, ale nie z gruntu. Obok stał ktoś w oliwkowym kombinezonie i machał obiema rękami.

– Dobry plan – zgodził się Joshua.

„Shillelagh" obniżył się płynnie. Tym razem obaj zeszli na stały ląd, w mocnych butach i z plecakami. Bill zabrał swój kroker i zestaw translacyjny od Lobsanga. Byli gotowi do poszukiwań.

Joshua nie zdziwił się specjalnie, kiedy rozpoznał osobę, która przywołała ich z nieba.

Porucznik Jansson była wychudzona, blada, spocona i wyraźnie czuła się o wiele gorzej, niż kiedy widział ją poprzednio. Gdy podeszli, usiadła na wystającej skale, zmęczona tym machaniem.

– Czyli przybyliśmy do właściwego świata. Odgadliśmy poprawnie.

– O tym, że panna Linsay zabrała pierścień? Co to oznacza? Dokąd powinniście się udać? O tak. Skarżyła się, że trudno jej było pierścień znaleźć. „Bo oczywiście ten idiota musiał go zabrać na wakacje", tak chyba się wyraziła. Potem miała nadzieję, że nie zauważysz jego braku. A nawet jeśli zauważysz, nie przyjdziesz za nią tutaj. Miała nadzieję, jak mówiła, ale zaplanowała, co robić, jeśli się zjawisz… Trochę czasu ci to zajęło.

Joshua pokręcił głową.

– Wciąż jesteś gliną, choć na emeryturze. Tylko policjantka nazwałaby Sally panną Linsay. Powinniśmy tu być, Monico. Lobsang nas wysłał z misją. Chodzi o trolle.

– Myślę, że Sally to również przewidziała. „Ten wścibski Lobsang na pewno spróbuje się wtrącać"…

– Wiem, wiem…

– Mówiłam, że zaplanowała twoje przybycie, odpowiadało jej czy nie. Dlatego tu jestem. Jako tester hipotezy. Żeby to załatwić, zawarła skomplikowany układ z beagle'ami.

Joshua wytrzeszczył oczy.

– Beagle'ami?

– Ach, długa historia. Prawdę mówiąc, sądzę, że chętnie się mnie pozbyły, źle dla nich pachnę. Siedzimy tu już od miesiąca i głównie gramy na czas, w nadziei że coś się wydarzy. Sally jest cierpliwa. Pewnie to instynkt łowcy… Mnie było trudniej.

Przyjrzał się jej z troską.

– Zgaduję, że sama sobie aplikujesz leki.

– Tak, i świetnie sobie radzę, więc nie marudź. A teraz posłuchajcie…

Szybko im wytłumaczyła, że Sally Linsay jest teraz dwadzieścia sześć światów dalej, i jak wygląda tam sytuacja z koboldem i z myślącymi psami.

– Finn McCool – warknął gniewnie Bill. – Rozgrywa obie strony przeciwko sobie, mogę się założyć. Mały kanciarz…

Na razie Joshua się tym nie przejął.

– Trochę to skomplikowane.

– Zgadza się – przyznała Jansson.

– Tak się dzieje, kiedy Sally Linsay pojawia się w życiu… Ale, jak już powiedziałem, wypełniamy tu własną misję. No dobra. Zostawimy sterowiec i przejdziemy dalej piechotą.

– Świetnie. O pewnej porze dnia czekają wykrocznie, żeby mnie przejąć, kiedy będę gotowa do powrotu. Słuchajcie, nie macie może kawy? Moja się skończyła już parę dni temu.

Ostatni krok do Ziemi Zachodniej 1 617 524 był szokujący. Choć uprzedzony przez Jansson, Joshua spodziewał się kolejnego jałowego jokera, takiego jak Prostokąty. Ale ten świat nie był jałowy, przynajmniej nie w tym miejscu. Pierwsze wrażenie stanowiła zieleń, wilgoć, świeżość. Nabrał powietrza głęboko w płuca…

Po chwili zauważył, że ta zieleń nie jest typową wariacją lasu albo prerii, ale to są łąki, na których pasą się stworzenia, które mogłyby być bydłem, ale nie są, pilnowane przez wyprostowane postacie, które mogłyby być ludzkimi pasterzami, ale nie są.

A potem dotarł do niego najbardziej istotny element krajobrazu – stojące przed nim istoty, które mogłyby być psami, ale nie były.

Kilkanaście takich wyprostowanych psów stało na tylnych łapach, w równych rzędach. Najważniejsze były dwa w środku, sądząc po jakości pasów, jakie nosiły na biodrach – pasy na psach! Z pasów zwisały rozmaite narzędzia. I broń – coś w rodzaju kuszy.

I miotacz promieni! Kolorowa zabawka, jak rekwizyt z dawnego serialu science fiction. Dokładnie tak jak mówiła Jansson.

Ich płeć była dość oczywista: z tej środkowej pary jedno było samicą, drugie samcem. Samiec był wyższy, potężniejszy, wspaniały i zwierzęcy. A jednak nie był zwierzęciem. I chociaż Joshua rozumiał, w jakim niebezpieczeństwie się znalazł, jednocześnie doznawał euforii. Gatunek myślący, całkiem dotąd nieznany – i nie taki od tysięcy lat wymarły jak ci z Prostokątów.

Bill gapił się zdumiony.

– Chyba mi się to śni… Wiem, uprzedzała pani, poruczniku Jansson. – Pokręcił głową. – Ale to jakiś obłęd.

Samiec zwrócił się do Billa. Rozsunął wargi na całkiem wilczym pysku i Joshua zdumiał się ponownie, kiedy przemówił:

– Nie. Hrr-nie jesteś we śnie-hrr.

Psi warkot, ale angielskie słowa brzmiały wyraźnie.

– Joshua, Bill – odezwała się Jansson. – Pozwólcie, że wam przedstawię Li-Li. I Śnieżka.

Mimo jej wcześniejszych ostrzeżeń Joshua też miał wrażenie, że śni.

– Śnieżek?

– Joshua Valienté. – Jansson wskazała gestem. – Bill Chambers, jego towarzysz. Joshua jest tym, którego obiecała Sally.

– Obiecała?

– To jedna z jej intryg. Skoro i tak miałeś tu przybyć, postanowiła to wykorzystać. Dodała ci znaczenia, powiedziała, że jesteś ambasadorem wyższej władzy.

– Miło z jej strony.

Śnieżek przyglądał mu się uważnie.

– Jesteś emisa-hrriuszem Wnuczki ludzi?

– Wnuczki?

– Chodzi mu o władcę – wyjaśniła Jansson.

– Aha. No więc, ehm… Śnieżku, my nie mamy Wnuczki. Nie w takim sensie. Ale emisariusz, tak, to chyba dobre określenie. Przybyłem, żeby naprawić stosunki z trollami…

Zanim zdołał powiedzieć więcej, Śnieżek – nie ruszając nawet mięśniem – warknął cicho i dwa psy zza niego błyskawicznie wyskoczyły naprzód. Chwyciły Joshuę i przycisnęły mu ręce do boków.

Joshua powstrzymał odruch, by przekroczyć.

– Chwila! Co robicie?

Śnieżek skinął głową.

Psy rzuciły Joshuę na ziemię, twarzą do zrytego koleinami traktu.

Kontuzjowane ramię bolało jak wszyscy diabli, ale zmusił się, by nie przekraczać. Jeszcze nie.

Spróbował unieść głowę i spojrzał prosto w twarz samicy. Li-Li? Rozwijała jakieś zawiniątko, w którym miała małe drewniane słoiczki, nożyki z kamienia i żelaza, igły, nić. Jak prymitywny polowy zestaw medyczny. Li-Li miała oczy wilcze, lecz pełne współczucia.

– Czemu…? – zapytał. – Co…?

– Przep-hrraszam…

Sięgnęła mu za plecy i poczuł, jak rozdziera koszulę.

Nawet teraz zmusił się, by nie przekraczać.

Usłyszał głos wyraźnie przestraszonej Jansson.

– Joshua? Przykro mi. Sally mówiła o tobie jako emisariuszu. Musieli to zaplanować. Nie sądziłyśmy, że tak cię potraktują…

Nie usłyszał nic więcej, bo coś jakby ciężka pięść uderzyła go w tył głowy, wbijając twarz w ziemię. Możliwość przekroczenia zniknęła.

Zaczął się ból, ostry i przenikliwy. I Joshua osunął się w ciemność.

ROZDZIAŁ 64

Kiedy się ocknął, siedział na jakimś krześle, pochylony do przodu. Ból niczym gobelin okrywał mu plecy.

Jakaś plama pływała przed nim. Pysk psa… wilka… Wydawał się pełen współczucia. To była Li-Li. Podobnym do palca przedłużeniem łapy uniosła mu powiekę.

– Przep-hrraszam – warknęła cicho i odsunęła się.

Teraz stanęła przed nim Sally.

Za nią rozróżniał kształty pomieszczenia: duża sala, kamienne ściany i podłoga, ponure, bez dekoracji. W powietrzu unosił się mocny odór psów. Byli tu także inni ludzie. I psy.

W głowie mu się powoli przejaśniało… Miał wrażenie, że został czymś odurzony.

– Joshuo, nie przekraczaj.

Z trudem zogniskował na niej wzrok.

– Sally?

– Nie przekraczaj. Cokolwiek zrobisz, nie przekraczaj. Trochę trzeba cię było szukać, ciebie i tego zawodowego Irlandczyka w tej waszej latającej przyczepie kempingowej. Ale widzę, że wskazówka, jaką zostawiłam, wreszcie przebiła się do twojego mózgu.

– Pierścień…

– Tak, pierścień…

– Czemu nagle jest taki ważny?

– Zobaczysz. Przykro mi…

– Przykro? Czemu? I niby dlaczego, u licha, mam nie przekraczać?

Uświadomił sobie, że bełkocze.

Ujęła w dłonie jego twarz i zmusiła, by na nią spojrzał. Spróbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz go dotykała – nie licząc łapania za kark, żeby go wyciągnąć z takiego czy innego nieszczęścia, jak choćby we wraku „Pensylwanii".

– Bo jeśli przekroczysz, zginiesz.

– Moje plecy… – domyślił się.

– Założyli ci rodzaj klamry, Joshuo.

To powiedziała Jansson. Joshua rozejrzał się zmętniałymi oczami. Jansson siedziała na podłodze pod ścianą, a obok stał wielki, zwalisty pies.

– Klamra? – zapytał. – Jak w Korei Północnej? Żelazna klamra w sercu więźniów, więc gdyby przekroczyli…

– Tak. W twoim przypadku to wersja bardziej prymitywna, używana chyba przez rozmaitych watażków w środkowej Azji. Nie opieraj się, Joshuo. Masz umocowane na plecach coś w rodzaju kuszy. To drewno, kamień i ścięgna, ale żelazna zatyczka. Możesz spokojnie chodzić, rozumiesz? Ale jeśli przekroczysz…

– Zatyczka zostaje na miejscu i brzdęk! Kusza strzela, a bełt przebija serce. Zgadza się? Rozumiem.

Zaczął wbijać sobie do głowy krótki przekaz: Nie przekraczaj. Nie przekraczaj.

Pomacał się po piersi. Pod strzępami koszuli znalazł solidny skórzany pas.

– Co mi przeszkadza to rozciąć?

– Po pierwsze, wtedy kusza wystrzeli – wyjaśniła Sally. – A po drugie, przyszyli ci broń do skóry. Jest podtrzymywana przez ten pas na piersi, ale…

– Przyszyli?

– Przep-hrraszam, przep-hrraszam! – zawołała Li-Li. – Hrrozkazy. Masz…

Podała Joshui wyrzeźbiony z drewna kubek, prosty, ale gładki i kształtny. Zawierał letni, pożywny bulion. Joshua wypił z wdzięcznością. Odkrył, że jest głodny i spragniony, więc nie mógł być aż tak ciężko ranny.

– Rozkazy, tak?

– To nie jej wina – zapewniła Jansson. – Myślę, że jest kimś w rodzaju lekarza. Starała się pracować czysto i kompetentnie. Podała ci jakieś środki przeciwbólowe. Gdyby inni się tym zajmowali… Joshuo, strasznie mi przykro. Nie wiedziałam, że chcą tak cię załatwić.

– Pewnie nic nie mogłaś zrobić.

– Miałyśmy plan, mniej więcej. Zanim się zjawiłeś. Próbowałyśmy zaadaptować…

– Starałyśmy się odgadnąć motywację myślących istot innych niż ludzie. Nie spodziewałyśmy się, że tak cię potraktują. Może beagle'e tak właśnie rozumieją dyplomację: trzeba zaatakować ambasadora, jak tylko się pojawi. Jednakże ta klamra to przecież nasza technologia. Ludzie ją wymyślili, żeby kontrolować zachowanie innych ludzi – powiedziała Sally.

Joshua prychnął niechętnie.

– Rozumiem, że mam to przyjąć jako lekcję moralności. Ale ktoś to draństwo sprowadził, tak? I ktoś musiał pokazać tym psom…

– Beagle'om – poprawiła go Sally.

– …jak wyprodukować żelazne elementy.

– To pewnie ja, os-ssobo bez ś-ścieżki…

Joshua rozejrzał się uważniej, bardziej systematycznie. Szereg psów… beagle'i?… stał wyprężony przed jednym ze swoich współplemieńców leżącym na skrawku trawnika, plamie zielonej żywej trawy. Sally stała przy nim, Jansson i Bill siedzieli na podłodze pod ścianą. A w kącie, obok psiego strażnika…

– Finn McCool. Zdarzało ci się wyglądać lepiej.

Nad koboldem psy wyraźnie popracowały. Ledwie mógł prosto usiedzieć. Stracił ciemne okulary. Miał zapuchnięte oko, widoczne sińce na odkrytej piersi, a jedno ucho odgryzione; Joshua widział ślady zębów i prymitywne szwy.

Mimo to McCool się uśmiechnął.

– To był tylko interesss. Powiedzieliś-śśmy beagle'om o was-ss, bez ś-śścieżki. Wasze s-sstatki migają na niebie tego śświata. Niedługo byśście zauważyli beagle'e. Powiedzieliśmy: bądźcie gotowi. Nauczyliś-śśmy ich zszywać przekraczających. Dos-sstaliśmy dobre ceny.

– Ty mi to zrobiłeś?!

Kobold zdołał się roześmiać.

– Nie ja. Ale bym zrobił chętnie, bezz ś-śścieżki.

– *Pogue mahone*, ćwoku – warknął Bill Chambers.

– No więc co się stało z tobą, McCool? Dyskusja o warunkach kontraktu, co?

– Hrrozkazy, znowu – zabrzmiał nowy głos, psi, ale bardziej śpiewny od pozostałych. Kobiecy. – Moje hrrozkazy. Zawsze moje rozkazy.

Joshua odwrócił się w stronę grupy psów przy trawniku. Rozpoznał wysokiego wojownika. Śnieżek wciąż miał ten miotacz promieni, który zwisał mu u batmanowskiego pasa z narzędziami. Miotacz wyglądał jak rekwizyt z filmu fantastycznego z lat pięćdziesiątych, które tak lubił Lobsang, a wisiał na pasie obok prymitywnych narzędzi z metalu i kamienia. Śnieżek stał swobodnie, ale z nieustanną, kompetentną czujnością.

Trzymał straż przy innym beagle'u, samicy, która po psiemu leżała na trawie. To ona mówiła o rozkazach.

Sally przyglądała się Joshui ze współczuciem, z dodatkiem lekkiego rozbawienia jego zapewne widoczną dezorientacją.

– Klasyczny układ Długiej Ziemi, prawda, Joshuo? Spotkanie trzech odmiennych gatunków myślących, właściwie czterech, jeśli doliczyć budowniczych Prostokątów poza sceną. Każdy z nich rozwijał się na innej Ziemi, a teraz doszło do kontaktu. – Skinieniem wskazała samicę beagle'a. – Joshuo, poznaj Petrę. Jest Wnuczką, władczynią tego miasta, czy tego Legowiska albo co, w każdym razie nazywa się ono Oko Łowcy.

– Wnuczka?

– W hierarchii dwa stopnie poniżej Matki, prawdopodobnie. Głównym szefem tego psiego narodu jest Matka, niżej są Córki i Wnuczki…

– Petra?

– Najwyraźniej to ludzki przydomek. Pewnie byś sobie pozrywał struny głosowe, gdybyś próbował wymówić ich oryginalne imiona. Co nie znaczy, że je zdradzają zwykłym prymitywnym ludziom.

– Czyli nie pierwsi się tu pojawiamy.

– Najwyraźniej. Ci przeklęci czesacze trafiają wszędzie. Ale teraz uważaj. Petra tu rządzi.

Joshua zwrócił się do Petry.

– To na twój rozkaz mnie zszyli?

– Powiem otrwa-hrrcie, Joshuo. Czego chce każde z nass? Ty t-hrrolli. Tak? Pokoju.

– Po to przybyłem.

– Ja też – dodała Sally.

– Ba-hrrdzo dobrze. Ale ja nie dbam o was ani o t-hrrolle. Chociaż t-hrrollowa muzyka przyjemna. Dbam o to.

Wyjęła miotacz zza pasa Śnieżka, chwyciła go wąskimi palcami, wymierzyła w głowę Joshuy i nacisnęła to, co w oczywisty sposób było spustem.

Nawet nie mrugnął, choć kątem oka zauważył, że Jansson i Bill drgnęli. Oczywiście, nic się nie stało. W tej grze nie nadszedł jeszcze właściwy moment na jego śmierć – choć podejrzewał, że nadejdzie wkrótce.

– B-hrroń – powiedziała Wnuczka. – Przychodzi od niego. – Wskazała na skulonego, wyszczerzonego kobolda. – Skąd? Ze światów bez zapachu.

– Chodzi jej o wykroczne – mruknęła Sally. – Ci psi zdobywcy nie mogą przekraczać. Dlatego musieli ci wszyć klamrę.

– B-hrroń sp-hrrawi, że Oko Łowcy będzie silnym Legowiskiem. Silniejszym niż w-hrrogie Legowiska.

Wnuczka, pomyślał oszołomiony. Psy rodzą duże mioty. Ta wnuczka królowej musiała mieć wiele rywalek.

– Zrozum, Joshuo – powiedziała Sally. – O ile się orientuję, te psy nie przejmują się nami, przekraczaniem ani światami wykrocznymi. Obchodzą ich własne wojny, własne plany, własne konflikty. My byliśmy tylko środkiem.

– Pewnie bylibyśmy tacy sami.

– To prawda. Natomiast w tej chwili zależy im tylko na broni, żeby mogły te wojny prowadzić.

– Miotacze promieni?

– Ale b-hrroń umie-hrra. – Wnuczka pogardliwie rzuciła na ziemię miotacz, coś w rodzaju pistoletu laserowego. Wskazała kobolda. – Ten wie, gdzie ta b-hrroń jest. Jak zdobyć. Takie kosztują potwo-hrrną cenę, a potem umierają. Dość. Przekonaliśmy go do pomocy.

Musnęła palcami coś, co miała na szyi: kawałek ciała na rzemyku. To było ucho, zrozumiał nagle Joshua. Ucho kobolda. A obok, na drugim rzemieniu – przyjrzał się dokładniej – pierścień całkiem podobny do jego pierścienia z Prostokątów.

– Ale kobold nie ma dla nass b-hrroni.

– To jes-sst kłopot – syknął kobold. W nerwowym uśmiechu ukazywał zakrwawione zęby; wzrokiem przebiegał po twarzach ludzi.

– Na pewno jest – zgodził się Joshua.

Jeszcze nie zorientował się w sytuacji, nie w pełni. Ale te pierścienie, pochodzące z odległego o kilka kroków świata, najwyraźniej miały kluczowe znaczenie. Co zauważyła Sally. I zabierając jego pierścień, starała się uzyskać przewagę.

– Układ jest taki – powiedziała teraz szybko. – Beagle'e chcą więcej miotaczy promieni. Miotacze są pochowane w skrytkach na Prostokątach.

– Gdzie są? W czym?

Sally zgrzytnęła zębami.

– Czy to odpowiednia chwila na wykład z archeologii? Posłuchaj. – Mówiła bardzo szybko. Pewnie miała nadzieję, uznał Joshua, że beagle'e i kobold nie zrozumieją dokładnie.

– Skrytki, które kobold obrobił, zanim wszystko się wyczerpało. Zamknięte. Żeby dotrzeć

do nowych, potrzebny inny klucz.

Umysł Joshuy, działający wyjątkowo elastycznie – może wspomagany przez stale obecny ból – dokonał skojarzenia.

– Klucz to ten pierścień, który znaleźliśmy w jaskini kości. Ten, który zachowałem, a ty zabrałaś ze sterowca…

– Ten pierścień, który mam ukryty przy sobie – wymruczała Sally. – Ale oni nie wiedzą, że go mam.

– Nie dziwię się. A ten pierścień, który nosi Wnuczka?

– Otwiera już wyczerpane składy broni.

– McCool potrzebuje nowego klucza. On albo jego kumple musieli dokładnie przeczesywać Prostokąty. Jakim cudem nie znaleźli naszego pierścienia?

– Na palcu martwego od dawna szkieletu? Może jakieś tabu. Albo instynkt. On nie jest człowiekiem, Joshuo. I nie prowadzi poszukiwań w taki sposób jak człowiek.

– No dobra. Co teraz?

– Dogadaliśmy się. Beagle'e nie mogą przekraczać, więc sami przekraczamy do Prostokątów, to znaczy ja, Jansson i kobold. On nam pokazuje, gdzie jest skład, my go otwieramy pierścieniem i wracamy z elegancko naładowanymi miotaczami. Taki był plan. Ale tak naprawdę grałam na czas, Joshuo. Już od miesiąca. Czas, gdy będę musiała zrezygnować z naszej jedynej przewagi. Gdy będę musiała oddać broń wysokoenergetyczną w ręce istot myślących, które dopiero poznałam. Miałam nadzieję, że coś się wydarzy, że znajdę jakieś wyjście. Ty byłeś dziką kartą, Joshuo. Kiedy się zjawisz… o ile się zjawisz… miałam nadzieję, że spróbujemy blefować. Wyrwiemy się stąd, przedostaniemy do trolli. Ale zamiast tego…

– Jestem tutaj i mam kuszę przyszytą do pleców. Przykro mi, że cię rozczarowałem.

– Nie przepraszaj – odparła Sally bez cienia ironii. – Nie twoja wina. Znowu nie udało mi się prawidłowo odgadnąć nieludzkich motywacji. – Westchnęła. – Posłuchaj, pogadałyśmy, jak byłeś nieprzytomny. I zawarłyśmy umowę. Myślę, że musimy im oddać tę nieszczęsną broń. O ile ona istnieje, o ile zdołamy ją tu przenieść. Układ jest taki, że jeśli wrócimy z miotaczami, ty będziesz mógł porozmawiać z trollami. Ale ty stałeś się również zakładnikiem i masz zagwarantować, że nie przekroczymy i nie znikniemy.

– Może to właśnie powinnaś zrobić? Przekroczyć i zniknąć. Zabrać ze sobą Jansson i Billa…

Westchnęła znowu, z irytacją.

– Zawsze byłeś idiotą, Valienté. Jeśli tu zostaniesz, ja nie będę się specjalnie przejmować, ale Helen mnie zabije. Poza tym na dłuższą metę nic to nie da. Musimy jakoś rozwiązać sytuację z ukrywającymi się tutaj trollami. I jakoś ułożyć relacje ludzkości z beagle'ami. A zatem wrócimy, a potem, kiedy każdy już dostanie to, czego chciał…

Joshua odwrócił się do Petry. Plecy bolały go przy każdym ruchu.

– No właśnie. Co potem, ehm, Wnuczko Petro? Będziemy mogli odejść?

W uśmiechu odsłoniła lśniące zęby. Był to niemal ludzki wyraz, choć przejmujący dreszczem.

– Jeśli nadal będziesz żyw-wy. I może będziesz żył dal-lej, jeśli pokażesz hono-hrr…

Joshua próbował zrozumieć.

– Pamiętaj, to nie są ludzie – odezwał się Bill. – „Honor" oznaczał coś całkiem innego dla tego ćwokowatego kobolda, zgadza się? Ciekawe, co znaczy dla gatunku myślącego, pochodzącego od polujących stadnie drapieżników.

– Mam przeczucie, że chyba się przekonam – stwierdził z lękiem Joshua. – Ale najpierw najważniejsze.

Wstał ostrożnie, lecz plecy i tak zapłonęły bólem. Zachwiał się i Sally chwyciła go za ramiona.

– Gdzie są trolle? – zapytał.

ROZDZIAŁ 65

I tak, by wypełnić swoją część umowy, Jansson, Sally i kobold przekroczyli z powrotem do świata Prostokątów.

Mimo dużej dawki środków przeciwko nudnościom Jansson wciąż odbierała kolejne kroki jak ciosy w żołądek. Kiedy wreszcie stanęła na Prostokątach, z jękiem zgięła się wpół i upadła.

Sally spróbowała rozmasować jej kark.

– W porządku?

– Nigdy nie robi się łatwiej. Od pierwszego razu, kiedy przekroczyłam.

– W Dniu Przekroczenia, wiem. Z salonu mojego ojca, używając krokera, który skonstruował i zostawił.

Zwinięta w kłębek Jansson ze złością uderzyła pięścią o ziemię.

– To nie tylko przekraczanie. Ta nieszczęsna choroba we wszystkim mi przeszkadza.

– Mogę to sobie wyobrazić.

Odczekali kilka minut, aż zbierze siły i wstanie. Sally była poważna, cierpliwa. Kobold stał obok, wyraźnie cierpiąc od ran. Ale pozę przyjął dziwnie podobną do Sally: przechylał głowę, jakby udawał współczucie, przebiegał wzrokiem od jednej twarzy do drugiej i wyglądał, jakby szukał aprobaty. Jansson odwróciła się od niego z niechęcią.

Wreszcie zdołała wstać i rozejrzała się. Nad ich głowami wisiał sterowiec, „Shillelagh" Joshuy, wielki i surowy, dodający odwagi. Jansson odetchnęła głęboko. Świat pachniał suchością, rdzawym kamieniem. Ale na szczęście nie pachniał psem.

Sally dotknęła jej ramienia.

– Wiesz co? Ja muszę wrócić z tymi gadzimi miotaczami, z powodu Joshuy. Pod warunkiem że w ogóle je znajdziemy. Ale beagle'e tutaj cię nie dostaną, nie umieją przekraczać. Możesz zwyczajnie odejść, Jansson. Dostać się na sterowiec i…

Jansson uśmiechnęła się ze znużeniem.

– I zostawić Joshuę? Sally, znam go od czasów, kiedy był chłopcem. Jest, kim jest, jest tam, gdzie jest, częściowo dlatego, że od samego początku pojawiłam się w jego życiu. Popychałam go. Nie zostawię go teraz. – Spojrzała na kobolda. – Chociaż muszę przyznać, że nie rozumiem, czemu ten jeszcze się nie zwinął. Czemu pozwoliłeś, żeby cię pobiły?

– Narrkotyk – odparł krótko kobold. – Zatruły biednego Finna McCoola. Nie mógł przekroczyć.

– Ale przekroczyłeś z nami – przypomniała Jansson. – Narkotyk przestał działać. A jednak wciąż tu jesteś.

Sally uśmiechnęła się groźnie w sposób, który nieprzyjemnie przypominał Jansson beagle'e, ludzi-wilki.

– Och, on wie, że gdyby uciekł, wytropię go. Nie zdoła się ukryć. Prawda, mały dupku? Gdziekolwiek byś uciekł, znajdę cię i zabiję.

Kobold wzruszył ramionami. I tak już wyglądał na bardzo zdenerwowanego.

– Biedny Finn McCool – powtórzył.

Upał i suchość wysysały z Jansson energię.

– Może weźmy się do roboty, co?

– Dobry pomysł. – Sally spojrzała w głąb wąwozu, na masywną kamienną budowlę. – Niezbyt dla nas zdrowe tak się tutaj kręcić. – Nagle w jej dłoni pojawił się pierścień. – Tego potrzebujesz, Finnie McCool?

W świecie beagle'i trolle zebrały się na brzegu rzeki. Joshua i Bill szli w ich stronę. Bill niósł w plecaku patentowany zestaw translacyjny Lobsanga.

Joshua z każdym krokiem czuł ostry i niecichnący ból. Dolna część pleców wydawała się gorąca i wilgotna; zastanawiał się, czy pod ciężarem tej kuszy nie puszczają szwy. Jeśli tak, to upływ krwi może go zabić powoli, nawet jeśli nie przekroczy i nie da tej morderczej zabawce

szansy, by zabiła go szybko. Zraniony niedawno bark bolał także – dodatkowa nuta w symfonii cierpień od strony pleców.

Starał się skupić uwagę na otoczeniu. Rzeka była szeroka, szybka, ale spokojna, a na brzegach otaczały ją pola i rzadkie kępy drzew. Z pól schodziły do wodopojów te dziwne hodowlane zwierzęta beagle'i; piły wodę, opuszczając niekształtne łby.

Trolle też zebrały się nad brzegiem, gdzie teren przecinały kanały nawadniające, blisko Oka Łowcy. Jak zawsze w dużych grupach, cały czas poruszały się po Długiej Ziemi – na obrzeżach stada zwiadowcy i myśliwi bezustannie znikali i powracali jak duchy.

Cała grupa liczyła setki osobników. Joshua widział, że przebywają tu od dłuższego czasu; grunt był zdeptany i błotnisty, a w powietrzu unosił się niemożliwy do pomylenia zapach. Takich grup było więcej, jak zauważył, rozrzuconych wzdłuż brzegów po obu stronach, coraz dalej od miasta. Nieskończone długie wołanie unosiło się nad nimi niczym obłok ulotnych wspomnień.

Z całą pewnością trolle pozostały jeszcze na Długiej Ziemi; nikt nie miał pojęcia, ile ich jest. Ale naprawdę mogło się wydawać, że zbierają się tutaj, że tu właśnie znajduje się ośrodek ciążenia dla populacji trolli.

A dla Joshuy to stado było osią wszystkiego. Tu bowiem trafiła Mary, uciekinierka spod Szczeliny, i jej szczeniak Ham, niemożliwy do pomylenia w resztkach srebrzystego skafandra, w jaki go tam ubrano.

Kiedy Joshua i Bill się zbliżyli, trolle nie umilkły, ale ich pieśń wyraźnie przycichła. Ham ssał kciuk i obserwował ich, szeroko otwierając oczy, wyraźnie zaciekawiony, jak wszystkie młode ssaki.

Bill zrzucił z ramion i wypakował plecak. Wewnątrz był czarny tablet o powierzchni ponad metra kwadratowego oraz składany statyw. Bill ustawił tablet i skierował w stronę trolli.

– To wszystko? – zapytał Joshua. – Żadnego włącznika, żadnego wczytywania systemu?

Bill wzruszył ramionami.

– Zabawka z Korporacji Blacka. Nawiasem mówiąc, niepodobna do tych trollowych gwizdków, o których opowiadała Sally; no, tych trąbek. To chyba coś całkiem nowego. Wiesz już, co chcesz powiedzieć? Jak chcesz je przekonać, że ludzkość jednak kocha trolle?

Joshua świadomie nie myślał o tym wcześniej. Nie był dobrym mówcą i tracił głowę, nawet kiedy miał prowadzić zebranie mieszkańców w Diabli Wiedzą Gdzie.

– Pomyślałem, że coś może wymyślę…

Bill delikatnie poklepał go po ramieniu.

– Powodzenia.

Joshua stanął przed trollami wyprostowany, starając się ignorować fale bólu na plecach. Wiedział, że na niego patrzą – setki par ciemnych, niemożliwych do odczytania oczu wspieranych, jak sobie przypomniał, przez setki par owłosionych ramion i pięści jak młoty parowe. On natomiast stał tu jako przedstawiciel ludzkości, która na milionach światów traktowała ich gatunek jak prymitywne zwierzęta. Co, u diabła, miał im powiedzieć?

Rozłożył ręce.

– Dobry wieczór…

– Właściwie jest jeszcze dzień – mruknął Bill.

– Pewnie się zastanawiacie, czemu zebrałem tutaj was wszystkich…

– Świetnie, zacznij od dowcipu.

Trolle czekały nieruchomo.

– No, no… Trudna publiczność.

– Zamknij się, Bill.

– Ja nic nie mówię.

Joshua się obejrzał. Obok niego stał ktoś jeszcze – wysoki, wyprostowany, nieruchomy, z ogoloną głową, w pomarańczowej szacie i z miotłą w prawej ręce.

– Lobsang…

– Nie miałem zamiaru spychać cię ze sceny, Joshuo – zapewnił. – Ale pomyślałem, że przyda ci się wsparcie.

– Nie ma czegoś takiego jak zbędny backup – mruknął Joshua.

Lobsang uśmiechnął się, zamigotał i na moment zmienił w chmurę kwadratowych pikseli – poprzez jego ciało Joshua widział zieleń łąki. Potem znowu okrzepł. A zatem był hologramem wyświetlanym z tabletu.

Zrobił krok naprzód i spojrzał na tablet.

– Dawajcie, chłopaki.

Potężny chór zabrzmiał z translatora i wypełnił powietrze – dudniący, monotonny śpiew tysiąca głosów. W uszach Joshuy brzmiały nie całkiem jak trollowe i nie całkiem jak ludzkie, ale jak połączenie obu.

Trolle wyglądały na zdumione. Przestały się czochrać i wszystkie twarze skierowały się w stronę Lobsanga. Joshua słyszał wyraźnie, jak pieśń trolli powtarza akordy z translatora.

Lobsang uniósł ręce, mocno ściskając miotłę.

– Przyjaciele! Znacie mnie. Jestem Lobsang, którego nazywacie Mądrym. To jest Joshua. Nazywają go Wędrowcem. Tak, to Wędrowiec! Daleko dotarliśmy, żeby do was przemówić…

Jego słowom towarzyszyły znaki rudymentarnego języka migowego, a jego głos rozbrzmiewał ponad chórem z tabletu: wysoki, wyraźny, jak dźwięk fanfary.

– Akurat kiedy myślałem, że moje życie nie może już być dziwniejsze… – mruknął Joshua.

– On pewnie może dawać takie występy na całym świecie – stwierdził Bill. – Przemawiać do tylu trolli, ile tylko znajdzie. Hologram przecież się nie zmęczy. Lobsang: trasa światowa 2040. Na szczęście my nie musimy słuchać tego za każdym razem…

Sally wręczyła Finnowi pierścień.

– Pokaż nam.

– Łatwo.

Ujął pierścień między palcem wskazującym a kciukiem, ułożył na otwartej dłoni, zakręcił…

Wirujący pierścień rozmył się od prędkości, uniósł w powietrze, niczym jasnoniebieski szerszeń przemknął przy twarzy Jansson i odfrunął prosto do kamiennej budowli. Zakopał się w ziemi przy ścianie, wirując jak końcówka świdra i rozrzucając na boki fontanny piasku. Aż zniknął.

Zapadła cisza.

Sally zirytowała się wyraźnie.

– Co teraz? – spytała, zwracając się do kobolda.

– Zzaczekaj.

Jansson uśmiechnęła się do niej.

– W porządku?

Sally pokręciła głową.

– Po prostu irytują mnie takie pokazy. Numery z magicznym pierścieniem. Też mi zabawa. Znaczy, rozumiesz, mogę sobie wyobrazić, jak to działa: miniaturowe akcelerometry, żeby wykryć obrót, który uruchamia mechanizm, jakiś odpowiednik GPS, żeby wiedział, dokąd ma lecieć, jakiś rodzaj napędu… Magnetyczny? Może nawet mikrorakiety? Zwykła głupia sztuczka, żeby zaimponować naiwnym, łatwo odróżnialna od magii…

Grunt zadrżał im pod stopami.

Czując lekkie mdłości, Jansson cofnęła się pospiesznie. Wyrzucony spod ściany budowli piasek w suchym powietrzu opadał szybko. Coś podobnego do jaszczurki przebiegło po dnie wąwozu, szukając schronienia pod stosem kamieni. Wyżej poderwały się do lotu jakieś ptaki, jakby myszołowy, skrzecząc głośno.

Coś zadudniło zgrzytliwie.

Kawał płaskiego dna wąwozu osunął się i zniknął pod ziemią, odsłaniając…

Drabinę. Szczeble wycięte w skale.

– Ha! – Sally klasnęła w dłonie. – Wiedziałam! Naturalna koncentracja uranu, akurat!

Kobold podszedł do Jansson.

– Czas-ss.

– Czas na co?

– Nie. – Stuknął palcem w przegub. – Czas-ss.

Zdziwiona, podała mu swój stary policyjny zegarek. Podniósł go do słońca i przyjrzał się tarczy.

– Os-ssiem minut.

– Wiedziałam – powtórzyła Sally, patrząc na otwór w ziemi. – Mówiłam, jak byliśmy tu pierwszy raz. W tej piramidzie albo pod nią jest stos atomowy. Stary. Produkt dawnej, zarzuconej technologii, ale wciąż gorący. Tak stary, że późniejsze pokolenia, które dawno zapomniały o osiągnięciach przodków, przybywały tutaj, ściągane przez dziwne zjawiska wokół tej starożytnej świątyni. I to ich w końcu zabiło. Oczywiście, ta historia powinna mieć takie zakończenie. Wszystkie zaginione cywilizacje zostawiają po sobie podziemne skarbce z niezwykłą bronią. I zgaduję, że każdy klucz działa tylko raz…

Policyjny instynkt podpowiadał Jansson, że to nie takie proste jak ograny schemat filmowy. Wszystko tutaj miało pewnie miliony lat. Jaki produkt techniki może tyle przetrwać? I po co ktoś miałby na tak długo budować magazyny? Dla kogo przeznaczone? Jedyne alternatywne wyjaśnienie było takie, że ktoś te zapasy uzupełnia. Ale kto, w jaki sposób, po co?

Chwila nie była odpowiednia na snucie domysłów. Kobold wciąż wpatrywał się w jej zegarek, jak karykatura kontrolera czasu.

– Osiem minut do czego, małpko? – zapytała go Jansson.

– Aż grobowiec znowu się zamknie. – Patrzył na zegarek, ale cyfry wyraźnie stanowiły dla niego tajemnicę. – Już mniej…

– Ja pójdę – zdecydowała Sally.

– Nie. – Jansson chwyciła ją za rękę. – Sama mówiłaś, że tam jest promieniowanie.

– Tak, ale…

– Ja już jestem chora. Pozwól.

– Monico…

– Poważnie. Sądzę, że jestem to winna Joshui. – I dodała stanowczo, oficjalnym tonem: – Mam pokazać ci odznakę?

– No to idź! Idź już! – Sally ją popchnęła.

Jansson miała wrażenie, że męczy ją samo przejście po płaskim dnie wąwozu do otworu w ziemi. Czy sobie poradzi? A jeśli utknie na dole, kiedy minie te osiem minut kobolda? Cóż, nie ma rady. Trzeba działać.

Łatwo było schodzić po wyciętych w ścianie stopniach z wygodnymi, szerokimi chwytami i podpórkami na stopy. Powrót może być trudniejszy…

– Ile czasu, Sally?

– Siedem minut. Mniej. Nie wiem… Prędzej, ruszaj się, Jansson!

– Robię, co mogę.

Na dnie szybu stanęła w plamie wpadającego z góry światła. W ciemność prowadził niski korytarz, za niski, żeby mogła się w nim wyprostować – jedyna możliwa droga.

W kieszeni nosiła małą latarkę, nie większą od kciuka, bez żadnych części żelaznych, więc działającą po przekroczeniu. Była kiedyś policjantką – zawsze miała przy sobie latarkę. Włączyła ją teraz i za krążkiem światła ruszyła w ciemność. Joshua też zawsze miał latarkę, przypomniała sobie, nawet jako trzynastolatek, w Dniu Przekroczenia. Taki już był.

To dla ciebie, Joshuo, powtarzała sobie. Do diabła z trollami i beagle'ami. Dla ciebie…

Ściany były z niemalowanego kamienia – żadnych znaków, żadnych symboli. Nie były też gładkie, ale prążkowane w nierówne, zmienne desenie. Ostrożnie ich dotknęła, a idąc, przesuwała po nich dłonią. Zaczęła wyczuwać w nich jakiś sens, jak wtedy, kiedy uczestniczyła w policyjnym kursie brajla. Czy było to pismo myślących gadów, które zbudowały to miejsce? Dotykowe, nie wzrokowe?

– Jansson! Może ruszaj się tam trochę!

Doszła do rozwidlenia. Niewiarygodne. Może te prążki podawały kierunek: TĘDY DO

MAGICZNYCH MIOTACZY PROMIENI? Ale dla niej były bezużyteczne.

Losowo wybrała lewy korytarz, pochylona, by nie zahaczyć głową o niski strop. Znów rozwidlenie! Znowu w lewo, co za różnica. Ale trzeba pamiętać drogę powrotną, koniecznie pamiętać… W gładkich kamiennych ścianach wykuto tu coś w rodzaju półek. Widziała na nich dzbanki, skrzynki, jakieś stosy glinianych tabliczek pokrytych wypukłościami. Czyżby zapisy? Dalej inne przedmioty, urządzenia, których przeznaczenia nawet się nie domyślała…

Kolejne rozwidlenie. Wybrała prawą stronę, znów przypadkowo. Ale teraz coś błysnęło rubinowo w świetle latarki.

Stojaki, rzędy stojaków z miotaczami.

Lobsang przeprosił za to, jak ludzie – niektórzy ludzie – traktowali trolle. Mówił o grupach nacisku przekonujących rząd amerykański, by przyznać trollom prawa człowieka, przynajmniej w granicach Egidy USA, w długim cieniu rzucanym przez Amerykę na wykroczne Ziemie. To tylko początek; w żaden sposób nie można zagwarantować, że każdy z ludzi, wszędzie, będzie się zachowywał przyzwoicie. Ale jednak jakiś początek…

– Może to najlepsze, co możemy im ofiarować – odezwał się Bill. Mówił głośno, żeby Joshua go usłyszał. – Coś niby symbolicznego, a jednak realnego. Jak wtedy, kiedy na początku dziewiętnastego wieku imperium brytyjskie oficjalnie zniosło niewolnictwo. Nie zlikwidowali niewolnictwa od razu, ale zaczęli przemianę.

– Brzmi jak Martin Luther King z niebiańskimi chórami. Typowy Lobsang.

– Zastanawiam się, ile zrozumieją z tych abstrakcji.

Joshua wzruszył ramionami.

– Ich zbiorowa inteligencja różni się od naszej. Może wystarczy, jeśli przebije się kluczowy przekaz: dajcie nam drugą szansę.

– A jeśli chodzi o przekazywanie beagle'om komiksowych miotaczy? Jaka w tym moralność?

– Wiesz, to nie są nasze miotacze – odparł Joshua. – I nie my pierwsi je tu dostarczyliśmy. Jeśli przeżyjemy, zjawią się inne grupy, nawiążą normalny kontakt. Wtedy możemy z beagle'ami pogadać o pokoju, miłości i zrozumieniu.

– Jasne, możemy. Kiedy już wszyscy się zaszczepimy na wściekliznę. A myślisz, że tutaj się uda? Cały ten obłąkany występ Lobsanga? I co potem?

Dla Joshuy całe jego życie i cała przyszłość były ciągłą niespodzianką…

– Nie wiadomo, co przyniesie jutro.

Ktoś klepnął go w ramię. Odwrócił się i spojrzał w zimne oczy Śnieżka.

– Mowa z t-hrrollami. Dobrze idzie?

– Chyba tak.

– Dobrze. Twoja p-hrraca skończona?

– Pewnie tak.

– Joshua…

– Tak?

– Uciekaj!

Skalny właz wsunął się na miejsce i poza kawałkiem poruszonego gruntu nie pozostał żaden ślad po zejściu w głąb ziemi.

Jedynie stos wyniesionych z dołu komiksowych miotaczy. Aha, i jeszcze pierścień wypluty skądś i leżący teraz na piasku.

Jansson siedziała na ziemi i trzęsła się mimo upału.

– Mamy pis-sstolety – syknął McCool. – Wracajcie do beagle'i. I pożegnajc-cie Jos-sshuę.

Sally chwyciła pierścień i zwróciła się do kobolda.

– Niby co to ma znaczyć, śmieciu?

Cofnął się, obronnym gestem unosząc obie dłonie.

– Umowa prawie s-sskończona. Miotacze. Trolle. Teraz zapłata. Wnuczka honoruje Jos-sshuę. Wy mu mówicie do widzenia.

Sally obejrzała się na Jansson.

– Masz pojęcie, o czym on mówi? Bo wydaje mi się, że o niczym dobrym dla Joshuy.

– Kultura gangów – szepnęła wyczerpana Jansson. – Honor wojownika. Chce mu dać zaszczyt dobrej śmierci. Może o to chodzi.

– Szlag! Więc musimy mu pomóc. – Rozejrzała się. – Co mamy? Myśleć, myśleć… – Wrzuciła pierścień do kieszeni i wsunęła pod kamizelkę jeden z miotaczy. – Co jeszcze? Ciebie, Mały Joe.

Kobold się przygarbił.

– Co? Co?

– Masz swojego walkmana?

– Kamień, co ś-śpiewa?

– Daj go.

– Ale… Ale… jesst m-mój! – zawołał tonem krzywdzonego dziecka.

Załapała go za przegub, żeby nie mógł bez niej przekroczyć.

– Albo to, albo twoje lewe jądro. Dawaj! A teraz wracamy. Przygotuj się do przekroczenia, Jansson…

ROZDZIAŁ 66

Joshua odsuwał się od Śnieżka i od Billa, który pakował zestaw translacyjny. Instynkt kierował go ku brzegowi, w stronę płynącej wody.

Jak, u diabła, powinien się teraz zachować? I tak już był ledwie przytomny. Aparat na plecach sprawiał wrażenie wielkiego i złośliwego kraba, który z każdym krokiem głębiej zatapia kleszcze w jego ciele. Może środki przeciwbólowe przestawały działać…

Śnieżek podążał za nim. Nie poruszał się tak szybko jak Joshua, więc odległość między nimi rosła, jednak szedł równym, rytmicznym, nieznającym zmęczenia krokiem. Po chwili opadł na cztery łapy i stał się tym bardziej podobny do wilka. Wielkiego wilka z wielkim mózgiem i z bronią.

Joshua zauważył, że trolle przyglądają im się z wyraźnym zaciekawieniem. Żaden nie interweniował. Inne beagle'e także patrzyły: Li-Li, zjadliwy Brian… Pojawiały się kolejne, wojownicy, pewnie żeby obejrzeć przedstawienie.

Wtem beagle'e zawyły głosem polującego stada.

– No dalej, Joshuo-hrr – warknął Śnieżek. – To zabawa.

– Wypchaj się, Krypto.

– To hono-hrr dla ciebie. P-hrrezent od Wnuczki. Życie tutaj tanie.

– Duże mioty?

– Wielu się rodzi, wszyscy umie-hrrają. Umrzeć dobrze to żyć dobrze.

– To wasza kultura. Nie moja.

– Głowa wysoko na ścianie. Hono-hrr miejsca.

– Czyja głowa?

– Twoja.

– Dzięki. – Joshua, godząc się z nieuniknionym, skręcił i ruszył truchtem równolegle do brzegu. – Jak mogę wygrać?

– Umrzeć dobr-rze…

– Jakieś inne możliwości?

– Moja głowa na ścianie… G-hrraj uczciwie.

– Co?

– Ja g-hrram uczciwie. – Beagle zatrzymał się i znieruchomiał, zamykając oczy. – Biegnij, człow-wieku.

Joshua nie wahał się dłużej. Pobiegł. Starał się myśleć jak wilk, jak pies… Ale przemykały mu przez głowę różne schematyczne sceny z filmów, w których wilk ścigał człowieka.

Co tam, do diabła… Skoczył do rzeki.

Chociaż świat był ogólnie gorący i pustynny, woda okazała się zaskakująco zimna. Prąd poniósł go szybko. Obciążony ubraniem, walczył, by utrzymać głowę nad powierzchnią. Rozważył, czy nie zrzucić butów, ale pomyślał, że będzie potem biegł boso, i zdecydował się je zatrzymać.

Dopóki nie utonie, plan wydawał się całkiem dobry. Żeby pies zgubił trop, jak na filmach. Ale w zimnej wodzie ta zabójcza zabawka na plecach sprawiała coraz ostrzejszy ból. I zdawało mu się, że mówi do niego: Zawsze możesz przekroczyć i zakończyć wszystko w mgnieniu oka. Strzała w serce… czy to naprawdę złe wyjście? Chyba lepsze niż gardło rozerwane przez tę bestię…

Ale jeszcze nie umarł.

Rzeka szybko zniosła go poza obszary zamieszkane, poza granicę pól, na pustkowie. Ściągnęli go tu nieprzytomnego, więc nie miał okazji się rozejrzeć. Najwyraźniej Oko Łowcy, miasto Legowiska Wnuczki Petry, nie było duże. Musi znaleźć jakąś kryjówkę, zanim dopadnie go Śnieżek…

– Uważaj, hrr…

Głos dobiegł z przodu. Joshua z trudem uniósł głowę nad wodą – i zobaczył Śnieżka

siedzącego na skale, jakby czekał na karmienie. Beagle patrzył spokojnie, jak nadpływa jego ofiara.

– Na co uważać?! – krzyknął Joshua.

Śnieżek spojrzał w dół rzeki.

– Kata-hrrakty.

Niesiony prądem Joshua przemknął obok skały Śnieżka, przez niski wodospad i na katarakty. Odbijał się od jednego głazu do drugiego, tu coś trafiło go w nerki, tam walnęło w pierś… Wirował między skałami jak kawał drewna. Zmusił się, żeby płynąć z wartkim, burzliwym nurtem, żeby rozluźnić mięśnie i chronić głowę. Jednak za każdym razem, kiedy aparatura na plecach o coś zaczepiała, ból był potworny.

A potem znalazł się na spokojnych wodach, wypluty jak pestka pomarańczy z dziecięcych warg. Obejrzał się, ale nie zauważył nawet śladu Śnieżka. Może zyskał jakąś przewagę.

W poprzek koryta leżało zwalone drzewo. Z wielkim wysiłkiem przepłynął w tamtą stronę, chwycił gałąź i wyciągnął się z wody. Po chwili był już na żwirowym brzegu. Usiadł, by chronić plecy, i dyszał. Wdech, drugi, trzeci…

Dookoła nie było nikogo. Nie było Śnieżka. Ale teraz, kiedy się nie ruszał, tym mocniej odczuwał ból pleców, rwący, ostry, szarpiący… Co gorsza, dolna część pleców wydawała się śliska, a wilgotny żwir na brzegu był poplamiony czerwienią krwi…

Już jako trzynastolatek Joshua Valienté samotnie podróżował po Długiej Ziemi. Bywał w trudnych sytuacjach, lecz dotąd jakoś z nich wychodził. I nie było powodów, żeby nie mógł wyjść także z obecnej.

...Zresztą zawsze możesz przekroczyć, przejść pod inne słońce, a wszystko skończy się w mgnieniu oka…

Jeszcze nie. Myśl z wyprzedzeniem… Psy to węch, zgadza się?

Szarpnął koszulę – i tak była już w strzępach, więc łatwo się rozpadła. Połowę wrzucił do wody; spłynęła z prądem. Drugą zawiesił na drzewie, które ocaliło mu życie. Potem stanął, rozejrzał się i poczłapał w dół rzeki. Trzymał się blisko brzegu, ale w wodzie.

– Niezła p-hrróba.

Śnieżek był tuż przed nim.

Joshua skoczył w lewo, w stronę lądu. Pobiegł po miękkim gruncie podobnym do torfowiska, nie po trawie, ale czymś podobnym, do zagajnika, który wyglądał jak połamany uderzeniem pioruna. Zanurkował w cień wielkiego leżącego pnia. Wielki beagle przesunął się cicho w polu widzenia.

Nagle z daleka dobiegł ludzki głos, męski, śpiewający rytmiczną i smutną piosenkę o pamiętaniu Waltera… Śnieżek odbiegł, jakby ten głos wyzwolił w nim jakiś odruch.

Joshua wiedział, że zyskał najwyżej dziesięć sekund. Nie warto uciekać.

Wyczołgał się spod pnia. Czuł ostry ból pleców i ściekającą po skórze strużkę krwi. Rozejrzał się, podniósł kilka odłamanych gałęzi, sprawdził je… Ta była gruba i solidna, ale za długa, więc przełamał ją na porośniętej mchem kłodzie.

Zdobył broń.

Ciche warknięcie.

Odwrócił się. Śnieżek trzymał w pysku pogryzione resztki walkmana Finna McCoola. Wypluł je na ziemię.

Bez chwili wahania Joshua zamachnął się i z całej siły uderzył gałęzią. Trafił w mocną czaszkę beagle'a. Odniósł wrażenie, że próbuje rozbić głowę marmurowemu posągowi. Gałąź, a potem ręce zawibrowały od ciosu i zranione ramię zabolało jak diabli. Ale beagle zatoczył się, omal nie upadł.

Joshua dostrzegł noże, kamienne i żelazne, wiszące u pasa Śnieżka. Jedyna szansa… Skoczył naprzód, próbując sięgnąć palcami broni…

Śnieżek wyprostował się nagle, niemal z gracją, niemal delikatnie, i zwyczajnie rzucił go na ziemię.

Joshua leżał na plecach, a aparat z kuszą wbijał mu się boleśnie w kręgosłup. Człowiek-wilk stał nad nim spokojnie na czterech łapach. Pochylał wielką głowę i patrzył.

Zapach mięsa w oddechu. Przez moment widok merdającego ogona.

Śnieżek polizał mu twarz.

– To nie będzie bolało.

Akurat, nie będzie… Joshua przygotował się do przekroczenia. Wolał skończyć to szybko i czysto.

Ale to nie był głos Śnieżka. W nagłym przypływie nadziei Joshua spojrzał w bok.

Nie człowiek. Inny pies: Li-Li.

– Wnuczka chce t-hrrofeum – powiedziała. – Ty chcesz żyć. Wszyscy mogą wyg-hrrać.

– Powiem Wnuczce, że wyg-hrryzłem ci twarz – wysapał Śnieżek. – Głowa się nie nada na t-hrrofeum.

– Nie będzie zadowolona – stwierdził zdyszany Joshua.

– Dlatego dam jej inne t-hrrofeum…

– Jakie inne trofeum?

– Nie ruszaj się…

Li-Li schyliła się i chwyciła go zębami za lewy przegub.

Kiedy potężne szczęki się zamknęły, przegryzając skórę, ścięgna, mięśnie i kości, Joshua zaczął krzyczeć.

Ale nie przekroczył.

ROZDZIAŁ 67

Geograficznie Walhalla leżała niedaleko wybrzeża śródlądowego oceanu tej dalekiej Ameryki, na Ziemi Jeden Koma Cztery Miliona Plus Trzynaście (zastosowano korektę pijackiego błędu numeracji, jak z powagą poinformował Maggie chorąży Toby Fox). Sterowce operacji Syn Marnotrawny przybyły na ten świat około południa słonecznego czerwcowego dnia i zawisły na niebie tak czystym, jak efekt specjalny w grze komputerowej.

Admirał Davidson urządził odprawę dla swoich dowódców. Mieli potwierdzić suwerenność Stanów Zjednoczonych nad buntownikami, wyjaśnił, ale oczekuje raczej demonstracji dobrej woli, nie strzelaniny.

Jego plan przewidywał, że oddział piechoty morskiej będzie towarzyszył grupie starszych oficerów, wydelegowanych przez dowódców każdego okrętu, w marszu na ratusz. Ma to być pokojowy przemarsz, pokaz przyjaznych zamiarów. Jednakże, dodał, marines będą uzbrojeni.

Potem Maggie dowiedziała się, że kierować całą paradą ma kapitan Cutler z „Lincolna", ten idiota, który groził bronią Carlowi. Postanowiła więc samą siebie wyznaczyć do udziału w marszu.

W punkcie zrzutu uformowali szyk – łącznie pięćdziesięciu ludzi – i ruszyli przez ulice Walhalli, miasta na Ziemi Zachodniej milion z kawałkiem, symbolicznej twierdzy buntowników z Długiej Ziemi. Na rozkaz admirała Davidsona marines trzymali broń na widoku, ale zabezpieczoną… Tymczasem bezgłośne sterowce dryfowały w górze – groźne i milczące, pełne czujnych oczu, gotowe do działania jako stanowiska dowodzenia, ale – wszyscy mieli nadzieję – nie jako platformy uzbrojenia. Nie dzisiaj.

W ten gorący, wilgotny dzień Walhalla była pusta.

Takie przynajmniej robiła wrażenie. Marines trzymali się środka ulic, oficerowie szli z tyłu; słychać było tylko ich kroki i krzyki ptaków. Minęli kilka porzuconych pojazdów – niewielkich ręcznych wózków. Dwa konie stały przywiązane do belki przed saloonem jak z filmów o Dzikim Zachodzie. Widzieli nawet kilka zaparkowanych samochodów parowych.

Nigdzie nawet śladu ludzi.

Załogi sterowców meldowały, że obserwowana z powietrza sytuacja wygląda tak samo. Nikogo nie było w domu.

Maggie szła obok Joego Mackenzie.

– Czy tylko ja mam takie wrażenie, Mac – spytała – czy rzeczywiście wyglądamy dość śmiesznie?

– Jesteśmy żołnierzami – odparł cynicznie. – Sama mówiłaś: ta operacja nie polega wyłącznie na ratowaniu kotków, które utknęły na drzewach. Od czasu do czasu musimy wykonać jakąś żołnierską robotę.

– To fakt.

Maggie przynajmniej czuła się tu względnie swobodnie, gdyż w przeciwieństwie do większości wykrocznych osad Walhalla rzeczywiście przypominała autentyczne amerykańskie miasto – miała odpowiednią skalę, ale też latarnie uliczne, pewne elementy służące kierowaniu ruchem, a nawet plakaty zapraszające na koncerty, tańce, wykłady i podobne imprezy, choć na ogół były wypisane ręcznie, w stylu małych miasteczek. Jednak zabudowa wyraźnie wskazywała Długą Ziemię: domy były masywnymi blokami drewna, piaskowca i betonu, drogi pasami prymitywnego asfaltu, a chodniki pokrywał ubity żwir.

I nagle usłyszała śpiew.

Dotarli do jakiegoś placu, właściwie raczej skrzyżowania dwóch głównych ulic. Tutaj, w cieniu sklepowej markizy, stało kilkanaście trolli. Śpiewały jakąś piosenkę o Mohawkach, herbacie i podatkach – o ile Maggie mogła ją zrozumieć. Marines w przedniej straży zwolnili, zatrzymali się i patrzyli.

Admirał Davidson i kapitan Cutler przeprowadzili szybką naradę. Potem Cutler nakazał

krótki postój. Z punktu widzenia bezpieczeństwa miejsce było dobrze wybrane. Znaleźli się wprawdzie na otwartym placu, ale w pobliżu nie było wysokich budynków i nic nie zasłaniało pola widzenia z czterech stron.

Kiedy wszyscy zrzucali plecaki i sięgali po manierki, Cutler wystawił strażników na czterech rogach, wysłał też ludzi z krokerami na światy o krok i dwa po obu stronach. Była to klasyczna procedura Długiej Ziemi.

Maggie stała na asfalcie razem z Mackenziem i Nathanem. Nathan wygrzebał z plecaka rację żywnościową, zerwał opakowanie, a po chwili wgryzał się w gorącą zapiekankę z mięsem.

Mac przyglądał mu się lekko zdumiony.

– Nie rozumiem, człowieku, jak możesz się objadać w takiej sytuacji.

– Trzeba na to lat ciągłych upartych ćwiczeń, doktorze. Nie ma pan soli?

– Nie, nie mam.

Ze swojego plecaka Mac wydobył naręczny komputer i wyciągnął w stronę trolli.

– Staram się określić, co śpiewają. Aha, „Weźcie topory i pokażcie królowi Jerzemu, że nie chcemy płacić podatków za jego zagraniczną herbatę”… To rewolucyjna ballada z czasów Bostońskiej Herbatki. Ktokolwiek nauczył jej trolli, chciał nam przekazać wiadomość. I ma poczucie humoru.

Nathan skończył posiłek.

– Ale gdzie, u diabła, się wszyscy podziali?

– Zgaduję, że są w innych częściach miasta – odparł Mac.

– Jakich innych częściach?

Mac wskazywał przypadkowe kierunki, wyginając przy tym palce.

– Wykrocznych – stwierdziła Maggie. – Wszyscy przekroczyli.

– Tak jakby. Kiedyś już to widziałem. To miasto rzeczywiście rozciąga się też na wykroczne światy, w pewnym sensie. Rozumiecie, nie jest podobne do niskiego cienia miasta z Podstawowej, jak Nowy Jork Zachodni 1 czy Wschodni 5. Tutaj sąsiednie światy są mniej więcej czyste, a zatem pełno tam jedzenia do upolowania i zbierania. Ludzie mieszkają tam przez jakiś czas i razem zaopatrują miasto w środku. Lecz dzisiaj jest tu dość cicho, prawda? Zwykle pewna krytyczna liczba ludzi rzeczywiście przebywa na miejscu.

– Ale nie dzisiaj.

– Nie dzisiaj. Pewnie wiedzieli, że korpus inwazyjny jest w drodze. Komu zależy na kłopotach? Chociaż niespecjalna to wojna, jeśli nikt nie chce walczyć. Żadna zabawa.

Kapitan Cutler usłyszał go i odwrócił się gniewnie.

– Zabawa, sir?

– Oczywiście, kapitanie – odparł z uśmiechem Mackenzie. – Wojna to zabawa. To jest właśnie ten straszny sekret i powód, dla którego zajmujemy się nią od epoki brązu, albo i wcześniej. Teraz, kiedy zyskaliśmy Długą Ziemię, każdy może mieć tyle, ile zechce, a zawsze jest dość miejsca, żeby się zwyczajnie wynieść. Wojna nie jest już konieczna, prawda? Może powinniśmy już wyrosnąć z tej fazy rozwoju.

Nathan uniósł brew.

– Powodzenia z tą teorią jako wskazówką co do pańskiej przyszłej kariery w marynarce wojennej, doktorze.

Zabrzmiał gwizdek. Postój dobiegł końca i musieli ruszyć dalej. Marines pakowali sprzęt, a strażnicy zniknęli na moment, żeby przywołać kolegów z wykrocznych stanowisk.

Ratusz, zgodnie z mapami, znajdował się o kilka przecznic na północ stąd.

Wkrótce Maggie zobaczyła go nad ramionami innych oficerów. Niski budynek w stylu kolonialnym stał na niewielkim wzniesieniu. Przed nim otwierał się plac – kolejne skrzyżowanie dróg. Dwie flagi zwisały z masztów przed frontem: jedna amerykańska, w pasy i gwiazdy, druga niebieska z łańcuchem błękitnych zachmurzonych dysków.

– Tak się zastanawiałem, kiedy zobaczymy ich nową flagę – mruknął Mac. – Ta grupa zbuntowanych kolonii zaczyna się od Nowego Scarsdale w okolicach Zachodniej 100 000 i ciągnie aż do Walhalli i dalej. To oni wspierali Kongres Cieni w Walhalli, który ogłosił ich

Deklarację Niepodległości. A to ich flaga… Wiele światów, widzicie?

Maggie usłyszała serię cichych puknięć, jakby pękały bańki mydlane. Przekraczali tu ludzie. Nareszcie mieli towarzystwo.

Cutler zaczął wykrzykiwać rozkazy, dowódcy pododdziałów przekazywali je dalej. Formacja marszowa rozstawiła się w tyralierę. Maggie zajęła swoją pozycję.

Widziała, że ludzie – w większości ubrani jak farmerzy albo włóczędzy, albo połączenie jednego z drugim – pojawiali się na całym placu przed ratuszem. Przybywali, siedząc, a kiedy ktoś wylądował na kimś innym, nowo przybyły spadał na ziemię i przepraszał ze śmiechem. Zbudził się gwar rozmów jak na placu targowym.

Wszyscy ci ludzie zajmowali przestrzeń między rzędem marines a ratuszem. Sterowce patrolowały z góry, obserwując bezsilnie; ich turbiny mruczały cicho.

Czerwony ze złości kapitan Cutler rozejrzał się po placu.

– Bagnety! – warknął.

– Wstrzymajcie się – rzekł admirał Davidson spokojnie, ale dostatecznie wyraźnie, by wszyscy usłyszeli. – Mamy tu zdobyć ich serca, kapitanie, ale przecież nie tak, że będziemy je wycinać z ich zwłok. I zakazuję otwierania ognia, chyba że na mój wyraźny rozkaz. Czy to jasne?

A tamci wciąż się pojawiali niby spadające na ziemię ludzkie krople deszczu. Niektórzy, jak zauważyła oszołomiona Maggie, mieli ze sobą kosze piknikowe z ciastem, butelkami piwa, lemoniadą dla dzieci. Inni nieśli dary: kosze jabłek, a nawet sznury tłustych ryb, które próbowali wręczać żołnierzom i kładli u ich stóp, gdy marines odmawiali.

Kapitan Cutler usiłował zaapelować do admirała.

– Naszą misją jest zajęcie ratusza i wciągnięcie amerykańskiej flagi, sir!

– Wydaje mi się, że ona już tam jest.

– Ale chodzi o symbolikę tego aktu… Niech mi pan przynajmniej pozwoli oczyścić drogę przez plac, panie admirale.

– No… niech będzie, Cutler. Tylko delikatnie, dobrze?

Cutler wydał rozkazy i marines weszli w tłum. Tymczasem sterowce krążyły wokół placu, powtarzając przez megafony:

– Proszę się rozejść! Rozejdźcie się natychmiast!

Maggie przyglądała się, jak Jennifer Wang – z oddziału piechoty morskiej „Franklina” – razem z kolegami wchodzi w tłum. Otoczeni przez ludzi w ubraniach wieśniaków żołnierze w hełmach i kamizelkach przypominali najeźdźców, którzy zstąpili tu z nieba.

Wang podeszła do pierwszej z brzegu osoby.

– Zechce się pani przesunąć, proszę pani – zwróciła się do czterdziestoletniej kobiety z gromadką dzieci. – Proszę dać nam przejść…

– Nie dam – odpowiedziała wyraźnie kobieta.

Dzieci podjęły to jak piosenkę na placu zabaw.

– Nie dam! Nie dam!

Wang stała nieruchomo, zaskoczona.

Niektórzy marines próbowali fizycznie przenosić ludzi, chwytając ich za ręce i nogi. Jednak inni miejscowi, zwłaszcza dzieci, podbiegali i uwieszali się na tym, którego żołnierze starali się dźwignąć. Nawet jeśli się to udało, podniesiona osoba zwisała bezwładnie jak szmaciana lalka, a w efekcie przeniesienie jej było praktycznie niemożliwe. Cutler, nie pytając już Davidsona, nakazał żołnierzom, żeby skuwali protestujących. Jednak ludzie zwyczajnie znikali, przekraczając do innego świata, i pojawiali się z powrotem tam, gdzie nie dało się ich dosięgnąć.

Maggie zaimponowała koordynacja działań tłumu blokującego plac, przeszkolenie, jakie najwyraźniej odebrali w dziedzinie biernego oporu, ich determinacja i niemal wojskowa dyscyplina.

Coraz głośniej rozbrzmiewało chóralne:

– Nie dam! Nie dam!

Bezsilny i wściekły Cutler podbiegł do Davidsona. Maggie miała wrażenie, że jego prawa

ręka zawisła niebezpiecznie nisko nad kolbą pistoletu.

– Gdyby udało nam się zidentyfikować przywódców, sir… – powiedział.

– Tego rodzaju tłum nie musi mieć przywódców, kapitanie – odparł Davidson.

– Więc może salwa nad głowami pozwoli ich rozproszyć…

Admirał nie odpowiedział. Zdjął czapkę i zwrócił pomarszczoną twarz w stronę letniego słońca.

– Nie?! – krzyknął Cutler. – Więc jak, u diabła, mamy wypełnić naszą misję?! Sir?!

Ostatnią sylabę właściwie warknął. Maggie pomyślała, że Cutler jest bliski niesubordynacji, jeśli nie wręcz otwartego buntu.

– Nie możemy pozwolić, sir, żeby ci ludzie z nas drwili. Nie rozumieją nas.

– Nie rozumieją nas, kapitanie?

– Admirale, oni nigdy nie spotkali kogoś takiego jak my! Sir, pan i ja służyliśmy krajowi, walczyliśmy na froncie. Byliśmy w ogniu, nie cofaliśmy się, wykonywaliśmy rozkazy. I dzięki nam ci ludzie mogli wychowywać dzieci, mogli się przenieść do tych durnych światów z drewnianymi chałupami i bawić się w mężnych pionierów…

Admirał Davidson westchnął.

– Cóż, świat najwyraźniej zmienił się wokół nas dwóch, synu. Moim zdaniem najlepsza wojna to taka, która się kończy bez jednego strzału. Niech pan nie wyjmuje broni, kapitanie.

– Sir…

– Powiedziałem: niech pan nie wyjmuje broni.

Jakiś mężczyzna w tłumie wyprostował się nagle i ruszył w stronę oficerów. Miał około sześćdziesięciu lat, był dość korpulentny, ubrany jak robotnik na farmie.

– Poznaję tego gościa – mruknął Nathan.

Maggie również go poznała. To był ten człowiek od przysług, z osady Restart. Lecz chwila nie była najlepsza, by machać do niego i wołać „hej!".

Mężczyzna stanął spokojnie przed Davidsonem.

– Wypełnienie waszej misji zależy od tego, co jest jej celem, admirale. Jeśli przybył pan tutaj, by rozmawiać, to świetnie. Ale wątpię, czy dzisiaj osiągnie pan coś jeszcze. Prawda?

Davidson zmierzył go wzrokiem.

– A pan jest…?

– Green. Jack Green. Pomagałem założyć miasto Restart. Teraz pracuję dla Benjamina Keyesa, burmistrza Walhalli.

Wyciągnął rękę. Davidson uścisnął ją wśród ironicznych owacji tłumu.

– Jeśli chce pan rozmawiać, może razem z pańskimi oficerami przejdzie pan do biura burmistrza? Pańskim marines na pewno niczego tu nie braknie. Jak pan widzi, piknikowicze przynieśli dość, by starczyło dla każdego…

Odszedł z Davidsonem.

Kapitan Cutler odmaszerował wściekły i zniknął w bocznej uliczce.

– Za pozwoleniem, pani kapitan… – powiedział Nathan do Maggie. – Będę miał na niego oko. Dopilnuję, żeby nie zrobił czegoś głupiego.

– Dobry pomysł.

Nathan odszedł pospiesznie. Mac został z Maggie.

– Ed Cutler potrzebuje terapii.

– Wielu z nas będzie potrzebowało, jeśli masz rację i wojna nagle wyjdzie z użytku.

– Ale mam rację, prawda?

– Zwykle masz, Mac. Zwykle masz.

Cień wojskowego sterowca na chwilę przesłonił słońce. Ludzie podnosili głowy i osłaniali oczy.

– Ooo… – powtarzali, jakby była to reklama meczu. – Aaa…

Maggie zrozumiała wtedy, że misja „Benjamina Franklina" została wypełniona.

Że czeka ją lot „Neilem Armstrongiem II" do nieznanych wykrocznych światów.

Że na lepsze czy gorsze, bez jednego wystrzału, Długa Wojna dobiegła końca.

ROZDZIAŁ 68

Na początku września 2040 misja wojskowa przeciwko Walhalli została oficjalnie przerwana, a trolle w wielkiej liczbie zaczęły powracać na Długą Ziemię. Lobsang i Agnes ogłosili, że wydają przyjęcie w ogrodzie kompleksu transEarth, który Lobsang zamienił w rezerwat trolli. Park rozciągał się na głębokość kilku światów wokół Madison.

Z początku Monica Jansson odmówiła, lecz Agnes odwiedziła ją osobiście w ośrodku rekonwalescencyjnym na Zachodniej 5.

– Musisz się zjawić – tłumaczyła. – Bez ciebie to nie będzie to samo. Przecież uczestniczyłaś w tej wielkiej przygodzie z ludźmi-psami, prawda? No i jesteś najstarszą przyjaciółką Joshuy spoza samego Domu.

Jansson roześmiała się głośno.

– Naprawdę? Byłam wtedy młodą policjantką lesbijką, pilnie dokonującą idiotycznych wyborów zawodowych. Biedny dzieciak, jeśli miał tylko mnie… Proszę posłuchać, siostro, ta podróż mnie wykończyła, z całym tym przekraczaniem i lekami…

– I jeszcze dawką promieniowania, którą przyjęłaś w świątyni dinozaurów, czy co to było, żeby oszczędzić Sally Linsay – dokończyła surowo Agnes. – Opowiedziała mi o tym. Ale Monico, nie będziesz musiała przekraczać. W każdym razie kiedy już dotrzesz do Zachodniej 11. Poprosiłam Lobsanga, żeby postawił tam ładny letni domek. Jest twój, jak długo zechcesz.

Pochyliła się i Jansson zobaczyła, że jej skóra – teoretycznie skóra trzydziestolatki, według Lobsanga – wygląda zbyt młodo, zbyt nieskazitelnie, by być przekonująca. Młodzi inżynierowie, którzy tworzyli takie zasobniki, nie radzą sobie ze skazami wieku, pomyślała.

– Osobiście nigdy mnie nie ciągnęło przekraczanie – mówiła dalej Agnes. – Raz spróbowałam. Wiesz, trudno tego nie zrobić, kiedy po Domu kręci się słynny Joshua Valienté. I zobaczyłam tylko parę drzew oraz własne buty, na które starałam się nie narzygać. Żadnych ludzi, więc co w tym takiego ciekawego? A teraz, kiedy przekraczam… to całkiem nic nie czuję. Lobsang mnie tak zaprojektował, idiota nieszczęsny. W każdym razie naprawdę nie widzę sensu. Zawsze wolę swojego harleya i otwartą drogę. Porucznik Jansson, musi pani się zjawić jako gość honorowy. To rozkaz.

Nadszedł więc ósmy września 2040 roku, niedziela – w Madison Zachodnim 11 słoneczna, ciepła i jesienna. Około drugiej po południu Jansson trochę nieśmiało wyszła przed letni domek – który okazał się porządną chatą ze wszystkimi wygodami zbudowaną na wzniesieniu; widać stąd było zielone łąki z plamami kwiatów i gęstymi kępami drzew opadające aż do brzegu jeziora. Kilkadziesiąt osób zaproszonych na tego grilla spacerowało po okolicy, dzieci i psy bawiły się hałaśliwie, a jakaś grupa stała wokół pióropusza białego dymu unoszącego się z paleniska grilla. Dźwięki muzyki płynęły od grupki trolli nad wodą – ulotna melodia, której Jansson nie potrafiła jakoś umiejscowić.

Na jedną chwilę ogarnęła ją dezorientacja. Całkiem jakby zobaczyła tych ludzi nagich jak trolle – stado humanoidów przewracających się po trawie bezmyślnie jak młode szympansy.

Trolle. Elfy. Koboldy. Przypomniała sobie kobolda, który określał się ludzkim imieniem Finn McCool. Nosił strzępy odzieży jak istota ludzka, jak mężczyzna. I ciemne okulary! I paplał do siebie, kiedy Sally i Jansson próbowały zasnąć: zwykłe bzdury, ale starał się naśladować rytmikę ich dialogów… Teraz czasami, kiedy oglądała telewizję i słyszała perorowanie jakiegoś polityka albo ględzenie kaznodziei, widziała kobolda gadającego bzdury, tak jak wtedy McCool.

Zdeformowane elfy – tak Petra nazwała ludzi.

Pokręciła głową. Nie myśl o tym, przykazała sobie. Z determinacją ruszyła przed siebie. Odsłoniętą skórę miała nasmarowaną kremem ochronnym, pod kapeluszem ukryła coraz rzadsze włosy. Usiłowała wyglądać na absolutnie pewną siebie.

Pokonała z dziesięć kroków, zanim dogoniła ją siostra Agnes w towarzystwie dwóch innych zakonnic, jednej starszej, jednej po trzydziestce.

– Monico… Dziękuję, że do nas dołączyłaś. To moje koleżanki, siostra Georgina i siostra John…

Siostra John wydawała się znajoma.

– Czy my się kiedyś już spotkałyśmy?

Zakonnica się uśmiechnęła.

– Przyszłam na świat jako Sara Ann Coates. Byłam w Domu. Jako wychowanka. I kiedy dorosłam… no, wróciłam.

Sara Ann Coates… teraz Jansson przypomniała sobie buzię dwunasto- czy trzynastolatki, wystraszonej, zawstydzonej, patrzącej z fotografii w aktach, jakie Jansson zebrała na temat wypadków z Dnia Przekroczenia w Madison. Sara, jedno z dzieci z Domu, uratowana przez Joshuę Valienté podczas tych nerwowych godzin, kiedy drzwi do Długiej Ziemi uchyliły się po raz pierwszy.

– Miło znów siostrę widzieć.

– Tędy. – Siostra Agnes ujęła Jansson pod rękę i razem ruszyły powoli w stronę dymu grilla.

– Jesteś wspaniałą gospodynią, Agnes – zauważyła Jansson z jedynie odrobiną sarkazmu. – Tylu tu ludzi, a ty pikujesz na mnie, jak tylko pokażę twarz.

– Nazwij to darem. Ale nie powtarzaj Lobsangowi. Ciągle mnie namawia na awatary. Na iteracje, takie jak jego. Moje kopie, biegające sobie po świecie. Wyobraź sobie, ile mogłabym zrobić. To on tak mówi. Wyobraź sobie, jak byśmy się kłóciły, ja ze sobą i mną. Tak ja mówię. No więc raczej nie. Otóż, Monico, wyznaczyłam siostry Georginę i John, żeby się tobą dzisiaj opiekowały. Gdybyś czegoś potrzebowała, wystarczy, że je poprosisz. I jeśli będziesz miała ochotę zniknąć, to też się nie przejmuj.

Jansson powstrzymała westchnienie. Choćby nie wiadomo jak zaprzeczała, wiedziała, że potrzebuje tej pomocy.

– Dziękuję. Naprawdę jestem wdzięczna.

Ze zmienną bryzą wciąż płynął śpiew – typowa muzyka trolli, ludzka melodia zharmonizowana i zmieniona w rondo, z linią melodyczną powtarzaną i nakładającą się na siebie.

– Co to takiego?

– *The Wearing of the Green* – odparła Agnes. – Dawna piosenka marszowa jakobitów. Szkockich buntowników, rozumiesz. Nie można mieć o to pretensji do siostry Simplicity. Zawsze dbała o swoje szkockie korzenie. I jeszcze o walki bokserskie w telewizji. Ale dobrze jest znowu mieć trolle, nie sądzisz? Oczywiście, musieliśmy dziś ograniczyć listę gości, żeby nie przyszło zbyt wielu ludzi, bo trolle mogłyby sobie nie dać z tym rady. Senator Starling obiecał zjawić się na chwilę trochę później. Nagle wspiera sprawę trolli, nagle zawsze ją wspierał, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Mówi, że śpiewa w niedzielnym chórze i że chciałby śpiewać razem z trollami. Ma sprowadzić oddział marines z operacji Syn Marnotrawny, chór z USS „Benjamin Franklin", jako gest pokoju i harmonii. A teraz poszukamy Joshuy. To nie będzie trudne: jest blisko małego Dana, a mały Dan jest blisko jedzenia…

Agnes powierzyła Lobsangowi funkcję głównego kucharza. Jansson patrzyła zdziwiona na tybetańskiego mnicha w poplamionym fartuchu na pomarańczowej szacie i w białej kucharskiej czapce na ogolonej głowie. Obok stał jakiś człowiek, którego nie znała: wysoki, około pięćdziesiątki, czarny, w grafitowym garniturze i z koloratką.

Lobsang uniósł tłustą łopatkę.

– Porucznik Jansson! Cieszę się, że panią widzę!

Agnes praktycznie warknęła na niego:

– Ten sojowy burger jest prawie surowy, a tamta quornowa kiełbaska się pali. Mniej dumania, więcej przysmażania, Lobsangu.

– Tak, moja droga – odparł ze znużeniem.

– Nie martw się, Lobsangu – odezwał się wysoki kleryk. – Pomogę. Sprawnie mi idzie krojenie cebuli.

– Dzięki, Nelsonie.

– Porucznik Jansson…

Jansson się odwróciła. Przed nią stał Joshua Valienté. Najwyraźniej nie czuł się dobrze w dość swobodnym, lecz eleganckim stroju: wyprasowane dżinsy, czysta koszula, skórzane buty. Lewą rękę przyciskał do piersi, a mankiet koszuli maskował zaciśniętą pięść. U boku miał Helen, swoją żonę, śliczną, pogodną, silną. Mały Dan przebiegł obok, ubrany w kostium na wzór munduru pilota twaina i zajęty jakąś hałaśliwą zabawą z innymi dziećmi. Na dorosłych i ich towarzystwo nie zwracał uwagi, jakby byli wysokimi drzewami.

Stanęli naprzeciw siebie, trochę skrępowani. Jansson ogarnęła fala emocji – pamiętała, na jakie niebezpieczeństwa narażał się daleko od domu. A teraz widziała go tutaj, razem z rodziną.

Po wszystkim, co przeszła razem z tym człowiekiem, nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Joshua uśmiechnął się łagodnie.

– Już w porządku, poruczniku.

– Na miłość boską! – zirytowała się Helen. – Uściśnijcie się!

Pochylili się ku sobie, a ona objęła go mocno.

– Z nimi jesteś uleczony – szepnęła mu do ucha. – Nie zostawiaj ich więcej, ktokolwiek by cię wzywał.

– Zrozumiałem, Jansson.

A jednak wiedziała, że on nigdy tej obietnicy nie dotrzyma. Nagle poczuła w sercu ukłucie żalu nad Joshuą, tym samotnym chłopcem, którego znała, i samotnym mężczyzną, którym zawsze będzie.

Odsunęła się.

– Dość. Jeśli ściśniesz mnie mocniej, mogę się złamać.

– Ja też.

Joshua wyciągnął lewą rękę, odsłaniając sztuczną dłoń. Była to niezgrabna, duża konstrukcja z nieprzekonującą różową skórą; kiedy rozprostował palce, zamruczała i zajęczała cicho jak rekwizyt filmowy.

– Bill Chambers nazywa ją Rąsią. Jak w *Rodzinie Addamsów*, rozumiesz. Zabawny gość. Nawiasem mówiąc, jest gdzieś tutaj. Próbuje się narąbać z Thomasem Kyangu.

Jansson starała się nie roześmiać.

– Przecież mogli ci załatwić coś lepszego. Protetyka dzisiaj…

– Uparł się, żeby nosić ten potworny antyk – stwierdziła Helen.

– Lepsze to niż któryś z gadżetów Korporacji Blacka, jakie proponował mi Lobsang.

– Ach… – domyśliła się Jansson. – Z Lobsangiem w środku.

– Rozumiesz problem. Nie chcę chodzić z Lobsangiem mającym kontrolę nad dowolną moją kończyną. Wolę zaczekać, bardzo dziękuję. Zresztą Danowi nie przeszkadza, a to najważniejsze.

– Dziwnie jest wyobrazić sobie twoją rękę na ścianie w pałacu księżniczki beagle'i, milion światów stąd – powiedziała Jansson.

– Tak. – Joshua rozejrzał się i upewnił, że Dana nie ma w pobliżu. – Nigdy tego nie widziałaś, prawda, Monico? Tego fragmentu historii nie znasz.

– Lubi się tym przechwalać – uprzedziła ze znużeniem Helen.

– Znasz te dwa beagle'e, które mnie dopadły, Śnieżka i Li-Li. Zrozumiałem, że próbują mi uratować życie, na swój sposób. Ale i tak nie byłem zachwycony utratą dłoni. Więc kiedy Li-Li wbiła mi zęby w nadgarstek, wykonałem gest… – Uniósł robotyczną dłoń, zacisnął ją z pomrukiem hydrauliki i wyprostował środkowy palec. – I to właśnie wisi teraz na ścianie u Petry.

Jansson parsknęła śmiechem.

– I to właśnie – dodała Helen – Dan pokazuje wszystkim kolegom za każdym razem, kiedy jego tatuś opowie tę historię. Nie mogę go oduczyć.

Joshua mrugnął do Jansson.

– Wyrośnie z tego. Ale warto było zapłacić tę cenę.

Jansson tylko uśmiechnęła się obojętnie. Doświadczony policjant wiedział, że nie należy się mieszać w małżeńskie spory.

Ich uwagę zwrócił zbliżający się niski, szczupły i żylasty mężczyzna po pięćdziesiątce. Stanął niemal na baczność i nieśmiało zwrócił się do Joshuy:

– Bardzo pana przepraszam… Nie znam tutaj nikogo, ale rozpoznałem pańską twarz. Szukam Sally Linsay. Sądzę, że pan ją zna.

– Oczywiście. A pan jest…?

Mężczyzna wyciągnął rękę.

– Wood. Frank Wood. Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych, od dawna już w stanie spoczynku, kiedyś z NASA…

Nastąpił zabawny moment: Wood wyciągnął lewą rękę do uścisku, ale cofnął się, kiedy w odpowiedzi zobaczył wysuniętą cybernetyczną i staroświecką protezę Joshuy…

Jansson pstryknęła palcami.

– Tak mi się wydawało, że pana poznaję, panie Wood. Spotkaliśmy się pod Szczeliną. Byłam tam razem z Sally.

Wydawał się zaskoczony tym spotkaniem, potem ucieszony. Najwyraźniej jej nie rozpoznał; zmiany chorobowe były coraz bardziej widoczne.

– Porucznik Jansson? Tak się cieszę, że znowu panią widzę…

Znowu przywitania. Dłoń Wooda była sucha i mocna. Jansson przypomniała sobie z pewnym zażenowaniem, jak to przy Szczelinie podejrzewała biedaka, że mu się podoba.

– Sally jest chyba tam na dole – oświadczyła trochę niepewnie Helen. – Przy trollach. Z takimi typami ze Szczęśliwego Portu.

Jansson poszła za nią w towarzystwie Franka Wooda. Kiedy zobaczył, jak wolno i sztywno teraz chodzi, dyskretnie zaoferował jej ramię.

Równie dyskretnie podziękowała z uśmiechem.

– Frank, chcę, żebyś wiedział…

– Słyszałem, że jesteś chora.

– Nie o to chodzi. Jestem homo, Frank. I chora. Chora i homo.

Przyjął to pobłażliwie.

– Czyli nasz obiecujący romans jest skazany na klęskę? No cóż, mój radar nigdy nie był zbyt pewny. Pewnie dlatego się nie ożeniłem.

– Przykro mi.

– A czy bycie chorą i homo wyklucza możliwość, żebym zaprosił cię na kolację?

– To będzie przyjemność.

Znaleźli Sally z grupą trolli i kilkoma ludźmi ubranymi dziwnie nawet jak na kolonistów – jakby w kostiumy z alternatywnego osiemnastego wieku. Sally zaś nosiła swoją zwykłą kamizelkę, w każdej chwili gotowa odejść na kolejny pilny wykroczny wypad.

Znowu nastąpiły prezentacje i Jansson udało się połączyć z nazwiskami kolejne twarze. Ci dziwnie ubrani ludzie pochodzili ze Szczęśliwego Portu. Szczupły, nieśmiały z wyglądu i dość młody mężczyzna to Jacques Montecute, dyrektor szkoły w Walhalli. Nastolatka, spokojna i poważna, która stała przy nim w milczeniu, to Roberta Golding, uczennica walhallańskiego liceum. Ostatnio było o niej głośno, gdyż razem z Montecute'em wzięła udział w chińskiej ekspedycji na Ziemię Wschodnią Dwadzieścia Milionów. Byli tu, okazało się, jako goście Joshuy: od przyszłego roku Dan Valienté zacznie naukę w szkole Montecute'a. Przybysze ze Szczęśliwego Portu trzymali się nieco z boku, jakby nie byli częścią grupy.

W Robercie Golding było coś niezwykłego, dziwnego. Jakaś czujność, spokój, jakich Jansson nie widziała u kogoś tak młodego od czasów, kiedy Joshua był w tym wieku. Nie wyczuła jednak niesamowitego opanowania Joshuy ani jego niezawodnego instynktu przetrwania. Dziewczyna sprawiała wrażenie, które za czasów aktywnej służby Jansson nauczyła się raczej kojarzyć z dziećmi z rodzin patologicznych. Jakby widziała zbyt wiele w zbyt młodym wieku. Jansson zastanowiła się niespokojnie, co w przyszłości wyrośnie z tego zbłąkanego dziecka.

Wśród trolli była też Mary uciekinierka, a trudno byłoby nie poznać jej szczeniaka Hama, który jeszcze teraz nosił na sobie strzępy srebrzystego kosmicznego skafandra. Gdy tylko Ham zobaczył Jansson, rzucił się do niej biegiem z wyraźnym zamiarem objęcia za nogi. I pewnie by ją przewrócił, gdyby Joshua nie przechwycił go najpierw.

Sally, jak to Sally, natychmiast skierowała się do Franka Wooda.

– Kogo ja widzę… Buzz Aldrin. Czego pan chce?

Wood uprzejmie skinął jej głową.

– Liczyłem na burgera i piwo.

– Proszę sobie odpuścić te hasła z *Pierwszego kroku w kosmos*. Nie robią na mnie wrażenia. Znowu macie kłopoty pod Szczeliną, zgadza się?

– Ależ skąd. Przyszedłem pani podziękować, panno Linsay. I pani, porucznik Jansson. Za to, że podeszły panie do tej sprawy z trollami właściwie. Moi koledzy stamtąd nie są złymi ludźmi, ale bywają trochę przesadnie zmotywowani. Myślę, że straciliśmy nasz kompas moralny. Działania pań pomogły nam wrócić znowu na właściwy kurs. – Uśmiechnął się. – A teraz do gwiazd! Już mówimy o sondach marsjańskich, a nawet wyprawie załogowej. Mamy trochę świetnych zdjęć…

Zaczął mówić o czymś, co nazywał zgodnym ustawieniem planet, a co miało nastąpić właśnie tego dnia – wiele siostrzanych światów Ziemi ustawiało się w jednej części nieba: Merkury, Wenus, Mars, Jowisz, Saturn, nawet sierp Księżyca.

– Oczywiście, takie zjawisko widoczne jest ze wszystkich światów Długiej Ziemi. Ale wykorzystujemy okazję, żeby wyrzucić sondy i dostać porządne zdjęcia… Zademonstrować możliwości Szczeliny, rozumiecie.

– Prawdopodobnie wystraszycie wszystkich śmiertelnie – stwierdził Joshua. – Mówi się przecież, że taka koniunkcja zwiastuje katastrofę.

Helen pociągnęła go za rękaw.

– Nie drażnij się z panem Woodem.

– Ale ze Szczeliny to nie wygląda tak dobrze – prychnęła Sally. – Nie macie Księżyca.

– Nie mamy – zgodził się pogodnie Frank. – Nie mamy Księżyca na drodze. Dlatego tym lepiej widać prawdziwy spektakl.

Hałas i zgiełk stały się dla Jansson trudne do wytrzymania. Słowa wypowiadane dookoła zdawały się rozpływać w niezrozumiałym bełkocie.

Spuściła głowę i zasłoniła dłońmi uszy.

Frank Wood objął ją za ramiona.

– Chodź, wyprowadzimy cię stąd.

Agnes natychmiast znalazła się u jej boku, skinęła na siostrę Georginę i siostrę John. Razem wyprowadziły ją i Franka dalej od gwaru.

– Odetchnij świeżym powietrzem – powiedziała. – Zaraz przywołam transport, mamy tu wózki golfowe. W domku będziesz mogła odpocząć. Co ty na to?

– Jesteś bardzo troskliwa.

– Dobrze pamiętam, jak to jest, kiedy człowiek choruje. Przynajmniej tego Lobsang nie usunął mi z głowy.

Szli w stronę większej grupy trolli nad wodą. Zajmowały się swoimi sprawami: jadły, iskały się, chlapały w wodzie, migotały między światami – i przez cały czas śpiewały spokojną melodię. Kilku ludzi stało przy nich, klaskało i próbowało się włączyć do chóru.

Mimo obecności ludzi Jansson czuła aurę spokoju emanującą ze stada zadowolonych trolli.

– Piękna pieśń…

– *All My Trials* – wyjaśniła Agnes. – Poza kanonem Steinmana to jedna z moich ulubionych, już od dzieciństwa.

– I jaka adekwatna w mojej sytuacji. „Wszystkie moje próby wkrótce się skończą”.

Agnes ścisnęła ją za ramię.

– Dość takiego gadania.

Dotarli do wyższego terenu, niedużego wzniesienia, które Jansson pokonała z wysiłkiem.

Tutaj się zatrzymali, spoglądając na czyste jeziora tego świata, na słońce, na błękitne niebo, na młode, wciąż nieduże miasto na przesmyku – ducha Madison Podstawowego.

– Przychodziłam tutaj w czasie choroby – powiedziała Agnes. – Żeby popatrzeć na ten szerszy świat, który obejmuje nas wszystkich. Na nieba rządzone własnymi odwiecznymi prawami, takimi samymi na każdym świecie. Jak to ustawienie planet, prawda? I wszystkie te proste rzeczy, jak gra promieni światła na wodzie… Są uniwersalne na całej Długiej Ziemi. W tym znajdowałam pocieszenie, Monico.

– Ale kiedy człowiek był już tam daleko, wszystko wydaje się takie kruche – odparła Jansson. – Wszystko istnieje warunkowo. Mogło to wyglądać inaczej. I może wyglądać inaczej już jutro.

– To fakt – przyznała zamyślona Agnes. – A będąc tak blisko Lobsanga, mam czasem wrażenie, że widzę świat jego oczami, w pewnym zakresie. To, jak postrzega ludzi, nawet najbliższych współpracowników i przyjaciół, Joshuę, Sally, tego miłego kleryka Nelsona Azikiwe, na pewno także innych… nawet mnie. Nazywa nas „cennymi długoterminowymi inwestycjami". Wydaje mi się niekiedy, że on, albo może jego płatnik, Douglas Black, ustawia nas jak figury na szachownicy w przygotowaniu do gry.

– Ale jaka to gra?

– Z pewnością w końcu się dowiemy. Gdzie jest ten wózek?

Za nimi zaczęło się jakieś zamieszanie, słyszeli podniesione głosy. Obejrzeli się zaciekawieni.

Sterowiec zmaterializował się dokładnie nad pozycją Lobsanga. Sam Lobsang zamarł – nie, pomyślała Jansson, zniknął z tej jednostki mobilnej, opuścił ją błyskawicznie. Poznawała to po jego pozie.

A dookoła, na trawiastych łąkach, zaczęły dzwonić telefony komórkowe. Goście wyjmowali je z kieszeni i torebek. Po chwili zaczęło się przekraczanie, jakby poszczególne osoby były wymazywane z obrazu.

I ze wszystkich ust Jansson słyszała dwa słowa. Pierwsze to Yellowstone. Drugie – Podstawowa.

– Może Joshua miał rację z tym ustawieniem planet – stwierdził ponuro Frank.

ROZDZIAŁ 69

Jansson uparła się, żeby wrócić do Madison Zachodniego 5, nieważne, ile tabletek musi łyknąć, żeby wytrzymać nudności. A kiedy już znalazła się na 5, zażądała, żeby zabrać ją nie do ośrodka rekonwalescencyjnego, gdzie ostatnio przebywała, ale na komendę policji nowego miasta.

Obecny szef, Mike Christopher, za czasów Jansson był młodym funkcjonariuszem. Poznał ją, wpuścił, usadził w kącie jednego z gabinetów i przykazał, żeby nie ruszała się z miejsca.

– Mamy sytuację alarmową, Upiorze. Już teraz strumyczki uchodźców zaczynają docierać aż tutaj. To znaczy do Madison na Podstawowej.

Jansson chwyciła Franka za rękę.

– Uchodźcy? Jak daleko leży Madison od Yellowstone?

Mike wzruszył ramionami.

– Pewnie ze dwa tysiące kilometrów.

– I mówimy o erupcji? Bo to musiała być erupcja, tak? Czy jej skutki naprawdę mogą sięgnąć aż tak daleko?

Nie umiał odpowiedzieć.

Została z siostrą John, a Frank ruszył na poszukiwanie kawy. Starała się obserwować obrazy wyświetlane na ściennych ekranach – obrazy z cywilnych wiadomości, ze źródeł policyjnych i wojskowych, rejestrowane na ziemi, z samolotów i twainów, helikopterów i satelitów. Wszystkie pochodziły z Ziemi Podstawowej, zapisane w chipach pamięciowych, przeniesione ręcznie przez mur między światami i retransmitowane z niewielkim tylko opóźnieniem.

Po kilku fałszywych alarmach na Niskich Ziemiach rzeczywiście nastąpiła poważna erupcja – i zdarzyła się na samej Podstawowej. To było około pierwszej po południu czasu Madison. Ewakuacja parku rozpoczęła się krótko przed wybuchem. Mniej więcej godzinę później ogromna kolumna popiołu zaczęła opadać wokół wylotu, a masa rozpalonych odłamków skalnych i przegrzanych gazów rozlała się po Yellowstone z prędkością odrzutowca, niszcząc, paląc i miażdżąc wszystko na swojej drodze. Podnieceni geolodzy dyskutowali, a tymczasem docierały dramatyczne meldunki. Erupcja okazała się gorsza niż Pinatubo, Krakatau, Tambora…

Senność zaczęła się unosić w głowie Jansson niczym jej własny bąbel gorącej magmy. Nie rozumiała już słów ani obrazów. A te nieszczęsne tabletki nie pomagały na ból.

Szybko straciła poczucie czasu.

W pewnym momencie miała wrażenie, że nad jej głową odbywa się jakaś narada, w której uczestniczą Mike, siostry, Frank Wood i ktoś, kto mówił jak lekarz, choć go nie znała. Zrozumiała, że na parę dni postanowili ją przenieść, mimo jej słabych protestów, do pokoju w Domu Agnes. Mike szybko zorganizował wózek inwalidzki i karetkę. Mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Masz astronautę, żeby cię trzymał za rękę, Upiorze.

Pokazała mu język.

I wciąż nadchodziły złe wieści. Zanim jeszcze wywieźli ją z komendy, nowe obrazy pojawiły się na ściennych ekranach, na tabletach, na jarzących się telefonach komórkowych.

Otworzył się drugi krater. A potem trzeci.

Zanim opuściła budynek, Yellowstone – filmowane przez dzielnych pilotów USAF w szybkich samolotach – wyglądało jak piekło Dantego.

Kiedy znowu się obudziła, leżała w przytulnym, ale obcym pokoju. Siostra John, energiczna i pełna współczucia, pomogła jej wyjść do łazienki, a potem podała do łóżka śniadanie. Jansson odkryła, że może ustawiać położenie posłania; obok zauważyła stojak z kroplówką, a na półce przy drzwiach swoje leki. Wszystko wyglądało jak przeniesione z ośrodka rekonwalescencyjnego. Poczuła ciepłą falę wdzięczności.

Po chwili siostra John wprowadziła następnego lekarza. Próbował mówić o charakterze

leczenia – tylko opieka paliatywna i tak dalej – lecz Jansson zbyła go machnięciem ręki. Spytała o wiadomości.

– Żadnej telewizji przed lekami – oświadczył surowo i wykonał kilka zabiegów medycznych.

Dopiero kiedy wyszedł, wpuścili Franka Wooda, który wyglądał, jakby spał w garniturze. I wtedy wreszcie włączyli telewizor.

Do tej pory otworzyła się cała kaldera. Chmura nad nią wznosiła się tak wysoko, że była widoczna nawet z Denver czy Salt Lake City, jak tego dowodziły niewyraźne nagrania z tych miejsc, wykonywane ręcznymi kamerami. Jednak obrazy wyglądały dziwnie: żółtobrązowe światło, małe słońce… Jak dzień na Marsie, stwierdził Frank.

Tymczasem chmura popiołu, gazów i okruchów pumeksu rozprzestrzeniała się w górnych warstwach atmosfery. W samochodach szybko zapychały się filtry i telewizja pokazywała niesamowite obrazy autostrad pełnych idących piechotą ludzi, zasłaniających oczy i usta. Przedzierający się przez podobną do śniegu szarą warstwę popiołu, wyglądali jak głodujący rosyjscy chłopi. A wszyscy kierowali się dalej od Yellowstone.

Ale oczywiście w większości, gdy tylko mogli, słuchali systematycznie nadawanych wezwań, by przekroczyć. Zdjęcia z powietrza na Ziemiach Zachodnich 1, 2 i 3 ukazywały nowe osiedla w cieniach zagrożonych miast z Podstawowej, zalewane falami przekraczających uchodźców. Ludzie odruchowo formowali się w prostokątne grupy wyznaczające szkoły, szpitale, centra handlowe i kościoły, z których tutaj trafili – ludzką mapę miast ginących o krok czy dwa stąd.

Wszystko to wydawało się Jansson przerażająco znajome.

– Pamiętam, jak próbowałam przekonać mojego szefa – wymruczała, ściskając mocną dłoń Franka.

– Kogo, maleńka?

– Starego Jacka Clichy'ego…

„Trzeba kazać ludziom przekroczyć, sir. Wszystko jedno, na wschód czy zachód, byle zniknąć z Madison Zero".

„Wiesz tak samo dobrze jak ja, że nie wszyscy mogą przekraczać. Nie licząc nawet fobików, są przecież starcy, dzieci, obłożnie chorzy, pacjenci w szpitalach"…

„Więc niech sobie nawzajem pomagają. Jeśli możesz przekroczyć, zrób to. Ale zabierz ze sobą kogoś, kto nie może"…

Frank tylko ściskał jej dłoń.

Słyszała, jak siostry rozmawiają o Joshui Valienté, Sally Linsay i innych, pędzących na Podstawową, by pomagać w akcji ratowniczej. Nazwiska zwróciły jej uwagę, nim znowu zapadła w głębszy sen.

Kiedy znów się obudziła, siostra John płakała.

– Mówią, że to nasza wina. Ludzkości. Uczonych. Wszystkie bliskie wersje Yellowstone były ostatnio niestabilne, ale wybuch zdarzył się tylko na Podstawowej. Ludzie naruszają spokój Ziemi, tak jak było z klimatem. Inni twierdzą, że to kara boska. No więc nie – oświadczyła z mocą. – To nie był mój Bóg. Ale jak sobie z tym poradzimy…?

Jansson była już zbyt słaba, żeby wstać. Niech diabli porwą tę morfinę, pomyślała. Musiała skorzystać z pomocy siostry John przy używaniu basenu. Zdawała sobie sprawę z obecności w tle pielęgniarza z ośrodka rekonwalescencyjnego, ale nie wiedziała, jak się nazywa. Pozwolił jednak, by siostra John wszystkim kierowała. Jansson uznała, że to uprzejme z jego strony.

A kiedy zbudziła się znowu, bardziej przytomna, przy łóżku znowu siedział Frank Wood.

– Hej – powiedziała.

– Hej.

– Która godzina?

– Godzina? – Spojrzał na zegarek, duży lotniczy rolex. Zdziwił się i sprawdził jeszcze raz. – Trzy dni od pierwszej erupcji. Jest ranek, Monico.

– Przydałaby ci się czysta koszula.

Uśmiechnął się i potarł podbródek.

– To jest żeński przybytek, przynajmniej jeśli chodzi o dorosłych. Nie pytaj nawet, czym się dzisiaj ogoliłem.

Oczywiście telewizor w kącie pokoju był włączony, choć ze ściszonym dźwiękiem. Obrazy zmieniały się szybko. Kiedy gigantyczna chmura popiołów i pyłów rozprzestrzeniała się nad kontynentalnymi Stanami Zjednoczonymi, a nawet Kanadą i Meksykiem, ludzie przekraczali milionami – ta fala emigracji była większa niż kiedykolwiek w ludzkiej historii, przed i po Dniu Przekroczenia. Tymczasem wpływ tej chmury miał już globalny charakter, jak dowodziły zdjęcia zanikającego słońca z Londynu i Tokio.

Dziwnie było patrzeć na to wszystko ze świata oddalonego o pięć kroków, z Ziemi Zachodniej 5, gdzie świeciło słońce – nie, uświadomiła sobie mgliście, że znowu jest noc. Miała wrażenie, że ogląda mocno potrząśniętą śnieżną kulę. Albo popielną kulę.

Była taka słaba, mogła co najwyżej ruszać głową. Do nosa miała wprowadzoną rurkę z tlenem. Obok łóżka stał automatyczny podajnik leków, jak rekwizyt z *Ostrego dyżuru*.

Bezradnie odpłynęła z powrotem w sen.

„Niech sobie nawzajem pomagają – tłumaczyła Clichy'emu. – Jeśli możesz przekroczyć, zrób to. Ale zabierz ze sobą kogoś, kto nie może. Weź go na ręce, na plecy… A potem wróć i przekrocz znowu. I znowu"…

„Przemyślałaś to sobie, Upiorze, co?".

Wymruczała cicho:

– Dlatego powierzyłeś mi tę robotę, Jack, tyle lat temu.

Frank pochylił się nad nią.

– O co chodzi, maleńka?

Ale Monica najwyraźniej znowu zasnęła.

Siódmego dnia erupcja wreszcie dobiegła końca. Koniec z nowymi chmurami popiołu, ogólnoświatowa ulga.

Ale zakończyła się mocnym uderzeniem, co niewyspany i brudny Frank Wood oglądał na telewizyjnym ekranie w pokoju Jansson. Kaldera szerokości osiemdziesięciu kilometrów, opróżniona z magmy, po prostu się zapadła. Kawał terenu wielkości małego stanu nagle znalazł się trzy kilometry niżej.

Młodsze zakonnice w podnieceniu przekraczały na Podstawową, by obejrzeć skutki na własne oczy. Po zaledwie pięciu minutach nadszedł wstrząs, puls energii poruszający ziemią i płynący wokół planety – choć w ruinach Madison mógł co najwyżej zakołysać rumowiskami. Potem, po godzinie, może trochę więcej, napłynął dźwięk – jakby straszliwa kanonada artyleryjska tuż za horyzontem albo jak start promu kosmicznego, myślał Frank Wood, wracając do wspomnień z czasów chłopięcych.

– Wielki Boże – powiedział, sięgając po dłoń Jansson. – Co się teraz z nami stanie, Monico? Monico…?

Jej dłoń była bardzo zimna.

PODZIĘKOWANIA

Jesteśmy bardzo wdzięczni Jacqueline Simpson, współautorce nieocenionego *Folkloru świata Dysku*, za jej porady w sprawach koboldów i teologii oraz za szczodry i mądry wkład w inne kwestie. Właśnie Jacqueline zwróciła naszą uwagę na wiersz *Unwelcome* Mary Elizabeth Coleridge. Raz jeszcze jesteśmy wielce zobowiązani naszym przyjaciołom, doktorowi Christopherowi Pagelowi, właścicielowi Szpitala dla Zwierząt w Madison, oraz jego żonie, Juliet Pagel, za pomoc w poszukiwaniu informacji i kolejne bardzo cenne przejrzenie szkicu tej książki.

Oczywiście za wszelkie błędy i niedokładności odpowiedzialni jesteśmy tylko my.

T.P.

S.B.

Grudzień 2012, Ziemia Podstawowa

O AUTORACH

Autor cenionego cyklu powieści o świecie Dysku, Terry Pratchett, to jeden z najbardziej popularnych – i bestsellerowych – pisarzy brytyjskich. Jego książki, sprzedane w liczbie ponad 70 milionów egzemplarzy, były tłumaczone na prawie czterdzieści języków. Jest laureatem wielu nagród, w tym Medalu Carnegie, otrzymał też tytuł szlachecki za swoje zasługi dla literatury. Mieszka w Wiltshire.

Ci, których interesuje Terry Pratchett i jego twórczość, mogą odwiedzić stronę www.terrypratchett.co.uk. Znajdą tam również rozmaite ciekawostki, takie jak filmy, konkursy, opisy postaci i gry.

Stephen Baxter to jeden z najwyżej cenionych brytyjskich autorów science fiction i laureat licznych nagród. Wśród jego dzieł należy wymienić klasyczny cykl *Xelee*, powieści *Odysei czasu* (pisane wspólnie z Arthurem C. Clarkiem) oraz *Statki czasu*, kontynuację *Wehikułu czasu* H.G. Wellsa. Mieszka w Northumberland.

Więcej szczegółów o dziełach Stephena Baxtera można znaleźć na stronie www.stephen-baxter.com.